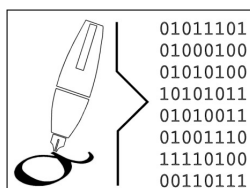


ROBERT JORDAN

OKO ŚWIATA

pierwszy tom z cyklu „Koło Czasu” cz.2

Przełożyła : Katarzyna Karłowska



Tytuł oryginału:

The Eye of the World

Data wydania polskiego: 1994

Data pierwszego wydania oryginalnego: 1993

SCHRONIENIE PRZED BURZĄ

Perrin nie umiał zachować spokoju podczas dni spędzonych z Tuatha'anami, kiedy wędrowali leniwie na południe i wschód. Wędrowcy nie znali powodów, które mogłyby skłonić ich do pośpiechu, taki mieli styl życia. Kolorowe wozy wytaczały się na drogę dopiero wtedy, gdy słońce stało wysoko nad horyzontem, a zatrzymywały się po południu, po znalezieniu odpowiedniego miejsca na rozbicie obozu. Psy, a czasami również dzieci, biegały swobodnie obok karawany, nie mając żadnych trudności z ewentualnym dogonieniem jej. Na wszelkie sugestie, że mogliby poruszać się szybciej albo pokonywać większe dystanse, odpowiedzią był śmiech i ironiczne uwagi, w rodzaju: „Tak, ale czy rzeczywiście należy zmuszać te biedne konie do ciężkiej pracy?”

Perrin był zdziwiony, że Elyas nie podziela jego odczuć. Łowca nie korzystał z wozu, wolał maszerować, włączając się swobodnie wzdłuż czoła kolumny, nigdy jednak nie dawał do zrozumienia, iż chciałby opuścić ją, lub poruszać się szybciej.

Dziwny, brodaty mężczyzna, w niezwykłym ubraniu ze skóry, różnił się zdecydowanie od łagodnych Tuatha'anów. Kiedy przechadzał się pomiędzy wozami, nie można go było pomylić z nikim innym. Nawet w obozowisku Elyas nie wyglądał na kogoś z ludu, i to nie tylko z powodu ubrania. Poruszał się z leniwą wilczą gracją, uwydatnioną dodatkowo przez skóry i futrzaną czapę, jednak kontrast pomiędzy nim a Wędrowcami był wyraźny, ponieważ jego postać tchnęła groźbą, tak jak ogień promieniuje ciepłem. Wędrowcy, zarówno młodzi, jak i starzy, żyli radością. W ich pełnych wdzięku ruchach nie dostrzegało się niebezpieczeństwa, lecz jedynie zadowolenie. Dzieci bezustannie biegały, rozpierane czystym pragnieniem ruchu, zaś dorośli Tuatha'anowie, nawet siwobrodzi staruszkowie i babcie, stąpali lekko, lecz nie przesadnie, rytmem statecznym, pełnym godności. Zawsze miało się wrażenie, że Wędrowcy zaraz zaczną tańczyć, nawet jeśli stali nieruchomo, nawet podczas tych rzadkich chwil, gdy obóz nie rozbrzmiewał muzyką. Skrzypce, flety, cymbały, cytry i bębny nieomal nieustannie rozsiewały wśród wozów harmonię i kontrapunkty, niezależnie od tego czy obozowali, czy jechali. Pieśni były pełne radości i szczęścia, śmiechu i smutku; wystarczyło, aby ktoś w obozie nie spał, aby zaraz zagrała muzyka.

Z każdego mijanego wozu witały Elyasa przyjazne ukłony i uśmiechy, przy każdym ognisku, przy którym się zatrzymał, czekały na niego serdeczne słowa. Zapewne takie właśnie oblicza Wędrowcy ukazywali ludziom z zewnątrz — otwarte i uśmiechnięte. Niemniej jednak, Perrin rozumiał, że skrywają czujność częściowo tylko poskromionego jelenia. W uśmiechach przeznaczonych dla gości z Pola Emonda tkwiło zawsze pytanie o zagrożenie, jakie mogą stanowić, ale też niepewność, która nieznacznie tylko zacierała się wraz z upływem dni. Wobec Elyasa czujność przybierała na sile, niczym wystygły żar, rozdmuchiwany lada powiewem wiatru, iskrzący się i nigdy do końca nie wygasły. Gdy patrzył w inną stronę, obserwowali go otwarcie, jakby niepewni jego zamiarów. Kiedy siedł przez obóz, chętne do tańca stopy zdawały się jednocześnie gotować do ucieczki.

Filozofia Drogi Liścia sprawiała, że Elyas nie czuł się przy nich bardziej swobodnie niż oni przy nim. W obecności Tuatha'anów jego usta pozostawały zawsze lekko skrzywione. Nie dlatego aby czuł się lepszy od nich, z pewnością nie odczuwał również wobec nich pogardy, miało się jednak wrażenie, że pragnie być zupełnie gdzie indziej, że każde inne miejsce lepsze byłoby od tego. Jednakże gdy Perrin napomykał o opuszczeniu obozu, Elyas lekceważąco machał ręką i przekonywał, że powinni odpoczywać, przynajmniej przez kilka dni.

— Przeżyliście ciężkie chwile, zanim mnie spotkaliście — powiedział za trzecim czy czwartym razem — a czekają was jeszcze gorsze, skoro ścigają was trolloki i Półludzie, a jedynej pomocy spodziewać możecie się od Aes Sedai. — Uśmiechnął się. Usta pełne miał placka z suszonymi jabłkami, upieczonego przez Ilę. W Perrinie spojrzenie żółtych oczu nadal wzbudzało niepokój, nawet wtedy, gdy towarzyszył mu uśmiech. Być może zwłaszcza wtedy, ponieważ uśmiech niezwykle rzadko gościł na twarzy łowcy. Elyas położył teraz obok ogniska Raena, jak zwykle wzgardziwszy kłodą, z której tworzone zaimprovizowane siedzenie. — Nie śpiesz się tak, żeby wpaść w ręce Aes Sedai.

— A jeśli znajdzie nas jakiś Pomor? Kiedy tak siedzimy tu i beczynn timerzujemy? Trzy wilki nas przed nim nie ochronią, a na Wędrowców raczej nie można liczyć. Oni nie będą bronić nawet siebie. Trolloki ich wymordują i to będzie nasza wina. Zresztą, tak czy owak będziemy musieli ich opuścić, wcześniej czy później. Ale lepiej zrobić to wcześniej.

— Coś każe mi czekać. Tylko kilka dni.

— Coś?

— Uspokój się, chłopcze. Bierz życie takie, jakim jest. Uciekaj, kiedy musisz, walcz, kiedy trzeba, odpoczywaj, kiedy możesz.

— Co to jest to „coś”, o czym mówisz?

— Skosztuj placka. Ila mnie nie lubi, ale bez wątpienia, zawsze jak ich odwiedzam, daje mi dobrze zjeść. W obozach Wędrowców dobrze się jada.

— Jakie „coś”? — nie ustępował Perrin. — Wiesz o czymś, a nie chcesz nam powiedzieć...

Elyas spojrział krzywo na kawałek ciasta w swoim ręku, odłożył go i otrzepał ręce.

— Coś... — powiedział w końcu, wzruszając ramionami, jakby sam do końca nie rozumiał — coś mi mówi, że trzeba poczekać. Jeszcze kilka dni. Nieczęsto miewam przeczucia, ale nauczyłem się im ufać. Nieraz ratowały mi życie. Tym razem czuję inaczej, ale z jakiegoś powodu jest to ważne. Nie ma wątpliwości. Chcecie uciekać, to uciekajcie. Beze mnie.

Choć Perrin pytał wiele razy, niczego więcej się nie dowiedział. Elyas odpoczywał, rozmawiał z Raenem, objadał się, drzemał w swojej czapie nasuniętej na oczy i odmawiał wszelkich rozmów o wyjeździe. Coś kazało mu czekać. Coś mu mówiło, że tak trzeba. Będzie wiedział, kiedy należy odejść. Skosztuj placka, chłopcze. Nie złość się. Spróbuj trochę gulaszu. Uspokój się. To były jego rady.

Perrin nie potrafił zachować spokoju. Nocami błąkał się wśród tęczowych wozów, zamartwiając się choćby tym, że najwyraźniej nikt tutaj nie widział żadnych powodów do zmartwień. Tuatha'anowie śpiewali i tańczyli, gotowali i jedli przy swoich ogniskach owoce, orzechy, jagody i warzywa — mięsa nie jedli, i stale podejmowali chóralne śpiewy, jakby nic na świecie ich nie obchodziło. Dzieci biegały i bawiły się wszędzie, chowały się wśród wozów, wspinały na drzewa rosnące wokół obozowiska, śmiały się i razem z psami toczyły po ziemi. Nie dbały o nic i o nikogo na świecie.

Patrzył na nich i aż palił się, by odejść.

„Odejść, zanim ściągniemy na nich pościg. Wzięli nas do siebie, zaopiekowali się nami, a my przecież stanowimy zagrożenie. Oni mają powody do beztrioski. Nikt na nich nie poluje. My natomiast...”

Z Egwene trudno było zamienić choćby dwa słowa. Albo rozmawiała z Ilą, nachylając blisko ku niej głowę, co było znakiem, że obecność mężczyzny nie jest mile widziana, albo tańczyła z Aramem, wirując przy dźwiękach fletów, skrzypiec i bębnów. Tuatha'anowie zbierali melodie po całym świecie, ich własne pieśni zaś, niezależnie od tego czy były szybkie, czy wolne, przeszywały głęboko duszę, wibrując w sercu. Znali niezliczoną mnogość pieśni, niektóre rozpoznawał, choć często nosiły inne tytuły niż w Dwu Rzekach. *Trzy dziewczyny na łące*, na przykład, Druciarze nazywali *Pięknymi pannami w tańcu*, mówili też, że *Wiatr z północy* to w jednych krajach *Ulewny deszcz*, a w innych *Ucieczka Berina*. Kiedy niezbyt rozważnie zapytał o Druciarza, który ukradł *moje garnki*, wybuchnęli śmiechem. Znali to, ale jako *Nastrosz pióra*.

Potrafił zrozumieć, dlaczego przy melodiach Wędrowców miało się ochotę tańczyć. W Polu Emonda nikt nie uważał go za bodaj znośnego tancerza, tutaj natomiast te pieśni same porywały stopy i nigdy w życiu nie tańczył tak często, z taką pasją, ani tak dobrze. Niczym zahipnotyzowany. Krew tętniła w żyłach rytmem bębnów.

Drugiego wieczora Perrin po raz pierwszy zobaczył kobiety tańczące wolne melodie. Ogniska ledwie się tliły, noc zawisła tuż nad wozami, palce na bębnach wolno wybijały

takt. Najpierw pierwszy bęben, potem drugi, aż w końcu wszystkie razem rozbrzmiały głuchym, natarczywym rytmem. Dookoła panowała cisza zakłócana jedynie dźwiękami bębnów. Jakaś dziewczyna w czerwonej sukni zakołysała się w świetle ogniska i rozluźniła swój szal. Z włosów zwisały jej paciorki, była bosa. Jakiś flet zakwilił cicho i dziewczyna zaczęła tańczyć. Rozłożywszy ręce, rozpostarła szal za plecami. Zafalowały biodra, bose stopy zaszurały w takt melodii wybijanej na bębnach. Dziewczyna wbiła spojrzenie swych ciemnych oczu w Perrina, uśmiech na jej twarzy rozkwitał powoli, jakby z głębi serca dobywał go nieśpieszny rytm tańca. Zataczała niewielkie kręgi, uśmiechając się do niego przez ramię.

Z trudem przełknął ślinę. Twarz mu płonęła, i to bynajmniej nie gorącym ognia. Druga dziewczyna przyłączyła się do pierwszej, frędzle ich szalów rozkołysały się w takt muzyki i powolnego kołysania bioder. Uśmiechały się do niego. Kilka razy ochryple kaszlnęła. Bał się rozejrzeć, twarz miał czerwoną jak burak, z pewnością każdy, kto akurat nie patrzył na tancerki, śmiał się z niego. Był tego pewien.

Najbardziej niedbale jak tylko potrafił, zsunął się z kłody, jakby chciał zająć wygodniejszą pozycję. Odwrócił twarz od ognia, od tancerek. W Polu Emonda nie zdarzały się takie rzeczy. Nawet świąteczne tańce z dziewczętami na łące były zupełnie inne. Zaprzagnął, aby zerwał się wiatr i ochłodził jego rozpaloną głowę.

Dziewczęta znowu pojawiły się w polu jego widzenia, teraz tańczyły już trzy. Jedna z nich mrugnęła do niego ukradkiem. Natychmiast odwrócił wzrok.

„Światłości — pomyślał. — Co mam teraz zrobić? Co by zrobił Rand? On się zna na dziewczynach.”

Tańczące dziewczyny śmiały się cicho, pobrzękiwały paciorki, gdy podrzucały długimi włosami opadającymi im na ramiona, a Perrin miał wrażenie, że płonie cała jego twarz. Po chwili do dziewcząt dołączyła nieco starsza kobieta, jakby chcąc im pokazać, jak się naprawdę powinno to robić. Skapitulował z jękiem i zamknął oczy. Pomimo zamkniętych powiek ten śmiech ciągle go kusił i drażnił. Nawet pod zamkniętymi powiekami wciąż je widział. Pot zrosił mu czoło, coraz bardziej żałował, że nie wieje wiatr.

Zgodnie z tym co mówił Raen, dziewczęta nieczęsto tańczyły ten taniec, kobiety zaś jeszcze rzadziej. Jednak według Elyasa rumieńce Perrina spowodowały, iż tańczyły go odtąd co wieczór.

— Muszę ci podziękować — powiedział mu Elyas ponurym i uroczystym tonem. — W przypadku was, młodych ludzi, jest inaczej, ale w moim wieku trzeba czegoś więcej niż tylko ognia, aby rozgrzać kości.

Perrin nachmurzył się. W postawie oddalającego się Elyasa było coś, co powiedziało mu, że tamten śmieje się w duchu, nawet jeśli jawnie tego nie okazywał.

Wkrótce przyzwyczał się odwracać wzrok od tańczących kobiet i dziewcząt, jednak pomimo tych mrugnięć okiem i uśmiechów wciąż żałował, że nie może na nie patrzeć. Z jedną by sobie poradził — ale pięć, sześć, i przy wszystkich... Nigdy do końca nie nauczył się opanowywać rumieńców.

Potem Egwene zaczęła uczyć się tańczyć. Dwie dziewczyny, które tańczyły tamtego pierwszego wieczora, pokazywały jej figury, wyklaskując rytm, a ona naśladowała ich płynne kroki, kołysząc pożyczonym szalem. Perrin próbował coś powiedzieć, ostatecznie jednak stwierdził, że lepiej trzymać język za zębami. Gdy dziewczęta zademonstrowały jej ruchy bioder, Egwene zaczęła się śmiać, a wraz z nią trzy inne, potem padły sobie w ramiona, głośno chichocząc. Egwene nie porzuciła nauki, tańczyła z błyszczącymi oczyma i ciemnymi rumieńcami na policzkach.

Aram, rozpalonym, pożądlivym wzrokiem patrzył, jak tańczy. Przystojny młody Tuatha'anin podarował jej sznur niebieskich paciorków, które nosiła przez cały czas. Uśmiech na twarzy Ili ustąpił miejsca zmartwieniu, gdy po raz pierwszy zauważyła zainteresowanie, jakim jej wnuk obdarza Egwene. Perrin postanowił nie spuszczać Arama z oczu.

Raz udało mu się spotkać Egwene na osobności, obok wozu pomalowanego w zielone i żółte kolory.

— Dobrze się bawisz, prawda? — spytał.

— A niby czemu nie miałabym się dobrze bawić? — Przesunęła palcami po błękitnych paciorkach otaczających jej szyję i uśmiechnęła się do nich. — Nie wszyscy muszą być tacy wiecznie przygnębieni jak ty. Czy nie zasługujemy na odrobinę prawdziwej rozrywki?

Aram stał obok — obecnie zawsze trzymał się blisko Egwene — z rękoma założonymi na piersi, na jego twarzy pełgał uśmieшек. Było w nim zadowolenie z siebie i jednocześnie wyzwanie. Perrin zniżył głos.

— Myślałem, że chcesz dotrzeć do Tar Valon. Tu się nie nauczysz, jak być Aes Sedai. Egwene odrzuciła głowę.

— A ja myślałam, że to ty nie chcesz, żebym została Aes Sedai — powiedziała nieco zbyt przymilnie.

— Krew i popioły, czy twoim zdaniem jesteśmy tu bezpieczni? Czy ci ludzie są bezpieczni z nami? W każdej chwili może nas znaleźć jakiś Pomor.

Jej dłonie gładzące paciorki zdrząły. Opuściła je i zrobiła głęboki wdech.

— Cokolwiek ma się zdarzyć, zdarzy się, niezależnie od tego czy wyjedziemy dzisiaj czy w przyszłym tygodniu. Tak myślę. Baw się, Perrin. Może ostatni raz mamy taką szansę.

Ze smutkiem pogładziła go po twarzy czubkami palców. Potem Aram wyciągnął ku niej rękę i zaraz pomknęła do niego, na powrót roześmiana. Po chwili rozległy się

dźwięki skrzypiec, a Aram przez ramię triumfalnie uśmiechnął się do Perrina, jakby chciał powiedzieć: nie jest twoja, ale moja będzie na pewno.

„Wszyscy troje za bardzo ulegamy czarowi Wędrowców — rozmyślał Perrin. — Elyas ma rację. Nie muszą cię nawracać na Drogę Liścia. Człowiek sam nią przesiąka.”

Żonie Raena dość było spojrzeć na niego tylko jeden raz, by zauważyć, jak kuli się przed wiatrem, wyciągnęła więc gruby, wełniany płaszcz ze swojego wozu. Zauważył z zadowoleniem, że płaszcz był koloru ciemnej zieleni, a nie czerwony albo żółty, jakie nosili inni. Kiedy zarzucił go sobie na ramiona, zdziwiło go, że tak dobrze na niego pasuje.

— Mógłby pasować lepiej — powiedziała Ila troskliwym tonem. — Zerknęła na wiszący u jego pasa topór, a kiedy znów spojrzała mu w oczy, w jej uśmiechu zamigotał cień smutku. — Mógłby pasować znacznie lepiej.

Wszyscy Druciarze tak się zachowywali. Nigdy nie przestawali się uśmiechać, nigdy nie wahali się zaprosić na poczęstunek albo wspólne słuchanie muzyki, ale ich wzrok zawsze zatrzymywał się na toporze i czuł wtedy, co myślą. Narzędzie do zadawania gwałtu. Nie ma wytłumaczenia dla przemocy zadawanej drugiemu człowiekowi. Droga Liścia.

Czasami miał ochotę na nich krzyczeć. Na świecie są trolloki i Pomory. Są tacy, którzy pozrywaliby wszystkie liście. Gdzieś czyha Czarny, Droga Liścia stanęłaby w ogniu pod spojrzeniem Ba'alzamona. Dalej uparcie nosił topór. Chadzał w rozpiętym płaszczu nawet wtedy, gdy dał zimny wiatr. Sierp ostrza lśnił blado. Co jakiś czas spotykał wzrok Elyasa, który badawczo spoglądał na broń wiszącą ciężko u jego pasa i uśmiechał się szeroko żółtymi oczyma, które zdawały się przenikać jego myśli. Wtedy miał czasami niemalże ochotę zakryć topór. Czasami.

Mimo że podczas pobytu w obozie Tuatha'anów był wciąż zdenerwowany, to miał przynajmniej normalne sny. Czasami, zlany potem, budził się, gdyż śnił o wpadających jak nawałnica do obozowiska trollokach i Pomorach, o tęczowych wozach zamienionych w ogniska przez ciśnięte w nie płonące głownie, o ludziach padających w kałużach krwi, mężczyznach, kobietach i dzieciach, którzy biegali, krzyczeli i umierali, nie próbując nawet bronić się przed ciosami zakrzywionych mieczy. Noc w noc siadał wyprostowany na posłaniu, dysząc ciężko i chwycił za topór, zanim pojął, że wozy nie stoją w płomieniach, że żadne stwory z zakrwawionymi pyskami nie wykrzywają się nad stosami rozdartych i połamanych ciał. Ale to były zwykłe koszmary i nawet go na swój sposób uspokajały. Jeśli w jakichś snach miałby przyjść Czarny, to właśnie w tych, jednak ani razu się nie pojawił. Żadnego Ba'alzamona. Tylko zwykłe koszmary.

Jednak przez cały czas, kiedy nie spał, wyczuwał obecność wilków. Trzymały się na dystans od obozowisk i jadącej karawany, ale zawsze wiedział, że są gdzieś w pobliżu. Czuł ich pogardę dla psów strzegących Tuatha'anów. Dla tych hałaśliwych bestii, które

zapomniały, do czego służą szczęki, zapomniały, jak smakuje świeża krew, które potrafiły przerażać ludzi, lecz na widok wilczego stada pełzałyby na brzuchach. Każdego dnia jego świadomość ich obecności stawała się coraz ostrzejsza, coraz wyraźniejsza.

Z każdym zachodem słońca Łatka stawała się coraz bardziej niecierpliwa. Skoro Elyas chciał zabrać tych ludzi na południe, to widocznie wiedział, co robi; niech już się stanie, co ma się stać. Niech się wreszcie skończy ta powolna wędrówka. Choć życie wilków to włóczęga, Łatka nie lubiła jednak rozstawać się na dłużej ze stadem. Irytacją płonął również Wiatr. Polowanie na tych terenach udawało się gorzej niż źle, gardził zaś polnymi myszami, czyli czymś, co mogą podchodzić szczeniaki, kiedy uczą się polować, co nadaje się na pokarm dla starych, niezdolnych do powalenia łosia albo okaleczenia dzikiego byka. Wiatr uważał czasami, że Żar miał rację: ludzkie kłopoty należy zostawiać ludziom. Wystrzegał się jednak takich myśli w obecności Łatki, bardziej jeszcze w pobliżu Skoczka. Skoczek był wojownikiem, posiwiłym, pokrytym bliznami, niewzruszonym wiedzą zbieraną przez lata doświadczeń, obdarzonym sprytem, którym nadrabiał wszystko to, czego pozbawił go wiek. Ludzie go nie obchodzili, ponieważ jednak Łatka sobie tego życzyła, Skoczek czekał, kiedy ona czekała i biegł, kiedy ona biegła. Wilk czy człowiek, byk albo niedźwiedź, cokolwiek zaatakowałoby Łatkę, trafiłoby w szczęki Skoczka, czekające, by posłać je prosto w długi sen. Na tym polegał sens życia Skoczka i dlatego właśnie Wiatr zachowywał ostrożność. Łatka zdawała się ignorować myśli ich obydwu.

Perrin doskonale sobie z tego wszystkiego zdawał sprawę. Ze wszech miar pragnął teraz znaleźć się w Caemlyn, bliżej Moiraine i Tar Valon. Nawet jeśli nie czekały na niego żadne wyjaśnienia, to przynajmniej tam mogło się wszystko wreszcie skończyć. Elyas patrzył na niego w taki sposób, jakby wiedział o tym.

„Błagam, niech się to już skończy”.

Początek tego snu był zdecydowanie bardziej miły, niż treść wszystkich innych, które przyśniły mu się ostatnimi czasy. Siedział przy kuchennym stole Alsbet Luhhan, ostrzył kamieniem swój topór. Pani Luhhan nie pozwalała wykonywać w domu żadnych prac związanych z kuźnią. Kowal nawet noże do naostrzenia musiał wynosić na zewnątrz. Teraz jednak, zajęta wyłącznie gotowaniem, nie powiedziała ani słowa na temat topora. Nie powiedziała nic nawet wtedy, gdy z wnętrza domu wyłonił się wilk i zwinął w kłębek na podłodze pomiędzy Perrinem a drzwiami wychodzącymi na podwórko. Perrin ostrzył dalej. Niebawem nadejdzie czas, by użyć topora, już niedługo.

Nagle wilk wstał i warknął gardłowo. Gęsta sierść, porastająca jego kark, zjeżyła się. Z podwórka do kuchni wszedł Ba'alzamon. Pani Luhhan nadal zajęta była gotowaniem.

Perrin wstał niezdarnie, podnosząc topór, lecz Ba'alzamon zignorował broń, zwracając uwagę wyłącznie na wilka. W miejscu gdzie powinien mieć oczy, migotały płomienie.

— Czy to jest twój obrońca? No cóż, już kiedyś stawiałem czoło temu stworzeniu. Wiele razy.

Zakrzywił palec a wilk zawył, gdy ogień wytrysnął z jego oczu, uszu i paszczy, kiedy przeniknął całą powierzchnię skóry. Kuchnię wypełnił swąd palonego mięsa i sierści. Alsbet Luhhan podniosła pokrywę garnka i zamieszała w nim drewnianą łyżką.

Perrin wypuścił topór i skoczył naprzód, starając się zdusić płomienie dłońmi. Wilk kruszył się w palcach na czarny popiół. Cofnął się, wpatrzony w bezkształtny stos spalenizny na zamiecionej do czysta podłodze pani Luhhan. Pragnął zetrzeć tłustą sadzę z dłoni, jednak na myśl o wytarciu jej o ubranie przewracało mu się w żołądku. Schwycił trzonek leżącego na ziemi topora z taką siłą, że aż zatrzeszczały mu kłykcie.

— Zostaw mnie w spokoju! — krzyknął.

Pani Luhhan postukała łyżką o brzeg garnka i z powrotem przykryła go pokrywką, nucąc coś do siebie.

— Nie uciekniesz — powiedział Ba'alzamon. — Nie dasz rady ukryć się przede mną. Jeśli nim jesteś, to należysz do mnie — Z jego twarzy bił taki żar, że Perrin cofał się przez całą kuchnię, aż w końcu wpadł na ścianę. Pani Luhhan otworzyła piecyk, by sprawdzić chleb. — Oko Świata cię pochłonie — powiedział Ba'alzamon. — Naznaczam cię, jesteś mój!

Zamachnął zaciśniętą dłonią, jakby czymś rzucił, potem rozpostarł palce i ku twarzy Perrina pomknął kruk.

Perrin krzyknął, gdy czarny dziób wwiercił się w jego lewe oko...

...i usiadł, przyciskając dłonie do twarzy. Dookoła Lud Wędrowców spał w swoich wozach. Powoli opuszczał ręce. Nie było bólu, żadnej krwi. Ale pamiętał — kłujący, śmiertelny ból.

Wstrząsnęły nim dreszcze. W bladym świetle świtu zobaczył nagle przykucniętego obok Elyasa, jedną rękę trzymał wyciągniętą, jakby chciał go obudzić. Za drzewami, wśród których stały wozy, wyły wilki, przenikliwy skowyt wrywał się z trzech gardzieli. Wiedział, co czują.

„Ogień. Ból. Ogień. Nienawiść. Nienawiść! Mord!”

— Tak — powiedział spokojnie Elyas. — Już czas. Wstawaj, chłopcze. Pora odejść.

Perrin wyplątał się z kocy. Nie uporał się jeszcze ze swym tobołkiem, gdy z wozu wyszedł Raen, przecierając zaspane oczy. Spojrzał na niebo i zastygł w pół kroku, rękoma wciąż dotykając twarzy. Poruszając tylko oczami, Poszukujący uważnie przyglądał się niebu. Perrin nie pojmował, co on widzi. Na wschodzie wisiało kilka chmur, ich poszycie przecinały różowe promienie słońca, które dopiero miało wzejść, poza tym nie było nic do oglądania. Raen wydawał się czegoś nasłuchiwać i wachać powietrze, ale słychać było tylko szum wiatru wśród gałęzi drzew, a oprócz niewyraźnego zapachu dymu, sączącego się z wieczornych ognisk, żadna inna woń nie unosiła się w powietrzu.

Gdy Elyas powrócił ze swym skąpym dobytkiem, Raen zszedł z wozu.

— Musimy zmienić kierunek wędrówki, mój stary przyjacielu. — Poszukujący znowu z niepokojem spojrzął na niebo. — Dzisiaj pojedziemy inną drogą. Czy będziecie nam towarzyszyć? — Elyas pokręcił głową, a Raen przytaknął, jakby cały czas o tym wiedział. — No cóż, dbaj o siebie, przyjacielu. W tym dniu jest coś... — Znowu miał zamiar spojrzeć w górę, jednak spuścił wzrok, zanim spojrzenie powędrowało ponad dachy wozów. — Wozy pojedą chyba na wschód. Może aż do Grzbietu Świata. Być może znajdziemy jakiś *stedding* i zostaniemy w nim przez pewien czas.

— W *stedding* nie dzieje się nigdy nic złego — zgodził się Elyas. — Jednakże Ogirowie nie są zbyt przyjaźni dla obcych.

— Wszyscy są przyjaźni dla Ludu Wędrowców — powiedział Raen i szeroko się uśmiechnął. — A poza tym, nawet Ogirowie mają garnki i inne rzeczy, które wymagają napraw. Chodźcie, zjemy jakieś śniadanie i porozmawiamy o tym.

— Nie ma czasu — powiedział Elyas. — My też dzisiaj wyruszamy. Najszybciej jak się da. Uważam, że trzeba natychmiast ruszyć w drogę.

Raen starał się go przekonać, żeby przynajmniej coś zjedli, a Ila, która wyszła z wozu razem z Egwene, dostarczyła dodatkowych argumentów, jednakże nie robiła tego tak zawzięcie, jak jej mąż. Ujmowała wszystko we właściwe słowa, ale w jej uprzejmości dostrzegało się pewną rezerwę. Jasne było, że z ulgą zobaczy nie tylko plecy Elyasa, lecz może nawet równie chętnie pozbędzie się Egwene.

Egwene nie dostrzegała pełnych żalu, rzucanych spode łba spojrzeń, którymi obdarzała ją Ila. Chciała wiedzieć, co się dzieje, a Perrin już się spodziewał, że zapragnie zostać z Tuatha'anami, gdy jednak Elyas jej odpowiedział, z namysłem skinęła głową i pośpiesznie pobiegła do wozu, by zebrać swoje rzeczy.

W końcu Raen podniósł ręce do góry.

— W porządku. Nie wiem, czy kiedykolwiek wypuściłem gościa z obozu bez pożegnalnej uczty, ale... — Niepewnie znowu uniósł oczy ku niebu. — Cóż, sami chyba powinniśmy wyruszyć jak najwcześniej. Być może zjemy już w drodze. Przynajmniej jednak pozwólmy wszystkim się pożegnać.

Elyas zaczął protestować, ale Raen już śpieszył od wozu do wozu, łomocząc do drzwi tam, gdzie nikt jeszcze się nie obudził. Zanim ktoś przyprowadził Belę, pojawili się wszyscy mieszkańcy obozu w swych najlepszych i najbardziej jaskrawych ubraniach. W lawinie barw czerwono-żółty wóz Raena i Ili wyglądał nieomal blado. Dookoła błąkały się psy z wywieszonymi jęzorami, poszukując kogoś, kto by je podrapał po uszach, natomiast Perrin i pozostali cierpliwie wymieniali kolejne uściski ręki i objęcia. Dziewczęta, które tańczyły wieczorami, nie zadowolily się zwykłym podaniem ręki i tak wyściskały Perrina, że nagle zaczął żałować wyjazdu — dopóki sobie nie przypomniał, ilu ludzi na to patrzy, a wtedy barwa jego twarzy zlała się prawie z kolorem wozu Poszukującego.

Aram odciągnął Egwene na bok. Z powodu ogłuszającego chóru pożegnań Perrin nie dosłyszał, co do niej mówił, widział natomiast, że przez cały czas kręciła przecząco głową, najpierw powoli, a bardziej stanowczo wtedy, kiedy on zaczął błagalnie gestykulować. Na jego twarzy gościły na przemian to prośba, to perswazja, Egwene jednak wciąż uparcie kręciła głową. W końcu Ila ją wyratowała, wypowiadając kilka ostrych słów do swego wnuka. Zachmurzony Aram przepchnął się przez tłum, nie żegnając się już z nikim więcej. Ila odprowadziła go wzrokiem, wyraźnie wahając się, czy go nie przywołać z powrotem.

„Jej też ulżyło — pomyślał Perrin. — Ulżyło, że nie chciał pojechać z nami, z Egwene.”

Gdy przynajmniej raz uścisnął wszystkie ręce w obozie, a każdą dziewczynę przynajmniej dwa razy, tłum cofnął się, zostawiając niewielką przestrzeń dookoła Raena, Ili i trojga gości.

— Przybyliście w pokoju — zaintonował Raen, kłaniając się ceremonialnie i przyciskając dłonie do piersi. — Odjedźcie więc teraz w pokoju. Nasze ogniska zawsze będą was witać, w pokoju. Droga Liścia jest pokojem.

— Pokój wam wszystkim — odparł Elyas — i całemu ludowi. — Zawahał się i dodał: — Odnajdę pieśń albo odnajdzie ją kto inny, lecz będzie śpiewana, tego roku albo tego, który nadejdzie. Tak jak było kiedyś, tak będzie znowu, na wieki wieków.

Raen zamrugnął ze zdziwieniem, a Ila wyglądała na zupełnie oszołomioną, a pozostali Tuatha'anowie zaszemrali w odpowiedzi:

— Na wieki wieków. Na wieki wieków, aż po krańce świata.

Raen i jego żona pośpiesznie powtórzyli za pozostałymi.

Wtedy już naprawdę trzeba było ruszać. Kilka ostatnich pożegnań, kilka ostatnich napomnień, by dbali o siebie, kilka ostatnich uśmiechów, mrugnięć i wyszli z obozu. Raen towarzyszył im aż do skraju drzew, z parą psów brykających u jego boku.

— Doprawdy, mój stary przyjacielu, musisz bardzo uważać. Ten dzień... Obawiam się, że zło rozproszyło się po świecie i choćbyś nie wiem jak udawał, nie jesteś aż tak zły, by nie chciało cię pożreć.

— Pokój z tobą — powiedział Elyas.

— I z tobą — ze smutkiem odparł Raen.

Kiedy Raen odszedł, Elyas zachmurzył się, widząc, że tamtych dwoje mu się przypatruje.

— Nie wierzę w tę ich głupią pieśń — warknął. — Nie należy jednak psuć im ceremonii, nieprawdaż? Mówiłem wam, że oni czasami przywiązują wielką wagę do rytuału.

— Naturalnie — łagodnie powiedziała Egwene. — Oczywiście, że nie należy.

Elyas odwrócił się, mruczając coś do siebie.

Pojawiły się Łatka, Wiatr i Skoczek, żeby przywitać się z Elyasem. Nie figlowały tak jak psy, traktowały go z godnością, jak równego sobie. Perrin pojął, co mu przekazały.

„Płonące oczy. Ból. Skurcz serca. Śmierć. Skurcz serca.”

Perrin wiedział, o co im chodzi. Czarny. Opowiadały o jego śnie. O ich śnie.

Przeszył go dreszcz. Wilki wysforowały się do przodu na zwiady, Egwene dosiadała teraz Beli, Perrin wędrował pieszo obok niej. Jak zwykle prowadził Elyas, równym, długim krokiem szybko pokonywał trasę.

Perrin nie miał ochoty myśleć o swoim śnie. Wydawało mu się, że dzięki wilkom są bezpieczni.

„Nie całkiem. Pogódź się. Całym sercem. Całym umysłem. Jeszcze się opierasz. Będziecie, kiedy się pogodzisz.”

Wypędził myśli wilków ze swego umysłu i zdziwiony zamrugał. Nie zdawał sobie sprawy, że potrafi to robić. Postanowił, że nie pozwoli im wrócić. Nawet we snach? Nie wiedział, czy to jest jego myśl czy ich.

Egwene nadal nosiła sznur paciorków, które podarował jej Aram, a we włosach gałązkę z drobnymi, jasnoczerwonymi listkami, inny podarek od młodego Tuatha'ana. Perrin był pewien że Aram starał się namówić ją do pozostania z Ludem Wędrowców. Cieszył się, że się nie zgodziła, pragnął jednak, żeby nie gładziła tak czule tych paciorków. W końcu zapytał:

— O czym ty rozmawiałaś z Ilą tyle czasu? Gdy nie tańczyłaś z tym długonogim, to rozmawiałaś z nią, jakbyście miały jakiś wspólny sekret.

— Ila dawała mi rady dotyczące bycia kobietą — odparła Egwene roztargnionym tonem.

Gdy zaczął się śmiać, obdarzyła go pochmurnym, groźnym spojrzeniem, którego jednak nie zauważył.

— Rady! Nam nikt nie mówi, jak być mężczyzną. Po prostu nimi jesteśmy.

— I pewnie właśnie dlatego — oświadczyła Egwene — tak wam to źle wychodzi.

Idący przed nimi Elyas głośno się roześmiał.

ŚLADY W POWIETRZU

Nynaeve z podziwem oglądała widok w dole rzeki. Biały Most połyskiwał w słońcu mleczną łuną. Jeszcze jedna legenda — pomyślała, zerkając na Strażnika i Aes Sedai, którzy jechali tuż przed nią. Jeszcze jedna legenda, a oni zdają się wcale jej nie zauważać. Postanowiła patrzeć bardziej dyskretnie. Będą się śmiali, gdy zauważą, że gapię się jak jakiś wiejski przygłup. Wszyscy troje jechali w milczeniu w stronę bajkowego Białego Mostu.

Od tamtego ranka po nocy w Shadar Logoth, kiedy odnalazła Moiraine i Lana na brzegu Arinelle, odbyła z Aes Sedai niewiele zwyczajnych rozmów. Naturalnie odzywały się do siebie, ale nie było to nic poważnego, przynajmniej zdaniem Nynaeve. Na przykład Moiraine próbowała ją namówić, żeby pojechała do Tar Valon. Tar Valon. Pojedzie tam, jeśli będzie trzeba i podda się ich naukom, ale nie z powodów, jakie sobie wymyśliła Aes Sedai. Jeśli Moiraine wyrządziła krzywdę Egwene i chłopcom...

Nynaeve przyłapywała się czasem, że wbrew woli zastanawia się, cóż Wiedząca może mieć wspólnego z Jedną Mocą, do czego miałyby jej użyć. Wystarczyło jednak, żeby uświadomiła sobie, co jej chodzi po głowie, a wtedy natychmiast fala gniewu rozpraszała te myśli. Moc to plugastwo. Nie będzie z nią miała nic wspólnego. Do niczego nie mogłaby jej użyć. Chyba żeby musiała.

Ta przeklęta kobieta nie chciała rozmawiać o niczym więcej, niż tylko o zabraniu jej na naukę do Tar Valon. Moiraine nie będzie jej do niczego nakłaniała! Wcale nie ma ochoty wiedzieć za dużo.

— W jaki sposób masz zamiar ich znaleźć? — nie omieszkała jej stale wypytywać.

— Jak już ci powiedziałam — odparła Moiraine, nawet nie racząc odwrócić się w jej stronę — będę wiedziała, gdy znajdę się w pobliżu tych dwóch, którzy zgubili swoje monety.

Nynaeve pytała o to nie po raz pierwszy, ale głos Aes Sedai przypominał nieruchomy staw, którego powierzchnia nie chce zafalować, choćby nie wiadomo ile wrzucać weń kamieni. Wiedząca czuła, jak burzy się w niej krew za każdym razem, gdy spotykała się z tym tonem. Moiraine jechała przed siebie, jakby nie czuła oczu Nynaeve wbitych w jej plecy, a ta z kolei sądziła, że powinna je czuć, przecież patrzyła tak uporczywie.

— Im dłużej to potrwa, tym bliżej będę musiała się znaleźć, ale będę wiedziała. Jeśli zaś chodzi o tego, który wciąż ma przy sobie monetę, to dopóki jest w jej posiadaniu, dopóty będę mogła go gonić, choćby i przez pół świata, jeśli znajdzie taka potrzeba.

— I co wtedy? Co masz zamiar z nimi zrobić, jak już ich znajdziesz, Aes Sedai?

Ani przez chwilę nie wierzyła, że poszukiwałyby ich tak pilnie, gdyby nie miała żadnych ukrytych planów.

— Tar Valon, Wiedząca.

— Tar Valon, Tar Valon. Wiecznie to powtarzasz, a ja staję się...

— Część nauk, jakie otrzymasz w Tar Valon, Wiedząca, będzie dotyczyła panowania nad sobą. Nic nie zrobisz z Jedną Mocą, gdy twoimi myślami zawładną emocje.

— Nynaeve otworzyła już usta, ale Moiraine mówiła dalej. — Lan, muszę z tobą chwilę porozmawiać.

Obydwoje pochylili ku sobie głowy, a Nynaeve pozostała z ponurym grymasem na twarzy, z grymasem, którego tak bardzo nienawidziła. Pojawiał się zbyt często, głównie wtedy, gdy Aes Sedai zrećźnie zmieniała temat, unikając jej pytań, z łatwością omijała zastawiane podczas rozmowy pułapki albo wręcz ignorowała jej okrzyki, sprawiając, że rozplływały się w ciszy. Z nachmurzoną miną czuła się jak dziewczyna, którą przyłapała na czymś głupim któraś z Koła Kobiet. Było to uczucie, do którego Nynaeve nie nawykła, łagodny uśmiech na twarzy Moiraine tylko wszystko pogarszał.

Gdyby tylko istniał jakiś sposób na pozbycie się tej kobiety. Z samym Lanem byłoby łatwiej — Strażnik po prostu umiałby zająć się tym, co trzeba, wmawiała sobie pośpiesznie, czując, że się rumieni — ale jedno nie rozstawało się z drugim.

A poza tym Lan rozwścieczał ją jeszcze bardziej niż Moiraine. Nie potrafiła zrozumieć, jak to się dzieje, że on z taką łatwością działa jej na nerwy. Rzadko mówił cokolwiek — czasami zaledwie kilkanaście słów w ciągu dnia — i nigdy nie brał udziału w żadnej... dyskusji z Moiraine. Często oddalał się, przeprowadzając zwiad w okolicy, a wtedy, gdy był z nimi, trzymał się odrobinę na uboczu, obserwując je tak, jakby obserwował pojedynek. Nynaeve wołała, żeby przestał. Jeśli to był pojedynek, to jej ani razu nie udało się zdobyć przewagi, a Moiraine wydawała się nie zauważać, że bierze udział w walce. Nynaeve radziłaby sobie lepiej bez tych jego chłodnych, niebieskich oczu, nawet bez jego milczącego towarzystwa.

Tak, z grubsza rzecz biorąc, wyglądała ich podróż. Spokojnie, chyba że złość brała w niej górę, a czasami, kiedy krzyknęła, dźwięk jej głosu wydawał się rozbijać ciszę, jakby to było szkło. Okolicę spowijało milczenie, jakby świat zatrzymał się tutaj dla zaczerpnięcia oddechu. Wiatr jęczał wśród gałęzi drzew, ale poza tym wszędzie zalegała cisza. Ten wiatr też wydawał się odległy, mimo że przeszywał jej płaszcz na wylot.

Z początku spokój przynosił wytchnienie po tym wszystkim, co się wydarzyło przedtem. Miała wrażenie, że od Zimowej Nocy nie zaznała ani chwili wytchnienia.

Jednakże pod koniec pierwszego dnia, spędzonego samotnie z Aes Sedai i Strażnikiem, zaczęła oglądać się przez ramię i wiercić w siodle, jakby plecy ją swędziały w miejscu, do którego nie mogła dosięgnąć ręką. Ta cisza przypominała kryształ skazany na rozbicie, oczekiwała więc, aż pierwszy zgrzyt przeszyje ją dreszczem.

Na Moiraine i Lana też to wywierało swój wpływ, choć pozornie wyglądali na niewzruszonych. Wkrótce zauważyła, że pod maską spokoju z każdą godziną robią się coraz bardziej spięci, niczym sprężyny zegara nakręcone do tego stopnia, że grozi im pęknięcie. Moiraine jakby nasłuchiwała czegoś, co nie istnieje, a to co słyszała, wywoływało marsa na jej czole. Lan obserwował las i rzekę, jakby bezlistne drzewa i szerokie, powolne wody niosły ostrzeżenia o pułapkach i zasadzkach, czyhających przy drodze.

Częściowo była zadowolona, że nie ona jedna wyczuwa tę chwiejność świata, ale skoro oddziaływało to również na nich, zagrożenie musiało być realne, toteż jakaś inna część jej umysłu nie pragnęła, aby wszystko okazało się tylko tworem jej wyobraźni. Coś drażniło zakamarki jej umysłu, jak wtedy, gdy słuchała wiatru, teraz jednak wiedziała, że było to związane z wykorzystywaniem Jednej Mocy i nie potrafiła się zmusić do interpretacji wirujących na skraju myśli podszeptów.

— To nic — odparł spokojnie Lan, gdy go zapytała. — Mówiąc tak, nie spojrział nawet na nią, jego oczy ani na moment nie przestały patrzeć w przestrzeń. Po chwili, zaprzeczając temu co właśnie powiedział, dodał: — Kiedy dotrzemy do Białego Mostu i Drogi Caemlyn, powinnaś zawrócić do swoich Dwu Rzek. Tu jest zbyt niebezpiecznie. Nic ci nie będzie groziło podczas drogi powrotnej.

Była to najdłuższa przemowa, jaką wygłosił tego dnia.

— Ona jest częścią Wzoru, Lan — upomniała go Moiraine. Jej wzrok również błędził w przestrzeni. — To Czarny, Nynaeve. Burza ominęła nas... przynajmniej na razie. — Uniosła rękę, niejako głaszcząc powietrze, po czym odruchowo wytarła ją o suknię, jakby dotknęła czegoś brudnego. — On jednak wciąż patrzy — westchnęła — a jego wzrok jest coraz silniejszy. Nie obserwuje nas, lecz świat. Ile czasu upłynie, nim stanie się dostatecznie silny, by...

Nynaeve skuliła się, nagle odnosząc wrażenie, że jest obserwowana. To było właśnie to wyjaśnienie, którego wołałaby nigdy nie usłyszeć.

Lan jechał przodem, jednak o ile dotychczas on wybierał drogę, teraz robiła to Moiraine z taką pewnością, jakby podążała jakimś niewidzialnym szlakiem, prosto po śladach zawieszonych w powietrzu, prowadzona jakąś zapamiętaną wonią. Lan jedynie sprawdzał obrany kierunek, upewniając się, że jest bezpieczny. Nynaeve miała uczucie, że nawet gdyby okazało się, iż podążają wprost w zasadzkę, to Moiraine i tak by się uparła, żeby jechać prosto. A on też by pojechał, tego była pewna. Prosto z biegiem rzeki do...

Czując, jak przeszywa ją dreszcz, pozbyła się tych myśli. Stali u stóp Białego Mostu. Blady łuk błyszczał w promieniach słońca, przerzucona przez Arinelle mleczna pajęczyna, zbyt delikatna, by na niej stanąć. Połamałby się pod ciężarem człowieka, a co dopiero pod koniem. Z pewnością w każdej chwili groziło mu zawalenie pod własnym ciężarem.

Lan i Moiraine jechali beztrąsko do przodu, po błyszczącym białym podejździe, a potem po moście, na którym kopyta dźwięczały nie, jakby się można spodziewać stałą po szkło, lecz stałą po stali. Powierzchnia mostu rzeczywiście lśniła jak szkło, mokre szkło, ale kopyta koni znajdowały mocne, pewne oparcie.

Nynaeve zmusiła się, by pojechać za nimi, mimo że częściowo oczekiwała, stawiając pierwszy krok, iż cała budowla roztrzaska się pod nimi.

„Gdyby robiono koronki ze szkła — pomyślała — to tak by właśnie wyglądały”.

Dopiero gdy pokonali połowę drogi, poczuła zapach spalenizny gęstniejący w powietrzu. Po chwili zobaczyła...

Dookoła placu u stóp Białego Mostu piętrzyły się sterty poczerńiałego drewna, pozostałe po kilkunastu budynkach, nad nimi nadal unosiły się smugi dymu. Ludzie w źle dopasowanych czerwonych mundurach i zaśniedziałych zbrojach patrolowali ulice, maszerowali jednak tak szybko, jakby bali się, że coś znajdą i bezustannie oglądali się za siebie. Mieszkańcy miasteczka — ci nieliczni, którzy wyszli z domów — biegli, z głowami wtulonymi w ramiona, jakby coś ich ścigało.

Lan, choć zwykle był posępny, teraz wyglądał tak ponuro, że ludzie i żołnierze rozstępowali się szeroko wokół całej trójki. Strażnik wciągnął powietrze w nozdrza i skrzywiony burknął coś bezgłośnie. Nynaeve to nie zdziwiło, zapach spalenizny był bardzo silny.

— Koło obraca się tak, jak chce — mruknęła Moiraine. — Żadne oko nie dostrzeże Wzoru, dopóki nie zostanie utkany.

W następnej chwili zsiadła z Aldieb, aby porozmawiać z mieszkańcami miasteczka. Nie zadawała pytań, wyrażała współczucie, ku zdziwieniu Nynaeve najwyraźniej szczerze. Ludzie, którzy ustępowali drogi Lanowi, gotowi uciekać przed każdym obcym, zatrzymywali się, by porozmawiać z Moiraine. Dziwili się jakby samym sobie, mimo to jednak otwierali się do pewnego stopnia pod wpływem jasnego wzroku Moiraine i jej uspokajającego głosu. Oczy Aes Sedai wydawały się rozumieć ludzką boleść, współodczuwać ich zamęt, dzięki temu języki mieszkańców same się rozwiązywały.

Niemniej jednak kłamali. Większość z nich. Niektórzy twierdzili, że w miasteczku w ogóle nie stało się nic złego. Absolutnie nic. Moiraine wspomniała spalone budynki otaczające plac. Wszystko jest w jak najlepszym porządku, twierdzili uparcie, omijając wzrokiem to, czego nie chcieli widzieć.

Jakiś gruby mężczyzna rozmawiał z pozorną szczerością, lecz jego policzki drgały nerwowo przy każdym głośniejszym dźwięku, jaki rozlegał się za jego plecami. Z gasnącym co chwilę uśmiechem, twierdził, że to przewrócona lampa była początkiem pożaru, który rozproszył się wraz z wiatrem, zanim zdołano cokolwiek zrobić. Jedno spojrzenie wystarczyło Nynaeve, aby przekonać się, że żaden ze spalonych budynków nie stał blisko drugiego.

Sprzecznych opowieści było mniej więcej tyle samo, ile opowiadających. Niektóre kobiety konspiracyjnie zniżały głos. Prawda była taka, że w mieście przebywał człowiek, który zabawiał się Jedną Mocą. Ich zdaniem należało od razu zwrócić się do Aes Sedai, niezależnie od tego, co mężczyźni mówili o Tar Valon. Niechaj Czerwone Ajah wszystko uporządkują.

Jeden człowiek twierdził, że był to atak bandytów, inny, że bunt Sprzymierzeńców Ciemności.

— Tych, którzy jadą zobaczyć fałszywego Smoka, rozumiecie — dowodził ponuro.
— Oni są tu wszędzie. Wszyscy to Sprzymierzeńcy Ciemności.

Jeszcze inni mówili o jakichś kłopotach, nie precyzując dokładnie jakich, które przypłynęły łodzią.

— Pokazaliśmy im — wyszemrał mężczyzna o wąskiej twarzy, nerwowo rozcierając dłonie. — Niech się takie rzeczy dzieją na Ziemiach Granicznych, tam gdzie ich miejsce. Poszliśmy na przystań i...

Zamknął usta tak nagle, że aż mu zaszczękały zęby. Nie mówiąc więcej ani słowa, uciekł, spoglądając ukradkiem przez ramię; jakby się spodziewał, że będą go ścigać.

Ta łódź odpłynęła — tyle przynajmniej dało się ustalić — odcięli cumy i uciekli w dół rzeki zaledwie dzień przedtem, zanim do przystani wtargnęli napastnicy. Nynaeve zastanawiała się, czy na pokładzie łodzi była Egwene i chłopcy. Jakaś kobieta powiedziała, że na pokładzie był bard. Może to Thom Merrillin...

Zasugerowała Moiraine, że łodzią mogli płynąć niektórzy uczestnicy ich wyprawy. Aes Sedai wysłuchała jej cierpliwie i skwitowała uwagę skinieniem głowy.

— Może — powiedziała, ale w jej głosie słychać było nutę powątpiewania.

Karczma nadal stała przy placu, ogólna sala była podzielona niską ścianką na dwie połowy. Moiraine zatrzymała się zaraz po wejściu do środka, badając dłonią powietrze. Cokolwiek wyczuła, uśmiechnęła się do tego, ale nie powiedziała nic.

Spożyli posiłek w milczeniu, cisza panowała nie tylko przy ich stole, lecz w całej izbie. Nieliczni goście skupieni byli wyłącznie na swoich talerzach i własnych myślach. Karczmarz, wycierający stoły rąbkami fartucha, bezustannie mruczał coś pod nosem, ale zawsze zbyt cicho, by można go było usłyszeć. Nynaeve uznała, że nieprzyjemnie byłoby tu spędzić noc, gdyż nawet powietrze było tu ciężkie od strachu.

Mniej więcej w tym samym momencie, w którym odsuwali od siebie talerze, wytarte do czysta ostatnimi kawałkami chleba, na progu stanął jeden z ubranych na czerwono żołnierzy. Nynaeve uważała, że w swoim stożkowatym hełmie i wypolerowanym napierśniku wyglądał wspaniale, dopóki poza, którą przybrał, nie zatarła przyjemnego wrażenia. Wsparł dłoń o rękojeść miecza, na twarz przywołał uroczyste spojrzenie, palcem rozluźnił zbyt ciasny kołnierz. Przypomniawszy jej Cenna Buie w roli wiejskiego radnego.

Lan rzucił jedno spojrzenie i powiedział rozdrażnionym tonem:

— Milicja. Bezużyteczna.

Żołnierz rozejrzał się po sali, po czym jego wzrok spoczął na nich. Zawahał się, zrobił głęboki wdech, dopiero potem, głośno tupiąc, podszedł i rozkazującym tonem spytał, kim są, co ich sprowadza do Białego Mostu i jak długo mają zamiar w nim pozostać.

— Wyjedziemy zaraz, jak dopiję moje piwo — powiedział Lan. Powoli wziął kolejny łyk i podniósł wzrok na żołnierza. — Niechaj Światłość oświeca dobrą królową Morgase.

Mężczyzna w czerwonym mundurze już otwierał usta, jednak przyjrząwszy się oczom Lana zrobił krok w tył. Natychmiast się opanował, obrzucając spojrzeniem Moiraine i Nynaeve. Przez chwilę myślał, że zrobi coś głupiego, by nie wypaść na tchórza przy dwóch kobietach. Wiedział z doświadczenia, że mężczyźni często zachowują się w taki idiotyczny sposób. Jednakże w Białym Moście zbyt wiele się wydarzyło, zbyt wiele wątpliwości wymknęło się z zakamarków ludzkich umysłów. Wyraz twardej twarzy Strażnika pozostawał obojętny, lecz świeciły w niej zimne, niebieskie oczy. Bardzo zimne.

Ostatecznie milicjant poprzestał na energicznym skinieniu głową.

— Mam nadzieję, że tak uczynicie — rzekł. — Ostatnimi czasy kręci się tu zbyt wielu obcych, by spokój królowej mógł pozostać nie zmacony.

Obrócił się na pięcie i wyszedł, ćwicząc po drodze surowe spojrzenie. Miejscowi udawali, że go nie widzą.

— Dokąd jedziemy? — spytała Strażnika Nynaeve. Nastrój panujący w izbie kazał jej zniżyć głos, nie omieszkała jednak dodać mu stanowczości. — Za tą łodzią?

Lan spojrzawszy na Moiraine, która nieznacznie pokręciła głową i powiedziała:

— Najpierw muszę znaleźć tego, którego jestem pewna, że znajdę, a obecnie jest on gdzieś na północy. W każdym razie nie sądzę, by pozostali dwaj płynęli łodzią. — Na jej ustach pojawił się nieznaczny uśmiech satysfakcji. — Byli w tej izbie, być może dzieło temu, a nie dalej jak dwa. Bali się, ale wyjechali żywi. Ten ślad by nie przetrwał, gdyby nie silne emocje.

— Którzy dwaj? — Nynaeve pochyliła się z przejęciem nad stołem. — Czy wiesz? — Aes Sedai ledwie dostrzegalnie pokręciła głową i Nynaeve odchyliła się do tyłu.

— Skoro wyprzedzają nas zaledwie o jeden albo dwa dni drogi, to czemu nie pojechać najpierw za nimi?

— Wiem, że byli tutaj — odparła Moiraine tym swoim nieznośnie spokojnym głosem — ale mimo to nie umiem stwierdzić, czy skierowali się na wschód, północ czy południe. Wierzę, że są dość sprytni, by jechać na wschód, w stronę Caemlyn, ale ponieważ nie mają swoich monet, nie będę wiedziała, gdzie są, dopóki nie znajdę się w odległości pół mili od nich. W ciągu dwóch dni mogli ujechać dwadzieścia albo i czterdzieści mil, w dowolnym kierunku, jeśli popędzał ich strach, a z pewnością strach towarzyszył ich wyjazdowi.

— Ale...

— Wiedząca, choćby nie wiem jak się bali, to niezależnie od tego, w którym kierunku uciekli, przypomną sobie w końcu o Caemlyn i tam właśnie ich znajdę. Ale najpierw pomogę temu, którego mogę znaleźć.

Nynaeve ponownie otworzyła usta, ale Lan przerwał jej spokojnym głosem.

— Mają powody do strachu. — Rozejrzał się dookoła i zniżył głos. — Był tu jakiś Półczłowiek. — Potem skrzywił się, tak samo jak na placu, i dodał: — Nadal wyczuwam tu jego zapach.

Moiraine westchnęła.

— Dopóty będę miała nadzieję, dopóki się nie przekonam, że wszystko przepadło. Nie uwierzę, że Czarnemu uda się tak bez trudu zwyciężyć. Znajdę ich wszystkich, żywych i całych. Muszę w to wierzyć.

— Ja też chcę odnaleźć chłopców — powiedziała Nynaeve. — Ale co z Egwene? Ani razu o niej nie wspomniałaś i ignorujesz mnie, kiedy o nią pytam. Myślałam, że zamierzasz ją zabrać do... — zerknęła ukradkiem na inne stoły i zniżyła głos — ... do Tar Valon.

Aes Sedai wpatrywała się przez chwilę w blat stołu, zanim podniosła wzrok na Nynaeve. Kiedy to zrobiła, Wiedząca aż się cofnęła na widok gniewu, który rozjarzył jej oczy. Po chwili plecy jej zeszytniały i sama poczuła, jak wrze w niej gniew, ale zanim zdążyła wypowiedzieć choć jedno słowo, Aes Sedai przemówiła zimnym głosem:

— Mam również nadzieję znaleźć Egwene, żywą i całą. Niełatwo rezygnuję z młodych kobiet o takich zdolnościach, kiedy już je znajdę. Będzie jednak tak, jak obraca się Koło.

Nynaeve poczuła zimną kulę w żołądku.

„Czy ja jestem jedną z tych młodych kobiet, z których nie rezygnujesz? Zobaczymy, Aes Sedai. Niech cię Światłość spali, zobaczymy!”

Dokończyli posiłek w milczeniu i także bez słowa wszyscy troje wyjechali przez bramy na Drogę Caemlyn. Oczy Moiraine badały horyzont na północnym wschodzie. Za nimi kuliło się ze strachu spowite dymem miasto Biały Most.

BEZLITOSNE OCZY

Elyas pędził ich na południe po porośniętej brązową trawą równinie, jakby chciał nadrobić cały czas spędzony z Ludem Wędrowców. Narzucał takie tempo, że nawet Bela zatrzymała się z ulgą, gdy wreszcie nastał zmierzch. Jednakże mimo pośpiechu stosował środki zapewniające bezpieczeństwo, czego przedtem zaniedbywał. Nocą rozpalali ognisko tylko wtedy, gdy znaleźli na ziemi uschłe drewno. Nie pozwalał im odłamać ani jednej gałązki ze stojącego drzewa. Jego ogniska były małe i zawsze ukryte w dole wykopanym w miejscu, z którego wycinał kawał darni. Zaraz po przygotowaniu posiłku zasypywał węgle i na powrót przykrywał darnią. Przed wyruszeniem w drogę o szarym świcie, sprawdzał ich obozowisko cal po calu, żeby się upewnić, że nie pozostał ani jeden ślad czyjejkolwiek bytności. Poprawiał nawet przewrócone kamienie i prostował pogięte chwasty. Robił to szybko, nigdy dłużej niż kilka minut, ale nie odszedł, dopóki nie był zadowolony.

Zdaniem Perrina te środki ostrożności nie mogły się przydać na wiele w przypadku snów, ale kiedy zaczął myśleć, do czego mogą się przydać, żałował, że nie chodzi tu tylko o sny. Za pierwszym razem Egwene spytała z niepokojem, czy pojawiły się trolloki, ale Elyas tylko pokręcił głową i pognął ich do przodu. Perrin nic nie mówił. Wiedział, że w pobliżu nie ma żadnych trolloków, wilki czuły jedynie zapach trawy, drzew i drobnych zwierząt. To nie strach przed trollokami tak go ponaglał, lecz coś innego, czego nawet sam Elyas nie rozumiał. Wilki też nie wiedziały, co to takiego, ale wyczuły niepokój Elyasa i zaczęły przeprowadzać zwiady, jakby niebezpieczeństwo deptało im po piętach albo czekało w zasadzce za najbliższym wzniesieniem.

Zmieniał się powoli kształt terenu, pojawiły się długie, łagodne wzniesienia, zbyt niskie, by można było nazwać je wzgórzami, które przegradzały im drogę. Podróżowali po dywanie twardej trawy, nadal zwiędłej po zimie i z rzadka poprzątkanej chwastami, która falowała w podmuchach wschodniego wiatru, bez przeszkód przewiewającego stumilowe pustkowię. Kępy drzew rosły tu w znacznie większym rozproszeniu. Słońce wschodziło niechętnie, nie dając ciepła.

Elyas starał się, najlepiej jak umiał, radzić sobie z ukształtowaniem terenu i w miarę możliwości unikał wspinaczki na grzbiety przysadzistych wzniesień. Rzadka mówił, a kiedy już się odezwał...

— Wiecie jak długo trwa obchodzenie każdego przekłętego pagórka? Krew i popioły! Nie pozbędę się was do lata. Nie, nie możemy iść w linii prostej! Ile razy mam wam to powtarzać? Czy choć w przybliżeniu wiecie, jak wyraźnie widać człowieka na szczycie wzniesienia w takiej okolicy jak ta? Niech szczenę, ale tu trzeba iść nie tylko do przodu, ale także tam i z powrotem. Musimy więc się jak węże. Co do mnie, to szedłbym szybciej, nawet gdybym miał związane nogi. No co, będziecie tak się na mnie gapić, czy zamierzacie iść?

Perrin i Egwene wymienili spojrzenia. Egwene za plecami pokazała Elyasowi język. Żadne z nich nie powiedziało ani słowa. Kiedy Egwene raz tylko zwróciła uwagę, że to przecież Elyas chciał obchodzić wzgórze, więc nie powinien ich winić, usłyszała wykład o tym, jak się przenoszą dźwięki. Został on wygłoszony takim rykiem, że z pewnością słyhać go było z odległości mili. Wykładu tego Elyas udzielił przez ramię i w trakcie nie zwolnił ani na chwilę.

Czy mówił, czy milczał, jego wzrok stale błędził dookoła, czasami tylko wpatrywał się w jeden punkt, jakby można było tam cokolwiek dostrzec, poza tą samą szorstką trawą, która rosła też pod ich stopami. Jeśli coś rzeczywiście tam było, to ani Perrin, ani wilki nic o tym nie wiedzieli. Czoło Elyasa pocięły dodatkowe bruzdy, nie wyjaśnił jednak, dlaczego ich popędza, ani też czyjego lęka się pościgu.

Czasami drogę tarasowało im dłuższe wzniesienie, ciągnące się całymi milami na wschód i zachód. Wówczas to nawet Elyas musiał się zgodzić, że obchodzenie go będzie się wiązało ze zbyt wielkim nadłożeniem drogi. Nie pozwolił jednak przejść go zwyczajnie w poprzek. Pozostawił ich u stóp zbocza, podczołgał się na szczyt i zajrzał ostrożnie na drugą stronę, jakby wilki nie przeprowadziły tam zwiadów dziesięć minut wcześniej. Czekali u stóp wzniesienia, minuty rozciągały się w godziny, niecierpliwili się, bo nieznanne poganiało ich do przodu. Egwene zagryzła wargi i nieświadomie postukiwała obracanymi w palcach paciorkami, które podarował jej Aram. Perrin wiernie czekał. Zbierało mu się na mdłości, twarz jednak miał spokojną, nie zdradzającą wrzącego w nim niepokoju.

„Wilki ostrzegą przed niebezpieczeństwem. Byłoby cudownie, gdyby odeszły, gdyby po prostu zniknęły, teraz jednak... właśnie teraz, wysyłają ostrzeżenie. Czego on szuka? Czego?”

Elyas zawsze długo badał wzrokiem teren, wystawiając tylko oczy ponad wzniesienie, a potem gestem ręki nakazywał im iść do przodu. Droga wolna, przynajmniej do następnego razu, kiedy dojdą do kolejnego wzniesienia, którego nie będą mogli obejść. Za trzecim razem Perrinowi żołądek podszedł do gardła. Poczul kwaśny smak w ustach i zrozumiał, że jeśli będzie musiał czekać jeszcze pięć minut, to zwymiotuje.

— Ja... — Przełknął ślinę. — Już idę.

— Pochyl się — tylko tyle powiedział Elyas.

Kiedy to mówił, Egwene zeskoczyła z Beli.

Ubrany w futra mężczyzna zsunął swój kolisty kapelusz na czoło i popatrzył na dziewczynę spod ronda.

— Spodziewasz się, że klacz będzie się czołgać? — spytał kwaśnym tonem.

Poruszyła ustami, ale nie dobyła z nich żadnego dźwięku. W końcu wzruszyła ramionami. Elyas odwrócił się i nie mówiąc już ani słowa, zaczął się wspinać na łagodne zbocze. Perrin pośpieszył za nim.

Tuż przed samym szczytem Elyas powoli zdjął kapelusz, a potem równie wolno uniośł głowę. Ponad kępą kolczastych krzewów Perrin widział jedynie taki sam pofałdowany teren, jaki zostawili za sobą. Zbocze po drugiej stronie było nagie, dopiero w kotlinie, oddalonej o jakieś pół mili od wzniesienia, rosła kępa drzew o szerokości mniej więcej stu kroków. Wilki już ją pokonały, nie wyczuwając ani śladu trolloków, ani Myrddraali.

Na wschodzie i zachodzie teren był wszędzie taki sam, jak daleko Perrin sięgał wzrokiem, dostrzegał pagórkowate łąki i ubogie poszycie. Nigdzie żadnego ruchu. Wilki znajdowały się co najmniej milę dalej, poza zasięgiem wzroku, ledwie je wyczuwał z tej odległości. Kiedy pokonywały ten teren, nie zauważyły niczego.

„Czego on szuka? Nic tutaj nie ma.”

— Marnujemy czas — powiedział.

Już miał się zatrzymać, gdy spomiędzy rosnących niżej drzew wzbiło się do lotu stado kruków. Pięćdziesiąt, może sto czarnych ptaków, uniosło się spiralnym lotem ku niebu. Zastygł w bezruchu, kiedy zaczęły krążyć wokół drzew.

„Oczy Czarnego. Czy one mnie zauważyły?”

Po jego twarzy spłynął pot.

Zdawało się, że nagle w setce miniaturowych kruczych umysłów błysnęła jedna myśl, bo oto wszystkie kruki zerwały się do gwałtownego lotu w tym samym kierunku. Na południe. Zniżając lot, stado zniknęło za następnym wzniesieniem. Gęstwa drzew rosnących na wschodzie wypluła z siebie jeszcze więcej kruków. Czarna ciżba wykonała podwójne okrążenie i skierowała się na południe.

Perrin drżąc całym, opuszczał się powoli na ziemię. Usiłował coś powiedzieć, ale zaschło mu w gardle. Dopiero po jakiejś minucie ślina napłynęła do ust.

— Czy tego tak się bałeś? Dlaczego nic nie powiedziałeś? Dlaczego wilki ich nie widziały?

— Wilki raczej nie patrzą na drzewa — warknął Elyas. — A poza tym nie tego szukałem. Powiedziałem wam, nie wiedziałem, co... — Daleko na zachodzie, z jeszcze jednego zagajnika uniosła się czarna chmura i poszybowała na południe. Byli za daleko, by odróżnić poszczególne ptaki. — To nie jest wielkie polowanie, dzięki Światłości. One nic nie wiedzą. Mimo tego...

Odwrócił się i spojrzął na drogę, którą przebyli.

Perrin przełknął ślinę. Mimo tego snu, chciał Elyas powiedzieć.

— Nie jest wielkie? — spytał Perrin. — U nas nie zobaczysz tylu kruków przez cały rok.

Elyas pokręcił głową.

— Na Ziemiach Granicznych widywałem, jak grasują w stadach liczących po tysiąc sztuk. Niezbyt często, tutaj bowiem krukom wiedzie się lepiej, niemniej takie bywały. — Nadal patrzył na północ. — Uciszcie się teraz.

Perrin poczuł to wtedy — mozolne nawiązywanie kontaktu z oddalonymi wilkami. Elyas chciał, by Łatka i jej towarzysze zaprzestały rekonesansu z przodu, tylko jak najszybciej zawróciły i sprawdziły przebytą już drogę. Jego zazwyczaj ponura twarz zwężała się i wychudła od napięcia. Wilki były tak daleko, że Perrin nawet ich nie czuł.

„Pośpieszcie się. Obserwujcie niebo. Pośpieszcie się.”

Perrin złapał ledwie słyszalną, daleką odpowiedź z południa: „Przybywamy.”

W myślach błysnął obraz — biegnące wilki, pyski owiane wiatrem, biegnące, jakby poganiały je błyskawice, biegnące — obraz rozbłysnął i zaraz zniknął.

Elyas skulił się i zrobił głęboki wdech. Zmarszczył czoło, wyjrzał na drugą stronę wzniesienia, potem obejrzał się w stronę północy i mruknął coś bezgłośnie.

— Sądzisz, że lecą za nami jeszcze jakieś inne kruki? — spytał Perrin.

— Może — niejasno odparł Elyas. — Czasami tak się zachowują. Znam takie jedno miejsce, tylko musimy tam dojść przed zmrokiem. Zresztą i tak nie wolno się nam zatrzymywać, dopóki się zupełnie nie ściemni. Nawet jeśli tam nie dotrzemy, nie możemy jednak iść tak szybko, jakbym chciał. Nie możemy się zanadto zbliżyć do tych kruków, które lecą przed nami. A jeśli dodatkowo tamte będą nas gonić...

— Czemu przed zmrokiem? — spytał Perrin. — Jakie miejsce? Gdzieś, gdzie kruki nie będą nam zagrażały?

— Kruki nie będą zagrażały — powiedział Elyas — ale zbyt wielu ludzi wie... Kruki śpią nocą. Nie ma się co martwić, że nas znajdą po ciemku. Niech Światłość sprawi, abyśmy musieli się przejmować tylko krukami. — Raz jeszcze wyjrzał ponad szczytem wzniesienia, wstał i machnięciem ręki nakazał Egwene wprowadzić Belę na szczyt. — Do zmroku jeszcze czeka nas daleka droga. Musimy cały czas iść. — Długimi susami zbiegł po zboczu na drugą stronę, nie zważając na to, że grozi mu to upadkiem. — Ruszaj, a niech cię!

Perrin ruszył w ślad za nim, częściowo biegnąc, a częściowo się zsuwając.

Egwene stanęła na szczycie wzniesienia, piętami spinając Belę w kłus. Na ich widok uśmiechnęła się z ulgą.

— Co się dzieje? — zawołała, poganiając kudłatą klacz. — Kiedy tak zniknęliście, pomyślałam... Co się stało?

Perrin oszczędzał głos, dopóki ich nie dogoniła. Wtedy opowiedział o krukach i bezpiecznym miejscu Elyasa, ale była to mało spójna opowieść. Po zduszonym słowie „kruki!”, stale przerywała mu pytaniami, na które najczęściej nie potrafił odpowiedzieć. Tymczasem zdążyli dotrzeć do następnego wzniesienia.

Normalnie — o ile w tej wyprawie było cokolwiek normalnego — obesliby je, zamiast przechodzić górą, ale Elyas i tak uparł się, by najpierw sprawdzić teren.

— Masz zamiar wleźć prosto na nie, chłopcze? — spytał kwaśnym tonem.

Egwene patrzyła na szczyt wzniesienia i oblizywała wargi, jakby chciała tym razem pójść z Elyasem i jednocześnie zostać w miejscu. Łowca był jedynym, który się nie wahał.

Perrin zastanawiał się, czy krukowi zdarza się zawracać w locie. Głupio byłoby dojść na samą górę i wpaść prosto na stado.

Uplasował się tuż pod szczytem, wystawił odrobinę głowę, tylko tyle, by móc coś zobaczyć i westchnął z ulgą, gdy nie zauważył nic oprócz kępy drzew na zachodzie. Nie widać było żadnych kruków. Nagle spomiędzy drzew wypadł lis, biegnący ile sił w nogach. W ślad za nim z gałęzi sfrunęły kruki. Łopot ich skrzydeł nieomal zagłuszył rozpaczliwy skowyt zwierzaka. Czarna, wirująca masa opadła w dół i otoczyła go. Lis atakował ptaki zębami, lecz one tylko sfrunęły na niego i zaraz znów umykały, wychodząc z tego bez szwanku. Ich czarne dzioby połyskiwały wilgocią. Lis zawrócił w stronę drzew, próbując ukryć się bezpiecznie w swej norze. Biegł niezdarnie, z pochylonym łbem, pociemniałym i zakrwawionym futrem, a kruki — których było coraz więcej — trzepotały obok niego skrzydłami. Rozfurkotana masa gęstniała, aż w końcu zupełnie przykryła lisa. Równie nagle jak opadły w dół, wzbily się do góry, zatoczyły krąg i zniknęły na południu, za następnym wzniesieniem. Na miejscu lisa pozostała zniekształcona kupka futra.

Perrin z trudem przełknął ślinę.

„Światłości! Mogły to zrobić z nami. Sto kruków. Mogły...”

— Ruszaj — warknął Elyas, dając susa w górę. — Dał Egwene znak, żeby wjechała na zbocze i nie czekając, zbiegł w stronę drzew. — Biegnijcie, do jasnej cholery! — zawołał przez ramię. — Biegnijcie!

Egwene zmusiła Belę do pokonania wzniesienia galopem i dogoniła ich, zanim dotarli do podnóża zbocza. Nie było czasu na wyjaśnienia, ale jej oczy z miejsca odnalazły lisie zwłoki. Twarz jej zbieleła jak śnieg.

Elyas dobiegł do skraju kępy drzew i tam się odwrócił, energicznie machając rękoma, nakazywał pośpiech. Perrin usiłował przyspieszyć i w tym momencie się potknął. Młóćąc rękoma, omal nie upadł jak długi.

„Krew i popioły! Biegnę najszybciej, jak potrafię!”

Z zagajnika wyleciał samotny kruk. Okrążył ich, zaskrzeczał i zawrócił w stronę południa. Choć Perrin wiedział, że jest już za późno, wyszukał mimo to procę wiszącą u pasa. Próbował jeszcze wydobyć kamyczek z kieszeni, gdy kruk nagle złożył skrzydła w powietrzu i runął na ziemię. Perrin ze zdziwienia otworzył szeroko usta i wtedy zobaczył procę zwisającą z dłoni Egwene. Uśmiechnęła się do niego niepewnie.

— Nie stój tu tak jak zamurowany — zawołał Elyas.

Perrin drgnął, wbiegł między drzewa i zaraz musiał uskoczyć z drogi, by nie dać się stratować Beli.

Daleko na zachodzie, prawie poza zasięgiem wzroku, w górę wzbiło się coś, co przypominało czarną mgłę. Perrin wyczuł, że biegnące tamtędy wilki skierowały się na północ. Zauważyły kruki, na lewo i na prawo od nich, ale nie zwolniły. Ciemna mgła kłębiła się, pełznąc w stronę północy, jakby ścigała wilki, lecz po chwili zatrzymała się nagle i pomknęła na południe.

— Myślisz, że one nas widziały? — spytała Egwene. — Byliśmy już wśród drzew, prawda? Nie mogły nas dostrzec z takiej odległości. Prawda, że nie? Nie z tak daleka.

— My je widzieliśmy z tej odległości — stwierdził Elyas kwaśnym tonem. Perrin niespokojnie przestąpił z nogi na nogę, a Egwene ze strachu aż wstrzymała oddech. — Gdyby nas zobaczyły — ciągnął — to już by na nas spadły, jak na tego lisa. Myślcie, jeśli chcecie przeżyć. Strach was zabije, jeśli nie będziecie go kontrolować. — Jego przenikliwy wzrok spoczął przez chwilę na obojgu. W końcu skinął głową. — Ale już ich tu nie ma, my też powinniśmy ruszać.. Trzymajcie te proce pod ręką. Mogą się znowu przydać.

Kiedy wyszli z zagajnika, Elyas kazał im zboczyć na zachód od dotychczasowej linii marszu. Perrinowi oddech uwiązał w gardle, wydawało się, że teraz oni ścigają kruki. Elyas parł niezmordowanie do przodu, a im nie pozostawało nic innego, jak iść jego śladem. Ostatecznie Elyas znał bezpieczne miejsce. Gdzieś. Tak powiedział.

Podbiegli do następnego wzgórza, poczekali, aż kruki pofruną dalej, znowu podbiegli, znowu czekali, znowu biegli. Już wcześniej utrzymywane tempo zdążyło ich zmęczyć, a teraz wszyscy, z wyjątkiem Elyasa zaczęli się śłaniać, wykończeni nerwowym tempem marszu. Klatka piersiowa Perrina mocno falowała. Łapczywie łykał powietrze, wykorzystując każdą nadarzącą się okazję. Leżał na szczycie kolejnego wzniesienia, pozwalając Elyasowi przeprowadzać w tym czasie zwiady. Przy każdym przystanku Bela przystawała ze zwieszonym łbem i rozdętymi chrapami. Strach poganiał ich do przodu jak bicz, a Perrin wcale nie wiedział, czy już go opanowali. Pragnął tylko, by wilki powiedziały, co jest za nimi, choćby to miało to być nie wiadomo co.

Przed nimi leciało tak dużo kruków, że Perrin wprost nie ważył się pomyśleć, ile ich mogło być. Czarne ptasie wstęgi unosiły się z ziemi zarówno po lewej, jak i po prawej stronie, kierując się na południe. Kilkakrotnie udało im się znaleźć kryjówkę w jakimś

zagajniku albo schronić na zboczu i popatrzeć na kruki, zanim rozpełzły się po niebie. Raz, kiedy słońce zaczynało już się zsuwać ze swego południowego szczytu, zatrzymali się na otwartej przestrzeni, zastygając jak pomniki, w połowie mili od najbliższego schronienia, a tymczasem w odległości niecałej mili od nich, na wschodzie, mignęła im setka pierzastych szpiegów Czarnego. Pomimo wiatru twarz Perrina ociekała potem, dopóki ostatni czarny kształt nie zmniejszył się do rozmiarów małej kropki i nie zniknął. Stracił już rachubę maruderów, których strąciły proce.

Na drodze pokonanej przez stada, zobaczył wystarczająco wiele dowodów na uzasadnienie swego strachu. Bliski mdłości i jednocześnie zafascynowany zapatrzył się na królika rozdartego na strzępy. Pozbawiona oczu głowa leżała na ziemi, a pozostałe części ciała — odnóża, wnętrzności — spoczywały wokół niej porozrzucane szerokim kręgiem. Ptaki, zamienione przez krucze dzioby w bezkształtne masy z piór. I jeszcze dwa lisy.

Przypomniał sobie coś, co powiedział mu Lan. Wszystkie stworzenia należące do Czarnego uwielbiają zabijać. Moc Czarnego jest oparta na śmierci. A gdyby kruki ich znalazły? Bezlitosne oczy, połyskujące jak paciorki. Pracowite dzioby wirujące wokół nich. Dzioby ostre jak igła, kaleczące do krwi. Cała setka.

„A może mogą wezwać więcej stworzeń swojego gatunku? Może wszystkie wezmą udział w polowaniu?”

W jego myślach zrodziła się przyprawiająca o mdłości wizja. Wielki jak góra stos kruków, wijących się jak robactwo i walczących z sobą o kilka krwawych strzępów.

Nagle tę wizję wymiotły inne obrazy, każdy wyraźny przez ułamek sekundy, wirował potem i przenikając przemieniał się w następny. Wilki znalazły kruki na północy. Skrzeczące ptaki frunęły w dół, zataczały krąg, znowu frunęły w dół, ich dzioby za każdym razem upuszczały krew. Warczące wilki to uskakiwały, to atakowały skręcając się w powietrzu i kłapiąc szczękami. Perrin co jakiś czas czuł w ustach ohydny smak piór i mięsa wyrrywających się gwałtownie kruków, które miażdżono zębami, całym ciałem czuł ból głębokich ran, z których wytryskiwały potoki krwi, czuł rozpacz, że cały jego wysiłek nie wystarczy, mimo że ani myślał się poddać. Nagle kruki rozpierzchnęły się i zatoczyły krąg w górze, po raz ostatni wrzeszcząc z furją na wilki, które nie umierały tak łatwo jak lisy, a poza tym miały swoją misję. Rozległ się łopot czarnych skrzydeł i już ich nie było, tylko kilka czarnych piór opadło na martwe ciała ich towarzyszy. Wiatr wylizywał ranę na swej lewej, przedniej łapie. Coś złego stało się z okiem Skoczka. Nie zważając na rany, Łatka przywołała ich do siebie i razem wyruszyli bolesnymi susami w kierunku, w którym zniknęły kruki. Ich zmierzwioną sierść pozlepiła krew.

„Nadchodzimy. Niebezpieczeństwo idzie przed nami.”

Potykający się w powolnym biegu Perrin wymienił spojrzenia z Elyasem. Żółte oczy mężczyzny były pozbawione wyrazu. Nic nie mówił, tylko obserwował Perrina i czekał, cały czas, bez najmniejszego wysiłku, sadząc długimi susami.

„Czeka na mnie. Czeka, aż przyznam, że wyczuwam wilki.”

— Kruki — wydyszał z niechęcią Perrin. — Za nami.

— On miał rację — wysapała Egwene. — Potrafisz się z nimi porozumiewać.

Perrin miał wrażenie, że jego stopy zamieniły się w grudy żelaza przymocowane do drewnianych słupów, mimo to usiłował je zmusić do szybszego biegu. Gdyby tylko potrafił uprzedzić ich oczy, wyprzedzić kruki, wyprzedzić wilki, przede wszystkim oczy Egwene, które teraz wiedziały, kim jest.

„Kim ty jesteś? Skazony, niech mnie Światłość oślepi! Przeklęty!”

Nigdy go tak nie piekło w gardle, nawet gdy wdychał dym i żar w kuźni pana Luhhana. Zachwiał się, przywarł do strzemienia Egwene i wisiał na nim dopóty, dopóki dziewczyna nie zsiadła i nie wepchnęła go na siodło, mimo jego zapewnień, że jest w stanie iść dalej. Jednak niedługo potem sama przytrzymała się strzemienia podczas biegu, drugą ręką podkasując spódnicę. Chwilę później zsiadł, czując, jak uginają się pod nim kolana. Musiał ją podnieść, by mogła zająć jego miejsce, lecz była zbyt zmęczona, żeby się opierać.

Elyas nie chciał zwolnić. Popędzał ich urąganiem. Od kruków lecących na południe dzieliła ich tak niewielka odległość, że zdaniem Perrina wystarczyłoby, żeby obejrzał się choćby jeden ptak, by...

— Nie zatrzymujcie się, a niech was licho! Myślicie, że jak nas dopadną, dacie sobie radę lepiej niż tamten lis? Ten z wnętrznościami na głowie? — Egwene wychyliła się z siodła i hałaśliwie z wymiotowała. — Wiedziałem, że sobie przypominasz. Po prostu jeszcze przejdźcie kawałek. To wszystko. Jeszcze tylko trochę. A niech was, myślałem, że tacy młodzi wieśniacy są bardziej wytrzymali. Podobno pracujecie cały dzień i tańczycie całą noc. Moim zdaniem wy śpicie cały dzień i śpicie całą noc. Przebierajcie tymi waszymi przeklętymi nogami!

Początkowo schodzili ze zboczy, gdy tylko ostatni kruk zniknął za wzniesieniem, teraz zbiegali jeszcze, gdy ostatni maruderzy łopotali nad pagórkiem. „Jeśli choć jeden ptak się obejrzy.” Kruki przeszukiwały wschód i zachód, a oni przebiegali przez dzielące je otwartą przestrzeń. „Wystarczy jeden ptak.”

Szybko nadlatywały kruki mknące w ślad za nimi. Łatka i pozostałe wilki okrążyły je i biegły przed siebie, nie zatrzymując się, by wylizać rany, ale dostały już wszelkie możliwe nauczki związane z obserwowaniem nieba.

„Jak blisko? Jak daleko?”

Wilki nie postrzegały czasu w taki sam sposób jak ludzie, nie miały powodów, by dzielić dzień na godziny. Do oznaczania czasu wystarczyły im pory roku, przemienianie się światła i mroku. Nie trzeba było więcej. Perrinowi udało się wreszcie uzyskać obraz miejsca, w którym słońce będzie stało na niebie, kiedy dogonią ich kruki lecące z tyłu. Obejrzał się przez ramię na zachodzące słońce i oblizał wargi wyschlłym językiem. Za

godzinę, może wcześniej, kruki ich dopadną. Za godzinę, a do zmierzchu brakowało jeszcze dobrych dwóch godzin, przynajmniej do zapadnięcia całkowitego mroku.

„Umrzemy o zachodzie słońca”, pomyślał, zataczając się w bieg.

Zamordowani jak lis. Przejechał palcem po ostrzu swojego topora, potem dotknął procy. Bardziej się przyda. Ale nie wystarczy. Nie przeciwko stu krukowi, stu przemierzającym się błyskawicznie celom, stu ostrym dziobom.

— Twoja kolej na jazdę, Perrin — powiedziała Egwene zmęczonym głosem.

— Za chwilę — wydyszał. — Mogę przebiec jeszcze kilka mil.

Skinęła głową i została w siodle.

„Jest zmęczona. Powiedzieć jej? Czy lepiej, żeby myślała, że mamy szansę uciec? Godzina nadziei, nawet jeśli zrodzonej z rozpacz, czy godzina rozpacz?”

Elyas znowu mu się przypatrywał, nic nie mówiąc. On na pewno wie, ale nic nie mówi. Perrin znowu spojrział na Egwene i zamrugał, by odpędzić piekące łzy. Dotknął topora i zastanowił się, czy będzie go stać na odwagę. Podczas tych ostatnich chwil, kiedy sfruną na nich kruki, kiedy zgaśnie ostatnia nadzieja, czy będzie miał odwagę oszczędzić jej śmierci, jaką zginął lis?

„Światłości, daj mi siłę”

Nagle wydało mu się, że lecące przed nimi kruki zaczynają gdzieś znikać. Perrin nadal widział ciemne, mgliste chmury, daleko na wschodzie i zachodzie, ale przed nimi... nic.

„Dokąd one poleciały? Światłości, jeśli je dogonimy...”

Wtem przeszył go dreszcz, poczuł chłodne, czyste mrowienie, jakby wskoczył do rzeki Winnej Jagody w samym środku zimy. Dreszcz przetoczył się przez niego jak fala i jakby odebrał część zmęczenia, bólu nóg i pieczenia w płucach. Pozostawił po sobie... coś. Nie potrafił powiedzieć, co to jest, ale czuł się inaczej. Stał, potykając się i przerażony rozejrzał dookoła.

Elyas patrzył na niego, patrzył na nich oboje, z błyskiem w oczach. Wiedział, co to takiego, Perrin był tego pewien, jednak tylko obserwował ich, nic nie mówiąc.

Egwene ściągnęła wodze i rozejrzała się dokoła niepewnie, na poły z ciekawością, na poły ze strachem.

— To dziwne — wyszeptała. — Tak się czuję, jakbym coś zgubiła.

Nawet klacz podniosła wyczekująco łeb, rozdymając nozdrza, jakby wyczuwała woń świeżo skoszonego siana.

— Co... co to było? — spytał Perrin.

Elyas zarechotał zniecierliwie. Śmiech wstrząsał jego ramionami. Zgiął się wpół, by wesprzeć dłonie na kolanach.

— Bezpieczeństwo, ot co. Udało się, wy cholerni głupcy. Żaden kruk nie przeleci przez tę linię... nie taki, przez którego patrzy Czarny. Trolloka trzeba by tu przygnąć siłą, a już wyjątkowej zawziętości wymagałoby zmuszenie jakiegoś Myrddraala, żeby

to zrobił. Żadnych Aes Sedai. Jedyna Moc tu nie działa, nie dotkną stąd Prawdziwego Źródła. Nawet go nie wyczują, gdyby przestało istnieć. Tylko by je świerzbiło coś od środka. Trzęsło by nimi, jak po siedmiu dniach pijaństwa. To bezpieczeństwo!

Z początku Perrinowi trudno było stwierdzić, czym różni się ta okolica od łagodnych wzgórz i wzniesień, które pokonywali przez cały dzień. Po chwili zauważył jednak zielone pędy wśród traw. Nie było ich wiele i przebijały powierzchnię ziemi z wielkimi trudnościami, niemniej były gęstsze niż gdziekolwiek indziej. W trawie rosło też mniej chwastów. Nie mógł pojąć, co to takiego, niemniej jednak coś... coś się działo w tym miejscu. I coś z tego, co powiedział Elyas, poruszyło strunę w pamięci.

— Co to jest? — spytała Egwene. — Czuję... Co to za miejsce? Chyba mi się nie podoba.

— To *stedding* — zawołał głośno Elyas. — Nie słyszeliście żadnych opowieści? Jasne, że Ogirów nie było tu od ponad trzech tysięcy lat, od czasu Pęknięcia Świata, ale to *stedding* tworzy Ogirów, a nie odwrotnie.

— Zwykła legenda — wybąkał Perrin.

W opowieściach *stedding* było zawsze przystanią, miejscem, w którym można się ukryć, zarówno przed Aes Sedai, jak i przed stworzeniami należącymi do Ojca Kłamstw.

Elyas wyprostował się. Może nie wyglądał specjalnie świeżo, ale zupełnie nie było po nim widać, że przez cały dzień biegł.

— No dalej. Lepiej wejdźmy głębiej w tę legendę. Kruki nie polecą za nami, ale tak blisko skraju nadal nas widzą i jest ich wystarczająco dużo, by mogły strzec całej granicy. Niech sobie tam polują.

Perrin wolał zostać tam, gdzie się zatrzymał, nogi mu drżały i najchętniej położyłby się na tydzień do łóżka. Nawrót sił był tylko chwilowy, całe zmęczenie i ból wróciły. Zmusił się do zrobienia jednego kroku, potem drugiego. Nie przyszły łatwo, ale jako się udało. Egwene potrząsnęła wodzami, by zmusić Belę do ruchu. Elyas bez żadnego wysiłku zaczął sadzić długie susy, zwalniając dopiero wtedy, gdy wyraźnie widać było, że nie dotrzymają mu kroku. Zwolnił... do szybkiego marszu.

— Dlaczego nie możemy tu zostać? — wysapał Perrin. Wyduszał z siebie słowa między głębokimi, urywanymi oddechami. — Jeśli to naprawdę... *stedding*. Tu bylibyśmy bezpieczni. Żadnych trolloków. Żadnych Aes Sedai. Dlaczego nie zostać tutaj, dopóki to wszystko się nie skończy?

„Może wilki też tu nie przyjdą.”

— Jak długo by to potrwało? — Elyas obejrzał się przez ramię i uniósł brew. — Co byście jedli? Trawę jak konie? A poza tym inni też wiedzą o tym miejscu i żadna siła ich nie zatrzyma, nawet tych najgorszych. Zresztą jest tu tylko jedno źródło.

Z niepokojem obejrzał się dookoła i zbadał wzrokiem okolice. Potrząsnął głową i mruknął coś do siebie. Perrin poczuł, że wzywa wilki.

„Pośpieszcie się, pośpieszcie.”

— Rzykujemy, zmuszeni do wyboru mniejszego zła, a przed krukami nie da się uciec. Chodźcie. Jeszcze tylko mila, może dwie.

Perrin jęknąłby, ale wołał oszczędzać oddech.

Na niskich wzgórzach zaczęły się pojawiać szare plamy, zarysy ogromnych głazów, nieregularne bryły z szarego, pokrytego porostami kamienia, zagrzebane do połowy w ziemi, niektóre wielkości domu. Oplecione bluszczem kryły się najczęściej za niskimi krzewami. Tu i ówdzie, wśród wyschłego brązu bluszczu i krzewów, samotny, zielony pęd obwieszczał, że jest to szczególne miejsce. Cokolwiek okaleczyło ziemie leżące poza jego granicami, dosięgło także i jego, lecz tu rana nie była aż tak głęboka.

W końcu z najwyższym trudem pokonali jeszcze jedno wzniesienie, a u jego podnóża znaleźli staw. W bród można go było przemierzyć dwoma krokami, za to woda w nim była tak przezroczysta, że piaszczyste dno przypominało tafłę szkła. Nawet Elyas zbiegł ochoczo w dół zbocza.

Perrin runął całym ciałem na ziemię, gdy tylko dotarł do stawu, i zanurzył w nim głowę. Chwilę później pluł chłodną wodą, która wytryskiwała z samych głębin ziemi. Potrząsnął głową, z jego długich włosów spadł deszcz kropli. Egwene roześmiała się i też zaczęła na niego przyskać. Wzrok Perrina spochmurniał. Skrzywiła się i już otworzyła usta, lecz wtedy na powrót schował twarz pod wodą.

„Żadnych pytań. Nie teraz. Żadnych wyjaśnień. Nigdy żadnych.”

Nękał go jednak jakiś wewnętrzny głos.

„Zrobiłbyś to, prawda?”

W końcu Elyas kazał im odejść od stawu.

— Wszyscy musimy coś zjeść. Potrzebuję pomocy.

Egwene krzątała się z radością, śmiejąc się i żartując podczas przygotowywania skromnego posiłku. Nie zostało im już nic prócz sera i suszonego mięsa, nie było na co polować. Na szczęście mieli jeszcze herbatę. Perrin brał we wszystkim udział, ale w milczeniu. Czuł na sobie wzrok Egwene, widział rosnący niepokój na jej twarzy, ale gdy tylko mógł, unikał jej wzroku. Jej uśmiech bladł, a żarty stawały się coraz rzadsze, coraz bardziej wymuszone. Elyas się przypatrywał, ale nic nie mówił. Owładnął nimi ponury nastrój i zaczęli swój posiłek w milczeniu. Słońce czerwieniało na zachodzie, cienie stawały się długie i wąskie.

„Niecała godzina do zmierzchu. Gdyby nie *stedding*, to wszyscy bylibyśmy już martwi. Czy uratowałbyś ją? Czy ściałbyś ją tak jak krzaki? Krzaki nie krwawią, prawda? Nie krzyczą i nie patrzą w oczy, nie pytają: dlaczego?”

Perrin coraz bardziej zamykał się w sobie. Czuł, że coś się z niego śmieje, w najgłębszych zakamarkach jego umysłu. Coś okrutnego. Nie Czarny. Nieomal żałował, że to nie on. Nie Czarny, on sam.

Elyas po raz pierwszy złamał swoje zasady dotyczące rozpalania ogniska. Drzewa tu wprawdzie nie rosły, jednakże obłamał uschłe gałązki z krzaka i zbudował ognisko przy wielkim głazie wystającym ze zbocza. Sądząc po warstwach sadzy na powierzchni kamienia, Perrin uznał, że miejsce to musiały wykorzystywać całe pokolenia wędrowców.

Wystająca ponad powierzchnią ziemi skała była nieco zaokrąglona, w jednym z jej boków, którego nierówną powierzchnię skrywał stary i zbrązowiały mech, widać było głębokie pęknięcie. Rowki i zagłębienia wytrawione w zaokrąglonej części wydawały się Perrinowi dziwne, jednak za bardzo był przygnębiony, by się nad tym zastanawiać. Egwene natomiast przyglądała im się w trakcie jedzenia.

— To — stwierdziła w końcu — wygląda jak oko.

Perrin zamrugał ze zdziwienia, to rzeczywiście wyglądało jak oko, pomimo warstw sadzy.

— Bo to jest oko — powiedział Elyas. Siedział tyłem do ognia i skały, badając wzrokiem okolicę i żuł pasek suszonego mięsa, twardego jak skóra. — Oko Artura Hawkwinga. Oko samego Wysokiego Króla. Taki oto był kres jego władzy i chwały.

Powiedział to roztargnionym głosem. Żuł nawet z roztargnieniem, całą jego uwagę pochłaniały wzgórza.

— Artur Hawkwing! — wykrzyknęła Egwene. — Chyba sobie ze mnie żartujesz. To wcale nie jest oko. Czemu ktoś miałby rzeźbić oko Artura Hawkwinga w tej skale?

Elyas spojrzał na nią przez ramię i mruknął:

— Czego was uczą na tej wsi, dzieciaki? — Prychnął lekceważąco i znowu się wyprostował, żeby mieć lepszy widok, a po chwili dodał: — Artur Paendrag Tanreall, Artur Hawkwing, Wysoki Król, zjednoczył wszystkie ziemie od Wielkiego Ugoru po Morze Burz, od Oceanu Aryth po Pustkowie Aiel, a także kilka krain leżących za Pustkowie. Wysłał nawet armie na drugą stronę oceanu Aryth. Powiadają, że władał całym światem, ale to, czym naprawdę władał już i tak wystarczało dla każdego człowieka, nie występującego w opowieściach. Sprowadził też pokój i sprawiedliwość do swego kraju.

— Wszyscy stali się równi wobec prawa — powiedziała Egwene — i odtąd żaden człowiek nie podnosił ręki na drugiego.

— A więc przynajmniej te historie słyszeliście — zaśmiał się sucho Elyas. — Artur Hawkwing sprowadził pokój i sprawiedliwość, lecz uczynił to za pomocą ognia i miecza. Dziecko mogło przejechać samotnie z torbą pełną złota od Oceanu Aryth do Pustkowie Aiel i nie bać się ani przez chwilę, ale sprawiedliwość Wysokiego Króla była twarda jak skała dla każdego, kto sprzeciwił się jego władzy. Zwykły lud żył w pokoju, sprawiedliwości i z pełnym brzuchem, on natomiast oblegał Tar Valon przez dwadzieścia lat i wyznaczył nagrodę tysiąca złotych koron za głowę każdej Aes Sedai.

— Myślałam, że nie lubisz Aes Sedai — powiedziała Egwene.

Elyas uśmiechnął się krzywo.

— Nieważne, co ja lubię, dziewczyno. Artur Hawkwing był dumnym głupcem. Każda uzdrowicielka Aes Sedai mogła go uratować, kiedy zachorował albo został otruty, jak twierdzą niektórzy, jednak wszystkie pozostałe przy życiu Aes Sedai były uwięzione za Błyszczącymi Murami i używały całej swej mocy, by odeprzeć armię, która rozświetlała noc ogniskami swoich obozowisk. W każdym razie nie chciał żadnej dopuścić do siebie. Nienawidził Aes Sedai tak samo jak Czarnego.

Egwene ściągnęła usta, powiedziała jednak tylko:

— Co to wszystko ma wspólnego z okiem Artura Hawkwinga?

— Właśnie to, dziewczyno. Dzięki temu, że wszędzie, z wyjątkiem drugiej strony oceanu, panował pokój, ludzie oddawali mu cześć, gdziekolwiek się pokazał. Naprawdę go kochali, rozumiesz, bo choć był oschły, to nigdy w stosunku do prostego ludu. Cóż, w tej sytuacji stwierdził, że najwyższa pora wybudować sobie stolicę. Nowe miasto, w umysłach ludzi nie powiązane z żadną starą sprawą, frakcją albo czymś współzawodnictwem. Chciał je zbudować tutaj, w samym sercu krainy otoczonej morzami, pustkowiem i ugorem. Tutaj, gdzie nie mogły przyjść żadne Aes Sedai, które chciałyby albo były w stanie wykorzystać moc. Stolicę, z której pewnego dnia cały świat miał otrzymać pokój i sprawiedliwość. Słyszając takie obwieszczenie, lud ofiarował dość pieniędzy, by dało się za nie wybudować pomnik. Większość uważała, że Artur Hawkwing stoi o jeden tylko stopień niżej od samego Stwórcy. Niewysoki stopień. Rzeźba i budowa trwały pięć lat. Pomnik samego Hawkwinga, w skali sto do jednego. Postawili go właśnie tutaj, dookoła miało powstać miasto.

— Tu nigdy nie było miasta — powiedziała drwiącym tonem Egwene. — Coś by przecież po nim zostało. Cokolwiek.

Elyas skinął głową, nie przestając obserwować okolicy.

— Bo rzeczywiście nie powstało. Artur Hawkwing umarł tego samego dnia, w którym ukończono pomnik, a jego synowie i reszta potomków zaczęli się bić o to, kto zasiądzie na tronie. Pomnik stał samotnie wśród tych wzgórz. Synowie, bratankowie i kuzyni pomarli i tak ostatni, którzy mieli w sobie krew Hawkwinga zniknęli z powierzchni ziemi, z wyjątkiem może tych paru, którzy przeprawili się przez ocean Aryth. Byli tacy, którzy, gdyby mogli, chcieliby wymazać po nim pamięć. Palono książki tylko dlatego, że było w nich wymienione jego imię. W końcu nie pozostało po nim nic prócz opowieści, a większość z nich jest kłamliwa. Oto jaki kres spotkał jego chwałę. Walki nie ustały naturalnie, mimo że Hawkwing i jego ród wymarli. Pozostał tron, który można było zdobyć, dążyli do niego każdy władca lub władczyni, którzy potrafili dowodzić wojownikami. To był początek Wojny Stuletniej. Naprawdę trwała sto dwadzieścia trzy lata i większa część historii tamtych czasów zatraciła się w dymie

płonących miast. Wielu zdobyło dla siebie jakąś część kraju, ale nikt nie zdobył całości i w którymś momencie tamtych czasów obalono pomnik. Może nie mogli już dłużej ścierpieć porównywania się z nim.

— Najpierw tak mówiłeś, jakbyś nim pogardzał — stwierdziła Egwene — a teraz tak mówisz, jakbyś go podziwiał.

Pokręciła głową.

Elyas obrócił się, by na nią spojrzeć obojętnym, nieruchomym okiem.

— Napijcie się jeszcze herbaty, jeśli chcecie. Przed zmrokiem musimy zgasić ognisko.

Perrin widział teraz oko wyraźnie, pomimo bladego światła. Było większe od ludzkiej głowy, padające na nie cienie sprawiały, że przypominało oko kruka, twarde, czarne i pozbawione litości. Żałował, że nie śpią w jakimś innym miejscu.

SYNOWIE CIENIA

Egwene siedziała przy ognisku, wpatrzona we fragment pomnika, Perrin natomiast, pragnąc samotności, poszedł nad staw. Światło dnia bladło, a na wschodzie podnosił się już nocny wiatr, marszcząc powierzchnię wody. Wyjął topór z pętli u pasa i obrócił go w dłoniach. Trzonek z jesionowego drewna był tak długi jak jego ręka, gładki i chłodny w dotyku. Nienawidził go. Wstydził się, że w Polu Emonda był taki dumny z tego topora. Wtedy jeszcze nie wiedział, co będzie chciał z nim zrobić.

— Tak bardzo jej nienawidzisz? — spytał stojący za nim Elyas.

Zaskoczony, zerwał się na równe nogi i uniósł topór, nim się zorientował, kto do niego mówi.

— Czy...? Czy w moich myślach też potrafisz czytać? Tak jak w myślach wilków?

Elyas przekrzywił głowę i przyjrzał mu się badawczo.

— Ślepiec wyczytałby wszystko z twej twarzy, chłopcze. No dobra, mów. Czy nienawidzisz tej dziewczyny? Gardzisz nią? No właśnie. Byłeś gotów ją zabić, bo nią gardzisz, bo zawsze się wlecze, bo cię krępuje swym babskim zachowaniem.

— Egwene nigdy w życiu się nie włościła — zaprotestował. — Zawsze wykonuje to, co do niej należy. Nie gardzę nią, ja ją kocham. — Spojrzał chmurnie na Elyasa, wywołując tym jego śmiech. — To znaczy nie tak. Chcę powiedzieć, że nie tak jak siostrę, tylko że ona i Rand... Krew i popioły! Gdyby te kruki nas dopadły... Gdyby... Nie wiem.

— Ależ wiesz. Gdyby miała wybierać, w jaki sposób chce umrzeć, to, jak ci się wydaje, co by wybrała? Jeden porządny cios topora, czy tak, jak umierały te zwierzęta, które widzieliśmy dzisiaj? Ja wiem, co bym wybrał.

— Nie mam prawa wybierać w jej imieniu. Nie powiesz jej o tym, prawda? O tym... — Zacisnął dłonie na trzonku topora z całą siłą mięśni ramion, skręconych jak powrozy, silnych mimo jego młodego wieku, rozwiniętych w długich godzinach wymachiwania młotem w kuźni pana Luhhana. Przez chwilę miał wrażenie, że gruby drewniany trzonek pęknie na pół. — Nienawidzę tego paskudztwa — warknął. — Nie wiem, co ja z nim robię, tak się pyszniąc jak jakiś dureń. Wiesz, że nie potrafiłbym tego zrobić.

Skoro to wszystko było udawane, mogłem się przechwalać i zachowywać jakbym... — Westchnął, ledwie było słyhać jego głos. — Teraz jest inaczej. Już nigdy w życiu go nie użyję.

— Użyjesz go. — Perrin uniósł topór, żeby go wrzucić do stawu, ale Elyas schwycił go za nadgarstek. — Użyjesz go, chłopcze, i dopóty, dopóki będziesz go nienawidził, będziesz go używał mądrzej niż większość ludzi. Zaczekaj. Jeśli kiedyś przestaniesz go nienawidzić, to wtedy będzie trzeba go wyrzucić i uciec w przeciwną stronę.

Perrin ważył topór w dłoniach, nadal czując pokusę, by wrzucić go do stawu.

„Łatwo mu mówić o czekaniu. A co się stanie, jeśli poczekam i potem nie będę potrafił go wyrzucić?”

Otworzył usta, by zapytać o to Elyasa, ale żadne słowa nie padły. Przesłanie od wilków było tak natarczywe, że aż zaszklilo mu wzrok. Przez chwilę zapomniał, co miał do powiedzenia, zapomniał, że w ogóle miał zamiar powiedzieć cokolwiek, zapomniał wręcz, jak się mówi i oddycha. Podobnie zapadła się twarz Elyasa, a jego oczy wydawały się oglądać coś we wnętrzu, coś bardzo oddalonego. Po chwili to wszystko minęło, równie szybko, jak się pojawiło. Trwało zaledwie jedno uderzenie serca, tyle jednak wystarczyło.

Perrin otrząsnął się i wciągnął głęboko powietrze do płuc. Elyas nie zatrzymał się, gdy tylko mgła zesła z jego oczu, nie ociągając się pośpieszył w stronę ognia. Perrin pobiegł bez słowa w ślad za nim.

— Zagaś ogień! — zawołał ochrypłym głosem Elyas do Egwene. — Gestykulował wymownie, niemalże krzyczał szeptem. — Zgaś to!

Uniosła się, patrząc na niego niepewnie, potem podeszła bliżej ognia, bardzo jednak wolno, wyraźnie nie rozumiejąc, co się dzieje.

Elyas przepchnął się brutalnie obok niej i chwycił czajnik z herbatą, oparzył się, głośno zaklął. Przerzucając gorące naczynie z ręki do ręki, przechylił je nad ogniskiem. Biegący tuż za nim Perrin stanął przy ognisku w chwili, gdy lały się doń już ostatnie krople herbaty. Z miejsca zabrał się za zasypywanie węgla, nad którymi unosił się syk i smugi pary. Nie przerywał pracy, dopóki ostatni ślad ognia nie zniknął pod ziemią.

Elyas cisnął czajnik w stronę Perrina, ten natychmiast upuścił go ze zduszonym okrzykiem. Dmuchał na swoje ręce i patrzył krzywo na łowcę, jednakże ubrany w futro męczyzna był zbyt zajęty pośpieszną lustracją ich obozowiska, by zwracać na niego uwagę.

— Nie da się ukryć, że ktoś tu był — powiedział Elyas. — Po prostu musimy się śpieszyć i nie tracić nadziei. Może nie zwrócą uwagi. Krew i popioły, byłbym przysięgł, że to kruki.

Perrin pośpiesznie narzucił siodło na grzbiet Beli, a gdy pochylał się, by zacieśnić popręg, skaleczył się toporem.

— Co się stało? — spytała Egwene, a głos jej drżał. — Trolloki? Pomory?

— Jedźcie na wschód albo na zachód — powiedział Perrinowi Elyas. — Znajdźcie jakąś kryjówkę, a ja dołączę do was najszybciej, jak będę mógł. Jeśli zauważyli któregoś wilka...

Pomknął przed siebie, pochylony tak nisko, jakby miał zamiar biec na czworakach i zniknął w wydłużających się cieniach wieczoru.

Egwene pośpiesznie zebrała swój nieliczny dobytek, wciąż jednak domagała się wyjaśnień. Mówiła natarczywym głosem, z każdą chwilą coraz bardziej przerażonym, a on cały czas milczał. Sam był przerażony, lecz strach przyśpieszył ich ruchy. Zwlekał z odpowiedzią, dopóki nie wyruszyli w stronę zachodzącego słońca. Biegł przed Belą, przyciskał topór do piersi i ponad ramieniem przekazywał jej fragmenty tego, co wiedział, wypatrując jednocześnie jakiegoś miejsca, w którym mogliby przyspać do ziemi i poczekać na Elyasa.

— Jedzie tu wielu ludzi na koniach. Pojawili się z tyłu za wilkami, ale nie zauważyli ich. Kierują się w stronę stawu. Być może nie mają nic przeciwko nam, jest to jedyna woda na przestrzeni wielu mil. Łatka jednak mówi...

Obejrzał się przez ramię. Wieczne słońce wymalowało dziwne cienie na jej twarzy, cienie, pośród których nie było widać wyrazu oczu.

„O czym ona myśli? Czy patrzy na mnie tak, jakby już mnie znała? Czy zechce mnie znać?”

— Łatka twierdzi, że wydzielają zły zapach. Tak... mniej więcej pachnie wściekły pies. — Zostawili za sobą staw, tracąc go z zasięgu wzroku. W gęstniejącym zmierzchu jeszcze widział głązy — szczątki posągu Artura Hawkwinga — ale nie potrafił powiedzieć, pod którym z tych kamieni rozpalili swoje ognisko. — Będziemy trzymali się od nich z daleka, znajdziemy jakieś miejsce, w którym zaczekamy na Elyasa.

— Czemu mielibyśmy się nimi przejmować? — spytała podniesionym głosem. — Podobno tu jesteśmy bezpieczni. Podobno tu jest bezpiecznie. Światłości, przecież musi gdzieś istnieć jakieś bezpieczne miejsce.

Perrin zaczął się uważniej rozglądać za jakąś kryjówkę. Z pewnością nie oddalili się daleko od stawu, jednakże zmierzch już gęstniał. Wkrótce będzie za ciemno, by móc się przemieszczać. Grzbiety wzgórz były wciąż skąpane w bladym świetle. W porównaniu z dzielącymi ich kotlinami, w których nie było prawie nic widać, wydawały się jaskrawe. Po lewej stronie na tle nieba wyróżniał się wyraźnie jakiś ciemny kształt, duży, płaski głąz, wystający ukośnie z boku wzgórza, okrywający cieniem jego zbocze.

— Tędy — powiedział.

Pobiegł w stronę wzgórza, oglądając się przez ramię, próbując dostrzec nadjeżdżających. Niczego nie zobaczył — na razie. Nieraz musiał się zatrzymać i poczekać, podczas gdy one doganiały go chwiejnym krokiem. Egwene przywarła do

grzbietu Beli, klacz ostrożnie wyszukiwała drogę na nierównym terenie. Perrin uznał, że obydwie są pewnie bardziej zmęczone, niż mu się dotychczas wydawało.

„Niech to będzie dobra kryjówka. Chyba już nie uda nam się znaleźć innej.”

U stóp wzgórza przyjrzał się masywnej, płaskiej skale. Odznaczała się na tle nieba, sięgając nieomal do samego szczytu. Było coś dziwnie znajomego w sposobie, w jaki wierzchołek tej ogromnej bryły zdawał się tworzyć nieregularne występy, trzy wyżej, jeden niżej. Wspiął się tam i idąc po kamieniu, obmacał go. Wyczuł, że są to cztery połączone kolumny, bardzo zniszczone przez całe stulecia oddziaływań atmosferycznych. Spojrzał w górę na przypominający schody szczyt kamienia, górujący nad jego głową niczym ogromna nadbudówka.

„Schronimy się w dłoni Artura Hawkwinga. Może została w niej resztką jego sprawiedliwości.”

Dał ręką znak Egwene, by dołączyła do niego. Nie poruszyła się, więc zsunął się z powrotem do stóp zbocza i opowiedział jej, co znalazł.

Egwene zerknęła ukradkiem na wzgórze, wysuwając głowę do przodu.

— Jak ty możesz widzieć cokolwiek? — spytała.

Perrin otworzył usta i zaraz je zamknął. Obejrzał się dookoła, oblizując wargi, po raz pierwszy świadom tego, co widzi. Słońce zaszło. Zaszło zupełnie i księżyc w pełni schował się za chmurami, a mimo to jemu się wydawało, że widzi ciemnopurpurową łunę brzasku.

— Zbadałem tę skałę — powiedział wreszcie. — Musi nam wystarczyć. Nie wypatrzą nas w tym cieniu, nawet jeśli tu dojdą.

Chwycił wodze Beli, by poprowadzić ją do schronienia w dłoni. Czuł wzrok Egwene na swoich plecach.

Kiedy pomagał jej zsiąść, nocny mrok przeszyły okrzyki dobiegające z okolic stawu. Egwene położyła dłoń na ramieniu Perrina i usłyszał nie wypowiedziane przez nią pytanie.

— Ci ludzie widzieli Wiatra — odparł z niechęcią. — Trudno było doszukać się znaczenia w myślach wilków. — Mają pochodnie. — Wepchnął ją pod palce i sam przykucnął obok. — Rozbijają się na grupy, by prowadzić poszukiwania. Jest ich wielu, a wszystkie wilki są ranne. — Starał się, by w jego głosie zabrzmiała serdeczniejsza nuta. — Łatka i pozostałe raczej nie wejdą im w drogę, nawet jeśli są ranne, a nas się nie spodziewają. Ludzie nie widzą tego, czego się nie spodziewają. Niedługo zrezygnują i rozbiją obóz.

Razem z wilkami był Elyas, który nie potrafiłby opuścić ich w niebezpieczeństwie.

„Tylu jeźdźców. Tacy uparci. Czemu są tacy uparci?”

Zobaczył, że Egwene kiwa głową, lecz w ciemności nie zauważyła tego.

— Nic nam się nie stanie, Perrin.

„Światłości, pomyślał ze zdziwieniem, ona próbuje mnie pocieszyć.”

Krzyki nie ustawały. W oddali poruszały się maleńkie plamki pochodni, migotliwe świetlne punkciki w ciemności.

— Perrin — powiedziała cicho Egwene — czy zatańczysz ze mną w niedzielę? Jeśli wrócimy do domu do tego czasu?

Zadrżały mu ramiona. Nic nie mówił i sam nie wiedział, czy się śmieje, czy płacze.

— Zatańczę. Obiecuję. — Jego dłonie wbrew woli, zacisnęły się na trzonku topora, przypominając mu o tym, że nadal go trzyma. Jego głos przeszedł w szept. — Obiecuję — powtórzył i naprawdę w to wierzył.

Po wzgórzach jechały teraz grupy mężczyzn z pochodniami, liczące od dziesięciu do dwunastu osób. Perrin nie potrafił stwierdzić, ile jest tych grup. Czasami było widać ich jednocześnie trzy albo cztery, szukali we wszystkich kierunkach. Cały czas coś do siebie wołali, nocny mrok przeszywały krzyki, rżały konie.

Oglądał to wszystko z wielu punktów widzenia. Przycupnął na zboczu obok Egwene, obserwując pochodnie poruszające się w mroku niczym świetliki, a w myślach biegł przez noc razem z Łatką, Wiatrem i Skoczkiem. Wilki zostały zbyt mocno poranione przez kruki, by mogły teraz biec szybko i daleko, postanowiły więc przegnać tych ludzi z mroku, zepchnąć na powrót w obszar ognisk. Ludzie zawsze szukają bezpieczeństwa przy ognisku, gdy po nocy włóczą się wilki. Niektórzy poszukujący prowadzili konie bez jeźdźców, te rżały i wierzgały, przewracając wytrzeszczonymi oczyma, gdy pod ich nogami przemykały się szare kształty, rżały przeraźliwie i wrywały wodze z rąk ludzi, a potem, najszybciej jak się dało, uciekały we wszystkich możliwych kierunkach. Te konie, które niosły na swoich grzbietach jeźdźców, również głośno rżały, gdy z ciemności wyskakiwały zniecierpliwione szare cienie z boleśnie kaleczącymi kłami, a czasami krzyk wrywał się także z gardel ich jeźdźców, w następnej chwili gryzionych przez silne szczęki. Był tam również Elyas, nie wyczuwalny wyraźnie, który przekradał się przez mrok z długim nożem, niczym dwunogi wilk z jednym ostrym, stalowym zębem. Słysząc było częste przekleństwa, jednakże poszukujący za nic nie chcieli zrezygnować.

Nagle Perrin pojął, że ludzie z pochodniami postępują według jakiegoś planu. Za każdym razem, gdy w zasięgu jego wzroku pojawiała się kilka grup, przynajmniej jedna z nich podjeżdżała bliżej zbocza, na którym ukrył się razem z Egwene. Elyas kazał im się ukryć, ale...

„A może tak pobiec? Może mrok by nas skrył, gdybyśmy cały czas biegli. Może. Do tego musi być dostatecznie ciemno.”

Obrócił się w stronę Egwene, lecz w tym momencie podjęto za niego decyzję. U podstawy wzgórza pojawiła się grupa kilkunastu pochodni, migoczących w rytm końskiego biegu. W ich świetle połyskiwały groty kopii. Zastygł w miejscu, wstrzymując oddech, dłonie objęły stylisko topora.

Jeźdźcy przejechali obok wzgórza, lecz jeden z mężczyzn krzyknął i wtedy pochodnie zakołysały się w przeciwnym kierunku. Zaczął się gorączkowo zastanawiać, którądy powinni uciekać. Gdyby jednak ruszyli z miejsca, zaraz by ich zauważono, o ile już to się nie stało, a kiedy już zostaną zauważeni, nie będą mieli żadnej szansy, nawet ciemność im nie pomoże.

Jeźdźcy zebrali się u stóp wzgórza, każdy trzymał w jednej ręce pochodnię, a w drugiej długą kopię, kierowali konie naciskiem kolan. W świetle pochodni Perrin dostrzegł białe płaszcze Synów Światłości. Trzymali głównie w górze, pochylali się do przodu w swych siodłach i wytężali wzrok, próbując przebić głębokie cienie palców Artura Hawkwinga.

— Tam coś jest — powiedział jeden z nich.

Mówił nieco za głośno, jakby się bał, że poza kręgiem światła jego pochodni coś się czai.

— Mówiłem wam, że ktoś mógł się tam ukryć. Czy to nie jest koń?

Egwene położyła rękę na ramieniu Perrina, jej oczy w ciemnościach były ogromne. Milczące pytanie było oczywiste, pomimo cienia skrywającego jej rysy. Co robić? Elyas i wilki nadal buszowali w mroku. Stojące niżej konie nerwowo przestępowały z nogi na nogę.

„Jeśli teraz pobiegniemy, będą nas ścigać.”

Jeden z Białych Płaszczy nakazał swemu wierzchowcowi iść do przodu i krzyknął w górę zbocza.

— Jeśli rozumiecie ludzką mowę, to zejdźcie na dół i poddajcie się. Nie stanie wam się żadna krzywda, jeśli podążacie drogą Światłości. Jeśli się nie poddacie, wszyscy zginiecie. Macie minutę.

Kopie zostały opuszczone, długie stalowe głowy zaślniły w świetle pochodni.

— Perrin — szepnęła Egwene — nie wygramy z nimi. Jeśli się nie poddamy, to nas zabiją. Perrin?

Elyas i wilki byli nadal wolni. Kolejny odległy, bulgotliwy wrzask świadczył o tym, że znowu jakiś Biały Płaszcz zanadto zbliżył się do Łatki.

„Jeśli pobiegniemy...”

Egwene patrzyła na niego, czekała aż jej powie, co ma robić.

„Jeśli pobiegniemy...”

Znużonym ruchem potrząsnął głową, jak pogrążony w transie wyprostował się i ruszył w dół zbocza chwiejnym krokiem, prosto w stronę Synów Światłości. Usłyszał, że Egwene wzdycha i idzie za nim, niechętnie powłócząc nogami.

„Czemu Białe Płaszcze są tacy uparci, jakby nienawidzili wilków z całego serca? Czemu wydzielają taki przykry zapach?”

Wydawało mu się, że sam nieomal czuje to zło, niesione podmuchem wiatru od jeźdźców.

— Rzuć ten topór na ziemię — warknął przywódca. Perrin zatoczył się w jego stronę, marszcząc nos, by się pozbyć zapachu, który zdawało mu się, że czuje. — Rzuć go, ty głąbie!

Grot kopii mierzył w pierś Perrina.

Przez chwilę wpatrywał się w grot kopii, tak ostry, że przeszyłby go na wylot i nagle krzyknął:

— Nie!

Jednakże okrzyk ten nie był przeznaczony dla jeźdźca.

Z mroku wyłonił się Skoczek, ich umysły się zjednoczyły. Skoczek, szczeniak, który przyglądał się szybującym orłom, i tak bardzo pragnął latać po niebie jak orły. Szczeniak, który podrywał się w górę, dawał długie susy i skakał tak często, że w końcu potrafił skakać wyżej niż jakikolwiek inny wilk. Który nigdy nie stracił swego szczenięcego pragnienia szybowania po niebie. Skoczek wyłonił się z mroku i opuścił ziemię jednym skokiem, szybując jak orły. Białym Płaszczom została tylko chwila, nim zaczęli kłać, gdy szczęki Skoczka zatrzasnęły się na gardle człowieka z lancą wymierzoną w Perrina. Siła rozpędu wielkiego wilka przerzuciła ich obu przez bok konia. Perrin poczuł miażdżenie gardła, poznał smak krwi.

Skoczek wylądował z gracją, oderwawszy się już od człowieka, którego zabił. Sierść miał zlepioną krwią, własną i cudzą. Strumień, ciekący mu przez cały pysk, przecinał pusty oczodół, w którym kiedyś tkwiło lewe oko. Zdrowe oko na moment napotkało dwoje oczu Perrina.

„Biegnij, bracie!”

Obrócił się błyskawicznie, by znowu skoczyć, by po raz ostatni poszybować i wtedy kopia przygwoździła go do ziemi. Drugie stalowe ostrze przeszyło jego żebra i wbiło się w ziemię. Wierzął nogami i. chwycił zębami groty, które go unieruchomiły.

„Szybować.”

Perrina wypełnił ból i wtedy krzyknął, bezsłownym krzykiem, który przypominał trochę wilcze wycie. Nie myśląc, skoczył do przodu, nadal krzycząc. Wszystkie myśli gdzieś zniknęły. Jeźdźcy zbili się w zbyt ciasną gromadę, by móc użyć kopii, a on trzymał topór, ten pojedynczy, ogromny wilczy kieł ze stali, jakby to było piórko. Coś trzasnęło w jego głowie i kiedy padał, nie wiedział, czy Skoczek umarł, czy on.

„...szybować jak orły.”

Mamrocząc coś, Perrin otworzył zmętniałe oczy. Bolała go głowa, ale nie pamiętał dlaczego. Mrużąc oczy przed rażącym światłem, rozejrzał się dookoła. Egwene klęczała obok niego i patrzyła mu w oczy. Znajdowali się w kwadratowym namiocie wielkości przeciętnej izby w farmerskim domu, na ziemi leżał dywan. We wszystkich rogach namiotu stały oliwne lampy na wysokich stojakach, dające dużo światła.

— Dzięki Światłości, Perrin — westchnęła. — Już się bałam, że cię zabili.

Zamiast odpowiedzieć, zapatrzył się na siwowłosego mężczyznę, który siedział na jedynym krześle stojącym w namiocie. Ciemnooka twarz dobrego dziadunia zwróciła się ku niemu, twarz, jego zdaniem, nie pasująca zupełnie do biało-złotego kaftana i wypolerowanej zbroi, zapiętej pod śnieżnobiałym płaszczem. Wydawało się, że jest to łagodna twarz, prostoduszna i szlachetna, było w niej coś znakomicie pasującego do eleganckiej prostoty wnętrza namiotu. Stół i składane łóżko, umywalka ze zwykłą białą miską i dzbanem, samotna drewniana skrzynia inkrustowana prostymi geometrycznymi wzorami. Wszelkie drewniane elementy były wypolerowane do łagodnego połysku, pobłyskiwał też każdy metalowy detal, lecz nie oślepiająco. Wszystko w namiocie było wykonane przez najznamienitszych rzemieślników, jednak dostrzec mógł to tylko ten, kto oglądał dzieła mistrzów rzemiosła — takich jak pan Luhhan czy pan Aydaer, wyrabiający szafki.

Marszcząc czoło, mężczyzna rozgarniał gołym palcem przedmioty leżące na stole w dwóch niewielkich stosach. Perrin rozpoznał zawartość swoich kieszeni i nóż. Gdy wytoczyła się srebrna moneta, którą dała mu Moiraine, mężczyzna odsunął ją na bok z namysłem. Wydymając wargi, zostawił przedmioty w spokoju i uniósł ze stołu topór Perrina, ważąc go w dłoniach. Jego uwaga została ponownie skierowana na ludzi z Pola Emonda.

Perrin usiłował wstać. Ostry ból, przeszywający jego ręce i nogi, sprawił, że to przedsięwzięcie skończyło się fiaskiem. Dopiero teraz dotarło do niego, że jest związany. Jego wzrok powędrował ku Egwene. Z smutkiem wzruszyła ramionami i obróciła się, dzięki czemu mógł widzieć jej plecy. Jej nadgarstki i kostki oplatało kilka rzemieni wrzynających się głęboko w ciało. Między tymi pętami przebiegał kawałek powroza, tak krótki, że nie mogła się wyprostować dalej jak tylko do przysiadu.

Perrin wytrzeszczył oczy. Zaszokowało go, że są związani, lecz przecież mieli przy sobie dość powroza do pętania koni.

„Za kogo oni nas uważają?”

Siwowłosy mężczyzna patrzył na nich, zaniepokojony i zadumany, jak pan al’Vere, gdy rozwiązywał jakiś problem. Trzymał topór w taki sposób, jakby o nim zapomniał.

Kłapa zasłaniająca wejście do namiotu odsunęła się i do środka wszedł jakiś wysoki mężczyzna. Miał pociągłą, ponurą twarz, z oczami osadzonymi tak głęboko, że wyglądały jak dwie jaskinie. Ciało nie miał w nadmiarze, ani grama tłuszczu, skóra ciasno opinała mięśnie i kości.

Perrin zdążył zauważyć panujący na zewnątrz mrok, ogniska i dwóch ubranych w białe płaszcze strażników przy wejściu do namiotu, po czym kłapa opadła na swoje miejsce. Nowo przybyły wszedł do środka i natychmiast znieruchomiał, sztywny jak żelazny pręt, zapatrzony na przeciwległą ścianę namiotu. Jego zbroja, składająca się z pancerza i kolczugi, błyszczała jak srebro na tle śnieżnobiałego płaszcza i kaftana.

— Lordzie kapitanie! — Jego głos był równie sztywny jak sylwetka i mimo że skrzypiał, brzmiał jakoś dziwnie płasko, bez wyrazu.

Siwowłosy mężczyzna niedbale machnął ręką.

— Spocznij, Byar. Czy obliczyłeś, jakie są koszty tego... spotkania?

Wysoki mężczyzna rozstawił nogi, lecz Perrin nie widział, by w jakikolwiek inny sposób rozluźnił postawę.

— Dziewięciu naszych ludzi zabitych, lordzie kapitanie, a dwudziestu trzech jest rannych, w tym siedmiu poważnie. Wszyscy jednak są w stanie jechać konno. Trzydzieści koni trzeba ubić. Zostały zagryzione! — Ostatnie słowo podkreślił swym bezbarwnym głosem, jakby to, co się stało z końmi, było gorsze od śmierci i ran ludzi. — Wiele zapasowych uciekło. Może o świcie znajdziemy kilka, lordzie kapitanie, ale ponieważ spłoszyły je wilki, zebranie ich wszystkich potrwa wiele dni. Ludzie, którzy mieli ich pilnować, zostali wyznaczeni do pełnienia nocnych straży aż do chwili dotarcia do samego Caemlyn.

— Nie mamy wiele czasu, Synu Byar — odparł łagodnie siwowłosy. — Wyruszymy o świcie. Nic nie może tego zmienić. Musimy na czas dotrzeć do Caemlyn, zrozumiano?

— Jak każesz, lordzie kapitanie.

Siwowłosy mężczyzna zerknął na Perrina i Egwene, potem odwrócił od nich wzrok.

— A co uzyskaliśmy w zamian, oprócz tych dwojga młodzików?

Byar zrobił głęboki wdech i zawahał się.

— Kazałem obedrzeć ze skóry wilka, który towarzyszył tym dwojgu, lordzie kapitanie. Powinien być z niego niezły dywan do namiotu mego lorda kapitana.

„Skoczek!”

Nawet nie uświadamiając sobie, co robi, Perrin warknął i usiłował wyrwać się z więzów. Sznury wbiły się w jego skórę — nadgarstki stały się śliskie od krwi — ale nie poddały się.

Byar po raz pierwszy spojrział na więźniów. Egwene cofnęła się pod jego wzrokiem. Twarz Byara była równie pozbawiona wyrazu jak głos, lecz w zapadniętych oczach jarzyło się światło okrucieństwa, równie jasno jak płomień w oczach Ba'alzamona. Byar nienawidził ich, jakby byli jego odwiecznymi wrogami a nie ludźmi, których zobaczył tego wieczora po raz pierwszy.

Perrin buńczucznie odwzajemnił spojrzenie. Jego usta rozciągnęły się w nieznacznym uśmiechu, gdy pomyślał o swoich zębach rozdzierających gardło tego człowieka.

Nagle jego uśmiech zbladł, musiał się otrząsnąć.

„Moje zęby? Jestem człowiekiem, nie wilkiem! Światłości, to się musi skończyć!”

Nadal jednak wytrzymywał groźne spojrzenie Byara, odwzajemniał nienawiść nienawiścią.

— Nie obchodzą mnie dywany z wilczej skóry, Synu Byar. — Lord kapitan wygłosił tę reprimendę łagodnym tonem, jednak plecy Byara natychmiast ponownie zeszywniały, wzrok wbił w ścianę namiotu. — Miałeś złożyć raport o tym, co osiągnęliśmy tej nocy, prawda? O ile cokolwiek osiągnęliśmy.

— Szacuję, że stado, które nas zaatakowało, liczyło pięćdziesiąt albo i więcej bestii, lordzie kapitanie. Z tego ubiliśmy co najmniej dwadzieścia, a może i trzydzieści. Uznałem, że nie warto ryzykować utraty kolejnych koni i zajmować się dzisiaj padliną. Rankiem każę ją zebrać i spalić, jeśli w ciągu nocy nie zostanie rozwleczone. Poza tym dwojgiem było tam jeszcze kilkunastu innych ludzi. Sądzę, iż pozbyliśmy się czterech albo pięciu, ale raczej mało prawdopodobne, że znajdziemy jakieś ciała, zważywszy na skłonności Sprzymierzeńców Ciemności do zabierania swych zmarłych celem ukrycia strat. Wydaje się, że była to zorganizowana zasadzka, jednakże to rodzi pytanie...

Perrin poczuł ścisk w gardle, gdy słuchał tego.

Ponury mężczyzna mówił dalej. Elyas? Ostrożnie, z niechęcią, wyczuł Elyasa, wilki... i nie znalazł nic. Tak, jakby nigdy nie był w stanie poczuć umysłu wilka.

„Albo są martwe, albo cię opuściły.”

Miał ochotę się śmiać, gorzkim śmiechem. Miał wreszcie to, czego chciał, jednak zapłacono za to zbyt wysoką cenę.

Siwy mężczyzna natomiast rzeczywiście się zaśmiał, właśnie wtedy, głośnym, złośliwym chichotem, od którego na policzkach Byara wykwitły czerwone plamy.

— A więc, Synu Byar, zgodnie z twymi starannymi szacunkami zostaliśmy zaatakowani w zasadzce przez stado pięćdziesięciu wilków i co najmniej tuzin Sprzymierzeńców Ciemności? Tak? Być może, gdybyś zobaczył jeszcze kilka takich akcji...

— Ależ mój lordzie....

— Moim zdaniem wilków było sześć, może osiem, Synu Byar. I być może żadnych innych ludzi prócz tych dwojga. Masz prawdziwy zapach, ale żadnego doświadczenia poza miastem. Sprowadzanie Światłości jest czymś innym, gdy ulice i domy są daleko. Nocą wilki potrafią udawać, że jest ich więcej niż w rzeczywistości... i ludzie też. Najwyżej sześć albo osiem, tak myślę. — Rumieniec Byara powoli się pogłębiał. — Podejrzewam także, że znaleźli się tutaj z tego samego powodu, co my: jedyna woda w odległości dnia podróży, w którą stronę by nie pojechać. Prościej to wytłumaczyć niż istnienie szpiegów albo zdrajców wśród Synów Światłości, a najprostsze wyjaśnienie jest zawsze najprawdziwsze. Nauczysz się tego wraz z doświadczeniem.

Twarz Byara stała się śmiertelnie biała, kiedy słuchał tego przypominającego dobrego dziadka mężczyzny, tylko dwie plamy na jego wklęsłych policzkach pociemniały i przeszły z czerwieni w purpurę. Przez chwilę piorunował więźniów wzrokiem.

„Teraz nas nienawidzi jeszcze bardziej, pomyślał Perrin, bo to słyszeliśmy. Ale czemu nas nienawidził od samego początku?”

— Co o tym myślisz? — spytał lord kapitan, podnosząc topór Perrina.

Byar spojrział pytająco na swego dowódcę, zszedł, aż ten skinie zezwalająco głową i dopiero wtedy przestał stać na baczność i wziął broń. Zważył topór w dłoniach i mruknął ze zdziwieniem, po czym zamachnął się nim wysoko ponad swoją głowę, zaledwie o ułamek mijając szczyt namiotu. Trzymał go tak pewnie, jakby urodził się z toporem w dłoniach. Na jego ponurej twarzy na moment mignął zazdrosny podziw, lecz kiedy opuścił topór, znowu stała się pozbawiona wszelkiego wyrazu.

— Doskonale wyważony, lordzie kapitanie. Wykonany zwyczajnie, ale przez bardzo dobrego snycerza, być może nawet mistrza. — Jego oczy zapłonęły ciemno, gdy spojrział w stronę więźniów. — To nie jest wiejska broń, lordzie kapitanie. Nie należała do żadnego farmera.

— Nie.

Siwy mężczyzna odwrócił się w stronę Perrina i Egwene ze zmęczonym, lekko karcącym uśmiechem dobrodusznego staruszka, który wie, że jego wnuczka stać na różne bezceństwa.

— Nazywam się Geofram Bornhald — powiedział. — Ty jesteś Perrin, jak rozumiem. A ty, młoda kobieto, jak ci na imię?

Perrin spojrział na niego spode łba, lecz Egwene potrząsnęła głową.

— Nie bądź głupi, Perrin. Mam na imię Egwene.

— Po prostu Perrin i po prostu Egwene — mruknął Bornhald. — Ale przypuszczam, że gdybyście naprawdę byli Sprzymierzeńcami Ciemności, to chcielibyście ukryć swą tożsamość jak najlepiej.

Perrin dźwignął się na kolana, tak związany nie mógł się bardziej wyprostować.

— Nie jesteśmy Sprzymierzeńcami Ciemności — zaprotestował gniewnie.

Jeszcze nie wszystkie słowa opuściły jego usta, a Byar już go atakował ruchami przypominającymi węża. Zdążył dostrzec, że trzonek jego własnego topora spada prosto na niego i usiłował się cofnąć, jednakże gruba drewniana pałka uderzyła go za uchem. Tylko dzięki temu, że uchylił się przed ciosem, ocalił swoją czaszkę przed rozpołowieniem, ale w oczach rozbłysły mu gwiazdy. Bez tchu padł na ziemię. Zaszumiało mu w głowie, po policzku pocięła krew.

— Nie macie prawa — zaczęła Egwene i krzyknęła przeraźliwie, gdy trzonek topora runął wprost na nią. Rzuciła się w bok, cios zaświstał w pustej przestrzeni, a ona upadła na dywan leżący na ziemi.

— Twój język winien być uprzejmy — powiedział Byar — kiedy przemawiasz do Pomazańca Światłości, bo inaczej stracisz ten język.

Najgorsze było to, że w jego głosie nadal nie było ani śladu emocji. Gdyby im odciął języki, nie poczuliby ani przyjemności, ani żalu, zrobiliby to tak po prostu.

— Uspokój się, Synu Byar. — Bornhald ponownie spojrział na pojmanych. — Jak sądzę niewiele wiecie o Pomazańcu albo o lordach kapitanach Synów Światłości, nieprawdaż? Tak myślałem. Cóż, przez wzgląd na Syna Byara przynajmniej, starajcie się nie spierać, ani nie krzyczeć, dobrze? Chcę, byście podążali drogą Światłości, niczego więcej nie pragnę. Żadnemu to z was nie pomoże, jeśli pozwolicie, by owaładnął wami gniew.

Perrin spojrział na stojącego nad nimi ponurego mężczyznę.

„Przez wzgląd na Byara?”

Zauważył, że lord kapitan nie kazał Byarowi, by pozostawił ich w spokoju. Byar napotkał jego wzrok i uśmiechnął się. Ten uśmiech ledwie tknął jego wargi, lecz skóra twarzy napięła się i przez moment wyglądała jak czaszka. Perrin zadrżał.

— Słyszałem co nieco o ludziach, którzy uganiają się razem z wilkami — powiedział z zadumą Bornhald — choć nigdy wcześniej ich nie widziałem. Ludzie, którzy rzekomo rozmawiają z wilkami i innymi stworzeniami Czarnego. Obrzydliwa sprawa. Na myśl o tym lękam się, że nadchodzi już Ostateczna Bitwa.

— Wilki nie są... — wtrącił Perrin, ale przerwał, gdy but Byara szurgnął. Zrobił głęboki wdech i mówił dalej bardziej pojednawczym tonem. Byar opuścił nogę z wyrazem rozczarowania na obliczu. — Wilki nie są stworzeniami Czarnego. One nienawidzą Czarnego. A już na pewno nienawidzą trolloków i Pomorów.

Zdziwił się, gdy spostrzegł, że ponury mężczyzna przytakuje jakby własnym myślom.

Bornhald uniósł brew.

— Kto ci to powiedział?

— Pewien Strażnik — powiedziała Egwene. Cofnęła się na widok gorzających oczu Byara. — Powiedział, że wilki nienawidzą trolloków, a trolloki boją się wilków.

Perrin cieszył się, że nic nie wspomniała o Elyasie.

— Pewien Strażnik — westchnął siwowłosy mężczyzna. — Istota stworzona przez wiedźmy z Tar Valon. Co jeszcze mógł wam powiedzieć ten, który sam jest Sprzymierzeńcem Ciemności i sługą Sprzymierzeńców Ciemności? Czy nie wiecie, że trolloki mają wilcze pyski, zęby i wilczą sierść?

Perrin zamrugał, starając się wprowadzić ład do swoich myśli. Nadal miał wrażenie, że jego mózg to obolała galareta, a tymczasem tu się działo coś złego. Nie potrafił pozbierać myśli i rozwiązać zagadki.

— Nie wszystkie — mruknęła Egwene. Perrin spojrział czujnie na Byara, ale ponury mężczyzna tylko jej się przypatrywał. — Niektóre mają rogi, jak barany czy kozły, albo dzioby jastrzębi, albo... albo... różne inne rzeczy.

Bornhald ze smutkiem potrząsnął głową.

— Dają wam tyle szans, a wy się pogrążacie z każdym słowem. — Podniósł palec w górę. — Przebywacie w towarzystwie wilków, stworzeń Czarnego. — Drugi palec. — Przyznajecie się do znajomości ze Strażnikiem, innym stworzeniem Czarnego. Wątpię, czy powiedziałby wam, co robi, gdyby był u was tylko przejazdem. — Trzeci palec. — Ty, chłopcze, masz w kieszeni monetę z Tar Valon. Większość ludzi nie należących do Tar Valon pozbywa się takich monet najszybciej jak potrafi. Z wyjątkiem tych, którzy służą wiedźmom. — Czwarty. — Nosisz przy sobie broń wojownika, mimo że ubierasz się jak chłopiec z farmy. Jesteś więc oszustem. — Podniósł kciuk. — Znacie trolloków i Myrddraali. Tak daleko na południu tylko kilku uczonych, a także ci, którzy podróżowali do Ziem Granicznych uważają, że te stwory nie występują tylko w opowieściach. A może byliście na Ziemiach Granicznych? Jeśli tak, to powiedzcie mi gdzie? Ja dużo podróżowałem do Ziem Granicznych, dobrze je znam. Nie? No cóż, trudno. — Spojrzał na swą rozcapierzoną dłoń, potem ułożył ją ciężko na stole. Wyrazem twarzy dobrodusznego dziadunia mówił, że jego zdaniem wnuki musiały spłatać jakiegoś wyjątkowo występного figła. — A może powiecie mi prawdę, jak do tego doszło, że biegacie po nocy w towarzystwie wilków?

Egwene otworzyła usta, a Perrin dostrzegł, że jej wargi wygięły się w upartą linię i wiedział od razu, że ma zamiar opowiedzieć jedną z tych historii, które wspólnie wymyślili. Co się na nic nie zda. Nie teraz, nie tutaj. Bolała go głowa i żałował, że brak mu czasu na przemyślenie wszystkiego. Kto wie, dokąd podróżował ten Bornhald, jakie kraje i miasta poznał? Jeśli ich przyłapie na kłamstwie, to już będzie za późno na prawdę. A wtedy Bornhald nabierze przekonania, że są naprawdę Sprzymierzeńcami Ciemności.

— Pochodzimy z Dwu Rzek — powiedział pośpiesznie.

Egwene otwarcie zamurowało i zanim się połapała, on brnął dalej, mówiąc prawdę — albo przynajmniej pewną jej wersję. Obydwoje wyjechali z Dwu Rzek, żeby zobaczyć Caemlyn. Po drodze dowiedzieli się o ruinach wielkiego miasta, lecz kiedy znaleźli Shadar Logoth, były tam trolloki. Udało im się uciec przez rzekę Arinelle, ale wtedy zupełnie się zgubili. Potem napotkali człowieka, który zaproponował, że ich zaprowadzi do Caemlyn. Powiedział, że jego imię nie jest ich sprawą i raczej nie wyglądał przyjaźnie, ale oni naprawdę potrzebowali przewodnika. Wilki zobaczyli po raz pierwszy, kiedy zjawili się Synowie Światłości. Próbowali się tylko ukryć, żeby te wilki ich nie rozszarpały, albo żeby nie zabili ich ludzie na koniach.

...Gdybyśmy wiedzieli, że jesteście Synami Światłości — dokończył — przybylibyśmy wam z pomocą. — Byar parsknął z niedowierzaniem. Perrin nie zainteresował się tym specjalnie, bo jeśli lord kapitan dał się przekonać, wówczas Byar nic im nie zrobi. To było oczywiste, że Byar przestanie oddychać, jeśli tak mu rozkaże lord kapitan Bornhald.

— Brakuje mi w tym Strażnika — powiedział po chwili siwy mężczyzna.

Wyobraźnia zawiodła Perrina, wiedział, że trzeba było chwilę odczekać i coś wymyślić na ten temat. Wtedy wskoczyła Egwene.

— Poznaliśmy go w Baerlon. Miasto było pełne ludzi z kopalń, którzy zjechali tam, gdy skończyła się zima, i usadzono nas przy tym samym stole. Rozmawialiśmy z nim tylko podczas posiłku.

Perrin znowu odetchnął.

„Dziękuję ci, Egwene.”

— Oddaj im ich dobytek, Synu Byar. Oprócz broni, oczywiście. — Kiedy Byar spojrział na niego zdumiony, Bornhald dodał: — Czy może należysz do tych, którzy zabrali się za ograbianie nieoświeconych, Synu Byar? Zły to interes, prawda? Żaden człowiek nie może być złodziejem i jednocześnie podążać drogą Światłości.

Byar wyraźnie przyjął z niedowierzaniem tę sugestię.

— A więc puszcza nas pan wolno?

W głosie Egwene słychać było zdumienie. Perrin uniósł głowę i wlepił wzrok w lorda kapitana.

— Jasne, że nie, dziecko! — odparł ze smutkiem Bornhald. — Może naprawdę jesteście z Dwu Rzek, skoro wiecie o istnieniu Baerlon i kopalni. Ale Shadar Logoth? To nazwa, którą zna niewielu, głównie Sprzymierzeńcy Ciemności, a każdy kto poznał tę nazwę, wie, że nie należy tam jechać. Proponuję, byście po drodze do Amadoru wymyślili lepszą historię. Czasu wam starczy, bowiem zatrzymamy się w Caemlyn. Najlepiej mówić prawdę, dziecko. W prawdzie jest wolność i Światłość.

Byar trochę zapomniał o obowiązku zachowania rezerwy wobec siwowłosego mężczyzny. Odwrócił się od więźniów, a w jego słowach słychać było zapiekłe oburzenie.

— Nie pozwalam! Tak nie wolno! — Bornhald uniósł pytająco brew, a Byar skulił się, z trudem przełykając ślinę. — Wybacz mi, mój lordzie kapitanie. Zapomniałem się i pokornie dopraszam się wybaczenia, gotów do przyjęcia kary, lecz jak mój lord kapitan sam wskazał, musimy przybyć w porę do Caemlyn, a ponieważ straciliśmy większość naszych remont, to nawet bez więźniów, będzie nam bardzo brakowało czasu.

— To co proponujesz? — spytał spokojnie Barnhald.

— Karą dla Sprzymierzeńców Ciemności jest śmierć. — Beznamiętny ton głosu sprawił, że zabrzmiała to jeszcze bardziej wstrząsająco. Byar w ten sam sposób mógł proponować zdeptanie żuka. — Nie można zawrzeć rozejmu z Cieniem. Nie ma litości dla Sprzymierzeńców Ciemności.

— Gorliwości należy się poklask, Synu Byar, jednakże, jak często muszę powtarzać memu synowi, Dainowi, nadgorliwość może się okazać poważnym błędem. Pamiętaj, że zaprawdę Dogmaty mówią: „Żaden człowiek nie jest tak stracony, by nie można go było odzyskać dla Światłości.” Ci dwoje są młodzi. Nie mogli jeszcze zatonać tak głęboko

w Cieniu. Można ich jeszcze doprowadzić do Światłości, jeśli tylko pozwolą, by zdjęto im Cień z oczu. Musimy dać im tę szansę.

Przez chwilę Perrin czuł nieomal uwielbienie dla tego dobrodusznego dziadka, który stał między nimi i Byarem. Po chwili Bornhald przeniósł swój dobroduszny uśmiech na Egwene.

— Jeśli nie zechcesz dojść do Światłości, nim dotrzemy do Amadoru, będę zmuszony oddać cię Śledczym, a przy nich gorliwość Byara jest niczym świeca w świetle słońca. — Siwowłosa mężczyzna mówił to takim tonem, jakby wprawdzie żałował tego, co musi zrobić, lecz nad wszystko przedkładał obowiązek. — Ukorz się, wyrzecz się Czarnego, przyjdź do Światłości, wyznaj swe grzechy i powiedz wszystko, co jest ci wiadome o uprawianiu bezceństw z wilkami, a będzie ci to oszczędzone. Odejdiesz wolna, w Światłości.

Przeniósł wzrok na Perrina i westchnął z wyraźnym smutkiem. Perrin poczuł lód w okolicy kręgosłupa.

— A ty, Perrinie z Dwu Rzek. Zabiłeś po prostu dwóch Synów. — Dotknął topora wciąż trzymanego przez Byara. — Obawiam się, że na ciebie czeka w Amadorze szubienica.

WIDOWISKO ZA KOLACJĘ

Rand zmrużył oczy, przypatrując się smudze pyłu, która uniosła się nad drogą, trzy czy cztery zakręty od miejsca, gdzie się znajdowali. Mat już szedł w stronę dzikiego żywopłotu, który porastał pobocze. Zimozielone liście i gęsto splecione gałęzie mogły ukryć ich równie dobrze jak kamienny mur, musieli tylko znaleźć przejście na drugą stronę. Drugie pobocze wytyczały rzadkie, brązowe szkielety wysokich krzaków, a za nimi ciągnęło się aż do lasu otwarte pole długości połowy mili. Mogło należeć do niedawno opuszczonej farmy, jednak nie było to miejsce, w którym można się było szybko schować, w razie takiej konieczności. Próbował ocenić szybkość przemieszczania się smugi i kierunek wiatru.

Nagły gwałtowny powiew uniosł pył z drogi, przesłaniając okolicę. Rand zamrugał powiekami i poprawił gładki, ciemny szal, którym osłaniał nos i usta. Szal nie był najczystszy, swędziała go od niego skóra twarzy, ale przynajmniej nie wdychał pyłu. Dał mu go pewien farmer, długonosy mężczyzna, któremu zmartwienia wyryły głębokie bruzdy w policzkach.

— Nie wiem, przed czym uciekacie — powiedział, krzywiąc się z niepokojem — i nie chcę wiedzieć. Rozumiecie? Mam rodzinę. — Nagle wyjął z kieszeni kaftana dwa długie szale i pchnął ten zwój wełny w ich stronę. — Nie jest to wiele, ale bierzcie. Należą do moich chłopców, a oni mają jeszcze inne. Nie znacie mnie, zrozumieliście? Czasy są trudne.

Rand bardzo sobie cenił ten szal. Lista zaznanych uprzejmości, które zapisał sobie w pamięci podczas wędrówki z Białego Mostu, była krótka, nie sądził, aby istniały wielkie szanse na jej wydłużenie.

Mat, który owinął sobie szal wokół głowy, skrywając wszystko oprócz oczu, myszkował wzdłuż wysokiego żywopłotu, odsuwając liściaste gałęzie. Rand dotknął zatkniętej za pasem rękojęści z wizerunkiem czapli, ale zaraz cofnął rękę. Już raz, kiedy wycinali otwór w żywopłocie, omal nie zdradzili swej obecności. Pasma pyłu zbliżało się w ich stronę, wisiało już dość długo w powietrzu. Nie było wiatru. Dobrze, że nie padało. Deszcz osadzał pył. Choćby nie wiadomo jak ulewny, nie zmieniał ubitej drogi

w błoto, kiedy padało, po prostu znikał pył. A był on jedynym ostrzeżeniem, że ktoś nadchodzi. Czasami za późno.

— Tutaj — zawołał cicho Mat.

Wydawało się, że przeszedł żywopłot.

Rand pośpiesznie podszedł do tego miejsca. Ktoś wyciął tam kiedyś otwór. Był już częściowo zarośnięty i z odległości trzech stóp miejsce to wydawało się równie gęste jak reszta, lecz z bliska okazywało się, że warstwa gałęzi jest cienka. Kiedy je odgarnął, usłyszał odgłos nadjeżdżających koni. To nie był wiatr.

Przycupnął za ledwie zasłoniętym otworem, ściskając rękojeść miecza, a tymczasem obok przejechali jeźdźcy. Pięciu... sześciu... siedmiu. Mężczyźni w prostych ubraniach, lecz ich miecze i włócznie wskazywały, że nie są wieśniakami. Niektórzy mieli na sobie skórzane tuniki nabijane metalowymi ćwiekami, a dwóch okrągłe stalowe hełmy. Strażnicy kupców, być może, chwilowo nie najęci. Być może.

Jeden z nich przypadkiem skierował wzrok w stronę żywopłotu, kiedy przejeżdżał obok otworu. Rand wyciągnął cał ostrza swego miecza. Mat warknął cicho jak zagoniony borsuk, mrużąc oczy nad brzegiem szala. Dłoń miał schowaną pod kaftanem, zawsze chwycił sztylet z Shadar Logoth, gdy groziło im jakieś niebezpieczeństwo. Rand nie miał już pewności, czy on w ten sposób chroni siebie czy ten sztylet o rubinowej rękojeści. Ostatnimi czasy Mat zdawał się czasami zapominać, że jest posiadaczem łuku.

Jeźdźcy minęli ich wolnym kłusem, jechali z jakimś zadaniem, lecz bez wielkiego pośpiechu. Pył przesiąkł przez żywopłot.

Rand odczekał, aż tętent kopyt ucichnie, zanim ostrożnie wystawił głowę przez otwór. Smuga pyłu była już daleko, podążała w ślad za jeźdźcami. Na wschodzie niebo pojaśniało. Wydostał się na drogę, obserwując pełznącą na zachód kolumnę kurzu.

— Nie szukali nas — powiedział, było to coś pomiędzy stwierdzeniem a pytaniem.

Mat wygramolił się w ślad za nim, rozejrzał się uważnie w obydwu kierunkach.

— Może — dorzucił. — Może.

Rand nie miał pojęcia, czego dotyczy ta wypowiedź, ale skinął głową. Może. Początek ich wędrówki po Drodze Caemlyn był dziwny.

Przez dłuższy czas po opuszczeniu Białego Mostu Rand czasami przyłapywał się na tym, że ogląda się za siebie. Czasami wstrzymywał oddech na widok wysokiego, chudego mężczyzny, śpieszącego drogą, albo jakiegoś wymizerowanego, siwowłosego starca obok woźnicy na koźle, lecz zawsze okazywało się, że jest to wędrowny kupiec albo farmer udający się na targ, a nigdy Thom Merrillin. Nadzieja gasła w miarę upływu dni.

Na drodze panował spory ruch, wozy i fury, ludzie na koniach i piechurzy. Podróżowali pojedynczo i w grupach, karawany kupieckich wozów i kilkunastu jeźdźców. Nie torowali drogi i często w zasięgu wzroku nie było nic prócz nagich drzew

wyznaczających ubity trakt, lecz z całą pewnością podróżowało tędy więcej ludzi, niż Rand kiedykolwiek widział w Dwu Rzekach.

Większość udawała się w tym samym kierunku co oni, na wschód, do Caemlyn. Czasami jakiś farmerski wóz podwoził ich przez kawałek, od mili do pięciu, lecz najczęściej szli. Ludzi na koniach unikali. Gdy spostrzegli w oddali choć jednego jeźdźca, schodzili z drogi i ukrywali się dopóty, dopóki ich nie minął. Żaden z tych ludzi nie miał na sobie czarnego płaszcza, a Rand nie sądził, że Pomor pozwoli im się zorientować, że nadjeżdża, jednak nie warto było ryzykować. Na początku bali się głównie Pólludzi.

Pierwsza wioska, jaką napotkali po Białym Moście, tak bardzo przypominała Pole Emonda, że Rand zwolnił kroku na jej widok. Strzechy o wysokich wierzchołkach, gospodynie w fartuchach, plotkujące ponad płotami dzielącymi ich domostwa i dzieci bawiące się na wioskowej łące. Włosy kobiet opadały nie zaplecione, luźno na ramiona, niektóre drobiazgi były inne, lecz ogółem przypominało to dom. Na łące pasły się krowy, a na drodze kołysały wyniośle gęsi. Dzieci turlały się ze śmiechem po ziemi, z której całkowicie zniknęła trawa. Nawet się nie obejrzały, kiedy Rand i Mat je mijali. To była kolejna różnica. Obcy nie byli tu niczym dziwnym, jacyś dwaj kolejni nie zasługiwali nawet na spojrzenie. Wioskowe psy tylko podnosiły łby, by powąchać powietrze, gdy szli tamtędy razem z Matem, jednak żaden się nie zaniepokoił.

Miało się ku wieczorowi, gdy wędrowali przez tę wieś. Na widok świateł zapalających się w oknach, poczuł tęsknotę.

„Nieważne, jak tu jest, usłyszał cichy głos w myślach, to nie jest twój dom. Nawet gdybyś wszedł do któregoś z tych domów, nie zastaniesz tam Tama. Gdyby był, czy mógłbyś spojrzeć mu w twarz? Rozumiesz teraz, prawda? Wszystko, z wyjątkiem takich drobiazgów jak to, skąd pochodzisz i kim jesteś. To nie były majaczenia w gorączce.”

Skulił się na dźwięk sarkastycznego śmiechu rozbrzmiewającego w jego głowie.

„Przecież możesz się tu zatrzymać, szydził głos. Każde miejsce jest równie dobre jak inne, kiedy znikąd pochodzisz i zostałeś naznaczony przez Czarnego.”

Mat pociągnął go za rękaw, ale wyswobodził się i zapatrzył na domy. Nie chciał się zatrzymywać, tylko popatrzeć i przypomnieć sobie.

„Przypomina dom, ale ty swojego już nigdy nie zobaczysz, prawda?”

Mat znowu go pogonił. Miał napiętą twarz, skórę wokół ust i oczu zbiełałą.

— No chodź — mruknął. Patrzył na wioskę w taki sposób, jakby się spodziewał, że coś się w niej czai. — No chodź. Jeszcze się nie możemy zatrzymać.

Rand wykonał pełny obrót, ogarniając wzrokiem całą wioskę i westchnął. Byli jeszcze blisko Białego Mostu. Skoro Myrddraal mógł się przedostać niezauważenie przez mur otaczający miasto, to bez żadnego trudu przeszuka tę małą wioskę. Potulnie dawał się dalej wlec przez okolicę, dopóki nie zostawili krytych strzechami domostw za sobą.

Zdążyła zapaść noc, zanim znaleźli odpowiednie miejsce oświetlone luną księżycą, pod krzakami, na których jeszcze zostały uschłe liście. Napełnili brzuchy zimną wodą z płynącego nie opodal płytkiego strumyka i skulili się na ziemi, owinięci w płaszcze, nie rozpalając ogniska. Ognisko mógł ktoś zobaczyć, lepiej było marznąć.

Niepokojony wspomnieniami Rand często się budził i za każdym razem słyszał wtedy mamroczącego coś i rzucającego się przez sen Mata. Nie śniło mu się nic, co by zapamiętał, ale nie spał najlepiej.

„Już nigdy nie zobaczysz domu.”

Nie była to jedyna noc, podczas której przed wiatrem, a czasami deszczem, zimnym i przemakającym, chroniły ich tylko płaszcze. Nie był to jedyny posiłek, który składał się z samej zimnej wody. Mieli kilka monet, które starczyłyby na parę posiłków w jakiejś karczmie, jednak łóżko na jedną noc kosztowałoby za dużo. Poza obrębem Dwu Rzek wszystko było drogie, droższe po tej stronie Arinelle niż w Baerlon. Należało zachować tę resztę pieniędzy, jaka im jeszcze została, na jakąś wyjątkową okazję.

Któregoś popołudnia, gdy wlekli się po drodze z brzuchami tak pustymi, że nawet im nie burczały, Rand napomknął o sztylcie z rękojeścią ozdobioną rubinem. Na nadchodzącą noc nie mieli nic w perspektywie oprócz kolejnych krzaków. Nad głowami zbierały się ciemne chmury wróżące nocny deszcz. Miał nadzieję, że będą mieli szczęście może nie grozi im nic więcej prócz lodowatej mżawki.

Uszedł jeszcze kilka kroków, zanim do niego dotarło, że Mat się zatrzymał. Przystanął również, kurcząc palce w okrytych cholewami wysokich butach. Przynajmniej było mu ciepło w nogi. Poluźnił rzemyki wpijające mu się w ramię. Zrolowana derka i tobołek z płaszczem Thoma nie były ciężkie, ale nawet te kilka funtów ważyło sporo, kiedy się pokonało wiele mil z pustym żołądkiem.

— Co się stało, Mat? — zapytał.

— Czemu tak bardzo chcesz go sprzedać? — natarł na niego Mat. — W końcu to ja go znalazłem. Czy wreszcie do ciebie dotrze, że może chciałbym go zatrzymać? Przynajmniej przez jakiś czas. Jeśli już chcesz coś sprzedać, to sprzedaj ten twój przeklęty miecz!

Rand przejechał dłonią po rękojeści z wizerunkiem czapli.

— Ten miecz ofiarował mi mój ojciec. Należał przedtem do niego. Nie prosiłbym, żebyś sprzedał coś, co dostałeś od własnego ojca. Krew i popioły, Mat, czy lubisz chodzić głodny? W każdym razie, nawet gdybym znalazł na niego kupca, to ile dostałbym za miecz? Co by jakiś farmer robił z mieczem? A za taki rubin moglibyśmy dojechać do Caemlyn powozem. Może nawet do Tar Valon. Jedlibyśmy posiłki w karczmach i co noc spalibyśmy w łóżkach. A może podoba ci się pomysł przewędrowania połowy świata i spania na ziemi?

Spojrzał spode łba na Mata, a przyjaciel odwzajemnił spojrzenie.

Stali tak na środku drogi, gdy nagle Mat wzruszył niepewnie ramionami i spuścił oczy.

— Komu miałbym go sprzedać, Rand? Farmer musiałby za niego zapłacić kurczętami, a za kurczęta nie kupilibyśmy powozu. A nawet gdybym go pokazał w którejś z tych wiosek, które minęliśmy, to pewnie pomyśleliby, że ukradliśmy. Światłość wie, co by się wtedy stało.

Po chwili Rand z niechęcią przytaknął.

— Masz rację. Rozumiem. Przepraszam, nie chciałem na ciebie napadać. To tylko dlatego, że jestem głodny i bolą mnie nogi.

— Mnie też. — Znowu zaczęli iść, jeszcze bardziej zmęczeni niż przedtem. Zerwał się silny wiatr, dmuchając im kurzem w twarz. — Mnie też — wykaszał Mat.

Dzięki farmom kilka razy coś jedli i nocowali w ciepłe. Stóg siana był nieomal tak ciepły, jak izba z kominkiem, przynajmniej jeśli się go porównało z leżeniem pod krzakiem, a poza tym taki stóg siana, nawet nie nakryty płachtą, nie chronił tylko przed najbardziej ulewnym deszczem, jeśli się w niego głęboko zagrzebali. Czasami Mat próbował kraść jajka, a raz usiłował wydoić krowę zostawioną bez dozoru na polu, uwiązaną na długim powrozie, żeby się pasła. Niestety jednak większości farm strzegły psy, a psy są czujne. Zdaniem Randa dwumilowy bieg z ujadającymi psami u pięt był zbyt wysoką ceną za dwa albo trzy jajka, szczególnie wtedy, gdy psy całymi godzinami pilnowały drzewa, na którym się przed nimi schowali. Żałował właśnie tych godzin.

Nie lubił tego specjalnie, ale wolał podejść do farmerskiego domu otwarcie przy dziennym świetle. Niekiedy spuszczano na nich psy, bez powiedzenia choć słowa, ponieważ krążące pogłoski i czasy sprawiały, że każdy, kto żył z dala od innych ludzi, robił się nerwowy w obecności obcych, niemniej jednak często za godzinę rąbania drewna albo noszenia wody można było zarobić posiłek i łóżko, nawet jeśli tym łóżkiem była wiązka siana w stodole. Jednakże godzina lub dwie takich posług to była godzina lub dwie dziennego światła, podczas których stali w miejscu, godzina lub dwie, podczas których Myrddraal mógł nadrobić dzielący ich dystans. Czasami zastanawiał się, ile drogi pokonuje Myrddraal w ciągu godziny. Żałował każdej minuty — nieco mniej wtedy, gdy żarłocznie pochłaniał gorącą zupę. A kiedy nie mieli jedzenia, to świadomość, że spędzili każdą minutę na posuwaniu się w stronę Caemlyn, raczej nie uspokajała pustego żołądka. Rand nie potrafił zdecydować, co jest gorsze — strata czasu czy głodowanie, lecz Mat posunął się jeszcze dalej i to, co zaprzętało jego umysł, nie było zwykłym zmartwieniem z powodu pustego brzucha czy pościgu.

— Co my o nich wiemy? — spytał któregoś popołudnia, kiedy sprząтали stajnię na jakiejś małej farmie.

— Światłości, Mat, co oni wiedzą o nas? — zakpił Rand. Pracowali rozebrani do pasa, cali pokryci potem i sianem, w powietrzu unosiły się kłęby kurzu. — Wiem o nich to, że chcą dać nam trochę pieczonej jagnięciny i prawdziwe łóżko do spania.

Mat wbił widły w siano zmieszane z odchodami i spojrzał krzywo na farmera nadchodzącego z tyłu stodoły, z wiadrem w jednym ręku i zydłem do dojenia w drugim. Zgarbiony starzec o stwardniałej skórze i rzadkich siwych włosach zwolnił, gdy zobaczył Mata patrzącego na niego, po czym szybko odwrócił wzrok i wybiegł ze stodoły, z pośpiechu rozlewając mleko.

— Jemu o coś chodzi, powiadam ci — powiedział Mat. — Zauważyłeś, że nie potrafił spojrzeć mi w oczy? Dlaczego oni tu są tacy przyjaźni dla dwóch wędrowców, których nigdy dotąd nie widzieli na oczy? Powiedz mi.

— Jego żona twierdzi, że przypominamy ich wnuków. Czy przestaniesz się wreszcie nimi przejmować? To, czym się powinniśmy przejmować, zostało za nami. Na to liczę.

— Jemu o coś chodzi — mruknął Mat.

Po pracy umyli się w korycie przed stodołą, ich cienie wyciągały się wraz z zachodzącym słońcem. Po drodze do domu Rand wytarł się koszulą. Farmer powitał ich w drzwiach, stał jakby nieco za bardzo niedbale, wspierając się drągiem. Stojąca za nim żona ścisnęła fartuch i wзираła ponad jego ramieniem, zagryzając wargi. Rand westchnął — nie wyglądało na to, że on i Mat nadal przypominają im wnuki.

— Nasi synowie przyjeżdżają dzisiaj z wizytą — powiedział starzec. — Wszyscy czterej. Zapomniałem o tym. Przyjeżdżają wszyscy czterej. Wielkie chłopaki. Silne. Będą tu lada moment. Obawiam się, że nie mamy łóżka, które wam obiecaliśmy.

Jego żona wyciągnęła rękę z niewielkim tobołkiem zrobionym z serwety.

— Proszę. To chleb, ser, pikle i jagnięcina. Starczy pewnie na dwa posiłki. Proszę.

Jej pomarszczona twarz błagała ich, by wzięli posiłek i sobie poszli.

Rand wziął tobołek.

— Dziękuję. Rozumiem. Chodź, Mat.

Mat ruszył za nim, mamrocząc coś i nakładając koszulę przez głowę. Rand uznał, że lepiej będzie, jak pokonają w miarę spory odcinek drogi i dopiero wtedy zjedzą. Stary farmer miał psa.

Mogło być gorzej, pomyślał. Trzy dni wcześniej, jeszcze podczas pracy, poszczuto ich psami. Psy, farmer i jego dwaj synowie wymachujący pałkami ścigali ich do Drogi Caemlyn, a po niej jeszcze pół mili, zanim im się odechciało. Ledwie zdążyli pochwycić swój dobytek i uciec. Farmer miał łuk z naciągniętą strzałą o płaskim grocie.

— Nie wracajcie tu, słyszycie! — krzyczał za nimi. — Nie wiem, o co wam chodzi, ale nie chcę tu więcej widzieć waszych rozbieganych oczu!

Mat zaczął się odwracać, majstrując przy swoim kołczanie, lecz Rand pociągnął go za sobą.

— Zwariowałeś?

Mat spojrzał na niego ponuro, ale przynajmniej nie przestał biec.

Rand zastanawiał się czasami, czy warto się zatrzymywać na farmach. Im więcej drogi mieli za sobą, tym bardziej Mat stawał się podejrzliwy względem obcych i tym mniej był w stanie to ukryć. Albo nie chciał. Za tę samą pracę otrzymywali coraz bardziej skąpe posiłki, czasami nie pozwalano im przespać się nawet w stodole. Wtedy Rand znalazł rozwiązanie dla wszystkich tych problemów, albo przynajmniej tak mu się zdawało. Stało się to na farmie Grinwella.

Pan Grinwell i jego żona mieli dziewięcioro dzieci, najstarsza córka była zaledwie rok młodsza od Randa i Mata. Pan Grinwell był silnym mężczyzną, a dzięki swym dzieciom prawdopodobnie wcale nie potrzebował dodatkowej pomocy, niemniej jednak zmierzył ich wzrokiem od stóp do głów, ogarniając brudne od drogi ubranie i zakurzone buty, wreszcie stwierdził, że dodatkowe ręce zawsze się przydadzą. Pani Grinwell powiedziała, że jeśli chcą jeść przy jej stole, to na pewno nie w tych brudnych rzeczach. Właśnie się zabierała za pranie i niektóre ze starych ubrań jej męża pasowałyby znakomicie na nich, mogą je więc włożyć na czas pracy. Mówiąc to, uśmiechała się i przez chwilę, mimo jasnych włosów, przypominała Randowi panią al'Vere. Nigdy przedtem nie widział włosów tej barwy. Nawet Mat przestał być taki napięty, kiedy zobaczył jej uśmiech. Inaczej sprawy się miały z najstarszą córką.

Ciemnowłosa, wielkooka i piękna Else uśmiechała się do nich bezczelnie za każdym razem, gdy nie widzieli tego rodzice. Kiedy zabrali się za przenoszenie beczek i worków z ziarnem, zawisła na drzwiach przegrody w stajni i zaczęła im się przypatrywać, nucąc coś do siebie i żując koniec długiego warkocza. Głównie przypatrywała się Randowi. Starał się ją ignorować, jednak po kilku minutach włożył na siebie koszulę, którą pożyczył mu pan Grinwell. Była za ciasna w ramionach i za krótka, ale lepsza taka niż nic. Else roześmiała się głośno, kiedy się w nią wciskał. Zaczął myśleć, że tym razem to nie będzie wina Mata, kiedy będą ich ścigać.

„Perrin by wiedział, jak sobie z tym poradzić — pomyślał. — Wygłosiłby zaraz jakąś uwagę, a ona śmiałaby się z jego żartów, zamiast tak się objąć, nie dbając o to, że ojciec może to zobaczyć.”

Tylko że on nie potrafił na poczekaniu nic wymyślić żadnego okrągłego zdania, żadnego żartu. Za każdym razem, gdy spojrzał w jej stronę, uśmiechała się do niego w taki sposób, że jej ojciec po prostu musiałby spuścić psy, gdyby to zobaczył. Raz mu powiedziała, że lubi wysokich mężczyzn. Wszyscy chłopcy z okolicznych farm są niscy. Mat złośliwie zarechotał. Żałując, że nie potrafi obrócić tego w żart, Rand starał się skupić na swoich widłach.

Obecność młodszych dzieci Rand odebrał jak błogosławieństwo. Podejrzliwość Mata zawsze słabła, kiedy w pobliżu były dzieci. Po kolacji wszyscy zasiedli przed kominkiem, pan Grinwell na swoim ulubionym krześle nabijał tytoń do fajki, pani Grinwell zajęła się skrzyneczką z przyborami do szycia i koszulami, które im wyprała. Mat wy dobył

kolorowe piłeczki Thoma i zaczął zonglować. Nigdy tego nie robił, chyba że obok były dzieci. Dzieci śmiały się, gdy udawał, że upuszcza piłeczki, a potem chwycił je w ostatniej chwili, klaskając w dłonie na widok fontanny, ósemki i sześciokrotnego koła, które dla odmiany naprawdę upuścił. Nikomu to nie przeszkadzało, a pan Grinwell i jego żona klaskali równie głośno jak dzieci. Kiedy Mat skończył swój występ i uklonił się wszystkim, używając takich samych wymyślnych gestów jak Thom, Rand wyjął z futerału flet Thoma.

Nie potrafił wziąć do ręki tego instrumentu, nie czując przy tym ukłucia smutku. Dotykając jego złoto-srebrnych ślimacznic przypominało Thoma. Za harfę w ogóle się nie brał, najwyżej po to, by sprawdzić, czy jest w dobrym stanie i nie zamokła — Thom bez przerwy powtarzał, że harfa nie pasuje do niezręcznych rąk wiejskiego chłopca — zawsze jednak, gdy jakiś farmer pozwalał zatrzymać się u niego, grał po kolacji jedną melodię na flecie. Było to coś w rodzaju dodatkowej zapłaty dla farmera, a może i sposób na podtrzymanie pamięci o Thomie.

Pośród wesołego nastroju, który Mat wytworzył swoim zonglowaniem, zagrał *Trzy dziewczęta na łące*. Pan i pani Grinwell klaskali rytmicznie, a młodsze dzieci tańczyły po całej izbie, przytupywał nawet najmniejszy chłopiec, który ledwie umiał chodzić. Wiedział, że podczas Bel Tine nie zdobyłby żadnych nagród, jednakże dzięki naukom Thoma nie wstydziłby się wziąć w nim udziału.

Else siedziała ze skrzyżowanymi nogami przed kominkiem, a kiedy opuścił flet po wygraniu ostatniej nuty, pochyliła się do przodu z przeciągłym westchnieniem i uśmiechnęła do niego.

— Jak ty pięknie grasz. Nigdy nie słyszałam czegoś równie pięknego.

Pani Grinwell nagle przestała szyc, uniosła brew w stronę swojej córki, po czym obdarzyła Randa uważnym, taksującym spojrzeniem.

Podniósł skórzany futerał, by schować flet, lecz pod wpływem tego spojrzenia upuścił go, omal nie wypuszczając z rąk instrumentu. Jeśli go oskarży o bałamucenie córki... Zdesperowany ponownie przyłożył flet do ust i zagrał drugą piosenkę, potem następną i jeszcze jedną. Pani Grinwell nie przestawała go obserwować. Zagrał: *Wiatr, który kołysze wierzba, Powrót do domu z Tarwin Gap, Koguta pani Aynora i Starego, czarnego niedźwiedzia*. Grał wszystkie piosenki, jakie tylko mógł sobie przypomnieć, ale ona ani na moment nie oderwała od niego wzroku. Nie powiedziała też ani słowa, tylko patrzyła i myślała.

Było już późno, gdy pan Grinwell wreszcie wstał, śmiejąc się i zacierając ręce.

— Cóż, rzadka to była uciecha, ale już dawno powinniście być w łóżkach. Wy, wędrowcy, wyznaczacie sobie własne godziny, ale na farmie ranek wcześniej nastaje. Powiem wam, chłopcy, w niejednej karczmie zapłaciłbym spore pieniądze za rozrywkę wcale nie lepszą od tej, którą miałem dzisiejszego wieczora. Za gorszą nawet.

— Moim zdaniem powinni dostać nagrodę — powiedziała pani Grinwell, podnosząc najmłodszego synka, który już wcześniej zasnął przed kominkiem. — Stodoła nie nadaje się do spania. Mogą dziś spać w pokoju Else, a ona będzie spała ze mną.

Else skrzywiła się. Na wszelki wypadek pochyliła głowę, jednak Rand to zauważył. Wydało mu się, że matka też to zauważyła.

Pan Grinwell skinął głową.

— Prawda, prawda, znacznie lepiej niż w stodole. To znaczy, jeśli wam nie przeszkodzi, że będziecie spali we dwóch w jednym łóżku.

Rand zaczerwienił się, bo pani Grinwell wciąż patrzyła na niego.

— Naprawdę chętnie bym jeszcze posłuchał tego fletu — rzekł pan Grinwell. — I jeszcze popatrzyl, jak żonglujesz. To mi się podoba. Wiecie, mam taką pracę, w której moglibyście mi jutro pomóc i...

— Oni chcą wyruszyć wcześniej rano, ojciec — przerwała mu pani Grinwell. — Następną wioską, jaką mają po drodze, jest Arien i jeśli chcą spróbować szczęścia w tamtejszej karczmie, muszą iść cały dzień, żeby dotrzeć przed zmierzchem.

— Tak proszę pani — powiedział Rand. — Tak zrobimy. I dziękujemy.

Uśmiechnęła się do niego z zaciśniętymi wargami, jakby uznała, że podziękował jej raczej za radę, niżli za kolację czy ciepłe łóżko.

Cały następny dzień, gdy wędrowali drogą, Mat wypominał mu Else. Stale więc próbował zmienić temat, a to, co Grinwellowie zasugerowali odnośnie występowania w karczmach, było czymś, co najczęściej przychodziło mu do głowy. Po tym poranku, gdy Else pożegnała go z naburmuszoną miną, a pani Grinwell ostrym spojrzeniem mówiącym „Baba z wozu, koniom lżej” oraz „Im mniej słów, tym lepiej”, omawiając ten pomysł, nie pozwalał Matowi rozpuszczać języka. Gdy dotarli do następnej wioski, okazało się, że korzyści zeń wynikające mogą być jeszcze większe.

Wraz z zapadającym zmierzchem weszli do jedynej karczmy w Arien i Rand zagadał do karczmarza. Zagrał *Prom na rzece* — który zażywny karczmarz nazwał *Ukochaną Sarą* — i część *Drogi do Dun Aren*, a Mat pokazał, jak żongluje. Rezultat był taki, że tej nocy spali w łóżku, a jedli pieczone ziemniaki i gorącą wołowinę. Dostali oczywiście najmniejszą izdebkę w całej karczmie, tuż pod samym podstrzemiesz dachu, a posiłek podano im w samym środku długiej nocy grania i żonglerki, ale koniec końców było to łóżko pod dachem. Zdaniem Randa wyszło nawet jeszcze lepiej, bowiem przez cały poprzedni dzień przecież wędrowali. A gościom karczmy wyraźnie nie przeszkadzało, że Mat patrzy na nich podejrzliwie. Niektórzy z nich sami patrzyli na siebie z ukosa. Czasy były takie, że obcy w miejscu publicznym budzili podejrzliwość, ale w karczmie naturalną kolejną rzeczą zawsze przebywali jacyś obcy.

Od czasu opuszczenia Białego Mostu Rand nie spał nigdzie tak dobrze jak tutaj, mimo tego, że dzielił łóżko z Matem i narażony był na jego posępne mamrotanie.

Rankiem karczmarz próbował ich namówić, żeby zostali jeszcze jakiś dzień lub dwa, ale kiedy mu się nie powiodło, zawołał jakiegoś farmera o zmętniałym wzroku, który za dużo wypił ubiegłego wieczora, by odjechać wozem do swego domu. Godzinę później znajdowali się o pięć mil dalej na wschód, wyciągnięci na pełnym siana wozie Eazila Forneya.

Tak odtąd podróżowali. Dzięki odrobinie szczęścia i jednemu lub dwóm wozom, które ich podwiozły, nieomal zawsze docierali do następnej miejscowości o zmierzchu. Jeżeli w wiosce było więcej karczm niż tylko jedna, karczmarze zaczynali się o nich targować natychmiast po usłyszeniu fletu Randa i zobaczeniu próbki żonglerki Mata. Nawet razem wzięci jeszcze nie przypominali barda, ale wioska nie widziała przez cały rok kogoś takiego. Dwie albo trzy karczmy w miasteczku oznaczały lepszą izbę, z dwoma łózkami i obfitsze porcje mięsa, a czasami nawet kilka miedziaków w kieszeni na odchodne. Rankiem ktoś zawsze ofiarowywał się ich podwieźć, jakiś farmer, który zanadto się zasiedziało i wypił za dużo, albo kupiec, któremu tak się podobał ich występ, że mu nie przeszkadzało, jeśli wskoczyli na któryś z jego wozów. Rand już zaczynał myśleć, że bez kłopotów dotrą do Caemlyn.

Ale właśnie przyjechali do Czterech Króli.

CZTEREJ KRÓLOWIE W CIENIU

Czterej Królowie byli wioską większą od innych, ale i tak zbyt nędzną, by zasługiwać na swoją nazwę. Droga Caemlyn jak zwykle biegła prosto przez sam środek miejscowości, lecz z południa dochodził tu także inny, mocno zjeżdżony gościniec. W większości wiosek znajdowały się targowiska i miejsca zgromadzeń dla okolicznych farmerów, tutaj jednak niewielu farmerów się widywało. Czterej Królowie utrzymywali się, pełniąc rolę przystanku dla karawan wozów kupieckich, udających się do Caemlyn i do górniczych osad w Górach Mgły za Baerlon, jak również wsi leżących przy drodze. Południowa droga pośredniczyła w handlu Lugard z kopalniami na zachodzie. Kupcy lugardzcy, udający się do Caemlyn, mieli dzięki temu bezpośredni szlak. W okolicy było niewiele farm, ledwie dających radę wykarmić siebie i miasteczko, a wszystko we wsi skupiało się na kupcach i ich wozach, ludziach, którzy nimi powozili oraz robotnikach, którzy ładowali towary.

Grudy nagiej gliny, częściowo rozdeptane na pył, pokrywały ziemię na całej powierzchni Czterech Króli, pełnych wozów stojących koło w koło i pozostawionych niemalże na pastwę losu, jeżeli nie liczyć kilku znudzonych strażników. Stajnie i końskie zagrody wytyczały tu ulice, wszystkie dostatecznie szerokie, by mogły przez nie przejeżdżać wozy. Pokryte głębokimi koleinami od zbyt wielu kół. Nie było żadnych błoni wioskowych, a w koleinach bawiły się dzieci, umykając przed wozami i przekleństwami woźniców. Kobiety, z głowami okrytymi chustkami, miały spuszczone oczy i chodziły szybkim krokiem, czasami z wozów ścigała je taka uwaga, że Rand słysząc ją czerwienił się, nawet Mat czasami się wzdrygał. Żadna kobieta nie plotkowała przez płot z sąsiadką. Ponure, drewniane domy stały jeden przy drugim, przedzielone jedynie wąskimi alejkami. Czasami były pobielone wapnem — tam, gdzie komuś chciało się bielić zmurszałe deski — na ogół jednak domki były wyblakłe, jakby ich nie odświeżano od lat. Ciężkich okiennic nie otwierano od tak dawna, że zawiasy stanowiły lite grudy rdzy. Nad wszystkim wisiał hałas, szczękanie dochodzące z kuźni, okrzyki woźniców, ochryple śmiechy z karczm.

Rand zsunął się z nakrytego płótnem wozu kupieckiego, kiedy zrównali się z jaskrawo pomalowaną karczmą, całą w zieleniach i żółciach, które w otoczeniu szarych, ołowianych domów z daleka przyciągały wzrok. Szereg wozów nie przestawał się toczyć dalej. Żaden z woźniców nie wydawał się zauważyć, że Rand z Matem zniknęli. Zapadał zmierzch, interesował ich już tylko wypręg koni i dotarcie do karczmy. Rand potknął się o koleinę i szybko zerwał się, by uniknąć obładowanego wozu nadjeżdżającego z turkotem z przeciwległej strony. Kiedy wóz przetaczał się obok niego, woźnica cisnął przekleństwo. Wyminęła go jakaś kobieta i pośpieszyła przed siebie, nawet nie spojrzawszy mu w oczy.

Mat obrzucił go wzgardliwym spojrzeniem i wzniosł oczy ku niebu. W górze gęstniały ciemne chmury.

— Chcesz dzisiaj spać pod płótnem? Tutaj? Ja już się przyzwyczailem do łóżka. — Przekrzywił głowę, nasłuchując, po czym mruknął: — Może gdzieś tutaj nie ma muzyków. W każdym razie założę się, że nie mają żonglera.

Przesunął łuk na plecy i ruszył w stronę jaskrawożółtych drzwi, przyglądając się wszystkiemu zmrużonymi oczyma. Rand szedł za nim, pełen wątpliwości.

W środku byli muzycy, dźwięki ich cytry i bębna nieomal tonęły w ochryplym śmiechu i pijackich okrzykach. Rand nawet nie próbował znaleźć właściciela. W kolejnych dwóch karczmach też mieli muzyków i tę samą ogłuszającą kakofonię. Przy stołach siedzieli zwyczajnie ubrani ludzie, inni, potykając się i wymachując kufłami, zaczepiali usługujące panny, które umykały z przylepionymi, cierpiętniczymi uśmiechami. Budynek trząsał się od wrzawy, wisiał w nim kwaśny zapach, odór starego wina i niemytych ciał. Po kupcach w jedwabiach, aksamitach i koronkach nie było ani śladu, prywatne izby jadalne na górze chroniły ich uszy i nosy. Razem z Matem wsunęli tylko głowy przez drzwi i zaraz odeszli. Rand już zaczynał myśleć, że nie mają innego wyboru, tylko ruszać w dalszą drogę.

W czwartej karczmie, nazywającej się „Tańczący furman”, było cicho.

Gospoda była równie jaskrawa jak inne, żółta, obramowana jasną czerwienią i żółtawą, wykrzywającą oko zielenią. Pomimo że farba popękała i łuszczyła się, Rand i Mat weszli do środka.

Przy stołach wypełniających ogólną izbę siedziało zaledwie kilku ludzi, zgarbionych nad kufłami, każdy ponuro osamotniony ze swoimi myślami. Interes najwyraźniej szedł kiepsko, ale kiedyś był lepszy. Dokładnie tyle samo posługaczek ile było gości krzątało się dookoła. Miały mnóstwo roboty — podłogę zalegały okruchy brudu, a narożniki sufitu wypełniały pajęczyny — lecz większość z nich nie robiła dokładnie nic użytecznego, jakby poruszały się tylko po to, by nie stać w miejscu.

Kiedy weszli do środka, kościsty mężczyzna z długimi, skręconymi włosami spadającymi mu na ramiona obrzucił ich chmurnym spojrzeniem. Przez Czterech Króli przetoczył się pierwszy, powolny łoskot grzmotu.

— Czego chcecie? — Ocierał ręce o tłusty fartuch zwisający mu do kostek. Rand zastanowił się, czy więcej brudu zostawało na fartuchu czy na rękach mężczyzny. Po raz pierwszy widział tak chudego karczmarza. — No co jest? Gadajcie, kupcie sobie wina albo wynoście się stąd! Czy ja przypominam skrzynkę z osobliwościami?

Czerwieniąc się, Rand wystąpił z pokazem, który udoskonalał we wszystkich dotychczasowych karczmach.

— Ja gram na flecie, mój przyjaciel żongluje, przez rok nie zobaczysz lepszych od nas. Za dobry pokój i dobry posiłek napełnimy tę twoją karczmę ludźmi. — Przypomniał sobie zatłoczone karczmy, które widział tego wieczora, szczególnie mężczyznę, który w ostatniej z nich wymiotował na podłogę, tuż przed nim. Musiał natychmiast uskoczyć, żeby nie ubrudził mu butów. Zawahał się, ale wziął się garść i mówił dalej. — Zapełnimy twoją karczmę ludźmi, którzy dwudziestokroć spłacą nas tym jedzeniem i piciem, które tu kupią. Dlaczego mielibyśmy...

— Mam człowieka, który gra na cymbałach — odparł kwaśnym tonem karczmarz.

— Masz pijaka, Samlu Hake — powiedziała jedna z posługaczek. Przechodziła właśnie obok z tacą i dwoma kufłami, zatrzymała się, obdarzając Randa i Mata serdecznym uśmiechem. — Na ogół widzi tak źle, że nie jest w stanie znaleźć ogólnej izby — zwierzyła im się głośnym szeptem. — Od dwóch dni go nie widziałam.

Nie odrywając oczu od Randa i Mata, Hake najzwyczajniej w świecie uderzył ją w twarz. Mruknęła ze zdziwieniem i upadła ciężko na brudną podłogę, jeden z kufli rozbił się, a rozlane wino pociekło strumyczkami po brudnej nodze.

— Zapłacisz za wino i rozbite naczynie. Przynieś im świeże napoje. I pośpiesz się. Ludzie nie płacą za to, żebyś się tu wałkonila.

Jego głos był równie bezceremonialny jak tamten cios. Żaden z gości nie podniósł wzroku znad swojego wina, pozostałe posługaczki odwróciły oczy.

Zażywna kobieta potarła policzek i popatrzyła na Hake'a spojrzeniem, w którym czaiła się żądza mordu, odstawiła jednak pusty kielich na tacę, pozbierała okruchy szkła i odeszła bez słowa.

Hake w zamyśleniu wciągnął powietrze, przyglądając się Randowi i Matowi. Jego wzrok na moment przywarł do miecza ze znakiem czapli.

— Wiecie co — powiedział w końcu. — Mam kilka sienników w pustym magazynie na tyłach. Pokoje są zbyt drogie, bym je rozdawał za darmo. Zjecie, jak już wszyscy sobie pójdą. Powinno coś zostać.

Rand żałował, że w Czterech Królach nie ma jeszcze jakiejś karczmy, w której mogliby spróbować. Od czasu ucieczki z Białego Mostu spotykał się z chłodem, obojętnością i otwartą wrogością, nic jednak nie wywoływało w nim takiego uczucia niepokoju, jak ten człowiek i ta wieś. Powtarzał sobie, że to tylko przez brud, nędzę i harmider, jednakże złe przecucia go nie opuszczały. Mat przypatrywał się Hake'owi, jakby

podejrzewał jakąś pułapkę, nie dał jednak znaku, że woli zrezygnować z „Tańczącego furmana” na rzecz łożka pod płótem. Łoskot grzmotu zawibrował w szybach okien. Rand westchnął.

— Sienniki wystarczą, jeśli są czyste i jeśli dostaniemy kilka czystych kocy. Ale zjemy dwie godziny po zapadnięciu zmroku, nie później, i to najlepszą strawę, jaką macie. To tyle. Pokażemy teraz, co potrafimy.

Sięgnął po futerał z fletem, ale Hake pokręcił głową.

— Nie trzeba. Tej bandzie spodoba się każde rzępolenie, byleby brzmiało jak muzyka. — Jego wzrok ponownie przemknął się po mieczu Randa, blady uśmiech rozciągał wyłącznie usta. — Zjecie, kiedy będziecie chcieli, ale jeśli nie sprowadzicie tu tłumów, będziecie musieli wynieść się na ulicę.

Skinął teraz przez ramię w stronę dwóch mężczyzn o ponurych twarzach, którzy siedzieli pod ścianą. Nie pili, ich ramiona były równie grube jak uda. Kiedy Hake na nich skinął, obdarzyli Randa i Mata spojrzeniem tępym, bez wyrazu.

Rand dotknął dłonią rękojeści miecza, mając nadzieję, że twarz nie odbija tego, co dzieje się z jego żołądkiem.

— O ile dostaniemy to, co postanowione — powiedział spokojnym tonem.

Hake zamrugał i przez chwilę sam wyglądał na zdenerwowanego. Nagle skinął głową.

— To właśnie powiedziałem, czy tak? Dobra, zaczynajcie. Nie sprowadzicie tu nikogo, jak będziecie tak stali.

Odszedł, rzucając groźne spojrzenia i pokrzykując na posługaczki, jakby w karczmie siedziało pięćdziesięciu klientów, których zaniedbywały.

W przeciwległym końcu sali znajdowało się niewielkie podwyższenie, tuż obok tylnych drzwi. Rand przeniósł na nie ławkę, umieścił obok płaszcz, koc i zwinięty płaszcz Thoma ulokował z tyłu, a na tym wszystkim położył miecz.

Zastanawiał się, czy to było rozsądne, że nosił otwarcie swój miecz. Miecze są dość powszechne, ale znak czapli przyciągał uwagę i domysły. Nie ze strony wszystkich, ale każdy wzrok, w którym widzieli rozpoznanie, sprawiał, że czuli się niezręcznie. Mógł zostawiać wyraźny ślad dla Myrddraala — o ile Pomory potrzebują tego typu śladów. Nie było to takie oczywiste. W każdym razie nie miał ochoty przestać go nosić. Dał mu go Tam. Jego ojciec. Dopóki będzie nosił miecz, dopóty między nim a Tamem będzie istniał jakiś związek, więź, która nadawała mu prawo nazywania Tama ojcem.

„Już za późno”, pomyślał.

Nie był pewien, o co mu chodzi, ale był pewien, że to prawda.

„Za późno.”

Przy pierwszej nucie *Koguta z północy* kilku gości we wspólnej izbie podniosło głowy znad swojego wina. Nawet dwóch porządkowych pochyliło się odrobinę do przodu.

Wszyscy klaskali, gdy skończył, łącznie z dwoma drabami, a potem raz jeszcze, gdy Mat pokazał deszcz kolorowych piłeczek, które obracał w rękach. Niebo na zewnątrz znowu zamruczało. Deszcz jeszcze się ociągał, ale wyczuwało się już stężenie powietrza, im dłużej zwlekał, tym ulewniej miał potem padać.

Wiadomość o ich przybyciu rozeszła się i zanim zapadł zmierzch, w karczmie było pełno ludzi, śmiejących się i mówiących tak głośno, że Rand ledwie słyszał, co gra. Jedynie grzmoty zagłuszały hałas panujący w ogólnej izbie. W oknach błyszczały błyskawice, o dach bębniły krople deszczu. Z ludzi, którzy teraz przychodzili, ściekały na podłogę strumienie wody.

Za każdym razem, gdy przestawał grać, z ogólnej wrzawy podnosiły się głosy wykrzykujące nazwy melodii. Wielokrotnie nic mu nie mówiły, chociaż gdy udało mu się kogoś namówić, aby mu zanucił, okazywało się, że znał tę piosenkę. Tak było już przedtem, w innych miejscach. *Wesoły Jaim* był tutaj *Pchłą Rhei*, a gdzie indziej *Barwami słońca*. Niektóre tytuły były takie same, inne zmieniały się na przestrzeni dziesięciu kilometrów, nauczył się też nowych piosenek. *Pijany kupiec* był nowy, choć czasami nazywano go *Druciarzem w kuchni*. *Dwóch królów na polowaniu* były *Dwoma pędzącymi końmi* i oprócz tego kilkoma innymi tytułami. Grał te, które znał, a ludzie walili w stoły, chcąc jeszcze.

Inni wołali, by Mat znowu żonglował. Czasami wybuchały bójki między tymi, którzy chcieli muzyki, a tymi, którzy byli wielbicielami żonglerki. Raz błysnął nóż, jakaś kobieta krzyknęła przeraźliwie, a mężczyzna odpadł od stołu z twarzą zalaną krwią, lecz Jak i Strom, dwóch porządkowych, wkroczyli szybko i z całkowitą bezstronnością, wszystkich mających w tym udział, wyrzucili na ulicę z guzami na głowach. Taka była ich taktyka w przypadku wszelkich kłopotów. Rozmowy i śmiech nie ustawały, jakby nic się nie zdarzyło. Nikt się nawet nie rozejrzył dookoła, z wyjątkiem tych, których porządkowy potrącił w drodze do drzwi.

Goście mieli też lekkie ręce, jeśli któraś z posługaczek zrobiła się nieuważna. Nieraz Jak albo Strom musieli ratować którąś z kobiet, choć żaden z nich nie był przy tym zbyt szybki. Hake zawsze krzyczał i potrząsał taką kobietą, całą winę zawsze jej przypisując, a załzawione oczy i wyjąkane przeprosiny mówiły, że ona woli uznać jego zdanie. Kobiety drgały nerwowo, gdy tylko Hake się zmarszczył, nawet jeśli patrzył gdzie indziej. Rand zastanawiał się, dlaczego żadna z tym nie skończy.

Hake uśmiechał się, gdy patrzył na Randa i Mata. Po jakimś czasie Rand pojął, że Hake nie uśmiecha się do nich, uśmiech pojawiał się w momencie, gdy jego wzrok prześlizgnął się dalej, tam gdzie leżał miecz ze znakiem czapli. Raz, kiedy Rand odłożył srebrno-złoty flet obok swojego zydła, instrument również doczekał się uśmiechu.

Następnym razem, gdy zmienili się z Matem miejscami przed podwyższeniem, pochylił się, by przemówić przyjacielowi do ucha. Nawet z tak bliska musiał mówić głośno, jednak dzięki hałasowi raczej nikt nie mógł ich podsłuchać.

— Hake ma zamiar nas okraść.

Mat skinął głową, jakby niczego innego się nie spodziewał.

— Będziemy musieli się zabarykadować dzisiejszej nocy.

— Zabarykadować? Jak i Strom wyważą drzwi pięściami. Wynieśmy się stąd.

— Ale najpierw przynajmniej coś zjedzmy. Jestem głodny. Tutaj nic nam nie zrobią — dodał Mat. Ludzie stłoczeni w ogólnej izbie pokrzykiwali do nich niecierpliwie, pragnąc dalszej zabawy. Hake patrzył na nich groźnie. — Mimo wszystko chcesz dzisiaj spać na dworze?

Szczególnie głośny huk gromu zagłuszył wszystkie inne dźwięki, przez moment światło wpadające przez okna było jaśniejsze niż lampy.

— Chcę tylko się stąd wydostać bez rozbitej głowy — wyjaśnił Rand, ale Mat już się pochylał, by usiąść na zydlu.

Rand westchnął i zagrał *Drogę do Dun Aren*. Wielu ludziom ta melodia wydawała się nadzwyczaj podobać, grał ją już cztery razy, a nadal krzykiem prosili o jeszcze.

Kłopot polegał na tym, że Mat miał rację. On też był głodny. Nie widział sposobu, w jaki Hake mógłby im narobić kłopotów w izbie, w której było tłoczno i wciąż robiło się pełniej. Na miejsce każdego człowieka, który wyszedł, albo został wyrzucony przez Jaka i Stroma, przybywało z ulicy dwóch następnych. Krzykiem żądali zonglerki albo jakiejś określonej melodii, lecz na ogół interesowało ich picie i zaczepianie posługaczek. Jednak jeden z mężczyzn zachowywał się inaczej.

Wyróżniał się na tle tłumu w „Tańczącym furmanie”, i to pod każdym prawie względem. Kupcy najwyraźniej nie potrzebowali walącej się karczmy, i o ile się zorientował, nie było tu nawet dla nich prywatnych pokoi. Wszyscy goście byli lichy ubrani, na ich twarzach wryło znaki zarówno piekące słońce, jak i smagający wiatr. Ten mężczyzna był smukły i umięśniony, miał delikatne dłonie, odziany był w aksamitny kaftan, a na ramionach ciemnozielony aksamitny płaszcz podbity błękitnym jedwabiem. Całe ubranie zostało uszyte przez drogiego krawca. Jego buty — miękkie, aksamitne trzewiki, a nie zwykłe wysokie buty ze skóry — nie nadawały się na błotniste drogi Czterech Króli, ani w ogóle na żadne ulice.

Przyszedł do karczmy, kiedy już było ciemno, otrząsnął płaszcz z deszczu i rozejrzał się dookoła, krzywiąc usta z niesmakiem. Raz jeszcze obiegnął wzrokiem izbę, już zawracając, by wyjść, gdy nagle drgnął na widok czegoś, czego Rand nie widział i usiadł przy stole, który właśnie opuścili Jak i Strom. Posługaczka stanęła przy nim, po czym przyniosła mu kielich wina, który odsunął na bok i którego później już nie dotknął. Za każdym razem dziewczyna wyraźnie chciała jak najszybciej odejść od jego stołu, mimo że nie próbował jej dotknąć, nawet na nią nie patrzył. Cokolwiek takiego w nim było, co wywoływało jej niepokój, widzieli także inni, którzy podchodzili bliżej. Pomimo jego łagodnego wyglądu, za każdym razem, gdy jakiś woźnica o dłoniach pokrytych

odciskami decydował się usiąść obok niego, wystarczyło jedno spojrzenie, by odesłać go gdzieś indziej. Siedział tak, jakby w izbie nie było nikogo innego oprócz niego... oraz Randa i Mata. To na nich patrzył ponad złożonymi rękoma, a każdy palec połyskiwał pierścieniami. Obserwował ich z zadowolonym uśmiechem rozpoznania.

Rand szepnął do Mata, kiedy znowu zamieniali się miejscami, a ten skinął głową.

— Widziałem go — mruknął. — Kto to jest? Stale mi się wydaje, że go znam.

Ta sama myśl przyszła do głowy Randowi, usadowiła się łaskotliwie gdzieś w głębi jego umysłu, lecz pomimo wysiłku za nic nie potrafił jej wydobyć na wierzch. Był jednak pewien, że jest to twarz, której nigdy dotąd nie widział.

Występowali już dwie godziny, na ile Rand był w stanie ocenić, wsunął więc flet do futerału i pozbierali swój dobytek. Kiedy już schodzili z niskiego podium, nadbiegł w ich stronę brutalnie torujący sobie drogę Hake, jego wąską twarz wykrzywiała złość.

— Pora coś zjeść — ubiegł go Rand — i nie chcemy, aby nam ukradziono rzeczy. Czy powiesz kucharzowi? — Hake zawahał się, nadal rozzłoszczony, bez powodzenia starając się oderwać wzrok od tego, co Rand trzymał w objęciach. Rand swobodnym ruchem przemieścił swoje tobołki, dzięki czemu mógł wesprzeć jedną dłoń na mieczu. — Albo spróbuj nas stąd wyrzucić — Powiedział to ze specjalnym naciskiem i dodał: — Możemy jeszcze grać do późnej nocy. Musimy podtrzymać siły, jeśli mamy występować wystarczająco dobrze, aby ten tłum nadal wydawał tu pieniądze. Jak długo, twoim zdaniem, w tej izbie będzie tłoczno, jeśli pomdlejemy z głodu?

Oczy Hake'a przeleciały po izbie pełnej ludzi napychających mu kieszeń pieniędzy, odwrócił się i wetknął głowę za drzwi znajdujące się w tyle karczmy.

— Nakarmić ich! — krzyknął.

Kiedy obchodził Randa i Mata, skrzywił się.

— Tylko nie jedzcie przez całą noc — dorzucił. — Spodziewam się, że będziecie tu, dopóki nie wyjdzie ostatni gość.

Niektórzy z gości krzykiem domagali się muzyka i zonglera. Hake odwrócił się, aby ich uspokoić. Do tych zaniepokojonych zaliczał się mężczyzna w aksamitnym płaszczu. Rand dał znak Matowi, żeby poszedł za nim.

Kuchnię od pozostałej części karczmy oddzielały grube drzwi i z wyjątkiem chwil, w których otwierały się, by przepuścić posługaczkę, deszcz uderzający o dach zagłuszał okrzyki rozlegające się w ogólnej sali. Było to duże pomieszczenie, gorące, wypełnione parą z kuchni i pieców. Ogromny stół częściowo przykrywało naszykowane jedzenie oraz gotowe do podania talerze. Kilka posługaczek siedziało zbitych w gromadę na ławie obok tylnych drzwi, rozcierały stopy i wszystkie naraz prowadziły rozmowę z grubą kucharką, która na przemian im odpowiadała, machając wielką łyżką, aby podkreślić wagę swoich słów. Wszystkie podniosły wzrok, kiedy pojawili się Rand i Mat, ale nie przestały rozmawiać ani rozcierać stóp.

— Powinniśmy stąd odejść, kiedy mamy okazję — powiedział cicho Rand.

Mat jednak potrząsnął głową, utkwivszy wzrok w dwóch talerzach, które kucharka napełniła wołowiną, ziemniakami i grochem. Ledwie na nich spojrzała, podtrzymując rozmowę z kobietami, jednocześnie łokciem odsunęła przedmioty ze stołu, ustawiła talerze, obok nich kładąc widelce.

— Kiedy już zjemy, będzie dość czasu.

Mat osunął się na ławę i zaczął się posługiwać widelcem, niczym łopatą.

Rand westchnął, zaraz jednak poszedł w ślad Mata. Od poprzedniej nocy zjadł tylko jedną kromkę chleba. Jego brzuch był tak pusty jak sakiewka żebraka, a zapachy wypełniające kuchnię nie sprzyjały heroicznym próbom opanowania głodu. Szybko napełniał usta, a widząc, że Mat prosi o dokładkę, podał swój talerz kucharce, zanim opróżnił go do połowy.

Nie miał zamiaru podsłuchiwać rozmowy kobiet, ale niektóre słowa dotarły do niego i przykuły jego uwagę.

— Moim zdaniem to szaleństwo.

— Szaleństwo czy nie, ale to właśnie słyszałam. Obszedł połowę karczem w mieście, zanim tutaj przyszedł. Po prostu wchodził, rozglądał się dookoła i wychodził, nie mówiąc ani słowa, nawet w Oberży Królewskiej. Jakby wcale nie padało.

— Może uznał, że tu mu będzie najwygodniej.

To wywołało lawinę śmiechu.

— Słyszałam, że dotarł do Czterech Króli dopiero po zmierzchu, a jego konie są tak zdyszane, jakby całą drogę je popędzano.

— Skąd on jest, że dotarł tu dopiero po ciemku? Nikt, poza głupcem albo szaleńcem tak nie podróżuje i nie planuje tak źle swojej podróży.

— Cóż, może to i głupiec, ale za to bogaty. Słyszałam, że ma jeszcze jeden powóz ze służącymi i bagażem. Ma pieniądze, pamiętajcie moje słowa. Widziałyście jego płaszcz? Sama bym chciała taki mieć.

— Jest trochę za gruby jak na mój gust, ale zawsze powiadam, że żaden mężczyzna nie jest za tłusty, jeśli ma dość złota.

Zachichotały jeszcze głośniejsze, a kucharka odchyliła głowę i ryknęła śmiechem.

Rand odłożył widelec. W głowie zawirowała mu myśl, która mu się wcale nie spodobała.

— Wracam za minutę — powiedział.

Mat ledwie skinął głową, zajęty wpychaniem do ust ziemniaka.

Wstając, Rand podniósł miecz i płaszcz i skierował swe kroki do tylnych drzwi. Nikt nie zwrócił na niego uwagi.

Łało jak z cebra. Narzucił płaszcz na ramiona, nasunął kaptur na głowę i przytrzymując płaszcz, przeszedł przez dziedziniec. Wszystko skrywały kurtyny

wody i choć tylko rzadko błyskały błyskawice, znalazł to, czego szukał. Konie zostały zaprowadzone do stajni, lecz stały tam dwa polakierowane na czarno, połyskujące od wilgoci powozy. Zahuczał grzmot, a nad karczmą przemknęła błyskawica. W krótkim przeblysku światła odczytał nazwisko wypisane złotymi literami na drzwiczkach powozu. Howal Gode.

Nie zważając na siekący deszcz, niewidzącym wzrokiem wpatrywał się w nazwisko. Pamiętał, gdzie ostatni raz widział polakierowane na czarno powozy z nazwiskami właścicieli na drzwiczkach i przylizanych, przekarmionych mężczyzn w aksamitnych trzewikach i takich płaszczach podbitych jedwabiem. Biały Most. Kupiec z Białego Mostu miałby doskonale uzasadniony powód, żeby jechać do Caemlyn.

„Powód, który każe mu odwiedzić połowę karczmy w mieście, zanim zdecyduje się na taką, w której ty jesteś? Powód, który każe mu patrzeć na ciebie, jakby właśnie znalazł to, czego szukał?”

Rand zdrzął i nagle poczuł, że po plecach ściekają mu strumyczki deszczu. Jego grubo tkany płaszcz nie był jednak przeznaczony na taką ulewę. Pośpiesznie wrócił do karczmy, rozbryzgując kałuże. Kiedy przechodził przez drzwi, drogę zastąpił mu Jak.

— Proszę, proszę. Samotny w takich ciemnościach. Ciemności są niebezpieczne, chłopcze.

Deszcz przylepił Randowi włosy do czoła. Na dziedzińcu nie było nikogo oprócz nich. Zastanawiał się, czy Hake nie stwierdził, że pragnie jego miecza i fletu tak bardzo, iż nie dba już o liczbę gości.

Jedną ręką otarł wodę z oczu, a drugą położył na rękojeści. Mimo że była mokra, pewnie uchwycił elegancką skórę.

— Czyżby Hake stwierdził, że wszyscy ci ludzie zostaną tu, zamiast iść tam, gdzie też jest rozrywka? Jeśli tak, to nazwij ten posiłek zapłatą za wszystko, co do tej pory zrobiliśmy, a teraz ruszamy w dalszą drogę.

Stojący w suchym wejściu wielki mężczyzna wyjrzał na deszcz i parsknął.

— W tym? — Jego wzrok prześlizgnął się ku dłoni Randa spoczywającej na mieczu. — Wiesz, ja i Strom założyliśmy się. On uważa, że ukradłeś go swojej babce. Ja zaś myślę, że twoja babka powinna cię kopniakami przegonić dookoła chlewika i powiesić, abyś wysechł. Wyszczrzył w uśmiechu krzywe, żółte zęby. Z tym uśmiechem wyglądał jeszcze bardziej paskudnie. — Noc jest jeszcze długa, chłopcze.

Rand przeszedł obok, niemalże ocierając się o niego, porządkowy poszedł w ślad za nim, śmiejąc się obrzydliwie.

W środku zrzucił z siebie płaszcz i osunął się na ławkę przy stole, który opuścił zaledwie kilka minut wcześniej. Mat skończył drugi talerz i właśnie zmagął się z trzecim, jedząc już wolniej, ale z namaszczaniem, zdecydowany zjeść każdy kęs, nawet gdyby go to miało zabić. Jak zajął miejsce przy drzwiach wychodzących na dziedziniec, wsparty

o ścianę obserwował ich. Nawet kucharka wyraźnie nie miała ochoty rozmawiać, kiedy tam stał.

— On jest z Białego Mostu — powiedział cicho Rand.

Nie było potrzeby wyjaśniać, jaki „on”. Głowa Mata obróciła się w jego stronę, kawałek wołowiny na końcu widelca zawisł w połowie drogi do ust. Wiedząc, że Jak go obserwuje, Rand zaczął grzebać w talerzu z jedzeniem. Nie był w stanie przełknąć ani kęsa, mimo że wcześniej umierał z głodu. Starał się jednak udawać, że jest zainteresowany groszkiem i jednocześnie opowiadał Matowi o powozach i o tym, co mówiły kobiety, na wypadek, gdyby tamten nie słyszał.

Najwyraźniej nie słuchał, bo zamrugnął ze zdziwienia gwizdnął przez zęby, potem skrzywił się do mięsa nabitego na widelec i chrząknął, odrzucając je na talerz. Rand z całych sił pragnął, żeby przynajmniej postarał się zachować ostrożność.

— Goni nas — powiedział Mat, kiedy skończył. Bruzdy na jego czole pogłębiły się. — Sprzymierzeniec Ciemności?

— Może. Nie wiem. — Rand zerknął na Jaka, wielki mężczyzna przeciągał się mozolnie, wstrząsając ramionami równie grubymi, jak u kowala. — Myślisz, że uda nam się przejść obok niego?

— Na pewno nie tak, by nie narobił hałasu, który sprowadzi tu Haka i tego drugiego. Wiedziałem, że nie powinniśmy się tu zatrzymywać.

Rand zadumał się, ale zanim zdążył cokolwiek powiedzieć, przez drzwi z ogólnej izby wpełznął się Hake. Ponad jego ramieniem górował zwałiście Strom. Jak zasłonił swoim ciałem tylne drzwi.

— Macie zamiar jeść całą noc? — warknął Hake. — Nie karmię was po to, żebyście się tu wylegiwali.

Rand spojrzął na przyjaciela. Nie teraz, dał mu do zrozumienia Mat. Czując na sobie baczny wzrok Hake’a, Stroma i Jaka pozbięrali rzeczy.

Gdy tylko Rand i Mat pojawili się w ogólnej izbie, natychmiast podniosły się wołania o zonglowanie i rzucano nazwy piosenek. Mężczyzna w aksamitnym płaszczu — Howal Gode — nadal wydawał się ignorować wszystkich wokół niego, niemniej jednak siedział na brzegu krzesła. Na ich widok rozparł się wygodniej, na jego wargi wrócił zadowolony uśmiech.

Rand wystąpił jako pierwszy, grając *Nabieranie wody ze studni*, jedynie część myśli poświęcił grze. Nikt, jak się wydawało, nie zauważył kilku fałszywych nut. Usiłował znaleźć jakiś sposób ucieczki, starał się również uniknąć patrzenia na Godego. Jeśli on ich ścigał, to lepiej było mu nie pokazywać, że o tym wiedzą. Jeśli zaś chodzi o ucieczkę...

Dotychczas nie rozumiał, jaką dobrą pułapką jest ta karczma. Hake, Jak i Strom nawet nie musieli bez przerwy na nich patrzeć, zgromadzeni ludzie daliby im znać, że

on albo Mat opuścili podium. Tak długo jak ogólna izba była pełna ludzi, Hake nie mógł napuścić na nich Jaka i Stroma, ale w tym czasie nie mogli też uciec bez wiedzy Hake'a. Gode również obserwował każdy ich ruch. To było tak śmieszne, że pewnie śmiałyby się, gdyby go nie mdliło ze strachu. Należało zachować czujność i czekać na okazję.

Rand jęknął w duchu, kiedy zastąpił go Mat. Przyjaciel spođe łba obserwował Hake'a, Stroma i Jaka, nie dbając zupełnie o to, czy to zauważają ani czy przypadkiem nie zacznie ich to zastanawiać. Kiedy nie podrzucał piłek, jego dłoń spoczywała w zanadru płaszcza. Rand syknął, ale nie zwrócił na niego uwagi. Jeśli Hake zauważy ten rubin, to może nie czekać do czasu, gdy będą sami. Jeśli ludzie w ogólnej izbie go zobaczą, to połowa z nich może się przyłączyć do Hake'a.

Co gorsza, Mat wpatrywał się w kupca z Białego Mostu — Sprzymierzeńca Ciemności? — dwa razy uporczywiej niż w kogokolwiek innego i Gode to zauważył. Nie mógł nie zauważyć. Bynajmniej nie zakłóciło to jego pewności siebie. Uśmiech pogłębił się, potem skinął głową w stronę Mata, jak do starego znajomego, a spojrzawszy na Randa uniósł pytająco brew. Rand nie chciał wiedzieć, czego dotyczy pytanie. Starał się uniknąć patrzenia na mężczyznę, wiedząc jednak, że jest już za późno.

„Za późno. Znowu za późno.”

Tylko jedna rzecz zdawała się zakłócać równowagę mężczyzny w aksamitnym płaszczu. Miecz Randa. Tym razem nie zasłaniał rękojeści. Dwóch czy trzech ludzi podeszło doń chwiejnie, by spytać, czy jego zdaniem gra tak źle, że potrzebuje takiej obrony, żaden z nich jednak nie zauważył czapli na rękojeści. Gode zauważył. Zacisnął swe blade dłonie w pięści i marszcząc czoło, długo się przyglądał mieczowi, dopiero po chwili jego uśmiech powrócił. Nie był już jednak tak pewny jak przedtem.

„Przynajmniej jedna dobra rzecz — pomyślał Rand. Jeśli on myśli, że ja żyję zgodnie z tym znakiem czapli, to może zostawi nas w spokoju. Zatem będziemy się zajmowali tylko Hakem i jego łobuzami.”

Nie była to nazbyt pocieszająca myśl i, miecz, nie miecz, Gode nie przestawał patrzeć. Wciąż się uśmiechał.

Rand miał wrażenie, że noc trwa już cały rok. Wszystkie te oczy: Hake, Jak i Strom, jak sępy wpatrzone w owcę, która ugrzęzła w bagnie, i Gode wyczekujący, jako jeszcze gorsze niebezpieczeństwo. Zaczął myśleć, że wszyscy w izbie patrzą nań, skrywając jakieś straszliwe zamiary. Od oparów kwaśnego wina i smrodu brudnych, spoconych ciał kręciło mu się w głowie, harmider spowodował, że zaćmiło mu się w oczach i nawet dźwięk własnego głosu drażnił uszy. Trzask piorunów zdawał się rozlegać we wnętrzu czaszki. Zmęczenie ciążyło mu niczym żelazny odważnik.

Wreszcie konieczność wstania o świcie zaczęła wyciągać niechętnych ludzi w mrok. Farmerzy odpowiadali tylko przed sobą, ale kupcy byli znani z tego, że nie przepadają

za kacem, kiedy muszą płacić woźnikom. Po północy ogólna izba powoli opustoszała, nawet ci, którzy mieli pokoje na górze, chwiejnie udali się na poszukiwanie swych łóżek.

Gode był ostatnim gościem. Kiedy Rand ziewając sięgnął po skórzany futerał na flet, Gode wstał i przewiesił płaszcz przez ramię. Posługaczki sprzątały, pomrukując coś między sobą na temat rozlanego wina i rozbitych naczyń. Hake zamykał frontowe drzwi wielkim kluczem. Gode na chwilę przyparł go do ściany i Hake zawołał jedną z kobiet, aby dała mu jakiś pokój. Mężczyzna w aksamitnym płaszczu pożegnał Randa i Mata porozumiewawczym uśmiechem i zniknął na górze.

Hake patrzył na Randa i Mata. Jak i Strom stali obok siebie, ramię w ramię.

Rand pośpiesznie umieścił swoje rzeczy na ramieniu, przytrzymując je niezgrabnie lewą ręką, tak by móc swobodnie dosięgnąć miecza. Jego dłoń nie wykonała najmniejszego ruchu w jego kierunku, był jednak przygotowany. Stłumił ziewnięcie, nie chciał, by wiedzieli, jak bardzo jest zmęczony.

Mat niezdarnie zarzucił łuk i resztę swego nędznego dobytku na ramię, rękę wsunął pod kaftan i obserwował podchodzącego do nich Hake'a i jego zbirów.

Hake trzymał w ręku oliwną lampę, ku zdziwieniu Randa skłonił się nieznacznie i gestem wskazał boczne drzwi.

— Tędy do waszych sienników.

Jedynie lekkie skrzywienie warg zmąciło elegancję jego wystąpienia.

Mat wysunął podbródek w stronę Jaka i Stroma.

— Czy ci dwaj muszą nam pokazać drogę?

— Jestem majętnym człowiekiem — powiedział Halce, wygładzając przód swego brudnego fartucha — a majętnym ludziom nigdy nie dość ostrożności.

Okna zabręczały hukiem pioruna, karczmarz spojrział znacząco na sufit i uśmiechnął się do nich szczerząc zęby.

— Chcecie zobaczyć swoje łóżka czy nie?

Rand zastanawiał się, co by się stało, gdyby powiedział, że chcą odejść.

„Gdybyś wiedział choć trochę więcej o używaniu miecza oprócz tych kilku ćwiczeń, które pokazał ci Lan...”

— Prowadźcie — powiedział, starając się, by jego głos brzmiał stanowczo. — Nie chcę, żeby ktoś szedł za moimi plecami.

Strom zrobił szydery grymas, lecz Hake pojednawczo skinął głową i skierował się ku bocznym drzwiom, a dwóch roślących mężczyzn ruszyło chwiejnym krokiem za nim. Jeśli Hake już zamknął tylne drzwi, to próba ucieczki rozpoczęłaby tylko to, czego miał nadzieję uniknąć. Ponuro ruszył w ślad za karczmarzem.

Przy bocznych drzwiach zawahał się, Mat wpadł mu na plecy. Powód, dla którego Hake trzymał lampę, był oczywisty. Drzwi prowadziły do korytarza, w którym było

ciemno, choć oko wykol. Tylko dzięki tej jedynej lampie, którą niósł karczmarz, ukazującej sylwetki Jaka i Stroma, miał odwagę iść dalej. Gdyby tamci zawrócili, wiedziałby o tym.

„I co wtedy bym zrobił?”

Podłoga zatrzeszczała pod jego butami.

Korytarz kończył się schodami z surowego, nie malowanego drewna. Nie widział, czy po drodze są jeszcze jakieś inne drzwi. Hake i jego zbiry szli dalej, podążał szybko za nimi, żeby nie zdążyli zastawić jakiejś pułapki. Hake jednak tylko uniósł lampę do góry i gestem wskazał im pokój.

— To tutaj.

Stary magazyn, jak go nazwał, z wyglądu nie używany od jakiegoś czasu. Część podłogi zastawiono zmurszałymi beczkami i rozbitymi skrzyniami. Z kilku miejsc w suficie ciekły nieprzerwanie strumienie wody, a przez rozbitą szybę w brudnym oknie wpadał swobodnie deszcz. Na półkach zalegały niezidentyfikowane graty, a wszystko było pokryte grubą warstwą kurzu. Obecność obiecanych sienników stanowiła niespodziankę.

„Ten miecz go denerwuje. Nie zrobi niczego, dopóki nie będziemy głęboko spali.”

Rand nie miał zamiaru spać pod dachem Hake’a. Gdy tylko karczmarz wyjdzie, natychmiast uciekną przez okno.

— Wystarczy — powiedział.

Nie spuszczał wzroku z Hake’a, wyczekując na jakiś znak, który karczmarz mógł dać dwóm wyszczerzonym mężczyznom. Z trudem powstrzymał się, by nie zwilżyć warg językiem.

— Zostawcie tu lampę.

Hake coś burknął, ale wepchnął lampę na półkę. Spojrzał na nich z wahaniem, Rand był przekonany, że zaraz każe Jakowi i Stromowi rzucić się na nich, lecz oczy karczmarza spoczęły na mieczu, twarz wykrzywił pełen wahania grymas, po czym gwałtownie uniósł głowę i spojrzał na dwóch osiłków. Przez ich szerokie twarze przemknął błysk zdziwienia, jednak posłusznie wyszli z izby, nie oglądając się za siebie.

Rand czekał, aż skrzypienie ich kroków ucichnie, po czym policzył do pięćdziesięciu zanim wytknął głowę za drzwi. Czerń mącił jedynie prostokąt światła — równie odległy jak księżyc — drzwi do ogólnej izby. Kiedy chował głowę, coś wielkiego poruszyło się w ciemnościach obok odległych drzwi. Jak albo Strom stojący na straży.

Szybkie zbadanie drzwi powiedziało mu wszystko, co chciał wiedzieć, to znaczy niewiele dobrego. Deski były grube i mocne, ale nie było w nich ani zamka, ani sztaby. Otwierały się do wewnątrz.

— Myślałem, że idą, żeby się z nami rozprawić — powiedział Mat. — Na co oni czekają?

Wyciągnął sztylet, trzymał go w uścisku zbielejącej pięści. W ostrzu migotało światło lampy. Jego łuk i kołczan leżały zapomniane na podłodze.

— Aż pójdziemy spać. — Rand zaczął myszkować wśród beczek i skrzyń. — Pomóż mi znaleźć coś, żebyśmy mogli zastawić drzwi.

— Po co? Nie masz tu chyba zamiaru spać, prawda? Wyjdźmy przez okno, i w nogi. Wolę być mokry niż martwy.

— Jeden z nich stoi na drugim końcu korytarza. Wystarczy trochę hałasu, a powalą nas, zanim zdążymy mrugnąć. Myślę, że Hake wolałby rozprawić się z nami zaraz, niż ryzykować, że uciekniemy.

Mrucząc coś, Mat pomógł mu szukać, ale wśród śmieci na podłodze nie znaleźli nic użytecznego. Beczki były puste, skrzynie się rozpadały, ułożone w stos przed drzwiami nie powstrzymałyby nikogo. Wtem coś znajomego na półce przykuło oko Randa. Dwa kliny, pokryte kurzem i rdzą. Wziął je z uśmiechem.

Pośpiesznie wsunął pod drzwi, a kiedy następny łomot grzmotu wstrząsnął posadami karczmy, wbił je dwoma szybkimi kopnięciami obcasa. Grzmot ucichł, wstrzymał oddech, nasłuchując. Słyszał tylko deszcz bębniący o dach. Deski w podłodze nie zatrzeszczały pod biegnącymi stopami.

— Okno — powiedział.

Nie otwierane od wielu lat, całe było zalepione brudem. Naprężyli się obydwaj, pchając ile sił. Kolana Randa drżały, wreszcie framuga ustąpiła, niechętnie jęcząc przy każdym calu. Kiedy otwór był dostatecznie duży, by mogli się przez niego przecisnąć, przykucnął, a potem się zatrzymał.

— Krew i popioły! — zaklął Mat. — Nic dziwnego, że Hake się nie martwił, że uciekniemy.

W świetle lampy załśniła wilgoć osiadła na żelaznej kracie. Rand popchnął ją, była solidna jak gład.

— Coś zauważyłem — powiedział Mat.

Zaczął pośpiesznie przetrząsać śmieci na półkach, wydostał z nich wreszcie zardzewiały łom. Wbił jego koniec pod żelazną framugę. Rand skrzywił się:

— Pamiętaj, żeby nie narobić hałasu, Mat.

Mat mruknął coś pod nosem, jednak przerwał na moment. Rand ujął łom i spróbował znaleźć dobre oparcie dla stóp w rosnącej kałuży wody pod oknem. Kiedy rozległ się grzmot, pociągnęli. Przy nieznośnym pisku gwoździ, od którego włosy na głowie stanęły Randowi dęba, framuga przesunęła się — o ćwierć cala, w najlepszym przypadku. Czekali na kolejne łoskoty grzmotów i trzaski błyskawic, wtedy napierali na łom. Nic. Ćwierć cala. Nic. O włos. Nic. Nic.

Nagle stopy Randa poślizgnęły się w wodzie i obaj runęli z hałasem na podłogę. Łom zaszcząkał o kraty niczym gong. Leżeli w kałuży, wstrzymując oddech i nasłuchując. Nie było słyhać nic oprócz deszczu.

Mat rozcierał otarte kłykcie i patrzył na Randa ponuro.

— W takim tempie nigdy się stąd nie wydostaniemy.

Żelazna rama była wypchnięta z okna na taką odległość, że można tam było wsunąć najwyżej dwa palce. W wąskim otworze sterczało kilkanaście grubych gwoździ.

— Musimy dalej próbować — powiedział Rand, wstając.

Jednak gdy tylko wsunął łom pod ramę, drzwi zatrzeszczały, jakby ktoś usiłował je otworzyć. Kliny blokowały je skutecznie. Wymienił z Matem przerażone spojrzenia. Mat ponownie wyciągnął sztylet. Drzwi znowu zatrzeszczały.

Rand zrobił głęboki wdech, starając się, by jego głos zabrzmiał stanowczo.

— Odejdź, Hake. Próbujemy zasnąć.

— Obawiam się, że bierzecie mnie za kogoś innego.

Głos był tak przymilny i pewien siebie, że zdradził jego właściciela. Howal Gode.

— Pan Hake i jego... słudzy nie będą nam przeszkadzać. Śpią mocno, a raniem będą się mogli tylko dziwić, gdzie żeście się podziali. Wpuście mnie, moi młodzi przyjaciele. Musimy porozmawiać.

— Nie mamy o czym z sobą rozmawiać — powiedział Mat. — Odejdź i pozwól nam spać.

Śmiech Godego brzmiał nieprzyjemnie.

— Oczywiście, że mamy o czym rozmawiać. Wiecie o tym równie dobrze jak ja. Widziałem to w waszych oczach. Ja wiem, kim jesteście, być może wiem lepiej niż wy sami. Czuję, jak to płynie od was falami. Już częściowo należycie do mojego pana. Przestańcie uciekać i pogódźcie się z tym. Wszystko stanie się dla was łatwiejsze. Jeśli więdźmy z Tar Valon was znajdą, zanim z wami skończą, zapragniecie poderżnąć sobie gardła, ale nie będziecie już w stanie. Tylko mój pan może was przed nimi ochronić.

Rand z trudem przełknął ślinę.

— Nie wiemy, o czym mówisz. Zostaw nas w spokoju.

Deski w podłodze korytarza zatrzeszczały. Gode nie był sam. Ilu ludzi mógł przywieźć w dwóch powozach?

— Przestańcie się wygłupiać, moi młodzi przyjaciele. Wy wiecie. Wiecie bardzo dobrze. Wielki Władca Ciemności naznaczył was. Jesteście jego własnością. Zapisano, że kiedy on się obudzi, przyjdą nowi Władcy Strachu, aby go wielbić. Wy musicie do nich należeć, bo inaczej nie wysłano by mnie, abym was znalazł. Pomyślcie o tym. Czeka was wieczne życie i władza, o jakiej wam się nie śniło.

Jego głos aż ociekał własną żądzą władzy.

Rand obejrzał się na okno w chwili, gdy błyskawica oświetliła niebo i omal nie jęknął. Krótki błysk światła ukazał mężczyzn zaczajonych na zewnątrz, ludzi czekających w deszczu, pilnujących jedynej drogi ucieczki.

— Jestem tym zmęczony — obwieścił Gode. — Poddacie się memu panu, waszemu panu, albo zostaniecie do tego zmuszeni. To nie będzie dla was przyjemne. Wielki Władca Ciemności rządzi śmiercią i może wybrać, czy da wam życie w śmierci, czy śmierć w życiu. Otwórzcie te drzwi. Tak czy inaczej wasza ucieczka dobiegła końca. Otwórzcie je, nakazuję! — Musiał powiedzieć coś jeszcze, bo nagle czyjeś ciężkie ciało runęło z całym impetem na deski. Drzwi zadrżały, kliny przesunęły się o ułamek cala, posypała się garść rdzy startej o drewno. Drzwi drżały raz za razem, kiedy kolejne ciała waliły w nie. Kliny czasami tkwiły w miejscu, czasami przesunęły się o trochę i tak kawałek po kawałku drzwi nieubłaganie otwierały się. — Poddajcie się — żądał Gode — albo spędzicie całą wieczność żałując, żeście tego nie zrobili!

— Skoro nie mamy żadnego wyboru... — Mat oblizwał wargi pod wpływem spojrzenia Randa. Miał oczy rozbiegane jak borsuk w potrzasku, twarz zbieła, dyszał, gdy mówił. — Możemy powiedzieć tak i potem uciec. Krew i popioły, Rand, nie mamy wyjścia!

Randowi wydawało się, że te słowa płyną do niego przez wełnę w uszach.

„Nie ma wyjścia”

W górze rozległ się pomruk pioruna, który zatonął w świcie błyskawicy.

„Trzeba znaleźć jakieś wyjście.”

Gode wołał do nich, żądał, namawiał, szpara w drzwiach powiększyła się o kolejny cal.

„Wyjście!”

Światło wypełniło izbę, zamazując pole widzenia, powietrze zaryczało i zadrżało gorącym. Rand poczuł, że coś go unosi i ciska na ścianę. Osunął się bezwładnie, w uszach mu dźwięczało, a każdy włos na jego ciele usiłował stanąć na baczność. Oszołomiony podniósł się chwiejnie. Kolana uginały się pod nim, musiał podeprzeć się ręką o ścianę, żeby utrzymać równowagę. Ze zdumieniem rozejrzał się dookoła.

Lampa, przewrócona na brzegu jednej z półek wciąż wiszących na ścianach, jeszcze się paliła, dając światło. Wszystkie beczki i skrzynie, niektóre poczerniałe i dymiące, leżały przewrócone tam, gdzie nimi rzuciło. Okno, łącznie z kratami i częścią ściany, zniknęło, pozostawiając nierówny otwór. Dach zapadł się, a smugi dymu wsiąkały w deszcz, wokół poszarpanych krawędzi otworu. Drzwi zostały wybite z zawiasów i bokiem przepchnięte przez framugę na korytarz.

Przekonany, że to jakieś pijane zwidy, podniósł lampę. Wydało mu się, że najważniejszą rzeczą na świecie jest sprawdzenie, czy się nie zbiła.

Nagle stos skrzyń wybrzuszył się i w samym jego środku stanął Mat. Chwiał się, mrugał i obmacywał swoje ciało, jakby nie wierząc, że jeszcze jest cały. Przypatrzył się Randowi.

— Rand? Czy to ty? Żyjesz. Myślałem, że obydwasz... — Urwał, zagryzając wargę i trzęsąc się. Rand pojął dopiero po chwili, że się śmieje, doprowadzony niemalże na skraj hysterii.

— Co się stało, Mat? Mat? Mat! Co się stało?

Mata przeszył jeszcze jeden wstrząs, aż wreszcie znieruchomiał.

— Piorun, Rand. Patrzyłem na okno, kiedy trafił w kraty. Piorun. Nie znam...

— Urwał, patrząc zmrużonymi oczyma na przekrzywione drzwi, a jego głos nabrał ostrego tonu. — Gdzie jest Gode?

W ciemnym korytarzu za drzwiami nic się nie poruszało. Po Godem i jego towarzyszach nie było śladu, choć w tej ciemności mogło się kryć wszystko. Rand pojął, że liczy na to, iż nie żyją, ale, choćby ofiarowano mu królestwo, nie miał ochoty wystawiać głowy na korytarz, aby się o tym przekonać. W mroku za drzwiami nic się nie poruszało, lecz pozostali wrogowie byli na górze i wszędzie dookoła. Z piętra karczmy dochodziły ich okrzyki zamieszania i łomot biegnących stóp.

— Uciekajmy, póki możemy — powiedział Rand.

Pośpiesznie powybierał swój dobytek pomiędzy rumowiska, chwycił Mata za ramię i częściowo go ciągnąc, częściowo prowadząc, wyszedł w noc przez otwór ziejący w murze. Mat, trzymając go za rękę, kuśtykał obok. Wyciągał głowę, usiłując wzrokiem przebić mrok.

Kiedy pierwsze krople deszczu uderzyły Randa w twarz i błyskawica rozszczepiła się nad karczmą, odruchowo przystanął. Ludzie Godego wciąż tam byli, leżeli zwróceni stopami w stronę otworu. Zalani deszczem wpatrywali się otwartymi oczyma w niebo.

— Co to jest? — spytał Mat. — Krew i popioły! Nie widzę własnej, przeklętej ręki.

— Nic — odparł Rand.

„Szczęście. Światłości... Czy naprawdę?”

Drżąc ostrożnie poprowadził Mata wokół ciał.

— To tylko błyskawica.

Oprócz błyskawic nie było żadnego światła i kiedy odchodzili chwiejnym krokiem od karczmy, bez przerwy wpadali w wyżłobione koleiny. Mat nieomal wisiał na nim, każdy krok groził upadkiem, lecz dreptali, dyszeli i biegli.

Rand obejrzał się raz za siebie. Raz, zanim deszcz nie zgęstniał i przybrał formę ogłuszającej zasłony, która przesłoniła widok na „Tańczącego furmana”. Błyskawica oświetliła sylwetkę mężczyzny na tyłach karczmy, mężczyzny wygrażającego pięścią albo im, albo niebu. Czy to był Gode czy Hake? Nie widział, każdy z nich był równie zły. Nastąpiło oberwanie chmury, zalewając ich ścianą wody. Biegli przez noc, na tle burzy, nasłuchując odgłosów pościgu.

CZARNY CZEKA

Wóz o wysokich kołach podskakiwał pod ołowianym niebem na wybojach Drogi Caemlyn. Rand uniósł się ze słomy, by móc wyglądać ponad burtą. Poszło mu teraz znacznie lepiej niż przed godziną. Odnosił wrażenie, że jego ręce rozciągają się, zamiast go podciągnąć, głowa przez chwilę miała wyraźnie ochotę gdzieś odpłynąć, jakoś się jednak udało. Zaczepił łokcie o niskie listewki i wpatrywał się w mijany krajobraz. Słońce, wciąż skryte za ciemnymi chmurami, stało już wysoko na niebie, a wóz wtaczał się hałaśliwie do następnej wioski, pomiędzy szeregi oplecionych winoroślą domostw z czerwonej cegły. Od Czterech Króli odległości między osadami stawały się coraz mniejsze.

Kilku ludzi pomachało dłonią, wykrzykując pozdrowienia do Hyama Kincha, farmera, do którego należał wóz. Pan Kinch, małomówny mężczyzna o ospowatej twarzy, za każdym razem odkrzykiwał kilka słów, nie wypuszczając fajki z ust. Z powodu zaciśniętych zębów, to co mówił było raczej niezrozumiałe, ale brzmiało jowialnie i wydawało się wystarczać — ludzie wracali do swoich prac, nie oglądając się w stronę pojazdu. Zdawało się, że nikt nie zwraca uwagi na dwóch pasażerów.

W zasięgu wzroku Randa pojawiła się wioskowa karczma. Pobielona, z szarym spadzistym dachem. Ludzie wchodzili i wychodzili, kłaniając się niedbale i machając do siebie. Niektórzy przystawali, by porozmawiać. Znali się wzajemnie. Byli to, sądząc po ubiorach, głównie wieśniacy. Wysokie buty, spodnie i kaftany niewiele się różniły od tego, który sam nosił, może inne było tylko to przesadne upodobanie do kolorowych prążków. Kobiety nosiły głębokie czepki, skrywające ich twarze, i białe fartuchy w paski. Może oni wszyscy byli mieszkańcami wioski i miejscowych farm.

„Czy to robi jakąś różnicę?”

Wyciągnął się z powrotem na słomie, patrząc jak wioska zmniejsza się pomiędzy jego stopami. Drogę wytyczały otoczone płotami pola i żywopłoty i niewielkie domy farmerskie, nad którymi unosił się dym z kominów z czerwonej cegły. Drzewa obok drogi rosły w zagajnikach, spokojnych jak farmerskie podwórka, dbano o nie, traktując jako źródło opału. Jednakże gałęzie odznaczały się na tle nieba brakiem liści, były równie nagie jak w dzikich lasach na zachodzie.

Przez środek drogi ciągnął sznur wozów, udających się w przeciwnym kierunku i spychających ich wóz na drugą stronę drogi. Pan Kitch przesunął fajkę w kąt ust i splunął przez zęby. Nie spuszczać oka z bocznego koła, by się upewnić, że się nie zapląta w żywopłocie, w dalszym ciągu jechał do przodu. Zaciśnął usta, obrzuciwszy wzrokiem kupiecką karawanę.

Żaden z woźniców trzaskających batem nad ósemkami koni, żaden ze strażników o twardych obliczach, przykucniętych w siodłach z boku wozów, nie spojrział na furę. Rand odprowadził ich wzrokiem, czując ucisk w piersiach. Trzymał dłoń pod płaszczem, na rękojeści miecza, dopóki nie minął ich ostatni wóz.

Kiedy ostatni pojazd odjechał z turkotem w stronę wsi, z której właśnie wyjechali, Mat obrócił się na siedzeniu obok farmera i odchylił do tyłu, napotykać wzrok Randa. Szalik, pomyślany jako osłona przed pyłem, ocieniał mu oczy, złożony w grubą warstwę i zawiązany nisko na czole. Nawet mimo tego mrużył oczy w szarym świetle.

— Widzisz tam z tyłu cokolwiek? — spytał cicho. — Co z tymi wozami?

Rand zaprzeczył, a Mat przytaknął. On też nic nie widział.

Pan Kitch zerknął na nich kątem oka, po czym znowu przesunął fajkę i szarpnął wodzami. To było wszystko, lecz jednak zauważył. Konie nabrały tempa.

— Nadal cię bolą oczy? — spytał Rand.

Mat dotknął chusty owijającej mu głowę.

— Nie. Nie bardzo. O ile nie spojrzę prosto na słońce. A jak z tobą? Czujesz się lepiej?

— Trochę.

Uświadomił sobie, że naprawdę czuje się lepiej. To dziwne, że tak szybko przestało go mdlić. To musi być coś więcej, dar od Światłości.

„To Światłość. Musi tak być.”

Nagle furę minęła grupa jeźdźców, kierujących się na zachód podobnie jak wozy kupców. Długie białe kołnierze zwisały im na kolczugi i pancerze, a ich płaszcze i kaftany były czerwone jak mundury strażników bram w Białym Moście, lecz lepiej uszyte i dopasowane. Stożkowe hełmy błyszcząły srebrem. Siedzieli w siodłach z wyprostowanymi plecami, na ich lancach, tuż obok głów, powiewały trzepoczące się, cienkie czerwone wstążki. Wszystkie lance zachowywały ten sam kształt, jak na paradzie.

Kilku z nich się obejrzało, gdy dwoma kolumnami mijali furę. Twarze kryły się za stalowymi kratami. Rand był zadowolony, że płaszcz okrywa jego miecz. Kilku z nich skinęło w stronę pana Kincha, jak gdyby go znali, ale było to raczej neutralne pozdrowienie. Pan Kinch odkłonił im się w mniej więcej ten sam sposób, lecz pomimo niezmienionego wyrazu twarzy w ukłonie pojawiło się coś na kształt aprobaty.

Konie szły stępa, lecz w porównaniu z szybkością fury poruszali się chyżo. Rand, niewiele myśląc, zaczął je liczyć. Dziesięć... dwadzieścia... trzydzieści... trzydzieści dwa. Uniósł głowę, by obserwować kolumny jadące po Drodze Caemlyn.

— Kim oni są? — spytał Mat, częściowo dziwując się, częściowo podejrzliwie.

— Gwardia Królowej — powiedział pan Kinch, nie wyjmując fajki z ust. — Wzrok wbił w drogę przed sobą. — Nie jeżdżą dalej niż do Źródła Breen, chyba że zostaną wezwani. Nie tak jak kiedyś. — Zaciągnął się fajką i dodał: — Zdaje się, że w dzisiejszych czasach w niektórych częściach Królestwa nie widzą Gwardii przez rok albo i dłużej. Nie tak, jak w dawnych czasach.

— Co oni robią? — spytał Rand. Farmer spojrzał na niego.

— Zachowują pokój w imieniu Królowej i stoją na straży jej prawa. — Skinął głową, jakby spodobało mu się samo brzmienie tego stwierdzenia i dodał: — Szukają złoczyńców i doprowadzają ich do magistratu. Mmmph! — Wypuścił długi kłęb dymu. — Musicie być pewnie z daleka, skoro nie rozpoznaliście Gwardii Królowej. Skąd jesteście?

— Z daleka — oświadczył Mat dokładnie w tej samej chwili, w której Rand odparł:

— Z Dwu Rzek.

Żałował, że nie może już tego cofnąć. Nadal nie myślał zbyt jasno. Starali się ukryć tę nazwę, bo wspomnienie jej w obecności jakiegoś Pomora mogło zabrzmieć jak dzwon.

Pan Kirach zerknął na Mata kątem oka i w milczeniu pykał swoją fajkę.

— Rzeczywiście daleko, to prawda — powiedział w końcu. — Prawie na granicy Królestwa. Jednak jest gorzej, niż myślałem, skoro są takie miejsca w Królestwie, w których ludzie nawet nie rozpoznają Straży Królowej. Nie tak, jak w dawnych czasach.

Rand zastanawiał się, co by powiedział pan al'Vere, gdyby ktoś mu powiedział, że Dwie Rzeki są częścią Królestwa Królowej. Królowej Andoru, jak przypuszczał. Być może burmistrz to wiedział — wiedział mnóstwo rzeczy, którymi zadziwiał Randa — i może inni też to wiedzieli, ale nigdy nie słyszał, by ktoś o tym wspomniał. Dwie Rzeki to były Dwie Rzeki. Każda wioska zajmowała się własnymi problemami, a jeśli jakiś problem dotyczył więcej niż jednej wsi, burmistrze, a czasami Rady rozwiązywały go.

Pan Kinch ściągnął wodze, zatrzymując furę.

— Dalej już nie jadę.

Stąd wiodła na północ wąska droga. Z daleka widać było kilka farmerskich domów za otwartymi polami, zaoranymi, lecz wciąż pozbawionymi upraw.

— Za dwa dni będziecie w Caemlyn. O ile twój przyjaciel utrzyma się na nogach. — Mat zeskoczył na dół, ściągnął łuk i resztę rzeczy, po czym pomógł Randowi zsunąć się z wozu. Jego tobołki bardzo mu ciążyły, aż nogi ugiwały się pod nim, ale odtrącił dłoń przyjaciela i próbował samodzielnie zrobić kilka kroków. Nadal czuł się niepewnie, jednak nogi go utrzymały. Wydały się nawet silniejsze, kiedy zaczął ich używać. Farmer nie od razu ruszył. Przyglądał im się przez chwilę, ssąc swoją fajkę. — Możecie u mnie

odpocząć, dzień albo dwa, jeśli chcecie. Myślę, że niczego nie straciecie. A jeśli chodzi o tę twoją chorobę, chłopcze... cóż, moja stara i ja przeszliśmy przez wszystkie choroby, jakie możesz sobie wyobrazić, jeszcze zanim ty się urodziłeś i wyleczyliśmy też z nich nasze dzieciaki. W każdym razie dopiero co się zaraziłeś.

Mat zmrużył oczy, a Rand zmarszczył mimowolnie brwi.

„Nie każdy do nich należy. To niemożliwe.”

— Dziękujemy — powiedział. — Ale nic mi nie jest. Naprawdę. Jak daleko jest do następnej wsi?

— Carysford? Piechotą dotrzecie tam przed zmierzchem. — Pan Kinch wyjął fajkę z ust i w zamyśleniu wyjął usta zanim zaczął mówić dalej. Z początku myślałem, że jesteście zbiegłymi czeladnikami, ale teraz się domyślam, że uciekacie przed czymś poważniejszym. Nie wiem, co to jest. Nie obchodzi mnie to. Jedno wiem, że nie jesteście Sprzymierzeńcami Ciemności i raczej nikogo nie obrabujecie ani nie zrobicie krzywdy. Nie jak niektórzy na drodze w ostatnich czasach. Kiedy byłem w waszym wieku, nieraz popadałem w tarapaty. Potrzebujecie miejsca, żeby się ukryć przez kilka dni, a moja farma jest położona o pięć mil stąd — ruchem głowy wskazał boczną drogę — i nikt tam nigdy nie zagląda. Cokolwiek i ktokolwiek was ściga, tam raczej nie zajrzy.

Chrząknął, jakby się wstydził, że powiedział tyle słów naraz.

— Skąd możesz wiedzieć, jak wyglądają Sprzymierzeńcy Ciemności? — spytał podniesionym tonem Mat. Odszedł od fury i wsunął dłoń pod kaftan. — Co wiesz o Sprzymierzeńcach Ciemności?

Twarz pana Kincha stężała.

— Radźcie sobie sami — powiedział i cmoknął na konia. Fura potoczyła się wąską drogą, a on ani razu nie obejrzał się za siebie.

Mat spojrzał na Randa i chmury na jego twarzy rozpląnęły się.

— Przepraszam, Rand. Potrzebujesz odpoczynku. Może gdybyśmy za nim poszli... — Wzruszył ramionami. — Po prostu nie mogę się pozbyć wrażenia, że wszyscy nas ścigają. Światłości, naprawdę chciałbym wiedzieć, dlaczego. Chciałbym, żeby to się skończyło. Chciałbym... — Nieszczęśliwy, zawiesił głos.

— Bywają jeszcze dobrzy ludzie — powiedział Rand.

Mat ruszył w stronę bocznej drogi, z zaciśniętą szczęką, jakby to była ostatnia rzecz, którą chciał zrobić, ale Rand go zatrzymał.

— Nie możemy się zatrzymywać tylko po to, żeby wypocząć, Mat. A poza tym, nie sądzę, żeby istniało bezpieczne ukrycie.

Mat skinął głową z wyraźną ulgą. Chciał wziąć od Randa kilka jego ciężarów, torby i płaszcz Thoma owinięty wokół harfy, lecz ten mu nie pozwolił. Czuł, że jego nogi są naprawdę silniejsze.

„Coś nas ściga? — myślał, kiedy ruszyli drogą. — Nie ściga. Czeka.”

Deszcz nie ustawał. Padał od chwili, kiedy chwiejnym krokiem wyruszyli spod „Tańczącego furmana”, bijąc w nich z równą siłą jak grzmoty z czarnego nieba, rozdzieranego błyskawicami. Z każdą chwilą ich ubrania coraz bardziej nasiąkały wodą, po godzinie Rand miał wrażenie, że jego skóra też przemokła. Jednak przynajmniej zostawili za sobą Czterech Króli. Mat był zupełnie ślepy w ciemnościach, zezował boleśnie na przesywające błyski, ukazujące na moment nagie drzewa. Rand prowadził go za rękę, lecz Mat nadal stawiał niepewne kroki. Zmartwienia wryły na czole Randa głębokie bruzdy. Jeśli Mat nie odzyska wzroku, to będą musieli zwolnić i chyba pełznąć. Nigdy nie uda im się uciec.

Mat zdawał się wyczuwać jego myśli.

— Rand — powiedział — nie zostawisz mnie, prawda? Jeśli nie dotrzymam ci kroku?

Głos mu drżał.

— Nie zostawię cię. — Rand uściśnął mocniej rękę przyjaciela. — Nie zostawię cię, choćby nie wiem co.

„Światłości, dopomóż nam!”

W górze zahuczał grzmot, Mat potknął się i omal nie upadł, pociągając Randa za sobą.

— Musimy się zatrzymać, Mat. Jeśli będziemy szli dalej, połamiesz sobie nogi.

— Gode.

Błyskawica rozświetliła mrok, kiedy Mat wypowiedział to słowo i mimo iż grzmot wbił wszystkie dźwięki w ziemię, w blasku Rand rozpoznał słowo po ruchach warg.

— On nie żyje.

„Na pewno nie żyje. Światłości, spraw, żeby on nie żył.”

Poprowadził Mata do krzaków, które zauważył w świetle błyskawicy. Miały wystarczająco dużo liści, by dać im odrobinę schronienia przed ulewnym deszczem. Bujne drzewo byłoby lepsze, nie chciał jednak ryzykować uderzenia pioruna. Następnym razem mogą nie mieć takiego szczęścia.

Przyciśnięci do siebie pod krzakami starali się tak ułożyć swoje płaszcze na gałęziach, by utworzyły niewielki namiot. Było już za późno, by myśleć o wyschnięciu, ale powstrzymanie bezustannego potoku wody byłoby jednak czymś. Przywarli do siebie dzieląc się resztką ciepła, które wydzielały ich ciała. Mimo że ociekali wodą, a następne krople wciąż przeciekały przez płaszcze, zasnęli targani dreszczami.

Rand wiedział od razu, że to sen. Był znowu w Czterech Królach, ale w miasteczku nie było nikogo oprócz niego. Jakieś wozy, ale żadnych ludzi, koni ani psów. Nic żywego. Wiedział jednak, że ktoś na niego czeka.

Kiedy szedł wyboistą ulicą, mijane budynki wydawały się zamieniać w niewyraźne

smugi. Gdy odwrócił głowę, stały tam, masywne jak zawsze, lecz na obrzeżach pola widzenia jawiły się niewyraźnie. Było tak, jakby naprawdę istniało tylko to, co widział, a też tylko wtedy, gdy patrzył. Był pewien, że jeśli odwróci się dostatecznie szybko, zobaczy... Nie był pewien co, ale czuł niepokój, kiedy o tym myślał.

Pojawił się przed nim „Tańczący furman”. Jego jaskrawa farba wydawała się jakaś szara, pozbawiona życia. Wszedł do środka. Gode siedział przy stole.

Rozpoznał go tylko po ubraniu, po jedwabiu i ciemnych aksamitach. Skóra Gode’go była czerwona, poparzona i popękana, ociekała ropą. Jego twarz wyglądała nieomal jak czaszka, skurczone wargi ukazywały obnażane zęby i dziąsła. Kiedy Gode odwrócił głowę, część jego włosów popękała, rozsypując się jak sadza na ramionach. Wpatrywał się w Randa oczyma pozbawionymi powiek.

— Więc ty nie żyjesz — powiedział Rand.

Był zdziwiony, że wcale się nie boi. Może dlatego, iż tym razem zdawał sobie sprawę, że tylko śni.

— Tak — usłyszał głos Ba’alzamona — ale za to znalazł cię dla mnie. To zasługuje na jakąś nagrodę, nie uważasz? — Rand odwrócił się i odkrył, że może się bać, pomimo świadomości, iż to sen. Ubranie Ba’alzamona miało barwę zaschniętej krwi, a na jego twarzy walczyły z sobą wściekłość, nienawiść i triumf. — Sam widzisz, młodzieńcze, nie możesz się wiecznie przede mną ukrywać. Znajdę cię w taki czy inny sposób. To, co cię chroni, sprawia też, że jesteś podatny na ciosy. Jednego razu się ukryjesz, innego rozpalasz sygnałne ognisko. Podejdz do mnie, młodzieńcze — Wyciągnął rękę do Randa. — Moje psy gończe nie będą delikatne, jeśli będę je musiał spuścić. Są zazdrosne o to, kim ty się staniesz, kiedy już uklęknie u mych stóp. To twoje przeznaczenie. Należysz do mnie.

Spalony język Gode’go, ruszając się, czynił wściekły bulgot w jego ustach.

Rand usiłował zwilżyć wyschłe wargi językiem, lecz w ustach zabrakło mu śliny.

— Nie — wykrztusił, a potem słowa pojawiły się z większą łatwością. — Należę do siebie samego. Nie do ciebie. Nigdy. Do siebie samego. Jeśli twoi Sprzymierzeńcy mnie zabiją, nigdy nie będziesz mnie miał.

Płomienie tryskające z twarzy Ba’alzamona tak rozgrzały wnętrze izby, że aż zawirowało powietrze.

— Żywy czy martwy, młodzieńcze, jesteś mój. Grób należy do mnie. Łatwiej z martwym, choć lepiej mieć żywego. Lepiej dla ciebie, młodzieńcze. Żywi mają zazwyczaj większą moc. — Gode znowu zbulgotał. — Tak, mój dobry psie. Oto twoja nagroda.

Rand spojrział w porę na Godego, by zobaczyć, jak jego ciało rozpada się na proch. Przez chwilę spalona twarz przybrała wyraz najwyższego uniesienia, które w ostatnim momencie przemieniło się w śmiertelne przerażenie, jakby zobaczył, że oczekuje na

niego coś, czego się nie spodziewał. Sflaczały aksamitny ubiór Godego osunął się z krzesła na pokrytą popiołem podłogę.

Kiedy się odwrócił, wyciągnięta dłoń Ba'alzamona zwinięta była w pięść.

— Jesteś mój, młodzieńcze żywy czy martwy. Oko Świata nie będzie ci nigdy służyć. Naznaczam cię. Jesteś mój.

Jego pięść otworzyła się i wyskoczyła z niej płomienna kula. Trafiła w twarz Randa, eksplodując i parząc.

Rand obudził się gwałtownie w środku nocy, woda ściekała z płaszczy prosto na jego twarz. Ręka mu się trzęsła, gdy dotykał nią policzków. Skóra była podrażniona, jakby opalona.

Nagle zauważył, że Mat skręca się i jęczy przez sen. Potrząsnął nim, przyjaciel obudził się skowycząc.

— Moje oczy! Och, Światłości, moje oczy! On mi zabrał oczy!

Rand przyciągnął go, tuląc do siebie jak małe dziecko.

— Nic ci się nie stało, Mat. Nic ci nie jest. On nam nie może nic zrobić. Nie pozwolimy mu. — Czuł, jak Mat się trzęsie, łka wtulony w jego płaszczy. — Nie może nam nic zrobić — szeptał i pragnął w to uwierzyć.

„To, co was chroni, czyni was podatnymi na ciosy. Popadam w szaleństwo.”

Wraz z pierwszym brzaskiem ulewa osłabła, wraz z nadejściem świtu przestało mżyć. Chmury na niebie pozostały, srożąc się swą obecnością aż do późnego ranka. Zerwał się wiatr, przepędził chmury na południe, odsłonił nie dające ciepła słońce i dał, przesywając ich ociekające wilgocią ubrania. Nie zasnęli już. Chwiejąc się na nogach wbili się w swoje płaszczy i ruszyli na wschód. Rand prowadził Mata za rękę. Po jakimś czasie Mat poczuł się na tyle lepiej, że zaczął narzekać na to, co deszcz zrobił z cięciwą jego łuku, Rand jednak nie chciał mu pozwolić, by wymienił ją na suchą, schowaną w kieszeni, jeszcze nie teraz.

W południe dotarli do następnej wsi. Na widok przytulnych ceglanych domostw i dymu unoszącego się z kominów Randa chwyciły silniejsze dreszcze, ale trzymał się, prowadząc Mata przez lasy i pola na południe. Jedyną osobą, jaką zauważył, był samotny farmer kopiący widłami na błotnistym polu. Rand zadbał tylko, aby on ich nie zauważył, przekradających się pomiędzy drzewami. Farmer zwracał uwagę wyłącznie na swoją pracę, lecz Rand nie spuszczał go z oka, dopóki nie znikł z zasięgu wzroku. Jeśli któryś z ludzi Godego przeżył, to jeśli nie znajdzie nikogo we wsi, kto ich widział, może pomyśli, że z Czterech Króli ruszyli drogą na południe. Kiedy z miasteczka nie mogli już być widziani, wrócili na drogę i szli dalej, wciąż w wilgotnych rzeczach.

W godzinę po tym, jak zostawili za sobą tamtą wioskę, jakiś farmer podwiózł ich opróżnioną do połowy furą z sianem. Pogrążony w zmartwieniu, z powodu Mata, Rand dał się zabrać przez zaskoczenie. Mat osłaniał sobie ręką oczy przed słońcem, mimo że

dawało słabe, popołudniowe światło, zezując przez zmrużone powieki i stale mruczał do siebie, że to słońce jest takie jaskrawe. Gdy Rand usłyszał turkot kół fury, było już za późno. Rozmiękła droga wygłuszała wszelkie dźwięki, wóz zaprzęzony w dwa konie znajdował się w odległości zaledwie pięćdziesięciu jardów za nimi, a woźnica oczywiście już ich zdążył zobaczyć.

Ku zdziwieniu Randa zatrzymał się i zaproponował, że ich podwiezie. Rand zawahał się, ale było już za późno, by nie dać się zauważyć, a gdyby odmówili, woźnica mógłby ich zapamiętać. Pomógł Matowi usiąść na kozle obok farmera, sam usadowił się za nimi.

Alpert Mull był flegmatycznym człowiekiem, obdarzonym kwadratową twarzą i kwadratowymi dłońmi, jednakowo zniszczonymi i porytymi zmarszczkami od ciężkiej pracy i zmartwień. Potrzebował kogoś, z kim mógłby porozmawiać. Jego krowy nie dawały mleka, kury przestały nieść i nie miał nawet pastwiska zasługującego na to miano. Po raz pierwszy, jak sięgał pamięcią, musiał kupić siano, a pól fury było wszystkim, co „stary Bain” mógł mu odstąpić. Zastanawiał się, czy tego roku będzie miał choćby niewielką szansę, by zebrać siano z własnej ziemi, czy w ogóle jakiegokolwiek plony.

— Królowa powinna coś zrobić, niechaj Światłość ją oświeci — mruknął, pocierając czoło z szacunkiem i jednocześnie z roztargnieniem. — Ledwie spojrział na Randa i Mata, lecz kiedy wysadził ich przy wąskiej, porytej koleinami drodze prowadzącej do jego farmy, zawahał się, a potem powiedział, nieomal do samego siebie: — Nie wiem, przed czym uciekacie i nie chcę tego wiedzieć. Mam żonę i dzieci. Rozumiecie? Mam rodzinę. W dzisiejszych czasach źle jest pomagać obcym.

Mat usiłował wepchnąć rękę pod kaftan, lecz Rand chwycił go za nadgarstek i przytrzymał. Stał przy drodze, patrzył na mężczyznę bez słowa.

— Gdybym był dobrym człowiekiem — powiedział Mull — zaproponowałbym dwóm chłopakom, przemoczonym do kości, dom, w którym mogliby się wysuszyć i ogrzać przed kominkiem. Ale czasy są ciężkie i obcy... Nie wiem, przed czym uciekacie i nie chcę wiedzieć. Rozumiecie? Mam rodzinę. — Nagle z kieszeni płaszcza wyciągnął dwa długie wełniane szale, ciemne i grube. — To niewiele, ale proszę, weźcie. Należą do moich chłopców. Oni mają inne. Nie znacie mnie, rozumiecie? Czasy są ciężkie.

— W ogóle cię nie spotkaliśmy — zgodził się Rand, przyjmując szale. — Jest pan dobrym człowiekiem. To najlepsza rzecz, jaka nas spotkała od wielu dni.

Farmer wyglądał na zaskoczonego, potem na wdzięcznego.

Ująwszy wodze, skierował konie na wąską dróżkę. Zanim wykonał pełny zakręt, Rand prowadził już Mata po Drodze Caemlyn.

Wraz ze zmierzchem wzmógł się wiatr. Mat zaczął się płaczliwie dopytywać, kiedy się zatrzymają, lecz Rand szedł dalej, ciągnąc Mata za sobą, szukając jakiegoś lepszego

schronienia niż miejsce pod płotem. Z powodu wciąż wilgotnych ubrań i wiatru ochładzającego się z każdą chwilą nie był przekonany, czy przetrwają jeszcze jedną noc na otwartej przestrzeni. Zapadała noc, a on nic nie wypatrzył. Wiatr zrobił się lodowaty, przeszywał jego kaftan na wskroś. Wtedy wśród otaczającego ich mroku dostrzegł światła. Wioska.

Wsunął dłoń do kieszeni, wyciągając schowane tam monety. Więcej niż trzeba było na posiłek i pokój dla nich obydwóch. Pokój ratujący przed zimną nocą. Jeśli zostaną w wilgotnych rzeczach na otwartej przestrzeni, na wietrze i zimnie, narażeni będą na śmierć i ten kto ich znajdzie, znajdzie najprawdopodobniej tylko dwa trupy. Nie powinni jednak przyciągać uwagi. Żadnego grania na flecie, a z powodu oczu Mat z pewnością nie mógł żonglować. Ponownie chwycił Mata za rękę i wyruszyli w stronę tych zapraszających światła.

— Kiedy się zatrzymamy? — spytał ponownie Mat.

Po sposobie, w jaki patrzył przed siebie, wystawiając głowę do przodu, Rand nie był pewien, czy Mat w ogóle go widzi, nie mówiąc już o światłach wioski.

— Kiedy znajdziemy jakieś ciepłe miejsce — odparł.

Strugi światła wylewające się z okien domostw oświetlały ulice miasteczka, ludzie mijali ich, nie przejmując się tym, co mógł skrywać mrok. Jedyna karczma była rozłożystym budynkiem, składającym się z jednego piętra, który wyglądał tak, jakby przez całe lata, bez żadnego planu, dodawano do niego kolejne izby. Frontowe drzwi otworzyły się, by wypuścić kogoś, a w ślad za tą osobą wytoczyła się fala śmiechu.

Rand zastygł na środku ulicy, w jego głowie rozbrzmiało echo pijackiego śmiechu z „Tańczącego furmana”. Obserwował mężczyznę, który niezbyt pewnym krokiem odchodził w dół ulicy, po czym wziął głęboki wdech i pchnął drzwi. Zadbał o to, by płaszcz zakrywał miecz. Śmiech przetoczył się wokół niego.

Lampy zwisające z wysokiego pułapu sprawiały, że w izbie było niezwykle jasno, od razu więc dostrzegł, wręcz wyczuł różnicę, jaka dzieliła to miejsce od karczmy Samla Hake’a. Przede wszystkim nie odbywało się tu żadne pijaństwo. Izba była pełna ludzi wyglądających na farmerów i mieszkańców miasteczka, niezupełnie trzeźwych, ale niezbyt od tego stanu dalekich. Śmiech brzmiał szczerze, odrobinę może wymuszony. Ludzie śmiali się, by zapomnieć o swoich kłopotach, lecz była w tym też prawdziwa wesołość. We wspólnej izbie panował porządek i czystość, z ognia huczącego na dużym kominku biło ciepło. Uśmiechy posługaczek były równie ciepłe jak ten ogień, a Rand był w stanie stwierdzić, że śmieją się, bowiem tego chcą.

Karczmarz był równie czysty jak jego karczma, brzuch miał opasany śnieżno-białym fartuchem. Rand z zadowoleniem zauważył, że jest opasłym człowiekiem, wątpił, czy kiedykolwiek jeszcze zaufa kościstemu karczmarzowi. Nazywał się Rulan Allwine — co Rand uznał za dobry omen, bowiem brzmienie jego nazwiska przypominało nazwiska

spotykane w Polu Emonda. Karczmarz zlustrował ich od stóp do głów, po czym uprzejmie wspomniął o zapłacie z góry.

— Nie daję przez to do zrozumienia, że jesteście byle kim, rozumiecie, ale po drogach kręcą się ostatnimi czasy tacy, którzy lubią nie płacić rankiem. Zdaje się, że dużo młodzieży wyprawia się do Caemlyn.

Rand nie poczuł się urażony, bynajmniej nie wówczas, kiedy był w takim stanie, przemoczony i zszargany. Kiedy jednak pan Allwine wspomniął cenę, wytrzeszczył oczy, a Mat wydał z siebie dźwięk, jakby się czymś udławił.

Karczmarz wysunął szczęki, z żalem kręcił głową, ale najwyraźniej był do tego przyzwyczajony.

— Czasy są ciężkie — powiedział zrezygnowanym głosem. — Niewiele zostało, a to, co jest, kosztuje pięć razy więcej niż kiedyś. Za miesiąc będzie jeszcze drożej, mogę to przysiąc.

Rand wydobyl swoje pieniądze i spojrzał na Mata. Ten zacisnął tylko usta.

— Chcesz spać pod płótem? — spytał Rand.

Mat westchnął i z niechęcią opróżnił kieszeń. Kiedy rachunek został zapłacony, Rand skrzywił się, widząc, jak niewiele już im zostało.

Jednakże dziesięć minut później jedli gulasz przy stole ustawionym obok kominka, napychając go na łyżki kawałami chleba. Porcje nie były tak duże, jak Rand by sobie życzył, ale przynajmniej gorące i sycące. Ciepło z paleniska powoli zaczynało ich przenikać. Udawał, że nie odrywa wzroku od talerza, ale bacznie pilnował drzwi. Wszyscy wchodzący i wychodzący wyglądali jak farmerzy, to jednak nie wystarczało, by uciszyć jego obawy.

Mat jadł powoli, rozkoszując się każdym kęsem, mruczał coś tylko o świetle lamp. Po jakimś czasie wyciągnął szal ofiarowany mu przez Alperta Mulla i obwiązał nim czoło, naciągając go tak, że nieomal zakrył oczy. To ściągnęło na nich kilka spojrzeń, których Rand wolał uniknąć. Pośpiesznie opróżnił talerz do czysta, ponaglając Mata, by zrobił to samo, po czym poprosił pana Allwine, aby ich zaprowadził do pokoju.

Karczmarz wyraźnie się zdziwił, że tak wcześnie udają się na spoczynek, jednak nie wygłosił żadnego komentarza. Zabrał świecę i poprowadził ich przez płataninę korytarzy do niewielkiej izdebki, z dwoma wąskimi łózkami, w dalekim kącie karczmy. Po jego wyjściu Rand rzucił tobołki na podłogę obok łóżka, cisnął płaszcz na krzesło i nie rozebrawszy się padł na pościel. Ubranie było wciąż wilgotne i nieprzyjemne, ale chciał być przygotowany, na wypadek gdyby musieli uciekać. Nie odpinając nawet miecza, zasnął z dłonią na rękojęści.

Rankiem ze snu wyrwało go pianie koguta. Leżał wpatrzony w świt rozjaśniający okno i zastanawiał się, czy odważyć się na jeszcze odrobinę snu. Sen za dnia, mimo że mogliby już ruszać? Ziewnął tak, aż coś mu trzasnęło w szczękę.

— Hej! — wykrzyknął Mat. — Widzę! — Usiadł na łóżku, zmrużonymi oczyma rozglądał się po pokoju. — W każdym razie trochę. Twoja twarz jest nadal zamazana, ale już mogę stwierdzić, że to ty. Wiedziałem, że wszystko będzie dobrze. Do wieczora będę widział lepiej niż ty. Nareszcie.

Rand wyciągnął się na łóżku, drapiąc się, gdy sięgał po płaszcz. Ubranie, wysychając na nim podczas snu, zmięło się, skóra pod nim swędziała.

— Marnujemy dzień — powiedział.

Mat pozbierał się najszybciej jak mógł, też się drapał.

Rand czuł się naprawdę dobrze. Znajdowali się o dzień drogi od Czterech Króli i nie spotkali żadnego z ludzi Gode'go. Dzień bliżej do Caemlyn, gdzie miała na nich czekać Moiraine. Będzie czekała. Jak tylko znajdą się znowu razem z Aes Sedai i Strażnikiem, nie będą się dłużej musieli obawiać Sprzymierzeńców Ciemności. Dziwne to było, tak niecierpliwe wyczekiwanie na spotkanie Aes Sedai.

„Światłości, kiedy znowu zobaczę Moiraine, to ją ucałuję!”

Zaśmiał się na samą myśl. Czuł się tak dobrze, że postanowił zainwestować część ich szczupłego zapasu monet w śniadanie — wielki bochen chleba i dzban mleka, prosto z chłodnej piwnicy.

Jedli w tyle ogólnej izby, kiedy do środka wszedł jakiś młody mężczyzna, wieśniak, sądząc po wyglądzie. Idąc, podskakiwał sprężysto i obracał na palcu sukienną czapkę z piórem. Oprócz nich w izbie był jeszcze staruszek zamiatający podłogę, który ani na moment nie oderwał wzroku od swej miotły. Młodzieniec ogarnął izbę roześmianymi oczyma, lecz kiedy dostrzegł Randa i Mata, czapka spadła mu z palca. Patrzył na nich całą minutę, zanim poderwał czapkę z podłogi, potem znowu wpatrywał się przez chwilę, przeczesując palcami gęste, czarne loki. Wreszcie podszedł do ich stołu, powłócząc nogami.

Był starszy od Randa, jednak stał i patrzył na nich nieśmiało.

— Czy mogę się przysiąść? — spytał i zaraz z trudem przełknął ślinę, jakby powiedział coś złego.

Rand pomyślał, że młodzieniec liczy pewnie na to, że podzieli się z nim śniadaniem, choć wyglądał na takiego, którego na nie stać. Jego koszula w niebieskie paski miała haftowany kołnierz, haftowany był też cały brzeg jego granatowego płaszcza. Wysokie skórzane buty nigdy nie zbliżyły się nawet do żadnej pracy, od której mogłyby się zniszczyć. Tyle Rand dostrzegł. Wskazał krzesło, skinąwszy głową.

Mat przypatrywał się chłopcu, kiedy ten przysuwał sobie krzesło do stołu. Rand nie potrafił stwierdzić, czy patrzy na niego spode łba, czy tylko próbuje lepiej widzieć. W każdym razie mars na czole Mata odniósł skutek. Młody mężczyzna zastygł w połowie siadania i nie usiadł dopóty, dopóki Rand nie skinął ponownie.

— Jak się nazywasz? — spytał Rand.

— Jak się nazywam? Jak się nazywam. Ach... mówcie na mnie Paitr. — Jego oczy biegały nerwowo. — Ach... to nie mój pomysł, rozumiecie. Ja to muszę robić. Nie chciałem, ale mnie zmusili. Musicie to zrozumieć. Ja nie...

Rand zaczynał czuć napięcie, kiedy Mat warknął:

— Sprzymierzeniec Ciemności.

Paitr drgnął i uniósłszy się z krzesła potoczył dzikim wzrokiem po izbie, jakby siedziało w niej pięćdziesięciu ludzi, którzy mogli to słyszeć. Głowa starca była nadal pochylona nad miotłą, jego uwaga skupiona na podłodze. Paitr usiadł z powrotem i patrzył niepewnie to na Randa, to na Mata. Nad jego górną wargą zebrały się paciorki potu. Od takiego oskarżenia każdy mógł się spocić, on jednak nie próbował się wybronić nawet słowem.

Rand powoli pokręcił głową. Po spotkaniu z Gode'm wiedział, że Sprzymierzeńcy Ciemności wcale nie muszą mieć wyrysowanego Smoczego Kła na czole, lecz gdyby nie to ubranie Paitr z powodzeniem pasowałby do Pola Emonda. Nie było w nim nic takiego, co przywodziłoby na myśl mord albo gorsze rzeczy. Niczym się nie wyróżniał. Gode przynajmniej był... inny.

— Zostaw nas w spokoju — powiedział Rand. — I powiedz swoim przyjaciołom, żeby zostawili nas w spokoju. Nie chcemy od nich niczego i oni też nic od nas nie dostaną.

— Jeśli nie odejdziesz — dodał zapalczywie Mat — to nazwę cię tym, kim jesteś. Sprawdź, co myślą o tym twoi znajomi z wioski.

Rand miał nadzieję, że Mat nie powie tego, co rzeczywiście myśli. To mogło im obydwóm przysporzyć tyle samo kłopotów co Paitrowi.

Paitr wydawał się traktować tę groźbę poważnie. Twarz mu pobleadła.

— Ja... ja słyszałem, co się stało w Czterech Królach. W każdym razie częściowo. Wieści się roznoszą. Mamy sposoby na dowiadywanie się o wszystkim. Tu jednak nikt na was nie zastawi pułapki. Ja jestem sam i... ja tylko chciałem porozmawiać.

— O czym? — spytał Mat dokładnie w tym samym momencie, w którym Rand powiedział:

— Nie jesteśmy zainteresowani.

Popatrzyli na siebie, a Mat wzruszył ramionami.

— Nie jesteśmy zainteresowani — powtórzył.

Rand wypił ostatni łyk mleka i wepchnął piętękę swojej połowy chleba do kieszeni. Mógł to być ich następny posiłek, ponieważ wydali już prawie wszystkie pieniądze.

Jak wyjść z karczmy? Jeśli Paitr odkrył, że Mat jest prawie ślepy, powie innym... innym Sprzymierzeńcom Ciemności. Rand widział kiedyś, jak wilk oddziela kulawą owcę od reszty stada, dookoła były inne wilki i nie mógł ani zostawić stada, ani dobrze wycelować z łuku. Gdy tylko owca zniknęła, pobekując w śmiertelnym strachu

i gwałtownie kuśtykając na trzech nogach, ten samotny wilk, który ją ścigał, jakby za sprawą czarów przemienił się w dziesięć wilków. Na samo wspomnienie przewracало mu się w żołądku. Tutaj też nie mogli zostać. Nawet jeśli Paitr mówił prawdę, gdy twierdził, że jest sam, to jak długo będzie sam?

— Czas iść, Mat — powiedział i wstrzymał oddech.

Kiedy Mat zaczął wstawać, ściągnął wzrok Paitra na siebie, pochylając się do przodu i mówiąc:

— Zostaw nas samych, Sprzymierzeńcze Ciemności. Nie będę tego powtarzał. Zostaw-nas-w-sпокоju.

Paitr przełknął ślinę i usiadł głębiej w krześle, z jego twarzy odpłynęła cała krew. To Randowi przypomniało Myrddraala.

Kiedy znów spojrzał na Mata, ten już stał, skrywając swoją niezdarność. Rand pośpiesznie zarzucił na plecy swoje sakwy i inne tobołki, starając się, by jego miecz nie wychylił się spod płaszcza. Być może Paitr już o nim wiedział, może Gode powiedział Ba'alzamonowi, a Ba'alzamon Paitrowi, ale nie sądził, by tak było. Uznał, że Paitr ma jedynie mgliste pojęcie o tym, co zaszło w Czterech Królach. Dlatego właśnie był taki przestraszony.

Stosunkowo jasny zarys drzwi pomógł Matowi dojść do nich w linii prostej, jeśli nie szybko, to przynajmniej nie tak wolno, żeby to się wydawało nienaturalne. Rand szedł tuż za nim, modląc się, żeby się nie przewrócił. Cieszył się, że Mat ma prostą drogę, nie zastawioną żadnymi stołami albo krzesłami.

Paitr nagle zerwał się na nogi.

— Czekaście — powiedział z rozpaczą w głosie. — Musicie poczekać.

— Zostaw nas w spokoju — rzucił Rand, nie oglądając się za siebie.

Byli już prawie przy drzwiach, a Mat jeszcze ani razu nie stąpnał źle.

— Tylko mnie wysłuchajcie — powiedział Paitr i położył dłoń na ramieniu Randa, chcąc go zatrzymać.

W głowie wirowały mu różne wizje. Trollok Narg skaczący na niego we własnym domu. Myrddraal — grożący mu pod „Jeleniem i Lwem” w Baerlon. Wszędzie Półudzie, Pomory ścigające ich od Shadar Logoth, przybywające po nich do Białego Mostu. Wszędzie Sprzymierzeńcy Ciemności. Obrócił się błyskawicznie na pięcie, zwinął dłoń w pięść.

— Powiedziałem, że masz nas zostawić w spokoju!

Cios wywołał strumień z nosa Paitra. Sprzymierzeniec Ciemności z rozmachem upadł na ziemię. Siedział na podłodze, wpatrując się jak oniemiały w Randa. Z jego nosa kapała krew.

— Nie uciekniecie — wyrzucił z siebie ze złością. — Choćbyście byli nie wiem jak silni, Wielki Pan Ciemności jest silniejszy. Cień was pochłonie!

Z wnętrza ogólnej izby dobiegł ich okrzyk przestrachu i stukot kija miotły, padającej na podłogę. Starzec z miotłą wreszcie usłyszał. Stał i wpatrywał się wytrzeszczonymi oczyma w Paitra. Krew odbiegła z jego pomarszczonej twarzy, usta poruszały się, lecz nie padł z nich żaden dźwięk. Paitr przez chwilę odwzajemniał spojrzenie, po czym zaklął gwałtownie i zerwawszy się na równe nogi, wymknął się z karczmy prosto na ulicę, jakby deptało mu po piętach stado wygłodniałych wilków. Stary człowiek przeniósł uwagę na Randa i Mata, wyglądając na równie przerażonego, jak przed chwilą.

Rand wypchnął Mata z karczmy, a potem z wioski, cały czas nasłuchując odgłosów pościgu i krzyku, który nie rozlegał się, a mimo to dźwięczał w jego uszach.

— Krew i popioły! — zaklął Mat. — Oni tu zawsze są, zawsze nam depczą po piętach. Nigdy nie uciekniemy.

— Nie, nie ma ich — odparł Rand. — Gdyby Ba'alzamon wiedział, że tu jesteśmy, to czy myślisz, że zleciliby to temu człowiekowi? Byłby tu inny Gode i dwudziestu albo trzydziestu drabów. Oni wciąż szukają, ale nie będą wiedzieć, dopóki Paitr im nie powie, być może on jest rzeczywiście sam. Z tego co wiemy, być może będzie musiał wracać drogą aż do Czterech Króli.

— Ale on powiedział...

— Nie dbam o to. Nie położymy się i nie będziemy czekać, aż nas dogonią.

W ciągu dnia podwożono ich sześć razy na niewielkie odległości. Jakiś farmer powiedział im, że pewien stary szaleniec w karczmie w Market Sheran twierdził, iż w wiosce są Sprzymierzeńcy Ciemności. Farmer ledwie mógł mówić, tak się śmiał, stale ocierał łzy z twarzy. Sprzymierzeńcy Ciemności w Market Sheran! Była to najlepsza historia, jaką słyszał od czasu, gdy Ackley Farren się upił i przespał całą noc na dachu karczmy.

Człowiek o okrągłej twarzy, trudniący się naprawą wozów, którego wehikuł obwieszony był po bokach narzędziami, a z tyłu miał przytroczone dwa koła, opowiedział im inną historię. Dwudziestu Sprzymierzeńców Ciemności zorganizowało spotkanie w Market Sheran. Mężczyźni o powykęcanych ciałach, a kobiety w jeszcze gorszym stanie, całe brudne i w łachmanach. Na sam widok człowiekowi ugięły się kolana i kotłowało mu się w żołądku. Śmiali się obrzydliwym rechotem, który dzwonił w uszach jeszcze przez wiele godzin i wywoływał wrażenie, że zaraz pęknie ci głowa. Widział ich osobiście, tyle że z daleka, z dostatecznej odległości, żeby być bezpiecznym. Jeśli Królowa czegoś nie zrobi, to ktoś powinien zwrócić się o pomoc do Synów Światłości. Ktoś powinien coś zrobić.

Poczuł ulgę, gdy wreszcie rozstali się ze specjalistą od wozów.

Gdy wchodzili do niewielkiej wioski, przypominającej Market Sheran, za ich plecami zachodziło słońce. Droga Caemlyn dzieliła miejscowość na dwie równe części, po obu jej stronach stały rzędy małych domków krytych strzechami. Ceglane mury porastała

winorośl, jakkolwiek niewiele było na niej liści. W wioszczce była jedna karczma, skromny lokal nie przekraczający wielkością karczmy „Winna Jagoda”, oznaczony zawieszoną na haku tabliczką, która kołysała się jęklonie na wietrze. „Sługa Królowej”.

Dziwnie było uważać karczmę „Winna Jagoda” za małą. Rand pamiętał jeszcze, jak kiedyś myślał, że żaden budynek nie może być większy. Wszystko większe byłoby pałacem. Do tej pory jednak zobaczył już niejedno i nagle dotarło do niego, że już nic nie będzie dla niego wyglądało tak samo, kiedy wróci do domu.

„O ile wrócisz?”

Zawahał się przed karczmą. Nawet jeśli ceny w „Słudze Królowej” nie będą tak wysokie jak w Market Sheran, nie będą mogli pozwolić sobie ani na posiłek, ani na pokój, ani nawet na jedno z dwojga.

Mat zarejestrował, co jego oczy dostrzegły i poklepał kieszeń, w której trzymał kolorowe piłeczki Thoma.

— Widzę całkiem nieźle, nie mogę tylko robić nic wymyślnego. — Oczy mu zdrowiały, choć nadal nosił przepaskę na czole i mrużył je za każdym razem, gdy spojrzał na niebo podczas dnia. Rand nic nie powiedział, więc Mat mówił dalej. — To niemożliwe, by w każdej karczmie po drodze stąd do Caemlyn byli jacyś Sprzymierzeńcy Ciemności. A poza tym nie lubię spać pod krzakiem, kiedy mogę spać w łóżku.

Nie wykonał jednak najmniejszego ruchu w stronę karczmy, stał po prostu w miejscu i czekał na Randa.

Po chwili Rand skinął głową. Był zmęczony nie mniej niż przez cały czas, odkąd wyjechał z domu. Od samej myśli o spaniu pod gołym niebem rozboleły go kości.

„To wszystko nie ma sensu. Całe to uciekanie, oglądanie się przez ramię.”

— Nie mogą być wszędzie — zgodził się.

Już po pierwszym kroku, który dał do ogólnej izby, zaczął się zastanawiać, czy przypadkiem nie popełnił błędu. Było to czyste, lecz tłoczne miejsce. Wszystkie stoły były zajęte, a kilku ludzi opierało się o ściany, ponieważ nie mieli gdzie usiąść. Sądząc po sposobie, w jaki posługaczki przemykały się między stołami z minami pełnymi udręki właściciel tak samo — był to znacznie liczniejszy tłum niż zazwyczaj. Za duży, jak na taką małą wioskę. Z łatwością dawało się rozpoznać ludzi, którzy nie byli stąd. Ubrani byli podobnie jak pozostali, ale wzrok mieli wbity w jedzenie i picie. Miejscowi obserwowali obcych takim samym wzrokiem, jak wszystko inne.

W powietrzu unosił się jednostajny szum rozmów, tak głośny, że karczmarz zaprowadził ich do kuchni, gdy Randowi udało się mu wreszcie wytłumaczyć, że chcą z nim porozmawiać. Tutaj hałas był nieomal taki sam, bowiem kucharz i jego pomocnicy pobrzękiwali garnkami, biegając z miejsca na miejsce.

Karczmarz wytarł twarz dużą chustką.

— Domyślam się, że jedzicie do Caemlyn, żeby obejrzeć fałszywego Smoka, tak samo jak wszyscy inni durnie w Królestwie. No cóż, na jeden pokój przypada sześciu

i po dwóch albo trzech na jedno łóżko. Nie mam dla was nic innego, jeśli to was nie interesuje.

W trakcie zachwalania swego występu i programu Rand czuł mdłości. Droga wędrowała tyłu ludzi, każdy mógł być Sprzymierzeńcem Ciemności i nie było możliwości, by odróżnić takiego od reszty. Mat zademonstrował, jak żongluje — ograniczając się do zaledwie trzech piłeczek, a nawet wtedy bardzo uważał — Rand wyjął flet Thoma. Po kilku nutach *Starego czarnego niedźwiedzia* karczmarz niecierpliwie skinął głową.

— Możecie wystąpić. Przyda mi się ktoś, kto oderwie myśli tych durniów od Logaina. Dopiero co wybuchły trzy bójki o to, czy on naprawdę jest Smokiem. Połóżcie w kącie swoje rzeczy, a ja pójde przygotować dla was trochę wolnej przestrzeni. O ile znajdę nadające się do tego miejsce. Durnie. Świat jest pełen durniów, którzy nie mają dostatecznego rozsądku, aby zostać tam, gdzie ich miejsce. To właśnie jest powodem wszystkich kłopotów. Ludzie, którzy nie trzymają się miejsca, do którego należą.

Raz jeszcze przetaił twarz i wybiegł z kuchni, mruczając coś pod nosem.

Kucharz i jego pomocnice zignorowali chłopców. Mat stale poprawiał przepaskę na czole, unosił ją do góry, po czym mrugał na widok światła i na powrót zsuwał. Rand zastanawiał się, czy on widzi dostatecznie dobrze, by zrobić coś bardziej skomplikowanego niż żonglowanie trzema piłeczkami. Co zaś się jego tyczyło...

Mdłości w żołądku stawały się coraz silniejsze. Usiadł ciężko na niskim stołku, obejmując głowę rękoma. W kuchni panował chłód. Zadrżał. Powietrze było pełne pary, pod kuchniami i w piecach trzaskał ogień. Jego dreszcze nasiliły się, szczękały mu zęby. Objął się ramionami, ale to się na nic nie zdało. Miał wrażenie, że kości mu zamarły na lód.

Pojął niejasno, że Mat go o coś pyta, potrząsa za ramię i że ktoś zaklął, a potem wybiegł z kuchni. Potem pojawił się karczmarz. Kucharz, patrzący groźnie, stał u jego boku a Mat głośno wyklócał się z nimi. Nie potrafił zrozumieć, o czym mówią, słowa zlewały się w szum, myśli krążyły gdzieś bezładnie.

Nagle Mat pociągnął go za rękę, postawił na nogi. Wszystkie ich rzeczy — torby, koce, zwinięty w tobołek płaszcz Thoma i futerały z instrumentami — wisiały na ramionach Mata razem z jego łukiem. Karczmarz obserwował ich, nerwowo ocierając twarz. Na chwiejnych nogach, nieomal całkowicie wspierany przez Mata, Rand pozwolił przyjacielowi Poprowadzić się w stronę tylnych drzwi.

— P-p-przepraszam, M-m-mat — wykrztusił. Nie potrafił przestać szczękać zębami. — T-t-to chy-chyba., p-p-przez t-t-ten deszcz. J-j-jeszcze j-j-jedna noc... pod gołym niebem... chyba n-n-nie zaszkodzi.

Zmierzch zaciemnił niebo nakrapiane garścią gwiazd.

— Ani trochę — powiedział Mat.

Usiłował mówić pogodnym tonem, lecz Rand słyszał w nim skrywane zmartwienie.

— On się bał, że inni się dowiedzą, że w jego karczmie jest chory. Powiedziałem mu, że jeśli nas wyrzuci, to zabiorę cię do ogólnej izby. Przez to w jego karczmie po dziesięciu minutach byłoby o połowę mniej ludzi. Pomimo całej tej gadaniny, wcale na to nie miał ochoty.

— T-to gdzie?

— Tutaj — odparł Mat, otwierając drzwi stajni, wśród głośnego skrzypienia zawiasów.

W środku było ciemniej niż na zewnątrz, pachniało ziarnem, zbożem i końmi, wszystko to podszyte silną wonią nawozu. Gdy Mat ułożył go na zasłanej słomą podłodze, przyciągnął kolana do piersi, nadał się obejmując i trzęsąc od stóp do głów. Wszystkie jego siły wydawały się ulatywać wraz z tymi dreszczami. Usłyszał, jak Mat potknął się o coś, zaklął i znowu potknął, potem znowu szczęk metalu. Nagle wykwitło światło. Mat trzymał w górze starą, rozbitą latarnię.

Tłoczno było nie tylko w karczmie, ale również w stajni. W każdej przegrodzie stał koń, niektóre podniosły łby i mrugały na widok światła. Mat zbadał wzrokiem drabinę prowadzącą na stryszek, potem spojrzął na Randa skulonego na podłodze i potrząsnął głową.

— Nigdy cię tam nie wsadzę — mruknął.

Powiesił latarnię na gwoździu, wspiął się na drabinę i zaczął zrzucać na dół bele siana. Pośpiesznie wrócił na dół, w tylnej części stajni zrobił posłanie i ułożył na nim Randa. Nakrył go obydwoma płaszczami, lecz Rand natychmiast stracił je z siebie.

— Gorąco — wymamrotał. Niewyraźnie sobie jednak przypominał, że przed chwilą było mu zimno, a teraz miał wrażenie, że znalazł się w piecu. Rozchylił kołnierz i odrzucił głowę. — Gorąco.

Poczuł na czole dłoń Mata.

— Zaraz wracam — powiedział ten i zniknął.

Skręcał się spazmatycznie na sianie, jak długo, nie wiedział, dopóki Mat nie powrócił z kopiastym talerzem jedzenia w jednym ręku, dzbanem w drugim i dwoma białymi filiżankami dyndającymi mu u palców.

— Nie ma tu żadnej Wiedzącej — powiedział, klękając obok Randa. Napełnił jedną z filiżanek i przyłożył ją do ust przyjaciela. Rand łapczywie przełknął wodę, czuł się jakby od wielu dni nic nie pił. — Oni nawet nie wiedzą, kim jest Wiedząca. Mają tu tylko jakąś matkę Brune, ale ona odbiera gdzieś poród i nikt nie wie, kiedy wróci. Zdobyłem natomiast trochę chleba, sera i kiełbasy. Dobry pan Inlow da nam wszystko, dopóki będziemy trzymali się poza zasięgiem wzroku jego gości. No węź, zjedz trochę.

Rand odwrócił, głowę od jedzenia. Jego widok, wręcz sama myśl o nim, sprawiały, że kłębiło mu się w żołądku. Po chwili Mat westchnął i rozsiadł się wygodnie, by samemu coś zjeść. Rand odwrócił oczy i starał się nie słuchać.

Znowu poczuł dreszcze, a potem gorączkę, po której znowu nastąpiły dreszcze i potem znowu gorączka. Mat przykrywał go, kiedy się trząsał i poił go wodą, kiedy się uskarżał na pragnienie. Noc stawała się coraz ciemniejsza, wewnątrz stajni drżało w migotliwym świetle latarni. Cienie nabrały kształtu i ruszały się jakby wypuszczone na wolność. Potem zobaczył kroczącego przez sam środek stajni Ba'alzamoną z płonącymi oczyma i Myrddraale po obu jego stronach, z twarzami ukrytymi w głębi ich czarnych kapturów.

Rand próbował wstać, szukał na oślep rękojeści miecza i krzyczał:

— Mat! Mat, oni tu są! Światłości, oni tu są!

Wyrwany ze snu Mat usiadł na skrzyżowanych nogach pod ścianą.

— Co? Sprzymierzeńcy Ciemności? Gdzie? — Unosząc się chwiejnie na kolana, Rand pokazywał oszalałymi gestami wewnątrz stajni... i otworzył usta ze zdziwienia. Cienie drgały, konie szurały kopytami przez sen. Nic więcej. Opadł z powrotem na słomę. — Nikogo tu nie ma oprócz nas — powiedział Mat. — Poczekaj, daj mi to.

Wyciągnął rękę w stronę pasa, przy którym Rand nosił swój miecz. Rand jednak chwycił mocniej rękojeść.

— Nie. Nie. Muszę go mieć przy sobie. Należy do mojego ojca. Rozumiesz? Należy do m-m-mojego ojca! — Raz jeszcze targnęły nim dreszcze, przywarł do miecza, jakby to była linia życia. — M-mojego o-ojca!

Mat przestał mu go wrywać i przykrył z powrotem płaszczami.

Tej nocy, podczas gdy Mat drzemał, nastąpiły jeszcze inne nawiedzenia. Rand ani na moment nie był pewien, czy te widma tam są, czy nie. Czasami patrzył na Mata, leżącego z głową opartą na piersi, zastanawiając się, czy on je też zobaczy, jeśli się obudzi.

Z cieni wyłoniła się Egwene, z włosami splecionymi w długi, ciemny warkocz, taki sam jak nosiła w Polu Emonda, z obolałą i ponurą twarzą.

— Dlaczego nas opuściłeś? — spytała. — Umarliśmy, bo nas opuściłeś.

Rand słabo pokręcił głową.

— Nie, Egwene. Nie chciałem was zostawić. Uwierz.

— Wszyscy umarliśmy — powiedziała ze smutkiem — a śmierć jest królestwem Czarnego. Czarny nas posiadał, ponieważ ty nas opuściłeś.

— Nie. Nie miałem wyboru, Egwene. Uwierz, proszę. Egwene, nie odchodź. Wracaj, Egwene!

Ona jednak zawróciła w stronę cieni i stała się cieniem.

Moiraine miała pogodną twarz, mimo że bezkrwistą i bladą. Jej płaszcz przypominał całun, a jej głos świszczwał jak bicz.

— Tak jest dobrze, Randzie al'Thor. Nie masz wyboru. Musisz jechać do Tar Valon, bo inaczej Czarny zabierze cię dla siebie. Wieczność skuta łańcuchami w Cieniu. Tylko Aes Sedai mogą cię teraz uratować. Tylko Aes Sedai.

Thom uśmiechał się do niego sardonicznie. Ubranie barda wisiało na nim w postaci upalonych łańchmanów, przez które widział błyski światła, gdy Thom mocował się z Pomorem, by dać im czas na ucieczkę. Ciało pod łańchmanami było szerniałe i spalone.

— Zaufasz, Aes Sedai, chłopcze, a będziesz żałował, że w ogóle żyjesz. Pamiętaj, cena za pomoc Aes Sedai jest zawsze niższa, niż możesz uwierzyć, zawsze większa, niż możesz sobie wyobrazić. A jeśli pierwsza odnajdzie cię Ajah, co? Czerwona? A może Czarna? Najlepiej uciekać, chłopcze. Uciekaj!

Wzrok Lana był twardy jak granit, jego twarz zalewała krew.

— To dziwne zobaczyć ostrze ze znakiem czapli w rękach pasterza. Czy jesteś go wart? Powinieneś. Jesteś teraz sam. Nie masz już nic ani przed sobą, ani za sobą, na czym mógłbyś się oprzeć, a Sprzymierzeńcem Ciemności może być każdy. — Uśmiechnął się wilczym uśmiechem i z jego ust wylała się krew. — Każdy.

Przyszedł Perrin, oskarżał, błagał o pomoc. Pani al’Vere, oplakująca swą córkę, i Bayle Domon, przeklinający go za to, że sprowadził Pomory na jego statek, i pan Fitch, załamujący ręce nad popiołami swojej karczmy, i Min, wrywająca się z krzykiem z uścisku trolloka, ludzie, których znał, ludzie, których raz tylko spotkał. Jednak najgorzej było z Tamem. Tam stanął nad nim, marszcząc czoło i potrząsając głową, nie powiedział ani słowa.

— Musisz mi powiedzieć — błagał go Rand. — Kim jestem? Powiedz mi, proszę. Kim ja jestem? Kim ja jestem?

Krzyczał.

— Spokojnie, Rand. — Przez chwilę myślał, że to Tam mu odpowiedział, ale wtedy spostrzegł, że Tam zniknął. Pochylał się nad nim Mat, przykładał kubek z wodą do jego warg. — Po prostu leż spokojnie. Nazywasz się Rand al’Thor, nim właśnie jesteś, z tą swoją najszpetniejszą twarzą i najbardziej zakutym łbem w całych Dwu Rzekach. Hej, ty się pocisz! Gorączka opada.

— Rand al’Thor? — wyszeptał Rand.

Mat skinął głową i było w tym coś tak kojącego, że Rand odpłynął w sen, nawet nie dotykając wody.

Był to sen nie zakłócany koszmarami — przynajmniej nic nie pamiętał — ale tak lekki, że otwierał oczy, kiedy Mat go badał. W którymś momencie zastanowił się, czy Mat w ogóle spał, ale zapadł z powrotem w sen, zanim ta myśl zdążyła rozwinąć się dalej.

Obudził go ostatecznie dopiero pisk zawiasów w drzwiach, jednakże przez chwilę leżał bez ruchu na sianie, żałując, że już nie śpi. Przez sen nie miał świadomości swojego ciała. Teraz mięśnie go tak bolały, jakby to były wyżęte szmaty i siły miał mniej więcej tyle samo. Próbował lekko unieść głowę, udało mu się to dopiero przy drugiej próbie.

Mat siedział na swoim starym miejscu pod ścianą, w odległości wyciągniętej ręki od Randa. Miał podbródek wsparty na piersi, unosił się i opadał w spokojnym rytmie głębokiego snu. Chustka opadła mu na oczy.

Rand spojrział w stronę drzwi.

Stała przy nich kobieta i przytrzymała je, by się nie zamknęły. Przez chwilę wyglądała jak ciemny kształt w sukni, obrysowany bladym światłem wczesnego poranka, potem weszła do środka, pozwalając drzwiom zamknąć się za nią. W świetle latarni widział ją wyraźniej. Była mniej więcej w tym samym wieku co Nynaeve, jak mu się zdawało, ale nie była wieśniaczką. Bładozielony jedwab jej sukni błyszczał, kiedy się poruszała. Płaszcz miał barwę głębokiej, miękkiej szarości, włosy nosiła spięte pienistą siatką z koronki. W zamyśleniu patrzyła na Mata i niego, przesuając palcami po ciężkim złotym naszyjniku.

— Mat — powiedział Rand, a potem głośniejszym głosem zawołał: — Mat!

Mat zachrapał i budząc się, omal nie upadł. Przetarł zaspane oczy i ze zdumieniem zagapił się na kobietę.

— Przyszłam do swojego konia — powiedziała, niejasnym gestem wskazując przegrody. Ani na moment jednak nie oderwała wzroku od nich obojgu. — Czy jesteś chory?

— Nic mu nie jest — powiedział sztywno Mat. — Tylko się przeziębiliśmy na deszczu, to wszystko.

— Może mogłabym go obejrzeć — zaproponowała. — Trochę się znam...

Rand zastanawiał się, czy to jest Aes Sedai. Bardziej jeszcze niż ubranie przekonywał go jej pewny siebie sposób bycia, sposób, w jaki trzymała głowę, jakby zaraz miała wydać jakiś rozkaz.

„A jeśli ona jest Aes Sedai, to z jakich Ajah?”

— Już jestem zdrow — powiedział. — Naprawdę, nie ma potrzeby.

Ona jednak przeszła przez całą stajnię, unosząc spódnicę do góry i stawiając ostrożnie szare trzewiki. Krzywiąc się na widok słomy, uklękła przy nim i dotknęła jego czoła.

— Nie masz gorączki — powiedziała, badając go z marsem na czole. Była piękna, pomimo ostrych rysów, lecz w jej twarzy nie było ciepła. Nie tchnęła również chłodem, po prostu brakowało jej jakichkolwiek uczuć. — Ale byłeś chory. Tak. Tak. I jesteś nadal słaby jak jednodniowy kociak. Myślę...

Sięgnęła pod płaszcz i nagle wszystko zaczęło się dziać tak szybko, że Rand zdążył wydać z siebie tylko zduszony okrzyk.

Jej dłoń wyłoniła się spod płaszcza z błyskiem, coś załśniło, gdy rzuciła się ponad Randem w stronę Mata. Mat przewrócił się na bok, ruchem na oślep i wtedy rozległ się trzask metalu wbijanego w drewno. Wszystko to trwało zaledwie ułamek sekundy, potem zapanował spokój.

Mat leżał częściowo na plecach, jedną ręką trzymając ją za nadgarstek, tuż za sztyletem, który wbiła w ścianę, dokładnie w tym miejscu, w którym przedtem znajdowała się jego pierś, a drugą ręką przykładając ostrze z Shadar Logoth do jej gardła.

Nie ruszając niczym prócz oczu, usiłowała spojrzeć na sztylet trzymany przez Mata. Wytrzeszczając wzrok, wciągnęła powietrze i usiłowała mu się wyrwać, lecz on nadal przykładając krawędź ostrza do jej skóry. Po chwili znieruchomiała jak kamień.

Oblizując spieczone wargi, Rand przypatrywał się rozgrywającej się nad nim scenie. Nawet gdyby nie był taki słaby, nie mógłby się chyba poruszyć. Potem jego wzrok padł na sztylet i zaschło mu w ustach. Drewno wokół ostrza czerniało i unosiły się z niego cienkie smużki dymu.

— Mat! Mat, jej sztylet!

Mat zerknął na sztylet, potem znowu na kobietę, jednak ona ani drgnęła. Oblizywała swoje wargi nerwowo. Mat brutalnie oderwał jej dłoń od rękojeści i popchnął ją, potoczyła się w tył, padając daleko od nich, lecz nadal obserwując ostrze w jego dłoni.

— Nie ruszaj się — powiedział. — Użyję go, jeśli się ruszysz. Możesz wierzyć, że to zrobię. — Wolno skinęła głową, ani na moment nie odrywają wzroku od sztyletu Mata. — Obserwuj ją, Rand.

Rand nie bardzo wiedział, co miałby zrobić, gdyby próbowała czegokolwiek — może krzyknąć, z pewnością nie mógłby jej gonić, gdyby próbowała uciec — ona jednak siedziała bez ruchu, podczas gdy Mat wyrwał ostrze ze ściany, Czarna plama przestała się rozrastać, mimo że wciąż wydobywała się z niej cienka smuga dymu.

Mat rozejrzał się dookoła w poszukiwaniu jakiegoś miejsca, na którym mógłby położyć sztylet, po czym podał go Randowi. Wziął go ostrożnie, jakby to była żmija. Wyglądał zwyczajnie, mimo że był ozdobny, z rękojeścią z jasnej kości słoniowej i wąskim, połyskliwym ostrzem, nie dłuższym od jego dłoni. Po prostu sztylet. Tylko że on widział, co ten sztylet potrafi. Rękojeść nie była nawet ciepła, a mimo to jego dłoń ociekała potem. Miał nadzieję, że nie upuści go na siano.

Kobieta nie podniosła się, cały czas jednak patrzyła na zwróconego w jej stronę Mata. Obserwowała go, jakby ciekawa tego, co on teraz zrobi, Rand natomiast zauważył zwężające się oczy Mata, jego dłoń zaciskającą sztylet.

— Mat, nie!

— Ona próbowała mnie zabić, Rand. Ciebie też by zabiła. Ona jest Sprzymierzeńcem Ciemności.

To ostatnie słowo zabrzmiało jak splunięcie.

— My natomiast nie jesteśmy nimi — powiedział Rand. Kobieta głośno krzyknęła, kiedy pojęła, jakie zamiary miał Mat. — Nie jesteśmy nimi, Mat.

Przez chwilę Mat trwał w bezruchu, a światło latarni odbijało się od ostrza. Potem skinął głową.

— Idź tam — powiedział do kobiety, wskazując sztyletem drzwi prowadzące do komórki.

Wstała powoli, zatrzymując się, by otrzepać słomę z sukni. Ruszyła w kierunku wskazanym przez Mata takim krokiem, jakby nie było żadnych powodów do pośpiechu. Rand jednak zauważył, że bacznie obserwowała sztylet z rubinową rękojeścią w dłoni Mata.

— Naprawdę powinniście przestać się opierać — powiedziała. — Ostatecznie tak będzie dla was najlepiej. Zobaczycie.

— Najlepiej? — spytał z krzywym uśmiechem Mat, pocierając pierś w miejscu, w którym zniknęłoby jej ostrze, gdyby się nie poruszył. — Stań tam!

U słuchała, niedbale wzruszając ramionami.

— Błąd. Wyniknęło sporo... zamieszania z powodu tego, co przytrafiło się temu głupiemu egoiście, Gode'mu. Nie wspominając już o tym idiocie, który wzniecił panikę w Market Sheran. Nikt nie wie dokładnie, co się tam stało, ani dlaczego. Z tego powodu wszystko staje się dla was jeszcze bardziej niebezpieczne, rozumiecie? Będziecie na honorowych miejscach, jeśli przyjdziecie do Wielkiego Pana dobrowolnie, ale dopóki będziecie uciekać, dopóty pościg będzie trwał, i kto wie, co stanie się później?

Rand poczuł chłód.

„Moje psy są zazdrosne, mogą nie być delikatne.”

— A zatem macie kłopot z parą wiejskich chłopców. — Śmiech Mata był ponury. — Może wy, Sprzymierzeńcy Ciemności, nie jesteście aż tacy groźni, jak mi zawsze wmawiano.

Otworzył na oścież drzwi do komórki i odsunął się.

Zatrzymała się na samym progu, oglądając się na niego przez ramię. Jej wzrok był lodowaty, a głos jeszcze zimniejszy.

— Dowiedcie się, jak bardzo jesteśmy niebezpieczni. Kiedy przybędą tu Myrddraale...

Nie wiadomo, co jeszcze miała do powiedzenia, bowiem Mat zatrzasnął i zaryglował drzwi. Kiedy się odwrócił, w jego oczach widniało zmartwienie.

— Pomor — powiedział ściśniętym głosem, chowając sztylet pod płaszcz. — On tu jedzie, powiedziała. Jak tam twoje nogi?

— Nie zatańczę — mruknął Rand — ale jak pomożesz mi wstać, to pójdę. Spojrzał na ostrze w swoim ręku i zadrżał. — Krew i popioły, pobiegnę.

Mat pośpiesznie obwiesił się ich dobytkiem i pomógł Randowi wstać. Pod osłabionym Randem ugiwały się nogi i musiał się wesprzeć na przyjacielu, żeby ustać, ale starał się nie spowalniać Mata. Trzymał sztylet kobiety z daleka od siebie. Za drzwiami stało wiadro z wodą. Po drodze wrzucił do niego sztylet. Ostrze wsunęło się do wody z sykiem, nad powierzchnią uniosła się para. Krzywiąc się z bólu, starał się iść szybciej.

Wraz z brzaskiem, pomimo wczesnej pory, na ulicach pojawiło się mnóstwo ludzi. Zajmowali się jednak własnymi sprawami i nikt nie zechciał obdarzyć uwagą dwóch młodych ludzi, wychodzących ze wsi, nie wobec tak licznych rzesz obcych. Przy każdym kroku Rand zastanawiał się, czy przypadkiem wszyscy mijający ich biegiem ludzie nie są Sprzymierzeńcami Ciemności.

„Czy któryś z nich czeka na kobietę ze sztyletem? Na Pomora?”

Miłę za wioską stracił siły. Najpierw dyszał, wisząc na przyjacielu, potem obydwaj padli na ziemię. Mat zaciągnął go na pobocze drogi.

— Musimy iść dalej — powiedział Mat. — Przeczesał włosy palcami, potem zsunął chustkę na oczy. — Prędzej czy później ktoś ją wypuści i znowu zaczną nas ścigać.

— Wiem — wysapał Rand. — Wiem. Podaj mi rękę.

Mat znowu poderwał go z ziemi. Stał chwiejnie, wiedząc, że nic z tego nie wyjdzie. Gdy tylko spróbuje zrobić krok, znowu padnie na twarz.

Podtrzymując go, Mat czekał niecierpliwie, aż będzie ich mijał jakiś konny wóz ze wsi. Mruknął ze zdziwieniem, gdy zatrzymała się przed nimi fura. Z siedzenia woźnicy spojrzął na nich człowiek o skórzastej twarzy.

— Coś z nim nie tak? — spytał mężczyzna, nie wyjmując fajki z ust.

— Jest tylko zmęczony — odparł Mat.

Rand widział, że z tego nic nie będzie, jeśli będzie się tak opierał na przyjacielu. Puścił Mata i zrobił krok dalej. Nogi się pod nim ugięły, ale siłą woli stał wyprostowany.

— Nie spałem dwa dni — wyjaśnił. — Zjadłem coś, od czego się rozchorowałem. Już mi lepiej, ale brak mi snu.

Mężczyzna wypuścił kłęb dymu kątem ust.

— Jedzicie pewnie do Caemlyn? Gdybym był w waszym wieku, też bym pojechał zobaczyć fałszywego Smoka.

— Tak — przytaknął Mat. — Zgadza się. Jedziemy zobaczyć fałszywego Smoka.

— No dobra, wsiadajcie. Twój przyjaciel z tyłu. Jeśli się znowu rozchoruje, to lepiej na słomie, a nie tutaj. Nazywam się Hyam Kinch.

OSTATNIA WIOSKA

Zmierzch już zapadł, kiedy dotarli do Carysford, trwało to dłużej niż Rand się spodziewał, po tym co usłyszał od pana Kincha. Zastanawiał się, czy przypadkiem nie jest na bakier z poczuciem czasu. Zaledwie trzy noce od Howala Godego i Czterech Króli, dwie odkąd Paitr ich zaskoczył w Market Sheran. Zaledwie jeden dzień wcześniej bezimienna kobieta — Sprzymierzeniec Ciemności próbowała ich zabić w stajni „Sługi Królowej”, a nawet od tego wydarzenia wydawał się dzielić go rok, albo i nawet całe życie.

Cokolwiek stało się czasem, Carysford wyglądało dość normalnie, przynajmniej na pierwszy rzut oka. Czyste, obrosnięte winoroślą ceglane domki i wąskie dróżki, wyjąwszy oczywiście samą Drogę Caemlyn, ciche i pozornie spokojne.

„Co jednak kryje się pod tym wszystkim?” — zastanawiał się niespokojnie.

Market Sheran też wyglądało na spokojne i tak samo wioska, w której tamta kobieta... Nie poznał nigdy jej imienia i nie miał ochoty nawet o tym myśleć.

Światło wylewało się z okien domów na zupełnie wyludnione ulice. Randowi to się podobało. Przekradając się od rogu do rogu, unikał nielicznych ludzi. Mat przywarł do jego ramienia, zastygając w bezruchu, gdy zgrzytanie żwiru obwieszczało nadchodzącego wieśniaka, a przemykając się od cienia do cienia, kiedy niewyraźny kształt już ich minął.

Rzeka Cary miała tu zaledwie trzydzieści jardów szerokości i jej czarne wody toczyły się ospale, jednakże dawno już temu wzniesiono most przez bród. Wieki deszczy i wiatrów zniszczyły kamienne wsporniki, przez co przypominały nieomal naturalne formacje. Całe lata koła wozów i karawan kupieckich ryły koleiny w grubych drewnianych podkładach. Luźne deski klekotały pod ich stopami, głośno jak bębny. Jeszcze długo potem, jak minęli wieś i wyszli na otwartą przestrzeń, Rand czekał, aż jakiś głos zapyta, kim są. Lub jeszcze gorzej, że będzie to wiedział.

Okolica, w miarę jak się w nią zagłębiali, stawała się coraz gęściej zasiedlona. Zawsze w zasięgu wzroku były jakieś światła z okien farmerskich domów. Drogę i pola za nią otaczały żywopłoty i płoty z drutu kolczastego. Pola rozciągały się wszędzie, nigdzie

najmniejszego pasma lasu w pobliżu drogi. Wydawało się, że cały czas są na skraju jakiejś wioski, nawet jeśli od najbliższej dzieliły ich całe godziny. Wszystko zadbane i spokojne. I ani śladu Sprzymierzeńców Ciemności czy jeszcze czegoś gorszego, co mogło tu na nich czyhać.

Nagle Mat usiadł przy drodze. Zsunął chustę na czubek głowy, bo jedynym źródłem światła był teraz księżyc.

— Dwa kroki to pięćdziesiąt — mruknął. — Tysiąc pięćdziesiąt to mila, cztery mile to liga... Nie ujdę następnego tysiąca kroków, jeśli dalej nie będzie jakiegoś miejsca do spania. Coś do jedzenia byłoby też mile widziane. Nie chowasz przypadkiem czegoś w kieszeniach, prawda? Na przykład jabłka? Nie miałbym do ciebie o to pretensji. Dałbym ci nawet popatrzeć.

Rand rozejrzał się po drodze. Tylko oni wędrowali nocą. Zerknął na Mata, który ściągnął but i rozcierał stopę. Jego też bolały nogi. Drgawki szarpały wszystkie mięśnie, jakby chcąc mu powiedzieć, że bynajmniej nie odzyskał jeszcze sił.

Na polu tuż przed nimi stały jakieś ciemne kopce. Stogi siana, zmalące od zimowego dokarmiania zwierząt, ale jednak stogi siana.

Trącił Mata palcem nogi.

— Tam się prześpimy.

— Znowu stogi — westchnął Mat, ale włożył but i wstał.

Zrywał się wiatr, noc stawała się coraz chłodniejsza. Pokonali gładkie słupy ogrodzenia i szybko zaryli się w siano. Brezent, który chronił siano przed deszczem, dawał również osłonę przed wiatrem.

Rand kręcił się w zagłębieniu, które sobie wymościł, dopóki wreszcie nie znalazł wygodnej pozycji. Siano kłuło przez ubranie, ale nauczył się nie zwracać na to uwagi. Próbował policzyć wszystkie stogi siana, w których spał od Białego Mostu. Bohaterowie opowieści nigdy nie musieli spać w stogach, nawet bardzo krótko. Z westchnieniem postawił swój kołnierz, w nadziei, że siano nie będzie mu się wślizgiwało pod ubranie.

— Rand? — powiedział cicho Mat. — Rand, czy myślisz, że nam się uda?

— Tar Valon? To jeszcze daleko, ale...

— Caemlyn. Czy myślisz, że dojdziemy do Caemlyn?

Rand podniósł głowę, jednak w ich jamie było ciemno, obecność Mata potwierdzała tylko jego głos.

— Pan Kinch mówił, że to dwa dni drogi. Dojdziemy tam pojutrze.

— O ile przy drodze nie będzie na nas czekało stu Sprzymierzeńców Ciemności albo ze dwa Pomory. — Na moment zapadła cisza, po chwili Mat dodał: — Chyba zostaliśmy już tylko my dwaj, Rand. — W jego głosie słychać było lęk. — Niezależnie od tego, o co w tym wszystkim chodzi, teraz jesteśmy już tylko my dwaj. Tylko my.

Rand pokręcił głową. Wiedział, że Mat nie widzi w ciemności, ale zrobił to bardziej dla siebie niż dla niego.

— Śpij, Mat — powiedział zmęczonym głosem.

Sam jednak długo leżał, nie mogąc zasnąć.

„Tylko my.”

Obudziło go pianie koguta, wygramolił się na błądy świt, otrzepując siano. Pomimo środków ostrożności, żdźbła dostały się pod ubranie, przykleiły do pleców i drażniły skórę, Zdjął kaftan i wyciągnął koszulę ze spodni, żeby się ich pozbyć. Właśnie trzymał jedną rękę na karku, a drugą wsunął na plecy, gdy wyczuł obecność ludzi.

Słońce jeszcze nie całkiem wzeszło, lecz drogą wędrował już stały pochód, pojedynczo lub parami, maszerujący mozolnie w stronę Caemlyn, niektórzy z pakunkami lub tobołkami na plecach, inni tylko z kijem do podpierania się, niektórzy bez niczego. Większość stanowili młodzi mężczyźni, tu i ówdzie jednak widziało się dziewczynę albo kogoś starszego. Wszyscy bez wyjątku mieli w sobie to samo zmęczenie podróży, wyraz twarzy ludzi, którzy przebyli długą drogę. Niektórzy wbijali wzrok w swoje stopy i garbili się ze znużenia, mimo że było jeszcze tak wcześnie, inni mieli wzrok utkwiony w czymś, czego jeszcze nie było widać, w czymś, co miało przyjść razem ze świtem.

Ze stogu wytoczył się Mat, drapiąc energicznie. Znieruchomiał tylko na chwilę, żeby owinąć chustę wokół głowy, tego ranka nieco mniej zasłaniała jego oczy.

— Myślisz, że uda nam się dzisiaj zdobyć coś do jedzenia?

Randowi znacząco zaburczało w brzuchu.

— Pomyślimy o tym po drodze — powiedział.

Pośpiesznie poprawił ubranie i wyciągnął ze stogu swoje tobołki.

Zanim dotarli do płotu, Mat również zauważył ludzi. Spojrzał krzywo i zatrzymał się na polu, mimo że Rand już się wdrapywał na płot. Patrzył na nich przechodzący właśnie młody mężczyzna, niewiele od nich starszy. Jego ubranie było zakurzone, podobnie jak tobołek przywiązany na plecach.

— Dokąd idziesz? — zawołał Mat.

— A niby dokąd, do Caemlyn, zobaczyć Smoka — odkrzyknął, nie zatrzymując się. Uniósł brew na widok koty i toreb zwisających z ich ramion i dodał: — Tak samo jak wy.

Śmiejąc się szedł dalej, z wzrokiem wbitym tęsknie w dal.

Mat zadawał to pytanie jeszcze kilka razy tego dnia, jedynymi ludźmi, którzy nie odpowiadali podobnie, byli miejscowi, którzy dla odmiany nie odpowiadali prawie wcale, tylko soplali i odwracali się z obrzydzeniem. Odwracali się, a mimo to patrzyli czujnym wzrokiem. Patrzyli na wszystkich wędrowców w taki sam sposób, kątem oka. Ich twarze mówiły, że takich obcych stać na wszystko, jeśli się nie będzie ich pilnowało.

Ludzie, mieszkający w tej okolicy nie tylko wystrzegali się obcych, wyglądali również co najmniej na zirytowanych. Dość ludzi było na drodze, dostatecznie od siebie

oddalonych, a kiedy wraz ze słońcem wzierającym ponad horyzontem pojawiły się fury i powozy farmerów, nawet ich zazwyczaj nieśpieszny krok zwolnił się o połowę. Nikt z nich nie miał ochoty ich podwieźć. Bardziej prawdopodobny był kwaśny grymas, a nawet i przekleństwo za pracę, którą tracili.

Wozy kupców przetaczały się obok bez specjalnych przeszkód, wśród wygrażających pięści, niezależnie od tego czy jechały do Caemlyn, czy z niego wracały. Kiedy wczesnym rankiem pojawił się pierwszy tabor kupców, nadjeżdżający powolnym, jednostajnym rytmem, ledwie oświetlony słońcem, które dopiero co weszło ponad horyzont, Rand wyszedł na drogę. Wozy wyraźnie nie miały zamiaru zwolnić, widział też innych ludzi wychodzących na środek drogi. Szedł z najwyższą trudnością, ale jednak jakoś szedł.

Jedynym ostrzeżeniem, gdy pierwszy wóz przetoczył się z głośnym turkotem obok niego, był nieznaczny ruch. Rozłożył się na ziemi jak długi, gdy bicz woźnicy świsnął w miejscu, w którym przed chwilą znajdowała się jego głowa. Już leżąc, napotkał wzrok woźnicy mijającego go wozu. Twarde oczy ponad zaciśniętymi ustami. Woźnicy nie obchodziło, że mógł go pokaleczyć do krwi albo wybić mu oko.

— Niech cię Światłość oślepi! — zawołał Mat w ślad za wozem. — Nie możesz...

W tym momencie strażnik na koniu pchnął go czubkiem włóczni w ramię, sprawiając, że przewrócił się na leżącego Randa.

— Precz z drogi, wy brudni Sprzymierzeńcy Ciemności! — warknął strażnik, nie zwalniając.

Po tym wszystkim już nie podchodzili do wozów. Z pewnością było ich sporo. Szczęk i turkot ledwie zdążył ucichnąć, gdy rozlegał się następny. Strażnicy i woźnice patrzyli na wędrowców kierujących się do Caemlyn, jakby to był ruchomy brud.

Któregoś razu Rand nie zdążył się chylić przed biczem woźnicy i został trafiony końcem pejcza. Przyłożył natychmiast dłoń do strumienia krwi, który popłynął z jego łuku brwiowego, z trudem się powstrzymał, aby nie wymiotować. Tak blisko oka. Woźnica uśmiechnął się szyderczo. Drugą ręką Rand schwycił Mata, który już napinał strzałę.

— Daj spokój — powiedział. — Ruchem głowy wskazał strażników jadących z boku wozów. Niektórzy z nich się śmiali, inni obdarzyli ciężkim spojrzeniem łuk Mata. — Jak będziemy mieli szczęście, to tylko obją nas włóczniami. Jeżeli będziemy mieli szczęście.

Mat burknął coś kwaśnym tonem, pozwolił jednak, by Rand pociągnął go do dalszego marszu.

Dwukrotnie drogą cwałowały szwadrony Gwardii Królowej, wstążki na ich lancach furkotały na wietrze. Niektórzy farmerzy ich pozdrawiali, domagając się, by zrobili coś z obcymi, a gwardziści zawsze się zatrzymywali, by ich cierpliwie wysłuchać. Około południa Rand przystanął, chcąc przysłuchać się takiej rozmowie.

Usta kapitana Gwardii, skryte za przyłbicą, wyglądały jak cienka linia.

— Jeśli któryś z nich coś ukradnie, albo wejdzie na twoją ziemię — grzmiał na przysadzistego farmera, rzucającego krzywe spojrzenia na jego ostrogi — wówczas zawiodę go do magistratu. Nie łamią jednak żadnego Prawa Królowej, idąc po Królewskim Gościńcu.

— Ale oni są tu wszędzie — protestował farmer. — Kto wie, kim albo czym są. Całe to gadanie o Smoku...

— Na Światłość, człowieku! Jest ich tu tylko garstka. Mury Caemlyn już od nich pękają, a z każdym dniem jest ich coraz więcej. — Grymas na twarzy kapitana pogłębił się, gdy spostrzegł Rand i Mata stojących nie opodal przy drodze. Gestem dłoni w rękawicy ze stalowym wierzchem wskazał drogę. — Ruszajcie, bo inaczej aresztuję was za tarasowanie ruchu.

Nie przemówił do nich bardziej szorstkim tonem niż do farmera, posłusznie jednak ruszyli. Wzrok kapitana towarzyszył im jakiś czas, Rand czuł go na swoim grzbiecie. Podejrzał, że gwardzistom pozostało niewiele cierpliwości dla wędrowców i że zupełnie by im jej zabrakło, gdyby spotkali głodnego złodzieja. Postanowił zniechęcić Mata, kiedy ten znowu zaproponuje kradzież jajek.

W obecności wszystkich tych wozów i ludzi na drodze można się też było dopatrzeć i dobrej strony, szczególnie w obecności wszystkich młodych mężczyzn kierujących się do Caemlyn. Gdyby szukali ich jacyś Sprzymierzeńcy Ciemności, to byłoby to jak szukanie dwóch wybranych gołębi w całym stadzie. Skoro tamten Myrddraal podczas Zimowej Nocy nie wiedział dokładnie, kogo szuka, to jakimś jego koleżce nie mogło się tu powieść lepiej.

Często burczało mu w żołądku, przypominając, że nie zostało im prawie wcale pieniędzy, z pewnością nie tyle, by starczyło na jakiś posiłek przy takich cenach, jakie musiały obowiązywać w pobliżu Caemlyn. Raz przyłapał się na tym, że trzyma dłoń na futerale z fletem, jednak stanowczo przewiesił go na plecy. Gode wiedział o flecie i o żonglowaniu. Nie wiadomo było, ile Ba'alzamon dowiedział się od niego pod koniec — o ile to, co widział Rand, stanowiło jakiś koniec — albo ile wieści przekazano innym Sprzymierzeńcom Ciemności.

Spojrzał z żalem na farmę, którą właśnie mijali. Jakiś człowiek pilnował płotów w towarzystwie pary psów, warczących i próbujących się urwać ze smyczy. Mężczyzna miał taką minę, jakby tylko czekał na wymówkę, by móc psy puścić. Nie na każdej farmie widać było psy, jednak na żadnej nie oferowano podróznikom pracy.

Do zachodu słońca minęli jeszcze dwie wioski. Stały w nich grupki wieśniaków, rozmawiających z sobą i obserwujących stały strumień wędrowców. Nie mieli bardziej przyjaznych twarzy niż farmerzy, woźnice czy gwardziści Królowej. Wszyscy ci obcy, idący, obejrząc fałszywego Smoka, byli dla nich zagrożeniem. Głupcy, którzy nie wiedzą, że powinni zostać tam, gdzie ich miejsce! Być może byli wyznawcami fałszywego

Smoka. Może nawet Sprzymierzeńcami Ciemności. O ile między jednymi i drugimi była jakaś różnica.

Wraz z nadchodzącym wieczorem, przy drugiej wsi, tłum idących zaczął rzednieć. Ci, którzy mieli pieniądze, zniknęli w karczmie, mimo że najwyraźniej wybuchł spór, czy wpuścić ich do środka, inni zaczęli poszukiwać dogodnych żywopłotów albo pól, na których nie było psów. O zmierzchu Rand i Mat mieli całą Drogę Caemlyn dla siebie. Mat zaczął coś mówić o znalezieniu stogu siana, Rand jednak upierał się, by iść dalej.

— Przynajmniej dopóki widzimy drogę — powiedział. — Im dłużej będziemy szli bez zatrzymywania się, tym dalej zajdziemy.

„Jeśli cię ścigają? Po co mieliby cię teraz ścigać, skoro czekali, aż sam do nich przyjdiesz?”

Matowi ten argument wystarczył. Często, oglądając się przez ramię, przyspieszał kroku. Rand musiał bardzo się starać, aby go dogonić.

Nocny mrok gęstniał, rozjaśniany nieznacznie skąpym światłem księżyca. Początkowy wybuch energii Mata osłabł i znowu zaczął narzekać. Rand czuł, jak w jego nogach tworzą się grudy bólu. Wmawiał sobie, że podczas dnia ciężkiej pracy na farmie pokonywał dłuższą drogę razem z Tamem, jednak choć często to sobie powtarzał, nie potrafił jakoś uwierzyć. Zaciskając zęby ignorował ból i nie zatrzymywał się.

Przy akompaniamencie narzekań Mata, pogrążeni w wysiłku, jakiego wymagało postawienie każdego kroku, niemal dotarli do następnej wioski, kiedy nagle Rand zobaczył światła. Zatrzymał się chwiejnie, nagle świadom palącego bólu, który biegł od stóp przez całe nogi. Poczul, że na prawej stopie ma pęcherz.

Na widok światła wioski Mat opadł z jękiem na kolana.

— Czy możemy się już zatrzymać? — wydyszał. — Czy może chcesz znaleźć jakąś karczmę i wywiesić na niej znak przeznaczony dla Sprzymierzeńców Ciemności? Albo jakiegoś Pomora?

— Przejdziemy do końca wioski — odparł Rand, wpatrując się w światła.

Z oddali, w ciemnościach, można było wziąć to miejsce za Pole Emonda.

„Cóż tam na nas czeka?”

— Jeszcze tylko milę.

— Milę! Ja nie ujdę nawet piędzi!

Nogi Randa wydawały się płonąć, zmusił się jednak do jednego kroku, potem do jeszcze jednego. Z każdym następnym nie robiło się łatwiej, szedł jednak, krok po kroku. Zanim uszedł dziesięć, usłyszał, że Mat człapie za nim i mruczy coś do siebie. Pomyślał, że być może to on nie rozumie, co mówi Mat.

Z powodu późnej pory ulice wioski już opustoszały, mimo że w większości domów światło paliło się w co najmniej jednym oknie. Karczma na środku wioski była jasno rozświetlona, otoczona złotą łuną, która przeganiała ciemność. Z budynku niosły

się muzyka i śmiech, tłumione przez grube mury. Tablica nad drzwiami kołysała się, skrzypiąc na wietrze. Obok oberży, przy Drodze Caemlyn, stał wóz i koń, a jakiś człowiek sprawdzał uprząż. Po drugiej stronie budynku, na samym skraju światła, stało dwóch mężczyzn.

Rand zatrzymał się w cieniu nie oświetlonego domu. Był zbyt zmęczony, by szukać wśród bocznych uliczek okrężnej drogi. Minuta odpoczynku nie zaszkodzi. Dopóki ci ludzie nie odejdą. Mat uwalił się pod ścianą z wdzięcznym westchnieniem, układając się tak, jakby miał zamiar tu spać.

W tych dwóch mężczyznach, stojących na skraju cienia, było coś takiego, co spowodowało, że Rand poczuł niepokój. Nie potrafił tego z początku nazwać, zauważył jednak, że człowiek przy wozie czuje to samo. Złapał za koniec rzemienia, który właśnie sprawdzał, prawil coś przy pysku konia, przeszedł do tyłu i zaczął to samo od nowa. Cały czas miał pochyloną głowę, skupiony wyłącznie na tym co robił, nie patrzył w stronę tamtych dwóch. Mogło tak być, że ich po prostu nie widział, mimo że dzielilo ich zaledwie pięćdziesiąt stóp, jednakże w jego ruchach widać było pewne napięcie, czasami odwracał się od tego, co akurat robił w taki sposób, jakby za nic nie chciał spojrzeć w ich kierunku.

Jeden z mężczyzn był widoczny tylko w postaci ciemnego zarysu, drugi natomiast, lepiej oświetlony, stał tyłem do Randa. Mimo tego dawało się zauważyć, że prowadzona rozmowa nie sprawia mu zbyt przyjemności. Gestykulował rękoma i wbiął wzrok w ziemię, co jakiś czas gwałtownie unosząc głowę, reagował na to, co mówił drugi. Rand nie słyszał wszystkiego, miał jednak wrażenie, że głównie mówi ten skryty w cieniu, jego nerwowy towarzysz tylko słuchał, przytakiwał i z niepokojem wymachiwał rękoma.

W końcu ten skryty w ciemnościach odwrócił się, a nerwowy wszedł z powrotem w krąg światła. Pomimo chłodu wycierał twarz długim fartuchem, jakby cały ociekał potem.

Czując ciarki, Rand obserwował postać odchodzącą w głąb nocy. Nie wiedział dlaczego, ale jego niepokój wydawał się go ścigać, czuł niewyraźne łaskotanie po karku i włosy jeżące się na ramionach, jakby nagle pojął, że coś na niego się czai. Szybko potrząsnąwszy głową, potarł energicznie ramiona.

„Głupiejesz już zupełnie, jak Mat, nieprawdaż?”

W tym momencie po skraju światła padającego z okna wyslizgnął się jakiś kształt — po samej jego krawędzi i Rand poczuł zimny dreszcz. Tablica z nazwą karczmy cały czas skrzypiała, lecz ciemny płaszcz ani drgnął.

— Pomor — wyszeptał, a Mat zerwał się na równe nogi, jakby on krzyknął.

— Co...?

Przycisnął dłoń do ust Mata.

— Ciszej.

Ciemny kształt zniknął w mroku.

„Gdzie?”

— Już poszedł. Chyba. Mam nadzieję.

Cofnął rękę, Mat nie wydał z siebie żadnego dźwięku, tylko wciągnął głęboko powietrze do płuc.

Nerwowy mężczyzna był już prawie przy drzwiach karczmy. Zatrzymał się i wygładził swój fartuch, najwyraźniej uspokajając się przed wejściem do środka.

— Dziwnych masz przyjaciół, Raimunie Holdwin — powiedział nagle mężczyzna przy wozie. — Głos z pewnością należał do starego człowieka, był jednak dźwięczny. Mówca wyprostował się, pokręcił głową. — Jak na karczmarza, dziwni przyjaciele w ciemnościach.

Nerwowy mężczyzna podskoczył, kiedy tamten się odezwał, rozglądając się dookoła, jakby nie widział ani wozu, ani tego człowieka, który do niego mówił. Zrobił głęboki wdech, opanował się i spytał ostrym tonem:

— Co chcesz przez to powiedzieć, Almenie Bunt?

— To, co właśnie powiedziałem, Holdwin. Dziwni przyjaciele. On nie jest stąd, prawda? Dużo dziwnych ludzi przechodzi tędy ostatnimi czasy. Strasznie dużo dziwnych ludzi.

— Dobrze się z tobą gada.

Holdwin puścił oko w stronę mężczyzny przy wozie.

— Znam wielu ludzi, nawet z Caemlyn. Nie takich jak ty, zamkniętych samotnie na farmie. — Urwał, po czym zaczął mówić dalej, jakby uznał, że musi to dokładniej wyjaśnić. — To człowiek z Czterech Króli. Szuka dwóch złodziei. Młodych ludzi. Ukradli mu miecz ze znakiem czapli.

Randowi zaparło dech, gdy usłyszał o czterech Królach, na wzmiankę o mieczu zerknął na Mata. Jego przyjaciel wbił się plecami w mur i przepatrywał ciemność oczyma tak wytrzeszczonymi, że widać w nich było całe białka. Rand też miał ochotę tak zapatrzeć się w mrok — Półczłowiek mógł być wszędzie — lecz jego oczy powędrowały z powrotem do dwóch ludzi przed karczmą.

— Miecz ze znakiem czapli! — wykrzyknął Bunt. — Nic dziwnego, że chce go odzyskać.

Holdwin pokiwał głową.

— Tak, ale ich również chce dostać. Mój znajomy jest bogatym człowiekiem... kupcem, a oni narobili kłopotów ludziom, którzy dla niego pracują. Opowiadali niestworzone historie i denerwowali ludzi. To Sprzymierzeńcy Ciemności i wyznawcy Logaina.

— Sprzymierzeńcy Ciemności i wyznawcy fałszywego Smoka? Opowiadają niestworzone historie? To dużo jak na młodych chłopców. Czy powiedziałaś, że są młodzi?

W głosie Bunta dało się słyszeć rozbawienie, oberżysta jednak wydawał się tego nie dostrzegać.

— Tak. Jeszcze nie mają dwudziestu lat. Jest za nich wyznaczona nagroda, sto złotych koron. — Holdwin zawahał się i dodał: — Obydwaj mają przebiegłe języki. Światłość tylko wie, jakie historie potrafią opowiadać, kiedy próbują skłócić z sobą ludzi. Są też niebezpieczni, mimo że nie wyglądają na takich. Podstępni. Lepiej trzymać się od nich z daleka, jak się ich zobaczy. Dwaj młodzi ludzie, jeden z mieczem, obydwoj oglądają się przez ramię. W razie czego, mój... mój znajomy natychmiast ich zabierze, jak już się ich wytropi.

— Mówisz zupełnie tak, jakbyś ich znał.

— Poznam ich zaraz, jak zobaczę — powiedział pewnym siebie głosem Holdwin. — Tylko ty nie próbuj sam ich pojmać. Nie trzeba, by komuś stało się coś złego. Przyjdz i mi powiedz, jak ich spotkasz. Mój... znajomy sam się nimi zajmie. Sto koron, tylko muszą być obydwoj.

— Sto koron za dwóch — zadumał się Bunt. — A ile za ten miecz, którego on tak potrzebuje?

Holdwin nagle pojął, że tamten wyśmiewa się z niego.

— Nie wiem, dlaczego ci to wszystko mówię — zachnął się. — Nadal się upierasz przy tym swoim głupim planie.

— To nie taki głupi plan — odparł spokojnie Bunt. — Może nie uda mi się zobaczyć drugiego fałszywego Smoka przed śmiercią... Światłości spraw, aby tak było! Jestem zaś zbyt stary, by wdychać kurz po jakichś kupcach na drodze do samego Caemlyn. Mam drogę dla samego siebie i znajdę się w Caemlyn wczesnym rankiem, cały wesół.

— Dla siebie? — W głosie karczmarza słyhać było nieprzyjemne brzmienie. — Nigdy nie wiadomo, co czyha w mroku, Almenie Bunt. Zupełnie sam na drodze, w ciemnościach. Nawet jeśli ktoś usłyszy twój krzyk, to nikt nie otworzy drzwi, żeby ci pomóc. Nie w dzisiejszych czasach, Bunt. Nawet twój najbliższy sąsiad.

Farmer najwyraźniej wcale się tym wszystkim nie zmartwił, odpowiedział równie spokojnie jak przedtem.

— Skoro Gwardia Królowej nie jest w stanie utrzymać bezpieczeństwa na drodze tak blisko Caemlyn, to znaczy, że nie jesteśmy bezpieczni nawet we własnych łózkach. Gdybyś mnie spytał, co gwardziści powinni zrobić, żeby drogi były bezpieczne, to kazałbym zakuć tego twojego znajomego w dyby. Przemyka się przez mrok, boi się, żeby nikt na niego nie spojrział. Nie wmówisz mi, że on nie chce czegoś złego.

— Boi się! — wykrzyknął Holdwin. — Ty stary głupcze, gdybyś wiedział... — Zamknął hałaśliwie szczękę i otrząsnął się. — Nie wiem, dlaczego marnuję z tobą czas. Zabieraj się stąd zaraz! Przestań mi tu hałasować przed moim interesem.

Drzwi karczmy zamknęły się za nim z hukiem.

Mrucząc coś do siebie, Bunt przytrzymał się brzegu kozła i ustawił stopę na piaście koła.

Rand wahał się tylko chwilę. Mat złapał go za ramię, gdy ruszał przed siebie.

— Zwariowałeś? On nas z pewnością rozpozna!

— Wolisz tu zostać? Kiedy w pobliżu jest Pomor? Jak daleko twoim zdaniem uda nam się zajść, zanim on nas znajdzie?

Starał się nie myśleć, jak daleko zajadą wozem, jeśli ich znajdzie. Wyrwał się Matowi i podbiegł do drogi. Uważnie przytrzymał płaszcz, by miecz pozostał zakryty, wiatr i zimno były wystarczającą wymówką.

— Niechący podsłuchałem, że pan jedzie do Caemlyn — powiedział.

Bunt wzdrygnął się, wyszarpnął z wozu drag. Jego skórzastą twarz pokrywała sieć zmarszczek i nie miał połowy zębów, jednakże jego sękaty dłoń silnie trzymały drag. Po chwili opuścił jeden koniec draga ku ziemi i wsparł się na nim.

— Więc wy dwaj jedziecie do Caemlyn? Żeby zobaczyć Smoka, co?

Rand nie wiedział, że przyjaciel szedł tuż za nim. Mat trzymał się jednak w sporej odległości, z dala od światła, obserwując karcznię i starego farmera z taką samą podejrzliwością, z jaką obserwował noc.

— Fałszywego Smoka — powiedział dobitnie Rand.

Bunt pokiwał głową.

— Jasne, jasne.

Spojrzał z ukosa na karcznię, potem gwałtownie wepchnął swój drag pod ławkę..

— Cóż, jeśli chcecie, abym was podwiózł, to wsiadajcie. Już dość zmarnowałem czasu.

Mówiąc to, wspinał się na kozioł.

Rand wgramolił się od tyłu, a farmer już potrząsał lejcami. Mat musiał ich gonić, ponieważ wóz zdążył ruszyć. Rand złapał go za rękę i wciągnął do góry.

Wioska szybko zniknęła w ciemnościach, farmer jechał dosyć prędko. Rand ułożył się na nagich deskach, walcząc z usypiającym skrzypieniem kół. Mat tłumił pięścią ziewanie, czujnie rozglądając się po okolicy. Mrok, zalegający ciężko nad polami i farmami, przetykały gdzieniegdzie światła farmerskich domów. Iskierki wydawały się bardzo odległe, jakby na próżno zmagaly się z nocą. Rozległ się krzyk sowy, żałobny krzyk, wiatr jęczał niczym dusze zagubionych w cieniu.

„Może być tu wszędzie”, pomyślał Rand.

Najwyraźniej Bunt również poczuł ucisk nocy, bo nagle się odezwał.

— Byliście już kiedyś w Caemlyn? — Zaśmiał się urywanie. — Pewnie nie. To poczekajcie, aż je zobaczycie. To największe miasto na świecie. Och, słyszałem dużo o Illian, Ebou Dar, Łzie i innych, zawsze znajdzie się taki głupi, który uważa, że coś jest większe i lepsze tylko dlatego, że skryte gdzieś za horyzontem, ale ja bym się założył,

że Caemlyn jest najwspanialsze. Już wspanialsze być nie może. Nie, nie może. Chyba że Królowa Morgase, niechaj ją Światłość oświeci, pozbędzie się tej wiedzy z Tar Valon.

Rand leżał z głową wspartą na swoim zwiniętym kocu, ułożonym na tobołku z płaszcza Thoma, obserwował przepływającą obok noc i pozwalał, by słowa farmera przelatywały przez jego uszy. Ludzki głos osaczał ciemność i zagłuszał żałobny wiatr. Przekręcił się na drugi bok, by spojrzeć na ciemny zarys pleców Bunta.

— Ma pan na myśli Aes Sedai?

— A kogo innego? Siedzi sobie w pałacu jak jakiś pająk. Jestem dobrym poddanym Królowej, nigdy nie mówiłem, że nie, ale tak być nie powinno. Nie należę do tych, którzy twierdzą, że Elaida ma za duży wpływ na Królową. Nie ja. A jeśli chodzi o tych durniów, którzy mówią, że Elaida jest królową, mimo że się tak nie nazywa... — Splunął w mrok. — To na nich. Morgase nie jest kukłą, która tańczy, jak chce jakaś wiedźma z Tar Valon.

Kolejna Aes Sedai. Jeśli... kiedy Moiraine przybędzie do Caemlyn, być może uda się do swej siostry Aes Sedai. W najgorszym razie ta Elaida, być może, pomoże im dotrzeć do Tar Valon. Spojrzał na Mata i zupełnie tak, jakby to powiedział na głos, Mat potrząsał głową. Nie widział twarzy Mata, wiedział jednak, że widnieje na niej zaprzeczenie.

Bunt dalej mówił, potrząsając lejcami za każdym razem gdy koń zwolnił, na ogół jednak trzymał ręce na kolanach.

— Jestem dobrym poddanym Królowej, jak już powiedziałem, ale nawet durnie mówią coś wartościowego od czasu do czasu. Nawet ślepej świni trafi się czasem żołądź. Muszą nastąpić jakieś zmiany. Ta pogoda, te nieudane zbiory, wysychające krowy, cielaki i jagnięta rodzące się martwe albo z dwoma głowami. Te paskudne kruki nawet nie czekają, aż coś zdechnie. Ludzie się boją. Muszą kogoś winić. Na wielu drzwiach pojawia się Smoczy Kieł. Różne stwory skradają się nocą. Stodoły się palą. Pojawiają się ludzie tacy jak ten znajomy Holdwina, którzy straszą innych. Królowa musi coś z tym zrobić, zanim będzie za późno. Rozumiecie to, prawda?

Rand wydał z siebie jakiś niezobowiązujący odgłos. Wydawało się, że mimo iż się tego nie spodziewał, mieli jeszcze więcej szczęścia, znajdując tego starszego człowieka i jego wóz. Nie dotarliby dalej niż do tej ostatniej wioski, gdyby czekali na światło dzienne. Różne stwory skradające się nocą. Podniósł głowę, by wyjrzeć ponad brzegiem wozu w ciemność. W mroku wydawały się więc jakieś cienie i kształty. Cofnął głowę, nim jego wyobraźnia zdołała go przekonać, że coś tam naprawdę jest.

Bunt przyjął to za znak zgody.

— No właśnie. Jestem dobrym poddanym Królowej i przeciwstawię się każdemu, kto będzie chciał jej coś zrobić, ale mam rację. Weźcie na przykład lady Elayne i lorda Gawyna. Można tu coś zmienić bez szkody dla nikogo, a na pewno by się przydało. Pewnie, wiem, że my tak zawsze postępujemy w Andorze. Posyła się Dziedziczkę Tronu

do Tar Valon, na nauki do Aes Sedai i najstarszego syna po nauki do Strażników. Wierzę w tradycję, naprawdę, ale zobaczcie do czego nas to zaprowadziło ostatnim razem. Luc zginął w Ugorze, zanim został pomazany na Pierwszego Księcia Miecza, a Tigraine zniknęła, uciekła albo umarła, kiedy przyszła pora, by ona przejęła tron. Nadal nas to nęka.

— Niektórzy mówią, że ona ciągle żyje, rozumiecie, że Morgase nie jest prawowitą Królową. Cholerni głupcy. Pamiętam, co się wydarzyło. Pamiętam, jakby to było wczoraj. Nie było Dziedziczki do przejęcia tronu, kiedy umarła stara Królowa i wszystkie dwory w Andorze spiskowały i walczyły o to prawo. I Taringail Damodred. Nie pomyślelibyście, że on stracił żonę, tak się gorączkował przy domysłach, który Dwór zwycięży, żeby móc się znowu ożenić i zostać Księciem Małżonkiem. No i udało mu się, choć czemu Morgase wybrała... ach, kto wie, o czym myśli kobieta, a królowa jest podwójnie kobietą, bo poślubiona mężczyźnie i poślubiona krajowi. W każdym razie dostał, co chciał, nawet jeśli nie w taki sposób, jaki sobie umyślił.

Rozpętał spiski w Cairhien, zanim umarł, i wiecie, jak to się skończyło. Drzewo ścięto, a Aielowie w czarnych woalach przeszli przez Mur Smoka. Cóż, poległ jak się należy, po tym jak spłodził Elayne i Gawyna, więc jak myślę, wszystko się skończyło. Ale po co ich wysyłać do Tar Valon? Czas, by ludzie przestali myśleć o tronie Andor i Aes Sedai w taki sam sposób, jak dotychczas. Skoro już muszą jeździć gdzieś, by uczyć się tego, czego potrzebują, to przecież w Illian też są biblioteki równie dobre jak w Tar Valon i tam nauczą lady Elayne, jak władać krajem i jak knuć intrygi równie dobrze jak tamte wiemy. Nikt nie zna się lepiej na spiskach niż Illianin. A skoro w Gwardii nie potrafią nauczyć lorda Gawyna żołnierki, to przecież w Illian też są żołnierze. A i w Shienar i w Łzie, jeśli już tak trzeba. Jestem dobrym poddanym Królowej, ale powiadam, dość tych układów z Tar Valon. Trzy tysiące lat wystarczy. Za długo. Królowa Morgase może nami władać i kierować wszystkim właściwie bez pomocy z Białej Wieży. Powiadam wam, to kobieta, która sprawia, że człowiek jest dumny, jak może na klęczkach przyjąć jej błogosławieństwo. No bo kiedyś...

Rand walczył ze snem, o który dopominało się jego ciało, lecz rytmiczne skrzypienie i kołysanie wozu utuliło go i przy akompaniamencie jednostajnego monologu Bunta, zapadł w sen. Śnił mu się Tam. Na początku siedzieli przy wielkim dębowym stole w ich domu, pili herbatę, a Tam opowiadał mu o Księciach Małżonkach, dziedziczkach Tronu, Murze Smoka i Aielach w ciemnych welonach. Miecz ze znakiem czapli leżał między nimi na stole, lecz żaden z nich na niego nie patrzył. Nagle znalazł się w Zachodnim Lesie, ciągnął prowizoryczne nosze w księżycową noc. Kiedy obejrzał się przez ramię, na noszach był Thom, nie jego ojciec, siedział na skrzyżowanych nogach i zonglował w świetle księżyca.

— Królowa jest poślubiona krajowi — powiedział Thom, a jaskrawe piłeczki zawirowały w kręgu — ale Smok... Smok jest tym samym co kraj, a kraj jest tym samym co Smok.

Daleko w tyle Rand spostrzegł zbliżającego się Pomora, w czarnym płaszczu, którego nie rozwiewał wiatr, na koniu przemykającym się bezszelestnie wśród drzew. U siodła Myrddraala wisiały dwie ucięte głowy, ociekające krwią, która spływała ciemnymi strumieniami po czarnym jak węgiel kłębie jego wierzchowca. Lan i Moiraine, twarze wykręczone grymasem bólu. Pomor, nie zatrzymując się, wyciągnął garść powrozów. Każdy powróż prowadził do związanych dłoni jednego z tych, którzy biegli za bezgłośnymi podkowami, z twarzami pobladłymi z rozpacz. Mat i Perrin. I Egwene.

— Tylko nie ona! — krzyknął Rand. — Niech cię Światłość spali, ty chcesz mnie, nie ją!

Pólczłowiek wykonał gest i Egwene stanęła w płomieniach, jej ciało zwęgliło się na popiół, kości szczeniały i rozpadły się na okruchy.

— Smok jest tym samym, co kraj — powiedział Thom, nadal beztrzesko żonglując — a kraj jest tym samym, co Smok.

Rand krzyknął przeraźliwie... i otworzył oczy. Wóz skrzypiał na Drodze Caemlyn, pełen zapachów, słodczy dawno już zebranego siana i niewyraźnej końskiej woni. Na jego piersi spoczywał kształt czarniejszy od nocy, a w jego oczy patrzyły oczy czarniejsze od śmierci.

— Jesteś mój — powiedział kruk i wbił swój ostry dziób w jego oko. Krzyknął, gdy wyrwał mu gałkę oczną z głowy.

Z rozdzierającym gardło krzykiem usiadł, przyciskając dłonie do twarzy.

Wóz był skąpany we wczesnym świetle poranka. Oszołomiony Rand zapałrzył się na swoje ręce. Ani śladu krwi. Żadnego bólu. Reszta snu zbladła, ale to... Ostrożnie badał twarz i drżał.

— Przynajmniej... — Mat ziewnął z trzaskiem szczęk. — Przynajmniej ty się trochę przespałeś. — W jego mętnych oczach było niewiele sympatii. Kulił się pod płaszczem. Zwiniętą derkę, dodatkowo złożoną na pół, wcisnął pod głowę. — On gadał całą noc.

— Obudziliście już? — powiedział Bunt ze swojego siedzenia. — Napędziłeś mi stracha, jakżeś tak krzyknął. No dobra, przyjechaliśmy. — Zatoczył ręką wielki łuk. — Caemlyn, najwspanialsze miasto świata.

CAEMLYN

Rand skręcił tułów, by móc klęknąć za kozłem woźnicy. Nie był w stanie powstrzymać pełnego ulgi śmiechu.

— Udało nam się, Mat! Mówiłem ci, że...

Słowa zamarły mu na ustach, kiedy wzrokiem objął Caemlyn. Po zobaczeniu Baerlon, a nade wszystko po nocy spędzonej w ruinach Shadar Logoth, wydawało mu się, że wie, czym jest wielkie miasto, ale to... to przekraczało wszystko, co mógł sobie wyobrazić.

Skupione wokół wysokiego muru budynki sprawiały wrażenie, jakby zgromadzono tu i zestawiono razem wszystkie miasta, przez jakie Rand do tej pory przejeżdżał. Jakby wszystkie stały tutaj obok siebie, stłoczone na jednym miejscu. Wyższe piętra karczmy wystawały ponad kryte dachówką dachy domów. Pomiedzy nie wciśnięto przysadziste bloki magazynów, szerokie i pozbawione okien. Pogmatwana mieszanina czerwonych cegieł, szarego kamienia oraz białego tynku rozciągała się jak okiem sięgnąć. Całe Baerlon mogłoby się tu pomieścić, a miasto nie wydałoby się przez to większe, dwadzieścia miejscowości takich jak Biały Most dodane doń nie tworzyłyby wielkiej różnicy.

No i oczywiście same mury. Pionowy, wysoki na pięćdziesiąt stóp masyw bladoszarego kamienia, pręgowany srebrem i bielą, wyginał się w wielkie półkole, zakrzywiając ku południu i północy, rodząc niejasne domniemania co do tego, jak w istocie daleko sięgają. Na całej długości murów wznosiły się wieże, okrągłe, wystające dużo wyżej, niżli same mury. Z ich szczytów powiewały na wietrze czerwono-białe sztandary. Wewnątrz murów wystrzeliwały w niebo iglice innych wież, smuklejszych, wyższych od tych na murach. W blasku słońca ich kopuły lśniły bielą i złotem. Obraz miasta w pamięci Randa ukształtowały tysiące opowieści, opowieści o wielkich miastach królów i królowych, o tronach i władzy, o legendach. Caemlyn wtapiało się w te głęboko utrwalone obrazy, z równą łatwością z jaką woda wsiąka w piasek.

Wóz turkotał na drodze wiodącej do miasta, opadającej ku obramowanym wieżami bramom. Pojazdy kupieckich karawan wytaczały się spod sklepionych kamiennych łuków, pod którymi z łatwością przejść mógłby olbrzym, a nawet szereg dziesięciu

gigantów, idących ramię w ramię. Po obu stronach drogi stały pozbawione ścian magazyny o dachach połyskujących czerwienią i purpurą, pomiędzy nimi pobudowano zagrody i stajnie. Cielęta beczały, bydło ryczało, gęsi krzyczały, kurczęta piszczwały, kozły kwiczały, owce beczały, a ludzie targowali się co sił w płucach. Droga do bram Caemlyn otoczona była ścianami hałasu.

— No i co ci mówiłem? — Aby być słyszany Bunt musiał niemalże krzyżeć. — Największe miasto na świecie. Zbudowane przez Ogirów, rozumiesz. Ostatecznie na pewno Miasto Wewnętrzne i Pałac. Tak, stare jest Caemlyn. A dobra Królowa Morgase, niech ją Światłość oświeca, tworzy prawo i strzeże pokoju w całym Andor. Największe miasto na ziemi.

Rand gotów był się zgodzić. Z otwartymi ustami wpatrywał się w otaczający chaos, mając ochotę zasłonić uszy dłońmi, aby powstrzymać wlewający się w nie zgiełk. Ludzie tłoczyli się na drodze tak ciasno, jak mieszkańcy Pola Emonda na Łące podczas Bel Tine. Przypomniało mu się, że w Baerlon uważał za niemożliwe, by mogło przebywać na jednym miejscu tak wielu ludzi i niemalże się roześmiał. Spojrzał w stronę Mata i nie mógł powstrzymać uśmiechu. Przyjaciel siedział z dłońmi przyciśniętymi do uszu, ramiona miał przygarbione, jakby cały chciał się pod nimi schować.

— Jak mamy się tutaj schronić? — dopytywał się Mat, gdy zobaczył, że Rand patrzy na niego. — W jaki sposób przekonać się, komu, wśród tych tras można zaufać? I na Światłość, ten hałas!

Rand obrzucił Bunta spojrzeniem, zanim odpowiedział. Farmer wydawał się zapatrzony w miasto, hałas z pewnością zagłuszał słowa. Niemniej jednak Rand zbliżył usta do ucha Mata.

— W jaki sposób mają nas znaleźć pośród takiego mrowia? Nie rozumiesz tego, ty pustogłowy durniu? Będziemy bezpieczni, pod warunkiem, że będziesz uważał i nie miał tak ozorem! — Wyciągnął przed siebie rękę, jakby chciał pochwycić w nią wszystko, i magazyny, i mury miasta rozciągające się przed nimi. — Spójrz na to, Mat! Wszystko się tu może zdarzyć. Wszystko! Możemy nawet spotkać Moiraine, czekającą na nas. I Egwene. I wszystkich pozostałych.

— Jeżeli żyją. Według mnie, są równie martwi jak bard.

Uśmiech zniknął z twarzy Randa. Odwrócił się i wpatrzył w coraz bliższą bramę. Wszystko może się zdarzyć w mieście takim, jak Caemlyn. Uparcie trwał przy tej myśli.

Pomimo lekkich uderzeń bata po grzbiecie, koń nie mógł jut poruszać się szybciej. W miarę jak zbliżali się do bramy, tłum gęstniał, ludzie przepychali się, wpadając na siebie, napierając na wozy torujące sobie drogę w ciżbie. Rand był zadowolony widząc, iż większość w tłoku stanowili pokryci kurzem młodzi wędrowcy, pozbawieni dużego bagażu. Zresztą niezależnie od wieku, lwią część tłumu prącego do bram stanowili ludzie

wyglądający na podróżnych, ubrani w odzież pomiętą od wielu nocy przespanych pod gołym niebem. Zmęczone konie ciągnęły rozklekotane wozy. Piesi powłóczyli nogami i patrzyli znużonym wzrokiem. Oczy ożywiały się jednak czasami, wtedy gdy patrzyli w stronę bram, jakby dostanie się do środka miało usunąć całe zmęczenie.

Bram strzegło pół tuzina Gwardzistów Królowej, ich czyste czerwono-białe kaftany i wypolerowane do połysku pełne pancerze stanowiły jaskrawy kontrast w ludzkim strumieniu przepływającym pod bramą. Wyprostowane plecy, uniesione głowy. Przypatrywali się przybyszom z pogardliwą ostrożnością. Wyglądali tak, jakby właśnie zawrócili większość z usiłujących dostać się do środka. Jednak oprócz dbania o swobodny ruch wychodzących i ganień tych, którzy tłoczyli się zbyt gwałtownie, nie zatrzymywali nikogo.

— Pozostańcie na swoich miejscach. Nie pchajcie się. Nie pchajcie się, na Światłość! Miejsca starczy dla wszystkich, z woli Światłości. Pozostańcie na miejscach.

Zgodnie z ruchem tłumu, wóz Bunta przetoczył się powoli przez bramę i wjechał do Caemlyn.

Miasto położone było na wzgórzach, jakby na kolejnych stopniach wznoszących się ku centrum. Otaczał je następny mur, lśniący czystą bielą i przecinający wzgórze. Za murem liczne wieże i kopuły, białe, złote i purpurowe, ze szczytów wzgórz, na których je pobudowano, wydawały się spoglądać w dół, obejmując spojrzeniem pozostałe partie Caemlyn. Rand pomyślał, że musi to być owo Wewnętrzne Miasto, o którym mówił Bunt.

Sama Droga do Caemlyn zmieniała się w momencie, w którym wjechali do miasta. Była teraz szerokim bulwarem ograniczonym szerokimi pasami trawy i drzew. Trawa była brązowa, a gałęzie drzew nagie, ludzie jednak spieszyli dookoła, jakby nie widząc niczego niezwykłego. Śmiali się, rozmawiali, kłócili, robili to wszystko, co ludzie zazwyczaj robią. Tak jakby nie zdawali sobie sprawy, że tego roku nie było wiosny i może jej nie być w ogóle. Ich oczy obojętnie prześlizgiwały się po bezlistnych gałęziach, deptali po martwej, usychającej trawie nawet nie spojrzawszy w dół. To, czego nie widzieli, było im obojętne. To, czego nie widzieli, nie istniało.

Zagapionego na miasto i ludzi Randa zaskoczyło nagłe szarpnięcie. Wóz skręcił w boczną uliczkę, węższą od bulwaru, ale przynajmniej dwukrotnie szerszą niż jakakolwiek ulica w Polu Emonda. Tłum był tutaj rzadszy, nie powodowali więc żadnego zatoru w ruchu. Bunt zatrzymał konie, odwrócił się i niepewnie popatrzył na chłopców.

— Czy to, co chowasz pod płaszczem, to rzeczywiście to, o czym mówił Holdwin?

Rand właśnie przewieszał torby przez ramię. Nie drgnął nawet.

— Co masz na myśli? — zapytał. Głos również mu nie zadrżał. Żołądek skręcał się w węzeł, lecz w tonie głosu brzmiała pewność.

Mat jedną ręką stłumił ziewnięcie, drugą trzymał wciąż pod płaszczem. Rand wiedział, że ściska sztylet z Shadar Logoth. W jego oczach, pod przewiązaniem przepaską czołem, pojawiło się umęczone, spłoszone spojrzenie. Bunt unikał patrzenia w jego stronę, tak jakby wiedział, że w ukrytej dłoni trzyma broń.

— O nic szczególnego mi nie chodzi. Jeżeli wtedy usłyszeliście, że jadę do Caemlyn, to znaczy, że byliście tam wystarczająco długo, by usłyszeć inne rzeczy. Gdyby chodziło mi o nagrodę, wymyśliłbym jakąś wymówkę i wrócił pod „Gęś i Koronę”, aby pomówić z Holdwinem. Z tym że ja nie za bardzo go lubię, a tego jego znajomego w ogóle. Wydawało się, jakby bardziej chciał mieć was dwóch niż... niż cokolwiek innego.

— Nie wiem, czego on chciał — powiedział Rand. — Nigdy przedtem go nie widzieliśmy.

To nawet mogła być prawda, nie był w stanie odróżnić jednego Pomora od drugiego.

— Mhm... Cóż, jak już mówiłem, nic nie wiem i chyba nie chcę wiedzieć. Dookoła jest wystarczająco dużo kłopotów dla wszystkich, po co powiększać ich liczbę, szukają własnych.

Mat pakował się tak wolno, że Rand zdążył już znaleźć się na ulicy, zanim tamten w ogóle zaczął schodzić z wozu czekał teraz niecierpliwie. Mat gramolił się sztywno z wozu, mruczając coś pod nosem i przyciskając do piersi łuk, kołczan oraz zrolowany koc. Głębokie cienie zalegały pod jego podkrążonymi oczyma.

Randowi zaczęło burczeć w brzuchu. Skrzywił się. Kwaśny smak w ustach i głód skręcający wnętrzności powodowały, że chciało mu się wymiotować. Mat patrzył na niego, w oczach miał pytanie:

„Dokąd pójść? Co teraz zrobić?”

Bunt pochylił się i skinął na Randa. Ten podszedł, spodziewając się usłyszeć jakąś radę odnoszącą się do Caemlyn.

— Schowałbym ten... — Stary farmer przerwał i uważnie rozejrzał się dookoła. Ludzie przeciskali się po obu stronach wozu, lecz poza paroma przekleństwami na temat tarasowania drogi, nikt nie zwracał na nich uwagi. — Przestańcie to nosić — powiedział — schowajcie, sprzedajcie. Wyrzucicie. Taka jest moja rada. Rzeczy takie jak ta przyciągają uwagę, a jak mi się wydaje, wam na tym specjalnie nie zależy.

Wyprostował się nagle, cmoknął na konia i nie mówiąc więcej ani słowa, nie obejrzawszy się nawet, pojechał w dół zatłoczonej ulicy. Załadowany beczkami wóz wjechał niemalże prosto na nich. Rand odskoczył i zachwiał się. Kiedy ponownie spojrzął, Bunt i jego wóz zniknęli z pola widzenia.

— Co powinniśmy teraz zrobić? — dopytywał się Mat.

Szeroko otwartymi oczyma patrzył na tłoczących się dookoła ludzi, na budynki wznoszące się sześć pięter nad ulicą.

— Jesteśmy w Caemlyn, ale co mamy zrobić? — Odsłonił już uszy, ale jego ręce drżały, jakby chciał zaraz z powrotem je zatkać. Nad miastem zalegało brzęczenie, jednostajny pomruk pracy w setkach sklepów, rozmów tysięcy ludzi. Rand czuł się tak, jakby znajdował się w ogromnym ulu, pośród ciągłego bzyczenia.

— Nawet jeżeli oni są tutaj, Rand, w jaki sposób, w tym wszystkim, mielibyśmy ich odnaleźć?

— Moiraine nas znajdzie — powiedział Rand wolno.

Ogrom miasta przytłaczał ciężarem jego ramiona, miał ochotę uciec, ukryć się przed tymi wszystkimi ludźmi, przed hałasem. Pustka opuściła go, nic nie pomogły nauki Tama, przed oczyma wciąż stawały obrazy miasta. Próbował zamiast tego skoncentrować się na bezpośrednim otoczeniu, ignorując wszystko, co znajdowało się poza nim. Należy patrzeć tylko na tę jedną ulicę, jest taka sama jak w Baerlon. Baerlon, ostatnie miejsce, w którym wydawało się wszystkim, że są bezpieczni.

„Nikt nie jest już bezpieczny. Może oni wszyscy są już martwi. Co wtedy zrobić?”

— Żyj! Egwene żyje! — powiedział gwałtownie i kilku przechodniów spojrzało na niego dziwnym wzrokiem.

— Może... — odrzekł Mat. — Może... Co zrobimy, jeśli Moiraine nas nie odnajdzie? Co, jeżeli nie odnajdzie nas nikt oprócz... oprócz...

Wzdrygnął się, niezdolny wypowiedzieć tego, co przyszło mu na myśl.

— Będziemy się nad tym zastanawiać wtedy, kiedy to nastąpi. — Rand uspokajał go. — Jeśli nastąpi.

Najgorszym wyjściem byłoby zwrócenie się do Elaidy, Aes Sedai rezydującej w pałacu. Pierwej winien jechać do Tar Valon. Nie wiedział, czy Mat pamięta to, co Thom mówił o Czerwonych Ajah — a także o Czarnych — ale on oczywiście pamiętał. Żołądek skurczył się ponownie.

— Thom mówił, byśmy odnaleźli gospodę zwaną „Błogosławieństwo Królowej”. Tam pójdziemy najpierw.

— Po co? Nie stać nas nawet na jeden posiłek.

— W ostateczności jest to jakiś punkt wyjścia. Thom mówił, że możemy tam prosić o pomoc.

— Nie mogę... Rand oni są wszędzie. — Mat spuścił oczy i wbił wzrok w bruk, wydawało się, jakby kurczył się w sobie, desperacko starając się odsunąć od otaczających ich ludzi. — Dokądkolwiek pójdziemy, oni będą tuż za nami, albo będą na nas tam czekać. W „Błogosławieństwie Królowej” będą również. Ja już nie mogę... Ja.... Nic nie powstrzyma Pomora.

Rand mocno schwycił Mata za kołnierz, starał się usilnie, by mu nie drżała ręka. Potrzebował go. Być może pozostali również żyją — „Światłości, błagam!” — ale tu i teraz byli tylko oni dwaj. Myśl o samotnej dalszej podróży... Odetchnął głęboko, przełykając żółć.

Szybko rozejrzał się dookoła. Najwyraźniej nikt nie zwrócił uwagi, gdy padło imię Pomora, ludzie przechodzili obok, pogrążeni we własnych zmartwieniach. Nachylił głowę do twarzy Mata.

— Jak dotąd nam się udawało, czyż nie? — zapytał chrapliwym szeptem. — Nie złapali nas jeszcze. Nadal możemy sobie radzić, pod warunkiem, że nie zrezygnujemy. Ja nie mam zamiaru się poddawać i czekać jak owca na rzeź. Nie poddam się! No i jak? Masz zamiar sterczeć tutaj, dopóki nie umrzesz z głodu? Albo czekać na nich, by przyszli i wpakowali cię do worka?

Odwrócił się i odszedł na bok. Wbił paznokcie w dłoń, ale ręce wciąż drżały. Wtedy zobaczył, że Mat idzie obok z wzrokiem wbitym w ziemię i głęboko odetchnął.

— Przepraszam, Rand — mruknął Mat. — Zapomnijmy o tym. — Mat uważał na tyle, aby unikać wpadania na ludzi, jednocześnie wyrzucał z siebie słowa głosem zupełnie pozbawionym życia. — Nie mogę przestać myśleć o tym, że już nigdy nie zobaczę domu. Chcę wrócić do domu. Śmieję się, jeśli chcesz, nie dbam o to. Czego nie oddałbym, aby moja matka wyklęła mnie teraz za coś. To jest jak kamień w moim mózgu, rozpalone kamienie. Dookoła sami obcy i nie ma sposobu, aby przekonać się, komu można zaufać. O ile w ogóle komukolwiek można. Światłości, Dwie Rzeki są tak daleko, że równie dobrze mogłyby się znajdować na drugim końcu świata. Jesteśmy sami i nigdy nie wrócimy do domu. Umrzemy, Rand.

— Jeszcze nie, jeszcze nie umrzemy — odparował Rand. — Wszyscy umierają. Koło obraca się. Nie mam zamiaru jednak zwinąć się w kłębek i czekać, aż to nastąpi.

— Mówisz jak pan al'Vere — sarknął Mat, ale w jego głosie było jakby więcej życia.

— Dobrze — powiedział Rand. — Dobrze.

„Światłości, spraw, aby im się nic nie stało. Błagam, nie zostawiaj nas samych.”

Zaczął rozpytywać się o drogę do „Błogosławieństwa Królowej”. Odpowiedzi mieściły się w całej szerokiej gamie możliwości, najczęściej spotykało ich wyklinanie na wszystkich tych, którzy nie potrafią trzymać się miejsca, do jakiego przynależą, albo wzruszenia ramion i niewidzące spojrzenia. Niektórzy ludzie w ogóle nie zwracali na nich uwagi, spieszyli przed siebie, nie obdarzając pytających nawet spojrzeniem.

Człowiek o kwadratowej twarzy, niemalże tak szeroki w ramionach jak Perrin, podniósł głowę i powiedział:

— „Błogosławieństwo Królowej”, tak? Wy, wiejskie chłopaki, jesteście poddanymi Królowej? — Nosił białą kokardę na szerokoskrzydłym kapeluszu i białą opaskę na płaszczu. — Cóż, spóźniliście się.

Odszedł, zanosząc się od śmiechu, a Mat i Rand popatrzyli na siebie w całkowitym zmieszaniu. Rand wzruszył ramionami, na pewno w Caemlyn jest wielu dziwnych ludzi, jakich dotąd nigdy w życiu nie spotkał.

Niektórzy z nich wyróżniali się w tłumie, mieli skórę zbyt jasną lub zbyt ciemną, płaszcze o niezwykłym kroju, albo przeraźliwie jaskrawych kolorach, szpiczaste kapelusze, czasami ozdobione niezwykle długimi piórami. Były kobiety o twarzach zasłoniętych woalką, kobiety w sztywnych szatach równie szerokich jak długich, kobiety w sukniach, które odsłaniały więcej nagiej skóry, niżli Rand widział dotąd u jakiegokolwiek dziewczki karczemnej. Od czasu do czasu przez zatłoczone ulice przeciskał się powóz, zdobiony w jaskrawe barwy i złocenia, ciągnięty przez czwórkę lub szóstkę koni, z uprzężą przystrojoną piórami. Wszędzie widać było lektyki, niosący przepychali się przez tłum, nie zwracając najmniejszej uwagi na tych, których odpychali na bok.

Rand widział początek bójki wywołanej w ten sposób. Grupa mężczyzn wymachiwała pięściami, podczas gdy jasnoskóry człowiek w czerwono paskowanym kapeluszu gramolił się z przewróconej na bok lektyki. Dwaj nędznie ubrani ludzie, którzy przed chwilą zdawali się być najzwyczajniejszymi przechodniami, rzucili się na niego, zanim zrozumiał, co się stało. Tłum widzów zaczynał wpadać w rozdrażnienie, szemrano i potrząsano pięściami. Rand pociągnął Mata za rękaw i szybko ruszył z miejsca. Ten nie potrzebował dodatkowego ponaglenia. Wrzaski uczestników rozróby ściagały ich wzdłuż ulicy.

Kilka razy różni ludzie zbaczali z drogi i podchodzili do nich. Zakurzone ubrania wskazywały, iż niedawno przybyli do miasta, a na niektórych działało to jak magnes. Jacyś mężczyźni, o skradających się sylwetkach i rozbieganych oczach, gotowi w każdej chwili do ucieczki, oferowali relikwie Logaina. Rand obliczył, że zaferowano im wystarczającą ilość strzępów płaszcza i kawałków miecza fałszywego Smoka, by wystarczyło to na dwa miecze i pół tuzina płaszczy. Twarz Mata rozjaśniła się zainteresowaniem, przynajmniej za pierwszym razem, Rand jednak zbywał ich szorstką odmową, którą akceptowali skinieniem głowy, po czym wymamrotawszy szybkie — „Niech Światłość opromienia Królową, dobry panie” — znikali. Prawie na wszystkich wystawach sklepowych stały talerze i kubki ozdobione wyimaginowanymi scenami, mającymi wyobrażać fałszywego Smoka doprowadzonego przed oblicze Królowej. Na ulicach można było zobaczyć również Białe Płaszcze. Każdy z nich siedł otoczony kręgiem pustej przestrzeni, który poruszał się wraz z nim, dokładnie tak, jak to było w Baerlon.

Randowi najbardziej zależało właśnie na tym, by pozostać nie zauważonym. Miecz schował pod płaszczem, ale na długo nie mogło się to zdać... Wcześniej czy później ktoś będzie chciał przekonać się, co tam ukrywa. Nie chciał nie móc — zastosować się do rady Bunta i przestać go nosić. Była to więź łącząca go z Tamem. Z ojcem.

Wielu przechodniów również nosiło miecze, ale u żadnego z nich znak czapli nie przykuwał wzroku. Jednak wszyscy mieszkańcy Caemlyn i niektórzy przyjezdni nosili swoje miecze owinięte w pasy materiału, zakrywające i pochwę, i rękojeść — czerwony materiał przewiązany był białym sznurem, a biały czerwonym. Setki znaków czapli

mogły być pod tym ukryte i nikt niczego by nie zauważył. Ponadto, podporządkowanie się obowiązującym zwyczajom sprawiłoby, że bardziej zlaliby się z tłumem.

Przed wieloma sklepami stały stoły, na których wystawiono materiał i sznur. Rand przystanął przed jednym z nich. Czerwony był tańszy niż biały, a ponieważ poza barwą nie różniły się niczym, to pomimo skarg Mata na temat tych żalosnych resztek pieniędzy, jakie im zostały, Rand nabył czerwony materiał i biały sznur do przewiązania go. Sprzedawca o zaciśniętych wargach obejrzał ich od stóp do głów i wykrzywiając usta wziął od Randa miedziaki. Kiedy zapytali o miejsce, w którym mogliby owinąć miecz, obrzucił ich przekleństwami.

— Nie przyjechaliśmy po to, by zobaczyć Logaina powiedział spokojnie Rand. Chcemy tylko zwiedzić Caemlyn. — Przypomniał sobie słowa Bunta i dodał: — Największe miasto na świecie. — Grymas nie opuścił twarzy sprzedawcy. — Niech Światłość oświeca dobrą Królową Morgase — próbował jeszcze raz Rand.

— Jeżeli zachciewa wam się kłopotów — powiedział kwaśno człowiek — to w zasięgu mojego głosu jest około setki ludzi i oni zajmą się wami, nawet jeśli nie uczyni tego Gwardia. — Przerwał, by splunąć, mijając but Randa jedynie odrobinę. — Wynoście się do swoich brudnych spraw.

Rand kiwnął głową, jakby właśnie został niezwykle uprzejmie pożegnany i pociągnął Mata za sobą. Ten przez cały czas oglądał się przez ramię na sklep i mruzczał coś do siebie, dopóki Rand nie wepchnął go do pustego zaułka. Odwróceniem plecami do ulicy mogli zrobić, co zamierzali, nie zwracając uwagi przechodniów. Rand odpiął pas i zabrał się do owijania miecza.

— Założę się, że policzył ci podwójną cenę za ten cholerny materiał — powiedział Mat. — Potrójną. — Cała rzecz nie była taka prosta, jak się wydawało, należało dokładnie zabezpieczyć miecz pasami materiału, a potem ściśle okręcić sznurem tak, aby nie wypadł. — Oni wszyscy będą usiłovali nas oszukać, Rand. Myślą, że tak jak inni przyjechaliśmy tutaj zobaczyć fałszywego Smoka. Będziemy mieli szczęście, jeżeli ktoś nie da nam po głowie, gdy będziemy spali. To nie jest dobre miejsce dla nas. Jest tu za dużo ludzi. Lepiej od razu jedźmy do Tar Valon. Albo na południe do Illian. Nie miałbym nic przeciwko zobaczeniu, jak przygotowują Polowanie na Róg. Jeżeli nie możemy jechać do domu, po prostu jedźmy dokąd indziej.

— Ja zostaję — odrzekł Rand. — Jeśli jeszcze ich tu nie ma, to przyjadą wcześniej czy później, będą nas szukać. — Nie był pewien, czy owinął miecz dokładnie w taki sposób, w jaki czynili to wszyscy, ale czaple na pochwie i rękojeści nie były widoczne, pomyślał więc, że to wystarczy. Kiedy wracali na ulicę, pewien był, że pozbył się jednej z rzeczy, które mogły spowodować kłopoty. Mat szedł za nim tak bezwolnie, jakby był ciągnięty na smyczy.

Krok po kroku udało mu się uzyskać pożądane wskazówki. Były początkowo niejasne, w rodzaju: „gdzieś w tym kierunku” czy „dalej tą drogą”. Im bardziej jednak zbliżali się do celu, tym jaśniejsze stawały się informacje, aż wreszcie stanęli przed szerokim, kamiennym budynkiem. Ponad skrzypiącymi na wietrze drzwiami widniał znak. Mężczyzna klęczał przed złotowłosą kobietą w koronie, która jedną rękę opierała na jego pochylonej głowie. „Błogosławieństwo Królowej”.

— Jesteś pewien? — zapytał Mat.

— Oczywiście — odrzekł Rand.

Wziął głęboki oddech i pchnął drzwi.

Ogólna sala była wielka, wyłożona ciemnym drewnem. Ogrzewał ją ogień rozpalony na dwóch kominkach. Jedna ze służących myła podłogę, pomimo tego że była zupełnie czysta, inna w kącie polerowała lichtarze. Obie uśmiechnęły się do wchodzących, po czym wróciły do pracy.

Jedynie przy kilku stołach siedzieli ludzie, można powiedzieć, że nawet tuzin stanowił tłum o tak wczesnej porze dnia. Mimo to nikt nie wyglądał na szczególnie uszczęśliwionego widokiem Randa i Mata, choć wyglądali przecież czysto i byli trzeźwi. Woń smażonego mięsa i pieczonego chleba spowodowała, że Randowi ślina napłynęła do ust.

Karczmarz był gruby, przyjemnie było spojrzeć na jego rumianą twarz, sztywno wykrochmalony biały fartuch, siwiejące włosy zaczesane do tyłu na łysinę, której nie zakrywały całkowicie. Oстрым wzrokiem objął ich od stóp do głów, zauważając zakurzone odzienie, tobołki i znoszone buty, ale z jego twarzy nie zniknął przecież uprzejmy, pełen gotowości uśmiech. Nazywał się Basel Gill.

— Panie Gill — zaczął Rand — skierował nas tutaj przyjaciel. Nazywa się Thom Merrilin. On... — Uśmiech karczmarza zniknął. Rand popatrzył na Mata, ale ten zbyt był zajęty wąchaniem zapachów dochodzących z kuchni, by zwracać uwagę na coś więcej. — Coś nie tak? Pan przecież go zna?

— Znam go — odpowiedział lakonicznie Gill. Wydawał się bardziej zainteresowany skrzynką kieliszków, które stały obok Randa, niżli cymkolwiek innym. — Chodź ze mną.

Odrzucił głowę do tyłu. Rand skinął na Mata i poszedł za karczmarzem, zastanawiając się, o co w tym wszystkim chodzi.

W kuchni pan Gill zatrzymał się na chwilę, aby powiedzieć coś do kucharki. Okrągła kobieta, o włosach związanych w kok z tyłu głowy, niemalże dorównywała wagą gospodarzowi. Podczas gdy Gill mówił, wciąż mieszała coś w garnkach. Zapachy były niesamowite. Wprawdzie po dwudniowej głodówce każde jedzenie pachniało wysmienicie, ale to było bez wątpienia tak dobre, jak kuchnia pani al'Veere. Żołądek Randa zawył. Mat, z nosem wysuniętym do przodu, szedł prosto w stronę garnków. Rand trącił go łokciem, Mat pośpiesznie obtarł policzek, po którym ściekła mu ślina.

A wtedy karczmarz poprowadził ich śpiesznie w kierunku tylnych drzwi. W stajni obejrzał się dookoła, aby sprawdzić, czy nikogo nie ma w pobliżu i natarł na nich. To znaczy na Randa.

— O co chodzi, chłopcze?

— Flet Thoma — odpowiedział Rand powoli. Otworzył futerał, jakby pokazywanie cyzelowanego złotem i srebrem fletu mogło w czymś pomóc. Ręka Mata wślizgnęła się pod płaszcz.

Pan Gill nie spuszczał oczu z Randa.

— Tak, poznaję go. Wystarczająco często widziałem, jak na nim grał i z pewnością nie ma dwóch takich samych poza królewskim dworem. — Uprzejmy uśmiech zniknął z jego twarzy, ostre spojrzenie cięło nagle jak sztylet. — Skąd go masz? Thom prędzej pozbyłby się ręki niż tego fletu.

— Dał mi go.

Rand zdjął z pleców zwinięty płaszcz Thoma i rozpostarł częściowo na podłodze, wystarczająco, by można było zauważyć kolorowe łąty i jeden koniec futerału harfy.

— Thom nie żyje, panie Gill. Jeżeli był pańskim przyjacielem, to bardzo mi przykro. Moim był również.

— Nie żyje powiadasz. Jak?

— Jeden... człowiek próbował nas zabić. Thom wepchnął mi w ręce te rzeczy i kazał uciekać. — Łaty powiewały na wietrze jak motyle. Rand poczuł, jak go ściska w gardle, uważnie zaczął zwijać płaszcz. — Zostalibyśmy zabici, gdyby nie on. Razem podążaliśmy do Caemlyn. Powiedział nam, abyśmy przyjechali tutaj, do pańskiej karczmy.

— Uwierzę w to, że jest martwy — powiedział wolno karczmarz — kiedy zobaczę jego ciało. — Trącił czubkiem buta zwinięty w tobołek płaszcz i gwałtownie kaszlnął. — Nie. Nie. Wierzę wam, że widzieliście, coście widzieli, nie wierzę po prostu, że zginął. Trudniej niżli wam się wydaje, zabić starego Thoma Merrilina.

Rand położył dłoń na ramieniu Mata.

— Wszystko w porządku, Mat. To przyjaciel.

Pan Gill spojrzał na Mata i westchnął.

— Przypuszczam, że tak jest. — Mat wyprostował się powoli, ramionami otoczył klatkę piersiową. Wciąż uważnie i bardzo dokładnie wpatrywał się w karczmarza. — Podążaliście do Caemlyn, powiadasz? — Karczmarz potrząsnął głową. — To jest chyba ostatnie miejsce na ziemi, w którym spodziewałbym się spotkać Thoma, z wyjątkiem może Tar Valon. — Poczekał, aż prowadzący konia stajenny przeszedł obok, a mimo to zniżył głos. — Macie kłopoty z Aes Sedai, jak rozumiem.

— Tak — wymamrotał Mat, a w tym samym momencie Rand zapytał:

— Dlaczego pan tak uważa?

Pan Gill zaśmiał się sucho.

— Znałem tego człowieka, oto dlaczego. On właśnie Wpakowałby się w ten rodzaj kłopotów, szczególnie po to, by pomóc kilku chłopcom w waszym wieku... — W jego oczach zamigotało wspomnienie, po chwili wyprostował się i uważnie na nich spojrzął — Teraz... hm... Nie rzucam żadnych oskarżeń, zrozumcie, lecz... hm... Nie uważam, abyście mogli... hm... O co mi chodzi... hm... na czym dokładnie polegają wasze kłopoty z Tar Valon, jeśli mogę zapytać?

Rand dostał gęziej skórki, gdy zrozumiał, co ten człowiek sugeruje. Jedyna Moc.

— Nie, nie, nic z tych rzeczy, przysięgam. Jedna z Aes Sedai nawet nam pomagała. Moiraine...

Ugryzł się w język, ale wyraz twarzy karczmarza nie zmienił się nawet na jotę.

— Miło to słyszeć. Nie żebym specjalnie kochał Aes Sedai, ale lepiej one, niż... niż inne rzeczy. — Powoli pokiwał głową. — Za dużo mówi się ostatnio o tych rzeczach, odkąd sprowadzili tu Logaina. Nie chciałem was obrazić, rozumiecie, ale... cóż, po prostu musiałem wiedzieć, nieprawdaż?

— Żadnej obrazy — powiedział Rand.

Mamrotanie Mata było zupełnie niezrozumiałe, karczmarz postanowił jednak wziąć je za dobrą monetę.

— Obaj wyglądacie na ludzi właściwego rodzaju, i wierzę, że byliście, jesteście, przyjaciółmi Thoma, ale wszak są to ciężkie czasy i trudne dni. Nie przypuszczam, byście mogli zapłacić? Nie, nie myślę tak. A teraz niczego nie ma w wystarczającej ilości, a to co jest, kosztuje majątek, dlatego też dam wam łóżka nie najlepsze, ale za to ciepłe i suche, oraz coś do zjedzenia. Niestety nie mogę obiecać więcej, niezależnie od tego co powinienem.

— Dziękuję — odpowiedział Rand, patrząc kpiąco na Mata. — To więcej, niż się spodziewaliśmy.

„Co to jest właściwy rodzaj ludzi i dlaczego powinien obiecać więcej?”

— Cóż, Thom to dobry przyjaciel. Stary przyjaciel. Gorąca głowa i nazbyt skłonny do mówienia najgorszych z możliwych rzeczy, i to jedynej osobie, której tego robić nie powinien, ale dobry przyjaciel w każdym razie. Jeżeli nie pokaże się... cóż, wtedy coś wymyślimy. Najlepiej żebyście nic nie mówili, nic o pomagających wam Aes Sedai. Jestem dobrym poddanym Królowej, ale zbyt wielu jest teraz w Caemlyn takich, którzy mogliby to źle zrozumieć, i nie mówię tylko o Białych Płaszczach.

Mat parsknął.

— Wedle mnie, kruki mogłyby zanieść wszystkie Aes Sedai prosto do Shayol Ghul!

— Powściągnij swój język, chłopcze — warknął karczmarz. — Powiedziałem, że ich nie lubię, a nie że jestem głupcem, który uważa, że stoją za każdym złem, jakie się wydarza. Królowa udziela swojego poparcia Elaidzie, a za Królową stoi Gwardia. Z woli Światłości wszystko nie idzie jeszcze tak źle, aby to się miało zmienić. W każdym

razie, ostatnimi czasy niektórzy Gwardziści tak potracili głowy, że bywają odrobinę nieprzyjemni dla ludzi, o których wiedzą, że rozmawiają o Aes Sedai. Oczywiście nie na służbie, Światłości dzięki, niemniej jednak to się zdarza, co właściwie nie robi różnicy. Nie mam ochoty, aby jacyś Gwardziści po godzinach służby zdemolowali mi karczmę, tylko po to, by udzielić wam nauczki, wcale nie pragnę, by Białe Płaszcze podburzyły kogoś, by ten namalował Smoczy Kieł na moich drzwiach. Dlatego też, jeśli chcecie mi jakoś pomóc, swoje poglądy na temat Aes Sedai zatrzymajcie dla siebie, niezależnie od tego, jaki jest ich charakter. — Na chwilę pogrążył się w zadumie, potem dodał: Prawdopodobnie najlepiej będzie, jeżeli imienia Thoma również przy nikim nie będziecie wymieniać. Niektórzy Gwardziści mają długą pamięć, podobnie zresztą jak Królowa. Nie należy kusić losu.

— Thom miał kłopoty z Królową? — zapytał Rand niedowierzając, a karczmarz roześmiał się.

— A więc nie opowiedział wam wszystkiego. Zresztą nie wiem, dlaczego miałby. Z drugiej strony jednak dlaczego nie mielibyście wiedzieć? Nie jest to właściwie żadna tajemnica. Czy myślicie, że każdy bard myśli tyle o sobie, ile myślał Thom? Cóż, jeśli się nad tym zastanowić, to myślę, że tak jest, ale zawsze wydawało mi się, że Thomowi zawsze przydawało się to myślenie o sobie. Rozumiecie, przecież nie zawsze był bardem wędrującym od wioski do wioski i przesypiającym połowę nocy pod płotem. Był czas, kiedy Thom Merrillin był Nadwornym Poetą, właśnie tutaj w Caemlyn i znano go we wszystkich dworach królewskich, od Łzy do Maradon.

— Thom? — zapytał Mat.

Rand wolno pokiwał głową. Z łatwością mógł sobie wyobrazić Thoma, z jego wytwornymi manierami i wzniosłymi gestami, na dworze Królowej.

— Tak było — powiedział pan Gill. — Było to niedługo po tym, jak umarł Taringail Damodred i po tym jak... wyszły na jaw te kłopoty z jego bratankiem. Niektórzy mówili, że Thom, można powiedzieć, bliższy był Królowej, niżli jest to stosowne. Lecz Morgase była wówczas młodą wdową, a Thom znajdował się w kwiecie wieku, zresztą uważam, że Królowa może przecież zawsze robić to, czego pragnie. Z tym że łatwo wpadała w złość, nasza dobra Królowa Morgase, a on wyjechał bez słowa, kiedy dowiedział się, w jaki to rodzaj kłopotów popadł jego bratanek. Królowej niezbyt się to spodobało. Nie lubiła również, jak ktoś mieszał się w sprawy Aes Sedai. Nie umiem powiedzieć, czy było to właściwe, bratanek czy nie bratanek. W każdym razie, kiedy wrócił, wypowiedział te słowa. Słowa, których nie należy mówić do Królowej. Których nie należy mówić żadnej kobiecie takiej jak Morgase. Elaida była nastawiona przeciwko niemu, ponieważ usiłował ingerować w sprawę swojego bratanka, i znalazłszy się pomiędzy gniewem Królowej i niechęcią Aes Sedai, Thom opuścił Caemlyn, gdyż tutaj czekało go zapewne więzienie, o ile nie wręcz topór kata. Tak dalece jak wiem, nakaz jest ciągle w mocy.

— To było dawno temu — powiedział Rand — może nikt już nie pamięta.
Pan Gill potrząsnął głową.

— Kapitan Gareth Bryne jest Dowódcą Gwardii Królowej. Osobiście dowodził Gwardzistami, których Morgase wysłała, aby pochwycili Thoma i dostarczyli go jej w łańcuchach, i wątpię, czy kiedykolwiek zapomni, jak wrócił z pustymi rękoma, by przekonać się, że Thom wrócił do Pałacu i ponownie wyjechał. A Królowa nigdy niczego nie zapomina. W ogóle, czy znacie jakąkolwiek kobietę, która potrafiłaby zapomnieć? A Morgase dała się temu wszystkiemu pochłonąć bez reszty. Przysięgam, przez miesiąc całe miasto szepcząc chodziło cicho na palcach. Żyją jeszcze Gwardziści, którzy to wszystko pamiętają. Nie, lepiej zachowajcie sprawę Thoma w takim samym sekrecie, jak wasze Aes Sedai. Chodźcie, dam wam coś do jedzenia. Wyglądacie, jakby wasze żołądki zaczęły już trawić same siebie.

SPLOT WZORU

Pan Gill zaprowadził ich do sali ogólnej, posadził przy stojącym w kącie stole i kazał jednej ze służących przynieść jedzenie. Rand pokiwał głową, kiedy zobaczył talerze, a na nich kilka cienkich płatów polanej sosem wołowiny, łyżeczkę żółtawej zieleniny i dwa ziemniaki. Nie było jednak złości w tym gościu, raczej smutek i rezygnacja. Niczego nie ma wystarczająco dużo, powiedział karczmarz. Podnosząc nóż i widelec, Rand zastanawiał się, co będzie, kiedy już nic nie zostanie. Wobec takich myśli, na poły pusty talerz wydał się prawdziwą uczta. Przeszył go dreszcz.

Stół wybrany przez pana Gilla znajdował się w znacznej odległości od pozostałych, sam gospodarz usiadł w kącie, skąd mógł obserwować salę. W ten sposób nikt nie mógł zbliżyć się na tyle, by podsłuchać, o czym mówią. Kiedy służąca odeszła, karczmarz powiedział miękko:

— A teraz, dlaczego nie powiedzieliście mi o waszych kłopotach? Jeżeli mam wam pomóc, wolałbym wiedzieć, w co się wdaję?

Rand spojrzał na Mata, lecz ten marszczył czoło, wpatrzony w swój talerz, jakby oszalał na punkcie krojonego właśnie ziemniaka. Wziął głęboki oddech.

— Sam do końca nie rozumiem ich natury — zaczął. Przedstawił swoją historię w najprostszy sposób, pomijając jednak trolloki i Pomory. Jeżeli ktoś oferuje ci pomoc, nie należy raczyć go w rewanżu opowiadaniem bajek. Nie sądził, aby właściwym było podkreślanie niebezpieczeństwa, ani też wciąganie kogoś w całą tę sprawę, podczas gdy sami właściwie nie wiedzieli, w co się wdali. Jacyś ludzie ścigali jego, Mata oraz garstkę ich przyjaciół. Pojawiali się w miejscach najbardziej nieoczekiwanych, byli śmiertelnie niebezpieczni, zamierzali zabić ich wszystkich, może nawet coś jeszcze gorszego. Moiraine mówiła, iż niektórzy z nich są Sprzymierzeńcami Ciemności. Thom nie do końca ufał jej, niemniej został z nimi, utrzymując, że czyni tak ze względu na swojego bratanka. Rozdzielili się podczas ataku, który nastąpił na drodze do Białego Mostu, a później, już w samym Białym Moście, Thom zginął, ratując ich przed kolejną napaścią. Potem jeszcze kilka razy znaleźli się w niebezpieczeństwie. Zdawał sobie sprawę, iż jego opowieść nie jest zupełnie spójna, niemniej to było wszystko, na co go było stać

w krótkim sprawozdaniu, a nie chciał nawiązywać do rzeczy, które mogły okazać się niebezpieczne.

— Nie zatrzymywaliśmy się, zanim nie dotarliśmy do Caemlyn — wyjaśnił. — Taki był pierwotny plan. Caemlyn, a później Tar Valon. — Wiercił się, siedząc niewygodnie na samej krawędzi krzesła. Po tak długim czasie zachowywania ścisłej tajemnicy, czuł się dziwnie wyznając komuś choćby tylko tyle, ile właśnie powiedział. — Jeżeli będziemy trzymać się tej trasy, nasi przyjaciele wcześniej czy później będą nas mogli odnaleźć.

— Jeśli jeszcze żyją — wymruczał Mat, z nosem wbitym w talerz.

Rand nawet na niego nie spojrział. Coś zmusiło go, by dodać jeszcze:

— Pomagając nam, może pan mieć kłopoty.

Pan Gill machnął lekceważąco pulchną dłonią.

— Nie mogę powiedzieć, żebym pragnął kłopotów, ale nie byłyby to pierwsze, które mi się przydarzają. Żaden przeklęty Sprzymierzeniec Ciemności nie skłoni mnie, abym odwrócił się plecami od przyjaciół Thoma. Ta wasza przyjaciółka z północy... cóż, jeśli przybędzie do Caemlyn, to będę o tym wiedział. Ludzie tutaj zwracają uwagę na przyjazdy i wyjazdy osób tego rodzaju, a plotki szerzą się szybko.

Rand zawahał się na moment, a potem zapytał:

— A Elaida?

Karczmarz również zastanawiał się przez chwilę, jednak po krótkim namyśle przecząco potrząsnął głową.

— Raczej nie. Gdyby nie wasze związki z Thomem, wszystko może wyglądałoby inaczej. Ona przejrzy was na wylot i co wówczas? Trudno powiedzieć, co się z wami stanie. Może skończycie w celi? Może jeszcze gorzej. Powiadają, że ona ma sposoby na poznanie różnych rzeczy, zarówno tych, które się zdarzyły, jak i tych, które dopiero będą. Że potrafi przeniknąć właśnie to, co człowiek najbardziej stara się ukryć. Nie wiem, jak to z tym jest, ale ja bym nie ryzykował. Gdyby Thom nie był w to zamieszany, moglibyście zwrócić się do Gwardzistów. Już oni zajęliby się tymi Sprzymierzeńcami Ciemności. A nawet gdybyście zataili przed Gwardzistami wasz związek z Thomem, wzmianka o Sprzymierzeńcach Ciemności mogłaby dotrzeć do Elaidy, no i w tym momencie znowu jesteśmy w punkcie wyjścia.

— Żadnych Gwardzistów — zgodził się Rand.

Mat z zapalem przytaknął i jednocześnie wepchnął widelec do ust, rozsmarowując sobie sos na policzku.

— Kłopot, chłopcze, polega na tym, że niezależnie od tego jakie były wasze zamiary, wkroczyliście na teren polityki, a polityka jest jak mgliste bagno pełne węży.

— A co... — zaczął Rand, lecz twarz karczmarza wykrzywił nagły grymas. Krzesło zatrzęszczało, kiedy się gwałtownie wyprostował.

W drzwiach wiodących do kuchni stanęła kucharka, wycierając ręce w fartuch. Kiedy pochwyciła spojrzenie karczmarza, gestem przywołała go, po czym wróciła do kuchni.

— Równie dobrze mógłbym ją poślubić — westchnął pan Gill. — Zawsze wie, co należy załatwić, zanim ja w ogóle zorientuję się, że coś jest nie w porządku. Jeśli nie zatkała się rura doprowadzająca woda albo zlew, to na pewno chodzi o szczury. Rozumiecie, dbam o czystość, ale w tak zatłoczonym mieście szczury są wszędzie. Każ ludziom tłoczyć się na jednym miejscu i od razu masz również szczury. Caemlyn niespodziewanie przeżywa teraz prawdziwą plagę szczurów. Nie macie pojęcia, ile dobry kot, taki prawdziwy łowca, dzisiaj kosztuje. Wasz pokój jest na strychu. Powiem dziewczętom który, każda z nich wskaże wam drogę. I nie martwcie się Sprzymierzeńcami Ciemności. Niewiele dobrego mogę powiedzieć o Białych Płaszczach, ale dzięki ich obecności w mieście, ich i Gwardzistów, nikt taki nie śmie pokazać swojej paskudnej gęby w Caemlyn. — Jego krzesło zaskrzypiało ponownie, gdy odsuwał je i wstawał. — Mam nadzieję, że to nie jest znowu zlew.

Rand powrócił do swego posiłku, lecz nagle spostrzegł, że Mat przestał jeść.

— Myślałem, że jesteś głodny — powiedział. — Mat wpatrywał się w swój talerz, po którym toczył widelcem kawałek ziemniaka. — Musisz jeść, Mat. Musimy zachować siły, jeśli chcemy dotrzeć do Tar Valon.

Mat odpowiedział długim, gorzkim śmiechem.

— Tar Valon! Cały czas to było Caemlyn. Moiraine będzie czekać na nas w Caemlyn. Odnajdziemy w Caemlyn Egwene i Perrina. Wszystko będzie dobrze, jeśli tylko dotrzemy do Caemlyn. No i cóż, jesteśmy tutaj i nie jest dobrze. Nie ma Moiraine, nie ma Perrina, nie ma nikogo. A teraz mówisz, że wszystko będzie dobrze, jeśli tylko dojedziemy do Tar Valon.

— Żyjemy — powiedział Rand tonem ostrzejszym, niż zamierzał. Wziął głęboki oddech i spróbował nadać głosowi łagodniejsze brzmienie. — Żyjemy. Dopóki żyjemy, jest dobrze. A ja chcę zostać przy życiu. Chcę dowiedzieć się, dlaczego jesteśmy tak ważni. Nie mam zamiaru się poddawać.

— Wszyscy ci ludzie razem i każdy z osobna może być Sprzymierzeńcem Ciemności. Pan Gill coś zbyt szybko zgodził się nam pomóc. Pokaż mi człowieka, który lekceważy zarówno Aes Sedai, jak i Sprzymierzeńców Ciemności? To nie jest naturalne. Każdy przyzwoity człowiek powiedziałby nam, że mamy się wynosić, albo... albo... coś innego.

— Jedz — powiedział Rand delikatnie i patrzył, dopóki Mat nie włożył sobie do ust kawałka pieczeni.

Przez jakiś czas pozwolił swym dłoniom spoczywać obok talerza, przyciskał je do stołu, usiłując powstrzymać drżenie. Był przerażony. Nie bał się oczywiście pana Gilla, ale nawet wobec braku zagrożenia ze strony karczmarza, miał tego wszystkiego już dosyć. Wysokie mury obronne miasta nie są w stanie zatrzymać Pomora. Być może jednak powinien powiedzieć o tym karczmarzowi. Ale nawet jeśli tamten by uwierzył, czy równie chętnie wówczas pospieszyłby z pomocą? Wiedząc, że Pomor może

nachodzić „Błogosławieństwo Królowej”? No i szczury! Pośród tak wielu ludzi szczury najpewniej nie stanowią zagrożenia, ale pamiętał Baerlon, ten sen, który nie był snem i trzask cieniutkiego kręgosłupa. „Czasami Czarny posługuje się oczami padlinożerców”, powiedział Lan. „Kruki, wrony, szczury...”

Zjadł, ale kiedy skończył, nie pamiętał smaku potraw.

Służąca, ta która zajęta była polerowaniem lichtarzy, kiedy weszli do gospody, pokazała im drogę do pokoju na strychu. Łóżka stały po obu stronach wybitego w ukośnej ścianie dymnikowego okienka, w drzwi wbito haczyki, na których mogli powiesić swoje rzeczy. Ciemnooka dziewczyna okręcała na palcu rąbek swej spódnicy i chichotała, kiedy tylko spoglądała na Randa. Była ładna, wiedział jednak, że kiedy odezwie się do niej, zrobi z siebie głupca. Żałował, iż nie potrafi być tak obojętny wobec dziewcząt jak Perrin, a kiedy wyszła, poczuł ulgę.

Spodziewał się jakichś złośliwych komentarzy ze strony Mata, lecz zaraz po tym jak dziewczyna zniknęła za drzwiami, ten rzucił się na jedno z łóżek i, nie zdejmując nawet płaszcza i butów, odwrócił głowę do ściany.

Rand wieszał swoje rzeczy, spoglądając na plecy przyjaciela. Był pewien, że Mat trzyma rękę pod płaszczem, znowu ściskając sztylet.

— Masz zamiar cały czas tak leżeć tutaj i ukrywać się? — zapytał ostatecznie.

— Jestem zmęczony — wymamrotał Mat w odpowiedzi.

— Ale musimy jeszcze zadać kilka pytań panu Gillowi. Być może będzie w stanie powiedzieć nam, w jaki sposób odnaleźć Egwene i Perrina. Jeśli udało im się zachować konie, to mogą już od pewnego czasu być w Caemlyn.

— Nie żyją — powiedział Mat do ściany.

Rand wahał się przez moment, po czym zrezygnował. Cicho zamknął za sobą drzwi, w nadziei, że Mat w końcu zaśnie.

Na dole Rand rozglądał się za panem Gillem. Nigdzie nie mógł go jednak znaleźć. Po ostrym błysku w oczach kucharki zorientował się, że ona również go szuka. Przez jakiś czas siedział w sali ogólnej, lecz wkrótce zorientował się, że wpatruje się w każdego wchodzącego gościa, w każdego obcego, który mógł okazać się kimkolwiek — lub czymkolwiek — szczególnie w momencie, gdy na tle jasnych drzwi majaczyła tylko ciemna sylwetka postaci w płaszczu. Pomor w sali byłby jak lis w kurniku.

Z ulicy wszedł umundurowany w czerwień Gwardzista. Stanął w drzwiach i chłodnym spojrzeniem obrzucił wszystkich tych, którzy wyglądali na przyjezdnych. W momencie gdy oczy mężczyzny spoczęły na nim, Rand wbił wzrok w powierzchnię stołu. Kiedy podniósł wzrok, Gwardzisty już nie było.

Czarnooka służąca właśnie przechodziła obok z naręczem ręczników.

— Czasami tak robią — powiedziała ufnie, gdy podeszła bliżej. — Po prostu sprawdzają, czy nic się nie dzieje. Sprawdzają poddanych naszej dobrej Królowej. Nie masz czym się przejmować.

Zachichotała.

Rand potrząsnął głową. Nie ma czym się przejmować. Przecież Gwardzista nie podszedł do niego i nie dopytywał się, czy zna Thoma Merrilina. Zaczynał popadać w to samo, co Mat. Wbił paznokcie w krzesło.

Druga służąca uzupełniała właśnie oliwę w lampach.

— Czy jest tu jakaś inna sala, w której mógłbym posiedzieć? — zapytał ją. Nie miał ochoty wracać na górę i milczeć w atmosferze ponurej obojętności Mata. — Może jakiś nie używany właśnie gabinet?

— Jest biblioteka. — Wskazała dłonią drzwi. — Prosto, przy końcu korytarza na prawa. O tej porze może być pusta.

— Dziękuję. Jeśli zobaczysz pana Gilla, to proszę powiedz mu, że o ile znajdzie chwilę czasu, Rand al'Thor chciałby z nim porozmawiać.

— Dobrze, powiem — odrzekła, po czym zmarszczyła brwi. — Kucharka również chce z nim porozmawiać.

Kiedy odwracał się i odchodził, przyszło mu na myśl, że karczmarz prawdopodobnie gdzieś się schował.

Kiedy przeszedł przez drzwi pokoju, do którego go skierowano, zatrzymał się i rozejrzał zdumiony. Półki musiały zawierać jakieś trzysta, czy czterysta książek, więcej niżli kiedykolwiek w życiu widział zgromadzonych na jednym miejscu. Oprawione w płótno, oprawiane w skórę o połyskujących złotem grzbietach. Przejrzał szybko tytuły, odnajdując swoje ulubione. *Podróże Jaina Farstridera*. *Eseje Willima Manechesa*. Ścisnęło go w gardle, gdy zobaczył oprawioną w skórę kopię *Podróży do Ludu Morza*. Tam zawsze chciał ją przeczytać.

Wyobraził sobie Tama, jak z uśmiechem obraca książkę w dłoniach, oswajając się z jej kształtem i fakturą, po czym z fajką zasiada przed kominkiem, aby oddać się lekturze. Opanowało go tak przemożne poczucie straty i pustki, że ręka mimowolnie zacisnęła się na rękojeści miecza, a radość obcowania z książkami zniknęła zupełnie.

Z tyłu, za nim ktoś kaszlnął i Rand nagle zorientował się, że nie jest sam. Odwrócił się, gotów przeprosić za najście. Przywykł do tego, że jest wyższy od większości ludzi, których spotykał, dlatego gdy teraz jego oczy wędrowały coraz wyżej i wyżej w poszukiwaniu twarzy, ze zdziwienia aż rozdziawił usta. Postać sięgała głową niemalże aż po znajdujący się dziesięć stóp nad podłogą sufit. Szeroki na całą twarz nos należałoby właściwie nazwać ryjem. Zwisające niczym ogony brwi otaczały jasne oczy, wielkie jak spodki. Uszy sterczały aż po czub włochatej, czarnej grzywy. Trollok! Rand krzyknął i cofając się usiłował dobyć miecza. Zamiast tego nogi zaplątały się pod nim i ciężko usiadł na podłodze.

— Jakżebym chciał, abyście wy, ludzie, zachowywali się inaczej — zagrzmiął głos głęboki jak ton bębna. — Istota zastrzygła gwałtownie uszami i dodała smutno: — Tak

niewielu z was nas pamięta. Zapewne jest to nasza wina. Niewielu z nas przebywa pośród ludzi, od czasu gdy Cień spoczął na Drogach. To... oh, teraz już sześć pokoleń. Od końca Wojen z Trollokami. — Kudłata głowa zatrzęsa się, z ust istoty wydobyło się westchnienie, którego nie powstydziliby się byk. — Zbyt długo, zbyt długo i tak niewielu chcących podróżować i oglądać, jakby nie było nikogo...

Rand siedział przez chwilę z otwartymi ustami, wpatrując się w niesamowitą postać, odzianą w szerokonose, wysokie do kolan buty, w ciemnoniebieski płaszcz zapięty od pasa po szyję, poszerzany ku dołowi i spływający szeroko jak spódnica na luźne buty. Jedną ręką istota trzymała książkę, małą wobec ogromu sylwetki, potrójnie szeroki palec zaznaczał miejsce, w którym przerwała czytanie.

— Myślałem, że jesteś... — zaczął, ale przerwał, by odkaslnąć. — Czym...? — Nie wyszło to ani odrobinę lepiej. Wstał i ostrożnie wyciągnął dłoń. — Nazywam się Rand al'Thor.

Ręka szeroka jak patelnia ujęła jego dłoń, towarzyszył temu formalny ukłon.

— Loial, syn Arendta, syna Halana. Twoje imię śpiewa w moich uszach, Randzie al'Thor.

Rand pomyślał, że musi to być zwyczajowe pozdrowienie. Odwzajemnił ukłon.

— Twoje imię śpiewa w moich uszach, Loialu, synu Arendta... oh... syna Halana.

Cała ta sytuacja wydawała się nierealna. Wciąż nie wiedział, czym jest Loial. Uścisk jego ogromnych palców był zaskakująco delikatny, niemniej jednak poczuł ulgę, gdy okazało się, że dłoń jest nienaruszona.

— Wy ludzie łatwo dajecie się wyprowadzić z równowagi — powiedział Loial, swoim głosem przypominającym basowy grzmot. — Słyszałem opowieści, czytałem książki, ale jakoś nie docierało to do mnie. Kiedy przybyłem do Caemlyn, wywołałem niewiarygodne poruszenie. Dzieci płakały, kobiety krzyczały, a tłum zbrojny w pałki, noże i pochodnie ścigał mnie przez całe miasto wrzeszcząc „Trollok!” Obawiam się, że początkowo trochę się zdenerwowałem. Trudno powiedzieć, co by się stało, gdyby oddział Gwardii Królowej nie przechodził akurat w pobliżu.

— Rzeczywiście szczęście — powiedział Rand nieśmiało.

— Tak, z tym że nawet Gwardziści byli równie przerażeni moim widokiem jak pozostali. Dzisiaj mija czwarty dzień mojego pobytu w Caemlyn i nie jestem w stanie wystawić nosa poza tę gospodę. Dobry pan Gill prosił mnie nawet o niekorzystanie z ogólnej sali. — Zastrzygł uszami. — Nie chodzi o to, że jest niegościnnie, rozumiesz. Ale pierwszej nocy wywołałem niewielkie zamieszanie. Wszystkie istoty ludzkie chciały natychmiast wyjść. Wrzask, krzyk wszyscy jednocześnie usiłują dostać się do drzwi. Niektórzy mogli zrobić sobie krzywdę. — Rand zafascynowany patrzył na strzygące uszy. — Muszę ci powiedzieć, że nie po to opuściłem *steding*.

— Ty jesteś Ogir! — Wykrzyknął Rand. — Poczekaj. Sześć pokoleń? Powiedziałeś Wojny z Trollokami! Ile masz lat?

Kiedy wypowiedział te słowa, zrozumiał, że nie było to zbyt grzeczne, ale Loial wydawał się raczej trochę przestraszony niż urażony.

— Dziewięćdziesiąt — odpowiedział Ogir, w jego głosie pobrzmiwało lekkie napięcie. — Za dziesięć lat będę wystarczająco dojrzały, aby móc przemawiać na Zgromadzeniu. Uważam, że Starsi powinni pozwolić mi mówić, ponieważ zdecydowali, czy zezwolić mi na wyjazd. Zawsze martwią się o każdego, niezależnie od jego wieku, kto wyrusza na Zewnątrz. Wy ludzie jesteście tak niecierpliwi, postępujecie w tak nieprzemyślany sposób. — Zamrugnął i przepaszając szybko skinął głową. — Wybacz mi. Nie chciałem tego powiedzieć. Ale walczycie ze sobą przez cały czas, nawet wtedy, gdy nie ma takiej potrzeby.

— To prawda — zgodził się Rand. — Wciąż próbował objąć myślami to, co usłyszał. Dziewięćdziesiąt lat. Starszy od Cenna Buie, a jednak wciąż zbyt młody na... Usiadł na jednym z krzeseł o wysokich oparciach. Loial zestawiał ze sobą dwa, wypełniając je ogromem swej postaci. Siedząc, dorównywał wzrostem wyprostowanemu człowiekowi. — Ostatecznie pozwolili ci pójść.

Loial patrzył w podłogę i marszczył nos, pocierając go jednocześnie grubym palcem.

— No, ale powróćmy do sprawy. Zgromadzenie nie obradowało długo, nawet nie przez rok, ale na podstawie tego, co usłyszałem, zanim podjęliby jakąś decyzję w mojej sprawie, byłbym wystarczająco dorosły, aby wyjechać bez ich pozwolenia. Obawiam się, że ich zdaniem umocowałem swój topór na nieco za długim trzonku, ale cóż, po prostu... odszedłem. Starsi zawsze mówili, że jestem trochę w gorącej wodzie kąpany, boję się więc, iż czyniąc tak, dowiodłem tylko słuszności ich osądu. Ciekaw jestem, czy już zdali sobie sprawę, że wyruszyłem? Ale musiałem iść.

Rand mocno zacisnął wargi, aby powstrzymać się od śmiechu. Jeżeli Loiala uważano za niecierpliwego, to jacy muszą być inni Ogirowie. Ich spotkania nie ciągną się długo, nawet nie przez rok? Pan al'Vere dopiero by się zdziwił. Te posiedzenia Rady Wioski, które trwały pół dnia, powodowały, że wszyscy, nawet pan Luhhan, siedzieli jak na szpilkach. Fala tęsknoty zalała jego serce, wspomnienia o Tamie, Egwene, „Winnej Jagodzie”, Bel Tine i Łące, z czasów bardzo szczęśliwych niż obecne, zaparły mu dech w piersiach. Przemocą oddalił te myśli.

— Jeżeli mogę zapytać — kaszlnął — dlaczego tak bardzo pragnąłeś udać się... hm, na Zewnątrz? Ja żałuję, że w ogóle wyjeżdżałem z domu.

— Dlaczego? Żeby zobaczyć. — Loial powiedział to takim tonem, jakby stanowiło to najbardziej oczywistą rzecz na świecie. — Czytałem książki, wszystkie relacje podróżników i one roznieciły we mnie pragnienie, by zobaczyć to, o czym pisali. — Jego jasne oczy rozbłysły, uszy zeszywniały. — Czytałem każdy strzęp na temat podróży, jaki wpadł mi w ręce, czytałem o Drogach, o obyczajach panujących w ludzkich krainach,

o miastach, które dla was ludzi zbudowaliśmy po Pęknięciu Świata. A im więcej czytałem, tym silniejszego nabierałem przekonania, że muszę udać się na Zewnątrz, pojechać do tych miejsc, w których kiedyś żyliśmy i na własne oczy zobaczyć gaje.

Rand zamrugął.

— Gaje?

— Tak, gaje. Drzewa. Oczywiście kilka tylko Wielkich Drzew, wspinających się ku niebu i zachowujących świeżą pamięć *stedding*. — Krzesło zajęczało, kiedy nachylił się do przodu, gwałtownie gestykułując dłońmi, z których jedna wciąż dzierżyła książkę. Jego oczy jaśniały jeszcze silniej niż dotąd, uszy niemalże trzepotały. — Zazwyczaj używali drzew rosnących w danej krainie, na danym miejscu. Nie można ziemi skierować przeciwko niej samej. Nie na długo, zbuntuje się. Trzeba kształtować wizję w zgodzie z ziemią, a nie ziemię wedle wizji. Każde drzewo sadzone w gaju, miało rosnać tam i owocować, każde współistnieć w harmonii z następnym, każde umieszczone było tak, by stanowiło dopełnienie innego, dzięki czemu mogły lepiej rosnać, oczywiście, ale także po to, by ich harmonia zaśpiewała w oku i sercu. Ach, książki mówią o gajach i wywołują u Starszych płacz i śmiech jednocześnie, mówią o gajach, które w pamięci pozostaną wiecznie zielone.

— A miasta? — zapytał Rand. Loial obdarzył go nie rozumiejącym spojrzeniem.

— Miasta. Miasta, które zbudowali Ogirowie. Na przykład to. Caemlyn. Ogirowie zbudowali Caemlyn, nieprawdaż? Tak mówią opowieści.

— Praca w kamieniu... — Jego ramionami zatrzęsł potężny dreszcz. — To jest coś, czego nauczono się w latach, które przysły po Pęknięciu, podczas Wagnania, kiedy wciąż usiłowaliśmy na nowo odnaleźć *stedding*. To jest dobra rzecz, ale nieprawdziwa. Próbuje, jeśli chcesz, a czytałem, że Ogirowie, którzy budowali te miasta, naprawdę próbowali, ale nie jesteś w stanie ożywić kamienia. Niektórzy do dziś pracują w kamieniu, ale tylko dlatego, by naprawiać szkody, jakie powodują wasze ludzkie wojny. Garstka Ogirów jest w... ach... w Cairhien, jak to się dzisiaj nazywa... Przechodziłem tamtędy. Na szczęście byli z innego *stedding*, chociaż i tak byli podejrzliwi, dziwiąc się, że taki młody i sam przebywam na Zewnątrz. Przypuszczam, że dobrze się stało, bowiem i tak nie było żadnych powodów, abym miał tam dłużej zostać. W każdym razie, zrozumiem, praca z kamieniem jest czymś, co zostało narzucone nam przez splot Wzoru, gaje pochodzą z serca.

Rand potrząsnął głową. Połowa opowieści, wśród których wyrósł, została nagle przewrócona na nice.

— Loial, nie wiedziałem, że Ogirowie wierzą we Wzór.

— Oczywiście, że wierzymy. Koło Czasu splata Wzór Wieków, a żywoty stanowią przedzę, którą tka. Nikt nie jest w stanie powiedzieć, w jaki sposób nić jego własnego życia zostanie wpleciona we Wzór, ani też jak splecie się nić ludzi. Przyniosło nam już

Pęknięcie Świata, Wygnanie, Kamień oraz Tęsknotę, a ostatecznie być może, zanim wszyscy pomrzemy, zwróci nam *stедding*. Czasami uważam, że wy ludzie jesteście tacy, jacy jesteście, bowiem wasze nici są tak krótkie. Muszą miotać się na wszystkie strony w splocie. Oh, znowu, znowu to zrobiłem. Starsi mówią, że wy ludzie nie lubicie, aby wam przypominać, jak krótko żyjecie. Mam nadzieję, że cię nie uraziłem.

Rand zaśmiał się i potrząsnął głową.

— Wcale. Przypuszczam, że to może być zabawne, żyć tak długo jak ty, ale nigdy naprawdę o tym nie myślałem. Sądzę, iż jeśli będę żył tak długo jak Cenn Buie, będzie to zupełnie wystarczające.

— A on jest bardzo stary? — Rand tylko pokiwał głową. Nie miał ochoty tłumaczyć, że stary Cenn Buie jest młodszy od Loiala. — Cóż — powiedział Loial — być może wy ludzie rzeczywiście żyjecie krótko, lecz potraficie tyle zrobić ze swoim życiem, wciąż miotacie się, wciąż tacy niecierpliwi. I macie dla siebie cały świat. My Ogirowie jesteśmy związani z naszym *stедding*.

— Ty jesteś na Zewnątrz.

— Tylko czasowo, Rand. Ale ostatecznie muszę wrócić. Ten świat należy do ciebie, do ciebie i twojego rodzaju. *Stедding* są moje. Na Zewnątrz jest za dużo tumultu i zamieszania. I tak wiele zmieniło się w porównaniu z tym, o czym czytałem.

— Cóż, rzeczy zmieniają się wraz z upływem lat. Przynajmniej niektóre.

— Niektóre? Połowa miast, o których czytałem, już nie istnieje, a reszta nosi inne nazwy. Weź Cairhien. Właściwa nazwa tego miasta brzmi: Al'cair'rahienallen, Wzgórze Złotego Brzasku. Jego mieszkańcy nawet nie pamiętają o tym, pomimo wschodzącego słońca zdobiącego ich sztandary. No i gaj który się tam znajduje. Wątpię, czy ktokolwiek dbał o niego od czasu Wojen z Trollokami. Dla nich stanowi po prostu jeszcze jeden las, w którym wycinają drzewo na opał. Wszystkie Wielkie Drzewa zniknęły i nikt o nich nie pamięta. A tutaj? Caemlyn wciąż nazywa się tak samo, ale rozbudowali miasto dokładnie tam, gdzie był gaj. Siedzimy właśnie niecałe ćwierć mili od jego centrum, to znaczy od miejsca, gdzie to centrum powinno być. Nie ocalało żadne drzewo. Byłem również w Illian i Łzie. Inne nazwy, żadnych wspomnień. W Łzie na miejscu gaju znajduje się pastwisko dla koni, a w Illian gaj jest parkiem Króla, w którym ten poluje na swoje jelenie, nikomu nie wolno wchodzić do środka bez zezwolenia. Wszystko się zmieniło, Rand. Mocno się obawiam, że tak będzie wszędzie, dokądkolwiek pójdę. Wszystkie gaje uschły, wspomnienia szczyły, marzenia umarły.

— Nie możesz się poddawać, Loial. Nigdy nie można się poddawać. Jeżeli zrezygnujesz, równie dobrze możesz umrzeć.

Rand wbił się w krzesło tak mocna, jak tylko potrafił, na twarz wypełził mu rumieniec. Spodziewał się, że Ogir go wyśmieje, ale Loial tylko poważnie pokiwał głową.

— To jest właśnie sposób, w jaki twój rodzaj żyje, nieprawdaż? — Jego głos zmienił się, jakby coś cytował. — Dopóki nie zniknie mrok, dopóki nie zniknie woda, dopóki Cię z wyszczerzonymi zębami, ostatnim tchem rzucając wyzwanie przebicia oka Tego Który Odbiera Wzrok, w ten Dzień Ostatni.

Loial pochylił w oczekiwaniu swą kudłatą głowę, ale Rand nie miał pojęcia, czego się po nim może spodziewa.

Minuta minęła, potem druga. Loial wciąż czekał, jego długie brwi obwisły w zakłopotaniu. Wciąż jednak czekał, cisza zaczynała już powoli Randowi ciążyć.

— Te Wielkie Drzewa — powiedział ostatecznie i to po to tylko, by przerwać ciszę — czy są takie, jak *Avendesora*?

Loial wyprostował się gwałtownie, krzesło pod nim zatrzeszczało i zaskrzypiało tak mocno że Rand wystraszył się, iż się rozpadnie.

— Sam wiesz lepiej. Właśnie ty, spośród wszystkich ludzi.

— Ja? Skąd mogę wiedzieć?

— Żartujesz sobie ze mnie? Czasami wy Aielowie uważacie, że najdziwniejsze rzeczy są śmieszne.

— Co? Ja nie jestem Aiel! Pochodzę z Dwu Rzek. Nigdy nawet nie widziałem Aiel!

Loial potrząsnął głową, pędzelki na jego uszach obwisły.

— No i widzisz? Wszystko się zmieniło i połowa tego co wiem, jest bezużyteczna. Mam nadzieję, że cię nie uraziłem. Pewien jestem, że twoje Dwie Rzeki są bardzo miłym miejscem, niezależnie od tego, gdzie się znajdują.

— Ktoś powiedział mi — odrzekł Rand — że kiedyś miejsce to nazywało się Manetheren. Ja nigdy nie słyszałem tej nazwy, lecz może ty...

Uszy Ogira uniosły się ze szczęścia.

— Ach! Tak. Manetheren. — Pędzelki opadły na powrót. — Był tam bardzo piękny gaj. Twój ból śpiewa w moim sercu, Randzie al'Thor. Nie zdążyliśmy na czas.

Loial pochylił się na krzesło, Rand również przygiął plecy. Spodziewał się, że Loialowi może być przykro, jeśli zachowa się inaczej i ostatecznie jednak okaże się niegrzeczny. Zastanawiał się, czy Ogir uważa, że ma on taką samą pamięć, jaką wydawali się mieć Ogirowie. Kąciki oczu i ust Loiala pozostawały opuszczone, tak jakby dzielił ból straty Randa, tak jakby zniszczenie Manetheren nie nastąpiło dwa tysiące lat temu, lecz niedawno i jakby nie było czymś, o czym Rand dowiedział się wyłącznie z opowieści Moiraine.

Po chwili Loial westchnął.

— Koło obraca się — powiedział — i nikt nie zna kierunku obrotów. Lecz ty oddaliłeś się od domu równie daleko jak ja. Na bardzo znaczącą odległość, biorąc pod uwagę dzisiejszy kształt świata. Kiedy drogi były otwarte, wszystko oczywiście wyglądało inaczej... ale to daleka przeszłość. Powiedz mi, co zawiodło cię tak daleko? Czy również chciałeś coś zobaczyć?

Rand otworzył usta, by powiedzieć, że przybyli tutaj, aby zobaczyć fałszywego Smoka — ale nie mógł skłamać. Być może dlatego, iż Loial zachowywał się, jakby nie był starszy od niego, jakby miał dziewięćdziesiąt lat i jednocześnie wcale nie. Może dla Ogira dziewięćdziesiąt lat oznaczało wiek podobny do tego, w jakim sam był. Minęło dużo czasu, odkąd mógł szczerze powiedzieć komuś o tym, co naprawdę się zdarzyło. Cały czas powstrzymywał go strach, że słuchacz może okazać się Sprzymierzeńcem Ciemności, albo pomyśli w ten sposób o nim. Mat był tak zatopiony w sobie, karmiąc własne strachy swoimi podejrzeniami, że nie był dobrym partnerem do rozmowy. Rand zorientował się, że opowiada Loialowi o Zimowej Nocy. I to nie mglistą historyjkę o Sprzymierzeńcach Ciemności, ale prawdę o trollokach włamujących się przez drzwi i o Pomorze na Drodze Kamieniołomu.

Coś w nim przerażone było tym, co robi, ale było tak, jakby składał się z dwóch ludzi, jeden usiłował pohamować swój język, podczas gdy drugi czuł tylko ulgę, spowodowaną możliwością opowiedzenia prawdy. W rezultacie potykał się, jękał i gubił wątek. Shadar Logoth i nagłe rozstanie z przyjaciółmi, niepewność czy w ogóle żyją. Pomor w Białym Moście i Thom ginący, aby umożliwić im ucieczkę. Pomor w Baerlon. Później Sprzymierzeńcy Ciemności, Howal Gode i chłopiec, który ich się bał, kobieta która chciała zabić Mata. Półczłowiek pod drzwiami „Gęsi i Korony”.

Kiedy zaczął paplać o snach, nawet ta część jego osoby, która chciała mówić, nie mogła nie zwrócić uwagi na mrówki biegające po krzyżu. Ugryzł się w język i mocno zacisnął zęby. Oddychając gwałtownie przez nos, uważnie obserwował Ogira i miał nadzieję, iż wspomniał, że chodzi tu tylko o koszmary. Światłość jedna wie, że to wszystko brzmiało jak relacja z sennego koszmaru, albo asumpt do wywołania takiego koszmaru u słuchacza. Może Loial pomyśli po prostu, że oszalał. Może...

— *Ta'veren* — powiedział Ogir.

Rand zamrugał.

— Co?

— *Ta'veren* — Loial podrapał się za uchem grubym palcem i lekko wzruszył ramionami. — Starszy Haman mówił zawsze, że nie uważam, ale czasami słuchałem. Czasami uważałem. Wiesz oczywiście, jak splata się Wzór?

— Nigdy o tym nie myślałem — odpowiedział Rand. — On po prostu jest.

— Hm... tak... cóż... Niezupełnie. Koło Czasu tka Wzór Wieków, a jako przędzę wykorzystuje nasze żywoty. Wzór nie jest ustalony, nie zawsze. Jeżeli człowiek chce zmienić kierunek swego życia, a we Wzórze jest na to miejsce, wówczas Koło po prostu wplata zmianę we Wzór. Zawsze jest miejsce na niewielkie odstępstwa, lecz czasami Wzór zwyczajnie nie akceptuje dużej zmiany, niezależnie od tego jak usilnie staramy się jej dokonać. Rozumiesz?

Rand pokiwał głową.

— Mogę mieszkać na farmie albo w Polu Emonda, i decyzja oznacza tutaj dokonanie niewielkiej zmiany. Ale gdybym chciał zostać królem, wtedy...

Roześmiał się. Loial zrobił grymas, który niemalże rozdzielił jego twarz na pół. Zęby miał białe, szerokie jak dłuta.

— Tak, o to właśnie chodzi. Lecz czasami zmiany wybierają ciebie, czy też Koło ciebie wybiera. A czasami Koło wywija nić życia, czy też kilka nici, w taki sposób, że wszystkie otaczające ją nici muszą owijać się dookoła niej, a to pociąga za sobą inne nici, tamte jeszcze inne, i tak dalej i dalej. To pierwsze skręcenie, które tworzy Splot, to jest właśnie *ta'veren* i nic nie można zrobić, aby go odmienić, dopóki ten Wzór sam się nie zmieni. Splot — *ta'mara'lailen*, jak to się nazywa — może utrzymywać się przez tygodnie lub całe lata. Obejmować może jedną miejscowość albo cały Wzór. Artur Hawkwing był *ta'veren*. Podobnie, jeśli już o to chodzi, uważam, że był nim również Lews Therin Zabójca Rodu. — Wydał z siebie buczący chichot. — Starszy Haman byłby ze mnie dumny. On zawsze tak nudnie mówił, a książki o podróżach były niezwykle interesujące, niemniej czasami słuchałem.

— To wszystko bardzo pięknie — powiedział Rand — ale nie rozumiem, co to ma wspólnego ze mną. Jestem pasterzem, a nie Arturem Hawkwingiem. Mat i Perrin również nie. To jest po prostu...bezsensowne.

— Nie mówię, że miałbyś być, ale słuchając twojej opowieści niemalże wyczuwam wirowanie Wzoru, a przecież nie mam tu Talentu. Jesteś *ta'veren* i tyle. Ty, a może, również twoi przyjaciele. — Ogir przerwał i w namyśle potarł krawędź swego szerokiego nosa. Ostatecznie pokiwał głową, jakby potwierdzając powziętą decyzję. — Chciałbym podróżować z tobą, Rand.

Przez chwilę Rand patrzył tylko na niego, zastanawiając się, czy dobrze usłyszał.

— Ze mną? — wykrzyknął, kiedy już był w stanie dobyć z siebie głosu. — Czy nie słyszałeś, jak mówiłem o... — Nagle spojrzął na drzwi. Były szczelnie zamknięte i wystarczająco grube, by ktoś podsłuchujący z drugiej strony mógł usłyszeć jedynie niewyraźne mruczenie, nawet gdyby przycisnął ucho do drewnianej płyty. Tym niemniej kontynuował przyciszonym głosem: — O tym, kto mnie ściga? Tak czy owak, myślałem, że zależy ci na zobaczeniu swoich drzew.

— W Tar Valon jest piękny gaj. Słyszałem, że Aes Sedai dobrze się nim opiekują. Oprócz tego, to nie tylko drzewa chciałem zobaczyć. Być może nie jesteś kolejnym Arturem Hawkwingiem, lecz na pewien czas część świata kształtuje się wokół ciebie, najprawdopodobniej nawet teraz to się dzieje. Nawet Starszy Haman chciałby to zobaczyć.

Rand wahał się. W drodze dobrze byłoby mieć jeszcze kogoś. Sposób, w jaki zachowywał się Mat, czynił jego towarzystwo czymś niewiele lepszym od zupełnej samotności. Wygląd Loiala dodawał otuchy. Być może był młody, biorąc pod uwagę

rachubę wieku jaką stosowali Ogirowie, ale zdawał się być niewzruszony jak skała, dokładnie tak jak Tam. A nadto był w wielu różnych miejscach, wiedział też dużo o innych. Spojrzał na szeroką twarz Ogira, siedzącego obok niczym uosobienie cierpliwości. Wyższego w pozycji siedzącej, niżli większość ludzi na stojąco.

„Jak można ukryć kogoś mierzącego niemalże dziesięć stóp wzrostu?”

Westchnął i potrząsnął głową.

— Loial, nie uważam, aby to był dobry pomysł. Nawet jeśli Moiraine znajdzie nas tutaj, będziemy w niebezpieczeństwie przez całą drogę do Tar Valon. A jeżeli nie...

„Jeżeli się nie spotkamy, to znaczy, że ona nie żyje i najprawdopodobniej wszyscy inni też nie. Oh, Egwene.”

Przywołał się do porządku. Egwene nie jest martwa, a Moiraine na pewno ich odnajdzie.

Loial spojrział ze współczuciem, dotykając jego ramienia.

— Jestem pewien, że z twoimi przyjaciółmi jest wszystko w porządku, Rand. — Rand podziękował skinieniem głowy. Gardło miał za bardzo ściśnięte, by cokolwiek powiedzieć.

— Ale ostatecznie może zechcesz ze mną czasami porozmawiać? — westchnął Loial i było to jak głęboki grzmot. — Albo zagramy w kamienie? Całymi dniami nie mam tu z kim rozmawiać, wyjąwszy dobrego pana Gilla, a on przez większość czasu jest zajęty. Kucharka, jak się wydaje, zupełnie bezlitośnie pędzi go do pracy. Być może to ona naprawdę jest właścicielką karczmy?

— Oczywiście, że zechcę — odpowiedział Rand ochrypłym głosem. Kaszlnął i spróbował się uśmiechnąć. — A jeśli spotkamy się w Tar Valon, pokażesz mi tamtejszy gaj.

„Nie mogło im się nic stać. Światłości spraw, aby wszystko było z nimi w porządku.”

DŁUGI POŚCIG

Nynaeve ścisnęła wodze trzech koni i spojrzała w noc, jakby w jakiś sposób potrafiła przebić wzrokiem mrok i dosięgnąć Aes Sedai oraz Strażnika. Otaczały ją podobne do szkieleatów drzewa, nagie i czarne w mętnym świetle księżyca. Las i noc skutecznie kryły tajemnicze praktyki Moiraine i Lana, niezależnie od ich natury — żadne nie raczyły nawet się zatrzymać i poinformować jej, o co chodzi. Stłumione: „Zaopiekuj się końmi”, ze strony Lana i już ich nie było, a ona została sama jak jakiś chłopiec stajenny. Zerknęła na konie i westchnęła z rozdrażnieniem.

Sylwetka Mandarba wtapiała się w noc nieomal równie doskonale, jak płaszcz jego pana. Ułożony do udziału w bitwach ogier pozwalał zbliżyć się do siebie tylko dzięki temu, że Lan osobiście wręczył jej wodze. W tej chwili stał spokojnie, pamiętała jednak aż nazbyt dobrze ściągnięte bez jednego nawet parsknięcia wargi, gdy któregoś razu sięgnęła do jego uzdy, nie czekając na aprobatę Strażnika. Ten spokój sprawiał, że obnażone zęby wyglądały jeszcze groźniej. Ostatni raz ogarnęła ogiera czujnym spojrzeniem i odwróciła się, by popatrzeć w kierunku, w którym zniknęło tamtych dwoje, machinalnie gładząc łeb własnego wierzchowca. Drgnęła nerwowo, gdy Aldieb wepchnęła swój bładny pysk pod jej dłoń, lecz po chwili poklepała również białą klacz.

— Chyba nie mogę mieć do ciebie pretensji — wyszeptała — tylko z tego powodu, że twoja pani jest nieczułą...

Znowu wyteżyła wzrok.

„Co oni robią?”

Po wyjeździe z Białego Mostu przejeżdżali przez wioski, które wydawały się nieomal nierzeczywiste w swojej normalności, zwykłe wioski targowe, które dla Nynaeve wyglądały tak, jakby należały do zupełnie innego świata, świata w którym nie ma Pomorów, trolloków i Aes Sedai. Jechali Drogą Caemlyn, aż wreszcie w pewnej chwili Moiraine nachyliła się nad karkiem Aldieb i spojrzała na wschód w taki sposób, jakby była w stanie ogarnąć wzrokiem całą długość gościńca, wszystkie mile wiodące do Caemlyn, i zobaczyć, kto czeka na jego końcu.

W końcu Aes Sedai wydała z siebie przeciągłe westchnienie i odchyliła się do tyłu.

— Koło obraca się tak, jak chce — mruknęła — ale nie wierzę, by jego obroty miały przynieść kres nadziei.

I ściągnawszy wodze swej klaczy skręciła na północ i zjechała w las. Gdzieś tam znajdował się jeden z chłopców, będący w posiadaniu monety, którą ofiarowała mu Moiraine. Lan pojechał w ślad za nią.

Nynaeve po raz ostatni obrzuciła długim spojrzeniem Drogę Caemlyn. Niewielu podróżowało nią ludzi — kilka fur na wysokich kołach, jeden pusty powóz w oddali, paru pielgrzymów z dobytkiem niesionym na grzbiecie albo ciągnionym ręcznym wózku. Niektórzy z nich przyznawali się, że wędrują do Caemlyn, by obejrzeć fałszywego Smoka, lecz większość gwałtownie się tego wypierała, szczególnie ci, którzy wędrowali przez Biały Most. W Białym Moście zaczęła wierzyć w Moiraine. Do pewnego stopnia. W każdym razie bardziej niż przedtem. To jednak nie przynosiło pociechy.

Strażnik i Aes Sedai nieomal zupełnie już zniknęli wśród drzew, kiedy wreszcie zdecydowała się ruszyć w ślad za nimi. Przyspieszyła, żeby ich dogonić. Lan oglądał się często w jej stronę i popędywał gestem dłoni, niemniej jednak cały czas jechał ramieniem w stronę Moiraine, ta zaś nawet nie odwróciła wzroku.

Któregoś wieczora, po tym jak zbczyli z drogi, niewidoczny ślad znikł. Moiraine, ta niewzruszona Moiraine, nagle stanęła wyprostowana, z rozszerzonymi oczyma, przy niewielkim ognisku, na którym grzał się imbryk z herbatą.

— Zniknął — wyszeptała w mrok.

— Czy on...? — Nynaeve nie dokończyła pytania.

„Światłości, nawet nie wiem, który to z nich!”

— On nie umarł — wolno powiedziała Moiraine — ale nie ma już przy sobie monety. — Usiadła, jej głos był spokojny, ręce nie zadrżały nawet, gdy zdejmowała czajnik z ognia i wrzucała do niego garść herbaty. — Rankiem pojedziemy w tym samym kierunku co dotychczas. Gdy będę dostatecznie blisko, znajdę go bez monety.

Kiedy z płomieni ogniska pozostał tylko żar, Lan owinął się płaszczem i ułożył do snu. Wiedząca nie mogła zmrużyć oka. Obserwowała Aes Sedai. Moiraine miała zamknięte oczy, ale siedziała wyprostowana i Nynaeve wiedziała, że tamta nie śpi.

Długo po tym, jak zgasł ostatni żar ogniska, Moiraine otworzyła oczy i spojrzała na nią. Nawet w tych ciemnościach poczuła, że Aes Sedai się uśmiecha.

— On odzyskał monetę, Wiedząca. Wszystko będzie dobrze.

Ułożyła się na swych kocach i nieomal natychmiast zaczęła miarowo oddychać przez sen.

Niezależnie od zmęczenia Nynaeve trudno było pójść w jej ślady. Pomimo iż z całych sił starała się uspokoić, przed oczyma wirowały najbardziej nieprzyjemne obrazy.

„Wszystko będzie dobrze.”

Po Białym Moście nie potrafiła już tak łatwo w to uwierzyć.

Ze wspomnień gwałtownie powróciła w mrok, gdy na ramieniu poczuła zaciskający się uchwyt. Zdusiwszy krzyk, który zrodził się w jej gardle, sięgnęła do rękojeści noża. Dopiero po chwili pojęła, że to Lan.

Strażnik odrzucił kaptur, lecz jego zmienny jak skóra kameleona płaszcz tak dobrze stapiał się z mrokiem, że niewyraźna plama twarzy niejako unosila się pośród nocy. Ręka na jej ramieniu zdawała się wyłaniać z nicości.

Gwałtownie wciągnęła powietrze. Spodziewała się komentarza na temat tego, jak łatwo ją zaskoczyć, Strażnik jednak bez słowa odwrócił się i zaczął szukać czegoś w torbach przy siodle.

— Jesteś potrzebna — powiedział i ukląkł, by spętać konie.

Gdy tylko konie zostały powiązane, wyprostował się, wziął ją za rękę i znowu ruszył w mrok. Jego ciemne włosy zlewały się z nocą prawie tak samo dobrze jak płaszcz, poruszał się jeszcze ciszej niż ona. Niechętnie musiała przyznać, że nigdy nie udałoby się jej podążać jego śladem, gdyby jej nie wiódł za rękę. Zresztą nie była pewna, czy potrafiłaby mu się wyrwać, gdyby nie chciał jej puścić. Miał bardzo silny uchwyt.

Gdy doszli do niewielkiego wzniesienia, ledwie zasługującego na miano wzgórza, Lan przykląkł na jedno kolano, pociągając ją za sobą. Po chwili spostrzegła, że Moiraine już tu jest. Zastygła w bezruchu, zawinięta w ciemny płaszcz Aes Sedai można było pomylić z jednym z leśnych cieni. Lan wskazał ręką dużą polanę wśród drzew, poniżej zbocza.

Nynaeve wyteńczyła wzrok w mglistym świetle księżycy, po czym uśmiechnęła się ze zrozumieniem. Jasne plamy ustawione w równych rzędach to były namioty, tworzące pociemniałe obozowisko.

— Białe Płaszcz — szepnął Lan — jest ich dwustu, może więcej. Mają wodę zdatną do picia. I chłopca, którego szukamy.

— W obozie?

Lan skinął głową, raczej wyczuła to, niż zobaczyła.

— W samym środku obozu. Moiraine może wskazać namiot. Podszedłem dostatecznie blisko, by się upewnić, że jest pilnowany przez strażę.

— Jest więźniem? — spytała Nynaeve. — Dlaczego?

— Nie wiem. Synowie raczej nie powinni się interesować wiejskim chłopcem, chyba że zaszło coś, co wzbudziło ich podejrzenia. Światłość wie, że niewiele trzeba, by zrodzić podejrzenia w Białych Płaszczach, ale i tak się niepokoję.

— W jaki sposób chcesz go uwolnić?

Dopiero gdy na nią spojrział, pojęła bezgraniczność zaufania, jakim go obdarzyła, bezwiednie przekonana, że wejdzie sam pośród dwustu ludzi i wróci z chłopcem.

„Cóż, wszak to Strażnik. Niektóre z opowieści muszą być prawdziwe.”

Przez chwilę dręczyła ją myśl, czy przypadkiem nie naraziła się na śmieszność, jednak głos Lana był spokojny i rozważny.

— Mogę go wyprowadzić, tylko trzeba to zrobić niepostrzeżenie. Jeśli ktoś nas zauważy, dwiecie Białych Płaszczy natychmiast rzuci się za nami w pogoń, a do tego będziemy mieli po jednym koniu na dwoje. Chyba że będą zanadto czymś zajęci, żeby nas ścigać. Jesteś gotowa zaryzykować?

— Żeby pomóc mieszkańcowi Pola Emonda? Oczywiście! Jakie to ryzyko?

Wskazał znowu w kierunku ciemności, za namiotami. Tym razem nie wypatrzyła nic oprócz, cieni.

— To ich konie. Powrozy, którymi są spętane muszą zostać przecięte, nie do końca, lecz wystarczająco, by konie się uwolniły, kiedy Moiraine zrobi co trzeba. Wówczas oni będą zbyt zajęci pogonią za swymi końmi, żeby nas ścigać. Z tej strony obozu koni pilnuje dwóch strażników, lecz jeśli jesteś tak dobra, jak mi się wydaje, to cię nie zauważą.

Z trudem przełknęła ślinę. Podchodzenie królików to jedno, a strażnicy, z włóczyniami i mieczami...

„A więc jemu się wydaje, że ja jestem dobra?”

— Zrobię to.

Lan znowu skinął głową, jakby nie spodziewał się innej odpowiedzi.

— Jeszcze jedno. Kręcą się tu wilki. Widziałem dwa, a skoro widziałem aż tyle, to jest ich prawdopodobnie więcej. — Urwał i mimo że ton jego głosu nie uległ zmianie, miała wrażenie, że jest zakłopotany. — Doszło do tego zupełnie tak, jakby one chciały, żebym je zobaczył. W każdym razie nie powinnaś się nimi przejmować. Wilki zazwyczaj trzymają się z dala od ludzi.

— Zupełnie jakbym o tym nie wiedziała — odparła słodko brzmiącym głosem. — Ja się przecież wychowywałam tylko wśród pasterzy.

Lan chrząknął, a ona uśmiechnęła się w mrok.

— A zatem zrobimy to zaraz — powiedział.

Uśmiech zgasł na jej twarzy, gdy spojrzała na obóz pełen uzbrojonych ludzi. Dwustu ludzi z włóczyniami, mieczami i... Nie pozwalając sobie na powtórny namysł, wyciągnęła nóż z pochwy i już miała się wymknąć, gdy Moiraine schwyciła ją za rękę uściskiem równie silnym, jak poprzednio Lan.

— Uważaj na siebie — powiedziała ciche Aes Sedai. — Jak już przetniesz pęta, wracaj najszybciej, jak będziesz mogła. Ty też jesteś częścią Wzoru i nie chciałabym cię narażać na większe ryzyko niż pozostałych, teraz gdy cały świat jest narażony na niebezpieczeństwo.

Nynaeve ukradkiem potarła ramię, gdy Moiraine ją wreszcie puściła. Nie życzyła sobie, by Aes Sedai wiedziała, że jej uścisk jest bolesny. Tamta jednak od razu odwróciła się, by obserwować położony niżej obóz. A Strażnik zniknął. Nynaeve zauważyła to i aż się zdrygnęła.

„Niechaj Światłość oślepi tego przeklętego człowieka!”

Pośpiesznie podciągnęła spódnicę do góry, powiększając w ten sposób swobodę ruchów i pobiegła prosto w mrok.

Po chwili pośpiechu, którego efektem był trzask gałęzi pękających pod jej stopami, zwolniła, ciesząc się, że nikt nie widzi jej rumieńca. Wszystko polegało na tym, żeby poruszać się jak najciszej, a ona w żaden sposób nie konkurowała ze Strażnikiem.

„Ach, czyżby?”

Odrząciła tę myśl i skupiła się wyłącznie na wędrówce przez ciemny las. Nie było to trudne samo w sobie, blade światło ubywającego księżyca zupełnie wystarczało komuś, komu własny ojciec udzielał nauk, a zmiany terenu następowały powoli i spokojnie. Niemniej jednak drzewa, bezlistne i zeszywniałe na tle nocnego nieba, stale jej przypominały, że to nie jest żadna dziecinna zabawa, a szum przenikliwego wiatru nazbyt bardzo przypominał brzmienie rogów trolloków. Teraz, gdy została sama w ciemności, przypominała sobie, że wilki, które zazwyczaj uciekały przed ludźmi, w Dwu Rzekach tej zimy zachowywały się inaczej.

Gdy wreszcie wychwyciła zapach koni, poczuła, jak zalewa ją ciepła fala ulgi. Prawie nie oddychając, położyła się na brzuchu i zaczęła czołgać pod wiatr, w kierunku zapachu.

Omam nie wpadła prosto na strażników. Nim ich jeszcze zobaczyła, wyszli z mroku prosto na nią, poły ich białych płaszczy łopotały na wietrze, nieledwie lśniły w poświacie księżyca. Nie byłiby lepiej widoczni, nawet gdyby nieśli pochodnie. Zastygła w miejscu, starając się wtopić w leśne poszycie. Zakończyli swój marsz tuż przed nią, trzaskając cholewami butów, w odległości nawet nie dziesięciu kroków. Stanęli naprzeciwko siebie, z włóczniami wspartymi na ramionach. Tuż za nimi widziała kształty, które musiały należeć do wierzchowców. Zapach stajni, koni i nawozu był bardzo silny.

— Nic nie dzieje się w mroku — obwieściła postać w białym płaszczu. — Światłości, oświeć nas i uchron przed Cieniem.

— Nic nie dzieje się w mroku — odparł drugi. — Światłości, oświeć nas i uchron przed Cieniem.

Z tymi słowy odwrócili się i ponownie odmaszerowali w ciemność.

Nynaeve czekała i liczyła, oni tymczasem pojawili się jeszcze dwukrotnie. Za każdym razem rytuał trwał tak samo długo i za każdym razem sztywno powtarzali tę samą formułę, nie dodając ani nie opuszczając ani jednego słowa. Żaden nie rozglądał się na boki, patrzeli na wprost, zarówno wtedy, gdy dochodzili do siebie, jak i kiedy się rozchodzili. Zastanawiała się, czy w ogóle by ją zauważyli, nawet gdyby stała wyprostowana.

Zanim noc po raz trzeci zdążyła pochłonąć jasne fałdy ich płaszczy, Nynaeve wstała z ziemi i pochyłona pobiegła w stronę koni. Gdy była już blisko, zwolniła, aby

nie przestraszyć zwierząt. Strażnicy Białych Płaszczy mogli nie zauważyć tego, co im przemykało tuż przed nosem, lecz z pewnością zainteresowałoby się nagłym popłochem wśród koni.

Konie przywiązano do pali w kilku rzędach. Stały z pochylonymi łbami, pojedyncze sylwetki Ledwie dawały się wyróżnić spośród jednej olbrzymiej plamy ciemności. Co jakiś czas któryś z nich parskał albo stukał kopytem przez sen. Światło księżycy było tak blade, że doszła do pala zamykającego szereg, zanim go w ogóle dostrzegła. Wyciągnęła rękę na oślep i zamarła w bezruchu, gdy stojący najbliżej koń uniósł łeb i spojrzał na nią. Jego pojedyncze wodze były przywiązane do wielkiej pętli zrobionej na powrozie grubości palca, która kończyła się przy słupie.

„Jedno parsknięcie.”

Serce waliło jej tak, jakby chciało się wyrwać z piersi, głośno, niemalże zdolne przyciągnąć uwagę strażników.

Ani na chwilę nie odrywając wzroku od konia, nacięła powróż, trzymając palec przytknięty do ostrza, by kontrolować głębokość cięcia. Oddech jej zamarł, gdy koń potrząsnął łbem.

„Tylko jedno parsknięcie.”

Wyczuła pod palcami, że pozostało już tylko kilka cienkich włókienek. Powoli ruszyła w stronę następnego powroza, obserwując konia do chwili, w której już nie wiedziała, czy na nią patrzy, potem zaczerpnęła powietrza. Jeśli one wszystkie takie są, to najpewniej niebawem będzie już po niej.

Jednakże przy kolejnym palu, przy następnym i jeszcze następnym, konie się nie obudziły, pomimo tego nawet, że jęknęła z bólu, gdy zacięła się w palec. Ssąc ranę, obejrzała się ostrożnie w kierunku, z którego przyszła. Ponieważ stała pod wiatr, nie słyszała już słów, które wymieniali z sobą strażnicy, za to oni mogli ją usłyszeć, jeśli znaleźliby się we właściwym miejscu. Gdyby przyszli sprawdzić, co to za szmer, nie usłyszałyby, że nadchodzą, dopóki nie weszliby prosto na nią.

„Czas iść. Nie będą nikogo ścigać, jeśli stracą cztery z pięciu koni.”

Nie poruszyła się jednak. Potrafiła sobie wyobrazić wzrok Lana, gdyby usłyszał, co zrobiła. Nie byłoby w nim oskarżenia, jej rozumowanie było uzasadnione i on nie oczekiwałby od niej nic więcej. Jest Wiedzącą, a nie jakimś wspaniałym i niezwyciężonym, przeklętym Strażnikiem, który potrafił stawać się zupełnie niewidzialny. Z zaciśniętymi zębami ruszyła do ostatniego pala. Stała przy nim Bela.

Nie mogło być wątpliwości, czym jest ten krępy, kudłaty kształt. Identyczny koń, w tym właśnie miejscu stanowiłby zbyt duży zbieg okoliczności. Ucieszyła się tak bardzo, iż nie bacząc na to, że cała się trzęsie, zrezygnowała z decyzji pominięcia ostatniego szeregu. Dygotały jej ręce i nogi, bała się nawet dotknąć powroza, lecz umysł pozostał czysty jak nurt Winnej Jagody. Niezależnie od tego, który z chłopców

był w obozie, była w nim również Egwene. I jeśli będą uciekać, we dwoje dosiadając jednego konia, Synowie Światłości ich złapią, pomimo rozproszonych koni i wówczas niektórzy zginą. Była tego pewna, jak myśli, które pojawiały się wtedy, gdy słuchała wiatru. Żołądek przeszła włócznia strachu, strachu przed nieodwołalnym charakterem tej wiedzy właśnie. Nie miało to nic wspólnego z pogodą, zbiorami albo chorobą.

„Po co Moiraine mi powiedziała, że mogę używać Mocy? Dlaczego nie zostawiła mnie w spokoju?”

O dziwo, skurcz lęku uspokoił drżenie dłoni. Ruchami tak pewnymi, jakby kruszyła zioła we własnym domu, przecięła pierwszy powróż, później pozostałe. Schowała sztylet do pochwy i odwiązała wodze Beli. Kudłata klacz wzdrygnęła się, kiedy ją przebudzono, podrzuciła łeb, lecz Nynaeve pogładziła ją po chrapach i wyszeptła kilka uspokajających słów do jej ucha. Bela parsknęła z wyraźnym zadowoleniem.

Pozostałe konie stojące w tym szeregu również się przebudziły i patrzyły na nią. Ze strachem przypomniawszy sobie reakcje Mandarba i sięgnęła po następne wodze, koń jednak wcale się nie opierał obcej dłoni. W rzeczy samej wydawało się, że też pragnie, aby go pogładzono po chrapach tak jak Belę. Chwyliła mocno wodze Beli i owinęła sobie drugie wokół przegubu dłoni, cały czas nerwowo obserwując obóz. Niewyraźne zarysy namiotów znajdowały się w odległości zaledwie trzydziestu jardów, widziała spacerujących pośród nich ludzi. Gdyby zauważyli poruszenie wśród koni i przyszli sprawdzić, co jest tego powodem...

Desperacko pragnęła, by Moiraine nie czekała na jej powrót. Cokolwiek Aes Sedai zamierzała zrobić, niech lepiej zrobi to teraz.

„Światłości, niech ona zrobi to teraz, zanim...”

Nagle niebo nad jej głową roztrzaskała błyskawica, na krótki moment rozpraszając ciemność. Grzmot poraził jej uszy z taką siłą, że omal nie padła na kolana, gdy poszarpany trójząb, rozbryzgując fontannę pyłu i kamieni, ugodził w ciemność niemalże tuż obok. Donośny trzask pękającej ziemi zlał się z rykiem grzmotu. Konie oszalały, zaczęły rzeć i wierzgać, powrozy pękały jak cienkie nici w miejscach, w których je ponacinała. Nim jeszcze zgasło lśnienie poprzedniego wyładowania, z nieba runęła kolejna błyskawica.

Nynaeve była zbyt zajęta, by napawać się triumfem. Po pierwszym uderzeniu Bela rzuciła się w jedną stronę, zaś drugi koń wyrwał się, wierzgając w przeciwnym kierunku. Miała wrażenie, że wyrwą jej ramiona ze stawów. Przez jedną, nie kończącą się chwilę wisiała w powietrzu, ze stopami oderwanymi od ziemi, jej krzyk zagłuszył kolejny łoskot. Rozbłysła następna błyskawica, po niej następna i jeszcze jedna, przy wtórze nieprzerwanego, wściekłego ryku walącego się z nieba. Konie, gdy wędzidła szarpnęły im pyski, zawróciły. Nynaeve runęła na ziemię. Miała ochotę przykucnąć i rozetrzeć storturowane dłonie, lecz nie było czasu. Bela i ten drugi koń wpadły prosto

na nią, przewracając białymi, rozszalałymi oczyma, w każdej chwili mogąc ją przewrócić i stratować. Jakimś cudem uniosła ręce, wczepiła dłonie w grzywę Beli i podciągnęła na grzbiet klaczy. Drugie wodze, nadal owinięte wokół przegubu, wpiły się głęboko w jej ciało.

Szczęka jej niemalże opadła ze zdumienia, gdy zobaczyła podłużny, szary cień kłębiący się obok, który najwyraźniej ignorował ją i jej konie, szczyrzył natomiast kły w stronę rozszalałego stada, uciekającego teraz we wszystkich kierunkach. Tuż za nim podążał następny cień śmierci. Nynaeve zapragnęła jeszcze raz krzyknąć, ale nie potrafiła wydobyć dźwięku ze ściśniętego gardła.

„Wilki! Światłości, dopomóż nam! Co robi Moiraine?”

Niepotrzebnie wbijała pięty w boki Beli. Klacz ruszyła w cwał, drugi koń nadzwyczaj chętnie poszedł w jej ślady. Gnać naprzód, dokądkolwiek, tak daleko, jak tylko można, jak najdalej uciec przed tym ogniem, który lunął z nieba i zabił noc...

ODSIECZ

Pomimo związanych na plecach nadgarstków, Perrin usiłował znaleźć wygodniejszą pozycję, aż wreszcie westchnął i poddał się. Za każdym razem, gdy przestawał go gnieść jeden kamień, pojawiały się dwa następne. Niezdarnie owinał się płaszczem. Noc była zimna, ziemia wysysała całe ciepło. I trwało to tak, odkąd pojmały ich Białe Płaszcze. Zdaniem Synów Światłości więźniowie nie potrzebowali ani kocy, ani dachu nad głową.

Egwene, skulona w kłębek, wtulona w jego plecy w poszukiwaniu ciepła, spała głębokim snem wyczerpania. Nawet nie mruknęła, kiedy się poruszył. Perrina bolały wszystkie mięśnie, w rezultacie całodniowej wędrówki za koniem z postronkiem na szyi. Jednakże sen nie chciał do niego przyjść.

Kolumna poruszała się stosunkowo powoli. Jako że większość remont przypadła podczas potyczki z wilkami w *stedding*, Synowie Światłości nie parli na południe tak szybko, jak by chcieli. Zwłoka ta była powodem jeszcze jednego zarzutu, jaki wysuwano przeciwko dwojgu mieszkańcom Pola Emonda. Niemniej jednak podwójny, wijący się szereg parł naprzód stałym tempem — lord Bornhald miał zamiar dotrzeć za wszelką cenę do Caemlyn na czas — i Perrin cały czas czuł czający się gdzieś w zakamarku jego umysłu lęk, że jeśli upadnie, to wówczas Biały Płaszcz trzymający jego smycz nie zatrzyma się, nie dbając o rozkaz lorda kapitana Bornhalda, w myśl którego miano ich zachować przy życiu, aby mogli stanąć przed śledczymi w Amadorze. Wiedział, że jeśli do tego dojdzie, nic go nie uratuje. Ręce rozwiązywano mu jedynie wtedy, gdy jadł oraz na czas wizyt przy dole kloacznym. Z powodu postronka każdy krok był ważny, każdy kamyk pod stopą mógł się okazać zgubny. Szedł, cały czas napięty, badając grunt pełnym niepokoju wzrokiem. Gdy patrzył na Egwene, widział, że postępuje tak samo. Kiedy spotykała jego wzrok, jej twarz robiła się napięta i przestraszona. Żadne z nich nie ważyło się oderwać oczu od ziemi na dłużej, niż tylko na chwilę.

Gdy tylko Białe Płaszcze przystawały, osuwał się na ziemię niczym wyżęta szmata, tego jednak wieczoru myśli cwałowały. Skóra mu cierpła ze strachu, strachu który

gromadził się od wielu już dni. Wystarczyło, że zamknął oczy, a widział to wszystko, co według Byara czekało ich zaraz po przybyciu do Amadoru.

Był przekonany, że Egwene nadal nie wierzy w wizje, jakie Byar rysował tym swoim beznamytnym głosem. Gdyby wierzyła, nie byłaby w stanie spać, choćby nie wiadomo jak zmęczona. Z początku on też nie dowierzał. Nadal nie chciało mu się to pomieścić w głowie — ludzie po prostu nie robią takich rzeczy innym ludziom. Jednakże Byar właściwie wcale nie groził, opowiadał o rozpalonym żelazie i kleszczach, o nożach do cięcia skóry i igłach do nakłuwania, w taki sposób, jakby mówił o picciu wody. I na pozór wcale nie po to, aby ich przestraszyć. W jego wzroku nie było nawet śladu, przyjemności czerpanej z czyjegoś przerażenia. Po prostu zupełnie nie dbał o to, czy boją się, czy będą torturowani, wreszcie czy będą żyć, czy umrą. W chwili kiedy Perrin to zrozumiał, zimny pot spłynął mu po twarzy. Dotarło do niego, że Byar po prostu mówi prawdę.

Płaszcz dwóch strażników załśnił szaro w bladym świetle księżyca. Nie mógł dostrzec ich twarzy, wiedział jednak, że go obserwują. Jakby, ze związanymi nogami i rękoma mógł próbować cokolwiek zrobić. Dopóki jeszcze było dostatecznie dużo światła, widział obrzydzenie w ich oczach i ostre spojrzenia, zupełnie jakby musieli strzec jakichś plugawych potworów, cuchnących i wstrętnych. Wszyscy Synowie Światłości tak na nich patrzeli. Przez cały czas.

„Światłości, jak mam ich przekonać, że nie jesteśmy Sprzymierzeńcami Ciemności, skoro oni są tego pewni?”

Jego żołądek skręcały mdłości. W końcu prawdopodobnie przyzna się do wszystkiego, po to tylko, by Śledczy dali mu spokój.

Ktoś nadchodził, jakiś Biały Płaszcz z latarnią w ręku. Zatrzymał się, by zagadać do strażników. Odpowiedzieli mu z wyraźnym szacunkiem. Perrin nie dosłyszał, o czym mowa, rozpoznał natomiast wysoką, posępną postać.

Zmrużył oczy, gdy latarnię przystawiono mu do twarzy. Byar trzymał w drugiej ręce jego topór, najwyraźniej już zdążył go sobie przywłaszczyć. W każdym razie Perrin nie zauważył, żeby się z nim rozstawał choćby na chwilę.

— Obudź się — powiedział obojętnie Byar, jakby uważał, że Perrin śpi z podniesioną głową. Słowa poparł silny kopniak w żebra. Perrin mruknął przez zaciśnięte zęby. Jego boki były już sine od butów Byara. — Powiedziałem, obudź się.

Noga podniosła się ponownie, więc Perrin szybko odpowiedział:

— Nie śpię.

Należało zawsze uważać na to, co mówił Byar, w przeciwnym razie znajdował inne sposoby na przykucie uwagi. Byar postawił latarnię na ziemi i pochylił się, by sprawdzić więzy Perrina. Szarpnął brutalnie za nadgarstek, wykręcając ręce w stawach. Stwierdziwszy, że węzły są równie mocne, jak wtedy, gdy je zadzierzgał, pociągnął za sznur przy kostkach. Nogi chłopca gwałtownie poszurały po kamienistym podłożu.

Byar wyglądał na zbyt kościstego, aby można było spodziewać się po nim takiej siły, radził sobie jednakże z Perrinem jak z dzieckiem. Ten rytuał powtarzał się co noc.

Kiedy Byar się prostował, Perrin spostrzegł, że Egwene wciąż śpi.

— Obudź się! — krzyknął. — Egwene! Obudź się!

— C-co...? Co takiego?

Pełen strachu głos Egwene był wciąż lekko przytłumiony przez sen. Uniosła głowę, mrugając na widok światła latarni. Byar nie okazał rozczarowania, że nie może jej obudzić kopniakiem, nigdy niczego nie okazywał. Ignorując pojękiwania, szarpnięciami sprawdził więzy dziewczyny, podobnie jak postąpił wcześniej z Perrinem. Ból sprawiany innym był jedną z tych rzeczy, które zdawały się nie wywierać na nim żadnego wrażenia, tylko w przypadku Perrina potrafił zrezygnować z tej postawy. Chciał, żeby go bolało. Perrin mógł tego nie pamiętać, ale Byar nigdy nie zapomni, że to on zabił dwóch Synów.

— Dlaczego Sprzymierzeńcy Ciemności mogą spać — powiedział beznamiętnie Byar — kiedy uczciwi ludzie nie śpią, żeby ich strzec?

— Powtarzam po raz setny — odparła zmęczonym głosem Egwene — nie jesteśmy Sprzymierzeńcami Ciemności.

Perrin stęzał. Czasami takie zaprzeczenie wywoływało — wygłaszany zgrzytliwym, jednostajnym tonem — wykład na temat przyznania się do winy i skruchy, wykład prowadzący w konkluzji do opisu metod, jakie Śledczy stosowali, aby je uzyskać. Czasami wywoływało wykład połączony z kopniakami. Ku jego zdziwieniu tym razem Byar zupełnie zignorował odpowiedź.

Przykucnął zamiast tego przed nim, w pokrzywionej i pokrytej płytkami wkłęśnięciami zbroi. Topór ułożył na kolanach. Złote słońce na piersi i na lewej pole płaszcza dwie złote gwiazdy umieszczone pod nim zaśniły w świetle latarni. Zdjął z głowy hełm i położył go obok latarni. W jego twarzy oprócz pogardy i nienawiści pojawiło się coś nowego, coś naglącego i nieodgadnionego. Oparł dłonie na trzonku topora i w milczeniu przypatrywał się Perrinowi. Ten starał się nieruchomo wytrzymać spojrzenie zapadłych oczu.

— Opóźniasz nasz marsz, Sprzymierzeńcze Ciemności, ty i twoje wilki. Rada Pomazańców zna doniesienia o podobnych przypadkach, a ponieważ chciałyby dowiedzieć się czegoś więcej, musisz zostać zabrany do Amadoru i przekazany Śledczym. Jednakże ty nas opóźniasz. Miałem nadzieję, że będziemy się poruszali dostatecznie szybko, nawet bez remont... myliłem się jednak. — Umilkł, patrzył na nich spod zmarszczonego czoła. Perrin czekał, Byar mu powie, kiedy ma odpowiedzieć. — Lord kapitan ma przed sobą dylemat — powiedział wreszcie Byar. — Z powodu tych wilków, musi cię postawić przed obliczem Rady, jednakże musimy również dotrzeć do Caemlyn. Nie mamy zapasowych koni, na których moglibyście jechać, gdy jednak

pozwolimy ci iść dalej pieszo, nie dotrzemy do Caemlyn w wyznaczonym czasie. Lord kapitan traktuje swe obowiązki sumiennie i ma zamiar postawić cię przed obliczem Rady.

Egwene wydała z siebie jakiś nieokreślony dźwięk. Byar zapatrzył się na Perrina, a on zapatrzył się na niego, bojąc się nawet mrugnąć.

— Nie rozumiem — powiedział wolno.

— Nie ma tu nic do rozumienia — odparł Byar. — Nic prócz jałowych rozważań. Gdybyście uciekli, nie mielibyśmy czasu, żeby was gonić. Nie możemy zmarnować ani godziny, jeśli chcemy dotrzeć na czas do Caemlyn. Gdybyście, powiedzmy, przetarli sznury o ostry kamień i zniknęli w nocy, wówczas problem lorda kapitana znalazłby swoje rozwiązanie. — Ani na moment nie odrywając wzroku od Perrina, zagłębił dłoń w zanadrzu płaszcza i rzucił coś na ziemię. Perrin odruchowo skierował wzrok w tę stronę. Kiedy pojął, co to takiego, aż jęknął głośno ze zdziwienia. Ułamek skały z ostrym końcem. — To tylko jałowe rozważania — oświadczył Byar. — Wasi strażnicy też się pograżą w rozważaniach dzisiejszej nocy.

Perrinowi nagle zaschło w ustach.

„Przemyśl to! Światłości, dopomóż, przemyśl to i nie popełnij żadnego błędu!”

Czy to mogła być prawda? Czy konieczność szybkiego dotarcia do Caemlyn była dla Białych Płaszczy aż tak ważna, żeby pozwolili na coś takiego? Pozwolili podejrzanym o sprzyjanie Ciemności na ucieczkę? Nie należało próbować tego sposobu, za mało wiedział. Byar był jedynym Białym Płaszczem, który z nimi rozmawiał, oprócz lorda kapitana Bornhalda, a żaden z nich nie był skory do udzielania informacji. Jakiś inny sposób. Jeśli Byar chce, żeby uciekli, to czemu zwyczajnie nie poprzecina im więzów? Czy Byar naprawdę chce, żeby uciekli? Byar, który jest do szpiku kości przesiąknięty przekonaniem, że są Sprzymierzeńcami Ciemności. Byar, który nienawidzi Sprzymierzeńców Ciemności bardziej niż samego Czarnego. Byar, który szuka jakiegokolwiek wymówki, by zadać mu ból za to, że zabił dwa Białe Płaszcze. Byar miałby chcieć, żeby uciekli?

Jeśli mu się wydawało, że przedtem jego umysł cwałował, to tym razem myśli pędziły lawiną. Pomimo chłodu pot strumieniami ściekał mu z twarzy. Spojrzał na strażników. Wyglądali jak bladoszare cienie, lecz jemu się wydawało, że zaczęli się i czekają. Gdyby on oraz Egwene zostali zabici podczas próby ucieczki i znaleziono ich więzy przecięte kamieniem, który mógł tu leżeć przypadkiem... Dylemat lorda kapitana znalazłby znakomite rozwiązanie. A Byar miałby ich martwych, tak jak tego pragnął.

Ponury mężczyzna podniósł leżący obok latarni hełm i zaczął się podnosić.

— Czekaj — powiedział ochryple Perrin. Myśli mu wirowały, na próżno szukał jakiegoś wyjścia. — Czekaj, chcę porozmawiać. Ja...

„Nadchodzi pomoc!”

Ta myśl, wykwitła w jego głowie promieniem czystego światła pośrodku chaosu, była tak zadziwiająca, że przez chwilę zapomniał o wszystkim, nawet o tym, gdzie jest. Łatka żyła.

„Elyas”, pomyślał, pytając wilka bez słów, czy tamten żyje. Odpowiedź nadeszła w postaci wizji. Elyas, leży na posłaniu z zielonych gałązek, obok niewielkiego ogniska w jakiejś jaskini i opatruje ranę w boku. Obraz trwał zaledwie krótką chwilę. W tym czasie Perrin gapił się na Byara, rozciągając twarz w głupawym uśmiechu. Elyas żył. Nadchodziła pomoc.

Byar znieruchomiał i lekko uniesiony na piętach, patrzył na niego.

— Jakaś myśl przyszła ci do głowy, Perrinie z Dwu Rzek, ale ja się dowiem, co to takiego.

Przez chwilę Perrin sądził, że tamten mówi o myśli, którą przekazała mu Łatka. Na moment owładnęła nim panika, zaraz po niej jednak przyszła ulga. Byar nie mógł tego wiedzieć.

Syn Światłości obserwował zmiany wyrazu na twarzy chłopca, potem jego spojrzenie po raz pierwszy objęło kamień leżący na ziemi.

Perrin pojął, że rozpatruje wszystko od nowa. Jeżeli zmieni zamiary względem tego kamienia, to czy odważy się zostawić ich żywych, by mogli potem wszystko opowiedzieć? Sznury można przeciąć już po tym, jak spętani ludzie są martwi, nawet jeśli zwiększa to ryzyko. Spojrzał w oczy Byara — w ciemnych wgłębieniach oczodołów świeciły jakby z mroku jaskiń — i dostrzegł w nich śmierć.

Perrin przygotował się na ogłoszenie wyroku. Jednak w chwili, gdy Byar już otworzył usta, wydarzenia zaczęły się toczyć z prędkością, która nie pozwalała zebrać myśli.

Nagle jeden ze strażników zniknął. Przed chwilą stały tam dwie niewyraźne sylwetki, w następnej noc pochłonęła jedną z nich. Drugi strażnik obrócił się, składając usta do krzyku, lecz zanim zdołał wypowiedzieć pierwszą sylabę, przy wtórze głośnego trzasku, runął jak ścięte drzewo.

Byar obrócił się błyskawicznie, szybki jak atakująca żmija. Topór w jego dłoniach ze świstem rozciął powietrze. Perrin wytrzeszczył oczy — noc zdawała się wlewać w obszar światła latarni. Otworzył usta, by krzyknąć, lecz strach ścisnął mu gardło. Przez chwilę zapomniał nawet, że Byar chciał ich zabić. Biały Płaszcz był przecież istotą ludzką, a tutaj noc ożyła, żeby zabrać ich wszystkich.

I wtedy mrok pożerający światło przybrał kształt ludzkiej sylwetki... Strażnik! Rozwiane poły jego płaszcz przy każdym ruchu zmieniały odcienie szarości i czerni. Topór w dłoniach Byara runął niczym błyskawica... a Lan tylko uchylił się lekko, jakby najzwyczajniej odsuwał na bok, pozwalając, by ostrze minęło go tak blisko, że musiał poczuć pęd powietrza. Siła uderzenia pozbawiła Byara równowagi, jego oczy rozszerzyły się z przerażenia, w tym momencie Strażnik przeszedł do ataku. Rękoma i nogami zadał

serię ciosów tak prędkich, że Perrin nie był w stanie odróżnić ich od siebie. Tylko efekt był widoczny — Byar zwałił się na ziemię jak szmaciana lalka. Nim jeszcze jego ciało rozciągnęło się na ziemi, Strażnik już klęczał i gasił latarnię.

Gdy nagle na powrót zapadł mrok, Perrin rozejrzał się dookoła. Nic nie widział, Lan zniknął znowu.

— Czy to naprawdę...? — Egwene wydała z siebie zduszony szloch. — Myśleliśmy, że nie żyjesz. Myśleliśmy, żeście wszyscy zginęli.

— Jeszcze nie.

W głębokim szepcie Strażnika pobrzmiwało rozbawienie.

Jakieś dłonie dotknęły Perrina, znalazły jego więzy. Nóż przeciął sznury, ledwie je tylko szarpiąc. Był wolny. Obolałe mięśnie zaprotestowały, gdy usiadł. Rozcierając nadgarstki, przyglądał się szaremu kopcowi, który przed chwilą był Byarem.

— Czy ty...? Czy on...?

— Nie — usłyszał z ciemności cichy głos Lana. — Nie zabijam, chyba że chcę. On jednak na razie nikomu się nie będzie naprzykrzał. Przestań zadawać pytania i zdobądź dwa płaszcze. Nie mamy za wiele czasu.

Perrin podpełzł do miejsca, w którym leżał Byar. Kosztowało go to sporo wysiłku, a kiedy poczuł, że pierś tamtego unosi się i opada, miał ochotę natychmiast uciec. Skóra na nim cierpła, gdy odpinał i zdejmował biały płaszcz. Pomimo tego co powiedział Lan, wyobraził sobie nagle, że Syn Światłości porusza się, wstaje, ożywa jego podobna do czaszki twarz. Pośpiesznie pomacał na oślep i znalazł swój topór, potem podczołgał się do drugiego strażnika. Z początku wydawało mu się dziwne, że tym razem nie czuje strachu, zaraz jednak zrozumiał dlaczego. Wszyscy Synowie Światłości nienawidzili go, ale była to zwyczajna, ludzka nienawiść. Byar był nieludzki, nie czuł żadnej nienawiści, żadnych emocji, tylko proste, nie podlegające wątpliwości przekonanie, że on, Perrin, powinien umrzeć.

Przewiesił obydwie płaszcze przez ramię, odwrócił się... i ogarnęła go panika. W ciemności zniemacka stracił wyczucie kierunku, nie wiedział, jak ma znaleźć Lana i resztę przyjaciół. Nogi wrosły mu w ziemię, bał się w ogóle poruszyć. Pozbawioną białego płaszcza sylwetkę Byara również pochłonęły ciemności. Zniknęły wszystkie punkty orientacyjne. Idąc na ślepo, mógł wejść prosto do obozowiska.

— Tutaj.

Szedł chwiejnie w stronę, z której dobiegł go szept Lana, dopóki nie zatrzymały go czyjeś ręce. Egwene była niewyraźnym cieniem, twarz Strażnika stanowiła plamę pośród ciemności, reszta jego sylwetki zdawała się nie istnieć. Czując na sobie ich wzrok zastanawiał się, czy potrzebne są jakieś wyjaśnienia.

— Włóżcie płaszcze — powiedział cicho Lan. — Szybko. Zwińcie swoje własne. Tylko cicho. Jeszcze nie jesteśmy bezpieczni.

Z ulgą, że nie wymaga się od niego opowieści o własnym strachu, Perrin pośpiesznie podał jeden z płaszczy Egwene. Swoją zwinął w tobołek i wdział białe okrycie. Poczul ciarki, kiedy go na siebie wkładał, coś jakby ukłucie pomiędzy łopatkami. Czy przypadł mu płaszcz Byara? Zdało mu się nieomal, że otoczyła go chmura zapachu posępnego mężczyzny.

Lan złączył ich dłonie. Perrin trzymał teraz w jednym ręku topór, w drugim dłoń Egwene i z całych sił pragnął, by Strażnik dał wreszcie znak do ucieczki. Jakikolwiek ruch pozwoliliby opanować szalejącą wyobraźnię. Wciąż jednak stali w miejscu, otoczeni namiotami Synów Światłości, trzy postacie — dwie białą odcinające się od mroku, tę trzecią można było tylko wyczuć, ale nie zobaczyć.

— Zaraz — szepnął Lan. — Już zaraz.

Nocne niebo nad obozowiskiem przeszły błyskawica, tak bliska, że Perrin poczuł, jak włosy na jego ramionach i głowie unoszą się od naładowanego powietrza. Nim światło zdążyło zblednąć, Lan poprowadził ich za sobą.

Nim uczynili pierwszy krok, kolejny piorun przeciął czern. Błyskawica runęła niczym grad, potem następna. Noc migotała kalejdoskopem ciemności i blasku. Grzmoty dudniły szaleńczo, jeden ryk przechodził w następny ciągłym, rozdzierającym ciosem. Zdjęte paniką konie rżały, ale słyhać je było tylko w tych krótkich chwilach, gdy ustawał łoskot kolejnego grzmotu. Ludzie wypadali ze swych namiotów, niektórzy w białych płaszcach, inni ubrani jedynie do połowy, jedni biegali tam i z powrotem, drudzy stali jak ogłuszeni.

Biegli przez sam środek tego zamieszania, Perrin zamykał pochód. Po drodze mijali wpatrzonych w nich dzikim wzrokiem Synów Światłości. Niektórzy coś krzyczeli w ich stronę, ale słowa głużył łomot dobiegający z nieba. Dzięki białym płaszcach, w które byli otulani, nikt nie próbował ich zatrzymać. Wpadli pomiędzy namioty, wybiegli z obozowiska i nietknięci zniknęli w mroku.

Perrin poczuł, że grunt pod jego stopami robi się nierówny. Parł nieustępliwie do przodu, mimo że gałęzie krzaków smagały go po twarzy. Błyskawica zamigotała spazmatycznie i zniknęła. Po niebie przetaczały się echa grzmotów i po chwili zamierały. Perrin obejrzał się przez ramię. Między namiotami płonął ogień. Musiał w to miejsce trafić piorun, może zdjęci paniką ludzie przewracali latarnie. Wciąż słyhać było dławione przez mrok krzyki tych, którzy usiłowali przywrócić porządek, albo dowiedzieć się, co zaszło. Teren zaczął się wznosić, namioty, ogień i pokrzykiwania zostały z tyłu.

Omali nie wpadł na Egwene, gdy Lan gwałtownie się zatrzymał. Przed nimi w świetle księżycy stały trzy konie.

Pomiędzy nimi poruszył się jakiś cień, usłyszeli przepełniony rozdrażnieniem głos Moiraine.

— Nynaeve nie wróciła. Obawiam się, że ta młoda kobieta zrobiła coś głupiego. — Lan obrócił się na pięcie, jakby chciał zawrócić tą samą drogą, którą przybyli, ale Moiraine zatrzymała go jednym słowem, ostrym jak trzaśnięcie bicz. — Nie! — Stał i patrzył na nią z ukosa, widać było tylko jego twarz i dłonie, w postaci zamazanych, rozmytych plam. Moiraine przemówiła po chwili łagodniejszym tonem, łagodniejszym, lecz nie mniej stanowczym. — Niektóre rzeczy są ważniejsze od innych. Wiesz o tym. — Strażnik ani drgnął, jej głos na powrót stwardniał. — Przypomnij sobie, co przysięgałeś, al'Lanie Mandragoram lordzie Siedmiu Wież! Co z przysięgą Koronowanego Władcy Bitewnego Malkier?

Perrin zamrugał. Czyżby Lan był tym wszystkim? Egwene coś pomrukiwała, on jednak nie potrafił oderwać oczu od rozgrywającej się przed nim sceny. Lan stojący niczym wilk ze stada Łatki, wilk osaczony przez drobną Aes Sedai, na próżno próbujący uciec od swego przeznaczenia.

W tę zastygłą w bezruchu scenę wdarł się donośny trzask łamanych gałęzi. Dwoma długimi krokami Lan znalazł się między Moiraine a tym dźwiękiem, błada poświata księżycy zafalowała w ostrzu jego miecza. Trzask tratowanego poszycia narastał, jego śladem spośród drzew wybiegła dwójka koni, jeden niósł jeźdźca.

— Bela! — wykrzyknęła Egwene, nieomal w tym samym momencie, w którym Nynaeve zawołała z grzbietu kudłatej klaczy:

— Tym razem omal cię nie zgubiłam. Egwene! Dzięki Światłości, ty żyjesz!

Zsunęła się z grzbietu Beli i już chciała pobiec w stronę dziewczyny, gdy Lan schwycił ją za ramię. Przystanęła w pół kroku i spojrzała na niego.

— Musimy jechać, Lan — powiedziała Moiraine znowu, opanowanym tonem.

Strażnik zwolnił uścisk.

Nynaeve potarła ramię, podbiegła uściskać Egwene, a Perrinowi wydało się, że słyszy też cichy śmiech. Ten śmiech go zastanowił, ponieważ nie sądził, by miał coś wspólnego z radością odczuwaną na ich widok.

— Gdzie są Rand i Mat? — spytał.

— Gdzieś tam — odparła Moiraine. Nynaeve mruknęła coś tak ostrym tonem, że Egwene wydała głośny okrzyk zdumienia. Perrin aż zamrugał, gdy usłyszał fragment wulgarnego przekleństwa, jakby żywcem wziętego z języka woźniców. — Oby Światłość sprawiła, by im się powiodło — ciągnęła Aes Sedai, jakby nic nie słyszała.

— Nikomu z nas się nie powiedzie — powiedział Lan — jeśli Synowie Światłości nas znajdą. Zmieńcie płaszcz i dosiądźcie koni.

Perrin niezdarnie dosiadł wierzchowca, którego Nynaeve przyprowadziła razem z Belą. Brak siodła mu nie przeszkadzało, w rodzinnej wiosce rzadko jeździł konno, kiedy już jednak to robił, była to najczęściej jazda na oklep. Wciąż jeszcze miał na sobie biały płaszczu podkasany i związany pasem. Strażnik powiedział, że mają zostawiać jak

najmniej śladów, dzięki którym Synowie mogliby ich znaleźć. Nadal mu się wydawało, że wraz z płaszczem towarzyszy mu duch Byara.

Wyruszyli w drogę, Strażnik prowadził na swym wysokim, czarnym ogierze. Perrin znowu poczuł dotknięcie Łatki na swoim umyśle.

„Któregoś dnia znów...”

Bardziej uczuciami niż słowami wilk szeptał o obietnicy wyznaczonego spotkania, o oczekiwaniu na to, co miało się zdarzyć, o rezygnacji wobec tego, co musiało się zdarzyć. Wszystko naraz, w jednym przesłaniu. Perrin próbował sformułować pytanie — kiedy, dlaczego, szukając myśli w pośpiechu i nagłym lęku. Ślad obecności wilków robił się coraz bledszy, zanikał. Gorączkowo zadawane pytania wywoływały jedynie wciąż tę samą, brzemienne w wielorakie znaczenia odpowiedź.

„Któregoś dnia znów...”

To zdanie odbijało się echem w jego myślach, jeszcze długo po tym, jak świadomość obecności wilków wygasła.

Lan wiódł ich na południe, powolnym lecz stałym tempem. Nie mogli jechać szybciej, nie w tych warunkach. Otaczała ich noc, dzicz dookoła, łagodnie pofałdowany teren, poszycie niewidoczne, dopóki nie dotknie się go stopą, gęste drzewa skryte w cieniu. Strażnik dwukrotnie ich opuszczał, zawracając w stronę sierpu księżyca. Dwa razy jego i Mandarba pochłaniał mrok. Kiedy powracał, nie wspominał nic o pościgu.

Egwene trzymała się blisko Nynaeve. Do uszu Perrina wpadały niewyraźne strzępy ich głosów, pogrążonych w pełnej podniecenia rozmowie. Obydwie były tak rozradowane, jakby na powrót znalazły się w domu. Sam włókł się w ogonie niewielkiej kolumny. Wiedząca czasami obracała się w siodle, by popatrzeć na niego, wtedy kiwał do niej ręką, jakby chciał powiedzieć, że wszystko jest w porządku, ale nie opuszczał swej pozycji. Miał nad czym się zastanawiać, nie potrafił jednak uporządkować myśli.

„Co ma się zdarzyć? Co ma się zdarzyć?”

Dopiero tuż przed świtem Moiraine wreszcie zarządziła postój. Lan zjechał do wąwozu, w niszy jednego ze zboczy można było bezpiecznie rozpaść ognisko.

Pozwolono im wreszcie zdjąć z siebie białe płaszcze i zakopać je w dziurze wygrzebanej obok ogniska. Perrin już miał zrzucić swój, gdy jego wzrok objął nagle wyhaftowane na piersi złote słońce i dwie złote gwiazdy pod nim. Jak oparzony wypuścił tkaninę z rąk, odszedł na bok i wycierając ręce o kaftan, usiadł samotnie.

— A teraz — powiedziała Egwene, gdy Lan zasypał już dziurę ziemią — czy ktoś mi powie, gdzie są Rand i Mat?

— Sądzę, że w Caemlyn — odparła z namysłem Moiraine — albo przynajmniej w drodze do Caemlyn. — Nynaeve prychnęła głośno i lekceważąco, jednakże Aes Sedai mówiła dalej, jakby jej nikt nie przerywał. — Jeśli nie, to i tak ich znajdę. Obiecuję.

W milczeniu zjedli posiłek składający się z chleba, sera i gorącej herbaty. Nawet Egwene pomimo odczuwanego entuzjazmu poddała się zmęczeniu. Wiedząca wyciągnęła ze swej torby maści, jedną, by nasmarować pręgi, które więzy pozostawiły na nadgarstkach Egwene, inną na pozostałe obrażenia. Kiedy podeszła do Perrina, siedzący na skraju światła padającego z ogniska, nawet na nią nie spojrział.

Stała i patrzyła na niego w milczeniu przez jakiś czas, po czym przykucnęła obok niego ze swą torbą, mówiąc rozkazującym tonem:

— Zdejmij kaftan i koszulę, Perrin. Powiedziała mi, że jeden z Białych Płaszczy bardzo cię nie lubił. — Wolno wykonywał zalecenia, częścią swego umysłu nadal rozpamiętując przesłanie, które otrzymał od Łatki, dopóki w pewnym momencie Nynaeve nie jęknęła głośno. Zdziwiony spojrział na nią, a potem na swoją nagą pierś. Stanowiła jedną plataninę barw, nowsze, purpurowe plamy nakładały się na starsze, które zdążyły już przejść w odcienie brązu i żółci. Tylko grube węzły mięśni nabytych podczas godzin spędzonych w kuźni pana Luhhana uratowały go przed połamaniem żeber. Myśli skupione na wilkach spowodowały, że udało mu się zapomnieć o cierpieniu; teraz jednak ból skwapliwie powrócił. Mimowolnie zrobił głęboki wdech i jęknął przez zaciśnięte wargi. — Dlaczego tak bardzo cię nie znosił? — zapytała Nynaeve z niedowierzaniem.

„Zabiłem dwóch ludzi.”

— Nie wiem — powiedział na głos.

Poszperała w swojej torbie i Perrin wzdrygnął się, gdy zaczęła smarować jego sińce jakąś tłustą maścią.

— Ziemny bluszcz, pięciopalec i promiennik — wyjaśniła. Maść grzała i zarazem ziębiła, sprawiając, że drżał i jednocześnie się pocił, ale nie protestował. Miał już wcześniej doświadczenia z maściami i okładami Nynaeve. Delikatnie wcierała palcami maść, a gorąco i zimno tymczasem zanikało, zabierając ze sobą ból. Purpurowe plamy nabierały brązowego odcienia, a brązowe i żółte bladły, niektóre całkowicie zniknęły. Gdy zrobił na próbę głęboki wdech, poczuł jedynie pojedynczy skurcz. — Wyglądasz na zdziwionego — zauważyła Nynaeve. Sama wyglądała na nieco zdziwioną i jakoś dziwnie przestraszona. — Następnym razem możesz do niej iść.

— Nie jestem zdziwiony — uspokoił ją — po prostu zadowolony. — Maści Nynaeve czasami działały szybko, a czasami wolno, ale działały zawsze. — Co... co się stało z Randem i Matem?

Nynaeve zaczęła chować swoje fiołki i słoiczki do torby, wpychając każdy z nich na siłę, jakby coś odpychało jej rękę.

— Ona mówi, że nic im nie jest. Mówi, że ich znajdziemy. W Caemlyn, powiada. Mówi, że dla nas jest to zbyt ważne, żeby miało stać się inaczej, cokolwiek by to miało znaczyć. Mówi mnóstwo rzeczy.

Perrin uśmiechnął się mimo woli. O ile wszystko inne uległo zmianie, to Wiedząca nadal pozostała sobą, równie daleka od zaprzyjaźnienia się z Aes Sedai, jak poprzednio.

Nagle Nynaeve zeszywniała i zapatrzyła się w jego twarz. Wypuściła torbę, przykładając dłonie do jego policzków i czoła. Usiłował się wyrwać, lecz przytrzymała mu głowę rękoma, kciukami uniosła powieki, zajrzała mu w oczy i coś do siebie mruknęła. Pomimo drobnej postury, nie sprawiło jej to większych trudności, nigdy nie było łatwo wyrwać się Nynaeve, jeśli ona sobie tego nie życzyła.

— Nie rozumiem — powiedziała w końcu. Uwolniła go i przysiadła z powrotem na piętach. — Gdyby to była gorączka żółtych oczu, to nie dałbyś rady ustać. Ty jednak nie masz gorączki, a twoje białka nie są żółte, tylko tęczówki.

— Żółte? — powiedziała Moiraine, a Perrin i Nynaeve aż podskoczyli w miejscu.

Aes Sedai podeszła do nich zupełnie bezszelestnie. Perrin widział, że Egwene śpi przy ognisku, otulona w swój płaszcz. Jego powieki również opadały ciężko.

— To nic takiego — powiedział. Moiraine jednak ujęła jego podbródek, uniosła twarz i zajrzała w oczy w taki sam sposób, w jaki zrobiła to Nynaeve. Szarpnął się, cały zjeżony. Obydwie kobiety traktowały go tak, jakby był dzieckiem. — Powiedziałem, że to nic takiego.

— To nie zostało przepowiedziane — rzekła Moiraine, jakby wyłącznie do siebie. Jej wzrok utkwiony był w punkt gdzieś za jego plecami. — Utknęło się, bo takie było zrządzenie, czy też to jakaś zmiana we Wzorze? Jeśli zmiana, to kto ją wprowadził? Koło obraca się tak, jak chce. Tak być musi.

— Czy wiesz, co to jest? — spytała z niechęcią Nynaeve, a po chwili wahania dodała: — Czy możesz coś z nim zrobić? Za pomocą twego Uzdrawiania?

Ta prośba o pomoc, przyznanie się, że ona nie potrafi nic zrobić, została z niej jakby wywleczona przemocą.

Perrin spojrzał spode łba na obydwie kobiety.

— Jeśli macie zamiar rozmawiać o mnie, to rozmawiajcie ze mną. Siedzę przecież tutaj.

Żadna nie spojrzała na niego.

— Uzdrawianie? — Moiraine uśmiechnęła się. — Uzdrawianie nic tu nie pomoże. To nie jest choroba i nie... — Na moment się zawahała. Obrzuciła przy tym Perrina przelotnym spojrzeniem, w jej wzroku był żal, jakby zrozumiała, że zbyt dużo już się stało. Perrin zdał sobie sprawę, iż uczucie to nie jest przeznaczone dla niego, mruknął więc tylko coś gorzkim tonem. Moiraine jednak zwróciła się na powrót do Nynaeve. — Chciałam powiedzieć, że nic mu się przez to nie stanie, kto jednak może stwierdzić, jak to się wszystko skończy? Na pewno jednak nic mu nie grozi bezpośrednio.

Nynaeve wstała, otrzepała kolana i spojrzała Aes Sedai prosto w oczy.

— To nie wystarczy. Co jest z...

— Jest jak jest. Nie da się zmienić tego, co już zostało utkane. — Moiraine odwróciła się niespodzianie. — Póki można, musimy się przespać, by ruszyć w drogę wraz z pierwszym brzaskiem. Jeśli siła dłoni Czarnego będzie wciąż rosła.... Musimy jak najszybciej dotrzeć do Caemlyn.

Nynaeve ze złością chwyciła swą torbę i odeszła, nim Perrin zdążył coś powiedzieć. Już miał warknąć jakieś przekleństwo, gdy nagle pewna myśl uderzyła go niczym cios i wtedy znieruchomiał, w milczeniu wytrzeszczając oczy. Moiraine wiedziała. Aes Sedai wiedziała o wilkach. I jej zdaniem mogła to być sprawka Czarnego. Przeszył go dreszcz. Pośpiesznie naciągnął na siebie koszulę, wepchnął ją niezgrabnie w spodnie, a na to włożył kaftan i płaszcz. Ubranie niezbyt pomagało, czuł, że dreszcz przenika go do kości, szpik zmienił się w zastygłą galaretę.

Lan usiadł przed nim na ziemi i krzyżując nogi odrzucił połę swego płaszcza. Perrina to ucieszyło. Nieprzyjemne było, że Strażnik unikał jego wzroku.

Przez chwilę patrzyli na siebie zwyczajnie. Twarde rysy twarzy Strażnika pozostały nieprzeniknione, lecz w jego wzroku Perrin dostrzegł... coś. Współczucie? Ciekawość? Mieszanie jednego i drugiego?

— Wiesz? — spytał, a Lan skinął głową.

— Wiem trochę, nie wszystko. Spotkało cię to niespodzianie, czy też spotkałeś przewodnika, kogoś kto pośredniczył?

— Spotkałem pewnego człowieka — wolno powiedział Perrin.

„On wie, ale czy myśli o tym w taki sam sposób jak Moiraine?”

— Powiedział, że nazywa się Elyas. Elyas Machera. — Lan zrobił głęboki wdech, Perrin spojrzał na niego przenikliwie. — Znasz go?

— Znałem. Wiele mnie nauczył, o Ugorze i o tym. — Lan dotknął rękojeści swego miecza. — Był Strażnikiem, zanim... zanim to się stało. Czerwone Ajah...

Zerknął na Moiraine leżącą przy ogniu.

Perrin zdumiał się, odkąd pamiętał, Strażnik nigdy nie pozwalał sobie na zdradzenie uczucia niepewności. W Shadar Logoth był pewny i silny, wtedy gdy stawiał czoło Pomorom i trollokom. Nie bał się w tej chwili niczego — tego Perrin był pewien — jednakże uważał, by nie powiedzieć za dużo. Jakby to, co powie, mogło być niebezpieczne.

— Słyszałem o Czerwonych Ajah — powiedział Lanowi.

— I większość tego co słyszałeś, jest nieprawdą, nie ma wątpliwości. Musisz pojąć, że są... pewne frakcje w Tar Valon. Jedne walczą z Czarnym tak, pozostałe inaczej. Cel jest ten sam, lecz różnice... różnice mogą oznaczać zmianę albo kres życia. Życia poszczególnych ludzi albo całych narodów. Czy Elyas jest zdrów?

— Tak myślę. Białe Płaszczce powiedziały, że go zabiły, jednak Łatka... — Perrin zerknął niepewnie na Strażnika. — Nie wiem. — Ponieważ Lan wyglądał tak, jakby uwierzył, że Perrin rzeczywiście nie wie, ośmieliło go to i mówił dalej. — To porozumiewanie się z wilkami. Moiraine chyba myśli, że to coś... coś, co zrobił Czarny. Nie jest tak, prawda?

Nie potrafił uwierzyć, że Elyas może być. Sprzymierzeńcem Ciemności.

Lan jednak się wahał, a na twarz Perrina wystąpił pot, paciorki chłodu, które noc oziębiała jeszcze bardziej. Zanim Strażnik się odezwał, zdążyły spłynąć po policzkach.

— Nie bezpośrednio. Niektórzy tak myślą, ale się mylą, to się stało dawno, i dawno zostało zapomniane, jeszcze zanim pojawił się Czarny. Ale taki zbieg okoliczności, kowalu? Czasami we Wzorze są elementy przypadkowe... przynajmniej tak nam się wydaje... ale cóż za przypadek kazał ci spotkać właśnie tego człowieka, który mógł cię wprowadzić? Wzór tworzy Wielki Splot, który jedni nazywają Koronką Wieków, a wy chłopcy stanowicie jej centrum. Myślę, że teraz w waszym życiu nie ma już raczej miejsca na przypadek. Czy zatem zostaliście wybrani? A jeśli tak, to przez Światłość czy przez Cień?

— Czarny nie może nas dotknąć, o ile nie wymówimy jego imienia. — Mówiąc to Perrin natychmiast przypomniał sobie sny o Ba'alzamonie, sny, które były czymś więcej niż snami. Otarł pot z twarzy. — Nie może.

— Uparty jesteś i twardy jak skała — zadumał się Strażnik. — Może tak uparty, że ostatecznie sam się uratujesz. Pamiętaj, w jakich czasach żyjemy, kowalu. Pamiętaj o tym, co powiedziała wam Moiraine Sedai. W dzisiejszych czasach wiele rzeczy niszczy i rozpada się. Stare bariery słabną, stare mury kruszeją. Zapory między tym, co jest i tym, co było, między tym, co jest i tym, co będzie. — Jego głos stał się ponury. — Mury więzienia Czarnego. To może być koniec Wieku. Być może jeszcze przed śmiercią ujrzymy narodziny nowego Wieku. A może jest to koniec wszystkich Wieków, koniec samego czasu. Koniec świata. — Uśmiechnął się niespodzianie, lecz jego uśmiech był ponury jak grymas, oczy roziskrzył wisielczy uśmiech. — Jednak nie nam się tym martwić, prawda kowalu? Będziemy walczyć z Cieniem, dopóki nam starczy oddechu, a jeśli on nas pokona, będziemy gryźć i drapać. Wy, ludzie z Dwu Rzek, jesteście zbyt uparci, żeby się poddać. Nie martwcie się, że Czarny wtrącił się do waszego życia. Jesteście teraz na nowo wśród przyjaciół. Pamiętajcie, że Koło obraca się tak, jak chce, i nawet Czarny nie może tego zmienić, nie wtedy, gdy opiekuje się wami Moiraine. Lepiej jednak, abyśmy jak najszybciej odnaleźli waszych przyjaciół.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— Nie chroni ich żadna Aes Sedai dotykająca Prawdziwego Źródła. Kowalu, być może mury osłabły dostatecznie, by sam Czarny mógł pokierować wydarzeniami. Nie swobodną dłońią, bo inaczej byłoby już po nas, lecz dokonując drobnych przesunięć w pasmach. Przypadek wyłaniający się z jednego kąta zamiast z innego, jakies

przypadkowe spotkanie, przypadkowe słowo, albo coś, co wydaje się być zupełnie nieważne, a zawędrują tak daleko w Cień, że nawet Moiraine nie sprowadzi ich z powrotem.

— Musimy ich odnaleźć — powiedział Perrin, a Strażnik roześmiał się gardłowo.

— Przecież wciąż to powtarzam. Prześpij się trochę, kowalu. — Gdy wstawał, poły jego płaszcza zawirowały. W bladym świetle ogniska i księżycy sylwetka Lana zdawała się zlewać z zalegającymi dalej cieniami. — Zanim dotrzemy do Caemlyn, czeka nas kilka ciężkich dni. Módl się po prostu, żebyśmy ich tam znaleźli.

— Przecież Moiraine... może ich znaleźć wszędzie, prawda? Ona mówi, że może.

— Ale czy znajdzie ich na czas? Jeśli Czarny jest dostatecznie silny, by zacząć działać samodzielnie, znaczy to, że czas się skończył. Módl się, abyśmy ich znaleźli w Caemlyn, kowalu, bo inaczej wszystkich nas czeka zguba.

SPLOT ZADZIERZGA SIĘ

Rand przypatrywał się tłumom z wysokiego okna swej izdebki w „Błogosławieństwie Królowej”. Ludzie biegli z krzykiem przez ulice, wszyscy w jednym kierunku, wymachując proporcami i sztandarami. Po tysiackroć biały lew rozblyskiwał na czerwonym tle. Mieszkańcy Caemlyn i przybysze z innych ziem wędrowali zgodnie, dla odmiany tym razem nikt najwyraźniej nie miał ochoty rozbijać nikomu głowy. Dzień dzisiejszy, być może, był świętem jednej tylko frakcji.

Odwrócił się od okna z szerokim uśmiechem. To był właśnie ten dzień, którego od dawna nie mógł się doczekać. Pomijając oczywiście chwilę, gdy wreszcie pojawią się Egwene i Perrin, żywi, śmiejący się z tego, co widzieli. Żadne wydarzenie nie mogło go bardziej ucieszyć.

— Idziesz? — spytał raz jeszcze.

Mat, zwinięty na łóżku w ciasny kłębek, spojrział na niego spode łba.

— Weź ze sobą tego trolloka, z którym się tak zaprzyjaźniłeś.

— Krew i popioły, Mat, on nie jest trollokiem. Jesteś głupi jak but. Ile razy jeszcze chcesz się o to wykłócać? Światłości, zupełnie jakbyś nigdy nie słyszał o Ogirach.

— Nigdy nie słyszałem, żeby Ogiry wyglądały jak trolloki.

Mat wtulił twarz w poduszkę i zwinął się jeszcze ciaśniej.

— Głupi jak but — mruknął Rand. — Jak długo masz zamiar się tu ukrywać? Nie mam zamiaru wiecznie przynosić posiłków na górę. Poza tym przydałaby ci się kąpiel.

Mat rzucał się na łóżku, jakby próbował wygrzebać sobie w nim norkę. Rand westchnął i podszedł do drzwi.

— Ostatnia szansa, żebyśmy wyszli razem. Ja już idę. Otworzył powoli drzwi, mając nadzieję, że Mat zmieni zdanie, ale przyjaciel się nie poruszył. Drzwi zamknęły się z trzaskiem.

W korytarzu oparł się o framugę. Pan Gill powiedział, że dwie ulice dalej mieszka pewna staruszka, matka Grubb, która nie tylko odbiera porody, leczy chorych i przepowiada przyszłość, ale również sprzedaje zioła i kataplazmy. Wynikało z tego, że jest jakby rodzajem Wiedzącej. Mat potrzebował Nynaeve, albo może Moiraine, ale miał

pod ręką tylko matkę Grubb. Jednak sprowadzenie jej do „Błogosławieństwa Królowej” oznaczałoby ściąganie niepotrzebnej uwagi. Zarówno na nią, jak na nich obu.

Zielarze i znachorzy nie byli obecnie najlepiej notowani w Caemlyn, źle się wyrażano o tych, którzy uzdrawiali czy przepowiadali przyszłość. Każdej nocy, a czasami nawet za dnia, bez przeszkód malowano smocze kły. Kiedy podnosił się krzyk na Sprzymierzeńców Ciemności, ludzie łatwo zapominali, kto leczył ich gorączkę i bóle zębów. Takie nastroje panowały w mieście.

Mat nie był, w ścisłym tego słowa znaczeniu, chory. Jadł wszystko, co Rand przynosił z kuchni — choć nie przyjąłby niczego z cudzej ręki — i ani razu nie skarżył się na żadne bóle ani gorączkę. Po prostu odmówił wyjścia z pokoju. Jednak Rand był przekonany, że tego dnia wyciągnie go na zewnątrz.

Narzucił płaszcz na ramiona i przesunął pas, dzięki czemu owinięty czerwoną tkaniną miecz był lepiej ukryty.

U stóp schodów spotkał pana Gilla, który właśnie wchodził na górę.

— Ktoś się o was wypytywał na mieście — powiedział karczmarz, nie wyjmując fajki z ust.

Rand poczuł przypływ nadziei.

— Pytał o ciebie i twoich przyjaciół, nazywając was po imieniu. W każdym razie chodziło mu o was, młodych. Wydaje się, że przede wszystkim interesowało go trzech chłopców.

Nadzieja ustąpiła miejsca niepokoju.

— Kto to był? — spytał Rand.

Wciąż nie mógł się powstrzymać, by nie toczyć wzrokiem po korytarzu. Od wyjścia na aleję aż po drzwi do ogólnej izby nie było w nim nikogo prócz ich dwóch.

— Nie znam jego imienia. Tylko o nim słyszałem. Ja tu słyszę o wszystkim, co się dzieje w Caemlyn. Jakiś żebrak.

Karczmarz kaszlnął.

— Podobno lekko szalony. Jednak potrafił przyjąć Dar Królowej w Pałacu, mimo że to teraz bardzo trudne. Podczas Dni Jej Wysokości Królowa rozdaje go własnoręcznie i nigdy nikomu go nie odmówiono z żadnego powodu. Nikt nie musi żebrać w Caemlyn. Nawet człowiek, na którego jest nakaz, nie może zostać aresztowany, jeśli przyjmuje Dar Królowej.

— Sprzymierzeniec Ciemności? — spytał z niechęcią Rand.

„Jeśli Sprzymierzeńcy znają nasze imiona...”

— Strasznie cię dręczą ci Sprzymierzeńcy Ciemności, młody człowieku. Kręcą się tu, nie ma wątpliwości, ale tylko dlatego, że Białe Płaszczce narobiły takiego zamieszania, nie ma powodu myśleć, że całe miasto jest ich pełne. Czy wiesz, o czym ci idioci ostatnio rozpowiadali? O „dziwnych postaciach.” Dasz temu wiarę? Dziwne postacie, które niby kręcą się nocą wokół miasta.

Karczmarz śmiał się tak, że aż mu się brzuch trząsał.

Randowi nie było skoro do śmiechu. Hyam Kinch mówił o dziwnych postaciach, bez wątpienia widzieli również Pomora.

— Jakie to postacie?

— Jakie postacie? Nie wiem, jakie. Dziwne. Podobnież trolloki. Człowiek Cień. Sam Lews Therin Zabójca Rodu, wrócił i ma pięćdziesiąt stóp wzrostu. Jak myślisz, jakie postacie wymyślą sobie ludzie, kiedy wbić im taki pomysł do głowy? To nie twoje zmartwienie.

Pan Gill przyglądał mu się uważnie przez chwilę.

— Wychodzisz, prawda? Cóż, nie powiem, żeby mnie to obchodziło, nawet w taki dzień, ale oprócz mnie mało kto został dziś w karczmie. Bez przyjaciela?

— Mat nie czuje się najlepiej. Może później.

— Cóż, niech i tak będzie. A ty się pilnuj. Nawet dzisiaj dobrzy poddani Królowej będą w mniejszości, Światłości, niech szczególnie ten dzień, kiedy muszę na coś takiego w ogóle patrzeć. Najlepiej wyjdź bocznym wyjściem. Po drugiej stronie ulicy siedzą ci dwaj przekłęci zdrajcy i obserwują moje drzwi. Wiedzą, na jakim stanowisku stoję, na Światłość!

Rand wytknął głowę na zewnątrz i rozejrzał w obydwie strony, zanim wyslizgnął się w boczną uliczkę. W miejscu, w którym łączyła się z główną ulicą, stał zwały mężczyzna wynajęty przez pana Gilla. Wsparty na włócznie, demonstrując pozorny brak zainteresowania, obserwował przebiegających obok ludzi. Rand wiedział, że to tylko pozór. Mężczyzna — nazywał się Lamgwin — widział wszystko swymi skrytymi za ciężkimi powiekami oczyma, a pomimo mylącej ociążałości umiał poruszać się jak kot. Co więcej, uważał, iż Królowa Morgase jest ucieleśnieniem Światłości lub czymś nieskończenie do niego zbliżonym. Kilkunastu ludzi, takich jak on, trzymało wartę dookoła „Błogosławieństwa Królowej”.

Ucho Lamgwina zadrgało, gdy Rand dotarł do wylotu uliczki, lecz ani na moment nie oderwał pozornie nic nie widzącego wzroku od ulicy. Rand wiedział, że mężczyzna usłyszał jego kroki.

— Pilnuj dziś swego grzbietu, człowieku — brzmienie głosu Lamgwina przypominało żwir przesypujący się po patelni. — Jak się zaczną kłopoty, bardziej przydasz się tutaj, niż w jakimś rysztołu z nożem w plecach.

Rand zerknął na rosłego mężczyznę, niemo wyrażając zdumienie. Cały czas się starał, by jego miecz nie rzucał się w oczy, a mimo to nie po raz pierwszy któryś z ludzi pana Gilla uznawał, iż ma on doświadczenie w walce. Lamgwin nie spojrział więcej na niego. Jego zadaniem było strzec karczmy i wywiązywał się z niego sumiennie.

Dokładniej otulił miecz płaszczem i włączył się w strumień ludzi. Zauważył dwóch mężczyzn, o których wspomniał karczmarz. Stali na przewróconych do góry dnem

beczkach po drugiej stronie ulicy, skąd mogli obserwować tłum. Uznał, że nie zauważyli go, jak wychodził z uliczki. Ich przynależność nie budziła najmniejszych wątpliwości. Miecze spowijała biała tkanina obwiązana czerwonymi sznurkami, identyczny kolor miały opaski na rękawach i kokardy przyczepione do kapeluszy.

Nawet po tak krótkim pobycie w Caemlyn wiedział, że czerwona osłona na mieczu, względnie czerwona opaska albo kokarda, oznacza wyraz poparcia dla Królowej Morgase. Biali natomiast twierdzili, że to właśnie Królową, a w szczególności jej związki z Aes Sedai i Tar Valon obarczyć należy winą za wszelkie zło. Włącznie ze złą pogodą i nieudanymi zbiorami. Być może nawet przypisywano jej odpowiedzialność za pojawienie się fałszywego Smoka.

Nie chciał się mieszać do polityki Caemlyn. Tyle że teraz było na to za późno. Po pierwsze, dlatego że już się opowiedział po jednej ze stron — przypadkiem, bo przypadkiem, ale zawsze. Nadto sprawy w mieście przybrały taki obrót, iż zachowanie neutralności było niemożliwe. Nawet przybysze z zewnątrz nosili kokardy i opaski, albo w określony sposób owijali swoje miecze. Biel przeważała. Może nawet niektórzy w głębi ducha myśleli inaczej, jednakże znajdowali się daleko od własnych domów, a w Caemlyn takie właśnie nastroje dominowały. Zwolennicy Królowej, o ile w ogóle odważyli się wyjść na miasto, czynili to zawsze w grupie.

Tego dnia jednak było inaczej. Przynajmniej na pozór. Dzisiaj Caemlyn świętowało zwycięstwo Światłości nad Cieniem. Do miasta sprowadzano fałszywego Smoka, aby go zaprezentować Królowej przed zabraniem na północ, do Tar Valon.

O tym aspekcie całej sprawy nie mówiono. Wprawdzie nikt prócz Aes Sedai nie mógł się zająć człowiekiem, który prawdziwie władał Jedyną Mocą, wszyscy jednak pomijali to milczeniem. Światłość pokonała Cień. Dzisiaj tylko to się liczyło. Dziś można było zapomnieć o całej reszcie.

„Czy na pewno?” — zastanawiał się Rand.

Po ulicach uganiały się tłumy ludzi wznoszących pieśni, wymachujących sztandarami, roześmianych, a jednak ci, którzy nosili czerwień, trzymali się razem w dziesięcio- albo dwudziestoosobowych grupach, nie było wśród nich ani kobiet, ani dzieci. Zauważył, że na każdego człowieka demonstrującego poparcie dla Królowej przypada co najmniej dziesięciu ludzi obnoszących biel. Nie po raz pierwszy żałował, że białe sukna nie jest tańsze.

„Czy jednak pan Gill pomógłby ci, gdybyś wtedy kupił biel?”

Tłum był tak gęsty, że chcąc nie chcąc trzeba się było przepychać. Nawet Białym Płaszczom nie udostępniano zwykłej przestrzeni w takim ścisku. Rand pozwalał tłumowi nieść się w stronę Wewnętrznego Miasta, widząc po drodze, że bynajmniej nie wszystkie animozje zostały okiełznane. Był świadkiem, jak pewien Syn Światłości, jeden z trzysobowego oddziału, omal nie upadł, gdy ktoś całym ciałem wpadł na niego.

Potrącony ledwie odzyskał równowagę, już miał gniewnie zrugać człowieka, który go potrącił, lecz w tym momencie ktoś inny pchnął go umyślnie wyciągniętym ramieniem. Zanim sprawy zdążyły zajść za daleko, pozostali Synowie Światłości odciągnęli go na bok i schronili się w czyichś drzwiach. Cała trójka popadła w stan całkowitego osłupienia, w takiej sytuacji zwykły pogardliwy wzrok, jakim obdarzali otoczenie, był nie na miejscu, zamarli więc, niedowierzając własnym oczom. Tłum płynął dalej, jakby nikt niczego nie zauważył, może zresztą i tak było.

Jeszcze dwa dni wcześniej nic takiego nie mogłoby się wydarzyć. Co więcej, jak zauważył Rand, ludzie, którzy spowodowali incydent, nosili białe kokardy na kapeluszach. Powszechnie uważano, że Białe Płaszczki wspierają przeciwników Królowej i doradzającej jej Aes Sedai, w tym jednak przypadku to nie miało znaczenia. Ludzie robili rzeczy, które wcześniej nie przysłyby im do głowy. Dziś potrącali Białe Płaszczki. Jutro być może obalą Królową. Nagle pożałował, że nie ma przy nim innych ludzi noszących czerwień, popychany przez białe kokardy i opaski, poczuł się raptem bardzo samotny.

Synowie Światłości zauważyli, że na nich patrzy i wbili w niego wzrok, z którego była odpowiedź na wyzwanie. Pozwolił, by rozśpiewany krąg w tłumie wypchnął go poza zasięg ich oczu i razem z innymi podjął pieśń.

*Naprzód, Lwie,
Naprzód, Lwie,
Biały Lew do walki staje.
Cieniowi opiera się swym gniewem.
Naprzód, Lwie,
Naprzód, Andorze zwycięski.*

Trasa, którą fałszywy Smok miał zostać wprowadzony do Caemlyn, była dobrze znana. Dostępu do tych ulic broniły zwarte szeregi Gwardii Królowej oraz ubranych na czerwono pikinierów, wszędzie jednak za nimi cisnęli się stojący ramię w ramię ludzie, okna i dachy były pełne. Rand przepychał się w stronę Wewnętrznego Miasta, usiłując dotrzeć jak najbliżej do Pałacu. Miał niemałą ochotę zobaczyć, jak będą pokazywali Logaina Królowej. Zobaczyć fałszywego Smoka i Królową, oboje... w domu nigdy nawet nie marzył o czymś takim.

Wewnętrzne Miasto zostało wzniesione na wzgórzach, jeszcze dziś widoczne w nim były ślady po tym, co zbudowali Ogirowie. O ile w Nowym Mieście ulice przeważnie rozbiegały się we wszystkich możliwych kierunkach, tworząc wariacką płataninę, to tutaj nakładały się na krzywizny wzgórz, jakby stanowiły naturalną część krajobrazu. Za każdym zakrętem zamasyście wzniesienia i spadki przynosiły zupełnie nowe,

zaskakujące widoki. Parki, widziane z najrozmaitszych perspektyw, nawet z góry, pełne były pieszczących oko układów ścieżek i pomników, choć ledwie tknięte zielenią. Niespodzianie wyrastające wieże, mozaikowe mury połyskujące w słońcu setkami zmieniających się barw. Nagłe wzniesienia, z których wzrok obejmował całe miasto, łącznie z otaczającymi je lekko pofałdowanymi równinami i lasami. Krótko mówiąc, byłoby na co popatrzeć, gdyby nie tłum, który kazał mu przyśpieszać kroku, zanim zdążył lepiej się czemuś przyjrzeć. I wszystkie te kręte uliczki, które przesłaniały dalszą perspektywę.

Nagle przegnano go przez jakiś zakręt, za nim stał już Pałac. Ulice, mimo iż biegły zgodnie z naturalnym ukształtowaniem terenu, zostały wytyczone w taki sposób, że spiralnie oplatały budowlę — marzenie poety o jasnych iglicach, złotych kopułach i kunsztownych kamiennych maswerkach, o sztandarach Andoru powiewających z każdego wystającego elementu, o ozdobie ozdób, której podporządkowano wszystkie inne widoki. Pałac był dziełem artysty, wyrzeźbionym raczej, niżli zbudowanym jak zwykłe domy.

Na pierwszy rzut oka zrozumiał, że bliżej podejść się nie da. Nikogo nie dopuszczano do samego Pałacu. Obu stron pałacowych bram strzegły dwa purpurowe szeregi Gwardii Pałacowej, w każdym dziesięciu ludzi. Gwardziści stali także na szczytach białych murów, na wysokich balkonach i wieżach, z łukami idealnie równo przecinającymi uzbrojone piersi. Oni również wyglądali jak element poetyckiej opowieści — gwardia honorowa. Rand jednak nie sądził, iż tylko dlatego tam stoją. Zgiełkliwy tłum, zalegający ulice, tworzył nieomal lity mur osłoniętych białą mieczy, białych opasek i białych kokard, tu i ówdzie przerwany przez narośl czerwieni. Bariera utworzona przez umundurowanych na czerwono gwardzistów w tym zalewie bieli wyglądała niezwykle krucho.

Rezygnując z dalszego torowania sobie drogi w kierunku Pałacu, wyszukał miejsce, w którym mógł skorzystać ze swojego wzrostu. Nie musiał stać w pierwszym rzędzie, żeby wszystko widzieć. Tłum bezustannie się przemieszczał, jedni usiłovali dopchać się do czoła, inni pośpiesznie przechodzili na bok, do lepszego, ich zdaniem, punktu obserwacyjnego. Po jednym z takich przetasowań zaledwie trzech ludzi dzieliło go od pustej przestrzeni na środku ulicy, wszyscy stojący przed nim byli niższego wzrostu, łącznie z pikinierami. Prawie wszyscy byli niższego wzrostu. Ludzie napierali na niego z obu stron, spoceni w obecności tyłu ciał. Stojący za nim szemrali gniewnie, że nic nie widzą i usiłovali precyzyjnie się do przodu. Nie dawał się ruszyć z miejsca, tworząc razem z otaczającymi go z boków ludźmi szczelny mur. Był zadowolony. Kiedy powiozą fałszywego Smoka, będzie dostatecznie blisko, by móc wyraźnie zobaczyć twarz tego człowieka.

Przez ulicę, a potem dalej, w stronę bram Nowego Miasta, po zwartym tłumie przeszła fala; skłębieni wokół zakrętu ludzie rozstępowali się, by coś przepuścić. Nie była to ta

pusta przestrzeń, która we wszystkie inne dni towarzyszyła Białym Płaszczom. Ci ludzie uskakiwali gwałtownie w tył, z wyrazem zdumienia, który przeradzał się w grymas obrzydzenia. Ustupując miejsca, wchodzili na siebie i odwracali twarze od źródła tego zamętu, obserwując go jednak kątem oka dopóty, dopóki nie przeszedł dalej.

Stojący blisko niego również zauważyli to zamieszanie. Nastawiony na oglądanie przyjazdu Smoka, nie posiadający nic innego do roboty prócz czekania, motłoch szukał wszystkiego, co było warte choć komentarza. Słyszał, jak spekulują, kto to może być, począwszy od Aes Sedai, a skończywszy na samym Logainie, dotarło też do niego kilka bardziej dosadnych sugestii, które wywołały prostacki śmiech mężczyzn i zgorzone pociągnięcia nosem kobiet.

Fala przelewała się zakosami przez tłum, zbliżając się miarowo do środka ulicy. Nikt najwyraźniej się nie wahał, żeby ją przepuścić, nawet jeśli to oznaczało utratę dogodnego punktu obserwacyjnego, szła tam, gdzie chciała, a tłum przelewał się wgłąb siebie, cofając przed tymi, którzy ustępowali miejsca. Wreszcie, dokładnie po przeciwnej stronie od miejsca, w którym stał Rand, tłum wybrzuszył się w stronę środka ulicy, rozpychając szereg odzianych na czerwono pikinierów, którzy usiłowali wtłoczyć go z powrotem, lecz po chwili ulegli rozsypce. Zgarbiona postać, która wyczłapała niepewnie na otwartą przestrzeń, przypominała bardziej stos brudnych łachmanów niż człowieka. Rand słyszał dookoła siebie pomruki obrzydzenia.

Człowiek w łachmanach zatrzymał się po przeciwnej stronie ulicy, jego kaptur był rozerwany i sztywny od brudu. Kołysał się na boki, jakby czegoś szukał albo nasłuchiwał. Nagle wydał z siebie bezsłowny okrzyk i wyciągnął brudną szponiastą dłoń wskazując nią Randa. Zaraz potem podreptał na drugą stronę ulicy niczym spłoszony żuk.

„Żebrak”.

Nieważne, jakie licho pozwoliło temu człowiekowi go znaleźć, nieważne, czy był Sprzymierzeńcem Ciemności czy nie, Rand pojął nagle, że nie ma ochoty stanąć z nim twarzą w twarz. Wzrok żebraka oblepiał jego skórę, niczym woda zmieszana z tłuszczem. Zupełnie zaś nie miał ochoty, by ten człowiek podszedł do niego tutaj, w otoczeniu tych ludzi zdolnych lada chwila do przemocy. Te same głosy, które dopiero co zносиły się śmiechem, obrzuciły go przekleństwami, gdy przepychał się do tyłu, uciekając od ulicy.

Śpieszył się, wiedząc, że gęsto zbita masa, przez którą musi się przecisnąć, rozstąpi się przed plugawym żebrakiem. Torował sobie drogę przez tłum, a gdy uwolnił się z nienacka, zatoczył się i omal nie upadł. Młóćąc ramionami dla zachowania równowagi, zamienił swój chwiejny krok w bieg.

Ludzie pokazywali go sobie, był jedynym człowiekiem, który parł w przeciwnym kierunku i na dodatek biegł. Ścigały go okrzyki. Poły jego płaszcza wyduły się z tyłu za nim, odsłaniając owinięty w czerwień miecz. Zaczął biec jeszcze szybciej, gdy to zauważył. Samotny poplecznik Królowej, biegnący, mógł znakomicie ściągnąć na siebie

pościg motłochu ubranego w białe kokardy, nawet w taki dzień. Biegł, pokonując swymi długimi nogami kamienie brukowe ulicy. Dopiero wtedy, gdy okrzyki pozostały daleko za nim, ciężko zdyszany odważył się rzucić bezwładnie na jakiś mur.

Nie wiedział, gdzie się znajduje, oprócz tego, że nadal jest w Wewnętrznym Mieście. Nie mógł sobie przypomnieć, ile zakrętów i zaułków pokonał wśród tego galimatiasu ulic. Wążąc pomysł dalszego biegu, obejrzał się na drogę, która go tu przywiodła. Tylko jedna osoba poruszała się po tej ulicy, jakaś kobieta z koszykiem na zakupy, wędrująca spokojnym krokiem. Prawie wszyscy w mieście zgromadzili się w tłumie, chcąc przez chwilę oglądać fałszywego Smoka.

„Nie mógł za mną pobiec. Na pewno go zgubiłem.”

Żebrak nie zrezygnuje, był tego pewien, choć nie miał pojęcia, na jakiej podstawie. W tej chwili obdartus przepycha się przez tłum i dalej szuka. Jeśli Rand zawróci, by zobaczyć Logaina, narazi się na ryzyko spotkania. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie wrócić do „Błogosławieństwa Królowej”, był jednak przekonany, że już nigdy nie będzie miał drugiej okazji zobaczyć Królowej i jak miał nadzieję, nigdy innej, żeby zobaczyć fałszywego Smoka. To wyglądało na tchórzostwo, że tak się godzi, by jakiś garbaty żebrak, choćby nawet Sprzymierzeniec Ciemności, zmuszał go do ukrywania się przed jego pościgiem.

Niepewny, co zrobić, rozejrzał się dookoła. Zgodnie z planem, na podstawie którego pobudowano Wewnętrzne Miasto, wszelkie budynki, jakie w nim w ogóle postawiono, były niskie, dzięki czemu komuś, kto stanął w odpowiednim miejscu, nic nie było w stanie zakłócić widoku. Muszą być gdzieś jakieś stanowiska, z których dałoby się obejrzeć przejście procesji z fałszywym Smokiem. Nawet jeśli nie będzie mógł zobaczyć Królowej, uda mu się zobaczyć Logaina. Nagle, zdeterminowany ruszył z miejsca.

Po godzinie znalazł kilka takich miejsc, wszystkie co do jednego zatłoczone ludźmi stojącymi głowa przy głowie, którzy nie chcieli dać się zmiażdżyć na trasie przejścia procesji. Tworzyli gęsty mur białych kokard i opasek. Nie było wśród nich żadnej czerwieni. Rozumiejąc, co widok jego miecza mógłby wywołać w takim tłumie, umykał przed nim pośpiesznie.

Z Nowego Miasta wznosiły się ku niebu okrzyki, zawołania, brzmienie trąb, wojenne bicie w bębny. Logain i jego eskorta znajdowali się w Caemlyn, kierowali się już do Pałacu.

Zniechęcony przewędrował wszystkie puste ulice, bez specjalnego przekonania, lecz wciąż jeszcze licząc, że uda mu się znaleźć jakiś sposób na zobaczenie Logaina. Jego wzrok padł na zbocze, na którym nie stały żadne budynki. Wznosiło się ono nad ulicą, którą właśnie szedł. Podczas normalnej wiosny pokrywałby je kobierzec kwiatów i trawy, teraz jednak było zupełnie zbrunatniałe, aż po wysoki mur na jego szczycie, mur ponad którym wystawały wierzchołki drzew.

Ta część ulicy nie prezentowała żadnego olśniewającego widoku, natomiast w oddali, ponad dachami widział iglice Pałacu, z wierzchołków których łopotały sztandary z Białym Lwem. Nie był dokładnie pewien, dokąd ta ulica wiedzie, od miejsca, w którym okrążała wzgórze i ginęła z zasięgu jego wzroku, lecz nagle wpadł mu do głowy pewien pomysł w związku z murem na szczycie zbocza.

Bębny i trąbki były coraz bliżej, okrzyki rosły w siłę. Pełen napięcia wspiał się po zboczu. Nie nadawało się wprawdzie do wspinaczki, lecz wbijał mocno buty w martwą glebę i podciągał się, czepiając nagich zarośli. Dysząc, nie tylko z wysiłku, ale również z przepełniających go chęci, ostatecznie jardy pokonał czołgając się. Stojący przed nim mur był wyższy od niego co najmniej dwukrotnie, a może i więcej. Powietrze tętniło od uderzeń w bębny, wibrowało głosami trąb.

Mur zbudowano z kamienia ociosanego w postaci ogromnych bloków, dopasowanych do siebie tak dobrze, że spoiny były nieomal niewidoczne, a dzięki chropowatej powierzchni wydawało się, że jest to naturalne skalne zbocze. Rand uśmiechnął się szeroko. Zbocza Piaskowych Wzgórz były wyższe, a nawet Perrin potrafił się na nie wspiąć. Jego dłonie znalazły zgrubienia w skale, obute stopy natrafiły na wystające krawędzie. Rytm bębnów ścigał się z jego wspinaczką. Nie chciał pozwolić, żeby z nim wygrały. Dotrze do szczytu, zanim one dotrą do Pałacu. Z pośpiechu otarł sobie dłonie i kolana, nie mniej jednak w końcu przewiesił ręce przez szczyt muru i podźwignął się do góry, czując, jak przepełnia go triumf.

Pośpiesznie okręcił się, by usiąść na płaskim, wąskim szczycie muru. Tuż nad jego głową zwisały gałęzie dużo wyższego drzewa, pokryte liśćmi, lecz zupełnie ich nie zauważał. Przed nim rozciągały się kryte dachówkami dachy, lecz linię wzroku miał niczym nie zasłoniętą. Wychylił się trochę i zobaczył bramę Pałacu, ustawioną tam Gwardię Królowej i wyczekujący tłum. Wyczekujący. Ludzkie okrzyki ginęły w łomocie bębnów i trąbek, lecz wszyscy jeszcze czekali. Uśmiechnął się szeroko.

„Wygrałem.”

Dokładnie w chwili gdy sadowił się wygodnie, czoło procesji pokonało ostatni zakręt przed Pałacem. Na samym początku maszerowało dwadzieścia szeregów trębaczy, rozdzierających powietrze fanfarami zwycięstwa, jedną triumfalną salwą za drugą. Za nimi grzmiało tyleż samo doboszy. Po nich szły sztandary Caemlyn, białe lwy na czerwonym polu, niesione przez ludzi na koniach, za którymi podążali żołnierze Caemlyn, kolejne szeregi jeźdźców w połyskliwych zbrojach, z dumnie uniesionymi lancami, na czubkach których powiewały szkarłatne proporce. Z obu stron towarzyszyły im potrójne szeregi pikinierów i łuczników i razem maszerowali tak w nieskończoność, dopóki jeźdźcy nie zaczęli mijać gwardzistów i bram Pałacu.

Ostatni pieszy żołnierz pokonał zakręt i za nim ukazał się wielki wóz. Ciągnęło go szesnaście koni zaprzężonych czwórkami. Na samym środku płaskiej platformy

stała wielka żelazna klatka, a we wszystkich rogach wozu siedziały po dwie kobiety, obserwujące klatkę z taką uwagą, jakby ta procesja i ten tłum nie istniały. Aes Sedai! Nie miał wątpliwości. Na odcinku dzielącym wóz od piechurów, a także po obu stronach wozu jechało po dwunastu Strażników, przyciągających wzrok swymi rozwianymi płaszczami. O ile Aes Sedai ignorowały tłum, to Strażnicy omiatali go wzrokiem w taki sposób, jakby nie było tu żadnych innych straży oprócz nich.

Wśród tego wszystkiego wzrok Randa przykuwał przede wszystkim mężczyzna zamknięty w klatce. Nie był dostatecznie blisko, by widzieć twarz Logaina tak dokładnie jak chciał, pomyślał jednak, że tylko na taką bliskość mógł się powążyć. Fałszywy Smok był wysokim mężczyzną, o długich, ciemnych włosach opadających w puklach na szerokie ramiona. Mimo kołysania wozu trzymał się idealnie prosto, przytrzymując się jedną ręką prętów klatki ponad swoją głową. Jego ubiór wyglądał zwyczajnie, płaszcz, kaftan i spodnie, które w żadnej wiosce farmerskiej nie wywołałyby niczyjego komentarza. W odróżnieniu od sposobu, w jaki je nosił. W odróżnieniu od jego postawy. Logain był królem w każdym calu. Klatki równie dobrze mogło tam nie być. Stał prosto, z uniesioną wysoko głową i patrzył na tłumy w taki sposób, jakby one zgromadziły się tutaj, aby oddać mu hołd. A tam, gdzie padł jego wzrok, ludzie milkli i patrzyli na niego ze zgrozą. Gdy zaś Logain przestawał na nich patrzeć, podnosili krzyk ze zdwojoną furią, jakby chcieli nadrobić milczenie, lecz to w żaden sposób nie wpływało na postawę tego człowieka ani na towarzyszące mu milczenie. Kiedy wóz przetoczył się przez bramy Pałacu. Odwrócił się, by popatrzeć na zgromadzone masy. Zawyły w jego stronę, bez słów, zafalowały z czystej zwierzęcej nienawiści i strachu, a Logain odrzucił w tył głowę i zanosząc się śmiechem pozwolił, by pochłonał go Pałac.

Kolejne oddziały maszerowały za wozem, kolejne sztandary reprezentujące tych, którzy walczyli i pokonali fałszywego Smoka. Złote Pszczoły Illian, trzy Białe Półksiężycy Łzy, Wschodzące Słońce Cairhien, i jeszcze wiele, wiele innych, należących do krajów, miast i wielkich ludzi, ze swymi własnymi trąbami, własnymi bębnami, łomoczącymi na cześć ich splendoru. Po Logainie stanowiło to spory kontrast.

Rand wychylił się nieco do przodu, by po raz ostatni przyjrzeć się uwięzionemu w klatce mężczyźnie.

„Został pokonany, nieprawdaż? Światłości, nie siedziałby w tej przeklętej klatce, gdyby nie został pokonany?”

Straciwszy równowagę, ześlizgnął się i w ostatniej chwili przytrzymał szczytu muru. Podciągnął się z powrotem i wyszukał nieco bezpieczniejsze siedzisko. Gdy Logain zniknął z zasięgu wzroku, poczuł dopiero, że pieką go wnętrza dłoni i palce otarte o kamienie. Nie potrafił się jeszcze otrząsnąć po tym, co widział. Klatka i Aes Sedai. Logain, niepokonany. Pal licha klatkę, to nie był pokonany człowiek. Zadrżał i potarł rozpalone dłonie o uda.

— Czemu pilnują go Aes Sedai? — spytał na głos.

— Pilnują go, żeby nie dotknął Prawdziwego Źródła, ty głupi.

Nerwowo podniósł wzrok w stronę, skąd dobiegł go głos dziewczyny i nagle jego mało pewne siedzisko gdzieś zniknęło. Zdążył jeszcze pojąć, że koziółkuje w tył i spada, po czym coś go uderzyło w głowę, a roześmiany Logain ruszył za nim w pościg, w głąb wirującej ciemności.

SPLOT SIĘ ZACIEŚNIA

Randowi wydawało się, że siedzi przy stole razem z Logainem i Moiraine. Aes Sedai i fałszywy Smok przypatrywali mu się w milczeniu, każde z nich zdawało się nie widzieć tego drugiego. Nagle zauważył, że ściany izby stają się niewyraźne, że płowieją do szarej barwy. Przepęłnił go niepokój. Wszystko zanikało, zamazywało się. Kiedy znów spojrział w stronę stołu, zamiast Moiraine i Logaina siedział tam Ba'alzamon. Całe jego ciało wibrowało niepokojem, niepokój szumiał w głowie, z każdą chwilą coraz głośniej. Szum przeszedł w łomot krwi w uszach.

Usiadł gwałtownie i natychmiast z jękiem chwycił się za głowę, zakołysał. Bolała go cała czaszka, lewa dłoń natrafiła na kleistą wilgoć we włosach. Siedział na ziemi, na zielonej trawie. To go zaniepokoiło, lecz w głowie miał wir, a wszystko na co spojrział, chybotowało się. Mógł się tylko położyć i czekać, dopóki to wszystko nie ustanie.

„Mur! Głos dziewczyny!”

Wyprostował się, wsparłszy dłoń płasko na trawie, i wolno rozejrzał się dookoła. Musiał to zrobić powoli, bo kiedy próbował obrócić głowę szybko, wszystko na nowo zaczynało wirować. Był w jakimś ogrodzie albo parku, między kwitnącymi krzewami, rosnącymi w odległości sześciu stóp od niego, wił się tu wyłożony łupkami chodnik, obok stała ławka z białego kamienia, ocieniona liściastym drzewem. Spadł na drugą stronę muru.

„A co z dziewczyną!”

Znalazł drzewo, tuż obok, i ją też znalazł — schodziła z tego drzewa. Stała na ziemi i obróciła się do niego twarzą. Zamrugał i znowu jęknął. Na ramionach miała zarzuconą pelerynę z granatowego aksamitu, obrzeżoną jasnym futrem, kaptur peleryny sięgający jej do pasa był ozdobiony pękiem srebrnych dzwoneczków. Pobrzękiwały przy każdym ruchu. Długie złocistorude włosy spinał misterny diadem ze srebra, z uszu zwisały cieniutkie srebrne koła, a szyję oplatał naszyjnik z grubych srebrnych ogniów i ciemnozielonych kamieni, szmaragdów jak mu się zdawało. Jej błękitną suknię pokrywały ślady kory, pozostałe po wspinaczce na drzewo, ale i tak widać było, że to jedwab, który pracowita dłoń pokryła zawiłym haftem. Rozcięcia w spódnicy wypełniała

inna materia, o soczystej, kremowej barwie. W talii przepasana była szerokim pasem utkanym ze srebra, a spod rąbka sukni wyglądały aksamitne trzewiki.

Dotychczas widział tylko dwie kobiety ubrane na taką modłę, Moiraine i kobietę-Sprzymierzeńca Ciemności, która usiłowała zabić jego i Mata. Nie przychodziło mu do głowy, kto w takim ubraniu chciałby się wspinać po drzewach, był jednak pewien, że to jakaś ważna osoba. Wrażenie to pogłębił sposób, w jaki na niego patrzyła. Wyraźnie ani trochę się nie zaniepokoiła, że jakiś obcy wpadł zniecacka do jej ogrodu. Miała w sobie opanowanie, którym przypominała Nynaeve albo Moiraine.

Trapiąc się, czy przypadkiem nie narobił sobie jakichś kłopotów, czy ona nie jest przypadkiem kimś, kto może zawołać Gwardię Królowej, mimo że tego dnia Gwardia była zaprzętnięta innymi sprawami, dopiero po kilku chwilach wpatrywania się w ten wyszukany strój i wyniosłą postawę dostrzegł również samą dziewczynę. Była mniej więcej dwa lub trzy lata młodsza od niego, wysoka jak na swój wiek i urodziwa. Idealny owal twarzy otaczała burza promienistych loków, usta były pełne i czerwone, ledwie dawał wiarę, że mogą istnieć oczy tak błękitne. Wzrostem, twarzą i sylwetką różniła się krańcowo od Egwene, lecz dorównywała jej całkowicie urodą. Ukłuty poczuciem winy, natychmiast sobie powiedział, że zaprzeczanie świadectwu własnych oczu nie spowoduje, że Egwene dotrze bezpiecznie do Caemlyn choć krztynę wcześniej.

Z wyższej partii drzewa rozległ się odgłos drapania, posypały się kawałki kory, a zaraz potem na ziemię tuż obok dziewczyny zgrabnie zeskoczył jakiś chłopiec. Był od niej o głowę wyższy i odrobinę starszy, lecz twarz i włosy mówiły, że jest jej bliskim krewnym. Jego płaszcz i kaftan był uszyty z czerwieni, bieli i złota, pokrytych haftami i brokatem, jak na mężczyznę jeszcze zdobniejsze od jej stroju. To zwiększyło zaniepokojenie Randa. Zwykły człowiek ubrałby się tak tylko w świąteczny dzień, a w ogóle nigdy z takim przepychem. To nie był jakiś publiczny park. Oby tylko gwardziści mieli za dużo innych zajęć, by się kłopotać intruzami.

Chłopiec przypatrywał się Randowi ponad ramieniem dziewczyny, gładząc palcami sztylet wiszący u pasa. Wyglądało to bardziej na nerwowy nawyk niż na zapowiedź, że zaraz go użyje. Nie do końca jednak. Chłopiec miał w sobie to samo opanowanie jak dziewczyna i obydwójce patrzyli na niego tak, jakby był jakąś zagadką, którą trzeba rozwiązać. Rand miał dziwne uczucie, że dziewczyna kataloguje w nim wszystko, poczynając od stanu jego butów, a skończywszy na sfatygowanym płaszczu.

— Będziemy mieli za swoje, Elayne, kiedy matka się dowie — powiedział nagle chłopiec. — Kazała nam zostać w naszych komnatach, ale ty uparłaś się, żeby zobaczyć Logaina, prawda? Zobacz teraz, do czego nas to zawiodło.

— Cicho bądź, Gawyn. — Mimo że wyraźnie młodsza od nich obydwóch, przemawiała w taki sposób, jakby z góry zakładała, że on jej usłucha. Na twarzy chłopca widać było walkę, jakby chciał jeszcze coś dodać, lecz ku zdziwieniu Randa zachował milczenie. — Czy nic ci się nie stało? — spytała zniecacka.

Do Randa dopiero po chwili dotarło, że ona przemawia do niego. Pojawszy to, niezdarnie usiłował wstać.

— Nic mi nie jest. Ja tylko... — Zachwiał się i nogi się pod nim ugięły. Usiadł ciężko na ziemi, czując w głowie wir. — Zaraz wdrapię się z powrotem na mur — wybąkał.

Próbował znowu się podnieść, jednak ona położyła dłoń na jego ramieniu, przyciskając go do ziemi. Tak mu się kręciło w głowie, że lekki nacisk wystarczył, by przytrzymać go w miejscu.

— Jesteś ranny. — Ukłękła przy nim z gracją. Delikatnymi palcami rozsunęła sklezione krwią włosy na lewej skroni. — Pewnie uderzyłeś się o jakąś gałąź, kiedy spadałeś. Masz szczęście, jeśli nie skaleczyłeś czegoś więcej oprócz głowy. Chyba nie widziałam dotąd nikogo, kto by tak zręcznie wspinał się na drzewo, ale w spadaniu nie jesteś już taki dobry.

— Zakrwawisz sobie dłonie — zaprotestował, cofając się.

Przyciągnęła jego głowę stanowczym ruchem, tak by mogła ją wygodnie dotykać.

— Nie ruszaj się. — Nie rozkazywała, lecz w jej głosie znowu pojawiła się ta sama nuta domagająca się posłuszeństwa. — Nie wygląda to aż tak źle, Światłości niech będą dzięki. — Z wewnętrznej kieszeni płaszcza zaczęła wyjmować szereg małych fiolek i skrawków papieru, a na koniec zwój miękkiego bandaża. Wpatrywał się w tę kolekcję ze zdumieniem. Jego zdaniem takie przedmioty mogła nosić przy sobie jakaś Wiedząca, a nie ktoś w takim stroju. Zauważył, że pobrudziła sobie palce krwią, jednak bynajmniej się tym nie przejmowała. — Daj mi bukłak z wodą, Gawynie — rozkazała. — Muszę przemyć ranę.

Chłopiec, którego nazywała Gawynem, odczepił skórzany bukłak od pasa i wręczył go jej, po czym bez skrupowania przykucnął obok stóp Randa, z rękoma oplecionymi wokół kolan. Elayne wykonywała swoje czynności w wielce fachowy sposób. Nawet nie drgnął, kiedy poczuł ziąb wody, którą przemywała ranę jego czaszki. Ona tymczasem przytrzymywała go za czubek głowy, jakby się spodziewała, że on się jej wyrwie i cała praca na nic. Maść, którą potem go posmarowała, pochodząca z jednej z małych fiolek, uśmierzała ból tak samo, jak jedna z mikstur Nynaeve.

Gawyn uśmiechał się do niego, w czasie gdy ona pracowała, uspokajającym uśmiechem, jakby on również się spodziewał, że Rand się wyrwie, a może nawet ucieknie.

— Ona zawsze znajduje bezdomne koty i ptaki ze złamanymi skrzydłami. Jesteś pierwszą ludzką istotą, którą musiała się zająć. — Zawahał się i dodał: — Nie czuj się urażony. Nie nazywam ciebie przybłądą.

Nie były to przeprosiny, tylko stwierdzenie faktu.

— Nie obraziłem się — powiedział sztywno Rand. Tych dwoje traktowało go jak narowistego konia.

— Ona naprawdę wie, co robi — stwierdził Gawyn. — Miała najlepsze nauczycielki. Nie lękaj się więc, jesteś w dobrych rękach.

Elayne przyłożyła kawałek bandaża do jego skroni i wyciągnęła z za pasa jedwabną szarfę, niebiesko-kremowo-złotą. Dla każdej dziewczyny z Pola Emonda byłaby to strzeżona jak skarb rzecz noszona tylko od święta. Elayne zaczęła ją zręcznie owijać wokół jego głowy, by przytrzymać zwitek bandaża.

— Nie możesz tego tak użyć — zaprotestował.

Dalej owijała jego głowę.

— Powiedziałam ci, że masz się nie ruszać — odparła spokojnie.

Rand spojrzął na Gawyna.

— Czy ona zawsze się spodziewa, że każdy usłucha jej rozkazów?

Twarz młodego mężczyzny przeszył błysk zdumienia, a usta rozciągnęło rozbawienie.

— Zazwyczaj tak robi. I prawie zawsze wszyscy jej słuchają.

— Przytrzymaj to — powiedziała Elayne. — Przyłóż tu dłoń, kiedy będę wiązała... — Krzyknęła na widok jego rąk. — Nie zrobiłeś sobie tego przy upadku. To przez to, że wspinałeś się po tym, po czym nie było ci wolno. — Szybko zacisnęła supeł, obróciła jego dłonie wnętrzami do góry, mrużąc do siebie, że zostało już bardzo mało wody. Od przemywania piekły go otarcia, jednakże dotykała go zadziwiająco delikatnie. — Teraz się nie ruszaj — rzekła.

Pojawiła się znowu fiolka z maścią. Rozprowadziła ją cieniutką warstewką po zadrapaniach, wyraźnie bardzo się starając, by nie sprawić mu bólu podczas wcierania maści. Poczul chłód rozlewający się w jego rękach, jakby rozdzierała skaleczone miejsca.

— Na ogół wszyscy postępują tak, jak ona chce — ciągnął Gawyn z uśmiechem uwielbienia ponad jej głową. — Większość ludzi. Nie matka, oczywiście. Albo Elaida. Ani też Lini. Lini była jej niańką. Nie można wydawać rozkazów komuś, kto ci dawał lanie za podkradanie fig, gdy byłeś mały. I to nawet nie taki mały. — Elayne uniosła wysoko głowę, dzięki czemu mogła go obdarzyć spojrzeniem, w którym czaiła się groźba. Chrząknął i starannie zobojętniał na twarzy, zanim pośpiesznie zaczął mówić dalej. — I oczywiście Gareth. Nikt nie rozkazuje Garethowi.

— Nawet matka — dodała Elayne, pochylając głowę nad dłońmi Randa. — Ona proponuje, a on zawsze robi to, co ona proponuje, ale nigdy nie słyszałam, żeby mu rozkazywała. — Pokręciła głową.

— Nie wiem, dlaczego to cię zawsze dziwi — odpowiedział jej Gawyn. — Nawet ty nie próbujesz mówić Garethowi, co ma robić. Służył trzem Królowym jako Kapitan-Generał, a dla dwóch był Pierwszym Księciem Regentem. Ośmielę się stwierdzić, że zdaniem niektórych tutaj, jest bardziej symbolem Tronu Andor niż Królowa.

— Matka powinna się zdecydować i poślubić go powiedziała nieobecny tonem.
— Cała jej uwaga była skupiona na rękach Randa. — Przecież ona tego chce, tego przede mną nie ukryje. I to by rozwiązało tyle problemów.

Gawyn potrząsnął głową.

— Jedno z nich musi być tym pierwszym, które się ugnie. Matka nie może, a Gareth nie chce.

— Gdyby mu rozkazała...

— Posłuchałby. Tak myślę. Ale ona tego nie zrobi. Wiesz, że nie.

Nagle odwrócili się i spojrzeli na Randa. Miał wrażenie, że zapomnieli o jego obecności.

— Kim...? — Musiał umilknąć, by zwilżyć wargi. — Kim jest wasza matka?

Oczy Elayne rozszerzyły się ze zdumienia, za to Gawyn przemówił jak najzwyczajnym tonem, przez co jego słowa zabrzmiały tym bardziej wstrząsająco.

— Morgase, z łaski Światłości, Królowa Andoru, Protektorka Królestwa, Obrończyni Ludu, Głowa Dynastii Trakand.

— Królowa — wymamrotał Rand, czując jak szok przepływa przez niego falami odrętwienia. Przez chwilę myślał, że w jego głowie zbiera się na kolejne wirowanie.

„Nie przyciągaj uwagi. Wpadnij sobie po prostu do ogrodu Królowej i pozwól, by Dziedziczka Tronu opatrzyła twe skaleczenia jak jakaś znachorka.”

Miał ochotę się roześmiać i czuł, że to wynika z faktu, że jest na skraju paniki.

Zrobił głęboki wdech i pospiesznie poderwał się na nogi. Z całej siły poskramiał chęć ucieczki, mimo że cały był owładnięty pragnieniem, by stąd zniknąć, zniknąć, zanim ktokolwiek inny odkryje, że on tu jest.

Elayne i Gawyn przypatrywali mu się spokojnie, a kiedy podskoczył, podnieśli się z gracją, bez najmniejszego pośpiechu. Podniósł rękę, by zerwać szarfę z głowy, lecz Elayne chwyciła go za łokieć.

— Nie rób tego. Znowu zaczniesz krwawić. — Nadal mówiła opanowanym głosem, wciąż pewna, że on zrobi to, co ona mu każe.

— Muszę iść — powiedział Rand. — Po prostu wdrapię się z powrotem na mur i...

— Ty naprawdę nie wiedziałeś. — Po raz pierwszy wydawała się równie zdziwiona jak on. — Twierdzisz, że wspiąłeś się na ten mur, by zobaczyć Logaina nie wiedząc nawet, gdzie jesteś? Z ulicy mogłeś mieć lepszy widok.

— Ja... nie lubię tłumów — wymamrotał. Skłonił się przed każdym z nich z osobna. — Jeśli wybaczycie, ach... moja pani. — W opowieściach dwory królewskie były pełne ludzi tytułujących się nawzajem panami i paniami, królewskimi wysokościami i mościami, jednakże nawet jeśli słyszał kiedykolwiek poprawną formę zwracania się do Dziedziczki Tronu, to nie był teraz w stanie myśleć dostatecznie jasno, by ją sobie przypomnieć. Nie potrafił pomyśleć o niczym jasno, jak tylko o tym, że musi stąd jak

najszybciej odejść. — Jeśli wybaczyście, to chciałbym już stąd odejść. Aha... dziękuję za... — Dotknął szarfy owiniętej wokół jego głowy. — Dziękuję.

— Nie mówiąc nam nawet, jak się nazywasz? — spytał Gawyn. — Mizerna to zapłata za opiekę Elayne. Ciekawisz mnie. Po mowie wydajesz się mieszkańcem Andoru, choć z pewnością nie jesteś Caemlyńczykiem, wyglądasz jednak jak... Cóż, nasze imiona znasz. Uprzejmość podpowiada, byś podał nam swoje.

Spojrząwszy z tęsknotą w stronę muru, Rand podał swe prawdziwe imię, zanim zdążył się zastanowić nad tym, co robi, i dodał nawet:

— Z Pola Emonda w Dwu Rzekach.

— To na zachodzie — mruknął Gawyn. — Bardzo daleko na zachodzie. — Rand spojrział na niego czujnie. W głosie młodzieńca zabrzmiała nuta zdziwienia, a Rand jeszcze zdążył dostrzec trochę tego zdziwienia na jego twarzy, gdy na niego spojrział. Zwątpił, czy ono tam rzeczywiście było, tak szybko bowiem Gawyn zastąpił je uprzejmym uśmiechem. — Tytoń i wełna — powiedział Gawyn. — Jestem obowiązany znać podstawowe wyroby z wszystkich stron Królestwa. Z każdej krainy, mówiąc ściśle. To część moich nauk. Podstawowe produkty, rzemiosła i jacy są ludzie. Ich obyczaje, dobre i złe cechy. Mówi się, że ludzie z Dwu Rzek są uparci. Dadzą sobą kierować, jeśli dojdą do przekonania, że jesteś tego wart, ale im bardziej będziesz się starał ich naciskać, tym mocniej się zaprą. Elayne powinna sobie wybrać stamtąd męża. Trzeba człowieka o woli jak kamień, żeby się nie dał jej stratować.

Rand zapatrzył się na niego. Elayne też patrzyła. Gawyn niby nie stracił swego zwykłego opanowania, a jednak jego słowa były chaotyczną paplaniną. Dlaczego?

— Co to wszystko ma znaczyć? — Wszyscy troje podskoczyli w miejscu, gdy znienacka usłyszeli ten głos i odwrócili się w stronę, z której ich dobiegł. Młodzieniec, który tam stał był najprzystojniejszym mężczyzną, jakiego Rand kiedykolwiek widział, nieomal zbyt pięknym, by zasługiwał na miano mężczyzny. Był wysoki i szczupły, lecz przez jego ruchy przemawiała siła uderzenia bicia i pewność siebie. Ciemnowłosy i ciemnooki, swe czerwono-białe szaty, tylko trochę mniej zdobne od szat Gawyna, nosił w taki sposób, jakby wcale nie były ważne. Jedną dłoń wsparł na rękojeści miecza, a wzrok utkwił w Randzie. — Odejdź od niego, Elayne — powiedział mężczyzna. — I ty też, Gawynie.

Elayne stanęła przed Randem, osłaniając go przed nowo przybyłym, z uniesioną wysoko głową i pewna siebie jak dotąd.

— On jest lojalnym poddanym mojej matki i wiernym sługą Królowej. I jest pod moją ochroną, Galadzie — rzekła.

Rand usiłował sobie przypomnieć, co usłyszał od pana Kincha i później od pana Gilla. Galadedrid Damodred był przyrodnim bratem Elayne, no i Gawyna, jeśli zapamiętał właściwie, wszyscy troje pochodzili od tego samego ojca. Pan Kinch nie

przepadał specjalnie za Taringailem Damodredem — podobnie zresztą jak inni, od których o nim słyszał — lecz o jego synu dobrze myśleli zarówno noszący czerwień jak i biel, o ile można się było kierować tym, o czym gadano na mieście.

— Znam twoje upodobanie do przybłąd, Elayne — tłumaczył rozsądnym tonem szczupły mężczyzna — ale ten chłopak jest uzbrojony i raczej nie wygląda na godnego zaufania. Nie dość ostrożności w dzisiejszych czasach. Jeśli jest lojalnym poddanym Królowej, to co on robi w miejscu, do którego nie należy? Łatwo jest zmienić osłonę na mieczu, Elayne.

— On przebywa tutaj jako mój gość, Galadzie, i ja ręczę za niego. Czy może zatrudniłeś się jako moja niańka, by decydować, z kim i kiedy mogę rozmawiać?

Jej głos był pełen pogardy, lecz na Galada to zdawało się wcale nie działać.

— Wiesz, że nie uzurpuję sobie prawa do kontroli nad twoim postępowaniem, Elayne, ale ten... twój gość nie jest odpowiedni i ty wiesz o tym równie dobrze jak ja. Gawyn, pomóż mi ją przekonać. Nasza matka...

— Dość! — przerwała mu krótko Elayne. — Masz rację, mówiąc, że nie masz nic do powiedzenia na temat mojego postępowania, nie masz także prawa go osądzać. Pozwalam ci odejść. I to zaraz!

Galad obdarzył Gawyna ponurym spojrzeniem, które zawierało prośbę o wsparcie i mówiło zarazem, że Elayne jest zbyt uparta, by można jej było pomóc. Twarz Elayne pociemniała, lecz w chwili gdy otwierała usta, Galad skłonił się, zgodnie z wszelkimi regułami etykiety i jednocześnie z kocią gracją, zrobił krok w tył, odwrócił się i odszedł brukowaną ścieżką. Długie nogi powiodły go w stronę drzewa, które skryło go.

— Nienawidzę go — wydyszała Elayne. — Jest podstępny i pełen zawiści.

— Tu już posuwasz się za daleko, Elayne — powiedział Gawyn. — Galad nie wie, co to zawiść. Dwukrotnie uratował mi życie i nikt by o tym nie wiedział, gdyby to zależało tylko od niego. Mógł postąpić inaczej i zająć moje miejsce jako twój Pierwszy Książę Miecza.

— Nigdy, Gawynie. Wybrałabym każdego tylko nie Galada. Obojętnie kogo. Najlichszego chłopca stajennego. — Uśmiechnęła się nagle i spojrzała z komiczną powagą na brata. — Twierdzisz, że lubię wydawać rozkazy. Cóż więc, rozkazuję ci, żebyś nie dopuścił, by ci się cokolwiek stało. Rozkazuję ci być moim Pierwszym Księciem Miecza, kiedy zasiądem na tronie... niech Światłość sprawi, by dzień ten był jak najdalszy!... i poprowadzić armie Andoru z takimi honorami, o jakich Galad nie może nawet marzyć.

— Jak każesz, moja pani. — Gawyn roześmiał się, ukłonem parodiując Galada.

Elayne spojrzała na Randa, krzywiąc się w zamyśleniu.

— Teraz musimy cię stąd jak najszybciej wyprowadzić.

— Galad zawsze postępuje właściwie — wyjaśnił Gawyn — nawet kiedy nie powinien. W tym przypadku po spotkaniu obcego w ogrodach właściwą rzeczą jest powiadomienie strażników pałacowych. Co, jak sądzę, ma zamiar zrobić właśnie w tej chwili.

— A zatem czas najwyższy, bym przeszedł z powrotem przez mur — powiedział Rand.

„Znakomity dzień, by nie dać się zauważyć! Równie dobrze mógłbym nosić jakiś znak!”

Obrócił się w stronę muru, ale Elayne chwyciła go za ramię.

— Nie po tym, jak się tak namęczyłam z twoimi rękoma. Narobisz sobie nowych skaleczeń, a potem jakaś starucha z ciemnego zaułka opatrzy ci je Światłość wie czym. Po drugiej stronie ogrodu jest niewielka brama. Jest zarośnięta i nikt oprócz mnie nie pamięta, że ona tam jest.

Nagle Rand usłyszał ciężkie łomotanie butów po kamiennej ścieżce.

— Za późno — mruknął Gawyn. — Pewnie zaczął biec, jak tylko znalazł się poza zasięgiem wzroku.

Brwi Randa uniosły się w zdziwieniu, gdy usłyszał, jak Elayne klnie pod nosem. Słyszał to przekleństwo z ust stajennego z „Błogosławieństwa Królowej” i już wtedy ono go zaszokowało. W następnej chwili na powrót uległa chłodnemu opanowaniu.

Gawynowi i Elayne najwyraźniej odpowiadało pozostanie tam, gdzie stali, on jednak nie potrafił czekać na Gwardię Królowej z takim spokojem. Ponownie ruszył w stronę muru, wiedząc, że uda mu się pokonać najwyżej połowę drogi przed przybyciem gwardzistów, niemniej jednak nie potrafił stać w miejscu.

Zdołał zrobić trzy kroki, gdy znienacka w zasięgu wzroku pojawili się ludzie w czerwonych mundurach, promienie słońca odbijały się od ich napierśników, kiedy pędzili ścieżką. Pozostali napływali nierównymi falami szkarłatu i polerowanej stali, najwyraźniej ze wszystkich stron. Jedni trzymali w ręku wyciągnięte już z pochew miecze, inni tylko czekali, by się ustawić z uniesionymi łukami i naciągniętymi, pierzastymi strzałami. Oczy skryte za przyłbicami były ponure, a wszystkie groty strzał wycelowane nieubłaganie prosto w niego.

Elayne i Gawyn zerwali się z miejsca jak jeden mąż, stając między nim i strzałami, rozkładając ręce, aby go osłonić. Stanął w miejscu i podniósł ręce, wyraźnie odsuwając je od swego miecza.

Łomot ciężkich butów i trzask cięciw jeszcze unosiły się w powietrzu, gdy jeden z żołnierzy, ze złotym węzłem oficera na ramieniu, zawołał donośnie:

— Moja pani, mój panie, połóżcie się szybko na ziemi!

Pomimo rozłożonych rąk Elayne przybrała władcą postawę.

— Ośmielasz się obnosić z nagą stalą w mej obecności, Tallanvorze? Za coś takiego Gareth Bryne każe ci zastąpić najnędnieszego szeregowca przy sprzątanu stajni, o ile dopisze ci szczęście.

Żołnierze wymienili zdziwione spojrzenia, a kilku łuczników niepewnie opuściło do połowy swe łuki. Elayne dopiero wtedy opuściła ręce, jakby dotychczas trzymała je w górze tylko dlatego, bo tak jej się podobało. Gawyn zawahał się, potem poszedł za jej przykładem. Rand mógł policzyć łuki, które nie zostały opuszczone. Mięśnie jego brzucha napięły się, jakby potrafiły powstrzymać grot wystrzelony z odległości dwudziestu kroków.

Mężczyzna z węzłem oficerskim wyglądał na najbardziej zdezorientowanego ze wszystkich.

— Wybacz mi, moja pani — rzekł — ale lord Galadedrid doniósł, że do ogrodu zakradł się jakiś brudny wieśniak, uzbrojony i zagrażający mojej lady Elayne i memu lordowi Gawynowi. — Jego wzrok powędrował w stronę Randa, a głos nabrał stanowczości. — Jeśli moja pani i mój pan zechcą się odsunąć, to aresztuję tego rzezimieszka. Za dużo hołoty przebywa ostatnimi czasy w mieście.

— Wątpię, czy Galad istotnie doniósł o czymś takim — oświadczyła Elayne. — Galad nie kłamie.

— Czasami wolałbym, żeby kłamał — powiedział cicho Gawyn do ucha Randa. — Choć raz. Dzięki temu żyłoby się z nim łatwiej.

— Ten człowiek jest moim gościem — ciągnęła Elayne — i jest tutaj pod moją ochroną. Możesz odejść, Tallanvorze.

— Żałuję, ale to niemożliwe, moja pani. Jak moja pani wie, Królowa, matka mej pani, wydała rozkazy odnośnie wszystkich, którzy znajdują się na terenach pałacowych bez zezwolenia jej Wysokości. Wieść o tym intruzie została już jej Wysokości przekazana.

W głosie Tallanvora słychać było coś więcej niż tylko cień satysfakcji. Rand podejrzewał, że oficer musiał nieraz akceptować inne rozkazy Elayne, których nie uważał za stosowne. Tym razem nie miał zamiaru tego zrobić, nie teraz, gdy miał doskonałą wymówkę.

Elayne wbiła wzrok w Tallanvora, przez chwilę wydawało się, że znalazła się w kropce.

Rand spojrział pytająco na Gawyna. Gawyn zrozumiał.

— Więzienie — mruknął. Twarz Randa zbielała, a młody mężczyzna dodał pośpiesznie: — Tylko kilka dni i nie stanie ci się żadna krzywda. Zostaniesz przesłuchany osobiście przez Garetha Bryne'a, kapitana-generała, jednakże zostaniesz uwolniony jak tylko będzie jasne, że nie chciałeś zrobić nic złego. — Urwał, w jego wzroku czały się jakieś skryte myśli. — Mam nadzieję, że mówiłeś prawdę, Randzie al'Thor z Dwu Rzek.

— Zaprowadzisz nas wszystkich troje do mojej matki — obwieściła nagle Elayne, przywołując tym szeroki uśmiech na oblicze Gawyna.

Sądząc po wyrazie skrytej za stalową kratą twarzy, Tallanvorowi z zaskoczenia odjęło mowę.

— Moja pani, ja...

— Albo zaprowadź nas wszystkich do celi — powiedziała Elayne. — Zostajemy razem. Czy może wolisz wydać rozkaz, by naruszono nietykalność mojej osoby?

Uśmiechała się zwycięsko, a po sposobie, w jaki Tallanvor rozejrzał się dookoła, jakby się spodziewał znaleźć pomoc gdzieś wśród drzew, widać było, że on też uznał jej wygraną.

„Co ona wygrała? Jak?”

— Matka ogląda Logaina — powiedział cicho Gawyn, jakby czytał w myślach Randa — a nawet gdyby nie była zajęta, Tallanvor nie odważyłby się wkroczyć przed jej oblicze z Elayne i mną pod strażą. Matka potrafi być czasem nieco gwałtowna.

Rand przypomniał sobie, co pan Gill opowiadał o Królowej Morgase. „Nieco gwałtowna?”

W tym momencie ścieżką nadbiegł jeszcze jeden żołnierz w czerwonym uniformie, zatrzymał się z poślizgiem i zasalutował, kładąc rękę na piersi. Powiedział coś cicho do Tallanvora, przywracając swymi słowami wyraz satysfakcji na twarz przywódcy.

— Królowa, wasza pani matka — obwieścił Tallanvor — rozkazuje natychmiast sprowadzić do niej intruza. Również z jej rozkazu lady Elayne i lord Gawyn mają stanąć u jej boku. Także natychmiast.

Gawyn skrzywił się, a Elayne nerwowo przełknęła ślinę. Opanowała się na twarzy, zaczęła pracowicie otrząpywać brud z sukni. Mimo że pozbyła się kilku kawałków kory, był to raczej próżny wysiłek.

— Czy moja pani pozwoli? — powiedział z zadowoloną miną Tallanvor. — Panie?

Żołnierze utworzyli wokół nich nierówny szpaler i ruszyli brukowaną ścieżką z Tallanvorem na czele. Gawyn i Elayne szli po obu stronach Randa, obydwójce wyglądali na pogrążonych w nieprzyjemnych myślach. Żołnierze pochowali miecze do pochew, a strzały do kołczanów, jednak zachowali taką samą czujność jak wtedy, gdy mieli broń w dłoniach. Obserwowali Randa, jakby się spodziewali, że w każdej chwili wyciągnie miecz i spróbuje za jego pomocą wyrąbać sobie drogę do wolności.

„Spróbować coś zrobić? Nie będę niczego próbował. Nie zauważony! Nie ma co!”

Spoglądał na obserwujących go żołnierzy i nagle zauważył ogród. Wydarzenia następowały jedno po drugim, każdy nowy szok nadchodził w chwili, gdy poprzedni jeszcze nie zdążył zblednąć, a jego otoczenie stanowiło zamazaną plamę, z wyjątkiem muru i szczerej chęci znalezienia się po jego drugiej stronie. Teraz natomiast widział zieloną trawę, która dotychczas jedynie łaskotała go w głębi umysłu.

„Zieleń!”

Setki odcieni zielonego. Drzewa i krzewy zielone i rozkwitające, gęste od liści i owoców. Bujne winorośle oplatające drzewa rosnące przy ścieżce. Wszędzie kwiaty. Całe mnóstwa kwiatów, zalewających ogród barwami. Niektóre z nich znał — jaskrawożółte promienniki i drobniutkie, różowe smokrzyny, szkarłatne gwiazdobłyski i purpurowe Glorie Emonda, róże wszystkich kolorów, od śnieżnobiałych po ciemnoczerwone — pozostałe natomiast były mu obce, a tak wymyślne w kształcie i barwie, że nieomal wątpił w ich prawdziwość.

— To zieleń — wyszeptał. — Zieleń.

Żołnierze zaszemrali coś do siebie i umilkli, gdy Tallanvor spiorunował ich wzrokiem przez ramię.

— Dzieło Elaidy — powiedział Gawyn roztargnionym głosem.

— To niesprawiedliwe — stwierdziła Elayne. — Spytała, czy chce wybrać sobie jedną farmę, z którą ona zrobi to samo w czasie, gdy dookoła ciągle jeszcze nic nie rośnie, a przecież to niesprawiedliwe, że my mamy kwiaty, podczas gdy niektórzy ludzie nie mają co jeść. — Zrobiła głęboki wdech i na powrót się opanowała. — Nie zapominaj się — powiedziała szybko do Randa. — Odpowiadaj jasno, kiedy coś do ciebie mówią, w innym przypadku milcz. I kieruj się moim przykładem. Wszystko będzie dobrze.

Rand żałował, że brak mu jej pewności. Szkoda, że Gawyn też wyraźnie jej nie miał. Kiedy Tallanvor wprowadził ich do pałacu, obejrzał się w stronę ogrodu, na zieleń upstrzoną kwiatami.

Sale wypełniała pałacowa służba, w czerwonych liberiach z białymi kołnierzykami i mankietami oraz Białym Lwem po lewej stronie piersi, która krzątała się przy przydzielonych im zadaniach, które nie od razu dawały się określić. Gdy pojawili się tam gromadnie żołnierze z Elayne, Gawynem i Randem między nimi, służący stanęli jak wryci, by zapatrzeć się na nich z otwartymi ustami.

Pośród całej tej konsternacji przez komnatę przewędrował beztróska kot o futrze w szare prążki, lawirując między nogami zagapionych służących. Nagle ten kot wydał się Randowi dziwny. Wystarczająco długo przebywał w Baerlon, by wiedzieć, że nawet w najnędzniejszym sklepie z każdego kąta wygląda jakiś kot. Od momentu wejścia do Pałacu ten był pierwszy, którego tu zobaczył.

— Czy tutaj nie ma szczurów? — spytał z niedowierzaniem. Szczury były wszędzie.

— Elaida nie lubi szczurów — mruknął niejasno w odpowiedzi Gawyn. Marszcząc się, z przejęciem toczył wzrokiem po komnacie, najwyraźniej już sobie wyobrażając nadchodzące spotkanie z Królową. — U nas w ogóle nie ma szczurów.

— Obydwoj się uciszcie. — Głos Elayne był ostry, lecz równie nieobecny jak głos jej brata. — Próbuję myśleć.

Rand długo oglądał się przez ramię na kota, dopóki strażnicy nie powiedli go za narożnik, w wyniku czego zwierzę zniknęło z zasięgu wzroku. Poczulby się lepiej, gdyby

tam było dużo kotów, byłoby przyjemnie, gdyby w Pałacu znajdowała się przynajmniej jedna normalna rzecz, choćby i szczury.

Droga, którą podążał Tallanvor skręcała tyle razy, że Rand stracił poczucie kierunku. W końcu młody oficer zatrzymał się przed wysokimi, podwójnymi drzwiami z ciemnego drewna o głębokim połysku, nie tak wspaniałymi jak niektóre, które minęli, ale pokrytymi wyrzeźbionymi szeregami lwów, wyczelowanych w najdrobniejszym szczególe. Po obu stronach stali ubrani w liberie służący.

— Dobrze że nie w Wielkiej Sali. — Gawyn roześmiał się niepewnie. — Nie słyszałem, by Matka wydała w tym miejscu rozkaz ścięcia komuś głowy.

Tak to zabrzmiało, jakby się spodziewał, że może zrobić wyjątek.

Tallanvor wyciągnął rękę po miecz Randa, lecz Elayne mu przeszkodziła.

— On jest moim gościem, a zgodnie z obyczajami i prawem goście rodziny królewskiej mogą być uzbrojeni nawet w obecności Matki. No chyba że zaprzeczysz memu słowu, że jest moim gościem?

Tallanvor zawahał się, przez chwilę krzyżując z nią wzrok, po czym skinął głową.

— Proszę bardzo, moja pani. — Elayne uśmiechnęła się do Randa, gdy Tallanvor usunął się na bok, lecz był to przelotny uśmiech. — Pierwszy szereg do mnie — rozkazał Tallanvor. — Zapowiedzcie jej Wysokości lady Elayne i lorda Gawyna — powiedział odźwiernym. — A także porucznika straży Tallanvora z rozkazu jej Wysokości z pojmanym intruzem.

Elayne spojrzała spode łba na Tallanvora, lecz drzwi już otworzyły się na oścież. Zabrzmiał donośny głos, obwieszczający, kto przybywa.

Elayne przeszła przez drzwi wyniosłym krokiem, trochę niszcząc swe królewskie wejście poprzez wskazanie gestem Randowi, że ma iść tuż za nią. Gawyn zgarbił ramiona i kroczył obok niej, w odległości starannie odmierzonego kroku. Rand szedł z tyłu, niepewnie dotrzymując kroku Gawynowi z drugiej strony. Tallanvor trzymał się blisko Randa, a za nim szło dziesięciu żołnierzy. Drzwi zamknęły się za nimi bezgłośnie.

Nagle Elayne dygnęła głęboko, jednocześnie składając się w pasie i w takiej pozycji znieruchomiła, przytrzymując szeroko fałdy spódnicy. Rand drgnął, po czym pośpiesznie poszedł w ślady Gawyna i pozostałych, niezgrabnie przestępując z nogi na nogę dopóki nie wykonał wszystkiego prawidłowo. Klęczał na prawym kolanie, z pochyloną głową, podany do przodu, wspierając kłykcie prawej dłoni o marmurowe płyty posadzki, lewą dłoń ułożył na końcu rękojeści miecza. Gawyn, który nie miał miecza, w taki sam sposób ułożył dłoń na rękojeści sztyletu.

Rand już sobie gratulował, że tak mu to dobrze wyszło, gdy spostrzegł, że Tallanvor, nie podnosząc głowy, piorunuje go wzrokiem zza przyłbicy. „Czy ja miałem zrobić coś innego?” Nagle go rozzłościło, że Tallanvor spodziewa się po nim, że będzie wiedział, co ma robić, mimo że nikt go tego nie nauczył. Złościło go też, że boi się strażników.

Nie zrobił niczego, co mogło być powodem do obaw. Wiedział, że boi się nie z winy Tallanvora, ale i tak był na niego zły.

Wszyscy zachowali tę samą postawę, zastygli jakby w oczekiwaniu na wiosenną odwilż. Nie wiedział, na co czekają, ale skorzystał z okazji, by przyjrzeć się wnętrzu, do którego go wprowadzono. Nadal pochylał głowę i obracał się tylko tyle, by móc coś zobaczyć. Groźba we wzroku Tallanvora uległa natężeniu, ale ignorował to.

Kwadratowa komnata była mniej więcej taka duża jak ogólna sala w „Błogosławieństwie Królowej”, jej ściany pyszniły się scenami z polowania, wyrzeźbionymi w śnieżnobiałym kamieniu. Wiszące między płaskorzeźbami gobeliny przedstawiały delikatne wizerunki kolorowych kwiatów i jaskrawo upierzonych kolibrów, z wyjątkiem dwóch wiszących na przeciwległej ścianie, z Białym Lwem Andoru i niższym od niego mężczyzną na szkarłatnych polach. Te dwa dzieła wisiały po bokach podwyższenia z rzeźbionym i połączanym tronem, na którym siedziała Królowa.

Po prawej ręce Królowej stał zwalisty mężczyzna o szorstkiej powierzchowności, z gołą głową, ubrany w czerwień Gwardii Królowej. Na ramieniu kaftana miał naszyte cztery złote węzły, a biel mankietów przełamowały szerokie, złote pasy. Skronie miał mocno posiwiałe, lecz wyglądał na silnego i nieugiętego jak skała. Musiał to być kapitan-generał, Gareth Bryne. Po drugiej stronie tronu, z tyłu, na niskim zydłu siedziała kobieta ubrana w ciemnozielony jedwab, robiła coś na drutach z ciemnej, prawie czarnej wełny. Z początku Rand uznał ją za starą z powodu tych drutów, jednak po drugim spojrzeniu nie potrafił już wcale określić jej wieku. Młoda, stara, nie wiedział. Jej uwaga wydawała się skupiona wyłącznie na drutach i włóczce, zupełnie jakby w zasięgu jej ręki nie siedziała Królowa. Była przystojną kobietą, pozornie pogodną, niemniej jednak w tym jej skupieniu było coś strasznego. W komnacie nie było słyhać żadnego dźwięku prócz szczękania jej drutów.

Usiłował obejrzeć wszystko, jednakże jego wzrok bezustannie powracał do kobiety w połyskującym wieńcu z misternie wykutych róż na czole, w Różanym Wieńcu Andoru, Przez jej jedwabną suknię w czerwono-białą kratę przewieszony był długi, czerwony szal z maszerującym na całej długości Lwem Andoru, a kiedy lewą dłonią dotknęła ramienia kapitana-generała, zaśnił pierścień w kształcie Wielkiego Węża pożerającego własny ogon. Jednakże to nie przepych szat, biżuterii albo nawet korony przyciągał bezustannie wzrok Randa: to ta kobieta, która je nosiła.

Morgase miała urodę swej córki, tyle że dorosłą i dojrzałą. Jej twarz i sylwetka, w ogóle jej obecność przepełniały komnatę światłem, które przyćmiewało pozostałe dwie kobiety stojące przy niej. Gdyby była wdową z Pola Emonda, pod jej drzwiami ustawiłby się sznur konkurentów, nawet gdyby była najgorszą kucharką i najniechlujniejszą gospodynią w całych Dwu Rzekach. Zauważył, że mu się przypatruje, więc pochylał głowę, bojąc się, że wyczyta jego myśli z twarzy.

„Światłości, myśleć o Królowej jakby była zwykłą wieśniaczką! Ty głupcze!”

— Możecie wstać — powiedziała Królowa dźwięcznym, ciepłym głosem, który sto razy przewyższał wymóg posłuszeństwa zawarty w głosie Elayne.

Rand wstał razem z pozostałymi.

— Matko... — zaczęła Elayne, lecz Morgase przerwała jej.

— Zdaje się, że wspinałaś się na drzewa, córko. — Elayne wydłubała zabłąkany kawałek kory z sukni i nie znajdując miejsca, na które mogłaby go odłożyć, zacisnęła go w dłoni. — W rzeczy samej — ciągnęła spokojnie Morgase — najwyraźniej pomimo mych zakazów znalazłaś sposób, by popatrzeć na Logaina. Gawynie, spodziewałam się po tobie czegoś lepszego. Musisz się nauczyć nie tylko jak być posłusznym swej siostrze, lecz jednocześnie jak stanowić jej przeciwwagę, celem uniknięcia katastrofy. — Wzrok Królowej przemknął się na stojącego obok niej zwalistego mężczyznę, po czym szybko się wycofał. Bryne stał niewzruszony, jakby tego nie zauważył, jednakże zdaniem Randa te oczy widziały wszystko. — To, Gawynie, jest takim samym obowiązkiem Pierwszego Księcia jak dowodzenie armiami Andoru. Być może, jeśli twe nauki nabiorą intensywności, będziesz miał mniej czasu na pozwalanie swej siostrze, by cię wciągała w tarapaty. Poproszę kapitana-generała, żeby dopatrzył, aby nie brakowało ci zajęć w związku z twą podróżą na północ.

Gawyn przestąpił z nogi na nogę, jakby chciał zaprotestować, lecz zamiast tego skłonił głowę.

— Jak każesz, matko.

Elayne skrzywiła się.

— Matko, Gawyn nie uchroni mnie przed kłopotami, jeśli go nie będzie przy mnie. Z tego wyłącznie powodu opuścił swe pokoje. Matko, z pewnością z samego patrzenia na Logaina nie mogło wyniknąć nic złego. Prawie każdy w mieście był bliżej niego niż my.

— Dziedziczka tronu to nie każdy. — W głosie Królowej krył się ostry ton. — Widziałam tego Logaina z bliska, on jest niebezpieczny, dziecko. Mimo że zamknięty w klatce i cały czas strzeżony przez Aes Sedai, wciąż jest równie niebezpieczny jak wilk. Żałuję, że w ogóle go sprowadzono w pobliże Caemlyn.

— Zajmą się nim w Tar Valon. — Kobieta siedząca na zydlu nie oderwała wzroku od swej robótki, kiedy to mówiła. — Ważne jest, żeby ludzie widzieli, że Światłość raz jeszcze pokonała Ciemność. I żeby widzieli, że ty masz swój udział w tym zwycięstwie, Morgase.

Morgase machnęła niecierpliwie ręką.

— Dalej wolałabym, żeby nigdy nie pojawiał się w pobliżu Caemlyn. Elayne, znam twoje myśli.

— Matko — zaprotestowała Elayne — naprawdę pragnę ci być posłuszna. Szczerze tego pragnę.

— Doprawdy? — spytała Morgase w udawanym zdziwieniu i zaśmiała się. — O tak, ty istotnie starasz się być posłuszną córką. Stale jednak sprawdzasz, do jakich granic możesz się posunąć. Cóż, ja postępowałam tak samo z moją matką. Taka natura okaże się dla ciebie bardzo pożyteczna, kiedy wstąpisz na tron, jednakże jeszcze nie jesteś Królową, dziecko. Sprzeciwiłaś mi się i obejrzałaś sobie Logaina. Niech cię to zadowoli. Podczas podróży na północ nie będziesz do niego dopuszczana na odległość stu kroków, ani ty ani Gawyn. Gdybym nie wiedziała, jak trudne nauki otrzymasz w Tar Valon, wysłałabym z tobą Lini, by dopilnowała, czy jesteś posłuszna. Ona przynajmniej potrafi cię zmusić, abyś postępowała zgodnie ze swymi powinnościami.

Elayne z ponurą miną schyliła głowę.

Kobieta za tronem wydawała się zajęta liczeniem oczek.

— Już po tygodniu — powiedziała nagle — zapagniesz wrócić do swej matki. Po miesiącu będziesz miała ochotę uciec z Ludem Wędrowców. Jednakże moje siostry będą cię trzymały z dala od niewiernych. Takie sprawy nie są dla ciebie, na razie. — Obróciła się nagle, by spojrzeć uważnie na Elayne, a cała jej pogoda zniknęła, jakby nigdy nie istniała. — Jest coś w tobie, dzięki czemu staniesz się największą Królową, jaką Andor kiedykolwiek widział, jaką widziała jakakolwiek kraina od tysiąca lat. Na to cię właśnie kształtujemy, o ile starczy ci sił.

Rand wpatrywał się w nią jak ogłupiały. To musiała być Elaida, Aes Sedai. Nagle ucieszył się, że nie zwrócił się do niej o pomoc, niezależnie od tego, do jakich Ajah należała. Emanowała z niej surowość daleko większa niż z Moiraine. Myślał czasami o Moiraine jako o stali obleczonej w aksamit, w przypadku Elaidy ten aksamit był jedynie złudzeniem.

— Dość, Elaido — rzekła Morgase, marszcząc czoło z niepewną miną. — Słyszała to aż za często. Koło obraca się tak, jak chce. — Przez chwilę patrzyła w milczeniu na córkę. — Pozostaje jeszcze problem z tym młodym człowiekiem — wskazała Randa, nie odrywając oczu od twarzy Elayne — jak i dlaczego się tu znalazł, a także dlaczego domagałaś się od swego brata, by traktował go jak gościa.

— Czy mogę przemówić, matko? — Kiedy Morgase przyzwoliła skinieniem głowy, Elayne opowiedziała w skrócie przebieg wydarzeń, od chwili, gdy po raz pierwszy zobaczyła Randa, jak wspinał się po zboczu w stronę muru. Spodziewał się, że skończy zapewnieniem o niewinności tego, co zrobił, ona jednak powiedziała: — Matko, często mi powtarzasz, że powinnam znać nasz lud, tych urodzonych najwyżej i tych najniżej, jednakże za każdym razem, gdy kogoś z nich spotkam, musi się to odbyć w towarzystwie kilkunastu świadków. Jak mogę się dowiedzieć czegoś rzeczywistego albo prawdziwego w takich okolicznościach? Z rozmowy z tym młodym człowiekiem z miejsca dowiedziałam się o wiele więcej o Dwu Rzekach i jakiego pokroju mieszkają tam ludzie, niżli kiedykolwiek mogłam dowiedzieć się z ksiąg. To coś znaczy, że on

dotarł tak daleko i że nałożył czerwień, mimo że tak wielu przybyszów nosi ze strachu biel. Matko, błagam cię, nie potraktuj źle swego lojalnego poddanego, kogoś, kto nauczył mnie tak wiele o ludzie, którym władasz.

— Lojalny poddany z Dwu Rzek. — Morgase westchnęła. — Dziecko moje, powinnaś uważniej studiować te księgi. Dwie Rzeki nie widziały poborcy podatków od sześciu pokoleń, a gwardzistów Królowej od siedmiu. Ośmielę się stwierdzić, że rzadko kiedy przychodzi im w ogóle do głowy, że stanowią część Królestwa. — Rand drgnął niespokojnie, przypominając sobie swoje zdziwienie, kiedy mu powiedziano, że Dwie Rzeki są częścią Królestwa Andoru. Królowa spojrzała na niego i uśmiechnęła się ponuro do swej córki. — Widzisz, dziecko?

Rand zauważył, że Elaida odłożyła robótkę i teraz mu się przypatruje. Podniosła się ze swego zydła, zesza powoli z podwyższenia i stanęła obok niego.

— Z Dwu Rzek? — spytała. Wyciągnęła rękę w stronę jego głowy, uchylił się przed dotykiem, a ona opuściła rękę. — Z takimi rudymi włosami i szarymi oczyma? Ludzie z Dwu Rzek mają ciemne włosy i oczy, rzadko też taki wzrost. — Jej ręka pomknęła, by odsunąć rękaw jego kaftana, ukazując jaśniejszą skórę, do której słońce nie docierało tak często. — Albo taką skórę.

Z trudem się powstrzymał, by nie zacisnąć pięści.

— Naprawdę pochodzę z Pola Emonda — powiedział sztucznym tonem. — Moja matka była cudzoziemką, dlatego mam takie oczy. Mój ojciec nazywa się Tam al'Thor, jest pasterzem i farmerem, tak samo jak ja.

Elaida wolno przytaknęła, ani na moment nie odrywając oczu od jego twarzy. Wytrzymał jej wzrok ze spokojem. Widział, że dostrzega upór w jego spojrzeniu. Nadal prowadząc z nim taką walkę, powoli wyciągnęła rękę w jego stronę. Postanowił, że tym razem się nie cofnie.

Dotknęła miecza, nie jego ciała, obłapiając rękojeść na samym końcu. Zacisnęła palce, a jej oczy rozszerzyły się ze zdziwienia.

— Pasterz z Dwu Rzek — powiedziała cicho, szeptem przeznaczonym dla uszu wszystkich — który ma miecz ze znakiem czapli.

Te ostatnie kilka słów tak podziały na zgromadzonych, jakby obwieściła przybycie Czarnego. Z tyłu za Randem zaskrzypiały skóra i metal, wysokie buty zaszurały na marmurowych płytach. Kątem oka widział, jak Tallanvor i pozostali strażnicy cofają się, by rozstawić się dookoła wnętrza komnaty, jednocześnie sięgając rękojeści mieczy, gotowi je zaraz wyciągnąć i, co było widać po twarzach, gotowi umrzeć. Gareth Bryne dwoma szybkimi krokami stanął przed podwyższeniem, pomiędzy Randem a Królową. Nawet Gawyn zasłonił sobą Elayne, wyraźnie przejęty, kładąc dłoń na rękojeści sztyletu. Sama Elayne patrzyła na niego w taki sposób, jakby go widziała po raz pierwszy. Morgase nie zmieniła wyrazu twarzy, tylko zacisnęła ręce na połączonych oparciach tronu.

Jedynie Elaida zareagowała jeszcze mniej gwałtownie niż Królowa. Aes Sedai nie dała po sobie znać, że powiedziała cokolwiek niezwykłego. Odjęła rękę od miecza, wywołując w żołnierzach jeszcze większe napięcie. Jej wzrok pozostał w nim utkwiony, niezmacony i przenikający go na wskroś.

— Z pewnością — powiedziała Morgase opanowanym głosem — jest zbyt młody, by mógł zarobić na ostrze ze znakiem czapli. Nie może być starszy od Gawyna.

— Miecz należy do niego — oświadczył Gareth Bryne.

Królowa spojrzała na niego ze zdziwieniem.

— Jak to możliwe?

— Nie wiem, Morgase — wolno odparł Bryne. — Jest zbyt młody, a jednak miecz należy do niego, a on do miecza. Popatrz na jego oczy. Popatrz, jak on stoi, jak ten miecz do niego pasuje, a on do miecza. Jest za młody, a jednak to jego miecz.

Kiedy kapitan-generał umilkł, odezwała się Elaida:

— Jak wszedłeś w posiadanie tej broni, Randzie al'Thor z Dwu Rzek? — Powiedziała to takim tonem, jakby wątpiła nie tylko w jego pochodzenie, lecz również w jego imię.

— Podarował mi go mój ojciec — odparł Rand. — Przedtem należał do niego. Uznał, że w dalekim świecie będę potrzebował miecza.

— Jeszcze jeden pasterz z Dwu Rzek z ostrzem ze znakiem czapli. — Od uśmiechu Elaidy zaschło mu w ustach. — Kiedy przybyłeś do Caemlyn?

Miał dość mówienia prawdy tej kobiecie. Bał się jej tak, jakby była Sprzymierzeńcem Ciemności. Nadszedł czas, by na nowo wszystko ukrywać.

— Dzisiaj — oświadczył. — Dzisiaj rano.

— W samą porę — mruknęła. — Gdzie się zatrzymałeś? Nie mów, że nie znalazłeś sobie nigdzie pokoju. Wyglądasz na nieco sponiewieranego, ale miałeś możliwość się odświeżyć. Gdzie?

— W „Pod Koroną i Lwem”. — Przypomniawszy sobie, że mijał „Pod Koroną i Lwem”, kiedy szukał „Błogosławieństwa Królowej”. Znajdowało się po przeciwległej stronie Nowego Miasta od karczmy pana Gilla. — Mam tam łóżko. Na poddaszu. — Miał wrażenie, że ona wie, że on kłamie, jednak Aes Sedai tylko skinęła głową.

— Cóż to za ślepy traf? — powiedziała. — Dzisiaj do Caemlyn sprowadzono niewiernego. Za dwa dni zostanie zabrany do Tar Valon, a wraz z nim jedzie Dziedziczka Tronu, by zostać tam poddana naukom. I właśnie w takich okolicznościach w pałacowych ogrodach pojawia się młody człowiek, który twierdzi, że jest lojalnym poddanym z Dwu Rzek...

— Ja naprawdę mieszkam w Dwu Rzekach. — Wszyscy na niego patrzyli, a jednocześnie go ignorowali. Wszyscy z wyjątkiem Tallanvora i strażników, ich oczy nawet nie mruknęły.

— ...uzbrojony w opowieść obliczoną na oczarowanie Elayne i miecz ze znakiem czapli. Nie nosi opaski albo kokardy, które by oznaczały jego przynależność, a tylko

osłonę, która starannie skrywa czapkę przed ciekawskim wzrokiem. Cóż to za ślepy traf, Morgase?

Królowa gestem dłoni nakazała kapitanowi-generałowi się odsunąć, a kiedy to zrobił, zlustrowała Randa zaniepokojonym spojrzeniem. Przemówiła jednak do Elaidy.

— Jak go nazwiesz? Sprzymierzeńcem Ciemności? Wyznawcą Logaina?

— Czarny wywołuje zamęt w Shayol Ghul — odparła Aes Sedai. — Cień pada na Wzór, a równowaga przyszłości balansuje na łąbku od szpilki. On jest niebezpieczny.

Nagle Elayne poderwała się ze swego miejsca i padła na kolana przed tronem.

— Matko, błagam cię, nie rób mu nic złego. Poszedłby sobie, gdybym go nie zatrzymała. On chciał odejść, a ja kazałam mu zostać. Nie wierzę, że on jest Sprzymierzeńcem Ciemności.

Morgase uspokoiła córkę gestem dłoni, lecz nie odjęła wzroku od Randa.

— Czy to Przepowiednia, Elaido? Czy odczytujesz Wzór? Twierdzisz, że to cię nachodzi wtedy, kiedy się najmniej spodziewasz i znika równie nagle, jak się pojawia. Jeśli to Przepowiednia, Elaido, to rozkazuję ci powiedzieć prawdę jasno, bez twego obyczaju ubierania wszystkiego w takie zagadki, że nikt nie jest w stanie stwierdzić, czy powiedziałaś tak, czy nie. Co widzisz?

— Oto Przepowiednia — odparła Elaida — której, jak przysięgam na Światłość, jaśniej wygłosić nie potrafię. Od dzisiejszego dnia Andor maszeruje prosto w stronę bólu i rozłamu. Cień jeszcze nie ściemniał do swej najgłębszej czerni i nie widzę, czy potem nastanie Światłość. Tam, gdzie świat uronił jedną łzę, uroni ich jeszcze tysiące. To właśnie przepowiadam. — Do wnętrza komnaty przywarł całun milczenia. Zakłóciła je tylko Morgase, która wypuściła oddech tak głośno, jakby on miał być jej ostatnim. Elaida nadal wpatrywała się w oczy Randa. Odezwała się ponownie, ledwie poruszając ustami, tak cicho, że prawie jej nie słyszał, mimo iż dzieliła ich odległość zaledwie wyciągniętego ramienia. — Oto co jeszcze przepowiadam. Ból i rozłam nastanie na całym świecie, a w samym sercu tego wszystkiego stoi ten człowiek. Jestem posłuszna mej Królowej — wyszeptała — i mówię to jasno.

Rand miał uczucie, że jego stopy zapuściły korzenie w marmurowej posadzce. Chłód i twardość kamienia popęzły mu po nogach i wywołały chłodny dreszcz wzdłuż kręgosłupa. Nikt inny nie mógł tego słyszeć. Ona jednak wciąż na niego patrzyła, a on to usłyszał.

— Jestem pasterzem — obwieścił całej komnacie. — Z Dwu Rzek. Pasterzem.

— Koło obraca się tak, jak chce — powiedziała głośno Elaida, a on nie był w stanie stwierdzić, czy słyszy w jej głosie drwiącą nutę.

— Lordzie Gareth — powiedziała Morgase — potrzebuję rady mego kapitana-generała.

Zwalisty mężczyzna pokręcił głową.

— Elaida Sedai twierdzi, że ten chłopak jest niebezpieczny, moja Królowo, i gdyby powiedziała o tym coś więcej, rzekłbym: wezwij kata. Jednakże ona mówi tylko o tym, co każdy z nas może sam zobaczyć. Nie ma takiego farmera w całym kraju, który by nie powiedział, że wszystko ma się ku gorszemu, bez żadnej Przepowiedni. Ja sam wierzę, iż chłopiec znalazł się tu za sprawą zwykłego zbiegu okoliczności, jakkolwiek okazał się on dla niego niefortunny. Powiem ci, moja Królowo, że bezpieczeństwo nakazuje zamknąć go w celi, dopóki lady Elayne i lord Gawyn nie znajdą się daleko w drodze, a potem trzeba będzie go puścić. Chyba że, Aes Sedai, wygłosisz jeszcze jakąś Przepowiednię na jego temat?

— Powiedziałam wszystko, co odczytałam we Wzorze, kapitanie-generale — powiedziała Elaida. Błysnęła twardym uśmiechem w stronę Randa, uśmiechem, który ledwie wykrzywił jej wargi, drwiąc z jego niemożności powiedzenia, że ona nie mówi prawdy. — Kilka tygodni w zamknięciu nie przyniesie mu krzywdy, a mnie da szansę dowiedzenia się czegoś więcej. — Jej oczy przepełniło łaknienie, pogłębiające jego dreszcz. — Być może spłynie na mnie jeszcze jedna Przepowiednia.

Morgase zastanawiała się chwilę, wsparłszy podbródek dłonią, a łokieć na oparciu tronu. Rand miał ochotę się usunąć spod tego zamyślnego spojrzenia, gdyby w ogóle mógł się poruszyć, jednakże oczy Elaidy przesywały go do szpiku kości. Wreszcie Królowa przemówiła.

— Podejrzenia zalewają Caemlyn, być może cały Andor. Strach i najgorsze podejrzenia. Kobiety denuncjują swe sąsiadki jako Sprzymierzeńców Ciemności. Mężczyźni malują smocze kły na drzwiach ludzi, których znali od lat. Nie wezmę w tym udziału.

— Morgase... — zaczęła Elaida, ale Królowa przerwała jej.

— Nie wezmę w tym udziału. Kiedy wstąpiłam na tron, przysięgam stać na straży sprawiedliwości, zarówno względem wysoko, jak i nisko urodzonych, i będę jej bronić nawet wtedy, jeśli będę tym ostatnim mieszkańcem Andoru, który pamięta o sprawiedliwości. Randzie al'Thor, czy przysięgasz na Światłość, że to twój ojciec, pasterz z Dwu Rzek, dał ci ten miecz ze znakiem czapli?

Rand poruszył ustami, w poszukiwaniu wilgoci, która pomogłaby mu przemówić.

— Przysięgam — rzekł i kiedy przypomniał sobie, do kogo mówi, dodał pośpiesznie: — Moja Królowo.

Lord Gareth uniósł gęstą brew, Lecz Morgase to najwyraźniej nie obeszło.

— I że wspiąłeś się na mur ogrodu tylko po to, by popatrzeć na fałszywego Smoka?

— Tak, moja Królowo.

— Czy masz zamiar wyrządzić szkodę tronowi Andoru, mojej córce albo mojemu synowi? — Ton jej głosu mówił, że za tych dwoje ostatnich rozprawiono by się z nim o wiele krócej niż za to pierwsze.

— Nie chciałem nikomu zrobić nic złego, moja Królowo. A już najmniej tobie i twoim bliskim.

— Postąpię więc z tobą sprawiedliwie, Randzie al'Thor — powiedziała. — Po pierwsze, góruję nad Elaidą i Garethem tym, że za młodu słyszałam mowę Dwu Rzek. Nie masz tamtejszego wyglądu, ale jeśli mogę się posłużyć moimi mglistymi wspomnieniami, przemawiasz językiem Dwu Rzek. Po drugie, nikt, kto ma takie włosy i oczy, nie twierdziłby, że jest z pasterzem z Dwu Rzek, gdyby było inaczej. I to że twój ojciec dał ci miecz ze znakiem czapli jest zbyt niedorzeczne, by mogło być kłamstwem. I po trzecie, ten głos, który mi podszeptuje, że najlepsze kłamstwo jest często zbyt śmieszne, by mogło być uznane za kłamstwo... ten głos nie jest dowodem. Będę stała na straży ustanowionego przez siebie prawa. Zwracam ci twoją wolność, Randzie al'Thor, sugeruję jednak, byś w przyszłości pilnował się, gdy wkroczysz na cudzy teren. Jeśli raz jeszcze znajdziesz się na terenach pałacowych, sprawy już nie potoczą się dla ciebie tak gładko.

— Dziękuję ci, moja Królowo — odparł ochryplym głosem.

Niezadowolenie Elaidy czuł nieomal jak gorący podmuch.

— Tallanvorze — powiedziała Morgase — wyprowadź tego... wyprowadź gościa mej córki z Pałacu, z zachowaniem wszelkiej uprzejmości. Reszta niech też stąd odejdzie, Nie, Elaido, ty zostajesz. I ty też, lordzie Gareth, jeśli chcesz. Muszę podjąć decyzję w kwestii pobytu Białych Płaszczy w mieście.

Tallanvor i strażnicy z niechęcią pochowali swe miecze, gotowi wyciągnąć je w każdym momencie. Niemniej jednak Rand chętnie pozwolił żołnierzom utworzyć wokół siebie szpaler i ruszył za Tallanvorem. Elaida tylko połowicznie zwracała uwagę na to, co mówi Królowa, czuł jej wzrok na swoich plecach.

„Co by się stało, gdyby Królowa nie zatrzymała Aes Sedai przy sobie?”

Na tę myśl zapragnął, by żołnierze maszerowali szybciej.

Ku jego zdziwieniu za drzwiami Elayne i Gawyn zamienili z sobą kilka słów, po czym stanęli przy jego boku. Tallanvora też to zdziwiło. Młody oficer przeniósł wzrok z nich na drzwi, już się zamykające.

— Moja matka — powiedziała Elayne — rozkazała wyprowadzić go z Pałacu, Tallanvorze. Z zachowaniem wszelkiej uprzejmości. Na co czekasz?

Tallanvor spojrział chmurnie w stronę drzwi, za którymi Królowa konferowała ze swymi doradcami.

— Na nic, moja pani — powiedział kwaśnym tonem i bezzwłocznie wydał rozkaz wyruszenia.

Pałacowe cuda przemykały obok Randa nie zauważone. Był zbity z tropu, strzępy myśli wirowały zbyt szybko, by dać się uchwycić.

„Nie masz tego wyglądu. Ten człowiek stoi w samym sercu tego wszystkiego.”

Eskorta zatrzymała się. Zamrugał, zdziwiony, że znajduje się na wielkim podwórku przed Pałacem, przed wysokimi, połączanymi bramami. Tych bram nie otworzono by dla jednego człowieka, szczególnie nie dla intruza, nawet jeśli dziedziczka tronu żądała przestrzegania prawa gościnności w jego przypadku. Tallanvor bez słowa podniósł kraty bramy wypadowej, osadzonej w głównej bramie.

— To taki obyczaj — wyjaśniła Elayne — odprowadza się gości aż do samych bram, ale nie patrzy się jak odchodzą. Powinno się pamiętać przyjemność płynącą z towarzystwa gościa, a nie smutek rozstania.

— Dziękuję ci, moja pani — powiedział Rand. Dotknął szarfy, którą miał zabandażowane czoło. — Za wszystko. W Dwu Rzekach jest taki obyczaj, że gość przynosi z sobą jakiś mały podarunek. Obawiam się, że nic nie mam. Chociaż — dodał sucho — najwyraźniej nauczyłem cię czegoś o ludzie z Dwu Rzek.

— Gdybym powiedziała Matce, że moim zdaniem jesteś przystojny, z pewnością kazałaby cię zamknąć w celi. — Elayne zaszczyliła go promiennym uśmiechem. — Żegnaj, Randzie al'Thor.

Oniemiały patrzył jak odchodzi, urodziwa i majestatyczna jak Morgase, tyle że w młodszej wersji.

— Nigdy nie próbuj walczyć z nią na słowa. — Gawyn roześmiał się. — Ona zawsze wygrywa.

Rand w zamyśleniu skinął głową. „Przystojny? Światłości, dziedziczka tronu Andor!” Otrząsnął się, żeby rozjaśnić myśli.

Gawyn wydawał się na coś czekać. Rand patrzył na niego przez chwilę.

— Mój lordzie, kiedy mówiłem ci, że jestem z Dwu Rzek, zdziwiłeś się. I wszyscy pozostali, twoja matka, lord Gareth, Elaida Sedai... — poczuł dreszcz na plecach — żadne z nich... — Nie wiedział, jak skończyć, nie wiedział nawet, dlaczego zaczął.

„Jestem synem Tama al'Thora, nawet jeśli nie urodziłem się w Dwu Rzekach.”

Gawyn skinął głową, jakby właśnie na to czekał. Nadal się jednak ociągał. Rand otworzył usta, żeby cofnąć nie wypowiedziane pytanie, a Gawyn powiedział:

— Owiń sobie głowę *shoufq*, Randzie, a będziesz wyglądał, wypisz wymaluj jak Aiel. To dziwne, skoro przynajmniej matka zdaje się uważać, że mówisz jak człowiek z Dwu Rzek. Szkoda, że nie poznaliśmy się nawzajem, Randzie al'Thor. Żegnaj.

„Aiel.”

Rand odprowadzał Gawyna wzrokiem, dopóki Tallanvor nie zakaszłał ze zniecierpliwieniem, przypominając mu, gdzie jest. Pochyliwszy głowę przeszedł przez bramę wypadową, a Tallanvor omal mu nie przytrzasnął pięt. Wewnętrzne kraty natychmiast zjechały z łoskotem na swoje miejsce.

Owalny plac przed Pałacem był teraz pusty. Wszyscy żołnierze odeszli, cały tłum, trąbki i bębny zniknęły, zastąpiła je cisza. Nic nie zostało, prócz śmieci, które wiatr

przetaczał po chodniku, a jacyś ludzie uwijali się na powrót wokół swoich codziennych spraw, teraz gdy wreszcie całe podniecenie opadło. Nie widział, czy obnoszą się z czerwienią, czy bielą.

„Aiel.”

Ze zdumieniem uświadomił sobie, że stoi tuż przed pałacowymi bramami, w miejscu, w którym Elaida mogła go bez trudu odnaleźć, jak tylko skończy omawiać sprawę z Królową. Otulił się kaftanem i ruszył do wolnego biegu, przez plac, a potem ulicę Wewnętrznego Miasta. Często oglądał się, by sprawdzić, czy ktoś go nie ściga, ale ostre zakręty nie pozwalały mu widzieć zbyt daleko. Niemniej jednak aż za dobrze zapamiętał sobie oczy Elaidy i wyobrażał je sobie, jak obserwują. Zanim dotarł do bram Nowego Miasta, biegł już co sił w nogach.

STARZY PRZYJACIELE I NOWE ZAGROŻENIA

Po powrocie do „Błogosławieństwa Królowej” mocno zziajany Rand padł prawie bezwładnie w głównych drzwiach karczmy. Całą drogę biegł, nie dbając o to, czy ktokolwiek zauważy, że nosi czerwień, albo czy jego bieg zostanie uznany za dostateczny powód do pościgu. Nawet nie przyszło mu na myśl, że mógłby go dostrzec jakiś Pomor.

W czasie gdy nadbiegał, Lamgwin siedział na ławce przy drzwiach, na rękach trzymał cętkowanego kota. Mężczyzna wstał, by sprawdzić, co się dzieje na drodze, którą przybiegł Rand, nie przestając drapać kota za uszami. Ponieważ nic nie zobaczył, usiadł z powrotem, uważając, by nie zdenerwować zwierzaka.

— Dopiero co jacyś durnie próbowali ukraść koty — wyjaśnił i zanim na nowo zaczął drapać kota, starannie obejrzał swoje kłykcie. — Na kotach robi się niezłe pieniądze ostatnimi czasy.

Rand zauważył, że dwaj mężczyźni noszący biel wciąż stoją po drugiej stronie ulicy, jeden miał podbite oko i opuchniętą szczękę. Obserwował karczmę z kwaśnym grymasem na twarzy i z ponurym zapalem pocierał rękojeść miecza.

— Gdzie jest pan Gill? — spytał Rand.

— W bibliotece — odparł Lamgwin. Uśmiechnął się szeroko, słysząc, że kot zaczyna mrużyć. — Kot nie potrafi długo się czymś zadrećcać, nawet jeśli ktoś usiłuje wpakować go do worka.

Rand wszedł pośpiesznie do karczmy, minął główną salę, jak zwykle pełną o tej porze mężczyzn ubranych na czerwono, pograżonych w rozmowach nad kufkami piwa. Rozmawiali o fałszywym Smoku i o tym, czy Białe Płaszczki będą przyczyną kłopotów, teraz, kiedy już go wywieziono na północ. Nikogo nie obchodziło, co się dzieje z Logainem, wszyscy jednak wiedzieli, że dziedziczka tronu i lord Gawyn wyruszają w podróż z towarzyszącą mu grupą i żaden z tych ludzi nie popierał tego ryzyka, na jakie ich w ten sposób narażano.

Znalazł pana Gilla w bibliotece, grał w kamienie z Loialem. Na stole leżała spasiona, bura kotka. Podkuliła łapki i przypatrywała się dłoniom wędrującym po szachownicy.

Ogir przestawił kolejny kamień, niezwykle delikatnym ruchem, mimo grubych palców. Pan Gill wykorzystał pojawienie się Randa, by móc się odwrócić od stołu. Loial prawie zawsze wygrywał w grze w kamienie.

— Już zaczynałem się niepokoić, gdzieś ty przepadł, chłopcze. Myślałem, że może wdałeś się w kłopoty z tymi zdrajcami, co kłują w oczy bielą, albo że na przykład nadziełeś się na tego żebraka.

Rand stał przez jakąś chwilę z szeroko otwartymi ustami. Zupełnie zapomniał o człowieku przypominającym kłęb szmat.

— Widziałem go — wykrztusił w końcu — ale to nic. Ja spotkałem Królową i Elaidę, stąd całe moje kłopoty.

Pan Gill parsknął śmiechem.

— Ach tak, Królową? Co ty nie powiesz. Jakąś godzinę temu wyrzuciliśmy z głównej izby Garetha Brynesa, który walczył wręcz z lordem kapitanem-przywódcą Synów Światłości, ale Królowa, no... to już coś.

— Krew i popioły — warknął Rand — wszyscy dziś uważają, że ja kłamię.

Cisnął swój płaszcz na oparcie krzesła, a sam osunął się na inne. Był tak zdenerwowany, że nie potrafił rozsiaść się wygodniej. Przycupnął na brzegu i otarł twarz chusteczką.

— Widziałem żebraka i on widział mnie, więc pomyślałem... Nieważne. Wdrapałem się na mur otaczający ogród, skąd mogłem widzieć plac przed Pałacem, do którego zaprowadzili Logaina. I wpadłem do środka.

— Prawie wierzę, że się nie zgrywasz — powiedział wolno karczmarz.

— *Ta'veren* — wymruczał Loial.

— Och, tak naprawdę było — zapewnił ich Rand. — Światłości dopomóż, naprawdę.

W trakcie gdy to mówił, sceptycyzm pana Gilla ulatniał się, ustępując miejsca milczącemu zatrwożeniu. Karczmarz pochylał się coraz mocniej do przodu, tak że w końcu siedział na skraju krzesła tak samo jak Rand. Loial słuchał niewzruszenie i tylko co jakiś czas pocierał swój szeroki nos, a kępki włosów na jego uszach nieznacznie drgały.

Rand zrelacjonował wszystkie wydarzenia, pomijając to, co powiedziała mu szeptem Elaida. I to, co Gawyn powiedział przy bramie Pałacu. O jednym nie chciał myśleć, drugie nie miało z tym wszystkim nic wspólnego.

„Jestem synem Tama al'Thora, nawet jeśli się nie urodziłem w Dwu Rzekach. Jestem! Pochodzę z Dwu Rzek i Tam jest moim ojcem.”

Uświadomił sobie nagle, że przestał mówić, pogrążony w swoich myślach, a oni na niego patrzą. Na moment uległ panice, zastanawiając się, czy przypadkiem nie powiedział za dużo.

— Cóż — powiedział pan Gill — nie masz po co już czekać na swoich przyjaciół. Musisz wyjechać z miasta i to jak najszybciej. Najpóźniej za dwa dni. Czy zdołasz w tym czasie postawić Mata na nogi, czy też mam posłać po matkę Grubb?

Rand obdarzył go zdumionym spojrzeniem.

— Dwa dni?

— Elaida jest doradczynią Królowej Morgase, zaraz po samym kapitanie-generale, Garethcie Bryne. Może nawet przed nim. Jeśli każe Gwardii Królowej cię szukać, lord Gareth nie powstrzyma jej, dopóki nie stanie to na zawadzie innym obowiązkom. Cóż, gwardzistom wystarczy dwa dni na przeszukanie wszystkich karczm w Caemlyn. A to tyle, co powiedzieć, że tylko jakimś ślepym trafem nie dotrą tu już pierwszego dnia, o ile nie w pierwszej godzinie. Może zostanie czasu, jeśli zaczną od „Pod Koroną i Lwem”, ale nie ma co się ociągać.

Rand powoli skinął głową.

— Jeśli nie wyciągnę Mata z łóżka, to pośle pan po matkę Grubb. Zostało mi trochę pieniędzy. Może starczy.

— Zajmę się matką Grubb — burknął karczmarz. — I chyba będę mógł pożyczyć wam parę koni. Gdybyś spróbował iść do Tar Valon piechotą, to już w połowie drogi zdarłbyś te strzępy, które ci zostały z butów.

— Prawdziwy z pana przyjaciel — powiedział Rand. — Wydaje się, że nie przynieśliśmy panu nic prócz kłopotów, a pan nadal chce nam pomagać. Prawdziwy przyjaciel.

Pan Gill wyraźnie się speszył. Wzruszył ramionami, kaszlnął i spuścił oczy. Dzięki temu jego wzrok padł na planszę do gry w kamienie, więc natychmiast go od niej oderwał. Bez żadnej wątpliwości Loial wygrywał.

— No cóż, Thom był zawsze moim najlepszym przyjacielem. Skoro on zechciał dla was zboczyć trochę ze swej drogi, to i ja mogę co nieco zrobić.

— Chciałbym wyruszyć razem z wami, Rand — powiedział niespodziewanie Loial.

— Myślałem, że to już załatwione, Loial. — Zawahał się, bo pan Gill nadal nie znał rozmiarów niebezpieczeństwa, i dodał: — Wiesz, kto szuka mnie i Mata, wiesz, kto nas ściga.

— Sprzymierzeńcy Ciemności — zagrzmiął pogodnie Ogir — a także Aes Sedai i Światłość wie, co jeszcze. Albo Czarny. Wybieracie się do Tar Valon, a rośnie tam piękny gaj, o który jak słyszałem, Aes Sedai dobrze dbają. A zresztą jest dużo więcej do oglądania na tym świecie niż gaje. Jesteś prawdziwym *ta'veren*, Rand. Wzór cię oplata, a ty znajdujesz się w samym jego sercu.

„Ten człowiek znajduje się w sercu tego wszystkiego”. Rand poczuł chłodny dreszcz.

— Nie jestem w sercu niczego — odparł cierpkim tonem.

Pan Gill zamrugał i nawet Loial wydawał się zaskoczony jego gniewem. Karczmarz i Ogir popatrzyli na siebie, a potem wbili wzrok w podłogę. Rand zmusił swą twarz, by złagodniała, głęboko oddychając. O dziwo odnalazł tę próżnię, która ostatnio tak często mu się wymykała, a dzięki niej uspokojenie. Oni niczym nie zasłużyli na jego gniew.

— Możesz jechać, Loial — powiedział. — Nie wiem, po co ci to, ale będę wdzięczny za towarzystwo. Wiesz... wiesz, jaki jest Mat.

— Wiem — odparł Loial. — Nadal nie mogę wyjść na ulicę, bo zaraz gawiedź krzyczy za mną „trollok”. A Mat przynajmniej używa zwykłych słów. Nie próbował mnie zabić.

— Pewnie, że nie — powiedział Rand. — Nie Mat.

„Nie posunąłby się tak daleko. Nie Mat.”

Rozległo się pukanie do drzwi i do środka zajrzała jedna ze służących, Gilda. Miała ściągnięte usta, a w jej oczach czaił się niepokój.

— Panie Gill, proszę zaraz przyjść. W głównej sali są Białe Płaszcz.

Pan Gill poderwał się z przekleństwem na ustach, a strącony ze stołu kot wywędrował z pokoju, naprężając ogon z obrazy.

— Już idę. Biegnij im powiedzieć, że już idę, a potem trzymaj się od nich z daleka. Słyszysz co mówię, dziewczyno? Trzymaj się od nich z daleka. — Gilda pokiwała głową i zniknęła. — Ty lepiej tu zostań — powiedział Loialowi.

Parsknięcie Ogira zabrzmiało jak rozdzieranie prześcieradeł.

— Nie mam najmniejszej ochoty na następne spotkanie z Synami Światłości.

Oko pana Gilla padło na planszę do gry w kamienie i jego nastrój jakby się polepszył.

— Zdaje się, że później będziemy musieli zacząć grę od nowa.

— Nie ma potrzeby. — Loial wyciągnął rękę w stronę półek i wyciągnął jedną z książek. Oprawiony w płótno tom zniknął w jego dłoniach. — Możemy grać dalej od tego miejsca, w którym skończyliśmy. Teraz twoja kolej.

Pan Gill skrzywił się.

— Jak nie jedno, to drugie — mruknął, wychodząc z pokoju.

Rand szedł za nim, ale wolnym krokiem. Podobnie jak Loial nie miał najmniejszej ochoty spotkać się z Synami.

„Ten człowiek jest w sercu tego wszystkiego.”

Zatrzymał się przy drzwiach do głównej sali, skąd widział, co się dzieje w środku, i dostatecznie daleko, by jak na to liczył — nikt go tam nie dojrzał.

W sali panowała głucha cisza. Na samym jej środku stało pięciu Białych Płaszcz, ostentacyjnie ignorowanych przez ludzi siedzących przy stołach. Jeden z nich miał pod słońcem na płaszczu wyszytą dodatkowo srebrną błyskawicę podoficera. Lamgwin stał oparty o ścianę przy frontowych drzwiach, pracowicie czyścił sobie drzazgą paznokcie. Pozostali czterej strażnicy wynajęci przez pana Gilla stali rozstawieni w równych

odstępach pod tą samą ścianą, wszyscy mocno się pilnowali, by nie zwracać uwagi na Białe Płaszcz. Jeśli Synowie Światłości zauważyli cokolwiek, to nie dali tego po sobie poznać. Jedynie podoficer wykazywał jakiejkolwiek emocje, w oczekiwaniu na karczmarza niecierpliwie otrząpywał o dłoń swe rękawice ze stalowymi wierzchami.

Pan Gill przeszedł przez izbę w jego stronę, przezornie zachowując neutralny wyraz twarzy.

— Niechaj was Światłość oświeci — powiedział, kłaniając się starannie, nie głęboko, lecz też nie na tyle lekko, by ten ukłon uznano za lekceważący — i naszą dobrą Królową Morgase. W czym mogę pomóc...

— Nie mam czasu wysłuchiwać twych bzdur, karczmarzu — warknął podoficer. — Byłem już dziś w dwudziestu karczmach, każda po kolei to gorszy chlew niż poprzednia, i odwiedzę jeszcze dwadzieścia do zachodu słońca. Szukam Sprzymierzeńców Ciemności, pewnego chłopca z Dwu Rzek...

Twarz pana Gilla ciemniała z każdym jego słowem. Nadał się tak, jakby miał zaraz eksplodować, aż wreszcie eksplodował, sam teraz wchodząc w słowo Białemu Płaszczowi.

— W moim przybytku nie ma Sprzymierzeńców Ciemności! Tu każdy człowiek jest wiernym poddanym Królowej!

— Tak, a już my wszyscy wiemy, jakie są poglądy Morgase — podoficer wypowiedział imię Królowej z szyderczym grymasem — i jej wiedźmy z Tar Valon, nieprawdaż? — Szuranie krzesel było głośnie. Nagle wszyscy ludzie przebywający w izbie powstali. Stali nieruchomo jak posągi, wszyscy jednak wpatrywali się groźnie w Białe Płaszcz. Podoficer zdawał się tego nie zauważać, lecz stojąca za jego plecami czwórka rozejrzała się niespokojnie dookoła. — Pójdzie nam z tobą łatwiej, karczmarzu — powiedział podoficer — jeśli będziesz współpracował. Czasy nie są łaskawe dla tych, którzy ukrywają Sprzymierzeńców Ciemności. Nie sądzę, by karczma ze smoczym kłębem na drzwiach potrafiła przyciągnąć gości. Nietrudno o pożar, jak się ma coś takiego.

— Wynoście się stąd natychmiast — rzekł spokojnie pan Gill — bo inaczej poślę po gwardzistów Królowej, żeby wywieźli to, co z was zostanie, na śmietnisko.

Miecz Lamgwina wysunął się zgrzytliwie z pochwy i zaraz takie samo chropawe tarcie stali o skórę rozległo się wielokrotnym echem w całej izbie, gdy nagle we wszystkich dłoniach pojawiły się miecze i sztylety. Służące umknęły w stronę drzwi.

Podoficer rozejrzał się dookoła z pełnym pogardy niedowierzaniem.

— Smoczy kieł...

— Ci nie pomoże, kiedy doliczę do pięciu — dokończył za niego pan Gill. Podniósł zaciśniętą pięść i wystawił palec wskazujący. — Jeden...

— Chyba jesteś szalony, karczmarzu, skoro ośmielasz się grozić Synom Światłości.

— Białe Płaszcz nie mają prawa pobytu w Caemlyn. Dwa...

— Naprawdę myślisz, że to się na tym skończy?

— Trzy...

— Wrócimy — warknął podoficer, a potem pośpiesznie dał swym ludziom znak do odwrotu, udając przy tym, że wychodzi zgodnie z instrukcjami i w dogodnym dla siebie momencie. Na zawadzie stanęła mu w tym skwapliwość, z jaką pozostali Synowie ruszyli do drzwi, nie biegiem co prawda, jednak wcale nie tając, że pragną znaleźć się jak najszybciej na zewnątrz.

Lamgwin zastawił drzwi, sobą i swoim mieczem, ustępując drogi dopiero w odpowiedzi na gwałtowne machanie pana Gilla. Kiedy Białe Płaszczce już sobie poszły, karczmarz opadł ciężko na krzesło. Potarł dłonią czoło, a potem zagapił się na tę dłoń, jakby się dziwił, że nie jest pokryta potem. Wszyscy ludzie w izbie usiedli z powrotem, śmiejąc się z tego, co zrobili. Kilku podeszło do pana Gilla, żeby go poklepać po ramieniu.

Na widok Randa karczmarz wstał chwiejnie z krzesła i podszedł do niego.

— Kto by pomyślał, że ze mnie taki bohater — powiedział ze zdumieniem. — Światłości, oświeć mnie. — Otrząsnął się nagle, a jego głos odzyskał już prawie normalną barwę. — Będziecie musieli się ukryć, dopóki jakoś nie wywiozę was z miasta.

Obejrawszy się ostrożnie przez ramię w stronę izby, popchnął Randa w głąb korytarza.

— Ta banda tu wróci — rzekł. — Może też się pojawić kilku szpiegów, którzy za dnia noszą czerwień. Po tym moim skromnym przedstawieniu, wątpię, czy ich obchodzi, czy wy tu jesteście, czy nie, ale postąpią tak, jakbyście tu jednak byli.

— To szaleństwo — zaprotestował Rand. Na gest karczmarza, zniżył głos. — Białe Płaszczce nie mają powodu, żeby mnie szukać.

— Nie wiem, jakie to powody, chłopcze, ale z całą pewnością szukają ciebie i Mata. W coś ty się wdał? Elaida i na dodatek Białe Płaszczce.

Rand podniósł ręce w geście sprzeciwu, ale zaraz pozwolił im opaść. To nie miało żadnego sensu, ale słyszał przecież, co mówił podoficer.

— A co z panem? Białe Płaszczce narobią panu kłopotów nawet jeśli nas nie znajdą.

— Tym się nie przejmuj, chłopcze. Gwardia Królowej nadal broni prawa, nawet jeśli pozwala zdrajcom chełpić się tutaj swą bielą. Jeśli chodzi o noc... cóż, Lamgwin i jego kompani nie zaznają za wiele snu, ale aż mi żal tego, kto spróbuje zostawić znak na moich drzwiach.

Pojawiła się Gilda, dygnęła pośpiesznie przed panem Ginem i powiedziała:

— Panie, jest... jest tu jakaś dama. W kuchni. — Była wyraźnie zgorziona taką kombinacją. — Pyta o pana Randa, sir, i pana Mata, po imieniu.

Rand i karczmarz wymienili zdziwione spojrzenia.

— Chłopcze — powiedział pan Gill — gdyby naprawdę udało ci się ściągnąć lady Elayne z Pałacu do mojej karczmy, to wszyscy skończylibyśmy przed obliczem kata.

Gilda pisnęła na wzmiankę o dziedzicze tronu i obdarzyła Randa okrągłookim spojrzeniem.

— A idźże już stąd, dziewczyno — powiedział ostrym tonem karczmarz. — I nie powtarzaj tego, coś usłyszała. To niczyj interes. — Gilda raz jeszcze dygnęła i zniknęła w korytarzu, ukradkiem oglądając się przez ramię na Randa. — Za pięć minut — westchnął pan Gill — będzie opowiadała innym kobietom, że jesteś księciem w przebraniu. Przed zapadnięciem zmroku będzie o tym głośno w całym Nowym Mieście.

— Panie Gill — powiedział Rand — nie opowiadałem Elayne o Macie. To nie może być...

Nagle jego twarz rozświetlił szeroki uśmiech i pobiegł w stronę kuchni.

— Poczekaj! — zawołał za nim karczmarz. — Poczekaj, dopóki się nie dowiesz. Poczekaj, ty głupcze!

Rand otworzył z rozmachem drzwi do kuchni i znalazł ich tam wszystkich. Moiraine spojrzała na niego spokojnie, bez śladu zdziwienia. Nynaeve i Egwene podbiegły ze śmiechem, by objąć go ramionami, Perrin pchał się tuż za nimi, wszyscy troje poklepywali go po plecach, jakby musieli się przekonać, że to naprawdę on. W drzwiach prowadzących do dziedzińca stajennego stał Lan i nonszalancko wspierając ugiętą w kolanie nogę o framugę, dzielił swą uwagę między kuchnię a zewnętrzny dziedziniec.

Rand usiłował wyściskać obie kobiety i potrząsnąć ręką Perrina, jedno i drugie jednocześnie, i wynikła z tego w rezultacie płatanina rąk i śmiechu, dodatkowo komplikowaną przez Nynaeve, która chciała sprawdzić, czy Rand nie ma gorączki. Wyglądali nie najlepiej — Perrin miał posiniaczoną twarz i nabrał zwyczaju spuszczenia wzroku, czego nigdy dotąd nie robił — ale żyli i znów byli razem. Miał tak ściśnięte gardło, że ledwie mógł mówić.

— Bałem się, że już was nigdy nie zobaczę — wykrztusił wreszcie. — Bałem się, że wszyscy...

— Ja wiedziałam, że wy żyjecie — powiedziała Egwene z twarzą wtuloną w jego pierś. — Cały czas to wiedziałam. Cały czas.

— A ja nie — oświadczyła Nynaeve. Jej głos zabrzmiał w tym momencie ostro, lecz zaraz w następnym złagodniał. Uśmiechnęła się do niego. — Dobrze wyglądasz, Rand. Żadną miarą nie przekarmiony, ale cóż, niech Światłości będą dzięki.

— Cóż — odezwał się stojący za nim pan Gill — domyślam się, że jednak znasz tych ludzi. To właśnie tych przyjaciół szukałeś?

Rand skinął głową.

— Tak, to moi przyjaciele. — Przedstawił ich wszystkich po kolei, choć nadal dziwnie nazywać Lana i Moiraine ich prawdziwymi imionami. Obydwoje lustrowali go przenikliwym wzrokiem, kiedy to robił.

Karczmarz przywitał wszystkich ze szczerym uśmiechem, jednakże poznanie Strażnika, a jeszcze bardziej Moiraine, uczyniło na nim widoczne wrażenie. Zagapił się na nią zupełnie otwarcie — dowiedzieć się, że chłopcom pomaga jakaś Aes Sedai to jedno, a co innego pojawienie się jej w tej kuchni — po czym złożył głęboki ukłon.

— Z radością witam cię w „Błogosławieństwie Królowej”, Aes Sedai, jako swego gościa. Mimo że jak przypuszczam zechcesz się zatrzymać w Pałacu wraz z Elaidą Sedai i tymi Aes Sedai, które przybyły razem z fałszywym Smokiem.

Skłonił się ponownie i obdarzył Randa przelotnym, zafrasowanym spojrzeniem. Można było w sumie stwierdzić, że wprawdzie nie chce mówić nic złego o Aes Sedai, ale bynajmniej nie życzy sobie, by jakakolwiek spała pod jego dachem.

Rand zachęcająco pokiwał głową, próbując go zapewnić bez słów, że wszystko jest w porządku. Moiraine nie przypominała Elaidy, u której za każdym spojrzeniem, za każdym słowem kryła się groźba.

„Jesteś pewien? Nadal jesteś tego pewien?”

— Chyba zostaną tutaj — stwierdziła Moiraine — na czas mojego krótkiego pobytu w Caemlyn. I musi mi pan pozwolić, bym zapłaciła.

Z korytarza leniwym krokiem wszedł kot, z zamiarem otarcia się o łydki karczmarza. Nie zdążył jednak, gdyż spod stołu wyprysnął kłęb szarego puchu, wygiął grzbiet w łuk i zasyczał. Warcząc groźnie, kot przyczaił się i kłęb szarości przemknął jak błyskawica obok Lana w stronę dziedzińca stajennego.

Pan Gill zaczął przeproszać za koty i jednocześnie zarzekał się, że to dla niego zaszczyt gościć u siebie Moiraine, ale czy ona jest pewna, że nie wolałaby zatrzymać się w Pałacu, co on by absolutnie zrozumiał, jakkolwiek ma nadzieję, że ona przyjmie jego najlepszą izbę jako podarunek. Wyszła z tego wszystkiego paplanina, na którą Moiraine zdawała się w ogóle nie zwracać uwagi. Pochyliła się natomiast, by podrapać pomarańczowo-białego kota, który bezzwłocznie porzucił łydki pana Gilla i przytulił się do jej nóg.

— Widziałam tu już cztery koty — powiedziała. — Macie kłopoty z myszami albo szczurami?

— Ze szczurami, Moiraine Sedai. — Karczmarz westchnął. — Straszny kłopot. Żeby tu choć nie utrzymywał czystości, rozumie pani. To wszystko przez ludzi. Całe miasto jest pełne ludzi i szczurów. Ale moje koty mają na to baczenie. Wam się nie dadzą we znaki, obiecuję.

Rand zdołał na moment uchwycić przelotne spojrzenie Perrina, który natychmiast spuścił wzrok. Z oczami Perrina działo się coś dziwnego. I był taki milczący. Perrinowi nieomal zawsze nie było skoro do mówienia, natomiast obecnie nie mówił zupełnie nic.

— Może to wszystko przez ludzi — powiedział.

— Z waszym pozwoleniem, panie Gill — powiedziała Moiraine, jakby przyjęła to wszystko za rzecz zrozumiałą. — Przepędzenie szcurów z waszej ulicy to drobiazg. Jak szczęście dopisze, to nawet nie zauważą, że się je stąd przepędza.

Słyszając to ostatnie pan Gill zmarszczył brew, lecz przyjął jej propozycję z ukłonem.

— Jeśli na pewno nie chcesz się zatrzymać w Pałacu, Aes Sedai — rzekł.

— Gdzie jest Mat? — spytała nagle Nynaeve. — Ona powiedziała, że on też tutaj jest.

— Na górze — odparł Rand. — On... nie czuje się najlepiej.

Nynaeve gwałtownie uniosła głowę.

— Jest chory? Jej zostawię szcury, a nim się sama zajmę. Zaprowadź mnie do niego, Rand.

— Wszyscy pójdziecie na górę — oświadczyła Moiraine. — Dołączę do was za kilka minut. Robimy tłok w kuchni pana Gilla, a dobrze by było, gdybyśmy mogli gdzieś ochłonać. — Jej głos zawierał jeszcze jakąś dodatkową informację.

„Zejdźcie innym z oczu. Jeszcze nie przestaliśmy się ukrywać.”

— Chodźcie — powiedział Rand. — Wejdziemy na górę bocznymi schodami.

Ludzie z Pola Emonda gromadnie poszli za nim do bocznych schodów, pozostawiając Aes Sedai i Strażnika w kuchni razem z panem Gillem. Wciąż do niego nie docierało, że znowu są razem. Było to nieomal tak, jakby wrócił do domu. Nie potrafił opanować szerokiego uśmiechu.

Pozostali najwyraźniej ulegli temu samemu odprężeniu, wprawiającemu ich w stan radosnego uniesienia. Wybuchali śmiechem i stale chwyтали go za ramię. Perrin mówił jakby stłumionym głosem i wiecznie spuszczał głowę, rozgadał się jednak, gdy wchodzili po schodach.

— Moiraine powiedziała, że potrafi odnaleźć ciebie i Mata i to jej się rzeczywiście udało. Kiedy wjechaliśmy do miasta, nie potrafiliśmy się nie gapić...cóż, to znaczy wszyscy z wyjątkiem Lana, oczywiście... na ludzi, domy, na to wszystko. — Gęste pukle jego włosów zakołysały się, kiedy z niedowierzaniem potrząsnął głową. — Tu wszystko jest takie wielkie. I tylu tu ludzi. Niektórzy też się na nas gapili i krzyczeli „Czerwoni czy biali?”, jakby w tym był jakiś sens.

Egwene dotknęła miecza Randa, gładząc palcami czerwoną osłonę.

— Co to oznacza? — spytała.

— Nic — odparł. — Nic ważnego. Jedziemy do Tar Valon, pamiętasz?

Egwene spojrzała na niego, jednak zdjęła rękę z miecza i podjęła opowieść w miejscu, w którym skończył Perrin.

— Tak samo jak Lan, Moiraine też się raczej niczemu nie przyglądała. Tyle razy prowadziła nas tam i z powrotem po tych wszystkich ulicach, jak pies szukający tropu,

że już myślałam, że was tu nie ma. Potem, zupełnie zniemacka, ruszyła w dół jakiejś ulicy i nim się zorientowałam, oddawaliśmy konie stajennym i maszerowaliśmy do kuchni. Nawet nie spytała, czy tam jesteście. Po prostu powiedziała kobiecie wyrabiającej ciasto, żeby powiedziała Randowi al'Thorowi i Matowi Cauthonowi, że ktoś chce się z nimi zobaczyć. I pojawiłeś się — uśmiechnęła się szeroko jak piłeczka wpadająca znikąd do ręki barda.

— Gdzie jest bard? — spytał Perrin. — Czy jest z wami?

Rand poczuł szarpnięcie w żołądku i radość z przebywania wśród przyjaciół przygasła.

— Thom nie żyje — rzekł. — Tak myślę. Pojawił się Pomor... — Nie potrafił powiedzieć nic więcej. Nynaeve potrząsnęła głową, mrużąc coś pod nosem. Cisza zgęstniała wokół nich, tłumiąc chichot, przygaszając radość, i tak doszli do szczytu schodów. — Mat właściwie nie jest chory — powiedział wtedy. — To... zobaczcie... — Otworzył drzwi izby, którą dzielił z Matem. — Spójrz, kto przyszedł, Mat.

Mat nadal leżał zwinięty w kłębek, tak jak Rand go zostawił. Uniósł głowę, by spojrzeć na nich.

— Skąd wiesz, że oni są naprawdę tymi, na kogo wyglądają? — spytał ochryple. Miał zaczerwienioną twarz, skórę napiętą i błyszczącą od potu. — Skąd mam wiedzieć, że jesteście tymi, na kogo wyglądacie?

— Nie jest chory? — Nynaeve obdarzyła Randa wzgardliwym spojrzeniem, przepychając się obok niego i już zdejmując torbę z ramienia.

— Każdy się zmienia — zaskrzyphiał Mat. — Jak mogę być pewien? Perrin? To ty? Zmieniłeś się, prawda? — Jego śmiech zabrzmiał bardziej podobnie do kaszlu. — Och tak, zmieniłeś się.

Ku zdziwieniu Randa Perrin osunął się na skraj drugiego łóżka, objął głowę dłońmi i wbił wzrok w podłogę. Urywany kaszel Mata wydawał się przewiercać go na wylot.

Nynaeve przyklękła obok łóżka Mata i przyłożyła dłoń do jego twarzy, zsuwając chustę opasującą głowę. Cofnęła się gwałtownie przed nią z pogardliwym spojrzeniem. Oczy miał rozjarzone i szkliste.

— Cały płoniesz — powiedziała — ale przy takiej gorączce nie powinieneś się pocić. — Nie potrafiła ukryć zmartwienia w głosie. — Rand, zdobądźcie razem z Perrinem jakieś czyste rzeczy i tyle zimnej wody, ile zdołacie unieść. Najpierw zbiję ci temperaturę, Mat, a...

— Piękna Nynaeve — prychnął Mat. — Wiedząca nie powinna myśleć o sobie jako o kobiecie, prawda? O pięknej kobiecie. Ale ty tak myślisz, prawda? Teraz. Nie potrafisz już zapomnieć, że jesteś piękną kobietą i to cię przeraża. Każdy się zmienia. — Twarz Nynaeve zbieleła, kiedy to mówił — albo z gniewu, albo z jakiegoś innego powodu. Rand nie umiał tego stwierdzić. Mat zaśmiał się urągliwie, a jego rozgorączkowany

wzrok prześlizgnął się na Egwene. — Piękna Egwene — zarechotał. — Piękna jak Nynaeve. A teraz łączą was również inne rzeczy, nieprawdaż? Inne marzenia. O czym teraz marzysz?

Egwene odsunęła się od łóżka.

— Na razie jesteśmy bezpiecznie ukryci przed wzrokiem Czarnego — obwieściła Moiraine, wchodząc do pokoju wraz z idącym tuż za nią Lanem. Gdy przestąpiła próg, jej wzrok padł na Mata i syknęła tak, jakby przypadkiem dotknęła gorącego pieca. — Odejdźcie od niego! — Nynaeve nie zrobiła żadnego ruchu, tylko odwróciła się, by spojrzeć ze zdziwieniem na Aes Sedai. Dwa szybkie kroki — Moiraine chwyciła Wiedzącą za ramiona i powlokła ją po podłodze jak worek zboża. Nynaeve wrywała się i głośno protestowała, jednak Moiraine nie puszczała jej, dopóki Wiedząca nie znalazła się w sporej odległości od łóżka. Nadal protestując, stanęła na nogi, gniewnym ruchem wygładziła suknie, Moiraine natomiast zupełnie ją ignorowała. Obserwowała Mata, nie zważając na resztę otoczenia, takim wzrokiem, jakby on był jadowitym wężem. — Odsuńcie się od niego wszyscy — powiedziała. — I bądźcie cicho.

Mat przypatrywał jej się z jednakim natężeniem. Obnażył zęby w milczącym, wzgardliwym grymasie i zwinął się w jeszcze ciaśniejszy kłębek, ani na moment nie odrywając od niej wzroku. Moiraine stopniowo przybliżała do niego rękę, kładąc ją delikatnie na przyciśniętym do piersi kolanie. Od jej dotyku targnęły nim drgawki, po chwili spazmatyczne drżenie ogarnęło całe ciało i zniemacka wyciągnął rękę, zamierzając się na twarz Aes Sedai sztyletem z rubinową rękojeścią.

Lan, który w jednej chwili stał na progu, w następnej już znajdował się przy łóżku, jakby wcale nie pokonywał dzielącej go przestrzeni. Jego ręka uchwyciła przegub dłoni Mata, zatrzymując cios w połowie, jakby ostrze natrafiło na kamień. Mat wciąż leżał zwinięty w kłębek. Tylko ręka ściskająca sztylet usiłowała się ruszyć, walcząc z żelaznym uściskiem Strażnika. Płonące nienawiścią oczy Mata ani na moment nie opuściły Moiraine.

Moiraine także ani nie drgnęła. Nie cofnęła się przed ostrzem znajdującym się w odległości zaledwie kilku cali od jej twarzy, tak samo, jak tego nie zrobiła, kiedy ją zaatakował.

— Jak to się przy nim znalazło? — spytała stalowym głosem. — Pytałam, czy Mordeth wam coś dał. Spytałam, ostrzegłam, a wy powiedzieliście, że nic wam nie dał.

— Bo nie dał — odparł Rand. — On... Mat zabrał to z komnaty, w której był skarb. — Moiraine spojrzała na niego oczyma, które zdawały się płonąć tak samo, jak oczy Mata. Omal się przed nią nie cofnął, na szczęście odwróciła głowę z powrotem w stronę łóżka. — Nie wiedziałem, dopóki nas nie rozdzielono. Nie wiedziałem.

— Nie wiedziałeś. — Moiraine przyglądała się badawczo Matowi. Wciąż leżał z kolanami podciągniętymi do piersi, nadal warczał na nią bezgłośnie, a jego dłoń

wciąż walczyła z Lanem, dążąc do ugodzenia jej sztyletem. — To niesamowite, że udało wam się z tym zejść tak daleko. Ja poczułam zło, dotyk Mashadara, gdy tylko na niego spojrzałam, natomiast jakiś Pomor wyczułby to z odległości wielu mil. Nawet gdyby nie znał dokładnie miejsca, wiedziałby, że to gdzieś blisko, poza tym Mashadar przyciągałby jego ducha, a w jego kościach ozwałaby się pamięć, że takie samo zło pochłonęło całą armię: Władców Strachu, Pomorów, trolloków i im podobnych. Niektórzy Sprzymierzeńcy Ciemności też by to prawdopodobnie wyczuli. Ci, którzy na zawsze utracili swe dusze. Nie mogą nic na to poradzić, wyczuwanie czegoś takiego owłada nimi, jakby ich świerbiło od samego powietrza. Ulegają przymusowi szukania źródła tego zła. Ono ich do siebie przyciąga tak, jak magnes przyciąga opiłki żelaza.

— Spotykaliśmy Sprzymierzeńców Ciemności — powiedział Rand — i to nie raz, ale im uciekliśmy. I jednego Pomora, w noc poprzedzającą nasz przyjazd do Caemlyn. Nie zauważył nas. — Kaszlnął. — Mówi się, że jakieś dziwne postacie kręcą się nocą wokół miasta. To mogły być trolloki.

— Och, to są trolloki, pasterzu — stwierdził z kwaśną miną Lan. — A tam, gdzie są trolloki, są też Pomory. — Od wysiłku, jaki wkładał w ściskanie ręki Mata, w jego dłoni naprężyły się ścięgna, jednak w głosie nie słychać było napięcia. — Starają się ukryć swój przemarsz, ale ja od dwóch dni znajduję różne znaki. Słyszałem też, co farmerzy i wieśniacy przebąkują o różnych postaciach widywanych nocą. Myrddraalowi udało się jakoś niepostrzeżenie uderzyć na Dwie Rzeki, ale z każdym dniem podchodzą coraz bliżej tych, którzy są władni nasłać na nich żołnierzy. A mimo to już się teraz nie zatrzymają, pasterzu.

— Przecież jesteśmy w Caemlyn — zaprotestowała Egwene. — Nie dopadną nas dopóty, dopóki...

— Nie dopadną? — przerwał jej brutalnie Strażnik. — Pomory gromadzą coraz większe siły w okolicy. Tak wynika ze śladów, jeśli się wie, czego szukać. Już jest więcej trolloków niż potrzebne do pilnowania wszystkich dróg wyjazdowych z miasta, co najmniej kilkanaście taranów. Powód może być tylko jeden: kiedy Pomory zgromadzą dostatecznie liczebne siły, wejdą po was do miasta. Ten czyn może spowodować, że połowa wojsk z południa pomaszeruje do Ziem Granicznych, jednak istnieją dowody, że oni są gotowi pójść na takie ryzyko. Wszyscy trzej zbyt długo już przed nimi uciekacie. Wygląda na to, że z waszego powodu w Caemlyn wybuchnie nowa wojna z trollokami, pasterzu.

Egwene załkała spazmatycznie, a Perrin potrząsnął głową, jakby chciał zaprzeczyć. Rand poczuł, jak skręca mu się żołądek na myśl o trollokach na ulicach Caemlyn. Wszyscy ci ludzie skaczący sobie do gardeł, zupełnie niepomni prawdziwego niebezpieczeństwa, które tylko czeka, by sforsować mury. Co oni zrobią, gdy znienacka znajdą wokół siebie mordujące ich trolloki i Pomory? Wyobraźnia podsuwała mu

płonące wieże, płomienie przeżerające kopuły, trolloków grasujących po krętych ulicach i zaułkach Wewnętrznego Miasta. Sam Pałac w płomieniach. Elayne, Gawyn i Morgase... martwi.

— Jeszcze nie — powiedziała Moiraine roztargnionym głosem. Jej uwaga była wciąż skupiona na Macie. — Gdyby udało nam się jakoś wymknąć z Caemlyn, Półudzi nic tu nie zainteresuje. Gdyby. Tyle tych gdyby.

— Byłoby lepiej, gdybyśmy wszyscy byli martwi — oświadczył niespodzianie Perrin, a Rand poderwał się, słysząc echo własnych myśli. Perrin nadal wpatrywał się w podłogę wzrokiem o mocy pioruna, a w jego głosie słychać było gorycz. — Gdzie nie pojedziemy, ściągamy za sobą ból i cierpienie. Lepiej byłoby dla wszystkich, gdybyśmy byli martwi.

Nynaeve już chciała go zaatakować, z twarzą w połowie rozwścieczoną, a w połowie zmartwioną i pełną lęku, lecz Moiraine ją ubiegła.

— Jaki twoim zdaniem byłby zysk, dla ciebie czy kogoś innego, ze śmierci? — spytała Aes Sedai. Mówiła spokojnym choć ostrym tonem. — Jeśli Pan Grobu zdobył tyle swobody, że mógł, jak się obawiam, dotknąć Wzoru, to z jeszcze większą łatwością dopadnie was martwych niż żywych. Jako martwi nikomu już nie pomożecie, ani ludziom, którzy wam pomogli, ani przyjaciółom ani też swym rodzinom w Dwu Rzekach. Cień zapada nad światem i żaden z was nie stawi mu oporu, jeśli będzie martwy.

Perrin uniósł głowę, by na nią spojrzeć, a Rand wzdrygnął się. Tęczówki oczu przyjaciela były bardziej żółte niż brązowe. Z tymi zmierzwionymi włosami i pełnym napięcia spojrzeniem, było w nim coś... Rand nie potrafił tego przeniknąć, by móc to jakoś określić.

Perrin przemawiał cichym, jednostajnym głosem, który nadawał jego słowom więcej wagi, niż gdyby krzyczał.

— Nie stawimy mu oporu również jako żywi ludzie, prawda?

— Później się będę z tobą kłócić — powiedziała Moiraine — Twój przyjaciel mnie teraz potrzebuje. — Stała z boku, dzięki czemu wszyscy widzieli Mata wyraźnie. Wciąż wpatrywał się w nią wzrokiem przepełnionym wściekłością, nie poruszył się i nie zmienił pozycji. Na twarzy wystąpił mu pot, a wargi wykrzywione niezmiennym grymasem były bezkrwiste. Wydawało się, że całą swoją moc koncentruje na tym, by osiągnąć Moiraine sztyletem przytrzymywanym przez Lana. — Czy może już o nim zapomniałeś?

Perrin z zażenowaniem wzruszył ramionami i nie mówiąc słowa rozłożył ręce.

— Co mu jest? — spytała Egwene, a Nynaeve dodała:

— Czy to zaraźliwe? Mogę się jeszcze nim zająć. Jakoś się nie zaraziłam, niezależnie od tego, co to jest.

— Och, to jest zaraźliwe — powiedziała Moiraine — a twoja... ochrona nie uratuje cię. — Wskazała sztylet z rubinową rękojeścią, uważając, by nie dotknąć go palcem. Ostrze zadrżało, gdy Mat naprężył się, by ją dosięgnąć. — Sztylet pochodzi z Shadar Logoth. Nie ma ani jednego kamyka w tym mieście, który nie byłby skażony i niebezpieczny, by można go było wynieść poza jego mury, a to jest coś większego niż kamyk. Kryje się w nim zło, które zabiło Shadar Logoth, i to zło kryje się teraz także w Macie. Podejrzliwość i nienawiść tak silna, że nawet jego najbliżsi wydają mu się wrogami, zakorzeniona tak głęboko, że w końcu potrafi myśleć tylko o zabijaniu. Wynosząc sztylet poza mury Shadar Logoth uwolnił ziarno zła od tego, co przywiązywało je do miasta. Zło będzie się w nim burzyło, a czasami zanikało, jednakże bitwa w jego wnętrzu już prawie się dokonała i on sam nieomal został pokonany. Wkrótce, jeśli go najpierw nie zabije, będzie szerzył tę plagę wszędzie, gdzie tylko się uda. Tylko jedno zadrapanie tym ostrzem wystarczy, by zarazić i zniszczyć, więc niedługo kilka minut z Matem będzie równie śmiertelne.

Twarz Nynaeve zbiałała.

— Czy możesz coś zrobić? — wyszeptała.

— Mam nadzieję — westchnęła Moiraine. — Przez wzgląd na losy świata, mam nadzieję, że nie jest za późno. — Jej dłoń zagłębiła się w mieszku przymocowanym u pasa i wydobyła zeń owinięty w jedwab *angreal*. — Zostawcie mnie z nim samą. Trzymajcie się razem i znajdźcie jakieś miejsce, w którym was nikt nie będzie widział, ale zostawcie mnie samą. Zrobię dla niego, co będę mogła.

WSPOMNIENIE SNÓW

Ludzie, których Rand poprowadził na dół, byli zupełnie pokonani. Żadne z nich nie chciało teraz rozmawiać ani z nim, ani między sobą. On też nie miał ochoty nic mówić.

Słońce stało już nisko na nieboskłonie, więc na tylnej klatce schodowej karczmy panował mrok, lecz lampy jeszcze nie zostały zapalone. Stopnie przecinały pasma światła i cienia. Twarz Perrina była równie zamknięta jak twarze innych, lecz o ile ich czoła zmarszczył frasunek, jego pozostało gładkie. Rand uznał, że na twarzy przyjaciela maluje się rezygnacja. Zastanawiał się, skąd się wzięła i miał ochotę o to zapytać, lecz gdy tylko Perrin wchodził w plamę głębszego cienia, jego oczy zdawały się wchłaniać wszelkie znajdujące się w niej światło i rozjarzały się miękko niczym wypolerowany bursztyn.

Rand zadrżał i usiłował się skoncentrować na swoim otoczeniu, na ścianach wyłożonych leszczynową boazerią i dębowych poręczach schodów, na przedmiotach mocno osadzonych w codzienności. Kilkakrotnie ocierał dłonie o płaszcz, lecz za każdym razem na nowo występował na nich pot.

„Teraz już wszystko będzie dobrze. Jesteśmy znowu razem i... Światłości, Mat.”

Zaprowadził ich do biblioteki boczną drogą prowadzącą przez kuchnię i unikając ogólnej sali. Niewielu podróżników korzystało z biblioteki; potrafiący czytać zatrzymywali się głównie w elegantszych karczmach w Wewnętrznym Mieście. Pan Gill miał ją bardziej dla własnej przyjemności niżli dla garstki bywalców, którzy co jakiś czas sięgali po lekturę. Rand nie miał ochoty się zastanawiać, dlaczego Moiraine chciała, by nie rzucali się w oczy, ciągle jednak pamiętał podoficera Białych Płaszczy, który zapowiedział, że jeszcze wróci i oczy Elaidy, gdy pytała, gdzie się zatrzymał. Były to dostateczne powody, niezależnie od tego, czego chciała Moiraine.

W bibliotece zrobił jeszcze pięć kroków, nim zauważył, że wszyscy pozostali się zatrzymali, stłoczeni w przejściu, z rozdziawionymi ustami i wytrzeszczonymi oczyma. Na kominku jaskrawa łuna ognia wydawała donośny trzask, a na długiej kanapie leżał zaczytany Loial. Na jego brzuchu drzemał mały czarny kot z podwiniętymi białymi

łapkami. Gdy weszli, zamknął książkę, zaznaczając ogromnym palcem miejsce, w którym skończył czytać, delikatnie zestawiał kota na podłogę i wstał, by złożyć ceremonialny ukłon.

Rand tak się przyzwyczaił do Ogira, że dopiero po chwili pojął, że to Loial jest obiektem tych zagapionych spojrzeń.

— To są ci przyjaciele, na których czekałem, Loial — powiedział. — To Nynaeve, Wiedząca z mojej wioski. To Perrin. A to Egwene.

— A tak — rozpromienił się Loial — Egwene. Rand bardzo dużo opowiadał o tobie. Tak. Ja jestem Loial.

— On jest Ogirem — wyjaśnił Rand i patrzył, jak zmienia się natura ich zdumienia. Mimo że na własne oczy widzieli trolloków i Pomory, spotkanie z legendą, która chodzi i oddycha, nadal szokowało. Uśmiechnął się ponuro na wspomnienie swej pierwszej reakcji na widok Loiala. Im to wyszło lepiej niż jemu.

Loial z łatwością poradził sobie z ich zagapionymi spojrzeciami. Rand przypuszczał, że po doświadczeniach z tłumem krzyczącym „trollok”, specjalnie ich nawet nie zauważył.

— A Aes Sedai, Rand? — spytał Loial.

— Jest na górze z Matem.

Ogir uniósł krzaczastą brew w zamyśleniu.

— A więc jest chory. Proponuję, byśmy wszyscy usiedli. Czy ona do nas dołączy? Tak. Zatem nie ma nic innego do roboty, jak tylko czekać.

Wydawało się, że akt siadania coś poluznił w ludziach z Pola Emonda, jakby wyściełane krzesła, ogień płonący na kominku i kot zwinięty w kłębek przed paleniskiem sprawiły, że poczuli się jak w domu. Usiedli i z miejsca zasypali Ogira pytaniami. Ku zdziwieniu Randa pierwszy przemówił Perrin.

— *Stedding*, Loial. Czy naprawdę można się w nich schronić, jak mówią opowieści? — Pytał z przejęciem, jakby miał jakiś szczególny powód, by o to pytać.

Loial z chęcią opowiedział o *stedding*, o tym, skąd się wziął w „Błogosławieństwie Królowej”, i co widział podczas swych podróży. Rand wkrótce rozsiadł się wygodniej, słuchając tylko częściowo. Słyszał to już wszystko, ze szczegółami. Loial lubił opowiadać i to jak najdłużej, jeśli tylko miał taką okazję. Zazwyczaj zdawał się uważać, że dana historia wymaga dwustu albo trzystuletniego tła, by mogła być zrozumiana. Jego wycucie czasu było bardzo dziwne. Zawsze mówił o opuszczeniu *stedding*, jakby to się stało przed zaledwie kilku miesiącami, a na końcu okazywało się, że nie było go w nim od ponad trzech lat.

Myśli Randa odpływały w stronę Mata.

„Sztylet. Śmiercionośne ostrze, które mogło go zabić tylko dlatego, że nosił je przy sobie. Światłości, nie chcę już żadnych przygód. Jeśli ona go uzdrowi, to wszyscy

powinniśmy pojechać... nie do domu. Nie możemy wracać do domu. Gdzie indziej. Wszyscy pojedziemy do jakiegoś miejsca, w którym nigdy nie słyszano o Aes Sedai albo o Czarnym. Dokądkolwiek.”

Otworzyły się drzwi i przez moment Rand myślał, że wciąż błędzi gdzieś w wyobraźni. Stał tam Mat, mrugał oczami, w zapiętym po szyję płaszczu i czarnym szaliku owiniętym wokół czoła. Potem zobaczył Moiraine, obejmującą Mata za ramię i stojącego za nimi Lana. Aes Sedai przyglądała się uważnie Matowi, tak jak się patrzy na kogoś, kto dopiero co wstał z łoża boleści. Natomiast Lan, jak zawsze, zlustrował wszystko wzrokiem, pozornie wydając się nie patrzeć na nic.

Mat wyglądał tak, jakby nie chorował ani dnia. Obdarzył wszystkich swoim pierwszym, pełnym wahania uśmiechem, jednakże na widok Loiala zagapił się z rozdziawionymi ustami, jakby widział Ogira po raz pierwszy. Wzruszył ramionami, pokręcił głową i przeniósł uwagę na swoich przyjaciół.

— Ja... tego... to znaczy... — Zrobił głęboki wdech. — Ja chyba... ja chyba... zachowywałem się... no... jakby dziwnie. Naprawdę niewiele pamiętam. — Rzucił niespokojne spojrzenie w stronę Moiraine. Uśmiechnęła się porozumiewawczo, więc mówił dalej. — Od Białego Mostu wszystko jest zamglone. Thom i... — Zadrżał, ale mówił dalej. — Im dalej od Białego Mostu, tym wszystko jest bardziej mgliste. W ogóle nie pamiętam, jak przyjechaliśmy do Caemlyn. — Zerknął z ukosa na Loiala. — Niezupełnie. Moiraine Sedai twierdzi, że ja... na górze, ja... ach... — Uśmiechnął się szeroko i nagle naprawdę był znów dawnym Matem. — Nie można winić człowieka za to, co robi, kiedy jest szalony, prawda?

— Zawsze byłeś szalony — powiedział Perrin i przez chwilę on także wydawał się taki jak zawsze.

— Nie — powiedziała Nynaeve. Oczy jej pojaśniały od łez, ale była uśmiechnięta. — Nikt z nas cię nie wini.

Wówczas Rand i Egwene zaczęli mówić jedno przez drugie, przekonując Mata, jacy są szczęśliwi, że widzą go zdrowym, i że tak dobrze wygląda, dodali też kilka żartobliwych komentarzy, że liczą teraz na to, że on skończy ze swoimi sztuczkami, odkąd tak się zabawiono jego kosztem. Mat odpłacał kpiną za kpinę, gdy tylko znalazł oparcie w swojej dawnej buńczuczności. Kiedy usiadł, nadal szeroko się uśmiechając, machinalnie dotknął płaszcza, jakby się upewniał, że coś co miał zatknięte za pas, nadal tam jest. Randowi zaparło dech.

— Tak — powiedziała cicho Moiraine — wciąż ma przy sobie sztylet.

Pozostali ludzie z Pola Emonda nie przestali się śmiać i rozmawiać, Aes Sedai zauważyła jednak jego raptowne nabranie oddechu i rozumiała, co jest przyczyną. Podeszła bliżej do jego krzesła, nie chcąc mówić zbyt głośno. — Nie mogę mu zabrać sztyletu, bo inaczej go zabiję. Więc utrzymywała się zbyt długo i stała się zbyt mocna.

Rozwiązać ją będzie można dopiero w Tar Valon; ja tego nie dokonam, ani też żadna inna Aes Sedai w pojedynkę, nawet z pomocą *angreal*.

— Przecież on już nie wygląda na chorego. — Po chwili namysłu spojrzął na Moiraine. — Dopóki on będzie miał przy sobie sztylet, Pomory będą wiedziały, gdzie jesteśmy. Tak samo niektórzy Sprzymierzeńcy Ciemności. Sama tak powiedziałaś.

— Zapanowałam nad tym jako tako. Jeżeli podejda tak blisko, że będą go mogli wyczuć, to i tak będą nad nami górą. Sczyściłam z niego skazę, Rand, i zrobiłam, co mogłam, by spowolnić jej nawrót, ale ona powróci za jakiś czas, dopóki Mat nie otrzyma pomocy w Tar Valon.

— Dobrze, że się tam wybieramy, prawda? — Pomyślał, że to pewnie ta rezygnacja w jego głosie, wbrew jej nadziejom na coś innego, kazały Moiraine obdarzyć go ostrym spojrzeniem, zanim się odwróciła.

Loial wstał, złożył jej ukłon.

— Jestem Loial, syn Arenta syna Halana, Aes Sedai. *Stedding* ofiarowuje azyl Sługom Światłości.

— Dziękuję ci, Loialu, synu Arenta — odparła sucho Moiraine — ale na twoim miejscu nie witałabym się tak swobodnie. W danym momencie w Caemlyn przebywa jakieś dwadzieścia Aes Sedai i wszystkie prócz mnie są Czerwonymi Ajah. — Loial przytaknął roztropnie, jakby rozumiał. Rand potrafił tylko pokręcić głową z powodu swojej niewiedzy; byłby Światłością Oślepię, gdyby wiedział, o co jej chodzi. — Dziwne, że cię tu spotykam — mówiła dalej Aes Sedai. — Niewielu Ogirów opuszcza *stedding* ostatnimi laty.

— Dawne opowieści mnie uwiodły, Aes Sedai. Dawne księgi napełniły mą nic nie wartą głowę obrazami. Pragnąłem zobaczyć gaje. I miasta, które zbudowaliśmy. Zdaje się, że niewiele jeszcze stoi i jednych i drugich, jednakże skoro budynki są nędzną namiastką drzew, to warto je oglądać. Starsi uważają mnie za dziwaka, że tak mnie ciągnie do podróży. Ja swoje, a oni swoje. Ich zdaniem poza granicami *stedding* nie ma nic godnego oglądania. Być może kiedy powrócę i opowiem im, co widziałem, zmieniają poglądy. Mam taką nadzieję. Że kiedyś tak się stanie.

— Może zmieniają — powiedziała Moiraine głosem pełnym słodyczy. — No cóż, Loialu, musisz mi wybaczyć mą raptowność. To wada ludzkości, wiem. Moi towarzysze i ja musimy natychmiast opracować plan naszej wyprawy. Czy nam wybaczysz?

Teraz była kolej Loiala, żeby przybrać zmieszany wyraz twarzy. Na ratunek pospieszył mu Rand.

— On jedzie z nami. Obiecałem mu to.

Moiraine patrzyła na Ogira, jakby tego nie słyszała, wreszcie skinęła głową.

— Koło obraca się tak, jak chce — mruknęła. — Lan, dopilnuj, by nikt nas nie zaatakował z zaskoczenia. — Strażnik zniknął z izby, prawie bezgłośnie, gdyby

nie szczęk zamykających się za nim drzwi. Zniknięcie Lana zadziało jak sygnał, wszystkie rozmowy urwały się. Moiraine podeszła do kominka, a kiedy się odwróciła, oczy wszystkich skupiły się na niej. Mimo iż była drobnej budowy, swoją obecnością dominowała nad całą grupą. — Nie możemy zostać zbyt długo w Caemlyn, nie jesteśmy też bezpieczni w „Błogosławieństwie Królowej”. W mieście są już oczy Czarnego. Jeszcze nie znalazły tego, czego szukają, bo inaczej już przestałyby się rozglądać. To mamy na naszą przewagę. Rozmieściłam zabezpieczenia, aby ich nie dopuścić, a zanim Czarny się zorientuje, że jest taka część miasta, do której nawet szczury już się nie prześlizgną, nas już tu nie będzie. Jednakże każde zabezpieczenie, które zawróci stąd człowieka, jak ogień latarni morskiej przysłuży się Myrddraalowi, a poza tym w Caemlyn są Synowie Światłości, którzy szukają Perrina i Egwene.

Randowi wyrwał się jakiś dźwięk, a Moiraine uniosła brew w jego stronę.

— Myślałem, że oni szukają mnie i Mata — powiedział.

Słyszając to wyjaśnienie Aes Sedai uniosła obydwie brwi.

— Co każe ci myśleć, że Białe Płaszczki szukają właśnie was?

— Słyszałem jednego z nich, jak mówił, że szukają kogoś z Dwu Rzek. Sprzymierzeńca Ciemności, powiedział. Co innego miałem pomyśleć? Mam szczęście, że jeszcze w ogóle potrafię myśleć, pomimo tych wszystkich wydarzeń.

— Wiem, że trudno się w tym wszystkim połapać, Rand — wtrącił Loial — lecz przecież ty potrafisz myśleć znacznie jaśniej. Synowie Światłości nienawidzą Aes Sedai. Elaida nie...

— Elaida? — przerwała mu raptownie Moiraine. — Co ma z tym wszystkim wspólnego Elaida Sedai?

Patrzyła na Randa tak twardym wzrokiem, że miał ochotę uchylić się w tył.

— Chciała mnie wtrącić do więzienia — powiedział wolno. — Ja tylko chciałem popatrzeć na Logaina, ale ona nie wierzyła, że znalazłem się przypadkiem w ogrodach pałacowych, w towarzystwie Elayne i Gawyna. — Wszyscy zapatrzyli się na niego z takim zdumieniem, jakby mu nagle wyrosło trzecie oko, wszyscy z wyjątkiem Loiala. — Królowa Morgase pozwoliła mi odejść. Powiedziała, że brak jakichkolwiek dowodów, że chciałem zrobić coś złego i że ona będzie przestrzegała prawa, niezależnie od tego, co podejrzewa Elaida. — Potrząsnął głową, wspomnienie Morgase w całym jej blasku sprawiło, że na moment zapomniał, że wszyscy na niego patrzą. — Czy do was dociera, że ja się spotkałem z Królową? Ona jest taka piękna, zupełnie jak te Królowe z opowieści. Tak samo Elayne. I Gawyn... Polubiłbyś Gawyna, Perrin. Perrin? Mat? — Nadal wpatrywali się w niego. — Krew i popioły, ja tylko wspiąłem się na mur, żeby popatrzeć na fałszywego Smoka. Nie zrobiłem nic złego.

— To właśnie zawsze powtarzam — powiedział szyderym tonem Mat, mimo że na jego twarzy pojawił się znienacka szeroki uśmiech.

— Kto to jest Elayne? — spytała Egwene ostentacyjnie neutralnym głosem.

Moiraine fuknęła gniewnie.

— Królowa — odparł Perrin, kręcąc głową. — Ty to naprawdę masz przygody. My spotkaliśmy tylko Druciarzy i kilka Białych Płaszczy. — Unikał spojrzenia na Moiraine w sposób tak jawny, że to nie mogło umknąć uwadze Randa. Perrin dotknął swej posiniaczonej twarzy. — W sumie śpiewanie z druciarzami było znacznie bardziej zabawne niż z Białymi Płaszczami.

— Lud Wędrowców żyje dla swych pieśni — powiedział Loial. — Właściwie dla wszystkich pieśni. A przynajmniej dla samego ich poszukiwania. Spotkałem kilku Tuatha'anów parę lat temu, pragnęli nauczyć się pieśni, które my śpiewamy drzewom. Prawdę powiedziawszy drzewa nie chcą już za bardzo słuchać i mało który Ogir uczy się pieśni. Posiadam pewien szczątek tego talentu, więc Starszy Arent nalegał, bym się uczył. Nauczyłem Tuatha'anów tyle, ile byli w stanie się nauczyć, jednakże drzewa zupełnie nie słuchają ludzi. Dla Ludu Wędrowców były to tylko pieśni i tak też je odebrali, bowiem żadna z tych pieśni nie była tą, której poszukują. Dlatego też nazywają przywódcę każdej swej grupy Poszukującym. Czasami przyjeżdżają do Stedding Shangtai. Niewielu ludzi to robi.

— Jeśli pozwolisz, Loialu — powiedziała Moiraine, lecz on chrząknął nagle i mówił dalej potoczystym łoskotem, jakby się bał, że ona go zatrzyma.

— Właśnie sobie coś przypomniałem, Aes Sedai, coś, o co zawsze chciałem zapytać jakąś Aes Sedai, jeśli taką spotkam, bo wy wiecie tyle rzeczy i macie w Tar Valon wielkie biblioteki, a teraz, skoro cię spotkałem i... czy mogę?

— Tylko się streszczaj — odparła szorstkim tonem.

— Streszczać — powtórzył, jakby się zastanawiał, co to znaczy. — Tak. Dobrze. Będę streszczać. Całkiem niedawno temu do Stedding Shangtai przybył pewien człowiek. To samo w sobie nie było aż tak niezwykle, bowiem wielu uchodźców przybywa do Grzbietu Świata, uciekając przed tym, co wy ludzie nazywacie Wojną o Aiel. — Rand uśmiechnął się szeroko. Całkiem niedawno temu: prawie przed dwudziestoma laty. — Był bliski śmierci, choć na jego ciele nie było ani śladu najmniejszej rany. Starsi uznali, że mogło to być coś, co zrobiły mu Aes Sedai — Loial spojrział przepraszająco na Moiraine — bo natychmiast wydobrzał, jak tylko znalazł się w *stedding*. Po kilku miesiącach, któreś nocy, odszedł, nie mówiąc nikomu ani słowa, po prostu wymknął się, gdy księżyc zaszedł. — Spojrzał na twarz Moiraine i znowu chrząknął. — Tak. Już streszczam. Zanim odszedł, opowiedział pewną ciekawą historię, którą, jak przyznał, chciał zanieść do Tar Valon. Powiedział, że Czarny zamierza oślepić Oko Świata i zabić Wielkiego Węża, zabić sam czas. Starsi orzekli, że jest on tak samo zdrowy na umyśle, jak na ciele, ale tak właśnie powiedział. Ja zaś chciałem zapytać, czy Czarny może zrobić coś takiego? Zabić sam czas? I Oko Świata? Czy może oślepić oko Wielkiego Węża? Co to znaczy?

Rand spodziewał się nieomal wszystkiego po Moiraine, z wyjątkiem tego, co zobaczył. Zamiast udzielić Loialowi odpowiedzi, albo powiedzieć, że teraz nie ma na nią czasu, stała w miejscu, patrząc na Ogira, marszcząc w zamyśleniu czoło.

— To samo mówili nam Druciarze — powiedział Perrin.

— Tak — dodała Egwene — opowieść o Aiel.

Moiraine wolno odwróciła głowę. Nie poruszyła żadną inną częścią ciała.

— Jaka opowieść?

Patrzyła na nich wzrokiem pozbawionym wszelkiego wyrazu, Perrin jednak był zmuszony wziąć głęboki oddech, choć kiedy się odezwał, mówił tak samo rozważnie jak zawsze.

— Druciarze, którzy przepawali się przez Pustkowie, twierdzą, że potrafią to zrobić bez żadnego uszczerbku dla siebie, znaleźli grupę Aiel umierających po bitwie z trollokami. Zanim umarła ostatnia, bo to najwyraźniej były same kobiety, powiedziała Druciarzom to samo, co właśnie powiedział Loial. Czarny, nazywały go Tym Który Odbiera Wzrok, ma zamiar oślepić Oko Świata. To stało się zaledwie trzy lata temu, nie dwadzieścia. Czy to cośkolwiek oznacza?

— Być może wszystko — stwierdziła Moiraine. Jej twarz pozostała nieruchoma, lecz Rand miał uczucie, że jej mózg wręcz cwałuje za tymi ciemnymi oczami.

— Ba'alzamon — powiedział nagle Perrin. To imię sprawiło, że zamarli wszystkie dźwięki w izbie. Wydawało się, że wszyscy przestali oddychać. Perrin popatrzył na Randa, potem na Mata, oczyma dziwnie spokojnymi i jeszcze bardziej żółtymi niż dotąd. — Zastanowiło mnie wtedy, gdzie wcześniej słyszałem tę nazwę... Oko Świata. Teraz sobie przypominam. A wy?

— Nie chcę niczego pamiętać — odparł nienaturalnym głosem Mat.

— Musimy jej powiedzieć — ciągnął dalej Perrin. — Teraz to ważne. Dłużej już nie możemy trzymać tego w tajemnicy. Rozumiesz to, prawda, Rand?

— Gadajcie, o co chodzi? — Głos Moiraine brzmiał szorstko i wydawała się przygotowywać na cios. Jej wzrok był utkwiony w Randa.

Nie chciał odpowiedzieć. Nie chciał niczego pamiętać, podobnie jak Mat, niemniej jednak pamiętał — i wiedział, że Perrin ma rację.

— Ja... — Popatrzył na swych przyjaciół. Mat skinął głową z niechęcią a Perrin zdecydowanie, lecz ostatecznie obydwaj dali znak. Nie musiał stawiać jej czoła samotnie. — Mieliliśmy... sny. — Potarł miejsce na palcu, w które ukłuł go cień, przypominając sobie krew po przebudzeniu. Przypominając sobie z uczuciem mdłości opaleniznę na twarzy innym razem. — Tylko, że być może nie były to całkiem sny. Był w nich Ba'alzamon. — Wiedział, dlaczego Perrin tak go nazwał; tak było łatwiej, niż powiedzieć, że w jego własnych snach, w jego własnej głowie był Czarny. — Mówił... mówił różne rzeczy, ale raz powiedział, że Oko Świata nie będzie mi nigdy służyć. — Przez chwilę wewnątrz jego ust było suche jak piach.

— Mnie powiedział to samo — powiedział Perrin, a Mat westchnął ciężko i pokiwał głową. Rand stwierdził, że na powrót ma ślinę w ustach.

— Nie gniewasz się na nas? — spytał Perrin wyraźnie zdziwiony, a Rand stwierdził, że Moiraine nie wygląda na zagniewaną. Przypatrywała im się, lecz jej oczy pozostały czyste i spokojne, nawet jeśli pełne niepokojów.

— Bardziej na siebie niż na was. Ale ja przecież was pytałam, czy macie dziwne sny. Pytałam na samym początku. Mimo iż jej głos pozostał beznamiętny, w oczach pojawił się błysk gniewu, który natychmiast zniknął. — Gdybym się od razu dowiedziała, to mogłabym... Nie było Śniącej w Tar Valon od blisko tysiąca lat, ale mogłam spróbować. Teraz jest za późno. Za każdym razem, kiedy Czarny was dotyka, ułatwia sobie następne dotknięcie. Być może moja obecność może nadal was przed czymś osłonić, ale i tak... Pamiętacie te historie o Przeklętych, którzy przywiązywali do siebie ludzi? Silnych ludzi, ludzi, którzy od samego początku walczyli z Czarnym. Te historie są prawdziwe, a żaden z Przeklętych nie ma dziesiątej siły swego pana, ani Aginor czy Lanfear, Balthamel czy Demandred, nawet sam Ishamael, Zdrajca Nadziei.

Rand widział, że Nynaeve i Egwene patrzą na niego, na wszystkich trzech, na niego, Mata i Perrina. Na obliczach obu kobiet, obliczach, z których odpłynęła wszelka krew, malowała się mieszanina strachu i zgrozy.

„Czy one boją się o nas czy nas?”

— Co możemy zrobić? — spytał. — Coś na pewno można.

— Trzymajcie się blisko mnie — odparła Moiraine — to pomoże. Odrobinę. Pamiętajcie, że zabezpieczenie uzyskane dzięki dotykaniu Prawdziwego Źródła rozciąga się trochę dookoła mnie. Ale nie zawsze możecie być blisko. Możecie się bronić, jeśli macie na to siłę, lecz tej siły i woli musicie szukać w samych sobie. Tego dać wam nie mogę.

— Sądzę, że ja już znalazłem swoje zabezpieczenie — powiedział Perrin, bardziej z rezygnacją niż zadowoleniem.

— Tak — powiedziała Moiraine — myślę, że znalazłeś. Wpatrywała się w niego długo, aż w końcu spuścił wzrok, lecz jeszcze wtedy stała i zastanawiała się. W końcu zwróciła uwagę na pozostałych. — Macie w sobie bariery, które zagradzają drogę mocy Czarnego. Ugnijcie się choć na chwilę, a przywiąże powróż do waszych serc, powróż, którego być może nigdy nie będziecie mogli przeciąć. Poddacie się i już należycie do niego. Stawicie mu opór i jego moc nic nie zdziała. Nie jest to łatwe, kiedy on dotyka waszych snów, ale to się da zrobić. Nadal może posyłać Półudzi, trolloków, draghkarów i inne stworzenia przeciwko wam, ale nie może was pojąć, dopóki mu na to nie pozwolicie.

— Już same Pomory wystarczą — powiedział Perrin.

— Nie chcę, by znowu wszedł mi do głowy — warknął Mat. — Czy nie ma sposobu, aby go odpędzić?

Moiraine potrząsnęła głową.

— Loial nie ma się czego obawiać, podobnie Egwene i Nynaeve. Z całej masy ludzkości Czarny może dotknąć człowieka tylko przypadkiem, chyba że ta osoba tego chce. Jednakże przynajmniej przez jakiś czas wy trzej jesteście najważniejsi dla Wzoru. Przędzie się Splot Przeznaczenia i każde jego pasmo wiedzie prosto do was. Co jeszcze powiedział wam Czarny?

— Nie pamiętam wszystkiego dokładnie — powiedział Perrin. — Coś o tym, że jeden z nas został wybrany, coś właśnie takiego. Pamiętam, jak się śmiał — zakończył niewesołym głosem — z tych, przez których zostaliśmy wybrani. Powiedział, że ja... że my będziemy mu służyć albo zginiemy. A potem i tak będziemy mu służyć.

— Powiedział, że zasiadająca na Tronie Amyrlin będzie się starała nas wykorzystać — dodał Mat, a jego głos ścichł, kiedy sobie przypomniał, komu to mówi. Przełknął z trudem ślinę i mówił dalej. — Opowiadał, jak Tar Valon wykorzystuje, podał jakieś imiona. Davian, zdaje mi się. Ale też nie najlepiej pamiętam.

— Raolin Darksbane — podpowiedział Perrin.

— Tak — powiedział Rand, marszcząc brew. Usiłował całkowicie zapomnieć te sny. Nieprzyjemnie je było teraz wspominać. — Innym był Yurian Stonebow i Guaire Amalasan. — Urwał nagle, mając nadzieję, że Moiraine nie zauważy tego. — Żadnego z nich nie znam.

Rozpoznał jednak jednego z nich, teraz kiedy wyłowił ich z głębin pamięci. Imię, od wypowiedzenia którego powstrzymał się w ostatniej chwili. Logain. Fałszywy Smok.

„Światłości! Thom powiedział, że to niebezpieczne imiona. Czy o to chodziło Ba'alzamonowi? Że Moiraine chce wykorzystać jednego z nas jako fałszywego Smoka? Aes Sedai polują na fałszywych Smoków, nie wykorzystują ich. Czyżby? Światłości dopomóż, naprawdę?”

Moiraine patrzyła na niego, ale nie potrafił nic wyczytać z jej twarzy.

— Czy ich znasz? — spytał. — Czy te imiona cokolwiek oznaczają?

— Ojciec Kłamstw to dobre imię dla Czarnego — odparła Moiraine. — On zawsze zaszczerpał robaka wątpliwości, gdziekolwiek mógł. Ten robak wyżera ludziom mózg jak rak. Ten, kto wierzy Ojcu Kłamstw, stawia pierwszy krok ku poddaniu się. Pamiętajcie, kiedy poddacie się Czarnemu, on was posiadzie.

„Aes Sedai nie kłamią, jednakże ich prawda nie zawsze jest tym, czym się wydaje.” Tak powiedział Tam, a poza tym ona właściwie nie odpowiedziała na pytanie. Nie zmieniał wyrazu twarzy i trzymał ręce nieruchomo na kolanach, starając się nie ocierać spoconych dłoni o spodnie.

Egwene płakała cicho. Nynaeve objęła ją ramionami, ale sama wyglądała na bliską płaczu. Rand nieomal żałował, że tego nie potrafi.

— Oni są wszyscy *ta'veren* — powiedział nagle Loial. Cały promieniał, że otwiera się przed nim taka perspektywa, że z tak bliska będzie mógł obserwować, jak oplata ich Wzór. Rand popatrzył na niego z niedowierzaniem i nieco speszony Ogir wzruszył ramionami, ale to nie wystarczyło, by przytłumić jego niecierpliwość.

— To prawda — powiedziała Moiraine. — I to aż trzech, mimo że spodziewałam się jednego. Wydarzyło się mnóstwo rzeczy, których się nie spodziewałam. Te wieści dotyczące Oka Świata wiele zmieniają. — Umilkła i zmarszczyła brwi. — Od jakiegoś czasu Wzór rzeczywiście zdaje się wirować wokół was trzech, tak jak mówi Loial, a ten wir będzie rozpędzał się coraz szybciej, zanim ustanie. Bycie *ta'veren* oznacza czasami, że Wzór jest zmuszony nagiąć się do was, a czasami to on narzuca tę drogę, którą macie podążać. Splot wciąż może się tkać na wiele sposobów, a niektóre z jego układów mogą być katastrofalne. Dla was, dla świata. Nie możemy zostać w Caemlyn, ale niezależnie od tego, którą drogę wybierzemy, Myrddraale i trolloki dopadną nas, zanim ujedziemy dziesięć mil. I właśnie w tym momencie słyszymy o zagrożeniu dla Oka Świata, nie z jednego źródła, ale z trzech, przy czym każde wydaje się być niezależne od pozostałych. Wzór wymusza naszą drogę. Wzór wciąż się tka wokół was trzech, tylko jaka dłoń ustawia osnowę, a jaka kontroluje wątek? Czyżby mury więzienia Czarnego aż tak osłabły, że może wywierać taki wpływ?

— To niepotrzebne gadanie! — wtrąciła ostro Nynaeve. — Tylko ich nastraszysz.

— Ale nie ciebie? — spytała Moiraine. — Mnie to przeraża. Cóż, być może masz rację. Nie należy dopuszczać, by strach wpływał na nasze postępowanie. Czy jest to pułapka, czy też ostrzeżenie, które przyszło w samą porę, trzeba zrobić to, co trzeba, a to oznacza szybkie dotarcie do Oka Świata. Zielony Człowiek musi się dowiedzieć o tej groźbie. — Rand wzdrygnął się. „Zielony człowiek?” Pozostali też spojrzeli zdziwieni, wszyscy prócz Loiala, na którego szerokiej twarzy pojawiło się zmartwienie. — Nie mogę ryzykować i zatrzymać się w Tar Valon po pomoc — kontynuowała Moiraine. — Czas nas niewoli. Nawet jeśli uda nam się niepostrzeżenie wymknąć z miasta, upłynie wiele tygodni, zanim dotrzemy do Ugoru, a obawiam się, że nie mamy już tygodni.

— Ugór! — Rand usłyszał chóralne echo swego głosu, lecz Moiraine zignorowała ich wszystkich.

— Wzór zawiera w sobie kryzys i jednocześnie sposób na jego przezwyciężenie. Gdybym nie wiedziała, że to niemożliwe, nieomal bym uwierzyła, że sam Stwórca bierze w tym udział. Jest pewien sposób. — Uśmiechnęła się, jakby to był tylko dla niej zrozumiały żart i zwróciła się do Loiala. — Tu w Caemlyn był kiedyś gaj Ogira i Nowe Miasto wyrasta teraz na jego miejscu, więc Brama musi być wewnątrz murów. Wiem, że obecnie niewielu Ogirów zna Drogi, ale taki, który ma talent i zna stare Pieśni Sadzenia powinien posiadać taką wiedzę, nawet jeśli uważa, że ona nigdy nie zostanie wykorzystana. Czy znasz Drogi, Ogirze?

— Znam, Aes Sedai, ale... — odparł Ogir przestępując nerwowo z nogi na nogę.

— Czy potrafisz w Drogach odszukać szlak wiodący do Fal Dara?

— Nigdy nie słyszałem o Fal Dara — odparł Loial z wyraźną ulgą.

— Za czasów Wojen z Trollokami to miasto było znane jako Mafal Dadaranell. Czy znasz tę nazwę?

— Znam ją — odparł z niechęcią Loial — ale...

— A zatem znajdziesz dla nas drogę — oświadczyła Moiraine. — Ciekawy obrót spraw, doprawdy. Nie możemy ani zostać, ani wyjechać normalnym sposobem, dowiaduję się o groźbie dla Oka, i jednocześnie znajduję kogoś, kto może nas tam zabrać w ciągu kilku dni. Czy jest to Stwórca, czy los, czy nawet Czarny, Wzór wybrał dla nas drogę.

— Nie! — zadudnił Loial głosem jak grom. Wszyscy spojrzeli na niego, a on zamrugał, gdy poczuł, ile uwagi jest na nim skupione, ale w jego słowach nie słyhać było wahania.

— Jeśli wejdziemy do Dróg, to wszyscy umrzemy... albo połknie nas Cień.

DECYZJE I OBJAWIENIA

Aes Sedai wydawała się rozumieć, o co chodziło Loialowi, nic jednak nie powiedziała. Loial wbił wzrok w podłogę, trąc się pod nosem grubym palcem, jakby się spieszył swoim wybuchem. Nikt nie miał ochoty się odezwać.

— Dlaczego? — spytał w końcu Rand. — Dlaczego mamy umrzeć? Co to są Drogi?

Loial zerknął na Moiraine. Obróciła się i usiadła na krześle stojącym przed kominkiem. Mały kot przeciągnął się, wczepiając pazurami w kamienny brzeg paleniska i ospałym krokiem podszedł do jej nóg, by otrzeć o nie głowę. Podrapała go za uszami jednym palcem. Mruczenie kota stanowiło dziwaczny kontrapunkt dla spokojnego głosu Aes Sedai.

— Ty się na tym znasz, Loial. Drogi to nasze jedyne dojście do bezpieczeństwa, nasz jedyny sposób na przechytrzenie Czarnego, nawet jeśli tylko na jakiś czas, jednakże to ty winienes o nich opowiedzieć.

Jej słowa raczej nie uspokoiły Ogira. Zanim zaczął opowieść, poprawił się nerwowo na krześle.

— W Czasie Szaleństwa, kiedy świat wciąż był pęknięty, a ziemia się wypiętrzała, ludzkość była rozproszona niczym pył na wietrze. My Ogirowie także byliśmy rozproszeni, wyparci ze *stedding* na wygnanie i długą tułaczkę, a tęsknota wryła się głęboko w nasze serca. — Ponownie zerknął z ukosa na Moiraine. Jego długie brwi ściągnęły się w kształcie dwóch punktów. — Spróbuję się streszczać, ale nie jest to coś, co można streścić. Mówić muszę teraz o innych, o tych niewielu Ogirach, którzy trwali w swoim *stedding*, podczas gdy świat wokół nich ulegał rozdarciu. I o Aes Sedai... — unikał teraz patrzenia na Moiraine — męskich Aes Sedai, którzy owładnięci szaleństwem niszczyli świat, mimo że to ich zabijało. To tym Aes Sedai, tym, którym dotychczas udało się uniknąć szaleństwa, jako pierwszym *stedding* ofiarowało swój azyl. Wielu z nich go przyjęło, bowiem w *stedding* byli chronieni przed skazą Czarnego, która zabijała ich gatunek. Jednakże zostali odcięci od Prawdziwego Źródła. Nie tylko nie mogli już władać Jediną Mocą, albo dotykać Źródła; nie czuli już nawet, że Źródło istnieje. Ostatecznie żaden z nich nie mógł wytrzymać izolacji i jeden po drugim

opuszczali *stedding*, mając nadzieję, że do tego czasu skaza zdążyła już zniknąć. Tak się nigdy nie stało.

— Niektóre w Tar Valon — powiedziała cicho Moiraine — twierdzą, że sanktuarium Ogirów przedłużyło Pęknięcie i jeszcze je pogorszyło. Inne mówią, że gdyby tym wszystkim mężczyznom pozwolono od razu oszaleć, na świecie nic by nie zostało. Wywodzę się od Błękitnych Ajah, Loialu, w odróżnieniu od Czerwonych Ajah my się skłaniamy do tego drugiego poglądu. Sanktuarium pomogło uratować to, co mogło być uratowane. Kontynuuj, proszę.

Loial skinął z wdzięcznością głową. Uwolniony od problemu, zauważył Rand.

— Jak powiedziałem — ciągnął Ogir — Aes Sedai, Aes Sedai rodzaju męskiego, odeszli. Przed odejściem jednak dali Ogirom podarunek w podzięce za ofiarowanie im azylu. Drogi. Przechodzi się przez Bramę, wędruje cały dzień i wychodzi przez inną Bramę sto mil od miejsca, z którego się zaczęło. Albo pięćset. Czas i przestrzeń są dziwne w Drogach. Różne ścieżki, różne mosty prowadzą do różnych miejsc i czas zajmujący dotarcie do nich zależy od tego, którą się drogę wybrało. To był wspaniały dar, który z czasem stał się jeszcze wspanialszy, bowiem Drogi nie należą do tego świata, który widzimy wokół nas, ani też do żadnego świata, który je otacza. Dzięki temu darowi Ogirowie chcący dotrzeć do jakiegoś *stedding* nie musieli podróżować po świecie, na którym jeszcze po Pęknięciu ludzie musieli walczyć jak zwierzęta o swoje przeżycie, a poza tym Pęknięcie nie dosięgło Dróg. Kraina dzieląca dwa *stedding* mogła ulec rozdarciu na głębokie kaniony albo wypiętrzyć w postaci górskich łańcuchów, jednakże na łączącej je Drodze ta zmiana nie następowała.

Kiedy ostatni Aes Sedai opuścili *stedding*, dali Starszym klucz, talizman, który można było użyć do hodowania. Drogi i Bramy są w pewnym sensie żywymi istotami. Ja tego nie rozumiem, żaden Ogir tego nigdy nie rozumiał i nawet Aes Sedai zapomniały, jak się dowiaduję. Po upływie lat nasze wygnanie skończyło się. Kiedy ci Ogirowie, którzy otrzymali dar od Aes Sedai, znaleźli *stedding*, do którego powrócili z długiej tułaczki inni Ogirowie, wyhodowali do niego Drogę. Korzystając z umiejętności wznoszenia kamiennych budowli, którą nabyliśmy podczas wygnania, wybudowaliśmy ludziom miasta i zasadziliśmy gaje, by dać wytchnienie Ogirom, którzy budowali, aby nie pokonała ich tęsknota. Wyhodowano Drogi do gajów. Przy Mafal Dadaranell stał kiedyś gaj i Brama, ale miasto zostało zrównane z ziemią podczas Wojen z Trollokami, nie został się kamień na kamieniu, a gaj został wycięty i spalony w ogniskach trolloków.

Nie było wątpliwości, którą z tych zbrodni uważa za największą.

— Bramy nie dały się zniszczyć — powiedziała Moiraine — tak samo jak ludzie. W Fal Dara wciąż żyją ludzie, mimo że nie jest to tamto wspaniałe miasto zbudowane przez Ogirów, a także Brama ciągle jeszcze tam stoi.

— Jak oni je stworzyli? — spytała Egwene, swym zadziwionym spojrzeniem ogarniając zarówno Moiraine jak i Loiala. — Aes Sedai, mężczyźni. Jeśli nie potrafili użyć Jedynej Mocy w *stedding*, to jak mogli stworzyć Drogi? Czy w ogóle używali Mocy? Ich część Prawdziwego Źródła została skażona. Jest skażona. Wciąż zbyt mało wiem o tym, co potrafią dokonać Aes Sedai. Może to głupie pytanie.

— Na granicy każdego *stedding* stoi Brama, ale stoi ona na zewnątrz — wyjaśnił Loial. — Twoje pytanie nie jest głupie. Znalazłaś ziarno prawdy, dlaczego nie odważamy się podróżować Drogami. Żaden Ogir nie używał Dróg za mojego życia, ani też przedtem. Zgodnie z edyktem Starszych, wszystkich Starszych we wszystkich *stedding*, nikt tego nie może, ani człowiek ani Ogir.

Drogi zostały stworzone przez ludzi władających Mocą zanieczyszczoną przez Czarnego. Około tysiąca lat temu, podczas wojny, którą wy ludzie nazywacie Wojną Stuletnią, Drogi zaczęły się zmieniać. Na początku tak wolno, że nikt tego nawet nie zauważył, robiły się wilgotne i mroczne. Potem ciemność ogarnęła mosty. Niektórych, którzy tam weszli, nigdy już nie zobaczono. Inni podróżnicy mówili, że coś ich obserwowało z ciemności. Rosły liczby tych, którzy zniknęli, a ci, którzy stamtąd wyszli popadali w szaleństwo i bredzili coś o *Machin Shin*, Czarnym Wietrze. Uzdrowicielki Aes Sedai potrafiły niektórym pomóc, ale nawet z pomocą Aes Sedai nigdy już nie byli tacy sami. I nie potrafili sobie przypomnieć, co się tam zdarzyło. Tak to wyglądało, jakby ciemność przesiąknęła ich aż do kości. Nigdy już się nie śmiali i bali się dźwięku wiatru.

Przez chwilę w izbie panowała cisza przerywana jedynie mruczeniem kota, wylegującego się obok krzesła Moiraine, oraz trzaskiem plującego iskrami ognia.

I nagle Nynaeve wybuchnęła ze złością:

— I ty się spodziewasz, że wejdziemy razem z tobą w coś takiego? Chyba jesteś szalona!

— A co wolisz w zamian? — spytała cicho Moiraine. — Białe Płaszczki w Caemlyn, czy trolloki za miastem? Pamiętaj, że sama moja obecność daje częściową ochronę przeciwko dziełom Czarnego.

Nynaeve opadła z powrotem na krzesło, wzdychając z rozdrażnieniem.

— Jeszcze mi nie wyjaśniłaś — powiedział Loial — dlaczego mam naruszać nakazy edyktu Starszych. A poza tym nie mam ochoty wchodzić do Dróg. Ludzkie drogi, mimo że błotniste, dobrze mi służą, odkąd opuściłem *Stedding Shangtai*.

— Ludzkość i Ogirowie, wszystko, co żyje, toczy wojnę z Czarnym — powiedziała Moiraine. — Większa część świata jeszcze tego nie wie, a ci, którzy to wiedzą, biorą przeważnie udział w zwykłych utarczkach i sądzi, że to wielkie bitwy. Mimo że świat nie chce w to uwierzyć, Czarny jest może bliski zwycięstwa. W Oku Świata kryje się dostatecznie dużo mocy, która może otworzyć jego więzienie. Jeśli Czarny znalazł jakiś sposób, by wykorzystać Oko Świata do swego użytku...

Rand zapragnął, by ktoś zapalił wreszcie lampy. Wieczór zakradł się do Caemlyn, a ogień na kominku nie dawał dostatecznego światła. Pragnął, by w tej izbie nie było żadnych cieni.

— Co możemy zrobić? — wybuchnął Mat. — Dlaczego jesteśmy tacy ważni? Dlaczego musimy iść do Ugoru? Do Ugoru?!

Głos Moiraine wypełnił pokój, zniewalając wszystkich, mimo że wcale go nie podniosła. Jej krzesło stojące przy ogniu nagle zaczęło wyglądać jak tron. Nawet Morgase zbladłaby w jej obecności.

— Możemy zrobić jedną rzecz. Możemy spróbować. To, co wygląda jak przypadek, jest często częścią Wzoru. Do tego miejsca trafiły trzy pasma, każde ostrzeża Oko. To nie może być przypadek, to Wzór. Wy trzej nie wybieraliście, wybrał was Wzór. I znaleźliście się tutaj, gdzie niebezpieczeństwo jest wiadome. Możecie stanąć na uboczu i być może skazać świat na zagładę. Uciekanie, ukrywanie się nie uratuje was przed tkaniem się Wzoru. Albo możecie próbować. Możecie się udać do Oka Świata, wy trzej *ta'veren*, trzy punkty zbiegowie Splotu, umieszczone tam, gdzie jest niebezpieczeństwo. Pozwólcie, by Wzór was oplótł, a być może uratujecie świat przed Cieniem. Wybór należy do was. Nie mogę was zmusić, byście poszli.

— Ja pójdę — powiedział Rand, starając się, by jego głos brzmiał stanowczo. Mimo że z całych sił poszukiwał próżni, w jego głowie bezustannie błyskały obrazy. Ojciec, farma, stado na pastwisku. To było dobre życie, nigdy nie pragnął innego. Dlatego odczuł ulgę — niewielką ulgę gdy usłyszał, że Perrin i Mat zgadzają się razem z nim. W ustach wyraźnie zaschło im tak samo jak jemu.

— Przypuszczam, że Egwene i ja też nie mamy żadnego wyboru — powiedziała Nynaeve.

Moiraine skinęła głową.

— W pewien sposób wy obydwie też jesteście częścią Wzoru. Może nie jako *ta'veren*, może, ale i tak jesteście ważne. Wiem to od Baerlon. I nie ma już wątpliwości, że Pomory też to wiedzą. I Ba'alzamon. Macie jednak taką samą możliwość wyboru jak ci młodzi mężczyźni. Możecie tu zostać i jechać do Tar Valon, kiedy my już odejdziemy.

— Schować się! — wykrzyknęła Egwene. — Pozwolić wam pograżyć się w niebezpieczeństwie, a same schować się pod pierzynami? Ja tego nie zrobię! — Pochwyciła spojrzenie Aes Sedai i nieco się zmitygowała, lecz ani trochę nie wyzbyła się buntowniczego zapału. — Ja tego nie zrobię — powtórzyła upartym tonem.

— Przypuszczam, że musicie się zatem liczyć z towarzystwem nas obu. — Nynaeve mówiła zrezygnowanym tonem, ale oczy jej błyszczały, gdy dodała: — Nadal potrzebujecie moich ziół, Aes Sedai, chyba że niespodzianie nabyłaś jakieś umiejętności, o których nic nie wiem.

W jej głosie zabrzmiało wyzwanie, którego Rand nie zrozumiał, lecz Moiraine tylko skinęła głową i zwróciła się do Ogira.

— I cóż, Loialu, synu Arenta syna Halana?

Loial dwukrotnie otworzył usta, a jego włochate uszy zadrgały, nim przemówił.

— Tak, dobrze. Zielony Człowiek. Oko Świata. Są o nich wzmianki w księgach, naturalnie, ale nie sądzę, by jakikolwiek Ogir był rzeczywiście u nich od, och, całkiem długiego czasu. Przypuszczam... Czy to muszą być Drogi? — Moiraine skinęła głową, a jego długie brwi opadły tak, że końce dotknęły policzków. — No to bardzo dobrze. Chyba muszę was poprowadzić. Starszy Haman powiedziałby, że nie zasługuję na nic lepszego za to, że zawsze tak się śpieszę.

— Zatem wszyscy dokonaliśmy wyboru — powiedziała Moiraine. — A skoro już go dokonaliśmy, musimy teraz postanowić, co z nim zrobić i w jaki sposób.

Planowali do późnej nocy. Głównie brała w tym udział Moiraine, korzystająca z rad Loiala odnośnie Dróg, lecz wysłuchiwała również pytań i propozycji pozostałych. Raz przyłączył się do nich pochmurny Lan, zrobił kilka uwag, jak zwykle cedząc słowa stalowym tonem głosu. Nynaeve zrobiła listę niezbędnych zapasów, maczając pióro w kałamarzu pewną ręką, mimo że cały czas coś pomrukiwała pod nosem.

Rand żałował, że nie ma tak praktycznej natury jak Wiedząca. Nie potrafił przestać chodzić tam i z powrotem, jakby rozsadzała go energia, od której mógł spłonąć albo wybuchnąć. Wiedział, że podjął decyzję, wiedział, że to jedyna decyzja, jaką mógł podjąć ze swoją wiedzą, ale i tak ona mu się wcale nie podobała. Ugór. Gdzieś w Ugorze, za Spustoszonymi Ziemiami, było Shayol Ghul.

Widział niepokój i strach w oczach Mata, i wiedział, że to samo widać w jego oczach. Mat siedział z dłońmi zaciśniętymi tak silnie, że aż mu zbieleły kłykcie. Gdyby mu pozwolić, pomyślał Rand, to ścisnęłyby sztylet z Shadar Logoth.

Niepokoju w twarzy Perrina nie było, za to coś znacznie gorszego: maska rezygnacji wywołanej znużeniem. Perrin wyglądał tak, jakby dotychczas walczył z czymś, czegoś nie potrafił pokonać i teraz tylko czekał, aż to coś go dobije. Tylko czasem...

— Robimy to, co musimy, Rand — powiedział. — Ugór... — Na moment pragnienie rozświetliło jego żółte oczy, błyszczące na tle skamieniałej ze zmęczenia twarzy, jakby żyły własnym życiem, z którym czeladnik kowalski nie miał nic wspólnego. — W Ugorze się dobrze poluje — wyszeptał. Potem zadrżał, jakby właśnie usłyszał swoje słowa i raz jeszcze na jego twarzy pojawiła się rezygnacja.

I Egwene. W pewnym momencie Rand odciągnął ją na bok, do kominka, gdzie planujący przy stole nie mogli ich słyszeć.

— Egwene, ja... — Te oczy, jak wielkie ciemne kałuże przewiercające go na wskroś, sprawiły, że umilkł i przełknął ślinę. — To mnie ściga Czarny, Egwene. Mnie, Mata i Perrina. Nie obchodzi mnie, co mówi Moiraine Sedai. Rankiem ty i Nynaeve mogłybyście pojechać do domu, albo do Tar Valon, albo gdziekolwiek wam się zachce i nikt nie będzie próbował was zatrzymać. Ani trolloki, ani Pomory, ani nikt inny. Pod

warunkiem, że nie będziecie z nami. Wracaj do domu, Egwene. Albo jedź do Tar Valon. Tylko odejdz.

Czekał, aż mu odpowie, że ma takie samo prawo jechać gdzie chce, że on nie ma prawa jej mówić, co ma robić. Ku jego zdziwieniu uśmiechnęła się i dotknęła jego policzka.

— Dziękuję ci, Rand — powiedziała łagodnie. Zamrugał oczami i zamknął usta, a tymczasem ona mówiła dalej. — Wiesz przecież, że nie mogę. Moiraine Sedai powiedziała nam, co widziała Min, w Baerlon. Powinieneś był mi powiedzieć, kim jest Min. Myślałam... Cóż, Min twierdzi, że ja też jestem tego częścią. I Nynaeve. Może nie jestem *ta'veren* — zająknęła się przy tym słowie — ale najwyraźniej Wzór posyła również mnie do Oka Świata. Cokolwiek dotyczy ciebie, dotyczy także mnie.

— Ale, Egwene...

— Kto to jest Elayne?

Przez chwilę wpatrywał się w nią, po czym powiedział szczerą prawdę.

— Ona jest dziedziczką tronu Andor.

Odniosł wrażenie, że jej oczy zajęły się ogniem.

— Skoro nie potrafisz być poważny dłużej niż minutę, Randzie al'Thor, to ja nie chcę z tobą rozmawiać.

Z niedowierzaniem wpatrywał się w jej wyprostowane plecy, kiedy wracała do stołu, wspierała łokcie obok Moiraine i wsłuchiwała się w to, co akurat mówił Strażnik.

„Muszę porozmawiać z Perrinem, pomyślał. On wie, jak sobie radzić z kobietami.”

Pan Gill wchodził kilkakrotnie do izby, najpierw żeby zapalić lampy, potem żeby osobiście podać im posiłek, a jeszcze później, by donieść co się dzieje na zewnątrz. Białe Płaszczki obserwowały karczmę z ulicy z obu jej stron. Przy bramach Wewnętrznego Miasta wybuchły zamieszki, Gwardia Królowej brała do aresztu jednakowo czerwone i białe kokardy. Ktoś usiłował wydrapać smoczy kieł na frontowych drzwiach, lecz przegnał go stamtąd but Lamgwina.

Jeśli nawet karczmarz się dziwił, że Loial jest z nimi, to nie dał tego po sobie poznać. Odpowiedział na kilka pytań Moiraine, nie próbując się dowiedzieć, jakie są ich zamiary, za każdym razem uprzedzał swoje przyjście pukaniem i czekał, aż Lan mu otworzy, zupełnie jakby to nie była jego karczma i jego biblioteka. Podczas ostatniej wizyty Moiraine wręczyła mu arkusz pergaminu, zapisany staranną dłonią Nynaeve.

— Tak późno w nocy nie będzie to łatwe — powiedział, kręcąc głową w trakcie czytania listy — ale załatwię wszystko.

Moiraine dołożyła niewielką irchową sakiewkę, która zadźwięczała, kiedy podawała mu ją za ściągające ją tasiemki.

— Znakomicie. I proszę dopilnować, aby nas obudzono przed świtaniem. Obserwujący będą wtedy najmniej czujni.

— Każemy im obserwować puste przegrody w stajni, Aes Sedai. — Pan Gill wyszczerzył zęby w uśmiechu.

Rand zaczął ziewać jeszcze wcześniej, nim wyczłapał z izby wraz z pozostałymi, którzy udawali się na poszukiwanie łaźni i pokoi. W trakcie gdy szorował się za pomocą szorstkiej ścierki w jednym ręku i dużej kostki żółtego mydła w drugim, jego wzrok powędrował do stołka przy wannie Mata. Spod skraju starannie złożonego kaftana wyzierał czubek złotej pochwy sztyletu z Shadar Logoth. Lan też kilkakrotnie na niego zerknął. Rand zastanawiał się, czy naprawdę bezpiecznie mieć go w pobliżu, jak twierdziła Moiraine.

— Myślisz, że mój tato w ogóle w to uwierzy? — zaśmiał się Mat, szorując plecy szczotką na długim trzonku. — Że niby ja ratuję świat? Moje siostry nie będą wiedziały, czy się śmiać, czy płakać.

Wydawało się, że to mówi dawny Mat. Rand żałował, że nie potrafi zapomnieć o sztylcie.

Było ciemno choć oko wykol, gdy on i Mat wreszcie dobili do swojej izdebki pod okapem, chmury zasłoniły gwiazdy. Po raz pierwszy od dłuższego czasu Mat rozebrał się przed pójściem spać, niemniej jednak wsunął machinalnie sztylet pod poduszkę. Rand zdmuchnął świecę i wpełzł do swojego łóżka. Czuł zło emanujące z drugiego posłania, nie od Mata, lecz spod jego poduszki. Nie przestał się tym przejmować, dopóki wreszcie nie zmorzył go sen.

Od samego początku wiedział, że to sen, jeden z tych snów, które nie były do końca snami. Stał wpatrzony w drewniane drzwi, o ciemnej, popękanej i nierównej od odprysków powierzchni. Powietrze było chłodne i wilgotne, ciężkie od zapachu zgnilizny. Z oddali dochodziło kapanie wody, echo jej monotonnego plusku rozchodziło się po kamiennych korytarzach.

„Zaprzec temu. Zaprzec mu, a wówczas jego moc osłabnie.”

Zamknął oczy i skupił się na „Błogosławieństwie Królowej”, na swoim łóżku, na sobie samym na nim śpiącym. Kiedy otworzył oczy, drzwi wciąż tam były. Echo plusku wody zrównało się z rytmem bicia serca, tak jakby jego puls odmierzał czas. Zagłębił się w płomień i próżnię tak, jak go tego uczył Tam, i odnalazł wewnętrzny spokój, nic jednak na zewnątrz niego nie uległo zmianie. Powoli otworzył drzwi i wszedł do środka.

Wszystko było takie samo, jak zapamiętał, jak w tamtej komnacie, która wyglądała jak wypalona w żywej skale. Wysokie, zakończone łukami okna wychodziły na balkon bez poręczy, a w oddali warstwy chmur płynęły niczym wezbrana od powodzi rzeka. Lampy z czarnego metalu, o płomieniach zbyt jaskrawych, by można było na nie patrzeć, czarne, a jednak tak roziskrzane jakby były ze srebra. Ogień ryczał, lecz ze straszliwego paleniska nie rozchodziło się ciepło, każdy kamień, z którego było zbudowane, drgał, przypominając twarz wykrzywioną udręką.

Wszystko było takie same z wyjątkiem jednej rzeczy. Na wypolerowanym blacie stołu stały trzy małe figurki, przedstawiające grubo ciosane, bezkształtne sylwetki ludzi, jakby rzeźbiarz rył w glinie zbyt pośpiesznie. Obok jednej z figurek stał wilk, dopracowany w każdym szczególe, co jeszcze bardziej podkreślało brak wykończenia ludzkiego kształtu, druga figurka ścisnęła mikroskopijny sztylet, czerwona plamka na jego rękojeści odbijała światło. Ostatnia postać trzymała w ręku miecz. Z włosami zjeżonymi na głowie podszedł bliżej, by zobaczyć czaplę wyrytą z każdym najdrobniejszym szczegółem na niewielkim ostrzu.

Zdjęty paniką uniósł gwałtownie głowę i spojrzał wprost na lustro. Jego odbicie stanowiło zamazaną plamę, lecz już nie tak niewyraźną. Prawie potrafił już wyróżnić rysy własnej twarzy. Jeśli sobie nie wyobraził tego, co widział zmrużonymi oczyma, mógł nieomal powiedzieć, kto to jest.

— Zbyt długo już się przede mną ukrywasz. — Błyskawicznie odwrócił się od stołu, oddech zaskrzypiał mu w gardle. Jeszcze chwilę temu był sam, teraz jednak pod rzędem okien stał Ba'alzamon. Gdy przemówił, w miejscu jego oczu i ust pojawiły się płonące jaskinie. — Zbyt długo, ale to już koniec.

— Zaprzeczam tobie — wychrypiał Rand. — Zaprzeczam, jakobyś miał nade mną jakąkolwiek moc. Zaprzeczam twemu istnieniu.

Ba'alzamon zaśmiał się dudniącym śmiechem, wytaczającym się prosto z ognia.

— Myślisz, że to takie łatwe? Ale to znaczy, że tak zawsze robiłeś. Za każdym razem kiedy tak staliśmy, tobie się wydawało, że możesz mi się sprzeciwić.

— Co masz na myśli, mówiąc „za każdym razem”? Zaprzeczam tobie!

— Zawsze to robisz. Od samego początku. Ta walka toczyła się między nami już niezliczoną ilość razy. Za każdym razem masz inną twarz i nazywasz się inaczej, jednak za każdym razem to jesteś ty.

— Zaprzeczam tobie. — Był to szept rozpacz.

— Za każdym razem dobywasz przeciwko mnie swych nędznych sił i za każdym razem, ostatecznie, przekonujesz się, który z nas jest panem. Wiek za Wiekim padasz przede mną na klęczki, albo umierasz żałując, że nie masz już siły klęczeć. Biedny głupcze, nigdy ze mną nie wygrasz.

— Kłamca! — krzyknął. — Ojciec Kłamstw. Ojciec Głupców, skoro nie potrafisz kłamać lepiej. Ludzie odkryli cię w ostatnim Wiek, w Wiek Legend i uwięzili cię w miejscu, do którego należysz.

Ba'alzamon ponownie ryknął śmiechem, jedna salwa szyderstwa goniła drugą, sprawiając, że Rand zapragnął zakryć sobie uszy. Zmusił ręce, by pozostały przywarte do boków. Próżnia nie próżnia, drżały, mimo że śmiech wreszcie ucichł.

— Ty robaku, ty nic nie wiesz. Jesteś takim ignorantem, jak żuk pod kamieniem, i równie łatwo cię zdeptać. Ta walka skończyła się wraz z momentem stworzenia.

Ludziom zawsze się wydaje, że to nowa wojna, a to jest po prostu ta sama wojna tylko wszczęta na nowo. Dopiero teraz wiatry czasu przynoszą zmianę. Zmianę. Tym razem nie będzie cofania się. Te dumne Aes Sedai, które uważają, że ty rzucasz mi wyzwanie. Zakuję je w łańcuchy i każę im biegać nago, by wykonywały me rozkazy albo wepchnę ich dusze do Otchłani Zatrąty, by tam wyły przez całą wieczność. Wszystkie z wyjątkiem tych, które już mi służą. Te staną u mego boku. Możesz wybrać, czy chcesz stanąć obok nich, ze światem płaszczącym się pod twymi stopami. Proponuję to raz jeszcze, jeden ostatni raz. Możesz stanąć ponad nimi, ponad wszelką mocą i władzą prócz mojej. Bywały takie czasy, kiedy dokonywałeś takiego wyboru, czasy, w których żyłeś dostatecznie długo, by poznać swoją moc.

„Zaprzec mu!”

Rand uczeplił się tego, czemu mógł zaprzeczyć.

— Żadna Aes Sedai ci nie służy. Kolejne kłamstwo!

— Czy to ci właśnie wmówiono? Dwa tysiące lat temu przeprowadziłem moich trolloków przez świat i nawet wśród Aes Sedai znalazłem takie, które znały rozpacz, które wiedziały, że świat nie oprze się Shai'tanowi. Przez dwa tysiące lat Czarne Ajah zamieszkiwały wśród innych, skryte w cieniach. Być może to właśnie one twierdzą, że ci pomagają.

Rand potrząsnął głową, starając się pozbyć wątpliwości, które wytrysnęły w nim nagle, wszystkie wątpliwości, które żywił względem Moiraine, względem tego, co Aes Sedai od niego chciały, względem zamiarów, które ona wobec niego powzięła.

— Czego chcesz ode mnie? — krzyknął.

„Zaprzec mu! Światłości, dopomóż, bym mu zaprzeczył!”

— Klękaj! — Ba'alzamon wskazał posadzkę pod swymi stopami. — Klękaj i uznaj mnie za swego pana! I tak to w końcu zrobisz. Będziesz należał do mnie, bo inaczej zginiesz.

Ostatnie słowo rozbrzmiało echem po całym wnętrzu, odbijając się od siebie samego, podwajając, a potem podwajając w dwójnasób, aż wreszcie Rand podniósł gwałtownie ręce, jakby chciał osłonić głowę przed ciosem. Zatoczył się w tył, wpadając z głośnym łomotem na stół i krzyknął, starając się zagłuszyć ten dźwięk wypełniający mu uszy.

— Neeeeeeeeeee!

Jego krzyk ustał, a on obrócił się dookoła własnej osi, zamaszystym ruchem strącając figurki na podłogę. Coś ugodziło go w rękę, lecz to zignorował, miażdżąc stopami, glinę na bezkształtne smugi. Przestał krzyczeć, lecz echo jego krzyku wciąż rozbrzmiewało, przybierając na sile.

Zgi-niesz-zgi-niesz-zgi-niesz-ZGI-NIESZ-ZGI-NIESZ-ZGI-NIESZ-ZGI-NIESZ-ZGI-NIESZ-ZGI-NIESZ

Dźwięk ten wciągał go jak wir, wsysał do środka, rozdzierając próżnię w jego umyśle na strzępy. Światło pociemniało, a pole widzenia zwęziło się w tunel, na samym końcu którego stała wysoka sylwetka Ba'alzamona, opromieniona jaskrawym tłem. Zmniejszała się stopniowo, ostatecznie osiągając rozmiar jego dłoni, paznokcia, niczego. Okręcające się dookoła, niekończące się echo wciągało go, wciągało w czerni i śmierć.

Obudził go łomot własnego ciała padającego na podłogę, nadal usiłując dopłynąć do powierzchni tej czerni. W pokoju panował mrok, lecz nie tak ciemny jak ta czerni. Jak oszalały usiłował skoncentrować się na płomieniu, wdusić w niego strach, jednakże spokój próżni wymykał mu się. Jego ręce i nogi ogarnęło drżenie, on jednak wczepiał się w obraz pojedynczego płomienia, dopóki krew nie przestała mu tętnić w uszach.

Mat rzucał się i przewracał na swoim łóżku, jęcząc głośno przez sen.

„...zaprzeczam ci, zaprzeczam ci, zaprzeczam ci...”

Krzyk w końcu ucichł i przeszedł w niezrozumiałe stękanie.

Rand wyciągnął rękę, żeby go obudzić i już od pierwszego dotknięcia Mat usiadł, wydawszy zduszony pomruk. Przez chwilę rozglądał się dookoła oszalałym wzrokiem, potem wciągnął długi, drżący oddech i objął swą pochyloną głowę rękoma. Nagle obrócił się i zaczął szperać pod poduszką, po czym z powrotem na nią opadł, przyciskając sztylet z rubinową rękojeścią do piersi. Obrócił głowę, by spojrzeć na Randa, skrywając twarz w cieniu.

— On wrócił, Rand.

— Wiem.

Mat pokiwał głową.

— Były tam takie trzy figurki...

— Też je widziałem.

— On wie, kim ja jestem, Rand. Podniosłem tę ze sztyletem, a on wtedy powiedział: „Więc to jesteś ty.” A kiedy znowu spojrzałem, figurka miała moją twarz. Moją twarz, Rand! Wyglądała jak ciało. W dotyku przypominała ciało. Światło dopomóż, czułem, jak ściska mnie własna ręka, jakbym to ja był tą figurką.

Rand milczał chwilę.

— Musisz mu cały czas zaprzeczać, Mat.

— Zrobiłem to, a on mnie wyśmiał. Stale mówił o wiecznej wojnie i twierdził, że spotykaliśmy się już tysiąc razy przedtem, i... Światłości, Rand, Czarny mnie zna.

— Mnie powiedział to samo. Nie sądzę, by rzeczywiście nas znał — dodał powoli.

— Nie sądzę, by wiedział, który z nas...

„Który z nas co?”

Kiedy wsparł się na łokciu, by usiąść, poczuł w ręce ukłucie bólu. Doszedł po omacku do stołu, po trzech próbach zapalił wreszcie świecę, po czym przystawił rękę do światła. W dłoń miał wbity grubą drzazgę z ciemnego drewna, gładką i wypolerowaną z jednej

strony. Wbił w nią wzrok, nie oddychając. Nagle zaczął dyszeć, wrywać drzazgę, pośpiesznie ją wydłubywać.

— Co się stało? — spytał Mat.

— Nic.

Wreszcie powiodło mu się, wyrwał ją jednym mocnym szarpnięciem. Mruknął z obrzydzeniem i rzucił to na podłogę, ale pomruk zamarł mu w gardle. Drzazga natychmiast zniknęła, gdy tylko została oderwana od jego dłoni.

Natomiast rana na ręce nie zniknęła, krwawiła. W kamionkowym dzbanie była woda. Nalał jej do umywalki, dłonie trzęsły mu się tak mocno, że rozlał wodę na stół. Umył pośpiesznie ręce, ugniatając dłoń, by wycisnąć więcej krwi z kciuka, potem znowu je umył. Przerażała go myśl, że w jego ciele mogła jeszcze zostać jakaś mała drzazga.

— Świątłości — powiedział Mat — ja też czuję się przez niego brudny.

Mimo tego jednak leżał bez ruchu, trzymając oburącz sztylet.

— Tak — przytaknął Rand. — Brudny. — Ze stosu rzeczy leżących obok umywalki wyciągnął ręcznik. Na dźwięk pukania do drzwi podskoczył nerwowo. To znowu tamto. — Tak? — powiedział.

Moiraine wsunęła głowę do pokoju.

— Już się obudziliście. To dobrze. Ubierzcie się szybko i zjeźdźcie na dół. Musimy wyjechać przed pierwszym brzaskiem.

— Już? — jęknął Mat. — Nie przespaliśmy nawet godziny.

— Godziny? — spytała. — Spaliście cztery. Pośpieszcie się, nie mamy czasu.

Rand wymienił z Matem zmieszane spojrzenia. Pamiętał wyraźnie każdą sekundę snu. Sen przyszedł jednocześnie z chwilą, w której, zamknął oczy i trwał zaledwie kilka minut.

Coś z tej wymiany musiało dotrzeć do Moiraine. Obdarzyła ich przenikliwym spojrzeniem i z miejsca zajęła się sprawą.

— Co się stało? Sny?

— On wie, kim ja jestem — wyznał Mat. — Czarny zna moją twarz.

Rand bez słowa podniósł rękę, wnętrzem dłoni w jej stronę. Krew było widać nawet w mętnym świetle świecy. Aes Sedai zrobiła krok do przodu i ścisnęła jego uniesioną rękę, przykładając kciuk do rany na dłoni. Chłód przeszył go do kości, tak lodowaty, że skurczyły mu się palce i musiał dołożyć wszystkich sił, żeby je rozprostować. Kiedy odjęła palce, chłód też odszedł.

Odwrocił wtedy rękę, oszołomiony, wytarł cienką warstwę rozmazanej krwi. Rana zniknęła. Powoli podniósł oczy i napotkał oczy Aes Sedai.

— Śpieszcie się — powiedziała cicho. — Czas się kurczy.

Wiedział, że tym razem nie mówiła o czasie, który im został do wyjazdu.

CIEMNE DROGI

Tuż przed świtem Rand zszedł w ślad za Moiraine na dół, gdzie czekali już pan Gill i pozostali. Nynaeve i Egwene zachowywały się równie niespokojnie jak Loial, Perrin z nieomal takim samym opanowaniem jak Strażnik. Mat deptał Randowi po piętach, jakby się bał zostać teraz choć na chwilę sam, nawet jeśli miała ich dzielić odległość kilku stóp. Kucharka i jej pomocnice wyprostowały się, zagapione na ludzi wchodzących kolejno do kuchni, już jasno oświetlonej i rozgrzanej przygotowaniami do śniadania. Goście karczmy zazwyczaj nie wstawali i nie wyjeżdżali tak wcześnie. Pod wpływem uspokajających słów pana Gilla kucharka pociągnęła głośno nosem i z całej siły cisnęła bryłę ciasta na stolnicę. Wszystkie jej pomocnice zabrały się ponownie za dogładanie patelni i zagniatanie ciasta, jeszcze zanim Rand dotarł do drzwi stajni.

Na zewnątrz panowały ciemności, że oko wykol. Sylwetki pozostałych wyglądały co najwyżej jak ciemniejsze cienie. Szedł po omacku za karczmarzem i Lanem, właściwie zupełnie na ślepo, licząc na to, że dzięki wiedzy pana Gilla o jego własnej stajni oraz instynktem Lana dotrą do niej, nie łamiąc sobie przy tym nóg. Loial nie raz się potykał,

— Nie rozumiem, dlaczego nie możemy mieć choć jednego światła — zadudnił Ogir.

— My nie biegamy w ciemnościach po *stedding*. Jestem Ogirem, nie kotem.

Rand wyobraził sobie nagle drgające nerwowo kępki na czubkach uszu Loiala.

Niespodzianie z mroku wyłonił się zarys stajni, ogromnej bryły budzącej grozę dopóty, dopóki nie rozległo się głośne skrzypienie drzwi, zza których wylał się na dziedziniec wąski strumyk światła. Karczmarz uchylił drzwi na taką tylko odległość, dzięki której mogli kolejno wejść do środka i pośpiesznie zamknął je za Perrinem, o mały włos nie przytraskując mu pięt. Rand zamrugał, gdy oczy niespodzianie poraziło mu światło.

Stajenni nie zdziwili się na ich widok tak jak kucharka. Konie były już osiodłane i gotowe do drogi. Mandarb stał wyniośle, ignorując wszystkich prócz Lana, natomiast Aldieb wyciągnęła pysk, chcąc trącić dłoń Moiraine. Był tam również koń juczny, obładowany wiklinowymi koszami i ogromne zwierzę z kudłatymi pęciami, wyższe

jeszcze od rumaka Strażnika, przeznaczone dla Loiala. Wyglądało na tak duże, jakby mogło w pojedynkę uciągnąć furę załadowaną sianem, jednakże w porównaniu z Ogirem przypominało kucyka.

Loial zmierzył wzrokiem wielkiego konia i mruknął powątpiewawczo.

— Dotychczas wystarczały mi własne nogi.

Pan Gill machnął ręką w stronę Randa. Karczmarz pożyczał mu gniadosza o sierści nieomal tej samej barwy co jego włosy, wysokiego i szerokiego w piersi, jednak bez tego ognia w chodzie, jaki miał Obłok, co Rand z zadowoleniem zauważył. Pan Gill powiedział, że koń nazywa się Rudy.

Egwene ruszyła od razu w stronę Beli, a Nynaeve do swej długonogiej klaczy.

Mat podszedł ze swym ciemnobrązowym koniem do Randa.

— Perrin mnie denerwuje — wymamrotał. Rand spojrzął na niego przenikliwie.

— No, zachowuje się dziwnie. Nie widzisz tego? Przysięgam, że to nie moja wyobraźnia albo... albo...

Rand pokiwał głową.

„Tym razem to nie wpływ sztyletu, dzięki Światłości.”

— To prawda, Mat, ale tak się tym nie przejmuj. Moiraine wie, co... cokolwiek to jest. Z Perrinem wszystko w porządku. — Bardzo pragnął w to wierzyć, ale Mata to wyraźnie zadowoliło, przynajmniej trochę.

— Oczywiście — powiedział pośpiesznie Mat, nadal kątem oka obserwując Perrina.

— Nigdy nie mówiłem, że jest inaczej.

Pan Gill omawiał coś z głównym stajennym, człowiekiem o stwardniałej skórze, z twarzą przypominającą koński pysk. Stajenny potarł kłykiem czoło i pośpiesznie przeszedł na tył stajni. Karczmarz odwrócił się do Moiraine z uśmiechem satysfakcji na okrągłej twarzy.

— Ramey twierdzi, że droga wolna, Aes Sedai.

Tyłna ściana stajni wyglądała na twardą i mocną, stał pod nią rząd stojaków z narzędziami. Ramey i drugi stajenny odstawili na bok widły, grabie i szpadle, potem weszli za stojaki, żeby odsunąć ukryte rygle. Nagle ta część ściany otwarła się do wewnątrz na zawiasach tak dobrze ukrytych, że Rand nie był pewien, czy zauważyłby je nawet wtedy, gdyby tajemne drzwi były otwarte na oścież. Światło padające ze stajni oświetliło ceglany mur znajdujący się w odległości zaledwie kilku stóp.

— To tylko wąski pasaż między budynkami — wyjaśnił karczmarz — ale nikt spoza tej stajni nie wie, że można tu z niego wejść. Białe Płaszczki czy białe kokardy nie zauważą, którędy wyszłicie.

Aes Sedai skinęła głową.

— Pamiętaj, dobry karczmarzu, jeśli kiedyś będziesz miał z naszego powodu jakieś kłopoty, napisz do Sheriam Sedai, z Błękitnych Ajah, w Tar Valon, ona ci pomoże. Obawiam się, że moje siostry i ja jesteśmy wiele winne tym, którzy mi pomogli.

Pan Gill zaśmiał się; nie był to śmiech człowieka zatroskanego.

— Ależ Aes Sedai, dzięki tobie mam jedyną karczmę w Caemlyn, w której nie ma szcurków. O co więcej mógłbym prosić? Już dzięki temu liczba mych gości może ulec zdwojeniu. — Jego uśmiech zbladł, ustępując miejsca powadze. — Nieważne, czym się kierujecie, Królowa popiera Tar Valon, a ja popieram Królową, więc życzę wam jak najlepiej. Niech cię Światłość oświeci, Aes Sedai. Niech Światłość oświeci was wszystkich.

— Niechaj i was oświeci Światłość, panie Gill — odparła Moiraine, pochylając głowę w ukłonie. — Jeśli jednak Światłość ma przyświecać nam wszystkim, to musimy się pośpieszyć. — Odwróciła się żwawo w stronę Loiala. — Jesteś gotów?

Ogir ujął wodze wielkiego konia, nawet na chwilę nie spuszczał czujnego spojrzenia z jego zębów. Pilnując, by pysk zwierzęcia znajdował się z dala od jego dłoni na odległość wodzy, poprowadził zwierzę w stronę otworu w tylnej ścianie stajni. Ramey przeskakiwał z nogi na nogę, płonął z niecierpliwości, by jak najszybciej zamknąć te drzwi. Loial przystanął na chwilę i przekrzywił głowę, jakby na swoim policzku czuł powiew wiatru.

— Tędy — powiedział i skręcił w wąską uliczkę.

Moiraine szła tuż za koniem Loiala, za nią Rand i Mat. Randowi przypadło pierwszeństwo w prowadzeniu jucznego konia. Nynaeve i Egwene tworzyły środek kolumny, za nimi podążał Perrin, a całość zamykał Lan. Ukryte drzwi zatrzasnęły się pośpiesznie, gdy tylko Mandarb stanął na błotnistym podłożu bocznej uliczki. Trzask zamykanych rygli, odcinających ich od karczmy, zabrzmiał zdaniem Randa nienaturalnie głośno.

Uliczka nazwana przez pana Gilla pasażem była istotnie bardzo wąska i panował w niej jeszcze głębszy mrok niż na dziedzińcu stajni, o ile to w ogóle było możliwe. Z obu stron otaczały ją wysokie, gładkie mury z cegły albo drewna, nad nią czernił się wąski pas nieba. Wielkie plecione kosze przymocowane do boków jucznego konia ocierały się o ściany budynków. Kosze były wypełnione zapasami na podróż, głównie glinianymi dzbanami z oliwą. Wzdłuż końskiego grzbietu przymocowano wiązkę tyczek z latarniami przymocowanymi na końcu. Na Drogach, powiedział Loial, jest ciemniej niż podczas najciemniejszej nocy.

W połowie napełniane latarnie chlupotały w rytm końskich kroków i obijały się o siebie, wydając blaszany brzęk. Nie był to specjalnie głośny hałas, niemniej jednak na godzinę przed świtem Caemlyn było zupełnie ciche. Milczało. Wydawało się, że z powodu tego głuchego, metalicznego poszcękiwania słychać ich z odległości mili.

W miejscu gdzie pasaż łączył się z ulicą, Loial wybrał kierunek dalszej marszruty bez zatrzymywania się. Sprawiał teraz wrażenie, że dokładnie wie, dokąd idzie, tak jakby szlak, którym miał się kierować, stał się wyraźniejszy. Rand nie pojmował, jakim cudem

Ogir będzie umiał znaleźć Bramę, a Loial nie potrafił tłumaczyć najlepiej. Po prostu to wie, powiedział, czuje tę drogę. Twierdził, że to tak, jakby próbował wyjaśnić, na czym polega oddychanie.

Kiedy śpieszyli w górę ulicy, Rand obejrzał się w stronę zaułka, w którym stało „Błogosławieństwo Królowej”. Lamgwin twierdził, że w pobliżu wciąż kręci się kilku Synów Światłości. Całą uwagę skupiali wyłącznie na budynku karczmy, jednakże hałas z pewnością mógł ich przyciągnąć. O takiej godzinie żaden człowiek nie mógł przebywać poza domem bez uzasadnianego powodu. Stukot kopyt po ulicznym bruku brzmiał donośnie jak dzwon, latarnie poszczykiwały, jakby juczny koń potrząsał nimi celowo. Rand nie przestał oglądać się przez ramię, dopóki nie minął następnego rogu. Słyszał westchnienia ulgi pozostałych z Pola Emonda, gdy im także udało się go pokonać.

Loial najwyraźniej zdążył najprostszą drogą da Bramy, niezależnie od tego, którą biegła. Czasami podążali szerokimi alejami, pustymi gdyby nie bezpańskie psy kulące się w mroku. Czasami pędzili zaułkami tak wąskimi, jak tamten pasaż przy stajni, gdzie nieuważny krok nieraz wystarczał, by wdepnąć w coś, co rozmazywało się z cichym mlaśnięciem. Nynaeve narzekała półgłosem na powstałe z tego wonie, nikt jednak nie zwalniał.

Ciemność zaczynała ustępować, bladła do ciemnej szarości. Na niebie nad dachami po wschodniej stronie miasta zaperliły się nieśmiałe promyki brzasku. Na ulicach pojawili się pierwsi ludzie, okutani przed chłodem wczesnego poranka, z głowami pochylonymi i wciąż pełnymi marzeń o ciepłym łóżku. Większość nie zwracała uwagi na innych. Jedynie nieliczni zerkali na szereg koni i ludzi z Loialem na czele, a wśród tych jedynie jedna osoba zauważyła ich naprawdę.

Człowiek ten omiótł ich przelotnie wzrokiem, tak jak inni przechodnie, i już miał na powrót zatopić się w swoich myślach, gdy nagle odwrócił się z wytrzeszczonymi oczyma, potknął się i omal nie upadł. Przy takiej ilości światła można było jedynie wyróżniać kształty, ale w ich przypadku było go nawet za dużo. Ogir z daleka, gdyby szedł sam, mógł ujść za wysokiego człowieka, prowadzącego zwykłego konia albo za człowieka przeciętnego wzrostu prowadzącego nieco za małego konia. Na tle szeregu podążających w ślad za nim ludzi Loial wyglądał na dokładnie tak rosnącego, jakim był w rzeczywistości, pół raza wyższy od najwyższego człowieka. Przechodzień zmierzył go wzrokiem i wydawszy zduszony okrzyk, zerwał się do biegu. Poły płaszcz załopotał z tyłu za nim.

Niebawem — już zupełnie niebawem — na ulicach miało się pojawić więcej ludzi. Rand przyjrzał się kobiecie, mijającej ich pośpiesznie po drugiej stronie ulicy, nie widzącej nic prócz chodnika pod stopami. Wkrótce ludzie ich zauważą. Niebo na wschodzie robiło się jaśniejsze.

— Tutaj — obwieścił wreszcie Loial. — To tutaj, pod spodem. — Wskazywał jakiś sklep, jeszcze zamknięty z powodu nocnej pory. Stojące przed nim stoły były puste, markizy nad nimi zwinięte, drzwi zamknięte na głucho. W oknach na górze, za którymi mieszkał właściciel sklepu, było jeszcze ciemno.

— Pod spodem? — wykrzyknął z niedowierzaniem Mat. — Jakże, na Światłość, mamy...?

Moiraine przerwała mu, podnosząc rękę i gestem dłoni nakazała im wejść w ślad za nią do zaułka obok sklepu. Konie i ludzie stłoczyli się razem w przesmyku między dwoma budynkami. Mury rzucały cień, więc panował tam głębszy mrok, taki jak w samym środku nocy.

— Muszą tu być gdzieś drzwi do piwnicy — mruknęła Moiraine. — Ach, tu są.

Nagle rozkwitło światło. Nad dłonią Moiraine zawisła kula wielkości ludzkiej pięści, jarząca się chłodnym blaskiem. Poruszała się zgodnie z ruchami jej ręki. Rand uznał, że wszyscy przyjęli to za rzecz zupełnie zwyczajną, bo niczym się to nie różniło od tego, co do tej pory przeszli. Przybliżyła kulę do znalezionych przez siebie drzwi, nachylonych tak mocno, że nieomal leżały płasko na ziemi. Skobel przytrzymały grube bolce i żelazna kłódka, większa od dłoni Randa i pokryta warstwą zastarzałej rdzy.

Loial szarpnął za kłódkę.

— Mogę wszystko wyrwać, skobel i tak dalej, ale wyjdzie z tego taki hałas, że pobudzą się wszyscy sąsiedzi.

— Nie niszczy czyjejś własności, jeśli możemy tego uniknąć. — Moiraine przez chwilę przyglądała się kłódkce w skupieniu. Nagle klepnęła zardzewiałe żelazo swoją laską i kłódka otworzyła się bez oporu.

Loial pośpiesznie zdjął kłódkę i podniósłszy drzwi do góry, podparł je od tyłu. Moiraine zeszła na dół po rampie, która się odsłoniła po otwarciu drzwi, oświetlając sobie drogę rozjarzoną kulą. Tuż za nią zeszła ostrożnym krokiem Aldieb.

— Zaświećcie latarnie i zejdźcie na dół — zawołała półgłosem. — Jest tu mnóstwo miejsca. Śpieszcie się. Wkrótce zrobi się widno.

Rand pośpiesznie odwiązał latarnie na tyczkach od grzbietu konia jucznego, lecz jeszcze zanim zapalili pierwszą, zauważył, że widzi już rysy twarzy Mata. Lada chwila na ulicach zaroi się od ludzi, a właściciel sklepu zejdzie na dół i będzie zachodził w głowę, czemu cały zaułek jest pełen koni. Mat ze zdenerwowaniem mruczał coś na temat zabierania koni do piwnicy, Rand jednak z zadowoleniem sprowadził swego wierzchowca w dół rampy. Mat poszedł jego śladem, równie szybkim krokiem, mimo że nie przestawał gderać.

Latarnia Randa zakołysała się na końcu tyczki i gdyby nie zachował ostrożności, z pewnością rozbiłaby się o sklepienie, a na domiar tego rampa nie spodobała się ani Rudemu, ani jucznemu koniowi. Po chwili stał już na dole i ustępował drogi Matowi.

Moiraine pozwoliła, by jej fruujące światełko zgasło, gdy jednak dołączyli do nich pozostali, dodatkowe latarnie oświetliły otwartą przestrzeń.

Piwnica miała taką samą szerokość i długość, jak stojący nad nią budynek, przy czym dużą część wolnej przestrzeni wypełniały ceglane filary, rozszerzające się od wąskiej bazy do pięciokrotnie większej szerokości przy sklepieniu. Całe wnętrze wyglądało tak, jakby składały się nań całe serie łuków. Było tam mnóstwo miejsca, Rand jednak czuł się przytłoczony. Loial ocierał czubkiem głowy o sklepienie. Jak już to przepowiedziała zardzewiała kłódka, piwnica nie była używana od bardzo dawna. Na posadzkach nic nie leżało, z wyjątkiem kilku rozbitych beczek pełnych rupieci oraz grubej warstwy kurzu. W świetle latarni zaiskrzyły się ćmy, przepłoszone przez las nóg.

Lan wszedł na samym końcu i gdy tylko sprowadził na dół Mandarba, wspiął się z powrotem na górę, by zatrzasać drzwi.

— Krew i popioły — zaklął Mat — czemu oni zbudowali tę ich bramę w takim miejscu?

— Tu nie zawsze tak było — powiedział Loial. Jego grzmiący głos rozniósł się echem po przepastnym wnętrzu. — Nie zawsze. Nie! — Randa zaszokowało odkrycie, że Ogir jest rozzłoszczony. — Kiedyś stały tu drzewa. Wszelkie gatunki drzew, jakie mogły tu wyrosnąć, takie gatunki, które Ogiry mogły pochlebstwami nakłonić do wyrośnięcia w tym miejscu. Wielkie drzewa, sięgające setki piędzi wysokości. Konary dawały cień, a chłodne wiatry przechwytywały wonie liści i kwiatów i przechowywały wspomnienie o pokoju, jaki panował w *stедding*. Wszystko to zamordowano na rzecz tego! — Uderzył pięścią w jeden z filarów.

Filar jakby się zatrząsł pod wpływem tego uderzenia. Rand był pewien, że słyszy, jak pękają cegły. Z filaru osunęły się kaskady suchej zaprawy murarskiej.

— Nie da się zawrócić tego, co już utkane — łagodnie przemówiła Moiraine. — Drzewa nie wyrosną na nowo, jeśli zwalisz nam ten budynek na głowy. — Żadna ludzka twarz nie mogła być bardziej speszona niż oblicze Loiala z jego obwisłymi brwiami. — Z twoją pomocą, Loialu, być może uda nam się zachować te gaje, na które jeszcze nie padł Cień. Przywiodłeś nas do miejsca, którego szukaliśmy.

Gdy podeszła do jednej ze ścian, Rand zauważył, że jest to ściana różniąca się od innych. Wszystkie były zbudowane ze zwykłej cegły, ta z kamienia bogato rzeźbionego w fantazyjne sploty liści i pnaczy winorośli, jasnych pomimo patyny kurzu. Cegły i łącząca je zaprawa były stare, jednak wygląd tego kamiennego muru świadczył w jakiś sposób, iż stoi tu od dawna, dawniej niż wypalono te cegły. Późniejsi budowniczowie, sami żyjący wiele stuleci wcześniej, przyłączyli to, co już stało, a jeszcze dalsze pokolenie ludzi uczyniło z niego część piwnicy.

Jedna część rzeźbionej kamiennej ściany, dokładnie w samym środku, była bardziej zdobna niż jej pozostałe fragmenty. Mimo iż równie doskonale wykonana, w porównaniu

z nią reszta prezentowała się jak niewykończona kopia. Wykute w twardym kamieniu liście wyglądały jak żywe, zastygłe na mgnienie oka w rozkołysaniu przez łagodny, letni wiatr. Przy tym wszystkim wyczuwało się w tym upływ lat, o wiele większy niż w przypadku reszty kamiennego muru, który z kolei był tyle samo starszy od ceglanego. Loial popatrzył na te kamienie, jakby wolał być w jakimś innym miejscu, obojętnie gdzie, nawet wśród tłumów na ulicach.

— *Avendesora* — mruknęła Moiraine, kładąc dłoń na wykutym w kamieniu liściu koniczyny. — Rand omiółł wzrokiem płaskorzeźby, był to jedyny tego typu liść, jaki mógł znaleźć. — Liść Drzewa Życia jest kluczem — wyjaśniła Moiraine i liść został jej w ręku.

Rand zamrugał, z tyłu doszły go głośne okrzyki zdumienia. Ten liść nie wyglądał na nic innego jak część muru. W równie prosty sposób Aes Sedai umieściła go we fragmencie wzoru znajdującym się jedną piędź niżej. Rozszczepiony na trzy części liść pasował tam jak ulał i raz jeszcze stał się częścią całości. Gdy tylko znalazł się na swoim miejscu, cały wygląd głównej części kamiennego muru uległ zmianie.

Był teraz pewien, że widzi liście poruszane przez niewyczuwalny powiew wiatru, wydawało mu się nieomal, że przykryte warstwą kurzu liście są zielone i tworzą gobelin z gęstej wiosennej roślinności w tej oświetlonej latarniami piwnicy. Z początku nieomal niedostrzegalnie w samym środku starożytnej płaskorzeźby otworzyła się szczelina, poszerzająca się w miarę jak dwie połowy rozsuwały się w głąb piwnicy i w końcu wysunęły się do samego końca. Tylna strona bram była wykonana tak jak przód, z taką samą gęstwiną winorośli i liści, wyglądających nieomal jak żywe. Za nimi, gdzie powinna być ziemia albo piwnica następnego budynku, lustrzany połysk pochwycił niewyraźnie ich odbicia.

— Słyszałem — powiedział Loial, częściowo żalobnym, a częściowo przerażonym tonem — że dawno temu Bramy błyszczały jak lustra. Dawno temu ten, kto wszedł do Dróg, wędrował pod słońcem i niebem. Dawno temu.

— Nie mamy czasu na czekanie — powiedziała Moiraine.

Lan szedł tuż za nią, w jednej ręce trzymał uzdę Mandarba, w drugiej latarnię na tyczce. Z naprzeciwka zbliżało się ku niemu jego niewyraźne odbicie prowadzące niewyraźnego konia. Wydawało się, że ten człowiek i jego odbicie następują na siebie na połyskującej powierzchni, po czym obydwoje zniknęli. Przez chwilę czarny ogier sprzeciwiał się, najwyraźniej ciągnąca łączyła go z ciemnym kształtem jego własnego obrazu. Uзда naprężyła się i wojenny rumak także zniknął.

Przez moment wszyscy zgromadzeni stali i wpatrywali się wytrzeszczonymi oczyma w Bramę.

— Śpieszcie się — ponagliła ich Moiraine. — Ja muszę wejść jako ostatnia. Nie możemy zostawić tego przejścia otwartego, bo ktoś je może przypadkiem znaleźć. Śpieszcie się.

Loial wszedł w migoczącą przestrzeń z ciężkim westchnieniem. Jego wielki koń, podrzucający łbem, usiłował się opierać przed wejściem w lustrzaną powierzchnię, ale został do niej zaciągnięty. Obydwaj zniknęli tak samo jak Strażnik i Mandarb.

Rand z wahaniem wsunął swoją latarnię do wnętrza Bramy. Latarnia zatopiła się w swym odbiciu, zmieszała z nim i razem z nim zniknęła. Zmusił się, by iść do przodu, wpatrzony w tyczkę, która zniknęła w sobie cal po calu, a potem wszedł sam w siebie, w ten sposób wchodząc do Bramy. Otworzył usta. Po jego skórze przemknęło coś lodowatego, jakby przechodził przez mur zbudowany z zimnej wody. Czas się rozciągnął, zimno ogarniało wszystkie jego włosy po kolei, dygotało na każdym włóknie ubrania.

Nagle chłód prysnął jak mydlana bańka, zatrzymał się dla zaczerpnięcia oddechu. Był na Drogach. Tuż przed nim Lan i Loial czekali cierpliwie przy swoich koniach. Dookoła nich panowała czerni, która wydawała się rozciągać bez żadnego kresu. Latarnie otoczyły ich niewielką kałużą światła, zbyt małą, jakby coś wciskało światło z powrotem do latarni albo ją pożerało.

Zdjęty nagłym lękiem szarpnął gwałtownie uzdę. Rudy i juczny koń wskoczyli do środka, omal nie powalając go na ziemię. Zatoczywszy się, zaraz odzyskał równowagę i podbiegł do Strażnika i Ogira, ciągnąc za sobą zdenerwowane konie. Zwierzęta rżały cicho. Nawet Mandarb z wyraźną ulgą przyjął obecność innych koni.

— Idź spokojnym krokiem, kiedy przechodzisz przez Bramę, Rand — ostrzegł go Loial. — Na Drogach wszystko wygląda... inaczej. Spójrz. — Obejrzał się w kierunku wskazanym przez Loiala, myśląc, że zobaczy to samo zamglone lśnienie. Zamiast tego zobaczył wnętrze piwnicy, jakby w czerni osadzona była wielka tafla dymnego szkła. Ciemność, otaczająca to okno wychodzące na piwnicę, dawała poczucie niepokojącej głębi, jakby ten otwór był zawieszony w próżni wypełnionej czernią. Powiedział to z nerwowym śmiechem, Loial jednak odebrał tę uwagę poważnie. — Mógłbyś je całe obejść dookoła i nic byś nie zobaczył z drugiej strony. Nie radziłbym jednak tego robić. Księgi nie wyrażają się dość jasno na temat tego, co się kryje za Bramami. Myślę, że mógłbyś się tam zagubić i nigdy nie znaleźć drogi powrotnej.

Rand potrząsnął głową i starał się skupić na samej Bramie zamiast na tym, co się znajdowało poza nią, lecz i ona była niepokojąca na swój sposób. Gdyby było co oglądać w tej czerni oprócz Bramy, chętnie by oparł na tym swój wzrok. Znajdujący się jeszcze w piwnicy Moiraine i pozostali byli dość wyraźni, mimo że spowici w przydymionym półmroku, poruszali się jednak jakby we śnie. Każde mrugnięcie powieką wyglądało jak wykonany celowo, przesadny gest. Mat brnął w stronę Bramy, jakby zanurzony w galarecie, jego nogi zdawały się płynąć do przodu.

— Koło obraca się szybciej na Drogach — wyjaśnił Loial. Popatrzył na otaczający ich mrok i wtulił głowę między ramiona. — Nikt z żywych nie zna ich lepiej, jak tylko we fragmentach. Obawiam się, że nic nie wiem o Drogach, Rand.

— Czarnego — powiedział Lan — nie można zwyciężyć bez narażania się na ryzyko. Jednak jeszcze żyjemy i wciąż jest przed nami nadzieja, że przeżyjemy. Nie poddawaj się, dopóki jeszcze nie przegrałeś, Ogir.

— Nie byłbyś taki pewny siebie, gdybyś już przedtem tu był. — Zwyczajny daleki łoskot głosu Loiala był przytłumiony. Wpatrywał się w czerń, jakby coś w niej widział. — Ja też tu nigdy nie byłem, ale spotkałem Ogirów, którzy weszli przez Bramę i wyszli z niej na powrót. Nie powinieneś tak mówić, jakbyś już tu był.

Mat przeszedł przez bramę i zaczął iść normalnym tempem. Przez chwilę wpatrywał się w najwyraźniej bezkresną ciemność, potem pobiegł, żeby do nich dołączyć. Latarnia, którą trzymał w ręku, zakołysała się gwałtownie na końcu tyczki, a jego koń skoczył tuż za nim, omal nie powalając go na ziemię. Pozostali przechodzili jedno po drugim, Perrin, Egwene i Nynaeve, każde zatrzymywało się i milkło zaszokowane, po czym pośpiesznie przyłączało się do reszty grupy. Każda latarnia powiększała krąg światła, lecz nie tak jak powinna. Wydawało się, że ciemność pogłębiała się w miarę, jak przybywało światła, jakby gęstnieniem walczyła ze swym ubywaniem.

Nie był to tok rozumowania, jakim Rand chciał podążyć. Niedobry był już sam fakt, że samą swą obecnością tutaj pozwalali ciemności kierować się własną wolą. Każdy jednak czuł tę przygnębiającą atmosferę. Mat nie wygłaszał tu swych cierpkich komentarzy, a Egwene miała taką minę, jakby żałowała, że nie przemyślała swojej decyzji przyjscia w to miejsce. Wszyscy w milczeniu wpatrywali się w Bramę, to ostatnie okno na znany im świat.

Wreszcie już tylko Moiraine została w piwnicy, ledwie oświetlonej przez jej latarnię. Jej dłoń zaczęła wolno pełznąć, gdy znalazła liść *Avendesory*. Rand zauważył, że po tej stronie jest umieszczony niżej w kamiennej płaskorzeźbie, dokładnie na tym poziomie, na którym ona go umieściła z tamtej strony. Wyjąwszy go, umieściła z powrotem na pierwotnej pozycji. Zastanawiał się, czy Liść po tamtej stronie też się przemieścił.

Aes Sedai przechodziła prowadząc za sobą Aldieb, a kamienne bramy zaczęły się wolno zamykać w ślad za nią. Podeszła do nich, a światło jej latarni pozostało między bramami, dopóki się nie zamknęły do końca. Czerń pochłonęła zwężający się obraz piwnicy. Zamknięci w zduszonym kręgu światła latarni, patrzyli na zamykającą się wokół nich czerń.

Nagle zaczęło się wydawać, że te latarnie to jedyne źródło światła, jakie pozostało na świecie. Rand zauważył, że stoi ściśnięty ramieniem między Perrinem a Egwene. Egwene spojrzała na niego szeroko rozwartymi oczyma i przycisnęła się mocniej, a Perrin nie wykonał żadnego ruchu, żeby zrobić jej miejsce. Było coś uspokajającego w dotykaniu drugiej ludzkiej istoty, gdy cały świat został właśnie połknięty przez ciemność. Nawet konie wyraźnie czuły, jak Drogi wpychają ich w coraz to ciaśniejszy kłęb.

Pozornie niczym się nie przejmujący Moiraine i Lan wskoczyli na siodła i Aes Sedai pochyliła się do przodu, wspierając ręce na swej rzeźbionej Lasce umocowanej przy wysokim łęku.

— Musimy już ruszać, Loial.

Loial wzdrygnął się i przytaknął skwapliwie.

— Tak. Tak, Aes Sedai, masz rację. Ani minuty dłużej niż to konieczne.

Wskazał szeroki pas bieli biegnący pod ich stopami i Rand pośpiesznie zszedł z niego. Zrobili tak wszyscy z Pola Emonda. Randowi przyszło do głowy, że ta podłoga była kiedyś gładka, lecz ta gładkość zrobiła się dziobata, jakby kamień przeszedł ospę. Biała linia była przerwana w kilku miejscach.

— Prowadzi od Bramy do pierwszego Drogowskazu. Z tego miejsca... — Loial rozejrzał się z niepokojem dookoła. potem wdrapał na grzbiet swojego konia bez śladu tej niechęci, którą demonstrował wcześniej. Koń miał założone największe siodło, jakie stajenny mógł znaleźć, lecz Loial wypełniał je całkowicie, od przedniego łęku po tylny. Stopy zwisały mu po obu bokach, sięgając aż do samych stawów kolanowych zwierzęcia. — Ani minuty dłużej niż to konieczne — wymruczał. Pozostali niechętnie dosiedli koni.

Moiraine i Lan jechali po bokach Ogira, kierując się błyszczącą w mroku białą linią. Pozostali tłoczyli się z tyłu, najbliżej jak tylko mogli, nad głowami kołysały się latarnie. Latarnie powinny były dawać tyle światła, ile jest potrzebne do oświetlenia całego domu, jednakże tutaj ono urywało się nagle w odległości dziesięciu stóp. Czerń je blokowała, jakby światło uderzało o mur. Wydawało się, że skrzypienie siodła i stukot końskich kopyt na kamieniach rozlegają się wyłącznie tam, dokąd sięgało światło.

Dłoń Randa stale wędrowała do miecza, mimo że wcale nie uważał, że jest tu gdzieś cokolwiek, przeciwko czemu mógłby się bronić za pomocą miecza, wydawało się raczej, że tutaj nie ma takiego miejsca, w którym mogłoby coś się kryć. Otaczająca ich bańka światła równie dobrze mogła być wnętrzem kamiennej jaskini, całkowicie zamkniętej, bez żadnego wyjścia. Konie mogłyby dreptać wokół niej w kieracie. Chwytał rękęjęsć miecza, jakby naciskiem dłoni potrafił wypchnąć ciężący na nim kamień. Dotykając miecza przypominał sobie nauki Tama. Na krótką chwilę udawało mu się odnaleźć spokój próżni. Ciężar jednakże zawsze powracał, sprężając próżnię do takiego stopnia, że stawała się jaskinią we wnętrzu jego umysłu, i wtedy musiał zaczynać wszystko od nowa, znów dotykał miecza Tama, żeby sobie przypomnieć.

To była prawdziwa ulga, gdy wreszcie w otoczeniu coś się pojawiło, mimo że była to tylko wysoka bryła kamienia, który wydawał się wyłaniać z ciemności przed nimi. Szeroka biała linia urywała się tuż przy podstawie bryły. Jej rozległa powierzchnia była inkrustowana skręconymi nitkami metalu, ozdobnymi liniami, które Randowi przypominały niejasno pnącza winorośli i liście. Zarówno kamień, jak i metal, były naznaczone ospowatymi dziobami.

— Drogowskaz — oświadczył Loial i pochylił się do przodu, by ze zmarszczonym czołem przyrzeć się zawikłanym metalowym intarsjom.

— Pismo Ogirów — powiedziała Moiraine — tak jednak zniszczone, że ledwie je mogę odczytać.

— Mnie też jest trudno — przyznał Ogir — ale to wystarcza, bym wiedział, że mamy pójść w tę stronę.

Powiódł swego wierzchowca w bok od drogowskazu.

Na skraju kręgu światła widać było inne dzieła sztuki kamieniarskiej, najwyraźniej kamienne mosty, których łuki ginęły w mroku i łagodnie nachylone rampy, bez żadnych poręczy, które wznosiły się w górę i w dół. Między mostami i rampami biegła jednak sięgająca do piersi balustrada, jakby mimo wszystko groził tu upadek. Balustradę wykonano z białego kamienia, wyrzeźbionego w proste krzywe i okrągłości, tworzące razem skomplikowane wzory. Całość wydawała się dziwnie znajoma Randowi, wiedział jednak, że jego wyobraźnia szuka zawsze czegoś znajomego, jeśli wszystko jest mu obce.

U stóp jednego z mostów Loial zatrzymał się, by odczytać pojedynczą linię wrytą w wąskim kamiennym filarze. Kiwając głową wjechał na most.

— To jest pierwszy most prowadzący na nasz szlak — rzucił przez ramię.

Rand zastanawiał się, na czym wsparty jest ten most. Końskie podkowy wydawały na nim zgrzytające odgłosy, jakby przy każdym ich kroku złuszczały się drobiny kamienia. Wszystko, co był w stanie dostrzec, pokrywały płytkie dziury, niekiedy wielkości łebka od szpilki, a czasami w kształcie płytkich kraterów o nierównych brzegach szerokości kroku, jakby spadł tu deszcz kwasu albo ten kamień gnił. W bocznych ścianach mostu też widać było szczeliny i dziury. Miejscami całe fragmenty długości piędzi były gładkie. Na ile się orientował, taki most mógł zostać wykuty z litej skały sięgającej do samego środka ziemi, jednakże to co widział, kazało mu żywić nadzieję, że będzie stało przynajmniej do chwili, w której dotrą do drugiego końca. „Gdziekolwiek ten koniec jest.”

Most jednak skończył się wreszcie, w miejscu, które nie różniło się niczym od jego początku. Rand widział jedynie to, co oświetlała niewielka łuna ich świateł, odnosił jednak wrażenie, że jest to jakaś wielka przestrzeń, niczym płaski wierzchołek góry, pełna innych mostów i ramp. Loial nazwał to miejsce Wyspą. Stał tam inny, pokryty pismem drogowskaz. Rand sądził, iż jest to środek Wyspy, nie mając sposobu sprawdzenia, czy ma rację. Loial przeczytał napis, po czym powiódł ich w górę rampy, która ciągnęła się zakrętami bez końca w górę.

Po nie kończącej się wspinaczce, polegającej na bezustannym pokonywaniu zakrętów, rampa doprowadziła ich, do kolejnej Wyspy, dokładnie takiej samej, jak ta pierwsza, z której tu dotarli. Rand usiłował wyobrazić sobie cały kształt rampy, ale poddał się.

„Ta Wyspa nie może być położona na drugiej. To niemożliwe.”

Loial przyjrzał się następnej bryle zapisanej pismem Ogirów, znalazł jeszcze jeden filar wskazujący kierunek i wprowadził ich na kolejny most. Rand zatracił już jakiegokolwiek pojęcie, w jakim kierunku jadą.

W ściśniętej łunie światła każdy most wyglądał dokładnie jak poprzednie, tyle że w ścianach jednych były szczeliny, a w innych nie. Jedynie stopień zniszczenia drogowskazów różnił czymkolwiek Wyspy. Rand stracił poczucie czasu, nie był już nawet pewien, ile do tej pory mostów przekroczyli albo po ilu rampach się wspinali. Jednakże Strażnik miał najwyraźniej zegar w głowie, kiedy bowiem Rand poczuł pierwszy skurcz głodu, obwieścił spokojnie, że już południe i zsiadł z Mandarba, by wydobyć chleb, ser i suszone mięso z koszy umocowanych do grzbietu jucznego konia, prowadzonego tym razem przez Perrina. Znajdowali się na Wyspie i Loial pracowicie odcyfrowywał kierunek podany na drogowskazie.

Mat zaczął zsiadać z siodła, ale Moiraine powiedziała:

— Czas jest zbyt cenny na Drogach, by go marnować. A dla nas jest cenny jeszcze bardziej. Zatrzymamy się, gdy przyjdzie pora na sen.

Lan siedział już ponownie na grzbiecie Mandarba.

Myśl o spaniu na Drogach odebrała Randowi wszelki apetyt. Cały czas panowała tu noc, jednakże nie była to noc do spania. Mimo to jadł podczas jazdy tak jak pozostali. Trudno było sobie z tym radzić, utrzymać jednocześnie jedzenie, latarnię na tyczce i wodze, jednakże pomimo tego braku apetytu, który sobie wyobraził, po skończeniu posiłku zlizął ostatnie kruszyny chleba i sera z rąk i z upodobaniem zamarzył o dokładce. Zaczął nawet myśleć, że w Drogach wcale nie jest tak źle, właściwie wcale nie tak źle, jak to odmalował Loial. Być może opadło ich przygnębiające poczucie ciszy przed burzą, jednak jak dotąd nic się nie zmieniło. Nic się nie zdarzyło. Drogi były wręcz nudne.

Nagle ciszę zakłócił pomruk zaskoczenia Loiala. Rand stanął w strzemionach, by zobaczyć to, co widzi Ogir i widok ten sprawił, że przełknął z trudem ślinę. Znajdowali się na środku mostu, a w odległości zaledwie kilku stóp od miejsca, w którym zatrzymał się Loial, most kończył się poszarpaną krawędzią, za którą otwierała się przepaść.

CO CZYHA W CIENIU

Światło latarni było dostatecznie mocne, by rozjaśnić drugą stronę zerwanego mostu, szczerzącą się z ciemności niczym połamane zęby olbrzyma. Koń Loiala tupnął nerwowo kopytem, potrącony kamień spadł prosto w martwą czeluść. Nawet jeśli wreszcie uderzył o dno, Rand nie usłyszał dźwięku.

Ostrożnie doprowadził Rudego do skraju przepaści. Nie zobaczył nic, pomimo iż wysunął tyczkę z latarnią najdalej, jak się dało. Czerń w dole i czerń w górze cięły strumień światła niczym ostrza ogromnych nożyc. Jeśli w ogóle było tam dno, to mogło się znajdować na głębokości jakichś tysiąca stóp. Albo nigdzie. Udało mu się natomiast zobaczyć, co było pod mostem, co go podtrzymywało. Nic. Warstwa o przekroju cieńszym niż piędź i zupełnie nic pod spodem.

Nagle kamienne podłoże pod stopami wydało mu się równie cienkie jak papier, miał wrażenie, że bezdenna czeluść chce go wessać w siebie. Latarnia i tyczka zaciążyły znienacka, jakby zaraz miały go ściągnąć z siodła. Czując, jak kręci mu się w głowie, odciągnął konia od otchłani, równie ostrożnie, jak wcześniej do niej podchodził.

— Po to właśnie nas tu ciągnęłaś; Aes Sedai? — spytała Nynaeve. — Żebyśmy się tylko przekonali, że i tak musimy zawracać do Caemlyn?

— Nie musimy zawracać — odparła Moiraine. — W każdym razie nie do samego Caemlyn. Drogi przecina wiele szlaków, które prowadzą do tego samego miejsca. Musimy zawrócić tylko tyle, by Loial znalazł inny szlak wiodący do Fal Dara. Loial? Loial!

Ogir z wyraźnym wysiłkiem oderwał wytrzeszczone oczy od przepaści.

— Słucham? Och, tak, Aes Sedai. Znajdę inny szlak. Miałem... — Jego oczy znowu powędrowały w stronę otchłani, gwałtownie strzygł uszami. — Nie wyobrażałem sobie, że rozpad posunął się tak daleko. Skoro nawet mosty się zapadają, to całkiem możliwe, że nie znajdę szlaku, na którym ci zależy. Możliwe też, że nie uda mi się znaleźć drogi powrotnej. Mosty mogą się za nami zapadać nawet w tej chwili.

— Jakaś droga na pewno istnieje — orzekł obojętnym głosem Perrin.

Z jego oczu biła złotawa łuna, jakby wchłaniały światło.

„Osaczony wilk — pomyślał Rand, wstrząśnięty tym odkryciem. — Tak właśnie wygląda.”

— Będzie tak, jak tka Koło — stwierdziła Moiraine. — Nie sądzę jednak, by rozkład postępował tak szybko, jak się obawiasz. Popatrz na ten kamień, Loial. Nawet ja potrafię stwierdzić, że pękł dawno temu.

— Tak — wolno powiedział Loial. — Tak, Aes Sedai. Widzę. Nie ma tu ani deszczu ani wiatru, a jednak ten kamień był poddany oddziaływaniom powietrza od co najmniej dziesięciu lat. — Pokiwał głową z uśmiechem ulgi, tak uszczęśliwiony tym odkryciem, że przez moment wydawał się nie pamiętać o strachu. Potem jednak rozejrzał się dookoła i niespokojnie wzruszył ramionami. — O wiele łatwiej byłoby mi znaleźć inne szlaki niż te, które wiodą do Mafal Dadaranell. Może tak Tar Valon? Albo Stedding Shangtai? Ostatnią Wyspę zaledwie trzy mosty dzielą od Stedding Shangtai. Przypuszczam, że Starsi zechcą już teraz ze mną rozmawiać.

— Fal Dara, Loial — odparła Aes Sedai stanowczym głosem. — Oko Świata znajduje się za Fal Dara, a my musimy dotrzeć do Oka.

— Fal Dara — zgodził się niechętnie Ogir. Po powrocie na Wyspę Loial zatopił się z przejściem w piśmie pokrywającym tablicę, ściągając brwi i mruczając coś pod nosem. Wkrótce mówił już wyłącznie do siebie, ponieważ przeszedł na język Ogirów. Dźwięki tej fleksyjnej mowy przypominały donośne ptasie trele. Rand nie mógł się nadziwić, że istoty tak rosłe posługują się tak melodyjnym językiem. Wreszcie Ogir skinął głową. Poprowadził ich do wybranego mostu, przy następnym obrócił się, by tęsknie zerknąć na stojący przy nim drogowskaz. — Trzy przejścia do Stedding Shangtai — westchnął.

Wprowadził ich jednak na most i nie zatrzymując się skręcił w stronę trzeciego. Gdy już na niego weszli, obejrzał się z żalem, mimo iż most prowadzący do jego domu skryły już ciemności.

Rand podjechał bliżej Ogira.

— Kiedy to wszystko się skończy, Loial, pokażesz mi swój *stedding*, a ja tobie Pole Emonda. Tylko nie za pomocą Dróg. Będziemy wędrować albo jechać konno, nawet gdyby taka wyprawa miała trwać całe lato.

— Wierzysz, że to się kiedykolwiek skończy, Rand?

Ten spojrział z ukosa na Ogira.

— Powiedziałaś, że dotrzemy do Fal Dara w ciągu dwóch dni.

— Nie chodzi o Drogi, Rand. O całą resztę. — Loial obejrzał się przez ramię na Aes Sedai, rozmawiającą cicho z jadącym obok niej Lanem. — Na jakiej podstawie sądzisz, że to się kiedykolwiek skończy?

Mosty i rampy prowadziły w górę, w dół i w bok. Czasami od Drogowskazu odchodziła biała linia, ginąca gdzieś w mroku, taka sama jak ta, która powiodła ich od Bramy w Caemlyn. Rand zauważył, że nie tylko on śledzi te linie z ciekawością i pewnym

żalem. Nynaeve, Perrin, Mat, a nawet Egwene niechętnie się z nimi rozstawali. Na końcu każdej linii znajdowała się jakaś Brama, wyjście na świat, w którym było słońce, niebo i wiatr. Nawet zły, zimny wiatr mógł teraz dostarczyć powodu do radości. Pozostawiali posłusznie linie, bo tak im nakazywało ostre spojrzenie Aes Sedai. Niemniej jednak Rand nie był jedynym, który tęsknie oglądał się nawet wtedy, gdy ciemność pochłonęła już Wyspę, Drogowskaz i linię.

Ziewał, gdy Moiraine obwieściła, że zatrzymają się na noc na jednej z Wysp. Mat rozejrzał się po otaczającej ich czerni i głośno parsknął, zsiadł jednak z konia równie szybko jak pozostali. Lan wraz z chłopcami rozsiodłali i spętali konie, Nynaeve i Egwene rozstawiły maleńki palnik oliwny, by przygotować herbatę. Lan wyjaśnił, że to przypominające oprawę latarni urządzenie jest używane przez Strażników w Ugorze, gdzie palenie drewna może spowodować niebezpieczeństwo. Z koszy zdjętych z grzbietu jucznego konia Strażnik wyciągnął trójnogi, dzięki którym można było rozstawić tyczki z latarniami dookoła obozowiska.

Loial przez chwilę przypatrywał się uważnie Drogowskazowi, po czym usiadł skrzyżowawszy nogi i pogładził dłonią zakurzony, ospowaty kamień.

— Kiedyś na Wyspie rosły różne rzeczy — powiedział ze smutkiem w głosie. — Opowiadają o tym wszystkie książki. Rosła zielona trawa do spania, miękka jak puchowe łoże. Drzewa owocowe, dzięki którym, niezależnie od pory roku panującej na zewnątrz, można było urozmaicić zabrane z sobą jedzenie jabłkiem, gruszką albo klejowcem — słodkimi, chrupiącymi i soczystymi.

— Nie było na co polować — warknął Perrin i wyraźnie się zdziwił, że mógł powiedzieć coś takiego.

Egwene podała Loialowi kubek z herbatą. Trzymał go w dłoniach, nie pijąc, zapatrzonego w dno, jakby potrafił tam odnaleźć owocowe drzewa.

— Nie masz zamiaru zakładać tu pasa ochronnego? — Nynaeve spytała Moiraine. — Na pewno żyją tu paskudniejsze stworzenia niż szczury. Czuję to cały czas, mimo iż niczego takiego dotąd nie dostrzegłam.

Aes Sedai ze wstrętem otarła palce o wnętrze dłoni.

— Czujesz skazę, nadużycie Mocy, dzięki któremu powstały Drogi. Ja jednak nie użyję Jedynej Mocy na Drogach, dopóki nie będę zmuszona. Skaza jest tak silna, że cokolwiek bym uczyniła, zabrudzenie i tak pozostanie.

Te słowa sprawiły, że wszyscy popadli w milczenie tak samo jak Loial. Lan zabrał się za swój posiłek, metodycznie dokładając do ognia; ważne było nie tyle jedzenie, co dostarczenie paliwa własnemu ciału. Moiraine też sporo zjadła, i to w tak schludny sposób, jakby wcale nie siedzieli na nagim kamieniu, dosłownie w samym środku nicości. Rand natomiast ledwie coś skubnął. Maleńki płomyk oliwnego palnika dawał zaledwie tyle ciepła, by można było zagrzać wodę, on jednak garnął się do niego, jakby

potrafił nasiąknąć jego ciepłem. Ramionami stykał się z Matem i Perrinem, wszyscy razem tworzyli ciasny krąg wokół palnika. Mat zapomniał, że w dłoniach trzyma chleb, mięso i ser, a Perrin odstawił swój talerzyk już po kilku kęsach. Opanowywał ich coraz to bardziej ponury nastrój, każdy wpatrywał się w ziemię, starając się nie zwracać uwagi na otaczający ich mrok.

Moiraine przypatrywała im się badawczo podczas jedzenia. Wreszcie odstawiła swój talerz i otarła usta serwetką.

— Mogę wam powiedzieć coś radosnego. Moim zdaniem Thom Merrilin nie zginął. Rand spojrzął na nią przenikliwie.

— Ale... Pomor...

— Mat opowiedział mi, co się zdarzyło w Białym Moście — odparła Aes Sedai. — Ludzie stamtąd wspominali o jakimś bardzie, nikt jednak nie mówił nic o jego śmierci. Sądzę, że powiedzieliby, gdyby bard został zabity. Biały Most to zbyt małe miasto, aby obecność barda została uznana za coś nieistotnego. A poza tym Thom stanowi część Wzoru, który oplata się wokół was trzech. Część zbyt ważną, jak sądzę, by miała już zostać odcięta.

„Zbyt ważną? — pomyślał Rand. — Skąd Moiraine to wie...?”

— Min? Czy ona zobaczyła coś, co się wiązało z Thomem?

— Min bardzo dużo widziała — odparła cierpkim tonem Moiraine. — Coś co związane jest z wami wszystkimi. Żałuję, że nie rozumiem nawet połowy tego, co widziała, ale nawet ona sama tego nie rozumie. Stare bariery słabną. Nieważne jednak, czy to, co widzi Min, jest stare czy nowe. Ona widzi prawdę. Wasze losy są z sobą związane. Również los Thoma Merrilina.

Nynaeve skwitowała to wszystko głośnym prychnięciem i dołała sobie herbaty.

— Nie rozumiem, jak ona mogła cokolwiek wiedzieć na nasz temat — powiedział Mat z szerokim uśmiechem. — O ile pamiętam, zajmowała się głównie wpatrywaniem w Randa.

Egwene uniosła brew.

— Ach tak? Nie wspominałaś o tym, Moiraine Sedai.

Rand zerknął na nią ukradkiem. Nie patrzyła na niego. Zdradzała ją jednak nadmiernie wystudiowana obojętność głosu.

— Rozmawiałem z nią jeden raz — przyznał. — Min ubiera się jak chłopiec i ma tak krótkie włosy jak ja.

— Rozmawiałaś z nią. Jeden raz.

Egwene wolno skinęła głową. Nadal nie patrząc na niego, podniosła swój kubek do ust.

— Min była tylko osobą pracującą w tamtej karczmie w Baerlon — wtrącił Perrin.

— Nie tak jak Aram.

Egwene zachłysnęła się herbatą.

— Za gorąca — wymamrotała.

— Kto to jest Aram? — spytał Rand.

Perrin uśmiechnął się, tak samo jak kiedyś uśmiechał się Mat, gdy zamierzał spłatać jakiegoś figła, a potem ukrył twarz w swoim kubku.

— Taki jeden z Ludu Wędrowców — odparła Egwene najzwyczajszym tonem, niemniej jednak na jej policzkach wykwitły czerwone plamy.

— Taki jeden z Ludu Wędrowców — powtórzył szyderczym tonem Perrin. — Ale jakże on potrafi tańczyć. Zupełnie jak ptak. Czy nie tak mówiłaś, Egwene? Że to tak, jak fruwać z ptakiem?

Egwene stanowczym ruchem odstawiła kubek.

— Nie wiem, może nikt nie jest jeszcze zmęczony, ale ja w każdym razie kładę się już spać.

Gdy leżała otulana w koce, Perrin przechylił się, by szturchnąć Randa pod żebro i puścić do niego oko. Rand mimo woli odwzajemnił uśmiech.

„Niech szczenę, kiedy wreszcie zachowam się tak jak trzeba. Szkoda, że nie znam się na kobietach tak jak Perrin.”

— Rand — zaczął Mat z przebiegłym uśmiechem — może powinieneś opowiedzieć Egwene o córce farmera Grinwella, Else.

Egwene uniosła głowę, by spojrzeć najpierw na Mata, potem na niego.

Pośpiesznie zabrał się za rozkładanie posłania.

— Mam ochotę trochę się zdrzemnąć.

Po chwili wszyscy z Pola Emonda znaleźli swoje koce, Loial również zaczął mościć sobie legowisko. Moiraine nie ruszała się z miejsca i maleńkimi łykami popijała herbatę. Lan towarzyszył jej. Po Strażniku zupełnie nie było widać, by zamierzał się kłaść, jakby w ogóle nie potrzebował snu.

Wszyscy ułożyli się tak, aby nie oddalać się zanadto od pozostałych. Utworzyli wokół palnika niewielki krąg okrytych kocami pagórków, nieomal ściśle do siebie przylegających.

— Rand — szepnął Mat — czy między tobą i Min coś zaszło? Ja ledwie na nią spojrzałem. Była piękna, ale miała pewnie tyle lat co Nynaeve.

— A co z Else? — dorzucił leżący z drugiej strony Perrin. — Nie była piękna?

— Krew i popioły — mruknął Rand — czy nawet nie wolno mi porozmawiać z jakąś dziewczyną. Jesteście obydwaj równie wstrętni jak Egwene.

— Jakby powiedziała Wiedząca — szydził Mat — pilnuj swego języka. Cóż, skoro nie chcesz o tym gadać, to trochę się prześpię.

— Znakomicie — burknął Rand. — Nareszcie powiedziałaś coś do rzeczy.

Jednak sen nie chciał przyjść tak łatwo. Kamień był twardy, i niezależnie od przyjmowanej pozycji, Rand czuł przez koc wszystkie nierówności. Nie umiał

zapomnieć, że są to właśnie Drogi, stworzone przez ludzi, którzy spowodowali pęknięcie świata, przez ludzi skażonych dotknięciem Czarnego. Wciąż miał przed oczyma wizję zapadniętego mostu i pustki pod nim.

Kiedy odwrócił się w jedną stronę, odkrył, że Mat patrzy na niego, a właściwie przez niego. Drwiny poszły w niepamięć, gdy powróciła ciemność. Obrócił się na drugi bok, ale Perrin też miał oczy otwarte. Na jego twarzy było mniej lęku niż na twarzy Mata, trzymał dłonie na piersi, z niepokojem postukując jednym kciukiem o drugi.

Moiraine obeszła ich posłania, klękała kolejno przy każdej głowie i pochylała się, by coś cicho powiedzieć. Rand nie słyszał, co powiedziała Perrinowi, sprawiła jednak, że jego kciuki znieruchomiały. Gdy w końcu pochylała się nad nim, nieomal dotykając twarzą jego twarzy, usłyszał niski, uspokajający głos:

— Nawet tutaj chroni cię twoje przeznaczenie. Nawet Czarny nie może całkowicie zmienić Wzoru. Nic ci nie grozi z jego strony, dopóki ja jestem obok. Twoje sny są bezpieczne. Będą bezpieczne, przynajmniej przez jakiś czas.

Kiedy przeszła od niego do Mata, zastanowił się, czy jej zdaniem naprawdę wystarczy mu powiedzieć, że jest bezpieczny i on w to zaraz uwierzy. W jakiś sposób jednak rzeczywiście poczuł się bezpieczny — w każdym razie bezpieczniejszy. Z tą myślą odpłynął w sen i nie śnił o niczym.

Obudził ich Lan. Rand zastanawiał się, czy Strażnik w ogóle spał, nie wyglądał na zmęczonego, nawet w takim stopniu jak ci, którzy przeleżeli kilka godzin na twardym kamieniu. Moiraine dała im tyle czasu, ile było potrzebne na zaparzenie herbaty, każdy jednak mógł wypić tylko jedną filiżankę. Śniadanie jedli już w siodle — na czele jechali Loial i Strażnik. Był to taki sam posiłek jak wszystkie pozostałe — chleb, mięso i ser. Rand pomyślał, że już niedługo chleb, mięso i ser zupełnie mu obrzydną.

Krótko potem, jak ostatni okruch został zlizany z palców, Lan powiedział cicho:

— Ktoś podąża naszym śladem. Albo coś.

Znajdowali się akurat na środku mostu, obydwaj jego krańce krył mrok.

Mat natychmiast wyszarpnął strzałę z kołczana i zanim ktokolwiek zdołał go powstrzymać, wystrzelił ją w ciemność osaczającą ich od tyłu.

— Wiedziałem, że nie powinienem tego robić — mruknął Loial. — Nie należy się zadawać z Aes Sedai poza granicami *stedding*.

Lan chwycił łuk i przytrzymał cięciwę, zanim Mat zdążył naciągnąć następną strzałę.

— Przestań, ty wiejski durniu. Nie mamy jak sprawdzić, kto to jest.

— To jedyne miejsce, w którym z ich strony nic nam nie grozi — mówił dalej Ogir.

— Czy oprócz czegoś złego może w tym miejscu być co innego? — spytał podniesionym głosem Mat.

— Tak właśnie mówią Starsi, a ja powinienem był ich słuchać.

— Na przykład my — stwierdził kwaśnym tonem Strażnik.

— Może to jakiś inny podróżnik — powiedziała z nadzieją Egwene. — Może jakiś Ogir.

— Ogirowie są zbyt rozsądni, żeby używać Dróg — odburknął Loial. — Wszyscy z wyjątkiem Loiala, który w ogóle nie ma rozsądku. Starszy Haman zawsze to powtarza i ma rację.

— Co czujesz, Lan? — spytała Moiraine. — Czy to jest coś, co służy Czarnemu?

Strażnik powoli pokręcił głową.

— Nie wiem — odparł takim tonem, jakby to go zdziwiło. — Nie potrafię określić. Może to tylko same Drogi i skaza na nich wyryta. Wszystko wydaje się złe. Jednak ktokolwiek czy cokolwiek to jest, nie stara się nas dogonić. Prawie już nas dogonił przy ostatniej Wyspie, a jednak uciekł w popłochu przez most, żeby uniknąć spotkania. Jeśli jednak zostanę z tyłu, wezmę go z zaskoczenia i wtedy się przekonamy.

— Jeśli zostaniesz z tyłu, Strażniku — stanowczym głosem oświadczył Loial — wówczas resztę życia spędzisz wśród Dróg. Nawet jeśli potrafisz czytać w języku Ogirów, to i tak nigdy nie słyszałem o żadnym człowieku, który potrafiłby sam, bez przewodnika z mojej rasy, odnaleźć szlak wiodący od pierwszej Wyspy. Czy znasz język Ogirów?

Lan ponownie pokręcił głową, a Moiraine powiedziała:

— Dopóki nie będzie nam stwarzał kłopotów, dopóty my nie będziemy go niepokoić. Nie mamy czasu. Ani odrobiny.

Gdy zjeżdżali z mostu na następną Wyspę, Loial powiedział:

— O ile właściwie zapamiętałem ostatni Drogowskaz, biegnie stąd szlak wiodący do Tar Valon. Najwyżej pół dnia podróży. Nie stracimy nawet tyle czasu, ile jest potrzebne, by dotrzeć do Mafal Dadaranell. Jestem pewien, że...

Urwał, gdy latarnie oświetliły Drogowskaz. Tuż pod samym szczytem tablicy z napisami kamień pokrywały głęboko wycięte rysy, ostre i kanciaste, przypominające rany. Lan raptem przestał ukrywać trapiący go niepokój. Nadal siedział w siodle wyprostowany, Rand jednak odniósł nagle wrażenie, że Strażnik czuje wszystko, co go otacza, że czuje nawet ich oddechy. Zaczął objeżdżać Drogowskaz, zataczając coraz to szersze kręgi. Poruszał się w taki sposób, jakby gotował się do ataku lub jego odparcia.

— To wiele wyjaśnia — powiedziała spokojnie Moiraine — i budzi we mnie lęk. Więc to aż tak. Powinnaś się była domyślić. Skaza, rozpad. Powinnaś się była domyślić.

— Domyślić czego? — spytała Nynaeve, wchodząc w słowo Loialowi, który z kolei spytał:

— Co to jest? Kto to zrobił? Nigdy nie widziałem ani nie słyszałem o czymś takim.

Aes Sedai wytrzymała ich wzrok bez cienia zdenerwowania.

— Trolloki.

Zignorowała ich przerażone okrzyki.

— Albo Pomory. To są runy trolloków. Trolloki odkryły, jak się wchodzi do Dróg. W taki zapewne sposób dotarły niezauważenie do Dwu Rzek, przez Bramę przy Manetheren. W Ugorze znajduje się co najmniej jedna Brama. — Zerknęła w stronę Lana, zanim na nowo podjęła wyjaśnienia. Strażnik odjechał już tak daleko, że widać było jedynie nikłe światło jego latarni. — Manetheren zostało zniszczone, ale prawie nic nie jest w stanie zniszczyć Bramy. W taki właśnie sposób Pomory potrafiły zgromadzić niewielką armię dookoła Caemlyn, nie wzniesząc alarmu we wszystkich krainach od Uguru po Andor. — Urwała, w zamyśleniu dotykając warg. — Niepodobna jednak, że poznały już wszystkie szlaki, bo inaczej wtargnęłyby do samego środka Caemlyn za pomocą tej samej Bramy, z której myśmy skorzystali. Tak.

Rand zdrzął. Przejąć przez Bramę i napotkać zaczajone w ciemnościach trolloki, całe setki, może tysiące trolloków, pokrzywionych olbrzymów o zezwierzęconych twarzach, którzy z chrapliwym warkotem będą wyskakiwać z czerni, siejąc mord. Albo coś jeszcze gorszego.

— Niełatwo jest korzystać z Dróg — westchnął Lan.

Latarnia Strażnika znajdowała się w odległości najwyżej dwudziestu piędzi, jednakże rzucający przez nią blask przybrał postać bladej, niewyraźnej kuli, bardzo odległej od światła otaczających Drogowskaz. Moiraine poprowadziła ich w tamtą stronę. Na widok tego, co odkrył Strażnik, Rand pożałował, że nie ma pustego żołądka.

U stóp jednego z mostów zastygły sylwetki trolloków, unieruchomionych w chwili, gdy wymachiwały gwałtownie zakrzywionymi toporami i sierpowatymi mieczami. Ich ogromne cielska, zszarzałe i dziobate jak kamień, tkwiły zatopione do połowy w rozdętej, pokrytej bąblami substancji. Niektóre z bąbli pękły, odsłaniając fragmenty twarzy, wystające pyski, na zawsze wykrzywione zwierzęcym grymasem strachu. Rand, słysząc, że ktoś za nim wymiotuje, boleśnie przełknął ślinę. Nawet jak na trolloki była to straszna śmierć.

Kilka stóp za trollokami most się kończył. Słup drogowskazu leżał roztrzaskany na tysiące kawałków.

Loial zsunął się ostrożnie z grzbietu konia, podejrzliwie obserwując ciała trolloków, jakby się spodziewał, że zaraz ożyją. Pośpiesznie przeszukał gruz pozostały po drogowskazu, szukając metalowych napisów, niegdyś osadzonych w kamieniu. Po chwili wdrapał się z powrotem na siodło.

— To był pierwszy most położony na szlaku wiodącym do Tar Valon — oznajmił.

Mat ocierał usta wierzchem dłoni, odwracając głowę w drugą stronę, by nie widzieć trolloków. Egwene ukryła twarz w dłoniach. Rand podjechał bliżej i dotknął jej ramienia. Obróciła się i uchwyciła się go kurczowo, cała roztrzęsiona. On sam również by się rozdygotał, powstrzymywały go tylko jej objęcia.

— Nie jedziemy jeszcze do Tar Valon — oświadczyła Moiraine.

Nynaeve napadła na Aes Sedai.

— Jak możesz to przyjmować z takim spokojem? To samo mogło stać się z nami!

— Być może — odparła pogodnie Moiraine, a Nynaeve zacisnęła usta z taką siłą, że Rand usłyszał zgrzytnięcie zębów.

— Bardziej jednak prawdopodobne — ciągnęła niczym nie wzruszona Aes Sedai — że tamci mężczyźni, Aes Sedai, którzy stworzyli Drogi, zabezpieczyli je, zakładając w nich pułapki na istoty należące do Czarnego. A zatem musieli się czegoś bać, zanim Półludzie i trolloki zostali zapędzeni do Ugoru. Tak czy inaczej nie możemy zostać tu dłużej, a w którąkolwiek stronę się udamy, za siebie czy przed siebie, zawsze będzie istniała groźba, że wpadniemy w jakąś pułapkę. Loial, czy wiesz, gdzie jest następny most?

— Tak. Tak... dzięki Światłości, ta część Drogowskazu nie została zniszczona.

Loial po raz pierwszy, w zgodzie z intencją Moiraine, palił się wyraźnie do dalszej drogi. Jeszcze nie skończył mówić, a już pognął swego wielkiego konia do galopu.

Egwene tuliła się do ramienia Randa jeszcze przez, dwa mosty. Żałował, gdy wybąkawszy jakieś przeprosiny i śmiejąc się z przymusem, w końcu go puściła, żałował nie tylko dlatego, że przyjemnie było czuć, jak ona tak się do niego garnie. Odkrył, że łatwiej być odważnym, gdy można kogoś chronić.

Moiraine być może nawet nie wierzyła do końca, iż jakaś pułapka czeka właśnie na nich, a jednak pomimo wcześniejszego nieustannego przynaglania, kazała im teraz jechać znacznie wolniej niż przedtem, zatrzymując się przed wpuszczeniem ich na którykolwiek most albo przed zjechaniem z niego na Wyspę. Wysuwała się z Aldieb do przodu, badając przestrzeń przed sobą wyciągniętą ręką; nawet Loialowi ani Lanowi nie wolno było jechać naprzód bez jej zgody.

Rand musiał zawierzyć jej zdaniu na temat pułapek, cały czas jednak badał wzrokiem otaczającą go ciemność, jakby rzeczywiście potrafił dojrzeć coś, co znajdowało się dalej niż dziesięć stóp i bacznie nadstawiał uszu. Skoro trolloki mogły korzystać z Dróg, to w takim razie to coś, co szło ich śladem, mogło być jakimś innym stworzeniem należącym do Czarnego. Istot tych mogło być kilka. Lan powiedział, że na Drogach nie jest w stanie niczego określić. Gdy pokonywali jeden most za drugim, jedli podczas jazdy popołudniowy posiłek i znowu przekraczali kolejne mosty, słyszał tylko skrzypienie siodła, stukot końskich kopyt, czasami czyjeś kasznięcie albo mruknięcie. Po jakimś jednak czasie zdało mu się, że słyszy również szum wiatru, dochodzący gdzieś z ciemności. Nie umiał określić z której strony. Z początku sądził, że jest to tylko twór jego wyobraźni, jednak wraz z upływem czasu nabierał pewności.

„Przyjemnie będzie znowu poczuć wiatr, nawet jeśli zrobi się chłodno.”

Nagle zamrugął.

— Loial, czyś ty przypadkiem nie mówił, że po Drogach nie wieją żadne wiatry?

Loial zatrzymał konia tuż przed następną Wyspą i nasłuchiwał z przekrzywioną głową. Twarz mu stopniowo bladła, nerwowa oblizywał wargi.

— *Machin Shin* — wyszeptał ochryple. — Czarny Wiatr. Światłości, oświeć nas i chroń. To Czarny Wiatr.

— Ile jeszcze zostało mostów? — spytała ostrym tonem Moiraine. — Loial, ile jeszcze zostało mostów?

— Dwa. Wydaje mi się, że dwa.

— No to szybko! — zawołała, każąc Aldieb pogalopować w stronę Wyspy. — Znajdź je szybko!

Loial czytał napisy na Drogowskazi i mówił głośno do siebie lub do kogokolwiek, kto go słuchał.

— Wyszli stamtąd obłąkani, krzycząc przeraźliwie o *Machin Shin*. Światłości, dopomóż nam! Nawet ci, których mogły uzdrowić Aes Sedai, nie... — Pośpiesznie omiótł wzrokiem kamienną płaszczyznę i pogalopował w stronę wybranego mostu z donośnym: — To tam!

Tym razem Moiraine nie traciła czasu by sprawdzić to miejsce. Nakazała wszystkim przejść w galop, most zadrżał pod rozpędzonymi końmi, latarnie rozhuśtały się gwałtownie nad głowami. Loial przebiegł wzrokiem napisy na następnym Drogowskazi i nawrócił swego wierzchowca, jakby to był koń wyścigowy, nie dając mu się nawet zatrzymać. Szum wiatru stawał się coraz głośniejszy. Rand słyszał go mimo stukotu kopyt po kamiennym podłożu. Wiał od tyłu, coraz bliższymi podmuchami.

Nie marnowali czasu przy następnym Drogowskazi. Gdy tylko światło latarni wychwyciło biegnącą od niego białą linię, skęcili w tamtą stronę, wciąż galopując. Wyspa zniknęła w tyle i teraz był już tylko porowaty, szary kamień pod nogami, a na nim ta biała linia. Rand oddychał tak ciężko, że nie był już pewien, czy jeszcze słyszy wiatr.

Z mroku wyłoniły się bramy, ozdobione fryzami w kształcie liści winorośli, tkwiły samotnie w czerni jak niewielki fragment muru spowity w nocny mrok. Moiraine wychyliła się z siodła, sięgając ręką płaskorzeźb i nagle wyprostowała się gwałtownie.

— Nie ma tu liścia *Avendesory*! — zawołała. — Klucz zniknął!

— Światłości! — krzyknął Mat. — Przekłeta Światłości!

Loial odrzucił głowę w tył i zaniósł się żalobnym krzykiem, przypominającym jęk umierającego.

Egwene dotknęła ramienia Randa. Wargi jej zadrżały, ale tylko popatrzyła na niego. Nakrył dłonią jej dłoń, mając nadzieję, że nie wygląda na bardziej przestraszonego niż ona. Poczul to. W tyle, blisko Drogowskazu, wył wiatr. Miał wrażenie, że słyszy w nim jakieś głosy, głosy wykrzykujące takie niktzemności, że rozumiejąc je tylko w połowie, poczul żółć dławiącą mu gardło.

Moiraine uniosła swą laskę, z końca wytrysnął ogień. Nie był to tamten czysty, biały płomień, który Rand zapamiętał z Pola Emonda i bitwy pod Shadar Logoth. Ogień przeplatały zgniłozółte smugi, prószył wolno opadającym czarnym pyłem, podobnym do sadzy. Z płomienia wzbił się rzadki, kwaśny dym, od którego Loial zaniósł się kaszlem, a konie zaczęły wierzgać, natomiast Moiraine, nie zważając na nic, z całej siły wcisnęła laskę w powierzchnię bramy. Rand czuł, jak dym drażni mu gardło i parzy wnętrze nosa.

Kamień topniał jak masło, liście i gałązki winorośli więdły i zanikały. Aes Sedai przesuwała płomień najszybciej jak potrafiła, jednakże wycięcie otworu dostatecznie dużego, by wszyscy mogli przez niego przejść, nie było łatwym zadaniem. Randowi wydawało się, iż linia stopionego kamienia pełźnie po łuku w ślimaczym tempie. Serce mu zamarło, gdy poły płaszcz zadrżały nieznacznie, jakby poruszone słabym podmuchem wiatru.

— Czuję go — powiedział drżącym głosem Mat. — Światłości, niech mnie przeklną, czuję go!

Płomień zgasł i Moiraine opuściła laskę.

— Zrobione — powiedziała. — Na razie połowa. Przez pokrytą płaskorzeźbami płaszczyznę biegła cienka linia. Randowi wydało się, że widzi w tej szczelinie światło — blade, ale jednak światło. Wycięte w kamieniu dwa wielkie, zaokrąglone kliny tkwiły uparcie — wrota bramy dzieliły ich wspólny łuk dokładnie na połowę. Otwór, który miał powstać w tym miejscu, byłby dostatecznie duży, by wszyscy mogli przezeń przejechać, choć Loial musiałby się położyć płasko na grzbiecie swego konia. Dostatecznie duży po wypchnięciu klinów. Zastanawiał się, ile mogą ważyć. Tysiąc funtów? Więcej?

„Gdybyśmy tak wszyscy zsiadli z koni i popchnęli. Gdybyśmy wypchnęli przynajmniej jeden na zewnątrz, zanim ten wiatr tu dotrze.”

Pierwszy podmuch szarpnął połą jego płaszcz. Starął się nie słuchać, co wykrzykują głosy.

Moiraine odsunęła się na bok, Lan skulił się w siodle i Mandarb skoczył do przodu, prosto na bramę. W ostatniej chwili wykonał skręt, by pchnąć kamień barkiem, dokładnie tak, jak go uczono nacierać na inne konie podczas bitwy. Bryła kamienia z donośnym trzaskiem wypadła na zewnątrz, a siła rozpędu poniosła Strażnika i jego konia prosto w dymiący blask, wypełniający Bramę. Światło, które sączyło się przez otwór, było światłem późnego poranka, bladym i słabym, Rand jednak miał wrażenie, że w twarz pali go południowy skwar pełni lata.

Po drugiej stronie bramy Mandarb z Lanem brnęli teraz ospałymi ruchami, nawracając w ich stronę. Rand nie czekał, Popchnął łeb Beli w kierunku otworu i z całej siły klepnął ją po zadzie. Egwene zdążyła tylko rzucić przez ramię zdziwione spojrzenie i zaraz potem Bela wywiozła ją z Dróg.

— Uciekajcie wszyscy! — rozkazała Moiraine. — Szybko! Naprzód!

Mówiąc to Aes Sedai wyciągnęła laskę na długość ręki i ustawiła ją w stronę Drogowskazu. Z końca laski coś wytrysnęło, jak ciekłe światło przetopione na ognisty syrop, oślepiająca włócznia wykuta z bieli, czerwieni i żółci, sącząca się w czerni, eksplodująca, skrzęca się jak strzaskane na proch diamenty. Wiatr skrzeczał, śmiertelnym bólem wyrzaskiwał swą wściekłość. Skryty w nim pomruk tysięcznych głosów huknął... jak jeden grom, rozszalałym rykiem, stłumionym rechotem i ogłuszającymi przyrzeczeniami, od których Randowi skręcał się żołądek, słyszał bowiem wibrujące w nich upodobanie, a jednocześnie rozumiał ich sens.

Uderzył Rudego piętami, spinając go w galop i przepchnął przez otwór w bramie, dążąc w ślad za pozostałymi przez połyskliwy dym. Czuł przepełniający go lodowaty dreszcz, dziwaczne wrażenie powolnego zapadania się w stawie w samym środku zimy, którego chłodna woda pełzła nieskończenie wolno po ciele. Znowuż, tak jak przedtem, wszystko wydawało się trwać całą wieczność, mimo że jednocześnie umysł cwałował, gorączkowo mieląc pytanie, czy wiatr dogoni ich, podczas gdy będą zawieszeni w tym stanie.

Chłód zniknął nagle, jak przekłuta bańka mydlana, był już po drugiej stronie bramy. Koń, który znienacka zaczął się poruszać dwa razy szybciej niż dotychczas, potknął się, omal nie przerzucając go przez kark. Objął rękoma gniady kark i przywarł do niego z taką siłą, jakby od tego zależało życie. Gdy wreszcie na powrót siedział mocno w siodle, Rudy otrząsnął się i podbiegł kłusem do pozostałych koni, z takim spokojem, jakby nie zdarzyło się nic niezwykłego. Owiął ich chłód, zupełnie niepodobny do zimna panującego w Bramie, przyjemny, naturalny chłód zimy, który powoli, miarowo wwiercał się w ciało.

Otulił się szczelniej płaszczem, nie odrywając wzroku od mętnego blasku Bramy. Obok niego Lan pochylał się do przodu w siodle, dłoń trzymał wspartą na mieczu; jeździec i koń byli tak napięci, jakby zaraz mieli rzucić się w powrotnej szarży, na wypadek gdyby Moiraine nie wyłoniła się z Bramy.

Brama stała u stóp jakiegoś wzgórza, zasypana gruzem, ukryta za murem zarośli, tylko w kilku miejscach spadające kamienie połamały ich nagie, zbrązowiałe gałęzie. W krzewach otaczających płaskorzeźby na resztkach bramy było jeszcze mniej życia niż w kamieniu.

Powoli mętna powierzchnia wybrzuszała się jak jakaś dziwaczna, długa bańka wypływająca na powierzchnię stawu. Po chwili przebiły ją plecy Moiraine. Aes Sedai i jej niewyraźne odbicie odsuwały się od siebie, krok po kroku. Nadal trzymała wyciągniętą przed siebie laskę i szła tak z nią, prowadząc za sobą Aldieb, która wierzgała i wywracała oczami ze strachu. Nie przestając obserwować Bramy, Moiraine wyszła na zewnątrz.

Brama pociemniała. Mglisty blask zaczął mętnieć, przechodząc przez szarość w barwę węgla, potem w czerń równie głęboką jak ta, która zalegała Drogi. Usłyszeli ryk wiatru, dochodzący jakby z wielkiego oddalenia, tajemne głosy pełne nienasyconego pożądania żywych istot, głodu zadawania bólu, rozpacz.

Głosy wydawały się szeptać wprost do ucha Randa, wibrując tuż na granicy zrozumienia:

„Takie delikatne ciało, rozedrzeć je takie delikatne, rozpruć tę skórę, podrzeć skórę na paski, spleść, cudownie splatać te paski, jakże cudownie, te krople są takie czerwone, jaka czerwona krew, jaka czerwona, jaka słodka, słodki krzyk, rozkoszny krzyk, śpiewny krzyk, wykrzycz swą pieśń, wyśpiewaj swój krzyk...”

Szept ucichł, czerń przygasła i zniknęła. W miejscu Bramy, pod łukiem wykutym w kamiennym zboczu, znów widać było tylko mętny blask.

Rand odetchnął głęboko. Nie tylko on, słyszał, że pozostali również oddychają z ulgą. Egwene podjechała do Nynaeve, przytuliły się do siebie, kryjąc głowy w ramionach. Nawet Lan wyraźnie się odprężył, mimo iż twarde rysy jego twarzy niczego nie zdradzały, było to raczej widać w sposobie, w jaki siedział na Mandarbie i rozluźniwszy ramiona patrzył na Moiraine.

— Nie mógł się przedostać na zewnątrz — powiedziała Moiraine. — Tak myślałam, taką właśnie miałam nadzieję. Fuj! — Cisnęła laskę na ziemię i wytarła dłoń o płaszcz. Laska zwęgliła się, do połowy długości pokrywała ją gruba warstwa sadzy. — Skaza niszczy wszystko w tym miejscu.

— Co to było? — dopytywała się Nynaeve.

Loial wyraźnie się obruszył.

— No jakże, *Machin Shin*, ma się rozumieć. Czarny Wiatr, który kradnie dusze.

— Ale co to jest? — Nie ustępowała Nynaeve. — Na trolloka można spojrzeć, nawet go dotknąć, jeśli ma się wytrzymały żołądek. Ale to...

Zadrżała spazmatycznie.

— Może to być pozostałość po Czasach Szaleństwa — wyjaśniła Moiraine. — Albo nawet po Wojnie z Cieniem, Wojnie o Moc. Coś, co ukrywało się wśród Dróg tak długo, że już nie potrafi się wydostać. Nikt, nawet żaden Ogir, nie wie, jak daleko albo jak głęboko ciągną się Drogi. To coś mogło być nawet częścią Dróg. Jak powiedział Loial, Drogi są czymś żywym, a wszystkie żywe istoty mają swoje pasożyty. Być może jest to nawet twór samego zniszczenia, zrodzony z rozkładu. Coś, co nienawidzi życia i światła.

— Przestań! — krzyknęła Egwene. — Nie chcę tego więcej słuchać. Słyszałam to, mówiło...

Urwała nagle, cała drżąc.

— Musimy stawić czoło jeszcze gorszym rzeczom — szepnęła Moiraine. Rand pomyślał, że pewnie nie chciała, aby ją usłyszeli.

Aes Sedai ze znużeniem wdrapała się na siodło i usadowiła w nim wygodnie, wzdychając z ulgą.

— To jest skrajnie niebezpieczne — powiedziała, patrząc na zrujnowane bramy. Ledwie rzuciła okiem na swoją zwęgloną laskę. — Każdy może tam wejść, ale wydostać się już nie sposób. Kiedy dotrzemy do Fal Dara, Agelmar będzie musiał przysłać tu ludzi, żeby zamurowali wejście.

Wskazała ręką północ, gdzie w mglistej dali, ponad wierzchołkami nagich drzew, wystawał rząd wież.

FAL DARA

Teren za Bramą falował łagodnie wśród porośniętych lasami wzgórz, jednak prócz samych bram po gaju Ogirów nie pozostał żaden inny ślad. Drzewa przypominały szare szkielety usiłujące schwytać niebo w swe szpony. Las urozmaicały rośliny wiecznie zielone, w ilości znacznie jednak mniejszej niż ta, do której Rand przywykł — wiele okrywających je igieł i liści zbrązowiało i obumarło. Loial nic nie powiedział, tylko ze smutkiem pokręcił głową.

— Martwo jak na Spustoszonych Ziemiach — stwierdziła Nynaeve, marszcząc czoło.

Egwene otuliła się szczelniej płaszczem i zadrżała.

— Przynajmniej udało nam się wyjść — powiedział Perrin, a Mat dodał:

— Ale gdzie teraz jesteśmy?

— Shienar — wyjaśnił Lan. — Jesteśmy na Ziemiach Granicznych.

Nuta, która dźwięczała w jego twardym głosie, mówiła, że to dom, że już prawie...

Rand ściągnął poły płaszcza, chroniąc się przed chłodem. Ziemie Graniczne. A zatem Ugór był blisko. Ugór. Oko Świata. I zadanie, jakie przed nimi stało.

— Jesteśmy już blisko Fal Dara — powiedziała Moiraine. — Jeszcze tylko kilka mil.

Ponad wierzchołkami drzew, na północ i wschód od miejsca, w którym się znajdowali, ciemne kontury wież rysowały się w tle porannego nieba. Po drodze często znikwały, przesłonięte przez grzbiety wzgórz i korony drzew, wystarczyło jednak wjechać na szczyt jakiegoś szczególnie wysokiego wzniesienia, a wnet wyłaniały się z powrotem.

Randowi rzuciły się w oczy drzewa o pniach rozplątanych, jakby trafił je piorun.

— To z zimna — wyjaśnił Lan, gdy go o nie zapytał. — Zima jest tu czasem tak mroźna, że drzewa pękają, bowiem zamarzają w nich soki. Bywają takie noce, podczas których słyszać, jak strzelają niczym sztuczne ognie i wydaje ci się, że nawet powietrze zaraz się roztrzaska jak lodowata bryła. Po tej zimie zostało ich więcej niż zazwyczaj.

Rand pokręcił głową. Drzewa, które pękają? I to podczas zwyczajnej zimy. To jaka była ta zima? Z pewnością nie umiał sobie jej wyobrazić.

— Kto mówi, że już po zimie? — spytał Mat, szcękając zębami.

— No jakżeż, toż wiosna w całej krasie, pasterzu — powiedział Lan. — Trzeba docenić taką wspaniałą wiosnę. No, ale skoro tak bardzo chcesz ciepła, to cóż, na Ugorze będzie goręcej.

— Krew i popioły. Krew i przeklęte popioły — cicho wymruczał Mat.

Rand ledwie go usłyszał, ale zabrzmiało to wyjątkowo żarliwie.

Zaczęli mijać farmy, lecz mimo że była to pora gotowania popołudniowych posiłków, nad wysokimi kamiennymi kominami nie unosił się dym. Na polach nie było ani ludzi, ani bydła, mimo że tu i ówdzie stał opuszczony pług albo wóz, sprawiając wrażenie, jakby ich właściciel zamierzał lada moment powrócić.

Na podwórku jednej z farm, nie opodal drogi, grzebała w ziemi samotna kura. Jedno skrzydło wrót w stodole huśtało się na wietrze, drugie oderwało się od dolnego zawiasu i zawisło przekrzywione. Wysoki dom, dziwaczny dla oka Randa nawykłego w Dwu Rzekach do innych budowli, z dachem o szpiczastym wierzchołku, pokrytym dużymi drewnianymi gontami, sięgającymi nieomal do samej ziemi, pozostawał znieruchomiały i milczący. Żaden pies nie wybiegł, żeby na nich zaszczekać. Na podwórku przed stodołą leżał sierp, obok studni przewracane wiadra.

Kiedy mijali dom, Moiraine przypatrzyła mu się ze zmarszczonym czołem. Uniosła wodze Aldieb i biała klacz przyspieszyła kroku.

Ludzie z Pola Emonda jechali zbici w gromadę wokół Loiala, trzymając się nieco z tyłu za Aes Sedai i Strażnikiem.

Rand pokręcił głową. Nie potrafił sobie wyobrazić, że coś tu jeszcze kiedyś wyrośnie. No, ale Dróg również nie potrafił sobie wyobrazić. Nawet teraz, kiedy już je miał za sobą, nie potrafił.

— Chyba się tego nie spodziewała — powiedziała cicho Nynaeve, gestem ręki ogarniając wszystkie puste farmy, które minęli po drodze.

— Dokąd oni wszyscy odeszli? — spytała Egwene. — Dlaczego? Nie mogli stąd odejść dawno temu.

— Niby czemu tak mówisz? — spytał Mat. — Sądząc po wrotach tej stodoły, nikogo tu nie było przez całą zimę.

Nynaeve i Egwene spojrzały na niego jak na kogoś wyjątkowo tępego.

— Zasłony w oknach — wyjaśniła cierpliwie Egwene. — Nawet tutaj są zbyt cienkie jak na zimowe zasłony. Przy takim zimnie, jakie tutaj panuje, żadna kobieta nie zawiesiłaby ich później niż przed tygodniem albo dwoma.

Wiedząca przytaknęła.

— Zasłony — zaśmiał się Perrin i natychmiast stłumił uśmiech, gdy obydwie skarciły go spojrzeniami spod uniesionych brwi. — Och, zgadzam się z wami. Ten sierp nie mógł leżeć dłużej niż tydzień na dworze, prawie wcale nie zardzewiał. Dziwne, że tego nie zauważyłeś, Mat. Nawet jeśli nie zwróciłeś uwagi na zasłony.

Rand zerknął z ukosa na Perrina, starając się nie okazywać zdumienia. Miał lepszy wzrok od przyjaciela — przynajmniej tak było, kiedy razem polowali na króliki a jednak nie widział ostrza sierpu tak wyraźnie, by zauważyć, że nie jest zardzewiałe.

— Mnie to w ogóle nie obchodzi, dokąd oni poszli — burknął Mat. — Chciałbym tylko znaleźć jakieś miejsce, w którym jest napalone. I to zaraz.

— Ale dokąd oni poszli? — spytał ledwie słyszalnie Rand.

Do Ugoru było niedaleko. Do Ugoru, w którym przebywały wszystkie Pomory i trolloki, które nie szukały ich teraz w Andorze. Ugór, do którego właśnie zmierzali.

Podniósł głos na tyle, by usłyszeli go jadący obok.

— Nynaeve, może jednak ty i Egwene nie musicie jechać z nami do Oka.

Spojrzenia obydwu kobiet stwierdzały wyraźnie, że przed chwilą usłyszały jakieś brednie, jednak musiał po raz ostatni spróbować, przecież do Ugoru było już tak blisko.

— Może wystarczy, że dojechałyście tak daleko. Moiraine nie powiedziała, że musicie jechać. Albo ty, Loial. Mógłbyś poczekać w Fal Dara, dopóki nie wrócimy. Moglibyście też pojechać do Tar Valon. Może znajdzie się tam jakaś karawana kupiecka, zresztą założę się, że Moiraine mogłaby nawet wynająć powóz. Spotkamy się w Tar Valon, jak już będzie po wszystkim.

— *Ta'veren*. — Westchnienie Loiala zabrzmiało jak huk gromu wybuchającego za horyzontem. — Wprowadzasz zamęt w życie tych, którzy cię otaczają, Randzie al'Thor, ty wraz z twoimi przyjaciółmi. Wasz los wybiera nasz.

Ogir wzruszył ramionami i znienacka twarz mu przepołowił szeroki uśmiech.

— A poza tym spotkanie z Zielonym Człowiekiem to wielka rzecz. Starszy Haman zawsze opowiadał o swoim spotkaniu z Zielonym Człowiekiem, podobnie jak mój ojciec i większość Starszych.

— Aż tyłu? — spytał Perrin. — Mówi się, że trudno znaleźć Zielonego Człowieka i że nikt nie może spotkać się z nim po raz drugi.

— Dwukrotnie jest to niemożliwe — zgodził się Ogir. — No, ale przecież ja go nigdy nie spotkałem i wy też nie. On najwyraźniej nie unika Ogirów tak bardzo jak was, ludzi. Tyle wie o drzewach. Zna nawet pieśni dla Drzew.

— Ale mnie chodziło o to... — zaczął Rand.

Przerwała mu Wiedząca:

— Ona twierdzi, że i ja, i Egwene też stanowimy część Wzoru, oplecionego wokół was trzech. Jeśli jej wierzyć, to kształt splotu tego fragmentu może pozwoli unieszkodliwić Czarne. Obawiam się niestety, że jej wierzę, gdyż zbyt wiele już nastąpiło. Gdybyśmy natomiast odeszły z Egwene, to jakich zmian dokonałybyśmy we Wzorze?

— Ja tylko próbowałem...

Nynaeve znowu mu przerwała brutalnie:

— Wiem, co próbowałeś zrobić.

Pod wpływem jej spojrzenia poruszył się niespokojnie w siodle, po chwili jednak twarz Wiedzącej złagodniała.

— Wiem, co próbowałeś zrobić, Rand. Nie przepadam za Aes Sedai, a za tą już chyba najmniej. Jeszcze mniej mi się uśmiecha wyprawa na Ugór, a już w ogóle nie przepadam za Ojcem Kłamstw. Jeśli wy chłopcy... wy mężczyźni możecie zrobić to, co zrobić trzeba, mimo że wolelibyście zrobić wszystko, tylko nie to, to niby czemu ja miałabym postąpić inaczej? Albo Egwene?

Najwyraźniej nie czekała na odpowiedź. Zebrawszy wodze wykrzywiła się w stronę jadącej przed nimi Aes Sedai.

— Ciekawe, czy dojedziemy wreszcie do tego Fal Dara, czy może ona chce, żebyśmy spędzili całą noc pod gołym niebem?

Kiedy pokłusowała w stronę Moiraine, Mat powiedział:

— Nazwała nas mężczyznami. Wydaje się, że jeszcze wczoraj mówiła, że nie powinniśmy dawać się wodzić jak za sznurki, a dzisiaj nazywa nas mężczyznami.

— Nadal prawdą jest, że nie powinieneś odrywać się od sznurków przy fartuchu swej matki — powiedziała Egwene, Rand jednak nie słyszał większego przekonania w jej słowach.

Podjechała blisko do jego gniadosza i zniżyła głos, by inni jej nie słyszeli, jakkolwiek Mat wyraźnie nadstawiał uszu.

— Ja tylko tańczyłam z Aramem, Rand — wyznała cicho, nie patrząc na niego. — Nie masz pretensji, że tańczyłam z kimś, kogo więcej nie zobaczę, prawda?

— Nie — odparł.

„Po co to teraz wywlekła?”

— Jasne, że nie.

Nagle jednak przypomniało mu się coś, co Min powiedziała w Baerlon. Wydawało się, że było to tak dawno, jakby od tego czasu minęło już ze sto lat.

„Ona nie jest przeznaczona tobie ani ty jej. W każdym razie nie tak, jak byście chcieli.”

Miasto Fal Dara zostało zbudowane na wzgórzach górujących nad całą okolicą. Wielkością żadną miarą nie dostawało Caemlyn, tyle że otaczał je równie wysoki mur. Dookoła muru na przestrzeni całej mili nie rosło nic prócz trawy, do tego krótko przystrzyżonej. Nikt nie mógł podejść blisko, pozostając nie zauważony dla kogoś, kto stałby na jednej z licznych wież zwieńczonych drewnianymi balustradami. Mury Caemlyn miały w sobie piękno, budowniczy Fal Dara natomiast najwyraźniej nie dbali o to, czy wzbudzą w kimkolwiek zachwyty. Szary kamień tchnął nieugiętą grozą, obwieszczał, że istnieje tylko w jednym celu — obrony. Proporce na szczycie balustrad łopotały z trzaskiem na wietrze, sprawiając że widniejący na nich, atakujący Czarny Jastrząb Shienar wydawał się frunąć wokół całego obwodu miasta.

Lan odrzucił kaptur i nie zważając na chłód, gestem dłoni nakazał pozostałym zrobić to samo. Moiraine już wcześniej odsłoniła głowę.

— Takie jest prawo w Shienar — wyjaśnił Strażnik. — Na całych Ziemiach Granicznych. Nikt nie może ukrywać twarzy w obrębie murów miasta.

— Wszyscy są tacy urodziwi? — zaśmiał się Mat.

— Półączłowiek się nie ukryje z odkrytą twarzą — odparł Strażnik obojętnym głosem.

Randowi uśmiech spełził z twarzy. Mat pośpiesznie zsunął kaptur.

Bramy, wysokie, obite ciemnym żelazem, były otwarte na oścież, strzegło ich kilkunastu uzbrojonych ludzi, ubranych w złote opończe z wizerunkiem Czarnego Jastrzębia. Ponad ramionami wystawały im rękojeści długich mieczy, przypasanych na plecach, u każdego pasa wisiał pałasz, maczuga albo topór. Nie opodal stały spętane konie — stalowe zbroje zakrywające piersi, karki i łby nadawały im groteskowy wygląd. Z lancami zawieszonymi przy strzemionach były gotowe do walki. Strażnicy nie uczynili ani jednego ruchu, by zatrzymać Lana, Moiraine i pozostałych. Mało tego, zaczęły machać rękoma i wznosić radosne okrzyki.

— Dai Shan! — krzyknął jeden na ich widok, potrząsając odzianą w stal pięścią.
— Dai Shan!

Kilku innych wołało: „Chwała Budowniczym!” i „*Kiserai ti Wansho!*”

Loial wyraźnie się zdziwił, lecz po chwili z twarzą rozjaśnioną szerokim uśmiechem machał do strażników. Jeden z mężczyzn biegł chwilę obok konia Lana, zbroja w najmniejszym stopniu nie tamowała mu ruchów.

— Czy Złoty Żuraw znowu się wzbije do lotu, Dai Shanie?

— Pokój, Raganie. — Te tylko słowa padły z ust Strażnika i mężczyzna został w tyle.

Lan odpowiedział na powitalne gesty strzegących bram żołnierzy, nagle jednak jego twarz stała się jeszcze bardziej pochmurna.

Gdy przejeżdżali przez brukowane kamieniami ulice, pełne ludzi i wozów, Rand krzywił się z niepokojem. Fal Dara pękało w szwach, jednakże przebywający w nim ludzie nie przypominali tych podnieconych z przejścia tłumów w Caemlyn, które pomimo dzielących ich waśni radowały się przepychem miasta, ani też krzątającej się po Baerlon ciżby. Stłoczeni głowa przy głowie ludzie obserwowali mijającą ich grupę ołowianymi oczyma, tkwiącymi w obliczach wypranych z emocji. Fury i wozy zastawiały wszystkie zaułki i większość ulic, piętrzyły się na nich góry najrozmaitszego sprzętu domowego, z rzeźbionych kufrów, wypełnionych po brzegi, wylewała się odzież. Na tym wszystkim siedziały dzieci. Dorośli trzymali swoje potomstwo tam, gdzie mogli mieć na nie oko i nie pozwalali mu się nigdzie wałęsać, nawet dla zabawy. Dzieci zachowywały się jeszcze ciszej niż starsi, miały większe oczy, bardziej przerażone. W kątach i szczelinach między wozami stało kudłate bydło i przenośne zagrody dla

łaciatych świń. Ludzkie milczenie nadrabiały spazmatycznym wołaniem kury, kaczki i gęsi, pozamykane w klatkach. Zrozumiał teraz, gdzie się podzieli wszyscy farmerzy.

Lan prowadził ich do fortecy pobudowanej w samym sercu miasta, masywnej góry kamienia na szczycie najwyższego wzgórza. Zwieńczone basztami mury twierdzy otaczała sucha fosa, głęboka i szeroka, z dnem porośniętym lasem szpiczastych, stalowych pali, o czubkach ostrych jak brzytwa i wysokich jak człowiek. Miejsce ostatniej obrony w razie upadku reszty miasta.

Z jednej z baszt przy bramach zawołał do nich człowiek w zbroi:

— Witaj, Dai Shanie!

Inny krzyknął w stronę wnętrza fortecy:

— Żłoty Żuraw! Żłoty Żuraw!

Przekroczyli fosę i z głuchym dudnieniem kopyt po potężnych bierwionach zwodzonego mostu przejechali pod ostrymi czubkami grubej kraty. Za bramą Lan zeskoczył z siodła i prowadząc Mandarba za uzdę, dał pozostałym znak, by także zsiadli.

Pierwszy dziedziniec był ogromny, wybrukowany wielkimi kamiennymi blokami, otoczony basztami i blankami o równie groźnym wyglądzie jak tamte na zewnątrz murów. Mimo takiej ilości miejsca panował na nim podobny tłok i zgiełk jak na ulicach, jakkolwiek wszystkimi rządził tu niejaki porządek. Wszędzie widziało się ludzi i konie w zbrojach. W kuźniach wokół dziedzińca pobrzękiwały młoty, dzięki potężnym miechom, obsługiwany zawsze przez dwóch ludzi w skórzanych fartuchach, na paleniskach stale ryczał ogień. Do kowali ciągnął nie kończący się szereg posłańców ze świeżo wykutymi podkowami. Grotarze wyrabiali jedną strzałę za drugą, każdy świeżo napełniony kosz zniknął, a na jego miejscu natychmiast pojawiał się pusty.

Nadbiegli stajenni w czarno-żółtych liberiach, cali w ukłonach i uśmiechach. Rand pośpiesznie odwiązał dobytek od siodła i oddał uzdę gniadosza stajennemu, gdy skłonił się przed nimi ceremonialnie jakiś mężczyzna, ubrany w zbroję i skóry. Na wierzchu zbroi miał narzucony jaskrawożółty płaszcz z brzegami oblamowanymi czerwienią i Czarnym Jastrzębiem na piersi, oraz żółtą opończę z szarą sową. Nie nosił hełmu na gołej głowie, gołej w dosłownym sensie, ponieważ włosy miał zupełnie wygolone z wyjątkiem kępki na czubku związanej rzemykiem.

— Dużo czasu upłynęło, Aes Sedai. Dobrze cię widzieć, Dai Shanie. Nadzwyczaj dobrze.

Skłonił się raz jeszcze w stronę Loiala i mruknął:

— Chwała Budowniczym. *Kiserai ti Wansho.*

— Nie jestem wart tego miana — odparł ceremonialnie Loial. — Dzieła me niewielkie. *Tsingu ma choba.*

— To dla nas zaszczyt, Budowniczy — powiedział mężczyzna. — *Kiserai ti Wansho.*

Odwrócił się z powrotem w stronę Lana.

— Lord Agelmar został powiadomiony, Dai Shanie, jak tylko zauważono, że nadjeżdżacie. Oczekuje was. Tędy, proszę.

Mówił dalej, prowadząc ich do środka fortecy, przez przestronne, kamienne korytarze, obwieszane kolorowymi gobelinami i długimi malowidłami na jedwabiu, przedstawiającymi sceny z polowań i bitew.

— Rad jestem, że wezwanie dotarło do ciebie, Dai Shanie. Czy poniesiesz raz jeszcze sztandar Złotego Żurawia?

Korytarze były zupełnie puste, z wyjątkiem malowideł na ścianach, a nawet one zawierały minimalną liczbę szczegółów namalowanych jak najoszczędniejszymi pociągnięciami pędzla, tylko tyloma, ile było niezbędne do przedstawienia treści dzieła.

— Czy sprawy istotnie idą tak źle, jak się wydaje, Ingtarze? — spytał spokojnie Lan.

Rand zastanawiał się, czy przypadkiem uszy mu nie zadrzały tak samo jak Loialowi.

Czub na głowie mężczyzny zakołysał się, gdy nią potrząsnął, zawahał się jednak, zanim przyoblekł twarz w szeroki uśmiech.

— Sprawy nigdy nie idą tak źle, jak się wydaje, Dai Shanie. Tego roku jest nieco gorzej niż zazwyczaj, to wszystko. Najazdy trwały całą zimę, nawet podczas najostrzejszych mrozów. Zresztą nie dały się tu bardziej we znaki niż w innych krainach Ziem Granicznych. Trolloki napadają także po nocach, ale czego innego można się spodziewać wiosną, o ile to można nazwać wiosną. Ci zwiadowcy, którym udaje się wrócić z Ugoru, przynoszą wieści o obozowiskach trolloków. Zawsze świeże wieści o nowych obozowiskach. My jednak staniemy z nimi do walki w Wąwozie Tarwina, Dai Shanie, i jak zawsze zmusimy do odwrotu.

— Oczywiście — powiedział Lan, ale w jego głosie nie było słyhać pewności.

Uśmiech na ustach Ingtara zamarł, po chwili jednak twarz jego przybrała poprzedni wyraz. W milczeniu wprowadził ich do gabinetu lorda Agelmara, potem oświadczył, że wzywają go obowiązki i wyszedł.

Tak jak pozostałe pomieszczenia fortecy, komnata urządzona była funkcjonalnie, z otworami strzelniczymi w ścianach i ciężką kratą na grubych drzwiach. Otwory dla łuczników zamykane były na żelazne sztaby. Wisiał w niej tylko jeden gobelin. Zakrywał całą ścianę i przedstawiał mężczyzn, uzbrojonych jak wszyscy żołnierze w Fal Dara walczyli z Myrddraalami i trollokami na górskiej przełęczy.

Jedyne umeblowanie stanowił stół, kufer i kilka krzeseł, a dwa stelaże wiszące na ścianie przykuły wzrok Randa, podobnie jak gobelin. Na jednym wisiał obosieczny miecz, wyższy od człowieka, niżej bardziej zwykły pałasz, a pod nimi nabijana ćwiekami maczuga i podłużna tarcza w kształcie latawca z wizerunkami trzech lisów. Drugi stelaż podtrzymywał kompletną zbroję, ułożoną tak, aby zaraz można ją było

założyć. Grzebieniasty hełm z kratowaną przyłbicą osadzony na podwójnym kołnierzu, przystosowana do konnej jazdy rozcinana, kolczasta tunika i skórzany kaftan, aż lśniący od zużycia. Napierśnik, stalowe rękawice, nałokcice i nakolanka, oraz osłony na barki, ręce i nogi. Nawet tutaj, w samym sercu warowni, broń i zbroję ułożono w taki sposób, by mogły zostać wdziane w każdej chwili. Podobnie jak meble, metal był prosto i oszczędnie ozdobiony złotem.

Na ich widok Agelmar wstał i obszedł stół zavalony mapami, zwojami papieru i kałamarzami. W swym niebieskim, atlasowym kaftanie z wysokim, szerokim kołnierzem i w butach z miękkiej skóry wyglądał na pierwszy rzut oka nader pojednawczo, wręcz kontrastowo w zestawieniu z tym wnętrzem, jednak uważniejsze spojrzenie pokazało Randowi coś innego. Podobnie jak inni wojownicy, których dotychczas widział, Agelmar miał wygoloną czaszkę, z wyjątkiem pozostawionego na czubku, śnieżnobiałego pęku włosów. Jego twarz była równie surowa jak twarz Lana, pomarszczona jedynie wokół kącików oczu, które przypominały brązowe kamienie, pomimo iż w tej chwili igrał w nich uśmiech.

— Pokój... Jakże dobrze cię znowu zobaczyć, Dai Shanie — powiedział władca Fal Dara. — A ciebie, Moiraine Aes Sedai, może nawet jeszcze bardziej. Twoja obecność raduje me serce, Aes Sedai.

— *Ninte calichniye no domashita, Agelmar Dai Shan* — odparła ceremonialnie Moiraine głosem, który wskazywał, że są starymi przyjaciółmi.

— Raduje me serce takie powitanie, lordzie Agelmar.

— *Kodome calichniye ga ni Aes Sedai hei.* Aes Sedai są tutaj zawsze miło witane. — Lord Agelmar zwrócił się w stronę Loiala. — Daleka droga dzieli cię od *stedding*, Ogirze, lecz za to przynosisz zaszczyt Fal Dara. Wieczna chwała Budowniczym. *Kiserai ti Wansho hei.*

— Nie zasłużyłem na to — odparł Loial, kłaniając się. — To wy przynosiscie mi zaszczyt.

Zerknął przy tym na surowe, kamienne mury i wyraźnie stoczył z sobą jakąś wewnętrzną walkę. Rand ucieszył się, że Ogir się powstrzymał i nic więcej nie dodał.

Pojawili się służący. Odziani w czerń i złoto stawiali ciche kroki miękko obutymi stopami. Jedni nieśli srebrne tace, na których leżały złożone ręczniki, wilgotne i gorące, do otarcia kurzu z twarzy i dłoni. Inni wino w dzbanach oraz srebrne misy z suszonymi śliwkami i morelami. Lord Agelmar wydał rozkaz, by przygotowano pokoje i kąpiel.

— Z Tar Valon droga daleka — powiedział. — Z pewnością jesteście zmęczeni.

— Tym szlakiem, którym tu przybyliśmy, wyprawa nasza trwała krótko — powiedział Lan. — Bardziej jednak była męcząca niżli długa droga.

Agelmar zrobił zdziwioną minę, gdy Strażnik nie dodał nic więcej, powiedział tylko:

— Kilka dni odpoczynku poprawi wam samopoczucie.

— Proszę o schronienie na jedną tylko noc, lordzie Agelmar — oświadczyła Moiraine — dla nas i naszych koni. Jeśli możecie, dajcie nam też rankiem świeże zapasy. Obawiam się, że będziemy musieli szybko was opuścić.

Agelmar zmarszczył brwi.

— A ja myślałem... Moiraine Sedai, nie mam prawa cię o to prosić, ale byłabyś warta tysiąca najemników w Wąwozie Tarwina. I ty, Dai Shanie. Tysiąc ludzi się zgłosi na wieść, że Złoty Żuraw znów pofrunął.

— Siedem Wież legło w ruinie — powiedział oschłym tonem Lan — a Malkier zginęła. Tę garstkę, która po niej została, rozproszyło po całym świecie. Jestem Strażnikiem, Agelmarze, związanym przysięgą z Płomieniem Tar Valon i muszę jechać do Ugoru.

— Oczywiście, Dai Sh... Lanie. Ale z pewnością kilka dni zwłoki, najwyżej kilka tygodni, nie sprawi różnicy. Jesteś potrzebny. Ty i Moiraine Sedai.

Moiraine przyjęła srebrny puchar z rąk służącego.

— Ingтар zdaje się uważać, że i tym razem pokonasz zagrożenie, tak jak przez całe lata zwyciężałeś poprzednie.

— Aes Sedai — powiedział cierpko Agelmar — gdyby Ingтар musiał jechać samotnie do Wąwozu Tarwina, przejechałby całą tę drogę, głosząc, że trolloki znowu zostaną zmuszone do odwrotu. Duma pozwala mu nieomal wierzyć, że dokonałby tego w pojedynkę.

— Tym razem nie jest tak pewny siebie, jak myślisz, Agelmarze. — Strażnik przyjął kielich, nie pił jednak. — Jak źle stoją sprawy?

Agelmar zawahał się i wyciągnął mapę z galimatiasu na stole. Przez chwilę wpatrywał się w nią niewidzącym wzrokiem, po czym cisnął z powrotem na miejsce.

— W czasie, gdy my pojedziemy do Wąwozu — powiedział cicho — ludzie zostaną odesłani na południe, do Fal Moran. Być może stolica się utrzyma. Pokój, musi tak być. Coś musi się utrzymać.

— Aż tak źle? — powiedział Lan, a Agelmar skinął głową ze znużeniem.

Rand wymienił z Matem i Perrinem spojrzenia pełne niepokoju. Nietrudno było nabrać przekonania, że trollokom, gromadzącym siły w Ugorze, chodzi o niego, o nich wszystkich. Agelmar ciągnął dalej ponurym tonem:

— Kandor, Arafel, Saldaea — trolloki napadały na nie przez całą zimę. Nic takiego nie działo się od czasów Wojen z Trollokami, dotychczasowe napady nie były nigdy ani takie zażarte, ani takie gromadne, nigdy też takie nieustępliwe. Wszyscy królowie i rady są pewni, że z Ugoru nadciąga wielki szturm i wszystkie krainy Ziem Granicznych żywią przekonanie, że to o nie chodzi. Wprawdzie zwiadowcy i Strażnicy znikąd nie donoszą o takim nagromadzeniu sił trolloków, jak to ma miejsce przy naszych

granicach, jednakże spodziewają się, że do tego dojdzie i dlatego obawiają się posłać swych wojowników gdzie indziej. Chodzą słuchy, że świat się kończy, że Czarny jest znów na wolności. Shienar wyprawi się samotnie do Wąwozu Tarwina i ulegnie przewadze liczebnej w stosunku Co najmniej dziesięciu na jednego. Co najmniej. Może to być ostatni Zaciąg Najemników.

— Lanie... nie!... Dai Shanie, to tyś jest Koronowanym Przywódcą Armii Malkier, cokolwiek byś mówił. Dai Shanie, sztandar Żółtego Żurawia w awangardzie doda ducha ludziom, którzy wiedzą, że jadą na północ, by polec. Wieść się rozniesie lotem błyskawicy i choć królowie nakażą im trzymać się swego miejsca, przybędą najemnicy z Arafel, Kadoru, a nawet i z Saldaei. Mimo że mogą nie zdążyć na czas, by wesprzeć nas w Wąwozie, może uda im się uratować Shienar.

Lan wbił wzrok w puchar z winem. Wyraz jego twarzy nie uległ zmianie, lecz płyn wylał się na dłoń. Miażdżący uścisk zgniótł srebrny kielich. Jeden ze służących odebrał zniszczone naczynie i otarł dłoń Strażnika ręcznikiem, drugi podał mu nowy kielich, w czasie gdy ten pierwszy zdążył już wymknąć się dyskretnie. Kiedy Lan podniósł wzrok, w jego niebieskich oczach płonęło światło, mimo że głos miał jak zawsze spokojny, nie zabarwiony emocjami.

— Jestem Strażnikiem, Agelmarze. — Jego czujny wzrok prześlizgnął się przez Randa, Mata i Perrina, zatrzymując się na Moiraine. — Razem z pierwszym brzaskiem wyruszam na Ugór.

Agelmar westchnął ciężko.

— Moiraine Sedai, może ty przynajmniej zostaniesz? Obecność Aes Sedai wiele by zmieniła.

— Nie mogę, lordzie Agelmar. — Moiraine wyglądała na zakłopotaną. — Czeka nas prawdziwy bój i choć to nie przypadek, że trolloki gromadzą się przy granicach Shienaru, nasza bitwa, prawdziwa bitwa z Czarnym odbędzie się na Ugorze, przy Oku Świata. Wy musicie stoczyć swój bój, a my nasz.

— Nie powiesz, że on się uwolnił!

Niewzruszony dotąd jak skała Agelmar wyglądał na wstrząśniętego, jednak Moiraine pośpiesznie potrząsnęła głową.

— Jeszcze nie. Jeśli zaś zwyciężymy przy Oku Świata, być może nigdy się już nie uwolni.

— Czy w ogóle potrafisz znaleźć Oko, Aes Sedai? Jeśli od tego zależy powstrzymanie Czarnego, to równie dobrze możemy już zginąć. Wielu próbowało, lecz ich wysiłki spełzły na niczym.

— Potrafię je znaleźć, lordzie Agelmar. Nadzieja jeszcze nie stracona.

Agelmar popatrzył na nią, potem na pozostałych. Wygląd Nynaeve i Egwene najwyraźniej go dziwił, ich wiejskie ubrania odcinały się jawnym kontrastem od

jedwabnej sukni Moiraine, mimo że wszystkie były jednakowo zaplamione od podróży.

— Czy one są także Aes Sedai? — spytał z wątpliwością w głosie.

Kiedy Moiraine potrząsnęła głową, wyglądał na jeszcze bardziej zdezorientowanego. Przeniósł wzrok na młodych ludzi z Pola Emonda, zatrzymując go na Randzie, pocierającym owinięty czerwoną tkaniną miecz u pasa.

— Dziwną gwardię masz u swego boku, Aes Sedai. Tylko jeden jest wojownikiem. — Zerknął na Perrina i wiszący u jego pasa topór. — Może dwóch. Obydwaj jednak to jeszcze prawie chłopcy. Pozwól, że wyślę razem z wami mężczyzn. Nic się nie zmieni, jeśli w Wąwozie będzie o stu lub więcej najemnych mniej, ty zaś potrzebujesz jeszcze kogoś prócz jednego Strażnika i trzech młodzików. A te dwie kobiety nie pomogą, chyba że są przebranymi Aiel. W Ugorze jest tego roku gorzej niż zazwyczaj. Ugór... się burzy.

— Stu najemnych to za dużo — oświadczył Lan. Im większą grupę zabierzemy do Uguru, tym większe ryzyko, że przyciągniemy uwagę. Jeśli to możliwe, powinniśmy bez walki dotrzeć do Oka. Wiesz, że gdy trolloki wymuszają bitwę w Ugorze, wynik jest zazwyczaj przesądzony.

Agelmar przytaknął ponuro, nie chciał jednak zrezygnować.

— To w takim razie mniej. Choćby dziesięciu wyszkolonych ludzi będzie stanowić lepszą eskortę dla Moiraine Sedai i tych dwóch kobiet podczas ich wyprawy do Zielonego Człowieka, niż ci młodzi ludzie.

Rand nagle zrozumiał, że zdaniem lorda Fal Dara to Nynaeve i Egwene miały walczyć u boku Moiraine z Czarnym. Nic dziwnego. Ten rodzaj walki wiązał się z użyciem Jedynej Mocy, a to oznaczało udział kobiet.

„Ten rodzaj walki wiąże się z użyciem Mocy.”

Zatknął kciuki za pas miecza i z całej siły ścisnął sprzączkę, by powstrzymać drżenie dłoni.

— Żadnych ludzi — oświadczyła Moiraine. Agelmar ponownie otworzył usta, nim jednak zdążył coś wtrącić, Moiraine mówiła dalej: — Taka jest natura Oka i natura Zielonego Człowieka. Ilu z Fal Dara znalazło kiedykolwiek Zielonego Człowieka i Oko?

— Kiedykolwiek? — Agelmar wzruszył ramionami. — Od Wojny Stu Lat można ich zliczyć na palcach jednej dłoni. Nie więcej niż jeden w ciągu pięciu lat, z całych Ziem Granicznych razem wziętych.

— Nikomu nie udaje się odnaleźć Oka Świata — powiedziała Moiraine — jeśli Zielony Człowiek sobie tego nie życzy. Kluczem jest potrzeba i intencja. Wiem, dokąd się udać, byłam już tam kiedyś.

Rand poderwał głowę ze zdziwieniem, nie tylko on jeden wśród pozostałych z Pola Emonda, Aes Sedai udała jednak, że tego nie widzi.

— Wystarczy, że jeden wśród nas będzie poszukiwał sławy, że będzie pragnął dodać swe imię do tamtych czterech, a może nam się nigdy nie udać znaleźć Oka, nawet jeśli zaprowadzę nas prosto do tego miejsca, które pamiętam.

— Widziałaś Zielonego Człowieka, Aes Sedai? — Władca Fal Dara był pod wrażeniem, jednak już przy następnym oddechu zmarszczył brew. — Ale skoro raz już go spotkałaś...

— Kluczem jest potrzeba — powtórzyła spokojnie Moiraine — a nie może być większej potrzeby niż moja. Niż nasza. A poza tym ja mam coś, czego pozostali poszukujący nie posiadali.

Jej oczy, utkwione w twarzy Agelmara, poruszyły się nieznacznie, Rand jednak był pewien, że na ułamek chwili powędrowały w stronę Loiala, w tym momencie jednak Aes Sedai znowu patrzyła w to samo miejsce. Rand napotkał wzrok Ogira, Loial wzruszył ramionami.

— *Ta'veren* — powiedział cicho.

Agelmar podniósł rękę gwałtownym ruchem.

— Będzie, jak mówisz, Aes Sedai. Pokój, skoro prawdziwa bitwa ma się odbyć przy Oku Świata, czuję pokusę, by poprowadzić sztandar Czarnego Jastrzębia w ślad za wami, zamiast do Wąwozu. Mógłbym utorować wam drogę...

— To byłaby katastrofa, lordzie Agelmar. Zarówno dla bitwy w Wąwozie Tarwina, jak i przy Oku. Ty masz swoją bitwę, my mamy swoją.

— Pokój! Jak sobie życzysz, Aes Sedai.

Podjąwszy decyzję, nawet jeśli przeciwną jego zapatrywaniom, władca Fal Dara wyraźnie przestał zaprzętać nią swą wygoloną głowę. Zaprosił ich, by zasiedli przy jego stole i cały czas rozprawiał o jastrzębiach, koniach i psach, nie czyniąc ani jednej wzmianki na temat trolloków, Wąwozu Tarwina czy Oka Świata.

Komnata, w której jedli, była urządzona równie skromnie i niewyszukanie jak gabinet lorda Agelmara, tyle że oprócz stołu i krzeseł stało w niej trochę więcej mebli, surowych w linii i kształcie. Pięknych, a mimo to surowych. Całe pomieszczenie ogrzewał wielki kominek, nie do takiego stopnia jednak, by człowieka wywołanego znienacka na zewnątrz mogło oszołomić zimno. Służący w liberiach przynieśli zupę, chleb i ser, a rozmowy dotyczyły książek i muzyki, dopóki lord Agelmar nie zauważył, że ludzie z Pola Emonda nie biorą udziału w rozmowie. Jak przystało na dobrego gospodarza, zaczął wypytywać ich w subtelny sposób o różne sprawy, próbując wyrwać ich z milczenia.

Rand wkrótce spostrzegł, że czuje pokusę opowiedzenia o Polu Emonda i Dwu Rzekach. Z trudem się hamował, by nie zdradzić zbyt wiele. Liczył, że inni też strzegą swoich języków, szczególnie Mat. Nynaeve trzymała się na uboczu, jadła i piła w milczeniu.

— Jest taka pieśń w Dwu Rzekach — powiedział Mat. — „Powrót z Wąwozu Tarwina”.

Zająknął się przy końcu zdania, jakby nagle do niego dotarło, że wygadał to, czego wszyscy unikali, jednak Agelmar gładko się z tym uporał.

— Nic dziwnego. Przez wiele lat mało która kraina nie posyłała swych ludzi do walki z Ugorem.

Rand spojrzął na Mata i Perrina. Mat bezgłośnie wypowiedział słowo Manetheren.

Agelmar szepnął coś jednemu ze służących i podczas gdy inni sprząтали ze stołu, ów zniknął i zaraz wrócił z jakimś pojemnikiem oraz glinianymi fajkami dla Lana, Loiala i lorda Agelmara.

— Tytoń z Dwu Rzek — powiedział władca Fal Dara, kiedy nabijali fajki. — Trudno go zdobyć, ale wart jest wszelkiego zachodu.

Gdy Loial i pozostali dwaj starsi mężczyźni zaciągnęli się z ukontentowaniem, Agelmar zerknął na Ogira.

— Wydaje się, że coś cię trapi, Budowniczy. Mam nadzieję, że nie doskwiera ci Tęsknota. Jak dawno temu opuściłeś *stedding*?

— To nie Tęsknota, nie wyjechałem tak dawno. — Loial wzruszył ramionami, a niebieskoszara wstążka, unosząca się z jego fajki skręciła się nad stołem w spiralę. — Spodziewałem się... miałem nadzieję, że wciąż będzie tu rósł gaj. Że została jakaś pamiątka po Mafal Dadaranell.

— *Kiserai ti Wansho* — mruknął Agelmar. — Po Wojnach z Trollokami nie pozostało nic prócz wspomnień, Loialu, synu Arenta, i ludzi, którzy budowali na ich podstawie. Nie zdołali odtworzyć dzieł Budowniczych lepiej, niż ja bym zdołał. Takich zawiłych łuków i wzorów, jakie tworzy twój lud, ludzkie oko i ręce stworzyć nie potrafią. Być może pragnęliśmy uniknąć mizernej imitacji, która tylko wiecznie przypominałaby nam to, co straciliśmy. W prostocie zawarte jest piękno innej natury, prosta linia nakreślona od niechcienia jest jak samotny kwiat wśród skał. Surowość kamienia czyni kwiat bardziej drogocennym. Staramy się nie opierać zbyt bardzo na tym, co już nie istnieje. Najsilniejsze serce pękłoby od takiego ciężaru.

— Płatek róży unosi się na wodzie — zarecytował cichym głosem Lan. — Zimorodek pomyka ponad powierzchnią stawu. Życie i piękno wirują w samym środku śmierci.

— Tak — powiedział Agelmar. — Tak. I dla mnie to zawsze stanowiło symbol całości wszystkiego.

Obydwaj skłonili się sobie.

„Lan poeta?” Randowi ten mężczyzna przypominał cebulę, za każdym razem, gdy mu się wydawało, że wreszcie coś wie o Strażniku, odkrywał, że pod spodem ma on jeszcze jedną warstwę.

Loial powoli skinął głową.

— Być może ja także za bardzo obstaję przy tym, czego już nie ma. Ale przecież gaje były piękne.

Patrzył jednak na surowe wnętrze w taki sposób, jakby je zobaczył na nowo i nagle zauważył w nim coś wartego podziwiania.

Pojawił się Ingтар i skłonił się przed lordem Agehnarem.

— Wybacz mi panie, ale chciałem wiedzieć, jeśli zajdzie coś niecodziennego, nawet jeśli mało znaczącego.

— Tak, a cóż to takiego?

— Błahostka, mój panie. Jakiś obcy usiłował wejść do miasta. Nie pochodzi z Shienar. Mieszkaniec Lugardu, sądząc po akcencie. Słychać to od czasu do czasu. Gdy strażę Południowej Bramy usiłowały poddać go przesłuchaniu, uciekł. Widziano, jak wchodził do lasu, niebawem jednak przyłapano go, gdy usiłował wdrapać się na mur.

— Błahostka! — Krzesło zaszurało po posadzce, gdy Agelmar wstał. — Pokój! Wartownicy na wieży są do tego stopnia niedbali, że jakiś człowiek może podejść niezauważenie do muru, a ty to nazywasz błahostką?

— To jakiś szaleniec, mój panie. — Głos Ingтara był zabarwiony strachem. — Światłość chroni szaleńców. Być może to również ona zasłoniła oczy wartownikom na wieży i pozwoliła mu dojść do murów. Z pewnością jeden nieszczęsny szaleniec nie może uczynić żadnej szkody.

— Czy już wprowadzono go do twierdzy? To dobrze. Przyprawadźcie go tutaj natychmiast.

Ingтар skłonił się i wyszedł, Agelmar zaś zwrócił się do Moiraine:

— Wybacz, Aes Sedai, ale muszę to sprawdzić. Być może jest to tylko godny litości nieszczęśnik, któremu Światłość umysł oślepiła, jednakże... Nie dalej jak dwa dni temu przyłapano pięciu naszych ludzi, gdy nocą próbowali przepiłować zawiasy bramy dla koni. Niby nic, a dość, by wpuścić do środka trolloków. — Skrzywił się. — Sprzymierzeńcy Ciemności, jak sądzę, choć nie potrafię ścierpieć myśli, że mogli być nimi mieszkańcy Shienaru. Zostali rozdarci na kawałki przez tłum, nim strażnicy zdolali ich pojmać, więc nigdy się nie dowiem. Skoro zaś mieszkańcy Shienaru mogą być Sprzymierzeńcami Ciemności, to muszę być teraz szczególnie ostrożny względem obcych. Jeśli nie chcecie w tym uczestniczyć, to każę pokazać wam wasze komnaty.

— Sprzymierzeńcy Ciemności nie znają ni granic, ni krwi — powiedziała Moiraine. — Znaleźć ich można w każdym kraju, a z żadnego z nich nie pochodzą. Mnie też interesuje ów człowiek. Wzór tworzy Splot, lordzie Agelmar, jednakże ostateczny kształt Splotu jeszcze się nie ustalił. Może weń wplątać się świat, może zeń zostać wyłączony, a wtedy Koło zacznie tkać od nowa. W tym momencie nawet błahostki mogą zmienić kształt Splotu. W tym momencie strzegę się błahostek, które są czymś niecodziennym.

Agelmar zerknął na Nynaeve i Egwene.

— Jak sobie życzysz, Aes Sedai.

Powrócił Ingтар z dwoma wartownikami niosącymi długie halabardy. Eskortowali człowieka, który wyglądał jak wór szmat wywrócony na lewą stronę. Warstwa brudu pokrywała mu twarz i sklejała rzadkie, nie przycięte włosy oraz brodę. Wszedł chyłkiem do izby, jego zapadłe oczy nerwowo biegały we wszystkie strony. Towarzyszył mu zjęczały zapach.

Rand pochylił się z przejęciem do przodu, starając się coś wypatrzeć pod tym brudem.

— Nie macie powodu, żeby mnie więzić — wystękał brudas. — Jestem tylko nieszczęsnym nędzarzem porzuconym przez Światłość i tak jak wszyscy poszukującym jakiegoś miejsca, gdzie można się schronić przed Cieniem.

— Ziemię Graniczne to dziwne miejsce na takie poszukiwania... — zaczął Agelmar, gdy nagle przerwał mu Mat:

— Handlarz!

— Padan Fain — zgodził się Perrin, kiwając głową.

— Żebak — powiedział Rand, nagle chrypnąc.

Aż się cofnął na widok nagłej nienawiści, która rozbłysła w oczach Faina.

— To jest ten człowiek, który o nas rozpytywał w Caemlyn. To na pewno on.

— A więc to jednak cię dotyczy, Aes Sedai — powiedział wolno Agelmar.

Moiraine skinęła głową.

— Mocno się obawiam, że tak.

— Ja nie chciałem... — Fain zaczął płakać. Obfite łzy wryły kanaliki w brudzie na jego policzkach, nie były jednak w stanie dotrzeć do spodniej warstwy. — On mnie zmusił! On i jego płonące oczy. — Rand drgnął. Mat trzymał rękę pod płaszczem, bez wątpienia znowu ściskając sztylet z Shadar Logoth. — On ze mnie zrobił swego psa gończego! Psa, co by tropił i ścigał, bez krztyny odpoczynku. Byłem jego psem, nawet wtedy, kiedy mnie odepchnął!

— To rzeczywiście dotyczy nas wszystkich — powiedziała ponuro Moiraine. — Czy jest tu jakieś miejsce, w którym mogłabym z nim porozmawiać sam na sam, lordzie Agelmar? — Zacisnęła usta z obrzydzeniem. — I umyćcie go najpierw. Może będę musiała go dotknąć.

Agelmar skinął głową i powiedział coś cicho do Ingтara, który skłonił się i zniknął za drzwiami.

— Nikt mnie nie będzie zmuszał! — Głos należał do Faina, który jednak przestał już płakać, skowyt zastąpiły aroganckie powarkiwania. Stał wyprostowany, już się nie kulił. Odrzuciwszy głowę w tył, krzyczał prosto do sufitu: — Już nigdy! Nie-dam-się! — Patrzył na Agelmara w taki sposób, jakby otaczający ludzie byli jego strażą przyboczną, zaś władca Fal Dara równym mu, a nie zwycięzcą, który go pojmał. Zaczął mówić

przymilnym, poddańczym głosem. — Zaszło tu wielkie nieporozumienie, przemożny panie. Czasami działa na mnie urok, ale to wkrótce minie. Tak, wkrótce się go pozbędę. — Pstryknął z pogardą palcami na swoje szmaty. — Nie daj się temu zmylić, wielki panie. Musiałem się przebrać, by zwieść tych, którzy chcieli mnie zatrzymać, wyprawa moja długa była i ciężka. Wreszcie jednak dotarłem do kraju, w którym wszyscy ludzie wiedzą, jak groźny jest Ba'alzamon, w którym ludzie wciąż walczą z Czarnym.

Rand wbił w niego wytrzeszczone oczy. Głos należał do Faina, niemniej słowa zupełnie nie pasowały do handlarza.

— A więc przybyłeś tu, bo walczysz z trollokami — powiedział Agelmar. — I ktoś chce cię powstrzymać, bo taki jesteś ważny. Ci ludzie twierdzą, żeś jest handlarzem o nazwisku Padan Fain i że ich ścigasz.

Fain zawahał się. Zerknął na Moiraine i zaraz pośpiesznie oderwał od niej oczy. Potoczył wzrokiem po ludziach z Pola Emonda, po czym gwałtownie przeniósł go z powrotem na Agelmara. Rand czuł w tym spojrzeniu nienawiść przemieszaną ze strachem. Niemniej jednak, gdy Fain odezwał się ponownie, nic nie mąciło mu głosu:

— Padan Fain to po prostu jeszcze jedno z przebrań, do noszenia których zmuszano mnie od wielu lat. Ścigają mnie Sprzymierzeńcy Ciemności, bom się dowiedział, jak pokonać Cień. Mogę ci pokazać, jak go zwyciężyć, wielki panie.

— Robimy wszystko, co w ludzkiej mocy — odparł suchym tonem Agelmar. — Koło obraca się tak jak chce, my jednak walczyliśmy z Czarnym od Pęknięcia Świata i żadni handlarze nie uczyli nas, jak to robić.

— Wielki panie, nikt nie podważa twej mocy, czy jednak możesz się opierać Czarnemu całą wieczność? Czy nie nazbyt często trudno ci się obronić? Wybacz mi zuchwałość, wielki panie, ale w końcu on cię zdepcze. Wiem to, wierz mi, że wiem. Mogę ci jednak pokazać, jak przegnać Cień z tej ziemi, wielki panie. — Wciąż mówił wyniosłym tonem, w którym z każdą chwilą słyszało się coraz więcej obłudy: — Skorzystaj tylko z mej rady, a sam zobaczysz, wielki panie. Oczyszczisz ziemię. Ty, wielki władca, możesz tego dokonać, jeśli skierujesz swą moc we właściwą stronę. Nie pozwól, by Tar Valon zastawiło na ciebie swe sidła, a dasz radę zbawić świat. Wielki panie, to ty będziesz tym człowiekiem, którego historia zapamięta za to, że doprowadził do ostatecznego zwycięstwa Światłości.

Strażnicy pozostali na miejscach, lecz ich dłonie przesunęły się na długie drzewca halabard, jakby się spodziewali, że w każdej chwili będą musieli ich użyć.

— Wysokie ma o sobie mniemanie jak na handlarza — rzucił przez ramię Agelmar w stronę Lana.

— Ingtar ma chyba rację. To szaleniec.

Oczy Faina zwężyły się ze złości, lecz wciąż mówił spokojnym głosem:

— Wielki panie, wiem, że wysławiam się jak jaki wielmoża, lecz jeśli tylko...

Urwał nagle i zrobił krok W tył, bowiem Moiraine wstała z miejsca i zaczęła powoli obchodzić stół. Jedyne opuszczone halabardy nie pozwoliły Fainowi wycofać się z izby.

Moiraine zatrzymała się za krzesłem Mata, położyła mu dłoń na ramieniu i pochyliła się, by szepnąć coś do ucha. Cokolwiek powiedziała, napięcie opuściło jego twarz i wyjął rękę spod płaszcza. Aes Sedai znowu ruszyła z miejsca i stanęła obok Agelmara, twarzą w twarz z Fainem. Kiedy się zatrzymała, handlarz znowu się skulił.

— Nienawidzę go — wyjęczał. — Chcę się od niego uwolnić. Chcę znowu iść w Światłość. — Jego ramiona zaczęły się trząść, a strumienie łez spływające po twarzy były jeszcze obfitsze niż przedtem. — On mnie do tego zmusił.

— Obawiam się, że to ktoś więcej niż zwykły handlarz, lordzie Agelmar — powiedziała Moiraine. — Mniej niż człowiek, gorzej niż jadowity gad, bardziej niebezpieczny, niż możesz sobie wyobrazić. Wykąpie się go dopiero wtedy, jak z nim porozmawiam. Boję się stracić nawet minutę. Chodź ze mną, Lan.

KOLEJNE OPOWIEŚCI O KOLE

Rand zdenerwowany kroczył w tę i z powrotem wzdłuż stołu jadalnego. Coś nie pozwalało mu ustać w miejscu. Dwanaście kroków. Stół miał dokładnie dwanaście kroków długości, niezależnie od tego, ile razy tak się przespacerował. Zirytowany zmusił się, by przestać liczyć.

„Robienie czegoś takiego to idiotyzm. Nie obchodzi mnie, jak długi jest ten przeklęty stół.”

Kilka minut później odkrył, że liczy wyprawy, które dokonuje wzdłuż stołu.

„O czym on opowiada Moiraine i Lanowi? Czy on wie, dlaczego Czarny nas ściga? Czy on wie, którego z nas chce Czarny?”

Zerknął na przyjaciół. Perrin zgniótł kawałek chleba i bezmyślnie turlał okruchy po blacie stołu. Żółte oczy bez zmruczenia wpatrywały się nie w chleb, lecz w coś, co było gdzieś daleko. Mat kulił się na krześle, oczy miał do połowy przymknięte, po jego twarzy błąkał się zaczątek półuśmiechu. Był to uśmiech zdenerwowania, nie rozbawienia. Pozornie przypominał dawnego Mata, jednak od czasu do czasu nieświadomie dotykał przez płaszcz rękójści sztyletu z Shadar Logoth.

„O czym Padan Fain jej opowiada? Co on wie?”

Tylko Loial najwyraźniej niczym się nie przejmował. Ogir przypatrywał się ścianom. Początkowo stał na środku izby i rozglądał się, obracając wolno dookoła, teraz nieomal przycisnął swój szeroki nos do kamienia, delikatnie obwodząc poszczególne spoiny palcami grubszymi niżli kciuki u większości ludzi. Co chwila zamykał oczy, jakby dotyk był ważniejszy od wzroku. Uszy drgały mu od czasu do czasu i mruczał coś do siebie w języku Ogirów, najwyraźniej zapominając, że oprócz niego jest jeszcze ktoś w izbie.

Lord Agelmar na stojąco wiódł cichą rozmowę z Nynaeve i Egwene przed wielkim kominkiem przy końcu izby. Był dobrym gospodarzem, biegłym w sprawianiu, by ludzie zapominali o swych kłopotach; kilka jego opowieści wywołało chichot Egwene. Raz nawet Nynaeve odrzuciła głowę do tyłu i parsknęła śmiechem. Rand drgnął, usłyszawszy ten niespodziany dźwięk i potem powtórnie niemalże podskoczył, gdy krzesło Mata upadło z trzaskiem na podłogę.

— Krew i popioły! — warknął Mat, nie zważając na to, że Nynaeve zacisnęła usta, słysząc jego język. — Co ją zatrzymuje tak długo?

Postawił krzesło i usiadł, nie patrząc na nikogo. Jego dłoń zabłąkała się pod płaszcz.

Władca Fal Dara popatrzył na Mata z dezaprobatą nie lepszym okiem ogarnął Randa i Perrina — po czym zwrócił się z powrotem w stronę kobiet. Nerwowe kroki zawiodły Randa w ich pobliże.

— Mój panie — mówiła Egwene tak gładko, jakby całe życie używała tytułów — sądziłam, że on jest Strażnikiem, ale ty nazywasz go Dai Shanem i wspominasz o sztandarze Złotego Żurawia, podobnie jak pozostali. Czasami przemawiasz do niego, jakby do króla. Pamiętam, że kiedyś Moiraine nazwała go ostatnim Władcą Siedmiu Wież. Kim jest Lan?

Nynaeve pilnie wpatrywała się w swój kielich, dla Randa było jednak oczywiste, iż nagle zaczęła słuchać jeszcze uważniej niż Egwene. Zatrzymał się więc i nasłuchiwał w taki sposób, aby nikt nie mógł go posądzić o to, że podsłuchuje.

— Władca Siedmiu Wież — powiedział Agelmar, marszcząc czoło. — To stary tytuł, lady Egwene. Nawet Wysocy Władcy Łzy nie mogą poszczycić się starszym, równorzędnym mu jest co najwyżej tytuł Królowej Andoru. — Westchnął i pokręcił głową. — On nie zechce o tym opowiadać, jakkolwiek opowieść ta znana jest na całym Pograniczu. On jest królem albo powinien nim być, al'Lan Mandragoram, Władca Siedmiu Wież, Pan Jezior, pozbawiony korony Król Ludu Malkier. — Uniósł wyżej wygoloną głowę, a w jego oku rozblęskło światło jakby ojcowskiej dumy. Głos spotęźniał, wypełniony siłą uczuć. Wszyscy w izbie mogli go słyszeć bez nadstawiania uszu — My z Shienar nazywamy siebie Ludem Pogranicza, lecz niespełna pięćdziesiąt lat temu Shienar nie należało właściwie do Ziem Granicznych. Na północ od nas i Arafel znajdowała się Malkier. Wojska najemne Shienaru kierowały się na północ, ale to Malkier stawiała opór Ugorowi. Malkier, niech Pokój chwali jej pamięć i Światłość oświeci jej nazwę.

— Lan pochodzi z Malkier — powiedziała cicho Wiedząca, podnosząc wzrok.

Coś ją wyraźnie dręczyło.

Nie było to pytanie, lecz Agelmar skinął głową.

— Tak, lady Nynaeve, on jest synem al'Akira Mandragoram, ostatniego koronowanego Króla Ludu Malkier. Jak doszło do tego, że jest, kim jest? Zaczęło się chyba od Laina. Podjąwszy wyzwanie Laina Mandragoram, brat Króla miał poprowadzić swych żołnierzy przez Ugór na Spustoszone Ziemie, być może do samego Shayol Ghul. To żona Laina, Breyan, rzuciła wyzwanie z powodu trawiącej jej serce zawiści, że to al'Akira został wyniesiony na tron, a nie Laina, Król i Laina żyli z sobą tak blisko, jak na braci przystało, tak blisko jak bliźnięta, nawet po tym, jak królewskie al' zostało dodane do imienia Akira, lecz mimo to zazdrość zupełnie spalała Breyan. Laina zyskał poklask za swe czyny i był to poklask sprawiedliwy, ale nawet wtedy nie mógł zaćmić blasku al'Akira. Taki

człowiek i taki król w jednej osobie zdarza się raz na sto lat, co najwyżej. Niechaj Pokój ześle łaskę na niego i el'Leannie.

Lain zginął na Spustoszonych Ziemiach wraz z większością tych, którzy za nim poszli, wraz z ludźmi, na utratę których Malkier nie mogła sobie pozwolić, i Breyan obwiniła o to Króla, twierdząc, że samo Shayol Ghul by padło, gdyby al'Akir poprowadził razem z jej mężem pozostałych żołnierzy Malkier na północ. Knując zemstę, zawiązała spisek z Cowinem Gemallanem, zwanym Cowinem Prawe Serce, chcąc zdobyć tron dla swego syna, Isama. Cowin Prawe Serce był bohaterem nieomal tak samo wielbionym jak sam al'Akir i jednym z Wielkich Lordów, lecz kiedy Wielcy Lordowie wybierali króla, tylko dwa głosy dały zwycięstwo Akirowi, a on nigdy nie zapomniał, że gdyby dwaj ludzie nie wybrali innej barwy dla Klejnotu Korony, on zasiadłby na tronie. Cowin i Breyan wspólnie sprowadzili żołnierzy z Ugoru, by zajęli Siedem Wież, i spowodowali, że Forty Graniczne stały się zwykłymi garnizonami.

Tymczasem zazdrość Cowina sięgała jeszcze głębiej. — Głos Agelmara zabarwiło obrzydzenie. — Bohater zwanym Prawym Sercem, o którego wyprawach do Ugoru śpiewano po całych Ziemiach Granicznych, był Sprzymierzeńcem Ciemności. Dzięki temu, że Forty Graniczne uległy osłabieniu, trolloki zalały Malkier niczym powódź. Król al'Akir i Lain potrafili bronić kraju, robili już tak wcześniej. Jednakże los Laina w Spustoszonych Ziemiach wstrząsnął ludźmi, a inwazja trolloków złamała w nich ducha i wolę oporu. W zbyt wielu ludziach. Przeważające liczby zepchnęły lud Malkier w głąb kraju.

Breyan uciekła razem ze swym nieletnim synem, Isamem i została napadnięta przez trolloków, kiedy zdążała wraz z nim na południe. Nikt nie wie dokładnie, jaki ich spotkał los, ale można się domyślać. Potrafię się litować jedynie nad chłopcem. Gdy zdrada Cowina Prawe Serce wyszła na jaw, a on sam został pojmany przez młodego Jaina Charina, zwanego już wtedy Jainem Długi Krok, i przywieziony do Siedmiu Wież w łańcuchach, Wielcy Lordowie kazali nabić jego głowę na włócznię. Jednak, jako że w sercach ludzi zajmował drugie miejsce zaraz po al'Akirze i Lainie, Król wyzwał go na pojedynek i zabił. Al'Akir płakał, kiedy zabijał Cowina. Niektórzy mówili, że opłakiwał przyjaciela, który oddał się Cieniowi, a inni, że opłakiwał Malkier. — Władca Fal Dara ze smutkiem pokręcił głową. — Tak brzmiał pierwszy dzwon oznajmiający zagładę Siedmiu Wież. Nie było ani czasu na zdobycie pomocy od Shienar albo Arafel, ani żadnej nadziei, że Malkier obroni się sama, skoro pięć tysięcy jej najemników zginęło w Spustoszonych Ziemiach, a Forty Graniczne zostały sforsowane.

Al'Akir i jego królowa, el'Leanna kazali sobie przynieść kołyskę z małym Lanem. W jego dzieciennych rękach umieścili miecz królów Malkier, miecz, którym włada do dziś. Miecz wykuty przez Aes Sedai podczas Wojny Mocy, Wojny Cienia, która zakończyła Wiek Legend. Namaścili jego głowę olejami, nadając mu imię Dai Shana,

Koronowanego Przywódcy Armii, wyświęcili jako następnego Króla Ludu Malkier i w jego imieniu wypowiedzieli starożytną przysięgę królów i królowych Malkier. — Twarz Agelmara stwardniała, przemawiał teraz takim tonem, jakby on też złożył taką przysięgę, albo inną, podobną. — Że będzie stawiał opór Cieniowi dopóty, dopóki żelazo twarde, a kamień nieustępliwy. Że będzie bronił Malkier do ostatniej kropli krwi. Że pomści to, czego obronić się nie da. — Słowa te rozległy się echem we wnętrzu komnaty. — El'Leanna założyła na szyję swego syna pamiątkowy medalion, i niemowlę, owinięte w pieluszki ręką samej Królowej, zostało oddane dwudziestu wybrańcom z gwardii przybocznej Króla, najlepszym ludziom miecza, najbardziej zawziętym wojownikom. Ich rozkazem było zanieść dziecko do Fal Moran.

Potem al'Akir i el'Leanna poprowadzili lud Malkier, by po raz ostatni stawił czoło Cieniowi. Zginęli oboje na Przełęczy Herota, tam też wyginął lud Malkier, a Siedem Wież legło w ruinie. Shienar, Arafel i Kandor stoczyły bój z Półludźmi i trollokami przy Gwieździe Jehaana i wyparli ich, ale nie tak daleko, jak przedtem. Większa część Malkier została w rękach trolloków, i rok po roku, mila za milą, wchłaniał ją Ugór. — Agelmar z ciężkim sercem wciągnął oddech. Kiedy zaczął znowu mówić, w jego oczach i głosie odznaczały się smutek i zarazem duma. — Jedynie pięciu gwardzistów dotarło żywych do Fal Moram wszyscy ranni, dziecko jednak dowieźli nietknięte. Od kołyski uczyli go wszystkiego, co sami potrafili. Uczył się władania bronią tak jak inne dzieci zabawkami, poznawał Ugór tak jak inne dzieci ogród swej matki. Przysięga złożona nad jego kołyską na zawsze wyrzyła się w jego umyśle. Nie ma już czego bronić, może się jednak mścić. Wypiera się swych tytułów, choć w Ziemiach Granicznych zwał go Niekoronowanym, a gdyby kiedykolwiek podniósł sztandar Złotego Żurawia Malkier, każda armia przybędzie, aby stanąć u jego boku. On jednak nie chce prowadzić ludzi na śmierć. Na Ugórze wszak zaleca się do śmierci, tak jak starający zaleca się do panny, nie chce jednak skazywać na nią innych.

Skoro musicie wejść na Ugór, i to tak nieliczną gromadą, to nie ma lepszego, kto by mógł was tam bezpiecznie wprowadzić i wyprowadzić. Jest najlepszym ze Strażników, a to oznacza najlepszego z najlepszych. Równie dobrze możecie zostawić tu tych chłopców, by nieco wydorosleli, a całe swe zaufanie złożyć na ręce Lana. Ugór to nie miejsce dla młodzików, którym nie dane było się sprawdzić.

Mat otworzył usta, ale pod wpływem spojrzenia Randa natychmiast je zamknął.

„Kiedy on wreszcie się nauczy trzymać je zamknięte.”

Nynaeve wysłuchiwała tego z takimi samymi szeroko otwartymi oczyma jak Egwene, teraz jednak z pobladłą twarzą znowu wbiła wzrok w swój kielich. Egwene objęła ją ramieniem i obdarzyła współczującym spojrzeniem.

Na progu pojawiła się Moiraine, tuż za nią stanął Lan. Nynaeve odwróciła się w ich stronę.

— Co powiedział? — spytał Rand.

Mat uniósł się z miejsca, Perrin postąpił tak samo.

— Wiejski przygłup — mruknął pod nosem Agelmar, po czym podniósł głos do normalnego tonu: — Dowiedziałaś się czegoś, Aes Sedai, czy raczej jest to zwyczajny szalenięć?

— Padan Fain jest szalony — odparła Moiraine — albo prawie szalony, ale nie ma w nim nic zwyczajnego.

Nadszedł, ukłonami torując sobie drogę, służący w czarno-złotej liberii z niebieską misą, dzbanem, kostką żółtego mydła i niewielkim ręcznikiem na srebrnej tacy, spojrzął z lękiem na Agelmara. Moiraine kazała postawić mu to wszystko na stole.

— Wybacz, że rządę twymi sługami, lordzie Agelmar — powiedziała. — Pozwoliłam sobie poprosić o to wszystko.

Agelmar skinął głową w stronę służącego, który postawił tacę na stole i pośpiesznie wyszedł.

— Moi służący są na twoje rozkazy, Aes Sedai.

Woda, którą Moiraine nalała do misy, zaparowała, jakby dopiero co zdjęto ją z ognia. Aes Sedai podwinęła rękawy i zaczęła energicznie myć ręce, nie zważając na wysoką temperaturę wody.

— Twierdziłam, że jest czymś gorszym od jadowitego gada, lecz nie było to bliskie prawdy. Nie sądzę, bym kiedykolwiek spotkała kogoś równie nędznego i upodłonego, a jednocześnie tak nikczemnego. Czuję się zbrukana po tym, jak go dotykałam i nie chodzi tu o brud ciała. Jest brudny tutaj. — Dotknęła swej piersi. — Jego dusza jest tak zdegenerowana, że wątpię, czy on ją w ogóle posiada. Jest czymś jeszcze gorszym niżli Sprzymierzeniec Ciemności.

— Wyglądał tak żałośnie — bąknęła Egwene. — Pamiętam, jak przyjeżdżał każdej wiosny do Pola Emonda, zawsze roześmiany i pełen wieści ze świata. Z pewnością jest jeszcze jakaś dla niego nadzieja? Żaden człowiek nie stoi w Cieniu tak długo, by nie mógł na powrót odnaleźć Światłości — zacytowała.

Aes Sedai energicznie wytarła ręce.

— Zawsze w to wierzyłam — powiedziała. — Być może Padan może zostać zbawiony. Był jednak Sprzymierzeńcem Ciemności od ponad czterdziestu lat i to, co w związku z tym uczynił, cała nikczemność, ból i śmierć, zmroziłyby wam krew w żyłach. Jeden z drobniejszych uczynków, choć dla was nie tak pośledni, jak sądzę, polegał na tym, że to on sprowadził trolloków do Pola Emonda.

— Tak — powiedział Rand.

Usłyszał głośny okrzyk zdziwienia Egwene.

„Powinienem być się domyślić. Niech szczenę, trzeba było powiedzieć o tym, jak tylko go rozpoznałem.”

— Czy sprowadził tutaj jakichś trolloków? — spytał Mat.

Rozejrzał się po otaczających ich kamiennych murach i zadrżał. Rand pomyślał, że jemu bardziej wbił się w pamięć Myrddraal niż trolloki. Mury nie zatrzymały Pomora ani w Baerlon, ani w Białym Moście.

— Gdyby tak było — zaśmiał się Agelmar — to połamałyby sobie zęby na murach Fal Dara. Już tak bywało w przeszłości. — Mówił to niby do wszystkich, ale najwyraźniej adresował swoje słowa do Egwene i Nynaeve, sądząc po spojrzeniach, jakie rzucił w ich stronę. — Półudźmi też się nie przejmujcie. — Matowi poczerwieniała twarz. — Wszystkie ulice i zaułki Fal Dara są nocą oświetlone. Pośród tych murów żaden człowiek nie ukryje swej twarzy.

— Po co Fain to robił? — spytała Egwene.

— Trzy lata temu... — Moiraine opadła na krzesło z ciężkim westchnieniem, jakby to, co zrobiła z Fainem, odebrało jej resztę sił. — Tego roku mijają trzy lata. Aż tyle. Światłość musi być nam wyjątkowo przychylna, bo inaczej Władca Kłamstw zatriumfowałby już wtedy, gdy jeszcze opracowywałam swe plany w Tar Valon. Fain was szukał przez trzy lata z polecenia Czarnego.

— To niedorzeczne! — zawołał Rand. — Przyjeżdżał do Dwu Rzek każdej wiosny, punktualny jak zegar. Trzy lata? Miał nas przed sobą i nigdy nie spojrzał na nas częściej niż dwa razy, aż do ostatniego roku.

Aes Sedai wycelowała w niego palec, każąc mu zamilknąć.

— Fain mi wszystko wyznał, Rand. Albo prawie wszystko. Sądzę, że udało mu się coś ukryć, coś ważnego, mimo tego wszystkiego, co z nim zrobiłam, ale i tak powiedział dostatecznie dużo. Trzy lata temu w Lugard przyszedł do niego jakiś Pomor. Fain przeraził się naturalnie, ale wśród Sprzymierzeńców Ciemności takie wezwanie jest poczytywane za wielki zaszczyt. Fain uwierzył, że został wybrany do wielkich czynów, i rzeczywiście go wybrano, choć nie do tego, co mu się wydawało. Został sprowadzony na północ Ugoru, do Spustoszonych Ziem. Do Shayol Ghul. Tam poznał człowieka o płonących oczach, który nazywał siebie Ba'alzamonem.

Mat poruszył się niespokojnie, a Rand przełknął ślinę. To się rzeczywiście musiało odbyć w taki sposób, ale i tak trudno było słuchać tego spokojnie. Jedynie Perrin patrzył na Aes Sedai takim wzrokiem, jakby już nic nie mogło go zaszokować.

— Światłości, ochroń nas! — zawołał z przejęciem Agelmar.

— Fainowi nie podobało się to, co z nim zrobiono w Shayol Ghul — kontynuowała spokojnie Moiraine. Podczas naszej rozmowy często krzyczał o ogniu i torturach. Wyciąganie tego wszystkiego stamtąd, gdzie to skrywał, omal go nie zabiło. Nawet mimo mego uzdrawiania przypomina teraz rozbity wrak i wiele czasu upłynie, zanim odzyska zdrowie. Ja jednak postaram się mu je przywrócić, choćby po to, żeby się dowiedzieć, co on jeszcze tai. Został wybrany z powodu okolicy, w której handlował.

— Nie — powiedziała pośpiesznie, kiedy się poruszyli niespokojnie — nie chodziło tylko o Dwie Rzeki, nie wtedy. Ojciec Kłamstw wiedział z grubsza, gdzie znaleźć to, czego szukał, niewiele jednak lepiej niż my w Tar Valon. Fain powiedział, że Czarny zrobił go swym psem, i w pewien sposób ma rację. Ojciec Kłamstw wyprawił Faina na polowanie, najpierw zmieniając go tak, by mógł je przeprowadzić. To właśnie te rzeczy, które miały dokonać zmian, Fain boi się pamiętać, nienawidzi za nie swego pana równie mocno, jak się go boi. I w taki to sposób wysłano Faina, by węszył i polował po wszystkich wsiach w okolicy Baerlon, przy drodze do Gór Mgły, Taren i po drugiej stronie, w Dwu Rzekach.

— Przed trzema wiosnami? — powiedział wolno Perrin. — Pamiętam tamtą wiosnę. Fain przybył później niż zwykle, lecz dziwne było to, że tak zwlekał z wyjazdem. Został cały tydzień, próżnując i zgrzytając zębami, gdy przychodziło do płacenia za pokój w karczmie „Winna Jagoda”. Fain lubi swoje pieniądze.

— Teraz sobie przypominam — powiedział Mat. — Wszyscy się zastanawiali, czy on jest chory, albo czy może zakochał się w którejś z naszych kobiet? Nie to, że któraś chciała wyjść za handlarza, oczywiście. To tak, jak poślubić jakiegoś Wędrowca.

Egwene uniosła brew w jego stronę, więc pośpiesznie zamknął usta.

— Potem Fain został ponownie zabrany do Shayol Ghul, a jego umysł został... wydestylowany. — Randowi skręcił się żołądek na ton głosu Aes Sedai. Ton ten był nawet bardziej bolesny niż wyraz twarzy zdradzający jej myśli. — To, co on... wyczuł... zostało zagęszczone i wprowadzone z powrotem. Kiedy przyjechał do Dwu Rzek następnego roku, był w stanie określić cele swych poszukiwań wyraźniej. W rzeczy samej wyraźniej, niż Czarny się spodziewał. Fain wiedział z całą pewnością, że ten, którego szuka, to jeden z trzech mieszkańców Pola Emonda.

Perrin kaszlnął, a Mat zaczął przeklinać cichym, monotonnym głosem i nawet Nynaeve nie spiorunowała go za to wzrokiem. Agelmar przypatrywał im się z ciekawością. Rand czuł jedynie lekki dreszcz i to go dziwiło. Czarny polował na niego od trzech lat... polował na nich trzech. Był przekonany, że od tego powinien szczekać zębami.

Moiraine nie pozwoliła sobie przerwać. Zagłuszyła Mata, podnosząc nieco głos:

— Kiedy Fain powrócił do Lugard, Ba'alzamon pojawił mu się we śnie. Fain ukorzył się i poddał rytuałom, takim, że wystarczyłoby wam usłyszeć o połowie z nich, a padlibyście trupem. W ten sposób związał się jeszcze mocniej z Czarnym. To, co się robi podczas snów, może być jeszcze bardziej niebezpieczne niż to, co się robi na jawie.

Rand drgnął pod wpływem tego ostrego, ostrzegawczego spojrzenia, Moiraine nie przestawała jednak mówić:

— Obiecano mu wielkie nagrody, władzę nad królestwami po zwycięstwie Ba'alzamonu i nakazano po powrocie do Pola Emonda naznaczyć tych trzech, których

upolował. Miał tam czekać na niego Pólczłowiek razem z trollokami. Teraz wiemy, jak trolloki trafiły do Dwu Rzek. Przy Manetheren musiał być gaj Ogirów i Brama.

— Najpiękniejszy z wszystkich — powiedział Ogir — z wyjątkiem gaju w Tar Valon. Słuchał z równym napięciem jak pozostali.

— Ogirowie wielbią wspomnienie Manetheren.

Agelmar wymówił bezgłośnie tę nazwę, unosząc brwi ze zdziwieniem. Manetheren.

— Lordzie Agelmar — powiedziała Moiraine — powiem ci, jak znaleźć Bramę do Mafal Dadaranell. Trzeba ją otoczyć murem i postawić tam strażę, nikomu nie wolno się do niej zbliżać. Pólludzie nie poznali jeszcze wszystkich dróg, lecz ta Brama jest położona na południu, zaledwie kilka godzin od Fal Dara.

Władca Fal Dara otrząsnął się, jakby wychodził z transu.

— Południe? Pokój! Po co nam to? Światło oświeć nas. Zrobimy, jak każesz.

— Czy Fain szedł za nami przez Drogi? — spytał Perrin. — Tak chyba musiało być. Moiraine skinęła głową.

— Fain poszedłby za wami do grobu, bo tak musi. Kiedy Myrddraalowi nie powiodło się w Polu Emonda, kazał Fainowi podążyć wraz z trollokami naszym tropem. Pomor nie pozwolił Fainowi jechać konno, mimo iż ten uważał, że powinien wziąć najlepszego konia z Dwu Rzek i jechać na czele całej bandy. Myrddraal kazał mu biec razem z trollokami, a gdy Faina zawodziły nogi, trolloki musiały go nieść. Rozmawiali między sobą w taki sposób, by Fain mógł ich zrozumieć, kłócąc się, jak go najlepiej ugotować, kiedy jego przydatność się skończy. Fain twierdzi, że zbuntował się przeciwko Czarnemu, jeszcze zanim dotarli do Taren. Niemniej jednak czasami przez całą tę jego opowieść przebijała żądza obiecanych nagród.

Kiedy uciekliśmy na drugą stronę Taren, Myrddraal zabrał trolloków do najbliższej Bramy, w Górach Mgły, a Faina puścił w drogę samego. Myślał, że już jest wolny, ale zanim dotarł do Baerlon, znalazł go inny Pomor, a ten nie był tak uprzejmy. Kazał mu spać w garnku trolloków, żeby pamiętał, jaka jest cena za niewykonanie zadania. Ten Pomor wykorzystywał go aż do Shadar Logoth. Do tego czasu Fain zgodziłby się oddać Myrddraalowi własną matkę, byleby tylko tamten go uwolnił, jednakże Czarny nigdy dobrowolnie nie uwalnia swej zdobyczy. Stamtąd wysłałam iluzję naszych śladów i zapachów w stronę gór, ogłupiając Myrddraala, ale nie Faina. Pólludzie mu nie wierzyli, potem wlekli go za sobą na smyczy. Dopiero wtedy, gdy my zawsze byliśmy w przedzie, choćby nie wiadomo jak mocno parli do przodu, niektórzy zaczęli mu ufać. To byli ci czterej, którzy powrócili do Shadar Logoth. Fain twierdzi, że to sam Ba'alzamon kierował Myrddraalem.

Agelmar z pogardą pokręcił głową.

— Czarny? Phi! Ten człowiek kłamie albo jest szalony, Gdyby Pozbawiony Serca się uwolnił, wszyscy bylibyśmy już martwi albo jeszcze gorzej.

— Fain przekazywał taką prawdę, jaką widział — powiedziała Moiraine. — Nie mógł mnie okłamać, choć wiele ukrył. Oto jego słowa: „Ba'alzamon pojawiał się jak migotliwy płomień świecy, znikał i pojawiał się ponownie, nigdy dwa razy w tym samym miejscu. Jego wzrok przepalał Myrddraala na wskroś, a ogień z ust osmalał nam skórę”.

— Coś — powiedział Lan — sprowadziło czterech Pomorów tam, gdzie bali się pójść, do miejsca, którego boją się tak jak gniewu Czarnego.

Agelmar stęknął, jakby właśnie dostał kopniaka. Wyglądał na chorego.

— W ruinach Shadar Logoth zło starło się ze złem — ciągnęła Moiraine — zło walczyło z nikczemnością. Kiedy Fain o tym opowiadał, zęby mu szczękały i cały czas biadolił. Wiele trolloków zostało zabitych, pożartych przez Mashadara i inne stworzenia, w tym również te trolloki, które prowadziły Faina na smyczy. Uciekł z miasta, jakby to była Otchłań Zagłady w Shayol Ghul. Fain myślał, że wreszcie jest wolny. Miał zamiar uciekać tak długo, dopóki Ba'alzamon nie będzie mógł go znaleźć, aż do krańca ziemi, jeśli to będzie konieczne. Wyobraźcie sobie jego przerażenie, gdy odkrył, że przymus prowadzenia polowania nie osłabł. Przeciwnie, z każdym dniem stawał się silniejszy i bardziej przemożny. Fain nie mógł nic zjeść, z wyjątkiem tego, co mu wpadało w ręce, kiedy na was polował... żuki i jaszczurki, które chwycił podczas biegu, na pół zgniłe resztki wybierane ze śmietników pod osłoną nocy... nie potrafił się też zatrzymać, dopóki nie padał z wyczerpania jak pusty worek. A gdy tylko miał siłę, by wstać na nogi, znowu pchało go do przodu. Zanim dotarł do Caemlyn, już milę wcześniej czuł swoją ofiarę. Nawet tutaj, w celi na dole, zdarzało mu się podnieść czasem wzrok, mimo że nie uświadamiał sobie, co robi. Patrzył w stronę tej izby.

Rand poczuł nagle swędzenie między łopatkami, zupełnie jakby poczuł tam wzrok Faina, który przebił się przez zagrządzający mu drogę kamień. Aes Sedai zauważyła, że otrząsnął się niespokojnie, ale nieubłaganie ciągnęła swą relację:

— Chociaż Fain był już w połowie obłąkany, zanim jeszcze dotarł do Caemlyn, to pograżył się w znacznie głębszym szaleństwie, gdy pojął, że dwóch z tych, których poszukuje, jest w tym mieście. Zmuszano go, by odnalazł was wszystkich, nie był jednak w stanie zrobić nic więcej, jak tylko podążyć tropem tych dwóch. Mówił, że przeraźliwie krzyczał, kiedy otworzyła się Brama w Caemlyn. Wiedza o tym, jak tego dokonać, znajdowała się w jego umyśle, on nie wie, jak do tego doszło, jego ręce poruszały się poza jego zgodą, płonęły ogniami Ba'alzamona, kiedy próbował je unieruchomić. Zamordował właściciela sklepu, który przyszedł, by sprawdzić, co to za hałas. Nie dlatego, że musiał, lecz z zazdrości, że ten człowiek może swobodnie wyjść z piwnicy, podczas gdy jego nogi wiodły nieubłaganie do Dróg.

— A więc ten ścigający, którego wyczułeś, to był właśnie Fain — powiedziała Egwene.

Lan skinął głową.

— Jak on uciekał przed... Czarnym Wiatrem? — Głos jej drżał, urwała, by przełknąć ślinę. — Dotarł za nami aż do Bramy.

— Uciekał, ale mu się nie udało — odparła Moiraine. — Czarny Wiatr go złapał i twierdzi, że rozumiał tamte głosy. Jedne witały go jak sobie równego, inne się go bały. Wiatr potem pognał dalej.

— Światłości, ochroń nas. — Szept Loiala zabrzmiał jak buczenie ogromnego trzmiela.

— Módlcie się o to — powiedziała Moiraine. — Jeszcze dużo na temat Padana Faina pozostaje zagadką, dużo jeszcze muszę się dowiedzieć. Nie spotkałam dotąd człowieka, którego zło przeniknęłoby równie głęboko i z taką mocą. Być może Czarny, robiąc to, co zrobił z Fainem, odcisnął w nim jakąś część siebie, może, nawet o tym nie wiedząc, podzielił się z nim jakąś częścią swoich zamierzeń. Gdy wspomniałam o Oku Świata, Fain zacisnął usta, lecz wyczułam wiedzę, skrywaną za tym milczeniem. Gdybym tylko miała teraz czas. Nie możemy jednak czekać.

— Jeśli ten człowiek coś wie — powiedział Agelmar — to mogę to z niego wydobyć. — W jego twarzy nie było współczucia dla Sprzymierzeńców Ciemności, jego głos nie obiecywał zmiłowania dla Faina. — Warto poświęcić jeden dzień, jeśli przynajmniej częściowo możecie się dowiedzieć, z czym przyjdzie wam się zmagać w Ugorze. Często przegrywano bitwy z powodu nieznamości zamiarów wroga.

Moiraine westchnęła i ponuro pokręciła głową.

— Lordzie Agelmar, gdybyśmy nie potrzebowali przynajmniej jednej nocy dobrego snu przed stawieniem czoła Ugorowi, pojechałabym tam za godzinę, choćby to się wiązało z ryzykiem napotkania bandy trolloków w ciemnościach. Rozważ to, czego się dowiedziałam od Faina. Trzy lata temu Czarny musiał ściągnąć Faina do Shayol Ghul, aby go dotknąć, mimo iż Fain był całą duszą zaprzędanym Sprzymierzeńcem Ciemności. Rok temu Czarny mógł kierować Fainem, Sprzymierzeńcem Ciemności za pośrednictwem jego snów. Tego roku Ba'alzamon wdziera się do snów tych, którzy żyją w Światłości i nawet pojawia się faktycznie, mimo że z trudem, w Shadar Logoth. Nie we własnym ciele, oczywiście, jednak każda projekcja umysłu Czarnego, nawet taka projekcja, która migocze i nie może się utrwalić, stanowi bardziej śmiertelne niebezpieczeństwo dla świata niż wszystkie hordy trolloków razem wzięte. Pieczęcie na Shayol Ghul rozpaczliwie słabną, lordzie Agelmar. Nie ma czasu.

Agelmar skłonił głowę na znak, że się zgadza, kiedy ją jednak podniósł, jego usta wciąż wyginał upór.

— Aes Sedai, mogę się zgodzić, że gdy poprowadzę wojska do Wąwozu Tarwina, nie będzie to nic więcej jak zwykła dywersja albo zamieszki na obrzeżach prawdziwej bitwy. Obowiązek wiedzie ludzi tam, dokąd i tak z pewnością zawiódłby ich Wzór, i nic tu nie obiecuje, że czyny nasze będą czymś wielkim. Nie mniej jednak nasza

walka pójdzie na marne, nawet gdybyśmy zwyciężyli, jeśli ty przegrasz bitwę. Skoro twierdzisz, że wasza grupa ma być niewielka, to ja na to powiadam „zgoda”, ale błagam cię, byś dołożyła wszelkich starań zapewniających ci zwycięstwo. Pozostaw tutaj tych młodych ludzi, Aes Sedai. Przysięgam, że potrafię ich zastąpić trzema doświadczonymi mężczyznami, którym nie sława w głowach. To biegle władający mieczami wojownicy, którzy w Ugorze okażą się nieomal równie przydatni jak Lan. Pozwól mi pojechać do Wąwozu ze świadomością, że zrobiłem, co mogłem, aby ci dopomóc w zwycięstwie.

— Muszę zabrać właśnie ich i nikogo innego, lordzie Agelmar — powiedziała łagodnie Moiraine. — To oni stoczą bitwę przy Oku Świata.

Agelmarowi opadła szczęka i wbił wytrzeszczone oczy w Randa, Mata i Perrina, a potem znieacka zrobił krok w tył, jego dłoń odruchowo powędrowała do miecza, którego nigdy nie przypasywał we wnętrzu fortecy.

— Oni nie są... Nie jesteś Czerwoną Ajah, Moiraine Sedai, jednak z pewnością nawet ty nie...

Na jego ogolonej czaszce nagle zalśnił pot.

— Oni są *ta'veren* — odparła uspokajająco Moiraine. — Wzór oplata się wokół nich. Czarny nieraz próbował ich zabić. Trzech *ta'veren* w jednym miejscu to dość, by zmienić otaczające ich życie, równie nieuchronnie, jak wir w rzece zmienia drogę płynącego nią źdźbła trawy. Gdy takim miejscem jest Oko Świata, wówczas Wzór może wpleść w siebie nawet Władcę Kłamstw i na powrót go unieszkodliwić.

Ręka Agelmara zaprzestała bezskutecznych poszukiwań miecza, nadal jednak patrzył pełnym wątpliwości wzrokiem na Randa i pozostałych.

— Moiraine Sedai, skoro tak o nich mówisz, to tak jest, ja jednak tego nie widzę. Chłopcy ze wsi. Czy jesteś pewna, Aes Sedai?

— Stara krew — powiedziała Moiraine — rozszczepiona niczym rzeka rozwidlająca się tysiąc razy na tysiąc strumieni, jednakże czasem te strumienie łączą się z sobą, by na powrót utworzyć rzekę. Stara krew Manetheren, płynąca w żyłach prawie wszystkich tych młodych ludzi, jest silna i czysta. Czy wątpisz w siłę krwi Manetheren, lordzie Agelmar?

Rand zerknął z ukosa na Aes Sedai.

„Prawie wszystkich.”

Zerknął ukradkiem na Nynaeve, która odwróciła się, by nie tylko słuchać, ale również widzieć, wciąż jednak unikała widoku Lana. Pochwycił spojrzenie Wiedzącej. Potrząsnęła głową: nie powiedziała Aes Sedai, że on nie urodził się w Dwu Rzekach.

„Co wie Moiraine?”

— Manetheren — wolno powiedział wolno Agelmar, kiwając głową. — W tę krew wątpił nie będę. — Potem, znacznie szybciej, dodał: — Dziwne czasy Koło sprowadza. Chłopcy z farm niosą honor Manetheren na Ugór, a przecież, jeśli jakaś krew może

zadać ostateczny cios Czarnemu, to jest nią jedynie krew Manetheren. Stanie się tak, jak chcesz, Aes Sedai.

— Zatem zaprowadź nas do naszych pokoi — powiedziała Moiraine. — Musimy wyjechać razem ze słońcem, bo czas się kurczy. Ci młodzi mężczyźni muszą spać blisko mnie. Za mało czasu zostało przed bitwą, nie można pozwolić Czarnemu, by znowu ich zaatakował. Za mało.

Rand poczuł na sobie jej wzrok, przypatrujący się jemu i jego przyjaciółom, wążący ich siłę i zadrżał. Za mało.

UGÓR

Wiatr targał połami płaszczka Lana, sprawiając, że czasem trudno go było zobaczyć nawet w słońcu, a Ingtar i stu żołnierzy, których lord Agelmar wysłał z nimi jako eskortę do granicy, na wypadek gdyby napotkali rajd trolloków, urządzili pokaz mocy, tworząc podwójną kolumnę zbroi, czerwonych opończ i zakutych w stal koni, na czele której powiewał sztandar Szarej Sowy Ingtara. Bez wątpienia prezentowali równie niezrównany widok jak Gwardia Królowej, jednak wzrok Randa przykuwały głównie widoczne w oddali wieże. Miał cały ranek na przyglądanie się lancom Shienaru.

Każda wieża stała na szczycie wzgórza, wysoka i masywna, oddalona o połowę mili od swej sąsiadki. Wyrastały na wschodzie i zachodzie, a dalej za nimi jeszcze następne. Wokół każdej kamiennej kolumny wspinała się spiralnie szeroka, osłonięta murem klatka schodowa, kończąca się przy ciężkich bramach w połowie drogi do zwieńczonego blankami wierzchołka. Udająca się na wypad załoga garnizonu byłaby chroniona przez ten mur aż do samej ziemi, natomiast wróg pragnący się dostać do bram, musiałby się wspinać pod gradem strzał, kamieni i wrzącego oleju, lanego z wielkich kotłów, które wystawały z wybrzuszonych parapetów na górze. Na szczycie każdej wieży połyskiwało wielkie stalowe lustro, pieczołowicie opuszczone teraz w dół, tak by nie docierały do niego promienie słoneczne, umieszczone we wnętrzu wysokiej, żelaznej czaszy, w której rozpalano sygnałny ogień w razie braku słońca. Błyskami można było przekazać sygnał do wież bardziej oddalonych od granicy, te z kolei przesłałyby go następnym, aż wreszcie dotarłby do fortec w głębi kraju, z których wysyłano wojsko dla odparcia ewentualnego napadu. Tak by się działo, gdyby czasy były normalne.

Ich przyjazd obserwowali ludzie z wierzchołków najbliższych dwóch wież. Na obu była ich zaledwie garstka, wyglądali z ciekawością przez blanki. W najlepszych czasach wieże obsadzano tylko taką liczbą ludzi, jaka była niezbędna do samoobrony, polegając bardziej na kamiennych murach niż na silnych ramionach, teraz jednak wszyscy, których udało się wygospodarować, i nie tylko, wybierali się do Wąwozu Tarwina. Upadek wież nie miałby znaczenia, w razie gdyby wojskom nie udało się utrzymać Wąwozu.

Rand poczuł dreszcz, gdy przejeżdżali między wieżami. Miał wrażenie, że przejechał przez mur chłodniejszego powietrza. To była Granica. Obszar położony za nią niczym się nie różnił od ziem Shienaru, jednak właśnie tam, gdzieś za bezlistnymi drzewami, był Ugór.

Ingтар uniósł stalową pięść, by zatrzymać żołnierzy tuż przed prostym, kamiennym słupem widocznym z wież. Słup graniczny, oddzielający Shienar od terenów, które kiedyś należały do Malkier.

— Wybacz, Moiraine Aes Sedai. Wybacz, Dai Shanie. Wybacz, Budowniczy. Lord Agelmar rozkazał mi dalej nie jechać.

W jego głosie pobrzmiewało niezadowolenie z tego powodu, być może nawet ogólne zniechęcenie życiem.

— Tak właśnie zaplanowałam razem z lordem Agelmarem — odparła Moiraine.

Ingтар chrząknął z goryczą.

— Wybacz, Aes Sedai — przeprosił, mimo że wyraźnie nie miał zamiaru przeproszać. — Przez to, że eskortowaliśmy was do tego miejsca, możemy nie zdążyć do Wąwozu przed końcem bitwy. Ograbiono mnie z szansy stanięcia do walki wraz z pozostałymi i jednocześnie wydano rozkaz, bym nie jechał ani kroku dalej za słup graniczny, jakbym dotąd nigdy nie był w Ugorze. A lord Agelmar nie chce mi powiedzieć, dlaczego.

Oczy wyczernające zza kratownicy w hełmie zmieniły to ostatnie słowo w pytanie skierowane do Aes Sedai. Spojrzał z pogardą na Randa i pozostałych, wiedział już, że to oni będą towarzyszyć Lanowi w wyprawie do Ugoru.

— Niech zajmie moje miejsce — mruknął Mat do Randa.

Lan spojrział na nich surowym wzrokiem. Mat spuścił wzrok, twarz mu poczerwieniała.

— Każdy z nas odgrywa swą rolę we Wzorze, Ingтары — powiedziała stanowczym głosem Moiraine. — Od tego miejsca musimy iść samotnie tam, gdzie ciągną nas nasze wątki.

Ukłon Ingтары był bardziej sztywny, niż to wymuszała na nim zbroja.

— Jak sobie życzysz, Aes Sedai. Muszę was teraz opuścić i jechać co koń wyskoczy, by dotrzeć do Wąwozu Tarwina. Tam przynajmniej... będzie mi wolno... stawić czoło trollokom.

— Naprawdę aż tak ci do tego śpieszno? — spytała Nynaeve. — Do walki z trollokami?

Ingтар spojrział na nią ze zdumieniem, potem zerknął na Lana, jakby się spodziewał, że on to wyjaśni.

— Tym się przecież zajmuję, moja pani — powiedział wolno. — To racja, dla której istnieję.

Uniósł rękę w stronę Lana, ukazując Strażnikowi wnętrze odzianej w rękawicę dłoni.

— *Suravye ninto manshima taishite*, Dai Shan. Niech pokój ma w swej łasce twój miecz.

Zawróciwszy konia, Ingtar ruszył na wschód, wiodąc za sobą giermka ze sztandarem i sto lanc. Jechali stępa, utrzymując miarowe tempo, z taką prędkością, by koniom udało się pokonać czekającą ich daleką drogę.

— Jak oni dziwnie się wyrażają — zauważyła Egwene. — Czemu używają tego słowa w taki sposób? Pokój.

— Jeśli coś jest ci znane tylko ze snów — wyjaśnił Lan, uderzając piętami boki Mandarba, by ruszył — to staje się czymś więcej niż zwykły talizman.

Gdy w ślad za Strażnikiem mijał kamienny słupek graniczny, okręcił się w siodle, by odprowadzić wzrokiem Ingtara, jego lance ginących wśród nagich drzew, słupek i ostatnią z wież, górującą ze szczytu wzgórza ponad lasem. Jakby trochę za szybko, znów zostali sami, jechali na północ pod baldachimem utkanym z bezlistnych gałęzi. Rand pograżył się w milczeniu, bacznie obserwując otoczenie, nawet Mat przynajmniej ten jeden raz nie miał nic do powiedzenia.

Tego ranka bramy Fal Dara otworzono o świcie. Lord Agelmar, podobnie jak jego żołnierze ubrany w zbroję i przyłbicę, wyjechał ze sztandarem Czarnego Jastrzębia i zastępem Trzech Lisów z wschodniej Bramy w stronę słońca, które nadal miało kształt czerwonego sierpu zawiesłego tuż nad drzewami. Niczym stalowy wąż falujący w rytm brzmienia kotłów, utworzona z czwórek kolumna wyruszyła zygzakowatym pochodem z miasta, jadący na jej czele Agelmar zdążył skryć się w lesie, nim ogon opuścił warownię Fal Dara. Na ulicach nie słychać było wiwatów, zagrzewających ich do wyprawy, jedynie huk bębnow i łopot sztandarów na wietrze, jednakże oczy jadących nie bez celu wpatrzone były we wschodzące słońce. Na wschodzie mieli się przyłączyć do innych stalowych węży, do tego z Fal Moran, na czele z samym królem Easarem i synami u jego boku, i do tego z Ankor Dail, który prowadził Wschodnie Marsze i strzegł Grzbietu Świata, do tego z Mos Shirare, Fal Sion, Camron Caan i z wszystkich innych fortec w Shienar, wielkich i małych. Połączone w jednego wielkiego węża miały skrócić na północ, w stronę Wąwozu Tarwina.

W tym samym czasie trwał jeszcze jeden exodus, wykorzystujący Bramę Królewską, z której wiodła droga do Fal Moran. Fury i wozy, ludzie na koniach i piechurzy, pędzący swoje bydło, niosący dzieci na plecach, z twarzami tak wydłużonymi jak cienie poranka. Niechęć do opuszczania swych domostw, być może na zawsze, spowolniała im krok, jednak lęk przed tym, co miało nadejść, spinał ich jak ostrogą, więc szli zrywami, to wlokąc się, to rzucając się do biegu i po kilkunastu krokach znowu zostając w tyle, znowu powłócząc nogami w pyłe drogi. Kilku zatrzymywało się za miastem, by popatrzeć na zbrojną linię żołnierzy, wkręcającą się w głąb lasu. W oczach niektórych wykwitła nadzieja, słychać było monotonne mamrotanie modlitw, modlitw o żołnierzy, modlitwy o samych siebie, a po chwili znowu wlekli się mozolnie w stronę południa.

Najkrótsza kolumna wyszła z Bramy Malkier. Zostawili za sobą już tylko nielicznych, żołnierzy i dosłownie kilku starców, których żony pomarły, a dorosłe dzieci wolno wędrowały na południe. Ostatnia garść, aby niezależnie od tego, co miało się zdarzyć w Wąwozie Tarwina, Fal Dara nie padła bez obrony. Na czele jechała Szara Sowa Ingtara, ale to Moiraine wiodła ich na północ. Kolumna najważniejsza i ze wszystkich najbardziej zdesperowana.

Przez co najmniej godzinę po tym, jak minęli słup graniczny, nic się nie zmieniło, ani na odkrytym terenie, ani w lesie. Strażnik narzucał im okrutne tempo, najszybsze, jakiemu podołać mogły konie, Rand stale jednak się zastanawiał, czy już dojeżdżają do Uguru. Wzgórza stały się nieco wyższe, lecz drzewa, pnącza i poszycie niczym się nie różniły od tych, które widział w Shienar, tak samo szare i bezlistne. Czuł, że jest mu ciepłej, tak ciepło, że mógł przewiesić płaszcz przez łęk siodła.

— Tak dobrej pogody nie mieliśmy przez cały rok — stwierdziła Egwene, strząsając z ramion swój płaszcz.

Nynaeve pokręciła głową, krzywiąc się, jakby słuchała wiatru.

— Ma zły zapach.

Rand pokiwał głową. Też czuł coś takiego, choć nie potrafił określić dokładnie, co właściwie czuje. Coś złego, co nie pasowało do tego ciepła, które po raz pierwszy poczuł tego roku poza domem i bynajmniej nie wiązało się to z prostym faktem, że tak daleko na północy nie powinno być tak ciepło. Musiał to być już Ugór, mimo że w otaczającym ich krajobrazie nic nie uległo zmianie.

Słońce wspięło się wysoko, czerwona kula, która nie mogła dawać takiego ciepła, mimo że na niebie nie było ani jednej chmury. Chwilę później rozpiął kaftan. Z twarzy ściekały mu strumyczki potu.

Nie tylko on. Mat też zdjął kaftan, wystawiając na pokaz swój złoty sztylet z rubinem i otarł twarz końcem szala. Mrugając, zrolował go w wąski pasek i obwiązał nim czoło, tuż nad oczami. Nynaeve i Egwene wachlowały się, bezwolnie skłonię na końskie karki niczym więdnące rośliny: Loial rozpiął swą tunikę z wysokim kołnierzem i koszulę. Na piersi wyrastał mu wąski pas włosów, gęsty jak futro. Przeprosił wszystkich głębokim pomrukiem.

— Musicie mi wybaczyć. Stedding Shangtai leży wśród gór, panuje w nim chłód. — Jego szerokie nozdrza rozdęły się, wciągając powietrze, które z każdą minutą stawało się coraz cieplejsze. — Nie podoba mi się to ciepło ani wilgoć.

Rand zauważył, że rzeczywiście jest wilgotno. Tak samo jak na Bagnach Mire w samym środku lata. Wśród tamtych błot oddychało się jak przez wełniany koc, namoczony w gorącej wodzie. Te tereny nie były bagniste — zaledwie kilka stawów i potoków, w rzeczy samej strumyczków dla kogoś, kto znał Wodny Las — jednak powietrze było takie samo jak w Mire. Tylko Perrin, nadal ubrany w kaftan, oddychał bez trudu. Perrin i Strażnik.

Na drzewach, mimo iż nie pochodziły z gatunków wiecznie zielonych, pojawiło się już trochę liści. Rand wychylił się, by dotknąć gałęzi i ręka mu zamarła tuż przy samych liściach. Czerwień młodych pędów naznaczona była niezdrową żółcią i czarnymi plamami wyglądającymi na objaw jakiejś choroby.

— Powiedziałem, że macie niczego nie dotykać. — Strażnik mówił beznamiętnym głosem. Wciąż miał na sobie mieniący się płaszcz, jakby upał nie wywierał na nim żadnego wrażenia, tak samo jak chłód; w tym płaszczu jego kanciasta twarz wydawała się unosić niczym nie podtrzymywana nad grzbietem Mandarba. — Na Ugorze kwiaty potrafią zabijać, a liście kaleczyć. Rośnie tu coś takiego, zwane Kijem, które lubi się ukrywać w największej gęstwinie liści, wygląda wśród nich dokładnie tak, jak się nazywa, i czeka, aż coś go dotknie. I wtedy się wgryza. Nie truje. Sok Kija zaczyna trawić swoją ofiarę. Żeby się uratować, trzeba odciąć tę rękę albo nogę, w którą wgryzł się Kij. Nie gryzie jednak, dopóki się go nie dotknie. Ale robią to inne rośliny w Ugorze.

Rand gwałtownie cofnął rękę, nie dotknąwszy liści i otarł ją o nogawkę spodni.

— To znaczy, że jesteśmy już na Ugorze? — spytał Perrin.

O dziwo, w jego głosie nie słychać było lęku.

— To na razie skraj — odparł ponuro Strażnik. Jego ogier stale wyrwał do przodu, dlatego musiał mówić do nich przez ramię: — Prawdziwy Ugór ciągle jeszcze przed nami. Żyją na Ugorze takie stworzenia, które polują, kierując się słuchem, a niektóre potrafią przywędrować za dźwiękiem aż z dalekiego południa. Czasami przeprawiają się przez Góry Przeznaczenia. Znacznie gorsze od Kijów. Zachowujcie się cicho i nie zostawajcie w tyle, jeśli chcecie ująć z życiem.

Cały czas nadawał ostre tempo, nie czekając na odpowiedź.

Miła za miłą, w miarę jak zapuszczali się coraz głębiej w Ugór, widać było jego postępujący rozkład. Liście pokrywały drzewa obficie, były jednak przebarwione, pokryte żółtymi i czarnymi cętkami, poprzerastane pasmami wścieklej czerwieni, przywodzącej na myśl zatrutą krew. Wszystkie liście i pnącza wyglądały jak opuchnięte, jakby miały wybuchnąć pod dotknięciem. Parodiowały wiosnę kwiaty na drzewach i chwastach, chorobliwie blade i nabrzmiące, woskowate narośla, które wydawały się gnąć na oczach Randa. Gdy oddychał przez nos, słodkawy odór zgnilizny, ciężki i gęsty wywoływał mdłości, gdy próbował oddychać przez usta, omal się nie udławił. Powietrze napełniało usta posmakiem zgniętego mięsa. Spod końskich kopyt rozlegał się mlask, z jakim przegniłe rośliny rozpadały się pod ich ciężarem.

Mat pochylił się do przodu i wymiotował tak długo, dopóki nie opróżnił żołądka. Rand zaczął szukać pustki, jednakże spokój jakoś nie potrafił przegnać palącej kuli, która wpełzła mu do gardła. Mimo próżnego żołądka milę dalej Mat znowu dostał nudności, bez specjalnego skutku, i później jeszcze raz. Egwene wyglądała tak, jakby też miała się rozchorować, stale przełykała ślinę, a na twarzy Nynaeve widniała biała

maska determinacji, zaciskała szczęki i wpijała wzrok w plecy Moiraine. Wiedząca za nic nie mogła się przyznać, że jest jej niedobrze, dopóki pierwsza nie zrobi tego Aes Sedai, a zdaniem Randa wcale nie miała na to czekać nazbyt długo. Oczy Moiraine były zwężone, a wargi zupełnie białe.

Mimo gorąca i wilgoci Loial osłonił nos i usta szalem. Napotkawszy wzrok Randa, nie taił złości i obrzydzenia.

— Słyszałem... — zaczął głosem stłumionym przez wełnę, po czym urwał i kaszlnął, krzywiąc twarz. — Pfuj! To smakuje jak... Pfuj! Słyszałem i czytałem o Ugorze, jednak nic nie jest w stanie opisać... — Wykonał gest, którym jakaś udało mu się objąć zarówno ten zapach, jak i budzącą obrzydzenie roślinność. — Że Czarny potrafił to zrobić nawet drzewom! Pfuj!

Strażnik naturalnie przyjmował wszystko obojętnie, przynajmniej Rand niczego nie zauważył, jednakże ku jego zdziwieniu również nic nie działało na Perrina. A w każdym razie nie w takim stopniu, jak na pozostałych. Podczas jazdy rozglądał się groźnie po tym ohydny lesie, jakby patrzył na wroga albo jego sztandar. Gładził topór u pasa, nieświadom tego, co robi i mrucał coś do siebie, powarkując czasami, czym sprawiał, że Randowi włosy stawały na głowie. Oczy jarzyły mu się nawet w pełnym słońcu, złotawe i dzikie.

Upał nie zelżał gdy krwawe słońce zaszło za horyzont. Daleko na północy wznosiły się góry, wyższe ad Gór Mgły, czarne na tle nieba. Porywy wiatru, wiejące od ostrych wierzchołków były tak silne, że czasem docierały aż do nich. Skworna wilgoć przeżerała nieomal cały chłód spływający z gór, lecz i tak w porównaniu z wypartym przez niego żarem chłód ten przypominał siarczysty mróz, choćby tylko w tych krótkich momentach. Pot na twarzy Randa zdawał się rozbłyskiwać w postaci lodowych paciorków, a gdy wiatr zamierał, te paciorki topniały, ściekając strugami po jego twarzy. Gęsta spiekota, na zasadzie kontrastu, uderzała potem ze znacznie większą siłą. Podczas tych krótkich chwil, w których owiewał ich wiatr, fetor ulegał rozproszeniu, Rand jednak chętnie by się obył bez tego, gdyby było można. Zimno przywodziło na myśl chłód grobu i przynosiło z sobą pylistą pleśń świeżo otwartego, starożytnego grobowca.

— Nie dotrzemy do gór przed zmrokiem — oświadczył Lan — a nocą niebezpiecznie się tu poruszać, nawet Strażnikowi.

— Niedaleko stąd jest takie jedno miejsce — powiedziała Moiraine. — Będzie to dla nas dobry omen, jeśli uda się rozbić tam obóz.

Strażnik spojrział na nią obojętnym wzrokiem, po czym z niechęcią skinął głową.

— Racja. Musimy rozbić gdzieś obóz. Równie dobrze można to zrobić właśnie tam.

— Oko Świata znajdowało się za wysokimi przełęczami wtedy, gdy je znalazłam — powiedziała Moiraine. — Przez Góry Przeznaczenia najlepiej się przeprowiać przy dziennym świetle, w południe, kiedy moc Czarnego działająca w tym świecie jest najsłabsza.

— Z tego, co mówisz, wynika, że Oko Świata nie zawsze jest w tym samym miejscu.
— Egwene wypowiedziała to w stronę Aes Sedai, ale odpowiedzi udzielił jej Loial:

— Nie ma dwóch takich Ogrów, którzy znaleźliby je w tym samym miejscu. Zielony Człowiek przenosi się chyba tam, gdzie jest potrzebny. Ale Oko zawsze znajdowało się za wysokimi przełęczami. Zdradzieckie są te przełęcze, nawiedzają je stwory należące do Czarnego.

— Najpierw trzeba dotrzeć do przełęczy, a dopiero potem się nimi przejmować
— powiedział Lan. — Jutro wjedziemy na prawdziwy Ugór.

Rand popatrzył na otaczający go las, w którym każdy liść i kwiat był chory, w którym każde pnącze rosnęło już nadgnięte, i wzdrygnął się mimo woli.

„Jeśli to jeszcze nie jest prawdziwy Ugór, to co to jest?”

Lan kazał im jechać na zachód, bokiem do zachodzącego słońca. Zachował to samo tempo, jakie narzucił dotychczas, jednak w układzie jego ramion widać było niechęć.

Słońce w kształcie ponurej, czerwonej kuli dotykało już wierzchołków drzew, gdy wjechali na szczyt jakiegoś wzgórza, a Strażnik ściągnął wodze. Za drzewami na zachodzie rozciągała się sieć jezior, ich wody połyskiwały ciemno w padających ukośnie promieniach słońca, przypominając różnej wielkości paciorki nanizane na wiele sznurków tworzących jeden naszyjnik. W oddali, pośrodku jezior, wznosiły się wzgórza o nierównych szczytach, a pełznące cienie wieczoru pogrubiały ich zarysy. Przez krótką chwilę promienie słońca padały na poszarpane wierzchołki i Randowi zaparło dech. Żadne wzgórza. Ruiny siedmiu wież. Nie był pewien, czy zauważył je ktoś jeszcze oprócz niego, widok zniknął równie szybko, jak się pojawił. Strażnik zsiadał właśnie z konia, jego twarz była tak samo pozbawiona emocji jak kamień.

— Czy nie moglibyśmy rozbić obozu przy tych jeziorach? — spytała Nynaeve, osuszając twarz swoją chustką. — Nad wodą jest z pewnością chłodniej.

— Światłości — powiedział Mat. — Chciałbym włożyć do któregoś z nich głowę i już nigdy jej nie wyjąć.

W tym dokładnie momencie coś wzburzyło wody najbliższego jeziora, ciemna woda załśniła, gdy pod powierzchnią przewaliło się jakieś ogromne cielsko. Grubsze niż obwód człowieka w pasie zmarszczyło tafłę wody, obracając się bez końca, aż w końcu wystawiło w górę swój ogon i przez chwilę machało jego czubkiem, który w świetle zmierzchu przypominał żądło osy, na wysokości co najmniej pięciu piędzi ponad wodą. Na całej jego długości, niczym monstrualne robaki, wiły się tłuste macki, liczbą dorównując odnóżom stonogi. Wolno wsunęło się pod powierzchnię jeziora i zniknęło. Jedyne zamierające fale stanowiły ślad jego obecności.

Rand zamknął usta i napotkał wzrok Perrina. Wiedział, że w jego wzroku musi być to samo niedowierzanie, które zobaczył w żółtych oczach przyjaciela. Nic tak wielkiego nie mogło żyć w jeziorze o takich rozmiarach.

„To coś na końcu tych macek, to nie mogły być dłonie. To niemożliwe.”

— Namysliłem się — powiedział słabym głosem Mat — tu mi się nawet podoba.

— Otoczę to wzgórze pasem ochronnym — powiedziała Moiraine. Zdążyła już zsiąść z Aldieb. — Prawdziwa bariera przyciągnęłaby do nas niepotrzebną uwagę, tak jak miód przyciąga muchy, jeśli jednak jakieś stworzenie Czarnego albo cokolwiek, co służy Cieniowi, zbliży się do nas na odległość mili, będę o tym wiedziała.

— Ja tam bym wolał taką barierę — oświadczył Mat, stawając na ziemi — skoro nie przepuszczałaby tych, tych... stworów z tamtej strony.

— Och, zamilknij wreszcie, Mat — skarciła go Egwene w tym samym momencie, w którym odezwała się Nynaeve.

— I chciałbyś, żeby zasadziły się na nas rankiem, kiedy będziemy stąd odjeżdżali? Jesteś głupcem, Matrimie Cauthon.

Mat popatrzył spode łba na obydwie kobiety, zsiadające właśnie z koni, ale nie utworzył ust.

Rand ujął wodze i wymienił uśmiech z Perrinem. Przez moment było nieomal tak jak w domu, gdy się słyszało Mata mówiącego coś najmniej odpowiedniego w danej chwili. Potem uśmiech na twarzy Perrina zbladł, w świetle zmierzchu jego oczy naprawdę się jarzyły, tak jakby pod nimi płonęło jakieś żółte światło. Randowi też odebrało ochotę do śmiechu.

„Tu wcale nie jest jak w domu.”

Rand, Mat oraz Perrin pomogli Lanowi rozsiodłać i spętać konie, pozostali zabrali się za rozbijanie obozu. Loial mruczał coś pod nosem w trakcie rozstawiania maleńkiego palnika Lana, jednak jego grube palce poruszały się z dużą wprawą. Egwene napełniała czajnik wodą z wybrzuszzonego bukłaka, nucąc coś cicho. Rand przestał się już zastanawiać, dlaczego Strażnik tak uparcie chciał zabrać aż tyle napełnionych bukłaków.

Ustawił siodło gniadosza w jednej linii z pozostałymi, odwiązał swoje torby i zwiniętą derkę od tylnego łęku, odwrócił się i zamarł, czując, jak mrowi go lęk. Ogir i kobiety zniknęły. Tak samo palnik i wszystkie wiklinowe kosze zdjęte z grzbietu jucznego konia. Na szczycie wzgórza nie było nic prócz wieczornych cieni.

Zdrewniałą dłonią sięgnął niezdarnie do rękojeści miecza, jak przez mgłę słysząc przeklinanie Mata. Perrin wyciągnął zza pasa topór, jego kudłata głowa obracała się dookoła w poszukiwaniu niebezpieczeństwa.

— Pasterze — mruknął Lan.

Niczym nie zaniepokojony Strażnik przeszedł przez wzgórze i po trzecim kroku zniknął.

Rand, Mat i Perrin spojrzeli na siebie szeroko rozwartymi oczami i w tym momencie wszyscy trzej biegli już co tchu w stronę miejsca, w którym zniknął Strażnik. Nagle

Rand zatrzymał się z poślizgiem i zrobił jeszcze jeden krok, gdy wpadł na niego Mat. Egwene podniosła na nich wzrok znad czajnika, który właśnie ustawiała na maleńkim palniku. Nynaeve zasuwiała osłonkę na zapalanej latarni. Byli tam wszyscy, Moiraine siedziała na skrzyżowanych nogach, Lan leżał wsparty na łokciu, Loial wyjmował książkę ze swego tobołka.

Rand obejrzał się ostrożnie za siebie. Zbocze wzgórza było takie samo jak przedtem, drzewa tonęły w cieniu, dalekie jeziora pograżyły się w mroku. Bał się zrobić krok w tył, bał się, że oni wszyscy znowu znikną i być może już nigdy nie uda mu się ich znaleźć. Obchodzący go ostrożnie Perrin wypuścił z siebie długie westchnienie.

Moiraine zauważyła, że wszyscy trzej stoją i patrzą na nich z rozdziawionymi ustami. Wyraźnie zmieszany Perrin wsunął topór za pętlę przy pasie, jakby mu się wydawało, że nikt tego nie widzi. Na jej ustach zapełgał nieznaczny uśmiech.

— To prosta rzecz — powiedziała — ugięcie, dzięki któremu oko, które na nas patrzy, widzi tylko to, co nas otacza. Nie możemy pozwolić, by zauważono nasze światła. Ugór to nie jest miejsce, w którym bezpiecznie jest przebywać po zapadnięciu zmroku.

— Moiraine Sedai twierdzi, że ja może też potrafię to robić. — Oczy Egwene były roziskrzzone. — Mówi, że już trochę mogę władać Jedyńą Mocą.

— Najpierw musisz przejść szkolenie, dziecko — ostrzegła ją Moiraine. — Dla niewyszkolonej i tych, którzy ją otaczają, najprostszą rzeczą związaną z Jedyńą Mocą może się okazać niebezpieczna.

Perrin parsknął głośno, a Egwene wyglądała na tak strapioną, że Rand zastanawiał się, czy przypadkiem już nie wypróbowała swych umiejętności.

Nynaeve postawiła latarnię na ziemi. Razem z maleńkim płomykiem palnika dwie latarnie dawały sporą łunę światła.

— Kiedy pojedziesz do Tar Valon, Egwene — zaczęła ostrożnie — to być może pojedę z tobą. — Spojrzenie, którym obdarzyła Moiraine, było osobliwie potulne. — Dobrze jej zrobi, jeśli wśród obcych twarzy będzie widziała znajomą. Ktoś inny oprócz Aes Sedai będzie jeszcze musiał udzielać jej rad.

— Być może tak będzie najlepiej, Wiedząca — zapewniła ją szczerze Moiraine.

Egwene zaśmiała się i klasnęła w rękę.

— Och, tak będzie cudownie. i ty, Rand. Ty też pojedziesz, prawda? — Znieruchomiał naprzeciwko niej, po drugiej stronie palnika, po chwili powoli usiadł. Przyszło mu na myśl, że jej oczy nigdy nie były większe albo jaśniejsze, że nigdy tak bardzo nie przypominały dwóch stawów, w których z chęcią by zatonał. Plamki rumieńca zabarwiły jej policzki, śmiała się teraz ciszej. — Perrin, Mat, wy też pojedziecie, prawda? Wszyscy będziemy razem. — Mat wydał z siebie pomruk, który mógł oznaczać wszystko, a Perrin tylko wzruszył ramionami, co ona przyjęła za znak zgody. — Widzisz, Rand. Wszyscy będziemy razem.

„Światłości, toż człowiek mógłby zatonać w tych oczach i jeszcze byłby szczęśliwy z tego powodu.”

Kaszlnął, zażenowany.

— Czy w Tar Valon są owce? Znam się przecież wyłącznie na hodowaniu owiec i tytoniu.

— Wierzę — powiedziała Moiraine — że będę potrafiła znaleźć coś dla ciebie do roboty w Tar Valon. Dla was wszystkich. Niekoniecznie wypas owiec, ale coś, co was zainteresuje.

— No przecież — powiedziała Egwene, jakby już wszystko zostało ustalone. — Już wiem. Uczynię cię moim Strażnikiem, kiedy już będę Aes Sedai. Chciałbyś być Strażnikiem, prawda? Moim Strażnikiem?

Mówiła pewnym głosem, ale w jej oczach widział pytanie. Czekwała na odpowiedź, potrzebowała jej.

— Bardzo bym chciał być twoim Strażnikiem — powiedział.

„Ona nie jest przeznaczona tobie ani ty jej. Dlaczego Min musiała mi to powiedzieć?”

Ciemność kładła się wokół jak wielki ciężar i wszyscy byli już zmęczeni. Loial jako pierwszy odwrócił się od ogniska i ułożył do snu, pozostali szybko poszli jego śladem. Nikt nie używał kocy tylko poduszki. Moiraine dodała coś do oliwy w lampach, co przegnało ze wzgórza woń Ugoru, nic jednak nie mogło osłabić upału. Księżyc rzucał rozedrgane, wodniste światło, wydawało się jednak, że słońce stoi w zenicie, gdyż tak mało chłodu dawała noc.

Rand stwierdził, że nie jest w stanie zasnąć, mimo że w odległości niecałej piędzi leżała Aes Sedai, która mogła go ochronić przed snami. Wszystko przez to gęste powietrze. Ciche pochrapywanie Loiala brzmiało jak łoskot, przy którym chrapanie Perrina zdawało się nie istnieć, obaj jednak nie przeszkodzili pozostałym dać się pokonać zmęczeniu. Strażnik jeszcze nie spał, siedział niedaleko z mieczem położonym na kolanach, wpatrując się w noc. Ku zdziwieniu Randa to samo robiła Nynaeve.

Wiedząca jakiś czas patrzyła w milczeniu na Lana, po czym nalała kubek herbaty i podała mu go. Kiedy odebrał kubek, dziękując mrukliwie, nie odeszła od razu.

— Powinam była wiedzieć, że jesteś królem — powiedziała cicho.

Patrzyła na Strażnika niezmaconym wzrokiem, mimo że głos drżał jej lekko.

Lan popatrzył na nią równie uważnie. Randowi wydało się, że twarz Strażnika trochę złagodniała.

— Nie jestem królem, Nynaeve. Tylko człowiekiem. Człowiekiem, którego imienia nie można łączyć nawet z najnędrniejszą wiejską zagrodą.

Głos Nynaeve nabrał pewności.

— Niektóre kobiety nie pytają ani o ziemię, ani o złoto. Tylko o człowieka.

— A człowiek, który taką poprosi, by przyjęła tak niewiele, nie jest jej wart. Jesteś niezwykłą kobietą, piękną jak wschód słońca, waleczną jak wojownik. Jesteś lwicą, Wiedząca.

— Wiedzące rzadko wychodzą za mąż. — Urwała, by zaczerpnąć oddechu, jakby zbroidła się w odwagę. — Jeśli jednak pojedę do Tar Valon, może się okazać, że jestem kimś innym niż Wiedząca.

— Aes Sedai wychodzą za mąż równie rzadko jak Wiedzące. Mało który mężczyzna potrafi żyć u boku żony obdarzonej taką mocą, u boku kobiety, która czy chce, czy nie chce, zaćmiewa go swym blaskiem.

— Niektórzy mężczyźni są wystarczająco silni. Znam takiego jednego.

Jej spojrzenie nie pozwalało wątpić, kogo ma na myśli.

— Wszystko, co mam, to ten miecz i wojna, której wygrać nie mogę, nie wolno mi jednak przestać walczyć.

— Powiedziałam ci, że nie dbam o to. Światłości, sprawiłeś, że powiedziałam więcej niż powinnam. Chcesz mnie skazać na taki wstyd, abym musiała cię prosić?

— Nigdy cię nie zawstydzę.

Łagodna, przypominająca pieszczotę nuta w głosie Strażnika zabrzmiała dziwnie w uszach Randa, jednak oczy Nynaeve pojaśniały.

— Znienawidzę tego, którego ty wybierzesz, bo to nie będę ja, i pokocham go, jeśli wywoła uśmiech na twojej twarzy. Żadna kobieta nie zasługuje na pewność, że za wiana posłuży jej wdowi welon, a już najmniej ty. — Postawił nietknięty kubek na ziemi i wstał. — Muszę zajrzeć do koni.

Nynaeve nie ruszyła się, wciąż klęczała w tym samym miejscu, choć on już odszedł.

Senny nie senny, zamknął oczy. Nie sądził, by Wiedzącej się podobało, gdyby oglądał ją, jak płacze.

CZARNY BUDZI SIĘ

Świt wyrwał gwałtownie Randa ze snu, poczuł, jak w powieki kłują go promienie ponurego słońca, przezierającego z niechęcią ponad wierzchołkami drzew rosnących na Ugorze. Mimo wczesnej pory skwar kładł się na zatrutych ziemiach jak gruby koc. Rand leżał na plecach i z głową wspartą o zrolowaną derkę wpatrywał się w niebo. Wciąż było niebieskie. Przynajmniej ono pozostało nietknięte w tym miejscu.

Zdziwił się, gdy pojawił, że jednak spał. Przez chwilę mgliste wspomnienie podsłuchanej rozmowy wydawało mu się częścią snu. Potem zobaczył otoczone czerwonymi obwódkami oczy Nynaeve, najwyraźniej w ogóle nie zmrużyła oka. Twarz Lana była bardziej surowa niż zwykle, jakby nałożył maskę i nie miał zamiaru jej więcej zdejmować.

Do Wiedzącej podeszła Egwene, przykucnęła z zaniepokojoną miną. Nie dosłyszał, o czym rozmawiały. Egwene coś powiedziała, na co Nynaeve potrząsnęła głową. Egwene dodała coś jeszcze, a Wiedząca odprawiła ją machnięciem ręki. Zamiast odejść, Egwene pochyliła bliżej głowę i przez kilka chwil obie kobiety jeszcze ciszej mówiły coś do siebie, Nynaeve wciąż potrząsała głową. W końcu Wiedząca roześmiała się, uściskała Egwene i, sądząc po wyrazie jej twarzy, zaczęła jej schlebiać. Gdy jednak Egwene wstała, Wiedząca cisnęła w stronę Strażnika spojrzenie pełne wściekłości. Lan zdawał się nic nie zauważać, w ogóle nie patrzył w stronę Nynaeve.

Kręcąc głową, Rand pozbierał swoje rzeczy, pośpiesznie umył ręce, twarz i zęby w skąpej ilości wody, wydzielonej w tym celu przez Lana. Zastanawiał się, czy kobiety potrafią czytać w umysłach mężczyzn. Była to niepokojąca myśl.

„Wszystkie kobiety to Aes Sedai.”

Powtarzając wciąż, że pozwala Ugorowi zawładnąć sobą, przepłukał usta i pospieszył osiodłać gniadosza.

Było to bardziej niż niepokojące, że obozowisko zdążyło zniknąć, zanim doszedł do koni, lecz gdy popręg przy jego siodle był już mocno zaciągnięty, wszystko na wzgórzu zamigotało i pojawiło ponownie. Wszyscy się spieszyli.

W świetle poranka widać było wyraźnie siedem wież, dalekie, nadłamane kadłuby, przypominające ogromne, nierówne wzgórza, ledwie ślad po nie istniejącym już przepychu. W oczy rzucał się gładki, niezmacony błękit stu jezior. Tego ranka nic nie wyskoczyło ponad powierzchnię wody. Gdy patrzył na jeziora i zrujnowane wieże, nieomal udawało mu się ignorować chorą roślinność porastającą wzgórze. Wydawało się, że Lan wcale nie unika widoku wież, przynajmniej nie w większym stopniu, niż wydawał się unikać Nynaeve, ale jakoś ani razu na nie nie spojrział, skupiony wyłącznie na przygotowaniach do wyjazdu.

Gdy wiklinowe kosze zostały już przymocowane do grzbietu jucznego konia, gdy nie został już ani jeden śmieć, brud czy ślad, a wszyscy siedzieli na koniach, Aes Sedai stanęła z zamkniętymi oczami na szczycie wzgórza, wydawało się, że nawet nie oddycha. Nie zdarzyło się nic, co by Rand zauważył, tyle że pomimo upału Nynaeve i Egwene zaczęły dygotać i energicznie rozcierać sobie ręce. Dłonie Egwene nagle jednak znieruchomiały. Otworzyła usta i wlepiała wzrok w Nynaeve. Zanim zdążyła coś powiedzieć, Nynaeve również przestała rozcierać ręce i spojrzała na nią karcącym wzrokiem. Obie kobiety patrzyły na siebie, potem Egwene skinęła głową i uśmiechnęła się szeroko, a po chwili zrobiła to samo Nynaeve, choć jej uśmiech nie był taki promienny.

Rand otarł palce o włosy, już bardziej wilgotne od potu niż wody, którą opryskał twarz. Był pewien, że w tym bezsłownym dialogu kryło się coś, co powinien był zrozumieć, lecz myśl ulotna jak ptasi puch otarła się tylko o jego umysł i zniknęła, zanim zdążył ją pochwycić.

— Na co czekamy? — spytał podniesionym tonem Mat.

Zwinięty szal opasywał mu nisko czoło. Przez łąk u siodła przełożył łuk z naciągniętą strzałą, a kołczan umocował przy pasie, by mieć go w zasięgu ręki.

Moiraine otworzyła oczy i ruszyła w dół zbocza.

— Czekamy, aż usunę ostatni ślad po tym, co tu robiłam, ubiegłej nocy. Resztki rozproszą się same w ciągu dnia, nie chcę jednak narażać nas na ryzyko, które mogę teraz wyeliminować. Jesteśmy za blisko, a Cień jest tutaj zbyt silny. Lan?

Strażnik czekał tylko, aż Moiraine usadowi się w siodle Aldieb i zaraz poprowadził ich na północ, w stronę majaczących w oddali Gór Przeznaczenia. Nawet w świetle wschodzącego słońca zarysy ich szczytów, czarne i pozbawione życia, przywodziły na myśl połamane zęby. Góry niczym mur ciągnęły się na wschód i zachód, daleko jak okiem sięgnąć.

— Czy dojedziemy dziś do Oka, Moiraine Sedai? — spytała Egwene.

Aes Sedai spojrzała z ukosa na Loiala.

— Mam nadzieję, że tak. Wtedy, gdy je znalazłam po raz pierwszy, znajdowało się tuż po drugiej stronie gór, u stóp wysokich przełęcz.

— On mówi, że ono zmienia swoje miejsce — powiedział Mat, skinieniem głowy wskazując Loiala. — A jeśli nie będzie go tam, gdzie się spodziewasz?

— Wówczas będziemy kontynuowali poszukiwania, dopóki go nie znajdziemy. Zielony Człowiek wyczuwa potrzebę, a nie może być większej potrzeby niż nasza. Nasza potrzeba jest bowiem nadzieją świata.

W miarę jak przybliżały się do nich góry, przybliżał się do nich także prawdziwy Ugór. O ile dotychczas liście były naznaczone czarnymi i żółtymi plamami, tutaj na oczach Randa opadały, ociekając wilgocią, odpadając pod wpływem ciężaru własnego rozkładu. Same drzewa przypominały storturowane, ułomne istoty, powykręcane gałęzie wyciągały swe szpony ku niebu, jakby błagały o zmiłowanie jakąś moc, która nie chciała ich wysłuchać. Z popękanych i rozdwojonych pni tryskała maź, niczym ropa z ran. Drzewa wydawały się trząść pod wpływem uderzeń końskich kopyt, jakby nie miały już siły stać.

— Tak wyglądają, jakby chciały nas porwać — stwierdził nerwowym głosem Mat. Nynaeve obdarzyła go rozdrażnionym, wzgardliwym spojrzeniem, więc dodał zapalczywie: — One po prostu tak wyglądają.

— Niektóre z nich naprawdę tego chcą — powiedziała Aes Sedai. Jej oczy wyczernione ponad ramieniem były przez chwilę twardsze od oczu Lana. — Nie chcą jednak najmniejszej cząstki tego, czym jestem i dlatego moja obecność was chroni.

Mat roześmiał się niespokojnie, jakby uważał, że usłyszał żart.

Randa to nie przekonało. W końcu to był Ugór.

„Ale przecież drzewa się nie ruszają: Po co drzewo miałoby porywać człowieka, nawet gdyby mogło? My sobie wyobrażamy różne rzeczy, a jej chodzi tylko o to, żebyśmy zachowali czujność.”

Nagle jego wzrok zboczył w lewo, w stronę lasu. Tamto drzewo, w odległości nie dalej jak dwudziestu kroków, naprawdę drżało, i tego już sobie na pewno nie wyobraził. Nie potrafił powiedzieć, jaki to gatunek, tak było powykręcane i umęczone. Kiedy patrzył, drzewo zniemacka wygięło się gwałtownie najpierw w jedną, potem w drugą stronę, potem pochyliło się w dół, z całej siły uderzając koroną o ziemię. Coś wrzasnęło, przenikliwie i ogłuszająco. Drzewo wyprostowało się nagle, jego konary oplatały jakąś ciemną masę, która wiła się, charczała i krzyczała.

Z trudem przełknął ślinę i starał się odjechać jak najdalej, jednakże drzewa rosły po obu stronach drogi i wszystkie drżały. Koń zaczął toczyć oczami, ukazując całe białka. Rand został złapany w potrzask zbitej masy końskich ciał, jako że wszyscy próbowali zrobić to samo co on.

— Nie zatrzymujcie się — rozkazał Lan, dobywając miecza. Strażnik przywdział stalowe rękawice i tunikę z szarzielonej łuski. — Trzymajcie się Aes Sedai.

Zawrócił Mandarba, nie w stronę drzewa i jego ofiary, lecz w innym kierunku. W swym mieniącym się płaszczu dał się pochłonać Ugorowi wcześniej niż jego czarny rumak zniknął z zasięgu wzroku.

— Bliżej — popędzała ich Moiraine. Nie zwolniła biegu swej białej klaczy, lecz gestem ręki kazała im skupić się w gromadzie wokół niej. — Trzymajcie się mnie tak blisko, jak tylko możecie. Z kierunku, w którym zniknął Strażnik, rozległ się ryk. Uderzył w powietrze z całej siły, wprawiając drzewa w gwałtowne drganie, a gdy ucichł, wydawało się, że wciąż słychać jego echo. Po chwili ryk rozległ się raz jeszcze, pełen wściekłości i śmierci.

— Lan — powiedziała Nynaeve. — On...

Ten sam potworny dźwięk nie pozwolił jej skończyć, lecz tym razem brzmiała w nim jakaś nowa nuta. Strach. I nagle zapanowała cisza.

— Lan sam zadba o siebie — powiedziała Moiraine. — Jedź, Wiedząca.

Spomiędzy drzew wyłonił się Strażnik, trzymał miecz z dala od siebie i swego wierzchowca. Ostrze parowało, całe zalane czarną posoką. Lan wytarł je starannie szmatką, którą wyjął z sakwy przy siodle, i uważnie przyjrzał się stali, chcąc się upewnić, że starł nawet najmniejszą plamkę. Wyrzucił szmatkę — jeszcze nie zdążyła dolecieć do ziemi, a już się rozpadła, rozpuściły się nawet pozostałe po niej skrawki.

Spomiędzy drzew wyskoczyło na nich znieścacka jakieś masywne cielsko. Strażnik zawrócił Mandarba, lecz jeszcze w chwili, gdy rumak wierzgał, gotów atakować podkutymi stalą kopytami, w powietrzu błysnęła strzała Mata, trafiając jedyne oko we łbie, który zdawał się składać głównie z paszczy i zębów. Kopiąc i wrzeszcząc dziko, stwór runął na ziemię w odległości zaledwie skoku od nich. Rand przypatrzył mu się, gdy go mijali. Porośnięty szorstką szczecina, miał o wiele za dużo odnóży, wystających pod najdziwniejszymi kątami z korpusu wielkiego jak u niedźwiedzia. Niektóre z nich, przynajmniej te wyrastające z grzbietu, z pewnością nie przydawały się do chodzenia, szpony długości palca rozdrapywały ziemię w śmiertelnej agonii.

— Dobry strzał, pasterzu.

Oczy Lana już zapomniały o tym, co zdychało za nimi i przeszukiwały teraz las.

Moiraine pokręciła głową.

— Dziwne, że odważyło się podejść tak blisko kogoś, kto dotyka Prawdziwego Źródła.

— Agelmar stwierdził, że Ugór się burzy — powiedział Lan. — Być może Ugór wie także, że we Wzorze tworzy się Splot.

— Śpieszcie się. — Moiraine uderzyła piętami boki Aldieb. — Musimy jak najszybciej pokonać przełęcz. Jednakże w chwili, gdy to mówiła, Ugór powstał przeciwko nim. Drzewa chłostały gałęziami, wyciągając ku nim swe konary, zupełnie nie dbając o to, czy Moiraine istotnie dotyka Prawdziwego Źródła.

Rand poczuł, że w dłoni zaciska rękojeść miecza, choć nie pamiętał, kiedy wy dobył go z pochwy. Uderzał nim raz za razem, tnąc chore konary ostrzem oznakowanym wizerunkiem czapli. Żarłoczne gałęzie wycofywały swe przerąbane, wijące się kikuty — słyszał nieomal ich wrzask ale zaraz potem pojawiały się następne, skręcone jak węże, usiłując pochwycić jego ręce, pas, kark. Z zębami obnażonymi w złowieszczym grymasie, zaczął szukać pustki i znalazł ją w kamiennej, upartej glebie Dwu Rzek.

— Manetheren! — krzyknął w stronę drzew tak głośno, że aż zabolalo go gardło. Stał z wizerunkiem czapli odbiła blask wątego słońca. — Manetheren! Manetheren!

Stojący w strzemionach Mat wypuszczał jedną strzałę za drugą, prosto w stronę lasu, celując w zdeformowane kształty, które warcząc wbijały swe niezliczone kły w śmiercionośne grotty i wgryzały się w inne, szponiaste stwory, torując sobie drogę w stronę jeźdźców. Również Mat zatracił się w walce.

— *Carai an Caldazar!* — krzyczał, przyciągając cięciwę do policzka i puszczając ją. — *Carai an Ellisande! Mordero Daghain pas duente cuebiyar! An Ellisande!*

Perrin też stał w strzemionach, milczący i ponury. On teraz wiódł pozostałych, a jego topór wyrąbywał przejście zarówno w lesie, jak i obrzydliwych cielskach, we wszystkim, co zagradzało drogę. Młójące konarami drzewa i wyjące bestie umykały przed zwalistym mistrzem topora, spłoszone jego dzikimi, złotymi oczyma i świszczącym ostrzem. Poganiał swego konia do przodu, jeden zdecydowany krok za drugim.

Z rąk Moiraine z szybkością błyskawicy wylatywały kule ognia i gdy osiągały celu, każde skręcane spazmami drzewo przemieniało się w pochodnię, a szczerzący kły kształt stawał w płomieniach, wrzeszcząc przeraźliwie, i bił się ludzkimi dłońmi, wrywając strzępy własnego ciała, dopóki wreszcie nie zdechł.

Strażnik stale kierował Mandarba między drzewa. Krew, którą ociekały jego miecz i rękawice, bulgotała i parowała. Nieraz, gdy stamtąd wracał, w jego zbroi i ciele widniały głębokie, krwawiące nacięcia, Mandarb kulał i również krwawił. Zawsze wtedy Aes Sedai zatrzymywała się, by ułożyć dłoń na ranach, a kiedy je odejmowała, na nietkniętym ciele pozostawała tylko krew.

— W ten sposób rozpalam sygnałowe ogniska dla Półudzi — stwierdziła cierpkim tonem. — Pędźcie naprzód. Pędźcie!

Torowali sobie więc drogę, każdy krok zdawał się trwać wieczność.

Rand był przekonany, że zostaliby pokonani, gdyby te drzewa nie wdały się w walkę z masą atakujących cielsk, gdyby bestie, wśród których nie było dwóch takich samych, nie walczyły tak zażarcie z drzewami i między sobą, chcąc ich dopaść. Nie miał żadnej pewności, czy tak jeszcze nie miało się zdarzyć. I nagle z tyłu za nimi rozległ się jakiś piskliwy dźwięk. Daleki i cienki, przebijał się z trudem przez ogłuszający warkot oblegających ich mieszkańców Ugoru, Warkot ucichł w jednej chwili, jak ucięty nożem. Atakujące stwory zastygły w półkroku, drzewa znieruchomiały. Wszystko, co poruszało

się o własnych nogach, zniknęło równie nagle, jak się pojawiło, ginąc w zwichrowanym lesie.

Po chwili przeraźliwy pisk rozległ się raz jeszcze, podobny do dźwięku dobywającego się z połamanej pasterskiej kobzy. Odpowiedziało mu coś, co brzmiało jak chór. Kilka głosów śpiewających unisono, gdzieś daleko w tyle.

— Robaki — powiedział ponuro Lan, wywołując tym jęk z ust Loiala. — Odroczyły wykonanie wyroku, nie wiadomo tylko, czy coś na tym skorzystamy. — Zmierzył wzrokiem dystans dzielący ich od gór. — Mało które stworzenie żyjące w Ugorze stawi czoło Robakowi, jeśli może tego uniknąć. — Wbił pięty w boki Mandarba. — Naprzód!

Wszyscy pomknęli w ślad za nim, przez Ugór, który raptem wydał się prawdziwie martwy, gdyby nie te ścigające ich piskliwe tony.

— Przestraszyły się Robaków? — spytał z niedowierzaniem Mat.

Podskakiwał w siodle, usiłując przewiesić łuk na plecy.

— Robak — Strażnik wymówił to słowo zupełnie inaczej niż Mat — potrafi zabić Pomora, jeśli takiemu Pomorowi nie sprzyja Czarny. Całe stado podąża naszym śladem. Naprzód! Naprzód!

Do czarnych szczytów było już bliżej. Jeszcze godzina, stwierdził Rand, przy tempie narzuconym przez Strażnika.

— Czy Robaki nie będą nas ścigać w górach? — wydyszała Egwene, a Lan wybuchnął ostrym śmiechem.

— Nie będą. Robaki boją się tego, co żyje na wysokich przełęczach.

Loial znowu jęknął.

Rand bardzo pragnął, by Ogir przestał tak jęczeć. Wiedział znakomicie, że Loial wie o Ugorze więcej niż ktokolwiek z nich, wyjąwszy Lana, nawet jeśli tę wiedzę nabył wyłącznie na podstawie książek czytanych w bezpiecznym schronieniu *steding*.

„Czy on musi stale przypominać, że czekają nas jeszcze gorsze rzeczy od tych, które już widzieliśmy?”

Ugór przelewał się obok nich, spod galopujących kopyt tryskały szczątki przegniłych chwastów i traw. Ani jedno spośród takich samych drzew jak te, które ich wcześniej atakowały, nie drgnęło nawet, gdy przejeżdżali pod powykręcanymi gałęziami. Niebo przed nimi przesłoniły Góry Przeznaczenia, czarne i ponure, wydawało się, że można ich dotknąć, tak były blisko. Znowu dobiegły ich piskliwe dźwięki, wyraźne i czyste, a od tyłu mlaskające odgłosy, głośniejsze od chrzęstu roślin miażdżonych przez końskie kopyta. Zbyt głośne, jakby przegniłe drzewa taranowały przeslizgujące się między nimi ogromne cielska. Zbyt bliskie. Rand obejrzał się przez ramię. Wierzchołki drzew chwiały się gwałtownie i ugiwały jak trawa. Teren powoli zaczynał się pięć w stronę gór, dostatecznie stromo, by Rand zauważył, że już się wspinają.

— Nie uda się nam — obwieścił Lan. Nie zwolnił galopującego Mandarba, lecz w jego dłoni znowu błysnął miecz. — Uważaj na siebie na wysokich przełęczach, Moiraine, na pewno się przedostaniesz.

— Nie, Lan! — krzyknęła Nynaeve.

— Milcz, dziewczyno! Lan, nawet ty nie zatrzymasz stada Robaków. Ja tego nie zrobię. Potrzebuję cię przy Oku.

— Strzały! — zawołał Mat zadyszczanym głosem.

— Robaki nawet ich nie poczują! — odkrzyknął Strażnik. — Trzeba je ciąć na kawałki. Niewiele czują prócz głodu. Czasem strachu.

Rozpaczliwie uczepony siodła, Rand otrząsał się, usiłując rozluźnić ścierpnięte ręce. W klatce piersiowej czuł tak silny skurcz, że ledwie mógł oddychać, piekła go skóra, jakby nakłuwana gorącymi igłami. Ugór połączył się z podnóżem gór. Widział, którędy będą musieli się wspinać, gdy już dotrą do zboczy — dostrzegł krętą ścieżkę i za nią wysoką przełęcz, przypominającą szczelinę wyrąbaną toporem w czarnym kamieniu.

„Światłości, co tam jest takiego, co potrafi przestraszyć to, co jest za nami? Światłości, dopomóż mi, nigdy w życiu tak się nie bałem. Nie chcę jechać dalej. Ani kroku!”

Szukał płomienia i pustki, złorzeczając samemu sobie.

„Ty głupcze! Ty zastraszony, tchórzliwy głupcze! Nie umiesz zostać tutaj i nie umiesz zawrócić. Chcesz zostawić Egwene, żeby sama stoczyła tę walkę?”

Pustka wymykała mu się, powstawała, rozpadała się na tysiące świetlnych punktów, odtwarzała się na nowo i znowu rozsypywała, a wtedy każdy punkt przepalał go aż do kości, powodując, że słaniał się z bólu i miał wrażenie, że zaraz wybuchnie.

„Światłości, dopomóż mi, nie mogę jechać dalej. Światłości, dopomóż!”

Już ściągał wodze gniadosza, chcąc zawrócić i stoczyć bój z Robakami albo czymkolwiek, byle tylko nie z tym, co czyhało dalej, gdy nagle wszystko dookoła zmieniło się nie do poznania. Między jednym zboczem i następnym, między wierzchołkiem i następną granią, Ugór nie istniał.

Zielone liście zdobiły płożące się łagodnie gałęzie. Dzikie kwiaty i trawa falująca na pachnącym, wiosennym wietrze tworzyły jaskrawy kobierzec. Z jednego kwiatu na drugi przelatywały motyle, furkoczące głośno skrzydłami, towarzyszyło im buczenie pszczoł i ptasie trele.

Zapatrzony na to wszystko wytrzeszczonym wzrokiem, nie przestawał galopować, dopóki nie zauważył, że Moiraine, Lan i Loial zatrzymali się, podobnie jak i pozostali. Powoli ściągnął wodze, twarz mu zastygła w zdumieniu. Egwene oczy omal nie wyszły z orbit, a Nynaeve opadła szczęką.

— Jesteśmy bezpieczni — powiedziała Moiraine. — To miejsce należy do Zielonego Człowieka, tutaj znajduje się Oko Świata. Ugór tu nie wtargnie.

— Myślałem, że to będzie po drugiej stronie gór — wymamrotał Rand. Wciąż widział wierzchołki wypełniające północny horyzont, a wśród nich wysokie przełęcze. — Powiedziałaś, że to miejsce jest zawsze za wysokimi przełęczami.

— To miejsce — odpowiedział mu czyjś głęboki głos zza drzew — jest zawsze tam, gdzie jest. W różnych miejscach są tylko ci, którzy go potrzebują.

Z gęstwiny liści wynurzyła się jakaś postać, ludzki kształt wyższy od Loiala o tyle samo, o ile Ogir był wyższy od Randa. Ludzki kształt upleciony z winorośli i liści, zielonych i żywych. Zamiast włosów na jego głowie rosła trawa, opadająca na ramiona, zamiast oczu miał ogromne orzechy laskowe, zamiast paznokci żołądzie. Tunika i spodnie były utkane z zielonych liści, buty z gładkiej kory. Otaczały go wirujące motyle, które przysiadły miękko na palcach, ramionach i twarzy. Tylko jedna rzecz psuła tę zieloną doskonałość. Przez policzek i skroń aż po sam czubek głowy biegło głębokie nacięcie, a w tym miejscu winorośl zbrązowiała i przywiedła.

— Zielony Człowiek — wyszeptała Egwene i pokierszowana twarz uśmiechnęła się.

Przez chwilę zdawało się, że ptaki zaczęły śpiewać jeszcze głośniej.

— Oczywiście, że to ja. Kto inny mógłby tu być? — Orzechowe oczy przyjrzały się Loialowi. — Dobrze cię znowu zobaczyć, mały bracie. W przeszłości wielu z was przychodziło mnie odwiedzać, ale ostatnimi czasy dzieje się to rzadko.

Loial zsiadł ze swego wielkiego konia i ukłonił się ceremonialnie.

— Czynisz mi zaszczyt, Drzewny Bracie. *Tsingu ma choshih, T'ingshen.*

Uśmiechając się, Zielony Człowiek objął Ogira ramieniem. Obok Loiala wyglądał jak mężczyzna przy małym chłopcu.

— To żaden zaszczyt, mały bracie. Pośpiewamy razem Pieśni Dla Drzew, powspominamy Wielkie Drzewa i *stedding*, a Tęsknotę odrzucimy na bok.

Przyjrzał się pozostałym, właśnie zsiadającym z koni, i na widok Perrina w jego oczach rozblęskło światło.

— Wilczy Brat! Czyżby naprawdę wracały dawne czasy?

Rand zagapił się na Perrina. Perrin z kolei zawrócił swego konia, przez co znalazł się pomiędzy nim a Zielonym Człowiekiem, po czym pochylił się, by sprawdzić popręg. Rand był przekonany, że stara się w ten sposób uniknąć badawczego wzroku Zielonego Człowieka. Raptem Zielony Człowiek przemówił do Randa:

— Dziwny ubiór nosisz, Dziecię Smoka. Czyżby Koło obróciło się tak daleko? Czy Lud Smoka wraca do Pierwszego Przymierza? Ty jednak nosisz miecz. A zatem nie jest ani tak, ani tak.

Rand musiał odzyskać wilgoć w ustach, zanim udało mu się przemówić.

— Nie wiem, o czym mówisz. O co ci chodzi?

Zielony Człowiek dotknął brązowej blizny na głowie. Przez chwilę wyglądał na zdezorientowanego.

— Nie... nie potrafię powiedzieć. Moje wspomnienia są rozdarte i często ulatują, a wiele z tego, co zostało, przypomina liście nawiedzone przez gąsienice. A jednak jestem pewien... Nie, już tego nie ma. Ale mimo to jesteś tu mile witany. A ty, Moiraine Sedai, co najmniej mnie zaskakujesz. Kiedy powstawało to miejsce, tworzono je w taki sposób, by nikt nie mógł go odnaleźć dwukrotnie. Jak się tu znalazłaś?

— Potrzeba — odparła Moiraine. — Moja potrzeba, potrzeba świata. Przede wszystkim potrzeba świata. Chcemy zobaczyć Oko.

Zielony Człowiek westchnął westchnieniem wiatru uwięzionego wśród gałęzi gęsto pokrytych liśćmi.

— A zatem znowu do tego doszło. To wspomnienie nie zostało naruszone. Czarny znowu się budzi. Tego się obawiałem. Wraz z każdym obrotem lat Ugór dokłada wszelkich starań, by wtargnąć do środka, i tym razem walka, by nie dopuścić do tego, była cięższa niż kiedykolwiek od samego zarania. Chodźcie, zaprowadzę was.

SPOTKANIA PRZY OKU

Rand prowadził gniadego za uzdę, podążając w ślad za Zielonym Człowiekiem wraz z towarzyszami z Pola Emonda. Wszyscy toczyli dookoła ogłupiałym wzrokiem, jakby nie potrafili zdecydować, czy wolą patrzeć na Zielonego Człowieka, czy na las. Nie ulegało wątpliwości, że Zielony Człowiek to legenda, historie o nim i o Drzewie Życia opowiadano przy każdym kominku w Dwu Rzekach, i to nie tylko dzieciom. Niemniej jednak, po przeprawie przez Ugór, drzewa i kwiaty mogły się wydać czymś oszałamiająco normalnym, nawet gdyby reszta świata wydostała się już z potrzasku zimy.

Perrin włókł się nieco z tyłu. Gdy Rand obejrzał się w jego stronę, wielki, kudłaty młodzieniec miał taką minę, jakby za nic nie chciał słuchać tego, co miał do powiedzenia Zielony Człowiek. Potrafił to zrozumieć.

„Dziecię Smoka.”

Baczenie obserwował Zielonego Człowieka, idącego na przedzie razem z Moiraine i Lanem. Motyle otaczały go chmurą żółci i czerwieni.

„O co mu chodziło? Nie. Nie chcę tego wiedzieć.”

A jednak czuł, że idzie mu się lżej, że jego nogi uginają się bardziej sprężysto. W trzewiach wciąż czuł niepokój przepalający żołądek, natomiast strach uległ takiemu rozrzedzeniu, że właściwie wcale już nie istniał. Nie sądził, że może się spodziewać czegoś więcej, skoro Ugór był oddalony o zaledwie połowę mili od tego miejsca, nawet jeśli Moiraine miała rację, mówiąc, że żadna część Ugoru nie może się tu wedrzeć. Tysiące płonących punktów przewiercających jego kości zgasło, w tym właśnie momencie wszedł do środka królestwa Zielonego Człowieka, był o tym przekonany.

„To on je ugasił — pomyślał — Zielony Człowiek i to miejsce”.

Egwene to wyczuła, wyczuła to także Nynaeve, ten kojący spokój, spokój piękna. Widział to. Z tajemniczym, uroczystym uśmiechem na wargach rozcierały kwiaty w palcach i co chwila przystawały, by wachać unoszące się w powietrzu wonie i oddychać głęboko.

Zauważywszy to, Zielony Człowiek powiedział:

— Przeznaczeniem kwiatów jest zdobić. Rośliny czy ludzi, prawie nie ma różnicy. Nie pogniewają się, byleby nie brać za wiele.

I zaczął zrywać, jeden kwiat z tej rośliny, drugi z innej, nigdy więcej niż dwa z tej samej. Wkrótce Nynaeve i Egwene miały na włosach wianki z różowych róż, żółtych dzwonków i białych zwiastunów. Warkocz Wiedzącej przypominał różowo-biały ogród sięgający jej do pasa. Nawet Moiraine dostała na skronie jasną girlandę z przyłaszczek, uplecioną tak zręcznie, że kwiaty wyglądały, jakby wciąż rosły.

Rand nie był przekonany, czy przypadkiem naprawdę nie rosły. Pograżony w cichej rozmowie z Moiraine, Zielony Człowiek doglądał po drodze swego leśnego ogrodu, zajmując się wszystkim, co tego wymagało, niewiele jednak o tym myśląc. W krzewie pnącej róży wypatrzył swymi orzechowymi oczyma krzywą gałązkę, boleśnie przygniecioną przez pokryty kwieciami konar jabłoni. Nie przerywając rozmowy, zatrzymał się i przejechał dłonią po wygięciu. Rand nie był pewien, czy to wzrok płata mu figła, czy też ciernie rzeczywiście usunęły się z drogi, by nie ukłuć zielonych palców. Gdy wyniosła sylwetka Zielonego Człowieka ruszyła w dalszą drogę, gałązka wyprostowała się, obrzucając biel kwiecia jabłoni deszczem czerwonych płatków. Pochylił się, by nakryć swą ogromną dłonią mikroskopijne ziarenko leżące na kamieniach, a gdy się wyprostował, maleńki pęd miał już korzenie, które zdołały przebić się przez kamieniste podłoże do dobrej gleby.

— Wszystko powinno rosnąć tam, gdzie jest, zgodnie z Wzorem — wyjaśnił przez ramię, jakby przeproszał — i poddawać się obrotom Koła, ale Stwórca się nie pogniewa, jeśli mu trochę pomogę.

Rand poprowadził Rudego dookoła pędu, pilnując, by koń nie stratował go swymi kopytami. Jakoś nie wypadało niszczyć tego, co właśnie zrobił Zielony Człowiek po to tylko, by zaoszczędzić dodatkowego kroku. Egwene uśmiechnęła się do niego jednym z tych jej sekretnych uśmiechów i dotknęła jego ręki. Z rozpuszczonymi włosami pełnymi kwiatów była tak piękna, że i on się uśmiechnął, a ona z kolei zarumieniła i spuściła wzrok.

„Będę cię chronił — pomyślał. — Cokolwiek jeszcze się stanie, ty będziesz bezpieczna, przysięgam”.

Zielony Człowiek zawiódł ich do samego serca wiosennego lasu, do zwieńczonego łukiem otworu w zboczu wzgórza. Był to prosty, kamienny łuk, wysoki, biały, a na jego czole znajdowało się koło przecięte falistą linią na dwie połowy, jedną chropawą, drugą gładką. Starożytny symbol Aes Sedai. We wnętrzu otworu zalegał cień.

Przez chwilę wszyscy zapatrzili się w milczeniu na otwór. Po chwili Moiraine zdjęła girlandę z włosów i ostrożnie zawiesiła ją na gałęzi krzewu słodkich jagód, rosnącego obok łuku. Wszystkim jakby przywróciło mowę, kiedy się poruszyła.

— Czy to tutaj? — spytała Nynaeve. — Czy to jest cel naszej wyprawy?

— Naprawdę chciałbym zobaczyć Drzewo Życia — powiedział Mat, nie odrywając wzroku od przepołowionego koła. — Chyba możemy tyle poczekać, prawda?

Zielony Człowiek spojrział dziwnie na Randa i pokręcił głową.

— *Awendesory* tu nie ma. Od dwóch tysięcy lat nie spoczywałem pod jej nieczułymi konarami.

— Nie dla Drzewa Życia tu przybyliśmy — oświadczyła stanowczym głosem Moiraine. Wskazała gestem łuk. — Nasz cel jest tam.

— Nie wejdę z wami do środka — powiedział Zielony Człowiek. Motyle wokół niego zawirowały, jakby udzieliło im się trochę niepokoju. — Kazano mi go strzec dawno, dawno temu, ja jednak czuję się nieswój, gdy podchodzę zbyt blisko. Mam wrażenie, że ulegam rozpadowi, mój koniec jest w pewien sposób z nim związany. Pamiętam, jak było tworzone. Część jego tworzenia. Jakiś fragment. — Orzechowe oczy rozszerzyły się, zatopione we wspomnieniach. Zielony Człowiek dotknął palcem swojej blizny. — To były pierwsze dni po Pęknięciu Świata, kiedy radość zwycięstwa nad Czarnym nabrała cierpkiego smaku wraz z wiedzą, że wszystko jeszcze może lec w gruzach pod ciężarem Cienia. Tworzyło je stu ludzi, mężczyzn i kobiet pospołu. Tak zawsze powstawały najwspanialsze dzieła Aes Sedai, dzięki połączeniu *saidina i saidara*, gdy następuje zespolenie Prawdziwego Źródła. Wszyscy pomarli, aby uczynić je czystym, a cały świat wokół nich ulegał rozdarciu. Wiedząc, że umrą, polecili mi go strzec, w razie gdyby zaszła taka potrzeba. Nie do tego wprawdzie zostałem stworzony, jednakże wszystko się rozpadało, a oni byli sami i mieli tylko mnie. Nie do tego zostałem stworzony, ale danego słowa dochowałem. — Spojrział z wysoka na Moiraine, sam sobie przytakując. — Dochowałem słowa dopóty, dopóki tak było trzeba. A teraz nadchodzi koniec.

— Dochowałaś słowa lepiej niż większość z nas, którzy wydaliśmy ci polecenie — powiedziała Aes Sedai. — Może nie będzie tak źle, jak się obawiasz.

Pokiereszowana, liściasta głowa wolno obróciła się, wykonując gest zaprzeczenia.

— Wiem, kiedy nadchodzi koniec, Aes Sedai. Znajdę inne miejsce, gdzie będę mógł sprawiać, by wszystko rosło. — Orzechowe oczy objęły smutnym spojrzeniem zielony las. — Być może jakieś inne miejsce. Gdy wyjdziecie stamtąd, spotkam się z wami raz jeszcze, jeśli starczy czasu.

Z tymi słowami odszedł, ciągnąc za sobą motyle i stał się jednością z lasem, lepiej, niż to potrafił Lan w swoim płaszczu.

— Jeśli starczy czasu — powtórzył Mat. — O co mu chodziło?

— Chodźcie — powiedziała Moiraine.

I przestąpiła próg nakrytego łukiem otworu. Lan szedł tuż za nią.

Rand nie bardzo wiedział, czego się spodziewa, gdy ruszył w ślad za nimi. Czuł, jak z podekscytowania jeżą mu się włosy na karku. Jednak dalej był tylko korytarz o gładkich ścianach zamykających się nad głową takim samym łukiem jak wejście — ciągnął się łagodnie w dół. Dla Loiala miejsca nad głową było w nadmiarze, starczyłoby go nawet dla Zielonego Człowieka. Gładka podłoga była pozornie śliska,

jakby wyłożona natłuszczonymi płytkami, jednakże stopy jakoś znajdowały na niej pewne oparcie. Białe ściany bez żadnych spoin połyskiwały niezliczonymi plamkami niewysłowionych barw, rzucając głębokie, miękkie światło, nawet kiedy za zakrętem zniknęło oświetlone słońcem wejście. Rand był przekonany, że źródło tego światła nie jest naturalne i czuł jednocześnie, że jest mu ono życzliwe.

„To czemu cały czas cierpię ci skóra?”

Szli bez końca w dół.

— To tam — powiedziała w końcu Moiraine, wskazując ręką. — Przed nami.

I korytarz przeszedł w ogromną, nakrytą kopułą przestrzeń. W chropowatej, żywej skale, w której wykute było sklepienie, jarzyły się kryształowe grudki. Całe dno jaskini wypełniał zbiornik o szerokości jakichś pięciu kroków i biegnąca wokół niego ścieżka. Brzeg zbiornika o owalnym kształcie oka otaczał niski, płaski występ z kryształów, które jarzyły się bardziej mętnym, a jednocześnie bardziej dzikim światłem niż kryształy w kopule. Powierzchnia zbiornika była gładka jak szkło i czysta jak wody rzeki Winna Jagoda. Rand miał wrażenie, że mógłby się w nią wpatrywać całą wieczność, dna jednak nie mógł wypatrzeć.

— Oko Świata — powiedziała cicho stojąca obok niego Moiraine.

Kiedy rozejrzał się zdumiony dookoła, zauważył, że długie lata od czasu stworzenia tego miejsca — całe trzy tysiące lat, w trakcie których nikt tutaj nie przychodził — odcisnęły swoje piętno. Nie wszystkie kryształy w kopule jarzyły się z równą mocą. Jedne były silniejsze, inne słabsze, jedne migotały, a inne wyglądały jak zwykłe, oszlifowane grudki, igrające odbitym światłem. Gdyby błyszczały wszystkie, w kopule byłoby tak jasno jak w samo południe, a tymczasem wyglądało to zaledwie na późne popołudnie. Na ścieżce leżała warstwa pyłu, kamiennych odprysków, a nawet kryształów. Długie lata czekania, podczas których Koło obracało się i mełło.

— Ale co to jest? — spytał niespokojnie Mat. — To w ogóle nie wygląda jak woda, przynajmniej nigdy takiej nie widziałem. — Kopnął leżącą na skraju grudkę czarnego kamienia wielkości pięści. — To...

Kamień uderzył o szklistą powierzchnię i wsunął się do zbiornika, nie wywołując najlżejszego szmeru ni najdrobniejszej fali. Tonął i jednocześnie pęczniał, rosnąc i rzednąc coraz bardziej, aż przybrał rozmiar kropli wielkości jego głowy, przez którą Rand był nieomal w stanie widzieć na wylot, a potem niewyraźnej plamy szerokiej na długość jego ramienia. Po chwili zniknął. Rand miał wrażenie, że skóra zaraz zejdzie mu z ciała.

— Co to jest? — spytał podniesionym głosem i był zaszokowany ochrypłą opryskliwością własnego głosu.

— Można to nazwać esencją *saidina*. — Słowa Aes Sedai rozniosły się echem po całym wnętrzu kopuły. — Esencja męskiej połowy Prawdziwego Źródła, czysta esencja

Mocy, którą przed Czasem Szaleństwa władali mężczyźni. Moc służąca do umacniania pieczęci na więzieniu Czarnego, albo ich przełamywania.

— Światłości, oświeć nas i miej w swej opiece — wyszeptała Nynaeve.

Egwene przywarła do Wiedzącej, jakby chciała się ukryć za jej plecami. Nawet Lan poruszył się niespokojnie, mimo iż w jego oczach nie było widać zdziwienia.

Rand uderzył ramieniem o kamień i dopiero wtedy zauważył, że cofnął się pod samą ścianę, najdalej od Oka Świata, jak się tylko dało. Przebiłby się przez ścianę, gdyby mógł. Mat także przywarł do ściany, najbardziej płasko, jak potrafił. Perrin wpatrywał się w zbiornik z wyciągniętym do połowy toporem. W jego oczach płonęło światło, żółte i dzikie.

— Zawsze się zastanawiałem... — odezwał się niepewnym głosem Loial — kiedy o nim czytałem, zawsze się zastanawiałem, czym ono jest. Dlaczego? Dlaczego oni je zrobili? I jak?

— Nikt z żyjących tego nie wie. — Moiraine przestała przypatrywać się zbiornikowi. Obserwowała Randa i jego dwóch przyjaciół, taksując ich wzrokiem. — Ani w jaki sposób ono zostało stworzone, ani nawet po co, prócz tego, że któregoś dnia okaże się potrzebne, i że będzie to największa i najbardziej rozpaczliwa potrzeba, z jaką świat musiał sobie dotąd radzić. Być może nawet największa potrzeba wszystkich czasów.

Niejedna z Tar Valon próbowała znaleźć sposób na wykorzystanie tej Mocy, lecz jest ona równie niedosiężna dla kobiet jak księżyc dla kota. Tylko mężczyzna może z niej czerpać, jednakże minęło blisko trzy tysiące lat, odkąd umarł ostatni mężczyzna Aes Sedai. Tamci widzieli tę potrzebę, bo dyktowała im ją rozpacz. Żeby je stworzyć, pracowali w skazie, jaką Czarny zostawił na *saidinie*, i dążyli, by było czyste, choć wiedzieli, że to ich wszystkich zabije. Aes Sedai, mężczyźni i kobiety pospołu. Zielony Człowiek mówił prawdę. Tak powstawały największe cuda Wieku Legend, dzięki połączeniu *saidina* i *saidara*. Wszystkie kobiety w Tar Valon, wszystkie Aes Sedai we wszystkich dworach i miastach, łącznie z zamieszkującymi krainy położone za Pustkowiec, jeśli policzyć te, które być może wciąż jeszcze żyją za oceanem Aryth, nie potrafiły napełnić Mocą nawet łyżki, odkąd nie mogły już pracować razem z mężczyznami.

Randowi zaskrzypiało w gardle, jak po wielkim krzyku.

— Po co nas tu sprowadziłaś?

— Bo jesteście *ta'veren*. — Wyraz twarzy Aes Sedai był nieodgadniony. Oczy jej błyszczały i wydawały się przyciągać go do siebie. — Bo moc Czarnego tutaj uderzy, a jeśli nikt nie stawi jej czoła i nie odeprze, wówczas Cień okryje świat. Nie ma większej potrzeby niż ta. Wyjdźmy ponownie na słońce, póki jest jeszcze na to czas.

Nie czekając, czy pójdą za nią, ruszyła w górę korytarza razem z Lanem, który szedł być może nieco szybciej niż zwykle. Egwene i Nynaeve podążyły pośpiesznie za nimi.

Rand wycofywał się chyłkiem, nie odrywając się od ściany — nie potrafił się zmusić, by podejść choćby o krok bliżej do zbiornika, nieważne, czym był — aż wreszcie wypelzł na korytarz, przeciskając się obok Mata i Perrina. Ruszyłby biegiem, gdyby to nie oznaczało stratowania Egwene, Nynaeve, Moiraine i Lana. Nawet gdy już był na zewnątrz, wciąż jeszcze cały się trząsał.

— Nie podoba mi się to, Moiraine — powiedziała ze złością Nynaeve, gdy znowu oświetliło ich słońce. — Wierzę, że niebezpieczeństwo jest tak wielkie, jak mówisz, bo inaczej nie byłoby mnie tutaj, ale to jest...

— Nareszcie was znalazłem.

Rand drgnął gwałtownie, jakby poczuł, że wokół jego szyi zaciska się pętla. Te słowa, ten głos... przez chwilę był przekonany, że to Ba'alzamon. Jednakże dwaj mężczyźni, którzy wyszli zza drzew, z twarzami osłoniętymi kapturami, nie mieli na sobie płaszczy koloru wyschłej krwi. Jeden płaszcz był ciemnoszary, drugi nieomal równie ciemnozielony; nawet na otwartym powietrzu wydawało się, że czuć od nich pleśń. Nie byli Pomorami: lekki wiatr mierzwił poły ich okrycia.

— Kim jesteście? — Lan przybrał ostrzegawczą pozę, wsparłszy dłoń na rękojeści miecza. — Jak się tu dostaliście? Jeśli szukacie Zielonego Człowieka...

— To on nas tu przyprowadził.

Dłoń, która wskazała Mata, była tak stara i skurczona, że ledwie przypominała ludzką, brakowało jej paznokci, a skręcone kłykciki wyglądały jak węzły na kawałku powroza. Mat zrobił krok w tył, wytrzeszczając oczy.

— Stara historia, stary przyjaciel, stary wróg. Ale to nie jego szukamy — dokończył człowiek w zielonym płaszczu.

Po drugim nie było zupełnie widać, że w ogóle ma cokolwiek do powiedzenia.

Moiraine wyprostowała się, ukazując cały swój majestat, sięgała wszystkim mężczyznom zaledwie do ramienia, znienacka jednak wydawała się dorównywać swym wzrostem wzgórzom. Jej głos zabrzmiał donośnie jak dzwon, gdy spytała rozkazującym tonem:

— Kim jesteście?

Dłonie zsunęły kaptury, a Rand wytrzeszczył oczy. Starzec był znacznie starszy, by można było zwyczajnie powiedzieć o nim — stary; Cenn Buie wyglądałby przy nim jak dziecko będące okazem zdrowia. Skóra na jego twarzy przypominała popękany pergamin, który wciśnięto mu na głowę i potem jeszcze dodatkowo naciągnięto. Z najdziwniejszych miejsc na jego chropowatej czaszce sterczały wiotkie kępki kruchych włosów. Zamiast uszu miał zwiedłe płatki przypominające kawałki bardzo starej skóry, wyzierające z twarzy zapadłe oczy patrzyły jak wyloty tuneli. Drugi mężczyzna wyglądał jeszcze gorzej. Całą jego głowę okrywała ciasno przylegająca maska z czarnej skóry, z przodu tworząca idealną twarz, oblicze młodego człowieka, na zawsze zastygłe w dzikim, obłąkańczym uśmiechu.

„Co on ukrywa, skoro tamten pokazuje coś takiego?”

W tym momencie ta myśl zastygła w jego głowie, rozsypała na proch i uleciała.

— Nazywają mnie Aginor — powiedział stary. — A on to Balthamel. Nie mówi już swoim językiem. Koło miele nadzwyczaj drobno uwięzionych ponad trzy tysiące lat.

Zapadłe oczy prześlizgnęły się w stronę łuku, Balthamel pochylił się do przodu, oczy w białej masce wbiły się w otwór w białym kamieniu, jakby starzec najbardziej na świecie pragnął wejść.

— Tak długo na zewnątrz — powiedział cicho Aginor. — Tak długo.

— Światłości, ochroń... — zaczął Loial trzęsącym się głosem i umilkł natychmiast, gdy Aginor spojrzał na niego.

— Przekłęci — wychrypiał Mat — są uwięzieni w Shayol Ghul...

— Byli uwięzieni. — Aginor uśmiechnął się, jego poźółkłe zęby miały kształt kłów. — Niektórzy z nas już się wyzwolili. Pieczęcie słabną, Aes Sedai. Tak jak Ishmael, wkraczamy na powrót do świata i wkrótce pojawią się tu pozostali. W niewoli byłem zbyt blisko tego świata, ja i Balthamel, zbyt blisko mielenia Kołem, lecz wkrótce Wielki Władca Ciemności będzie wolny i da nam nowe ciała, a świat raz jeszcze będzie należał do nas. Tym razem nie będziecie mieli żadnego Lewsa Therina Zabójcy Rodu. Żadnego Władcy Poranka, który was uratuje. Już wiemy, kim jest ten, którego szukaliśmy, wszyscy pozostali jesteście nam teraz zbyt tyczni.

Miecz Lana wyskoczył z pochwy tak szybko, że oko Randa nie zdążyło tego uchwycić. Strażnik zawahał się jednak, patrząc to na Moiraine, to na Nynaeve. Gdyby dwie kobiety stały w sporej odległości od siebie. Gdyby stanął pomiędzy jedną z nich a Przekłętymi, odsłoniłby jednocześnie tę drugą. Wahanie trwało tylko jedno uderzenie serca, jednakże dokładnie w tym samym momencie, w którym Strażnik poruszył nogami, Aginor podniósł rękę. Był to gest pogardy, strzepnięcie powykęcanych paków, jakby odganiające muchę. Strażnik poleciał przez powietrze niczym uderzony gigantyczną pięścią. Z głuchym łomotem uderzył w kamienny łuk, zawisł tam na chwilę i zaraz osunął się bezwładnie na ziemię, miecz upadł tuż obok wyciągniętej ręki.

— NIE! — krzyknęła Nynaeve.

— Nie ruszaj się! — rozkazała Moiraine.

Lecz zanim ktokolwiek zdołał wykonać jakiś ruch, nóż Wiedzącej wyslizgnął się z pasa, a ona biegła już w stronę Przekłętych, w wyciągniętej w górę ręce trzymała swe małe ostrze.

— Niech cię Światłość oślepi! — krzyknęła, zamierzając się na pierś Aginora.

Drugi Przekłęty poruszał się jak jadowity wąż. Cios jeszcze spadał, gdy odziana w skórę dłoń Balthamela już pomknęła, by pochwycić napastniczkę za podbródek, palce wpiły się w jeden policzek, a kciuk w drugi, wgniatając krew i tworząc blade pręgi. Całym ciałem Nynaeve, od stóp do głów, targnęły konwulsje, jakby ktoś je biczował.

Bezużyteczny nóż wypadł z omdlałych palców, gdy Balthamel uniósł ją swym uściskiem na wysokość skórzanej maski, która zapatrzyła się we wciąż drżącą twarz Wiedzącej. Palce u stóp drgały kurczowo tuż nad ziemią, z włosów spadł deszcz kwiatów.

— Już prawie zapomniałem a przyjemnościach ciała.

Zwiędłe wargi Aginora przeciął język — dźwięk przypominał tarcie kamienia po niewyprawnej skórze.

— Jednak Balthamel dużo zapamiętał.

Coraz dzikszy wydawał się śmiech skórzanej maski, Rand czuł jeszcze parzące mu uszy łkanie, które już nie wydobywało się z gardła Nynaeve, jakby to była rozpacz wydzierana prosto z jej bijącego jeszcze serca.

Nagle poruszyła się Egwene i Rand zrozumiał, że postanowiła przyjść Nynaeve z pomocą.

— Egwene, nie! — krzyknął, jednak nie zatrzymała się.

Wraz z krzykiem Nynaeve jego dłoń powędrowała do miecza, w tym momencie jednak go puścił i rzucił się na Egwene. Zwalił się na nią z głuchym odgłosem i zanim zdążyła zrobić trzeci krok, pociągnął ją na ziemię. Egwene wylądowała pod nim z głośnym okrzykiem zdziwienia i natychmiast zaczęła się wrywać.

Zauważył, że pozostali też się ruszyli. W dłoniach Perrina wirował topór, w jego oczach pojawił się dziki, złoty poblask.

— Wiedząca! — zawył Mat, ze sztyłem z Shadar Logoth w dłoni.

— Nie! — zawołał Rand. — Nie pokonacie Przeklętych!

Oni jednak przebiegli obok niego, jakby nic nie słyszeli, z oczyma utkwionymi w Nynaeve i potwornych starcach. Aginor spojrzał na nich, bez zainteresowania... i uśmiechnął się.

Rand poczuł gwałtowny pęd powietrza, jakby ktoś trzasnął ogromnym biczem. Mat i Perrin, jeszcze nie zdążyli przebyć połowy drogi, gdy zatrzymali się, jakby wpadli na jakiś mur i odbili się, padając na ziemię.

— Znakomicie — powiedział Aginor. — To jest właściwe dla was miejsce. Może nawet daruję wam życie, tylko najpierw nauczcie się płaszczyć, by móc należycie oddawać nam hołd.

Rand pośpiesznie zerwał się na nogi. Być może nie mógł pokonać Przeklętych w walce — żaden śmiertelnik tego nie potrafił — nie miał jednak zamiaru dopuścić, by choć przez chwilę wierzyli, że on się przed nimi korzy. Próbował pomóc Egwene wstać, lecz ona odepchnęła jego ręce i sama się podniosła, gniewnie otrzepując suknię. Mat i Perrin również się podźwignęli, wiedzeni tą samą zawziętością, mimo że ledwie potrafili ustać.

— Nauczycie się — powiedział Aginor — jeśli chcecie żyć. Teraz, kiedy wreszcie znalazłem to, co mi potrzebne... — jego wzrok powędrował do kamiennego łuku ...mogę poświęcić ten czas, żeby was nauczyć.

— Nie zrobisz tego! — Zielony Człowiek wyszedł dużymi krokami spomiędzy drzew, jego głos brzmiał jak piorun uderzający w prastary dąb: — Nie należysz do tego miejsca!

Aginor poświęcił mu jedno krótkie, wzgardliwe spojrzenie.

— Precz! Twój czas się skończył, oprócz ciebie cały twój rodzaj dawno temu zmienił się w proch. Przeżyj tę resztę życia, jaka ci jeszcze została i ciesz się, że nie zasługujesz na naszą uwagę.

— To jest moje miejsce — powiedział Zielony Człowiek — nie zadacie tu krzywdy żadnej żywej istocie. — Balthamel cisnął na bok ciało Nynaeve, jakby to był zwykły łachman i gdy upadła, rzeczywiście przypominała zmięty łachman, z wytrzeszczonymi oczyma, zupełnie bezwładna, jakby się jej roztopiły wszystkie kości. Odziana w skórę dłoń podniosła się do góry i wtedy Zielony Człowiek ryknął gniewnie, a z oplatających go winorośli wzbil się dym. Wiatr uwięziony w koronach drzew rozniósł echo jego bólu.

Aginor odwrócił się w stronę Randa i pozostałych, tak jakby sprawa z Zielonym Człowiekiem została już załatwiona, lecz jeden długi krok i masywne, ulistnione ręce oplotły się wokół ciała Balthamela, unosząc go z ziemi i z całej siły przyciskając do piersi z gęstych pnączy. Maskę z czarnej skóry zaśmiała się prosto w pociemniałe z gniewu orzechowe oczy. Wijące się jak węże ręce Balthamela wyswobodziły się, obleczone skórą dłonie oblały głowę Zielonego Człowieka, jakby potrafiły ją wykręcić. Tam, gdzie te dłonie dotykały, wytrysnęły płomienie, winorośla więdły, liście opadały. Zielony Człowiek zawył, gdy spomiędzy winorośli tworzących jego ciało wylał się gęsty, czarny dym. Jego donośny krzyk rozlegał się tak bez końca, jakby on sam uchodził ze swego ciała wraz z tym dymem, który kłębił się w jego ustach.

Nagle Balthamel zaczął się szarpać w uścisku Zielonego Człowieka. Dłonie Przekłętego odpychały się teraz, już nie ścisnęły z całej siły. Jedną ręką wykonała szeroki zamach... i czarną skórę przebił maleńki pęd bluszczu. Ramię otoczył pierścieniem grzyb, taki sam, jakie otaczają pnie drzew w głębokich cieniach lasu, wyskoczył znikąd i puchł, ogarniając całą rękę. Balthamel zaczął się miotać i w tym momencie jego czaszkę rozdarł pęd cuchnącego zielska, mech wbił weń swe korzenie, tnąc maleńkimi szczelinami skórzaną maskę, oczy przebiły pokrzywę, trujące grzyby rozpruły usta.

Zielony Człowiek cisnął ciało Przekłętego na ziemię. Balthamel zaczął się skręcać i rzucać, gdy wszystkie rośliny rosnące zazwyczaj w ciemnych miejscach, wszystkie rośliny z zarodnikami, wszystkie rośliny, które lubiły wilgoć, puchły i rosły, rozdzierając ubiór, skórę i tkankę ciała — czy to naprawdę było ciało, widoczne przez krótki moment zielonej furii? — na drobne strzępy i zarosły go całkowicie, że w końcu pozostał po nim tylko niewielki pagórek, nieodróżnialny od innych takich pagórków skrytych w cienistych głębiach zielonego lasu i podobnie jak one nieruchomy.

Z jękiem przypominającym odgłos łamiącego się pod wielkim ciężarem konaru, Zielony Człowiek runął na ziemię. Głowę miał w połowie spaloną na węgiel. Z wnętrza jego ciała, niczym szare pnącza, wciąż wypelzały cienkie strużki dymu. Z ręki posypał się deszcz zetlałych liści, gdy z wyraźnym bólem wyciągnął swą szerniałą dłoń, aby nakryć nią delikatnie żołądz.

Z wnętrza ziemi rozległo się potężne dudnienie, gdy nasiono dębu wyskoczyło spomiędzy jego palców. Głowa Zielonego Człowieka opadła bezwładnie, lecz nasiono zaczęło wyciągać się z wysiłkiem w stronę słońca. Wypuściło korzenie, które z miejsca zgrubiały, zaryły się w ziemię i na powrót spod niej wybiły, znowu zgrubiały i znowu zatopiły. Pień rozszerzał się i wyciągał w górę, kora szarzała, pękała i starzała się. Konary zaczęły się rozpościerać we wszystkie strony i robić coraz cięższe, miały grubość ramienia, potem grubość człowieka i unosiły się, by pogładzić niebo — były gęste od zielonych liści, gęste od żołądzi. Rozrastająca się płatanina masywnych korzeni przewracała skiby ziemi niczym pługi, ogromny pień drżał i dalej się rozrastał, wielki jak gmach. Zapanował spokój. I w miejscu, w którym przedtem leżał Zielony Człowiek, stał teraz pięćsetletni dąb — grobowiec legendy. Na poskręcanych korzeniach leżała Nynaeve, a one, rosnąc, układały się zgodnie z jej kształtem, tworząc wygodne łóżce. Wśród gałęzi dębu wzdychał wiatr; wydawało się, że słyhać, jak szemrze pożegnanie.

Nawet Aginor wyglądał na zaskoczonego. Po chwili jednak uniósł głowę, przepastne oczy zapłonęły nienawiścią.

— Dość! Czas skończyć z tym wszystkim!

— To prawda, Przekłety — powiedziała Moiraine, głosem tak zimnym jak lód pełni zimy. — Już czas.

Aes Sedai podniosła rękę i ziemia pod stopami Aginora zapadła się. Z zapadliny trysnęły z rykiem płomienie, targane z wściekłością przez wiatr, który wyjąc nadlatywał z wszystkich stron, wsysając kłęb liści do ognia, zdającego się twardnieć w postaci czerwonożółtej galarety czystego żaru. W samym środku stał Aginor, otoczony jedynie powietrzem. Przekłety wyglądał na zaskoczonego, ale po chwili uśmiechnął się i zrobił krok do przodu. Był to powolny krok, jakby ogień próbował go przykuć do tego miejsca, jednak udało mu się go zrobić, a zaraz potem następny.

— Uciekajcie! — rozkazała Moiraine. Twarz jej pobladła z wysiłku. — Wszyscy uciekajcie!

Aginor szedł przez powietrze, w stronę skraju ognia. Rand zauważył, że pozostali ruszyli do ucieczki — Mat i Perrin wymykali się z pola jego widzenia, dostrzegł długie nogi Loiala podążającego między drzewa, ale tak naprawdę widział tylko Egwene. Stała zeszytywniała, z pobladłą twarzą i zamkniętymi oczami. Zrozumiał, że to nie strach ją unieruchomił. Próbowwała atakować Przekłętą swą mizerną, niewyszkoloną władzą nad Mocą.

Schwycił ją brutalnie za ręką i zmusił, by stanęła przed nim twarzą w twarz.

— Uciekaj! — krzyknął.

Otworzyła oczy, wbijając w niego wzrok, zła, że przeszkodził, wrząca nienawiścią do Aginora, sparaliżowana strachem przed Przekętym.

— Uciekaj — powtórzył, pchając ją w stronę drzew z siłą, która musiała ją poruszyć.
— Biegnij!

Poruszona, rzeczywiście pobiegła.

Zwiędła twarz Aginora obróciła się w jego stronę, w stronę biegnącej za jego plecami Egwene. Przekęty szedł przez ogień, jakby to, co robiła Aes Sedai, zupełnie go nie dotyczyło. W stronę Egwene.

— Zostaw ją! — krzyknął Rand. — Niech cię Światłość spali, zastaw ją!

Schwycił jakiś kamień i rzucił nim, mając zamiar przyciągnąć uwagę Aginora. W połowie drogi do twarzy Przekętego kamień zmienił się w garstkę prochu.

Rand wahał się jedynie przez chwilę, tylko tyle, by obejrzeć się przez ramię i zobaczyć, że Egwene skryła się wśród drzew. Płomienie nadal otaczały Aginora, szmaty jego płaszcza tliły się, lecz szedł, jakby miał dla siebie cały ten czas, jaki istnieje na świecie, coraz bliższy skrajowi ognia. Rand odwrócił się i zaczął biec. Z tyłu dobiegł go przeraźliwy krzyk Moiraine.

PRZECIWKO CIENIOWI

W kierunku, w którym Rand pobiegł, teren piał się pod górę, lecz strach użyczył siły jego nogom, które pochłaniały teraz drogę długimi krokami, torując sobie drogę wśród kwitnących krzewów i gąszczu dzikich róż, otrzepując z nich płatki. Nie zwracał uwagi na ciernie rozdzierające ubranie, a nawet ciało. Moiraine przestała krzyczeć. Wydawało się, że jej krzyki trwały całą wieczność, każdy kolejny rozdzierał gardło jeszcze silniej niż poprzedni, Rand wiedział jednak, że w sumie wszystko dzieje się od paru chwil. Jeszcze tylko następnych parę chwil i Aginor ruszy jego śladem. Wiedział, że to jego będzie ścigał. Wyczytał to z zapadniętych oczu Przekłętego, w ostatnim ułamku sekundy, zanim śmiertelny strach jak bicz podciął jego nogi do ucieczki.

Teren robił się coraz bardziej stromy, on jednak wspinał się dalej mozolnie, podciągał się w górę, chwytając kurczowo poszycia; kamienie, ziemia i liście umykały w dół zbocza spod jego stóp, aż w końcu zmuszony był pełznąć na rękach i kolanach, gdy nachylenie stoku stało się zbyt ostre. Nieco wyżej robiło się bardziej wyrównane. Dysząc ciężko, pokonał z wysiłkiem kilka ostatnich piędzi, wstał na nogi i stanął jak wryty, mając ochotę głośno zawyć.

Dziesięć kroków przed nim wzgórze kończyło się stromym urwiskiem. Wiedział, co zobaczy, zanim tam dojdzie, ale i tak wykonał tych kilka kroków, każdy cięższy od poprzedniego, w nadziei, że znajdzie jakąś ścieżkę, szlak kóz, cokolwiek. Na skraju spojrział w dół liczącego jakieś sto stóp urwiska, na kamienną ścianę, tak gładką jak polerowane drewno.

„Musi być jakaś droga. Wróć i znajdę jakąś okrężną drogę. Wróć i...”

Odwrócił się, a Aginor już tam był, właśnie dochodził do szczytu wzgórza. Przekłety wspinał się bez najmniejszego trudu, wszedł po stromym zboczu, jakby był to płaski teren. Oczy osadzone głęboko w skurczonej, pergaminowej twarzy rozjarzyły się na widok chłopca. Z jakiegoś niewytłumaczonego powodu ta twarz wydawała się mniej zwiędła niż dotąd, nabrała więcej ciała, jakby Aginor właśnie się porządnie najadł. Oczy wciąż wlepione były w niego, lecz gdy Przekłety przemówił, zdawało się, że kieruje swe słowa do samego siebie:

— Tego, kto sprowadzi ciebie do Shayol Ghul, Ba'alzamon obsypie takimi nagrodami, o jakich śmiertelni nie mogą nawet marzyć. Ja zawsze marzyłem o tym, co wykraczało poza przedmioty marzeń innych ludzi, a swą śmiertelność opuściłem przed wieloma tysiącami. Jaka to różnica, czy będziesz służył Wielkiemu Władcy Ciemności jako żywy czy umarły? Żadna, wobec ogromu przestrzeni zagarniętej przez Cień. Czemuż miałbym dzielić władzę razem z tobą? Czemuż miałbym uginać przed tobą kolana? Ja, który stawiałem czoło Lewsowi Therinowi Telamonowi w Komnacie Sług. Ja, który rzuciłem swą moc przeciwko Panu Poranka i walczyłem z nim, cios za cios. Nie widzę powodu.

Randowi zaschło w ustach, miał wrażenie, że jego język jest tak samo skurczony jak Aginor. Spod stóp stojących na skraju urwiska rozleżał się chrząst, wypadały drobne kamyczki. Nie odważył się obejrzeć, słyszał jednak, jak odbijają się od stromej ściany, to samo stałoby się z jego ciałem, gdyby poruszył się jeszcze o cal. Nagle zdał sobie sprawę, że cofa się przed Przeklętym. Skóra mu cierpła na samą myśl, że zobaczyłby go powykręcane, gdyby tam tylko spojrzął, gdyby nie odrywał wzroku od Przekłętego.

„Musi istnieć jakiś sposób, żeby przed nim uciec. Jakaś droga ucieczki! Musi istnieć! Jakaś droga!”

Nagle poczuł coś, dostrzegł to, choć wiedział, że przy pomocy oczu zobaczyć tego nie można. Od ciała Aginora biegła rozjarzona linia, wychodząca z jego pleców, biała niczym słoneczny blask widziany przez najczystszy z chmur, grubsza niż ramię kowala, lżejsza od powietrza. Łączyła Przekłętego z czymś dalekim, z czymś poza zasięgiem poznania, z czymś, co Rand miał w zasięgu ręki. Linia pulsowała miarowo i wraz z każdym jej drgnięciem Aginor robił się coraz silniejszy, nabierał coraz więcej ciała, stawał się człowiekiem równie wysokim i silnym jak Rand, człowiekiem twardszym od Strażnika, bardziej morderczym niż Ugór. A jednak stojąc obok tej błyszczącej wstęgi, Przekłęty zdawał się w ogóle nie istnieć. Ona była wszystkim. Szumiała. Śpiewała. Wzywała duszę Randa. Jęknął głośno, gdy jedno z jaskrawych, grubych jak palec pasm uniosło się, popłynęło i dotknęło go. Wypełniła go Światłość i żar, który winien był przepalać na wskroś, ale tylko rozgrzewał, jakby wypędzając z jego kości cały chłód grobu. Pasma pogrubiało.

„Trzeba uciekać!”

— Nie! — krzyknął Aginor. — Nie będziesz jej miał! Jest moja!

Rand ani drgnął, Przekłęty również się nie poruszył, a jednak toczyli z sobą walkę, jakby wczepieni w barki tarzali się w pyłe. Na twarzy Aginora, już nie zwiędłej, już nie starej, twarzy należącej do człowieka w kwiecie wieku rozblęły paciorki potu. Ciało Randa pulsowało od drgań przebiegających przez wstęgę, przypominających bicie serca świata. Przepelniających całą jego istotę. Cały umysł wypełniła Światłość, zostawiając dla niego samego tylko jeden maleńki zakamarek. Otulił to miejsce pustką, ukrył w próżni.

„Precz!”

— Moja! — krzyczał Aginor. — Moja!

W ciele Randa rosło ciepło, ciepło słońca, promieniowanie słońca, wybuchanie, potworne promieniowanie światła, Światłości.

„Precz!”

I Rand nie stał już na wzgórzu. Drżał od zalewającej go Światłości. Umysł nie chciał pracować, oślepiony światłem i żarem. Światłością. W samym środku próżni Światłość oślepiła jego umysł, ogłuszyła go grozą.

Stał na szerokiej górskiej przełęczy, otoczony poszarpanymi czarnymi szczytami przypominającymi zęby Czarnego. To działo się naprawdę, był tu. Czuł kamienie pod podeszwami butów, powiew lodowatego wiatru na twarzy.

Otoczała go trwająca właśnie bitwa, być może tylko jakaś niewielka potyczka z tyłu, za głównym frontem. Odziani w zbroje ludzie na okrytych zbrojami koniach — kurz pokrywał połyskliwą stal — siekli i zakłuwali warczące trolloki wymachujące szpiczastymi toporami i sierpowatymi mieczami. Pod niektórymi padły konie i walczyli teraz pieszo, wśród walczących galopowały rumaki z pustymi siodłami. Wszędzie widać było Pomory, w czarnych jak noc, nieruchomych — mimo galopowania ich czarnych wierzchowców — kapturach, i wszędzie tam, gdzie powietrze przecinał świst ich pożerających światło mieczy, ginęli ludzie. Dźwięk dotarł do Randa, dotarł do niego i odbił się od tej obcości, która ścisnęła go za gardło. Szczęk stali uderzającej o stal, dyszenie i posapywanie walczących z sobą ludzi i trolloków, krzyki umierających. Ponad całym tym zgiełkiem, w wypełnionym kurzem powietrzu powiewały sztandary. Czarny Jastrząb Fal Dara, Biały Jeleń Shienaru i inne. Również sztandary trolloków. W otaczającej go niewielkiej przecież przestrzeni wypatrzył rogatą czaszkę Dha'vol, czerwony jak krew trójząb Ko'bal, żelazną pięść Dhai'mon.

Niemniej jednak był to rzeczywiście skraj bitwy, miejsce wytchnienia jednakowo dla ludzi i trolloków, którzy chcieli się przeseregować. Nikt z nich nie zdawał się zauważać Randa, kiedy zadawali ostatnie kilka ciosów i wycofywali się, galopując albo biegnąc chwiejnie do samego krańca przełęczy.

Rand zorientował się, że stoi przodem do krańca przełęczy, gdzie ludzie na nowo formowali swe szeregi; pod połyskującymi czubkami lanc powiewały proporce. W siodłach ślaniali się ranni. Wierzały i galopowały pozbawione jeźdźców konie. Ludzie nie byli już w stanie stawić czoła następnemu starciu, a mimo to najwyraźniej szykowali się do ostatniej szarży. Niektórzy już go teraz widzieli, jeźdźcy stawali w strzemiączkach, żeby go sobie pokazać. Ich okrzyki dobiegały go niczym słabe dźwięki fujarek.

Odwrócił się, czując, jak uginają się pod nim nogi. Przeciwny kraniec przełęczy wypełniała armia Czarnego, szczecina czarnych pik i włóczni pieniała się coraz wyżej na

górkich zboczach, czarniejszych niż zwykle ogromną masą trolloków, przytłaczającą wojska Shienaru. Na czele hordy jechały setki Pomorów, na ich widok zdziżałe pyski trolloków odwracały się ze strachem, ogromne cielska przewalały się w tył, ustępując im drogi. W górze krążyły draghkary, łopocząc skórzastymi skrzydłami, rzucały skrzekliwie wyzwania wiatrom. Pólludzie też już go zauważyli, wskazali w jego stronę, draghkary zrobiły obrót i pofrunęły w dół. Dwa. Trzy. Sześć. Mknęły ku niemu, wrzeszcząc przenikliwie.

Patrzył na nie oniemiały. Wypełniał go żar, płonący żar poruszonego słońca. Widział draghkary wyraźnie, ich bezduszne oczy osadzone w białych, ludzkich twarzach nad skrzydlatymi ciałami, oczy, które nie miały w sobie nic ludzkiego. Straszliwy żar. Skwierczący żar.

Z jasnego nieba wytrysnęła błyskawica, biły pioruny, trzaskające i przeraźliwie głośne, przepalając na wskroś jego oczy, uderzając w czarne, skrzydlate sylwetki. Odgłosy pogoni stały się odgłosami umierania, zwęglone kształty spadły na ziemię, niebo było na powrót czyste.

Żar. Straszliwy żar Światłości.

Padł na kolana, wydawało mu się, że słyszy, jak łyzy skwierczą mu na policzkach.

— Nie!

Chwytał kurczowo kępy poskręcanej trawy, szukając oparcia w czymś rzeczywistym. Trawa buchnęła płomieniami.

— Błagam, nieeeeeee!

Wraz z jego głosem wzbil się wiatr, wył przez jego głos, wraz z jego głosem spadał z rykiem w dół przełęcz, chłuszcząc płomień, które stworzyły mur ognia. Mur umknął przed nim w stronę hordy trolloków, szybszy od cwałującego konia. Ogień wżarł się w trolloki, a góry zadrżały od ich wrzasków, wrzasków nieomal tak głośnych jak ten wiatr i jego głos.

— To się musi skończyć!

Uderzył pięścią i ziemia zadudniła jak gong. Rozharatał dłonie o kamienistą glebę i ziemia zadrżała. Otaczający go teren marszczył się coraz to wyższymi falami, falami pyłu i kamieni, wzbijającymi się wysoko ponad trolloki i Pomory, załamując się nad nimi, jednocześnie pod ich kopytami rozpadły się góry. Armia trolloków tonęła we wrzącej kipieli ciał i rumoszu. Stwory, które jeszcze trzymały się na nogach, nadal tworzyły potężną hordę, liczebnie jednak zaledwie dwukrotnie przekraczała ona ludzką armię i teraz kłębiła się w strachu i zamieszaniu.

Wiatr ucichł. Ucichły wrzaski. Ziemia znieruchomiała. Ogarnęły go tumany pyłu i dymu, które wzbily się w górę z przepaści pod przełęczą.

— Niech cię Światłość oślepi, Ba'alzamonie! To się musi skończyć!

TO NIE TUTAJ.

Ta myśl, od której Randowi zawibrowało w czaszce, nie zrodziła się w jego umyśle.
NIE WEZMĘ W TYM UDZIAŁU. TYLKO WYBRANIEC MOŻE ZROBIĆ TO, CO
ZROBIĆ TRZEBA, O ILE TAKA JEST JEGO WOLA.

— Gdzie?

Nie chciał tego wypowiedzieć, ale nie potrafił się powstrzymać.

— Gdzie?

Otoczająca go mgła rozdzieliła się, pozostawiając kopułę czystego, przezroczystego powietrza wysokości dziesięciu piędzi, otoczoną murami kłębow dymu i pyłu. Przed nim wznosiły się schody, każdy stopień oddzielony od innych — niczym nie wsparte ciągnęły się w górę, w mrok, który zaciemniał słońce.

NIE TUTAJ.

Przez tę mgłę, jakby z drugiego krańca ziemi, niósł się krzyk:

— Taka jest wola Światłości!

Ziemia zadudniła łoskotem kopyt, gdy siły ludzkości przypuściły ostatni atak.

Przez chwilę jego otulonym w pustkę umysłem owładnęła panika. Atakujący jeźdźcy nie widzieli go w tumanach kurzu, ich szarża miała go zaraz stratować. Większa jego część ignorowała trzęsienie ziemi jako błąhostkę, którą nie należało się w ogóle przejmować. Tępy gniew pociągnął jego stopy, pokonał pierwsze stopnie.

„Trzeba z tym wreszcie skończyć!”

Otoczyła go ciemność, idealna czerń totalnej nicości. Stopnie wciąż tam były, wisiały w czerni, pod jego stopami i przed nim. Kiedy się obejrzał, ludzie zniknęli, rozplynęli się bez śladu, wtapiając w otaczającą go nicość. Struna natomiast pozostała, ciągnęła się za nim, rozjarzona linia, malejąca i ginąca w oddali. Nie była tak gruba jak przedtem, nadal jednak pulsowała, pompowała w niego siłę. Pompowała życie, wypełniała go Światłością. Dalej wspinał się w górę.

Miał wrażenie, że wędruje tak całą wieczność. Całą wieczność i kilka minut. Czas znieruchomiał w nicości. Czas biegł szybciej. Wspinał się jeszcze wyżej, dopóki nagle nie stanął przed jakimiś drzwiami o szorstkiej, spękanej i starej powierzchni, przed drzwiami, które znakomicie pamiętał. Dotknął ich i wtedy rozpadły się na kawałki. Kawałki jeszcze opadały w dół, gdy przestępował przez próg, z jego ramion sypały się szczątki drewna.

Komnata też była taka sama, jak ją zapamiętał, szalone, prążkowane niebo widoczne z balkonu, stopniałe ściany, wypolerowany stół, potworny kominek z ryczącym, nie dającym ciepła ogniem. Niektóre z twarzy, stanowiących budulec kominka, wykrzywione udręką i niemo wrzeszczące, szarpały pamięć, jakby je znał, nie porzucił jednak pustki, dryfował wśród swego wnętrza otoczony próżnią. Był sam: Kiedy spojrzął w lustro wiszące na ścianie, odbicie jego twarzy było tak wyraźne, jakby to był on sam.

„W pustce jest spokój.”

— Tak — powiedział Ba'alzamon stojący przed kominkiem. — Przypuszczałem, że Aginor ulegnie chciwości. Ostatecznie jednak to nie ma żadnego znaczenia. Długo trwało szukanie, ale już po wszystkim. Jesteś tutaj i wiem, kim jesteś.

Pustka unosiła się w samym środku Światłości, a w samym środku tej pustki unosił się Rand. Dotknął gleby swego domu i poczuł twardy kamień, jałowy i suchy, bezlitosny kamień, na którym przetrwać mogli tylko silni, twardzi jak góry.

— Mam dość uciekania. — Sam nie wierzył, że jego głos może być tak spokojny. — Zmęczyło mnie, że wiecznie zagrażasz moim przyjaciołom. Już więcej nie będę uciekał.

Zauważył, że Ba'alzamon też ma swoją wstęgę. Czarną, grubszą od jego wstęgi, tak szeroką, że przy niej ludzkie ciało wydawałoby się zupełnie nikłe, a jednak ona sama niknęła jakby przy Ba'alzamonie. Każdy puls przebiegający po tej czarnej żyłce pochłaniał światło.

— Myślisz, że ma jakiś wpływ to, czy uciekasz, czy zostajesz? — Płomienie w ustach Ba'alzamona roześmiały się. Twarze w palenisku załkały na widok wesołości swego pana. — Wiele razy przede mną uciekałeś i za każdym razem ja cię doganiałem i sprawiałem, że karmiłeś się swoją dumą, przyprawiając ją rzewnymi łzami. Wiele razy podnosiłeś się i walczyłeś, potem pełzałeś pokonany, błagając o litość. Masz wybór, robaku: klęknieisz u moich stóp i będziesz służył mi jak należy, a ja dam ci władzę nad tronami, albo staniesz się kukłą Tar Valon, krzyczącą przeraźliwie, gdy ja będę ją wcierał w pył czasu.

Rand poruszył się, by zerknąć w stronę drzwi, jakby szukał drogi ucieczki. Niech Czarny tak sobie myśli. Za drzwiami wciąż było widać czerń nicości, rozszczepioną przez świecącą nić, która biegła od jego ciała. I biegła też przez nią grubsza wstęga Ba'alzamona, tak czarna, że wyróżniała się na tym ciemnym tle niczym śnieg. Obydwie wstęgi odbijały się od siebie, pulsując niczym dwie aorty, światło ledwie opierało się falom ciemności.

— Istnieją jeszcze inne możliwości wyboru — powiedział Rand. — To Koło tka Wzór, nie ty. Uciekłem z każdej pułapki, którą na mnie zastawiłeś. Uciekłem Pomorom i trollokom, uciekłem twoim Sprzymierzeńcom. Przyszedłem aż tutaj po twoich śladach i po drodze zniszczyłem twoją armię. Ty nie tkasz Wzoru.

Oczy Ba'alzamona buzowały jak dwa paleniska. Nie poruszył ustami, jednak Randowi wydało się, że słyszy, jak przeklina Aginora. Po chwili ognie zgasły, a zwyczajna ludzka twarz uśmiechała się do niego, mimo ciepła Światłości napełniając chłodem.

— Można zebrać inne armie, głupcze. Jeszcze nadejdą armie, o jakich ci się nigdy nie śniło. Ty szedłeś po moich śladach? Ty ślimaku spod skały, ty szedłeś po moich śladach? To ja wytyczałem twoją drogę od dnia, w którym się urodziłeś, drogę, która miała cię zawieść albo do grobu, albo do tego miejsca. Pozwoliłem uciec i przeżyć jednej z Aiel, by wygłosiła słowa, które miały rozbrzmiewać echem przez całe lata. Jain Długi Krok,

bohater — wypowiedział to słowo z szyderczym grymasem — z którego zrobiłem głupca i odesłałem do Ogirów, myślał, że się ode mnie uwolnił. Czarne Ajah rozpełzły się niczym robactwo po całym świecie w poszukiwaniu ciebie. Ja pociągam za sznurki, a zasiadająca na Tronie Amyrlin tańczy i myśli, że to ona kontroluje wydarzenia.

Pustka zadrżała, Rand pośpiesznie ją umocnił.

„On wszystko wie. Mógł to zrobić. Mogło być tak, jak on mówi.”

Światłość ogrzała pustkę. Rozległ się donośny krzyk zwątpienia i ucichł, pozostawiając po sobie tylko małe ziarnko. Walczył, nie wiedząc, czy chce na zawsze pogrzebać to ziarno, czy też dać mu rosnąć. Próżnia umocniła się, mniejsza niż dotychczas, unosił go spokój.

Ba'alzamon wydawał się niczego nie zauważać.

— Dla mnie to nieważne, czy jesteś żywy czy martwy, jest to ważne tylko dla ciebie i dla tej władzy, którą mógłbyś posiadać. Albo ty będziesz mi służył, albo twoja dusza. Wolałbym jednak, abyś klęczał przede mną jako żywy, a nie martwy. Wysłałem do twej wioski tylko jeden taran, mimo że mogłem posłać ich tysiąc. Tylko jednego Sprzymierzeńca Ciemności, mimo że cała ich setka mogła napaść na ciebie podczas snu. A ty, głupcze, nic o nich nawet nie wiesz, o tych, którzy cię wyprzedzają, o tych, którzy są za tobą, ani o tych, którzy są u twego boku. Jesteś mój, zawsze byłeś mój, jak pies uwiązany na smyczy i ja cię tu sprowadziłem, byś klęknął przed swym panem, albo umarł, by klęczała wówczas twoja dusza.

— Zaprzeczam ci. Nie masz nade mną władzy i nie będę przed tobą klęczał, ani żywy, ani martwy.

— Spójrz — powiedział Ba'alzamon. — Spójrz.

Rand mimo woli odwrócił głowę.

Stały tam Egwene i Nynaeve, blade i przestraszone, z kwiatami we włosach. I jeszcze jedna kobieta, nieco starsza od Wiedzącej, ciemnooka i piękna, ubrana w suknię z Dwu Rzek, z jasnymi kwiatami wyhaftowanymi wokół szyi.

— Matka? — wydyszał, a ona uśmiechnęła się bezsilnym uśmiechem. — Nie! Moja matka nie żyje, a te dwie są bezpieczne w innym miejscu. Zaprzeczam ci!

Postacie Egwene i Nynaeve zamazały się, rozplynęły we mgle, rozproszyły. Kari al'Thor wciąż tam stała, z oczami wielkimi od strachu.

— Przynajmniej ona — powiedział Ba'alzamon — należy do mnie i zrobię z nią, co zechcę.

Rand potrząsnął głową.

— Zaprzeczam ci. — Wydyszał te słowa z najwyższym trudem. — Ona nie żyje i Światłość ją chroni przed tobą.

Wargi jego matki zadrżały. Łzy spływające po jej policzkach paliły go niczym kwas.

— Władca Grobu jest silniejszy niż kiedyś, mój synu — powiedziała. — Jego ręce sięgają dalej. Nieostrożne dusze lepią się do słodczy języka Ojca Kłamstw. Mój synu. Mój jedyny, ukochany synu. Oszczędziłabym ci tego, gdybym mogła, ale on jest teraz moim panem, prawem mojego istnienia, zdanego na jego kaprys. Muszę mu być posłuszna i korzyć się przed nim, prosząc o łaskę. Tylko ty możesz mnie uwolnić. Błagam, mój synu. Proszę, pomóż mi. Pomóż mi. Pomóż mi! BŁAGAM!

Z jej ust wydarło się łkanie, kiedy otoczyły ją zamkniętym kręgiem Pomory z obnażonymi twarzami, bladymi i pozbawionymi oczu. Porwały na niej ubranie swymi bezkrwistymi dłońmi, dłońmi trzymającymi szczypce, zaciski i inne narzędzia, którymi kłuły, przypalały i chłostały jej nagie ciało. Przeraźliwym krzykiem nie było końca.

Jej krzyk odbił się echem i powrócił jako krzyk Randa. Pustka wypełniająca jego umysł zawrzała. W dłoni zabłysnął miecz. Nie ostrze ze znakiem czapli, lecz ostrze ze światła, ostrze Światłości. Już gdy je podnosił, z czubka wystrzeliła pałaca biała błyskawica, jakby samo ostrze uległo wydłużeniu. Dotknęło najbliższego Pomora i komnatę wypełnił oślepiający biały nalot, przeświecający Półudni na wylot, niczym świeca papier paląc ich, odbierając im wzrok.

Ze środka tej jasności usłyszał szept:

— Dzięki ci, mój synu. Światłość. Błogosławiona Światłość.

Blask ściemniał i został sam w jednej komnacie z Ba'alzamonem. Oczy Ba'alzamona zapłonęły jak piekielne czeluście, umknął jednak przed mieczem, jakby to naprawdę była sama Światłość.

— Głupcze! Zniszczysz samego siebie! Jeszcze nie potrafisz nią władać, jeszcze nie teraz! Muszę cię najpierw nauczyć!

— To koniec — powiedział Rand i zamachnął się mieczem na czarną wstęgę Ba'alzamona.

Kiedy ostrze opadło, Ba'alzamon wrzasnął przeraźliwie, od jego krzyku kamienne ściany zaczęły drżeć, a gdy ostrze Światłości przecięło wstęgę, nie kończące się wycie podwoiło swą moc. Odcięte końce odskoczyły od siebie gwałtownie, jakby coś je przedtem napinało. Część wyrastająca z nicości zaczęła się kurczyć, druga uderzyła w ciało Ba'alzamona, ciskając nim o kominek. W tle bezgłośnych wrzasków torturowanych twarzy rozległ się cichy śmiech. Ściany zadrżały i pokryły się siatką pęknięć, podłoga zafalowała, z sufitu posypał się grad kamiennych odłamków.

Kiedy wszystko wokół niego się rozpadło, Rand wskazał mieczem serce Ba'alzamona.

— To koniec!

Z ostrza wytrysnęło światło, skrzące deszczem płonących iskier niczym krople roztopionego, białego metalu. Donośnie wyjąc, Ba'alzamon podniósł gwałtownie ręce, na próżno starając się osłonić. Płomienie w jego oczach wrzasnęły i połączyły

się z innymi płomieniami, które ogarnęły kamień, kamień pękających ścian, kamień zapadającej się posadzki, kamień spadający ze sklepienia. Rand poczuł, że przyczepione do niego jasne pasmo rzednie, pozostawiając po sobie samą lunę, naprężał się jednak z coraz większą siłą, nie wiedząc, ani co robi, ani jak to robi, rozumiał tylko tyle, że trzeba z tym wreszcie skończyć.

„Trzeba z tym wreszcie skończyć!”

Ogień wypełnił komnatę skrzepłym płomieniem. Rand widział, jak Ba'alzamon wiednie niczym liść, słyszał jego wycie, czuł, jak wrzask ociera się ze zgrzytem o kości. Płomień zbladł do czystego, białego światła, jaśniejszego od słońca. Po chwili zniknął ostatni błysk pasma i wtedy zaczął spadać pośród bezkresnej czerni i cichnącego wycia Ba'alzamona.

Coś uderzyło go z ogromną siłą, zamieniając ciało w galaretę, galareta zatrzęsała się i wrzasnęła z ognia płonącego we wnętrzu, płonącego chłodnym zimnem, bez końca.

NIE ISTNIEJE ANI POCZĄTEK, ANI ZAKOŃCZENIE

Najpierw poczuł słońce, które wędrowało po bezchmurnym niebie, wypełniając jego znieruchomiałe oczy. Wydawało się, że wędruje jakby zrywami — to całymi dniami stało w bezruchu, to mknęło przed siebie w postaci świetlnej smugi, rzucając się w stronę odległego horyzontu, pociągając za sobą dzień.

„To powinno coś znaczyć.”

Myślenie było czymś nowym.

„Ja potrafię myśleć. To ja oznacza mnie.”

Potem pojawił się ból, wspomnienie wścieklej gorączki, sińce od dygotania, które ciskało nim niczym szmacianą lalką. I smród. Tłusty smród spalenizny, wypełniający jego nozdrza i głowę.

Podźwignął się przy pomocy obolałych mięśni, oparł na dłoniach i kolanach. Nic nie rozumiejąc zapatrzył się na tłuste popioły, w których dotychczas leżał, w popioły rozsiane i rozsmarowane na kamieniach szczytu wzgórza. Węgłe przemieszane były ze skrawkami ciemnozielonej materii, poczerniałymi na brzegach skrawkami, których nie pochłonął ogień.

„Aginor.”

Czuł, jak kłębi się i skręca jego żołądek. Próbując zetrzeć z siebie czarne smugi popiołu, wypełził spod szczątek Przekłętego. Dłonie słabymi ruchami oklepywały ciało, nie bardzo dając rady dotrzeć do głowy. Spróbował użyć obu rąk i upadł na twarz. Pod nim majaczyło strome urwisko, gładka kamienna ściana zawirowała mu w oczach, głębia wciągała. Poczuł zawrót głowy i zwymiotował przewieszony ponad krawędzią zbocza.

Trzęsąc się pełzył do tyłu na brzuchu, dopóki lita skała nie pojawiła się przed jego oczyma, potem przekreślił się na plecy, ciężko dysząc. Z wysiłkiem wyciągnął miecz z pochwy. Po czerwonej tkaninie został tylko popiół. Ręce mu się trzęsły, kiedy miecz przystawił sobie do twarzy, musiał to zrobić obiema rękami. To było ostrze ze znakiem czapli.

„Znak czapli? Tak. Tam. Mój ojciec.”

Ale było to zwykłe stalowe ostrze. Dopiero po trzeciej próbie udało mu się wreszcie schować je z powrotem do pochwy.

„To było coś innego. Albo był jakiś inny miecz.”

— Nazywam się — powiedział po chwili — Rand al'Thor.

Jęknął głośno, gdy kolejne wspomnienia wbiły mu się w mózg niczym ołowiane kule.

— Czarny — szepnął do siebie. — Czarny nie żyje. — Nie trzeba już było uważać. — Shai'tan nie żyje.

Świat wydawał się drżeć. Rand trząśnięty w niemym uniesieniu, dopóki z jego oczu nie polały się łzy.

— Shai'tan nie żyje! — Zaśmiał się w stronę nieba. Inne wspomnienia. — Egwene! To imię oznaczało coś ważnego.

Obolały wstał na nogi, chwiejąc się jak wierzba na silnym wietrze i przeszedł chwiejnie obok popiołów Aginora, nie patrząc w ich kierunku.

„To już nieważne.”

Bardziej staczał się, niżli schodził z tej pierwszej, stromej części zbocza, koziółkując i zsuwając się od krzaka do krzaka. Zanim dotarł na płaski teren, posiniaczone miejsca bolały go dwukrotnie mocniej, jednak jakoś znalazł w sobie siłę, by stać.

„Egwene.”

Biegł na płaczących się nogach. Brnął przez poszycie w deszczu liści i kwiatnych płatków.

„Muszę ją znaleźć. Kim ona jest?”

Jego ręce i nogi, zamiast poruszać się tak, jak chciał, zdawały się rozwiewać niczym długie źdźbła trawy. Dobiegł chwiejnymi krokami do jakiegoś drzewa, padł na jego pień z taką siłą, że aż jęknął. Liście posypały się na jego głowę, gdy przycisnął twarz do chropowatej kory, starając się nie upaść.

„Egwene.”

Odepchnął się od drzewa i pobiegł dalej. Prawie natychmiast znowu się zachwiał i omal nie upadł. Zmusił jednak swe nogi do szybszego biegu, rozpędził się tak, że teraz zataczał się z właściwym rytmem, cały czas o krok od upadku na twarz. Nogi rozruszały się i były już bardziej posłuszne. Powoli biegł bardziej wyprostowany, ramiona pracowały, długie nogi pokonywały susami zbocze. Wylądował na polanie, w połowie wypełnionej teraz przez wielki dąb wyznaczający grób Zielonego Człowieka. Stał tam biały, kamienny łuk ze starożytnym symbolem Aes Sedai, poczerńiała jama oznaczała miejsce, w którym ogień i wiatr bezskutecznie usiłowały uwięzić Aginora.

— Egwene! Egwene, gdzie jesteś?!

Jakaś piękna dziewczyna klęcząca pod rozłożystymi konarami spojrzała na niego wielkimi oczyma. We włosach miała kwiaty i brązowe liście dębu. Była szczupła, młoda i przestraszona.

„Tak, to właśnie ona. No przecież.”

— Egwene, dzięki Światłości, nic ci się nie stało. Były z nią jeszcze dwie kobiety, jedna z zalęknionymi oczami i długim warkoczem, wciąż przyozdobionym białymi przylaszczkami. Druga leżała wyciągnięta, z głową wspartą na złożonych płaszczach, jej własny płaszcz, niebieski jak niebo, częściowo tylko zakrywał podartą na strzępy suknię. Kosztowną tkaninę znaczyły plamy od ognia i rozdarcia, twarz kobiety była śmiertelnie blada, jednak oczy miała otwarte.

„Moiraine. Tak, to Aes Sedai. I Wiedząca, Nynaeve.”

Wszystkie trzy kobiety spojrzały na niego wyczekująco nieruchomymi oczyma.

— Nic wam się nie stało, prawda? Egwene? Nie zrobił ci krzywdy.

Potrafił już iść normalnie, bez potknięć — mimo stłuczeń na jej widok chciało mu się tańczyć — jednak jeszcze większą ochotą napawała go myśl, by zwalić się na skrzyżowane nogi obok nich.

— Już potem go nie widziałam, kiedy mnie popchnąłeś... — Oczy utkwione w jego twarzy zdradzały niepewność. — A jak ty się czujesz, Rand?

— Bardzo dobrze. — Roześmiał się. Dotknął jej policzka i zastanowił się, czy rzeczywiście cofnęła się nieznacznie, czy może to sobie wyobraził. — Krótki odpoczynek i będę jak nowo narodzony. Nynaeve? Moiraine Sedai?

Wymawiając te słowa, czuł w ustach smak nowości. Oczy Wiedzącej były stare, prastare w porównaniu z młodą twarzą, potrząsnęła jednak głową.

— Trochę siniaków — powiedziała, nadal mu się przypatrując. — Z nas wszystkich Moiraine jest jedyną... jedyną, która naprawdę ucierpiała.

— Bardziej niż cokolwiek innego ucierpiała moja dusza — powiedziała zirytowanym głosem Aes Sedai, poprawiając okrywający ją płaszcz. Wyglądała tak, jakby od bardzo dawna chorowała albo doszczętnie się wyczerpała, jednak jej oczy, pomimo ciemnych obwódek, były czyste i pełne siły. — Aginor był zaskoczony i wściekły, że powstrzymałam go tak długo, ale na szczęście nie mógł tracić na mnie czasu. Sama się dziwię, że utrzymałam go tak długo. W Wieku Legend moc Aginora stawiała go tuż za Zabójcą Rodu i Ishmaelem.

— „Czarny i wszyscy Przekłęci” — zacytowała Egwene słabym, niepewnym głosem — „są uwięzieni w Shayol Ghul, uwięzieni przez Stwórcę...” — Wciągnęła urywany oddech.

— Aginor i Balthamel musieli być więzieni tuż pod samą powierzchnią. — Moiraine mówiła takim głosem, jakby już to wszystko wyjaśniła i powtarzanie ją męczyło. — Pieczęć na więzieniu Czarnego osłabła do tego stopnia, że zdołali się uwolnić. Bądźmy wdzięczni, że nie uwolniło się więcej Przeklętych. Napotkalibyśmy ich, gdyby tak było.

— To nie ma znaczenia — powiedział Rand. — Aginor i Balthamel nie żyją, i tak samo Shai...

— Czarny — przerwała mu Aes Sedai. Chora nie chora, mówiła stanowczym głosem, a spojrzenie ciemnych oczu było rozkazujące. — Najlepiej nazywać go Czarnym. Albo przynajmniej Ba'alzamonem.

Wzruszył ramionami.

— Jak chcesz. Ale on nie żyje. Czarny nie żyje. Zabiłem go. Spaliłem...

W tym momencie zalała go potokiem reszta wspomnień, sprawiając, że otworzył szeroko usta.

„Jedyna Moc. Władatem Jediną Mocą. Żaden mężczyzna nie może...”

Oblizal nagle zaschłe wargi. Powiew wiatru wciągnął w wir opadłe i opadające wokół nich liście, nie był jednak tak chłodny jak jego serce. Patrzyły na niego, wszystkie trzy. Obserwowały. Nawet nie mrugały oczami. Wyciągnął dłoń w stronę Egwene i tym razem to już na pewno sobie nie wyobraził, że odsunęła się od niego.

— Egwene?

Odwróciła twarz, a on opuścił rękę.

Nagle zarzuciła mu ramiona na szyję, kryjąc twarz na jego piersi.

— Przepraszam, Rand. Przepraszam. Wcale mnie to nie obchodzi. Naprawdę nie obchodzi.

Ramiona jej drżały. Wydawało mu się, że płacze. Niezdarnie głaszcząc jej włosy, spojrzal ponad głowę na pozostałe dwie kobiety.

— Koło obraca się tak, jak chce — powiedziała wolno Nynaeve — ale ty jesteś nadal Randem al'Thor z Pola Emonda. Ale, Światłości, pomóż mi, Światłości, dopomóż nam wszystkim, jesteś zbyt niebezpieczny, Rand.

Uciekł przed wzrokiem Wiedzącej, smutny, pełen żalu, już akceptując stratę.

— Co się stało? — spytała Moiraine. — Opowiedz mi wszystko!

Opowiedział więc, czując na sobie jej zniewalające spojrzenie. Miał ochotę się wykręcić, skrócić to, opuścić pewne rzeczy, lecz oczy Aes Sedai wszystko z niego wyciągnęły. Łzy spłynęły po jego twarzy, gdy doszedł do Kari al'Thor. Jego matki. Podkreślił to.

— On miał moją matkę. Moją matkę!

Na twarzy Nynaeve widać było współczucie i ból, lecz oczy Aes Sedai popędzały go, do miecza Światłości, do przecięcia czarnej wstęgi i do tych płomieni, które pochłonęły Ba'alzamoną. Ramiona Egwene objęły go jeszcze silniej, jakby mogła go wyciągnąć z tego, co się wydarzyło.

— Ale to nie ja — dokończył. — Światłość mnie... ciągnęła za sobą. To naprawdę nie ja. Czy to czegoś nie zmienia?

— Podejrzewałam to od samego początku — powiedziała Moiraine. — Tyle że podejrzenia nie stanowią żadnego dowodu. Kiedy dałam ci monetę i stworzyłam więź, powinienes być godzić się na wszystko, czego chciałam, ty jednak opierałeś się, miałeś

wątpliwości. To mi coś powiedziało, ale nie wystarczyło. Krew Manetheren była zawsze uparta, i to w jeszcze większym stopniu, odkąd umarł Aemon, a Eldrene pękło serce. Potem była Bela.

— Bela? — spytał.

„Nic niczego nie zmienia.”

Aes Sedai skinęła głową.

— Na Wzgórzu Czat nie musiałam oczyszczać Beli ze zmęczenia, ktoś już to wcześniej zrobił. Mogła tamtej nocy przegonić Mandarba. Powinnam była wziąć pod uwagę, kogo na swym grzbiecie niosła Bela. Przez te trolloki deptające nam po piętach, draghkara nad głową i Pólczłowieka, Światłość tylko wie, gdzie, musiałeś się strasznie bać, że Egwene zostanie z tyłu. Potrzebowałeś czegoś więcej niż kiedykolwiek w całym swoim życiu i sięgnąłeś do tej jedynej rzeczy, od której mogłeś to mieć. Do *saidina*.

Zadrżał. Przepęniał go chłód, od którego bolały palce.

— Jeśli już tego nigdy nie zrobię, jeśli nigdy go więcej nie dotknę, nie...

Nie potrafił tego wypowiedzieć. Oszaleje. Wpędzi tę krainę i otaczających go ludzi w szaleństwo. Umrze, gnijąc jeszcze za życia.

— Być może — powiedziała Moiraine. — Byłoby łatwiej, gdyby znalazł się ktoś, kto by cię nauczył, można to jednak osiągnąć przy najwyższym wysiłku woli.

— Ty mnie możesz uczyć. Z pewnością, ty...

Urwał, gdy Aes Sedai potrząsnęła głową.

— Czy kot potrafi nauczyć psa, jak wspinać się na drzewa, Rand? Czy ryba nauczy ptaka pływać? Ja znam *saidara*, ale nie potrafię nauczyć cię niczego w związku z *saidinem*. Ci, którzy to mogli zrobić, umarli trzy tysiące lat temu. Ale być może masz w sobie dostatecznie dużo uporów. Być może twoja wola jest dostatecznie silna.

Egwene wyprostowała się, ocierając zaczerwienione oczy wierzchem dłoni. Miała taką minę, jakby chciała coś powiedzieć, ale kiedy otworzyła usta, nie padło z nich żadne słowo.

„Przynajmniej się nie wrywa. Przynajmniej może na mnie patrzeć i nie krzyżeć.”

— Co z innymi? — spytał.

— Lan zabrał ich do groty — wyjaśniła Nynaeve. — Oko zniknęło, ale coś się pojawiło w środku zbiornika, kryształowa kolumna i prowadzące do niej stopnie. Mat i Perrin chcieli najpierw poszukać ciebie, Loial też, ale Moiraine powiedziała... — Zerknęła na Aes Sedai, zakłopotana. Moiraine spokojnie przyjęła jej spojrzenie. — Powiedziała, że mamy nie przeszkadzać, w trakcie gdy ty...

Gardło miał tak ściśnięte, że ledwie mógł oddychać. „Czy oni odwrócą twarze tak jak Egwene? Czy będą krzyżeć i uciekać, jakbym był Pomorem?”

Moiraine odezwała się, jakby nie zauważyła, że krew odpływa mu z twarzy:

— W Oku była ogromna ilość Jedynej Mocy. Nawet w Wieku Legend tylko nieliczni potrafili skorzystać z takiej ilości bez wspomagania i nie zginąć od tego. Bardzo nieliczni.

— Powiedziałaś im? — wychrypiał. — Jeśli wszyscy wiedzą...

— Tylko Lan — odparła spokojnie Moiraine. — On musi wiedzieć. i Nynaeve, i Egwene, z powodu tego, kim są i kim się staną. Pozostali jeszcze nie muszą wiedzieć, na razie.

— Czemu nie? — Zgrzytające w gardle tony jego głosu, powodowały, że nie brzmiał on zbyt miłe dla ucha. — Będziesz mnie chciała poskromić, prawda? Czy nie to właśnie Aes Sedai robią z mężczyznami, którzy władają Mocą? Zmieniają ich, żeby nie mogli tego robić? Sprawiają, by przestali stanowić zagrożenie? Thom mówił, że mężczyźni, których poskromiono, umierają, bo tracą ochotę do życia. Dlaczego nie mówisz, że mnie zabierzesz do Tar Valon, aby mnie tam poskromiono?

— Jesteś *ta'veren* — odparła Moiraine. — Być może Wzór jeszcze nie skończył z tobą.

Rand wyprostował się.

— W snach Ba'alzamon twierdził, że Tar Valon i zasiadająca na Tronie Amyrlin będą próbowały mnie wykorzystać. Wymieniał nazwiska, teraz je sobie przypominam. Raolin Darksbane i Guaire Amalasan. Yurian Stonebow. Davian. Logain.

To ostatnie było najtrudniejsze do wymówienia. Nynaeve pobladła, a Egwene krzyknęła, lecz on mówił dalej gniewnym głosem:

— Każdy z nich to fałszywy Smok. Nie próbuj zaprzeczać. Cóż, ja się nie dam wykorzystać. Nie jestem narzędziem, które możesz wyrzucić na śmietnik, kiedy już się zużyje.

— Narzędzie wykonane dla jakiegoś celu nie zaznaje upokorzenia przez to, że się je do tegoż celu wykorzystuje... — Moiraine mówiła tak samo ostrym głosem jak on — upokorzony zostaje tylko człowiek, który zawierzy Ojcu Kłamstw. Mówisz, że nie dasz się wykorzystać, a potem pozwalasz, by Czarny wytoczył ci drogę, jakbyś był ogarem, którego jego pan wysyła w pogoń za królikiem.

Zacisnął pięści i odwrócił głowę. Jej słowa za bardzo przypominały mu to, o czym mówił Ba'alzamon.

— Nie jestem niczym ogarem. Słyszysz mnie? Niczym! — W zwieńczonym łukiem otworze pojawił się Loial i pozostali, Rand stanął niezdarnie na nogach, spoglądając na Moiraine.

— Nie będą wiedzieli — powiedziała Moiraine — dopóki nie sprawi tego Wzór.

W tym momencie przyjaciele zaczęli iść w jego stronę. Prowadził ich Lan, wyglądający tak twardo jak zwykle, jednak zmęczony jak nigdy dotąd. Skronie miał owinięte jednym z bandaży Nynaeve, szedł sztywno wyprostowany. Idący za nim Loial niósł dużą, złotą

szkatułę, ozdobnie wykonaną i inkrustowaną srebrem. Nikt oprócz Ogira nie mógłby jej samodzielnie udźwignąć. Perrin trzymał w objęciach wielki zwój białej tkaniny, a Mat coś, co wyglądało jak naczynie z porcelany.

— A więc jednak żyjesz — zaśmiał się Mat. Twarz mu pociemniała, gwałtownym ruchem głowy wskazał Moiraine.

— Nie pozwoliła nam cię szukać. Powiedziała, że mamy sprawdzić, co kryło się w Oku. Ja bym i tak poszedł, ale Nynaeve i Egwene jej pomagały i prawie wrzuciły mnie do środka.

— Jesteś tu — powiedział Perrin — i wcale nie wyglądasz na mocno poturbowanego. — Oczy mu nie świeciły, ale tęczę miał już zupełnie żółte. — To jest ważne. Jesteś tutaj, a my zrobiliśmy wreszcie to, po co tu przyjechaliśmy, cokolwiek to było. Moiraine Sedai mówi, że udało nam się i możemy wracać. Do domu, Rand. Światłości, niech szczęzę, ale naprawdę bardzo chcę wracać do domu.

— Dobrze widzieć cię żywym, pasterzu — burknął Lan. — Widzę, że nie potrafisz się oderwać od swego miecza. Może teraz wreszcie się nauczysz, jak nim władać.

Rand poczuł w sobie nagły wybuch uczucia do Strażnika, Lan wiedział, jednak na zewnątrz przynajmniej nic się nie zmieniło. Miał nadzieję, że w przypadku Lana nic nie zmieniło się także wewnątrz.

— Muszę stwierdzić — powiedział Loial, stawiając skrzynkę na ziemi — że podróżowanie z *ta'veren* okazało się znacznie bardziej interesujące, niż się spodziewałem. — Uszy zadrgały mu gwałtownie. — Jeśli stanie się jeszcze bardziej interesujące, wrócę natychmiast do Stedding Shangtai, przyznam się do wszystkiego Starszemu Hamanowi i już nigdy nie porzucę mych ksiąg.

Usta Ogira rozciągnęły się nagle w tak szerokim uśmiechu, że przecięły jego twarz na dwie połowy.

— Jak to dobrze znowu cię widzieć, Randzie al'Thor. Strażnik jest jedynym z tych trzech, który interesuje się choć trochę książkami i nie gada bezustannie. Co się z tobą działo? Wszyscy ukrywaliśmy się w lesie, dopóki Moiraine nie posłała Lana, żeby nas odszukał, ale nie pozwoliła nam szukać ciebie. Gdzieś ty przepadł na tak długo, Rand?

— Biegłem i biegłem — powiedział powoli — aż spadłem z góry i uderzyłem się w głowę o kamień. Zdaje się, że pod drodze uderzałem o każdy kamień.

To miało wytłumaczyć sińce. Starał się bacznie obserwować Aes Sedai, a także Nynaeve i Egwene, lecz w ich twarzach nie zmieniło się nic ani na chwilę.

— Kiedy oprzytomniałem, nie wiedziałem, gdzie jestem i w końcu jakoś tu się przywlokłem. Aginor chyba nie żyje, spłonął. Znalazłem popiół i kawałki jego płaszcza.

Kłamstwa głucho dudniły w jego uszach. Nie rozumiał, dlaczego nie śmieją się z pogardą i nie domagają się prawdy, jednak jego przyjaciele tylko pokiwali głowami, akceptując wszystko i wśród odgłosów zyczliwości zebrali się wokół Aes Sedai, żeby jej pokazać, co znaleźli.

— Pomóżcie mi się podnieść — powiedziała Moiraine. Nynaeve i Egwene podźwignęły ją, by mogła usiąść, lecz nawet wtedy musiały ją podtrzymywać.

— Jakim cudem te wszystkie rzeczy mogły być w Oku — spytał Mat — i nie zostały zniszczone tak jak kamień?

— Nie umieszczono ich tam po to, żeby zostały zniszczone — odparła zwięźle Moiraine i zbyła inne pytania zmarszczeniem czoła, biorąc z rąk Mata kawałki porcelany, czarne, białe i błyszczące.

Zdaniem Randa wyglądały jak zwykłe skorupy, ona jednak ułożyła je zręcznie na ziemi, tworząc idealny okrąg wielkości ludzkiej dłoni. Starożytny symbol Aes Sedai, Płomień Tar Valon połączony ze Smoczym Kłębem, czerń obok bieli. Przez chwilę Moiraine tylko wpatrywała się w to wszystko z nieodgadnionym wyrazem twarzy, potem wyjęła zza pasa nóż i podała go Lanowi, wskazując koło.

Strażnik oddzielił największy kawałek, potem uniósł wysoko nóż i uderzył nim z całej siły. Poleciała iskra, skorupa podskoczyła pod wpływem uderzenia, ostrze pękło z donośnym trzaskiem. Lan przypatrzył się kikutowi umocowanemu w rękojeści i odrzucił go na bok.

— Najlepsza stal z Łzy — powiedział sucho.

Mat chwycił skorupę, mruknął coś i puścił ją w obieg. Na skorupie nie było ani śladu.

— *Cuendillar* — powiedziała Moiraine. — Prakamień. Od Wieku Legend nikt już nie potrafi go wytwarzać, a nawet wtedy wytwarzano go wyłącznie dla najbardziej doniosłych celów. Gdy raz już zostanie stworzony, nic jest go w stanie rozbić. Nawet Jedyna Moc użyta przez najpotężniejszą Aes Sedai, jaka kiedykolwiek żyła, wspomagana przez najsilniejszy *sa'angreal*. Każda moc, jaką się kieruje przeciwko prakamieniowi, sprawia tylko, że staje się jeszcze silniejszy.

— To jak...?

Mat wskazał kawałkiem, który trzymał w dłoniach, na pozostałe fragmenty poukładane na ziemi.

— To była jedna z siedmiu pieczęci położonych na więzieniu Czarnego — odparła Moiraine.

Mat upuścił cząstkę prakamienia, jakby była rozżarzona do białości. Przez chwilę oczy Perrina wydawały się znowu płonąć. Aes Sedai zaczęła spokojnie zbierać pozostałe fragmenty.

— To już nie ma znaczenia — powiedział Rand. Przyjaciele popatrzyli na niego dziwnie, a on pożałował, że nie trzymał ust zamkniętych.

— Oczywiście — odparła Moiraine.

Pieczołowicie jednak schowała fragmenty do swej sakiewki.

— Podaj mi szkatułę.

Loial podsunął szkatułę w jej stronę.

Splaszczona bryła ze złota i srebra wyglądała na jednolicie szczelną, jednak palce Aes Sedai jakoś zagłębiły się w skomplikowanej ornamentacji, coś nacisnęły i wieko szkatuły odskoczyło z nienacką ze szczęką, jakby było osadzone na sprężynach. W środku spoczywał kręty, złoty róg. Mimo że cały błyszczał, w porównaniu ze szkatułą, w której był schowany, wyglądał całkiem zwyczajnie. Na gładkiej powierzchni nie było nic oprócz linii srebrnych liter, inkrustowanych wokół wylotu czary. Moiraine uniosła róg, jakby podnosiła niemowlę.

— Trzeba go zawieźć do Illian — powiedziała cicho.

— Illian! — warknął Perrin. — To prawie nad samym Morzem Burz, na południu, tak samo daleko od domu, jak od nas tutaj, na północy.

— Czy to...? — Loial urwał, by złapać oddech. — Czy to może...?

— Czy potrafisz odczytać Dawną Mowę? — spytała Moiraine, a kiedy skinął głową, podała mu róg.

Ogir wziął go do rąk równie ostrożnie, delikatnie obwiodł pismo swym szerokim palcem. Jego oczy z każdą chwilą robiły się coraz większe, a uszy sterczały wyprostowane.

— *Tia mi aven Moridin isainde vadin* — wyszeptał. — Bo nie jest grób przeszkodą na moje wezwanie.

— Róg Valere.

Raz wreszcie Strażnik wyglądał na wstrząśniętego, w jego głosie słychać było nutę grozy.

W tym samym momencie łamiącym się głosem przemówiła Nynaeve:

— Wzywa bohaterów Wieków z objęć śmierci, aby stawili się do walki z Czarnym.

— Niech szeszę — szepnął Mat.

Loial z najwyższą czcią ułożył róg z powrotem w złotej szkatule.

— Zaczynam się zastanawiać — powiedziała Moiraine — czy Oko Świata zostało stworzone w chwili największej potrzeby, z jaką kiedykolwiek zmagął się świat, czy jednak powstało z jakimś... konkretnym przeznaczeniem, czy też miało strzec tych wszystkich rzeczy? Szybko, pokażcie mi, ostatnią.

Po obejrzeniu pierwszych dwóch przedmiotów Rand potrafił zrozumieć niechęć Perrina. Gdy zawahał się, Lan i Ogir odebrali z jego rąk zwój białej tkaniny i rozwinęli go. W powietrzu załopotał długi, biały sztandar. Rand patrzył tylko wytrzeszczonymi oczyma. Tkanina wyglądała jak jednolita całość, jakby wcale jej nie tkano, farbowano ani malowano. Całą długość sztandaru pokrywało stworzenie przypominające węża o purpurowych i złotych łuskach, miało pokryte łuskami również nogi, jego stopy były obdarzone pięcioma złotymi szponami, wielką głowę porastała złota grzywa, a oczy przypominały słońca. Na łopoczącym sztandarze stworzenie wydawało się ruszać, żyć,

łuski lśniły niczym szlachetne metale i klejnoty, miał wrażenie, że słyszy wyzwanie rzucone rozwścieczonym rykiem

— Co to jest? — spytał. Moiraine odpowiadała mu powoli:

— Sztandar, pod którym Władca Poranka prowadził siły Światłości do walki przeciwko Cieniowi. Sztandar Lewsa Therina Telamona. Sztandar Smoka.

Loial omal nie wypuścił z rąk swojego końca.

— Niech szczeżnę! — zawołał słabym głosem Mat.

— Zabierzemy z sobą te rzeczy — orzekła Moiraine. — Nie zostały tu umieszczone przypadkiem, muszę się dowiedzieć czegoś więcej.

Pogładziła sakiewkę, w której kryły się cząstki roztrzaskanej pieczęci.

— Zrobiło się zbyt późno, by jeszcze dziś ruszać w drogę. Odpoczniemy, najemy się, ale wyjedziemy wczesnym rankiem. Zewsząd otacza nas Ugór, inny niż przy samej Granicy, silniejszy. Bez Zielonego Człowieka to miejsce długo się nie utrzyma. Pomóżcie mi się ułożyć — powiedziała do Nynaeve i Egwene. — Muszę odpocząć.

Rand dopiero teraz zauważył to, na co nie zwracał dotąd uwagi, mimo że cały czas się dokonywało. Z wielkiego dębu spadały martwe, zbrązowiałe Liście. Pokrywająca ziemię gruba warstwa szeleściła na lekkim wietrze, brązowa, zmieszana z płatkami, które opadły z tysięcy kwiatów. Zielony Człowiek potrafił powstrzymać Ugór, teraz jednak Ugór zabijał po kolei wszystkie jego dzieła.

— Już po wszystkim, prawda? — spytał Moiraine. — To koniec.

Aes Sedai odwróciła głowę ułożoną na poduszce z płaszczy. Jej oczy wydawały się tak głębokie jak Oko Świata.

— Udało nam się zrobić to, po co tu przybyliśmy. Odtąd możesz żyć własnym życiem, zgodnie ze splotem Wzoru. Zjedz coś, a potem się prześpij, Randzie al'Thor. Śpij i niech ci się przyśni dom.

KOŁO OBRACA SIĘ

Świt ujawnił zniszczenia, jakim uległ ogród Zielonego Człowieka. Na ziemi leżała gruba warstwa liści, miejscami sięgająca prawie do kolan. Wszystkie kwiaty zniknęły z wyjątkiem kilku, które przyrosły rozpaczliwie do skraju polany. Niewiele mogło wyrosnąć pod samym dębem, jednakże gruby pień stojący na grobie Zielonego Człowieka otaczał wąski pas kwiatów i trawy. W koronie dębu została tylko połowa jego liści, ale było ich i tak znacznie więcej niż na innych drzewach, tak jakby jakieś wspomnienie po Zielonym Człowieku wciąż jeszcze walczyło, żeby się utrzymać w tym miejscu. Chłodny wiatr ustał, wyparty przez lepki skwar, motyle zniknęły, ucichły ptaki. Szykujący się do drogi ludzie milczeli.

Rand wdrapał się na siodło z uczuciem, że coś stracił. „Nie powinno tak być. Krew i popioły, przecież wygraliśmy!”

— Szkoda, że nie znalazł innego miejsca — powiedziała Egwene, kiedy dosiadała Beli.

Nosze wykonane przez Lana zawieszono między kudłatą klaczą i Aldieb, służyły Moiraine. Nynaeve miała jechać obok białej klaczy i trzymać jej wodze. Wiedząca spuszczała oczy, gdy tylko widziała, że Lan na nią patrzy, cały czas unikając jego wzroku. Strażnik spoglądał na nią, kiedy patrzyła w inną stronę, jednak nie odzywał się do niej ani słowem. Nikt nie musiał pytać, kogo Egwene miała na myśli.

— To niesprawiedliwe — powiedział Loial, zapatrzony na dąb. Ogir był jedynym, który jeszcze nie dosiadł konia. — To niesprawiedliwe, by Drzewny Brat miał zostać oddany Ugorowi. — Podał wodze swego wielkiego konia Randowi. — Niesprawiedliwe.

Lan otworzył usta, gdy Ogir ruszył w stronę wielkiego dębu. Leżąca na noszach Moiraine słabym ruchem uniosła rękę i Strażnik nic nie powiedział.

Loial ukląkł przed dębem, zamykając oczy, i wyciągnął ręce przed siebie. Kępki na jego uszach wyprostowały się, gdy uniosł twarz ku niebu. I wtedy zaczął śpiewać.

Rand nie potrafił stwierdzić, czy to były słowa, czy tylko melodia. Grzmiący głos brzmiał jak śpiew ziemi, był jednak pewien, że słyszy na nowo śpiew ptaków, ciche westchnienia wiosennego wiatru i szum skrzydeł motyli. Zasłuchany myślał, że pieśń

trwała zaledwie kilka minut, gdy jednak Loial opuścił ręce i otworzył oczy, Rand zdziwił się na widok słońca stojącego już wysoko nad horyzontem. Dotykało drzew, kiedy Ogir zaczynał śpiewać. Liście, które jeszcze rosły na dębie, wydawały się bardziej zielone, mocniej osadzone niż przedtem. Otaczające pień kwiaty wyprostowały się, zawilce były białe i świeże, miłek pysznił się czerwienią.

Otarłszy pot ze swej szerokiej twarzy, Loial wstał i wziął wodze z rąk Randa. Jego długie brwi zwiesiły się, jakby i one zawstydziły się, że otoczenie mogło uznać, iż się popisują.

— Nigdy dotąd tak się nie rozśpiewałem. Nie potrafiłbym tego zrobić, gdyby nie pozostała tu jakaś częśćka mego Drzewnego Brata. Moje pieśni dla Drzewa nie mają jego mocy. — Kiedy siedział w siodle, w spojrzeniu, którym omiótł dąb i drzewa, widać było satysfakcję. — Przynajmniej ta niewielka przestrzeń nie zatonie w Ugorze. Ugór nie pochłonie Drzewnego Brata.

— Jesteś dobrym człowiekiem, Ogirze — powiedział Lan.

Loial uśmiechnął się szeroko.

— Przyjmuję to jako komplement, nie wiem tylko, co by powiedział Starszy Haman.

Jechali pojedynczym rzędem, Mat za Strażnikiem, by w razie potrzeby móc skutecznie użyć swego łuku, a Perrin jechał jako ostatni, z toporem przewieszonym przez łęk u siodła. Wspięli się na wzgórze i w mgnieniu oka otoczył ich Ugór, powykręcany i przegniły zjadliwymi barwami tęczy. Rand obejrzał się przez ramię, jednakże ogrodu Zielonego Człowieka nie było już widać. Dookoła, tak jak przedtem, rozciągał się Ugór. Wydało mu się jednak, tylko przez chwilę, że widzi górujący nad wszystkim wierzchołek dębu, zielonego i bujnego, który zaraz zalsnił i zniknął. Potem już był wyłącznie Ugór.

Rand po części spodziewał się, że będą musieli torować sobie wyjście, tak samo jak torowali sobie wejście, jednak Ugór trwał cichy i nieruchomy jak śmierć. Ani jedna gałąź nie zadrżała, żeby ich zaatakować, nic nie skrzeczało, nic nie wyło, ani blisko, ani z oddali. Ugór wydawał się czaić, ale nie do ataku, lecz jakby spadł na niego jakiś wielki cios i teraz czekał, aż spadnie nań następny. Nawet słońce nie było już tak czerwone.

Kiedy minęli naszyjnik jezior, słońce wisiało tuż poza zenitem. Lan prowadził ich w sporej odległości od jezior i ani razu nawet na nie nie spojrzął, Rand jednak miał wrażenie, że siedem wież jest wyższych, niż gdy je widział po raz pierwszy. Był pewien, że nierówne wzgórza wystają wyżej ponad ziemią i że stojące na nich, nieomal widoczne, gładkie Wieże lśnią w słońcu, powiewając na wietrze sztandarami Żółtego Żurawia. Zamrugął i wytężył wzrok, jednak wieże nie zniknęły. Stały tam na skraju pola widzenia, dopóki Ugór raz jeszcze nie skrył jezior.

Przed zmierzchem Strażnik wybrał miejsce na obozowisko, a Moiraine wzięła Nynaeve i Egwene do pomocy przy zakładaniu pasa ochronnego. Najpierw

poinstruowała je szeptem, Nynaeve zawahała się, lecz kiedy Moiraine zamknęła oczy, wszystkie trzy podjęły wspólną pracę.

Rand widział, jak Mat i Perrin wytrzeszczają oczy i zastanawiał się, co ich tak dziwi.

„Każda kobieta to Aes Sedai” — przyszła mu do głowy niewesoła myśl. — „Światłości, dopomóż mi, ja też jestem Aes Sedai”.

Ponury nastrój związał mu język.

— Dlaczego teraz jest tu inaczej? — spytał Perrin, kiedy Egwene i Wiedząca pomogły Moiraine się ułożyć. — Mam wrażenie... — Wzruszył swymi barczystymi ramionami, jakby nie potrafił znaleźć słowa.

— Zadaliliśmy Czarnemu potężny cios — odparła Moiraine, układając się z westchnieniem na posłaniu. — Cień będzie musiał długo dochodzić do siebie.

— Jak? — spytał Mat. — Co myśmy zrobili?

— Śpij — powiedziała Moiraine. — Jeszcze nie wyszliśmy z Ugoru.

Jednak następnego ranka nadal nie zaszła żadna zmiana, którą Rand byłby w stanie zauważyć. Ugór naturalnie się zmniejszał, w miarę jak posuwali się na południe. W miejsce powykręcanych drzew pojawiały się proste. Duszący upał stopniowo tracił swą moc. Gnijące listowie ustępowało miejsca zieleni zaledwie schorzałej. A potem zauważył, że nie jest już nawet chora. Las dookoła nich zrobił się czerwony od nowego przyrostu zgęstniałych gałęzi. W poszyciu pojawiły się pączki, pnącza okrywały kamienie zielonością, a nowe dzikie kwiaty nakrapiały trawę tak gęsto i jaskrawo, jakby tamtędy szedł Zielony Człowiek. Zupełnie tak, jakby wiosna, tak długo powstrzymywana przez zimę, cwałowała teraz, by na czas dotrzeć tam, gdzie miała już być od dawna.

Nie był jedynym, który gapił się na to wszystko oniemiały.

— Potężny cios — mruknęła Moiraine i nie powiedziała już nic więcej.

Pnąca dzika róża oplatała kamienną kolumnę, wyznaczającą Granicę. Z wież strażniczych żołnierze wyszli im na powitanie. W śmiechu ludzi słysząc było oszołomienie, ich oczy błyszczały ze zdumienia, jakby nie potrafili uwierzyć, że pod zakutymi w stal butami czują świeżą trawę.

— Światłość zwyciężyła Cień!

— Wielkie zwycięstwo w Wąwozie Tarwina! Dostaliśmy wiadomość! Zwycięstwo!

— Światłość nas znowu pobłogosławiła!

— Światłość znów obdarzyła siłą Króla Easara — odparł Lan, słysząc te okrzyki.

Ludzie z wież chcieli zaopiekować się Moiraine albo przynajmniej dać im jakąś eskortę, lecz ona odmówiła. Mimo iż leżała płasko na noszach, sprawiała swą obecnością, że odziani w zbroje mężczyźni cofali się z ukłonami i godzili się na wszystkie jej życzenia. Ich śmiech towarzyszył im jeszcze, gdy ruszali w dalszą drogę.

Późnym popołudniem, gdy dotarli do Fal Dara, ponure mury rozbrzmiewały świętem. Rozbrzmiewały prawdą. Rand wątpił, czy jest jakiś dzwon w mieście, który

akurat nie bije, począwszy od najdrobniejszych srebrnych dzwoneczków przy uprząży, a skończywszy na wielkich gongach z brązu zawieszonych na wieżach. Bramy były pootwierane na oścież, ludzie biegali ze śmiechem i śpiewem po ulicach, z kwiatami zatkniętymi we włosy i szczeliny zbroi. Zwykli mieszkańcy miasta jeszcze nie wrócili z Fal Moran, natomiast niewiele wcześniej wrócili żołnierze z Wąwozu Tarwina i ich radość wystarczyła do wypełnienia wszystkich ulic.

— Zwycięstwo w Wąwozie! Zwyciężyliśmy!

— Cud w Wąwozie! Wiek Legend powrócił!

— Wiosna! — śmiał się jakiś siwy, stary żołnierz, zawieszając girlandę z przyłasczek na szyi Randa. Sam miał nimi przyozdobioną kępę włosów na czubku głowy. — Światłość znowu pobłogosławiła nas wiosną!

Na wieść, że udają się do warowni, otoczył ich krąg mężczyzn odzianych w stal i kwiaty, biegli, torując im drogę wśród świętujących.

Ingтар był pierwszą nie uśmiechniętą twarzą, którą zobaczył Rand.

— Spóźniłem się — powiedział do Lana z kwaśną miną. — Za późno o jedną godzinę. Pokój! — Słysząc było, jak zgrzyta zębami, lecz potem zrobił skruszoną minę. — Wybaczcie mi. Smutek sprawia, że zapominam o mych obowiązkach. Witaj, Budowniczy. Dobrze widzieć, żeście bezpiecznie wydostali się z Uguru. Sprowadzę uzdrowiciela do komnat Moiraine Sedai i powiadomię lorda Angelmara...

— Zaprowadź mnie do lorda Angelmara — zarządziła Moiraine. — Zaprowadź nas wszystkich.

Ingтар otworzył usta, by zaprotestować, pod wpływem jej spojrzenia złożył jednak tylko głęboki ukłon.

Agelmar przebywał w swoim gabinecie, jego miecze i zbroja wisiały już znowu na stojakach. Był właścicielem drugiej nie uśmiechniętej twarzy. Krzywił się z niepokojem, pogłębionym przez widok Moiraine wnoszonej na noszach przez służących w liberiach. Kobiety w złocie i czerni gorączkowały się, że sprowadzono do niego Aes Sedai, nie pozwalając jej pierwej odświeżyć się ani zobaczyć uzdrowiciela. Loial niósł złotą szkatułę. Kawalki pieczęci były wciąż schowane w sakiewce Moiraine, sztandar Lewsa Therina Zabójcy Kodu, owinięty w derkę, nadal przytroczony do siodła Aldieb. Stajennemu, który przejął białą klacz, dano surowy rozkaz dopilnowania, by nienaruszoną derkę umieszczono w komnatach przydzielonych Aes Sedai.

— Pokój! — mruknął lord Fal Dara. — Czy jesteś ranna, Moiraine Sedai. Ingтар, czemu nie dopilnowałeś, by Aes Sedai została ułożona w łóżku i by sprowadzono do niej uzdrowiciela?

— Uspokój się, Agelmarze — powiedziała Moiraine. — Ingтар postępował tak, jak mu kazałam. Nie jestem taka słaba, jak wszyscy zdają się myśleć.

Gestem ręki kazała dwóm kobietom posadzić się na krzesła. Przez moment załamywały dłonie, wykrzykując, że jest na to zbyt słaba, że powinna leżeć w ciepłym łóżku, że powinno się przysłać do niej uzdrowiciela i przygotować gorącą kąpiel. Brwi Moiraine uniosły się, kobiety natychmiast zamknęły usta i pośpiesznie pomogły jej usiąść. Gdy już siedziała, odprawiła ich niecierpliwym gestem ręki.

— Chcę z tobą porozmawiać, lordzie Agelmar. — Agelmar skinął głową i Ingтар odprawił służących z izby. Władca Fal Dara spojrział wyczekująco na pozostałych; zdaniem Randa najbardziej interesował go Loial i złota szkatuła.

— Dowiadujemy się — powiedziała Moiraine, gdy tylko drzwi zamknęły się za Ingtarem — że odniosłeś wielkie zwycięstwo w Wąwozie Tarwina.

— Tak — odparł Agelmar, a grymas zakłopotania powrócił. — Tak, Aes Sedai, i nie. Pólludzie i trolloki zostali wybici co do jednego, my jednak prawie nie walczyliśmy. Cud, tak na to mówią moi ludzie. Ziemia ich połknęła, pogrzebały ich góry. Zostało tylko kilka draghkarów, tak przestraszonych, że potrafiły jedynie odlecieć na północ najszybciej, jak umiały.

— Rzeczywiście cud — powiedziała Moiraine. — I znowu nadeszła wiosna.

— Cud — powtórzył Agelmar, kręcąc głową — ale... Moiraine Sedai, moi ludzie mówią różne rzeczy o tym, co zdarzyło się w Wąwozie. Że sama Światłość przybrała cielesną postać i walczyła za nas, że sam Stwórca pojawił się w Wąwozie, by zadać cios Cieniowi. Ja jednak widziałem jakiegoś człowieka, Moiraine Sedai. Widziałem człowieka i to, co on robił, a robił rzeczy niemożliwe, niepojęte.

— Koło obraca się tak, jak chce, władco Fal Dara.

— Jest, jak mówisz, Moiraine Sedai.

— A Padan Fain? Czy nic z jego strony nie grozi? Muszę z nim porozmawiać, kiedy odpocznę.

— Jest uwięziony, tak jak przykazałaś, Aes Sedai, to skarży się strażnikom, to usiłuje im rozkazywać, ale... Pokój, Moiraine Sedai, jak wam poszło w Ugorze? Znalazłaś Zielonego Człowieka? W tym wyrastaniu nowych roślin widzę jego rękę.

— Znaleźliśmy go — odparła beznamiętnym głosem. — Zielony Człowiek nie żyje, lordzie Agelmar, a Oko Świata zniknęło. Ustaną wyprawy młodych ludzi poszukujących sławy.

Lord Fal Dara skrzywił się i zdeorientowany pokręcił głową.

— Nie żyje? Zielony Człowiek? On nie może... A zatem zostaliście pokonani? A te kwiaty i inne rośliny?

— Zwyciężyliśmy, lordzie Agelmar. Zwyciężyliśmy i uwolniona od zimy ziemia jest tego dowodem, obawiam się jednak, że ostatnia bitwa jeszcze nie została stoczona.

Rand poruszył się, lecz Aes Sedai obdarzyła go ostrym spojrzeniem, pod wpływem którego znieruchomiał.

— Ugór wciąż istnieje, a kuźnie Thakan'dar wciąż pracują pod Shayol Ghul. Zostało jeszcze wielu Półludzi i niezliczone rzesze trolloków. Niech ci się ani przez chwilę nie wydaje, że należy zaniechać czujności w Ziemiach Granicznych.

— Wcale tak nie myślałem, Aes Sedai — powiedział sztywno.

Moiraine dała znak Loialowi, by postawił złotą szkatułę u jej stóp, a kiedy to zrobił, otworzyła ją, odsłaniając róg.

— Róg Valere — powiedziała, a Agelmarowi zaparło dech.

Rand miał wrażenie, że mężczyzna zaraz ukłęknie.

— Skoro mamy Róg Valere, Moiraine Sedai, nieważne już, ilu Półludzi albo trolloków zostało. Gdy bohaterowie dawnych czasów powrócą z grobów, pomaszterujemy do Przeklętych Ziem i zrównamy Shayol Ghul z ziemią.

— NIE!

Agelmarowi szczęka opadła ze zdziwienia, lecz Moiraine mówiła dalej spokojnym głosem:

— Nie pokazałam ci tego, by cię zwodzić, lecz byś wiedział, że choćby nie wiadomo jakie bitwy trzeba było jeszcze stoczyć, nasza moc dorównuje mocy Cienia. To nie jest jego miejsce. Róg musi zostać zawieszony do Illian. To właśnie tam będzie na nowo gromadził siły Światłości, gdyby pojawiła się groźba nowych bitew. Poproszę cię o eskortę złożoną z twych najlepszych ludzi, by dowieźli go bezpiecznie do Illian. Wciąż jeszcze żyją Sprzymierzeńcy Ciemności, jak również Półludzie i trolloki, a ci, którzy się zbliżą do rogu, pójdą za każdym, kto w niego zadmie. Róg musi dotrzeć do Illian.

— Będzie, jak chcesz, Aes Sedai.

Lecz kiedy wieko szkatuły zostało zamknięte, władca Fal Dara wyglądał jak człowiek, któremu nie dano zerknąć po raz ostatni na Światłość.

Siedem dni później dzwony w Fal Dara wciąż biły. Ludzie wracali z Fal Moran, przyłączając się w świętowaniu do żołnierzy. Z długiego balkonu, na którym stał Rand, słychać było, jak ich okrzyki i śpiewy mieszają się z łoskotem dzwonów. Balkon wychodził na prywatne ogrody Agelmara, zielone i kwitnące, lecz spojrzał na nie nie więcej niż raz. Mimo że słońce stało wysoko na niebie, wiosna w Shienar była chłodniejsza, niż przywykł, jednak na jego nagiej piersi i ramionach błyszczał pot. Rand wymachiwał bronią oznakowaną wizerunkiem czapli, czynił to precyzyjnymi ruchami, oddalonymi jednakże od pustki, w której się unosił. Jednak nawet zawieszony w niej, nie mógł przestać zastanawiać się, ile radości mieliby w mieście, gdyby wiedzieli o sztandarze trzymanym przez Moiraine wciąż w ukryciu.

— Nieźle, pasterzu. — Wsparty o balustradę, z rękoma założonymi na piersi, Strażnik przyglądał mu się krytycznie — Dobrze ci idzie, tylko nie pchaj tak mocno. Nie zostaniesz mistrzem miecza w ciągu kilku tygodni.

Pustka zniknęła jak przekłuta bańka mydlana.

— Nie chcę być mistrzem miecza.

— To miecz mistrza, pasterzu.

— Chcę tylko, żeby mój ojciec był ze mnie dumny.

Zacisnął dłoń na twardej skórze rękojeści.

„Chcę tylko, żeby Tam był moim ojcem.” Wcisnął miecz do pochwy.

— A zresztą nie mam kilku tygodni.

— Więc nie zmieniłeś zdania?

— A ty byś to zrobił?

Wyraz twarzy Lana nie uległ zmianie, wydawało się, że płaskie rysy jego twarzy w ogóle nie mogą się zmieniać.

— Nie będziesz próbował mnie zatrzymać? Albo Moiraine Sedai?

— Możesz postępować zgodnie z nakazami twej woli, pasterzu, albo ze splotem utkany dla ciebie przez Koło. — Strażnik wyprostował się. — Zostawię cię teraz samego.

Rand odwrócił się, by odprowadzić wzrokiem Lana i zobaczył stojącą na uboczu Egwene.

— Dokąd chcesz się wybrać? — spytała cicho.

— Dokądś. Nie wiem.

Nie chciał spotkać jej wzroku, ale nie mógł przestać na nią patrzeć. We włosy, spływające na ramiona, miała wplecione czerwone róże. Przytrzymała poły granatowego płaszcza, zgodnie z modą obowiązującą w Shienarze ozdobionego na brzegu wąskim pasem wyhaftowanych białych kwiatów, które tworzyły prostą linię aż do samej szyi. Nie były bledsze od policzków, jej oczy wydawały się tak wielkie i ciemne.

— Daleko.

— Jestem pewna, że Moiraine Sedai się nie spodoba, że tak sobie po prostu wyjeżdżasz. Po tym... po tym, co zrobiłeś, zasługujesz na jakąś nagrodę.

— Moiraine nie wie, że ja jestem żywym człowiekiem. Zrobiłem, co chciała i na tym koniec. Nawet ze mną nie rozmawia, kiedy do niej chodzę. Nie żebym próbował trzymać się blisko niej, ale ona mnie unika. Nie obejdzie jej, jeśli odejdę, a mnie nie obchodzi, czy wyrzuci to na niej jakiegokolwiek wrażenie.

— Moiraine jeszcze nie całkiem wyzdrowiała, Rand. — Zawahała się. — Ja muszę jechać do Tar Valon, żeby się uczyć. Nynaeve też jedzie. Mat musi zostać uzdrowiony od tego, co go wiąże ze sztyletem, a Perrin chce zobaczyć Tar Valon, zanim odejdzie... nieważne. Mógłbyś jechać z nami.

— I czekać, aż jeszcze jakaś Aes Sedai, oprócz Moiraine, wykryje, kim jestem i mnie poskromi? — mówił szorstkim głosem, nieomal szyderczym, ale nie potrafił się opanować. — Czy tego właśnie chcesz?

— Nie.

Wiedział, że nigdy nie będzie jej w stanie powiedzieć, jak bardzo był wdzięczny za to, że się nie wahała z odpowiedzią.

— Rand, ty się nie boisz... — Byli sami, lecz ona rozejrzała się dookoła i zniżyła głos: — Moiraine Sedai mówi, że ty nie musisz dotykać Prawdziwego Źródła. Jeśli nie będziesz dotykał *saidina*, jeśli nie będziesz próbował władać Mocą, to będziesz bezpieczny.

— Och, już nigdy go nie dotknę. Nawet gdybym musiał obciąć sobie rękę.

„A jeśli się nie powstrzymam? Nigdy nie próbowałem nim władać, nawet przy Oku. A jeśli nie będę mógł się powstrzymać?”

— Czy pojedziesz do domu, Rand? Twój ojciec na pewno umiera z chęci zobaczenia ciebie. Nawet ojciec Mata umiera już pewnie z takiej samej chęci. Ja wrócę do Pola Emonda w przyszłym roku. Przynajmniej na trochę.

Potarł dłonią rękojęć miecza, czując pod palcami czapkę. „Mój ojciec. Dom. Światłości, jakbym chciał zobaczyć...”

— Nie do domu.

„Do jakiegoś miejsca, w którym nie będzie ludzi, których będę mógł zranić, jeśli nie uda mi się powstrzymać. Gdzieś, samotnie.”

Nagle poczuł chłód, jakby wiejący od śniegu leżącego na balkonie.

— Wyjeżdżam, ale nie do domu.

„Egwene, Egwene, dlaczego musiałaś się stać jedną z tych...?”

Objął ją ramionami i wyszeptał w jej włosy:

— Nigdy nie wrócę do domu.

W prywatnym ogrodzie Agelmara, w altanie gęsto porośniętej białymi kwiatami, Moiraine ułożyła się wygodnie na łóżku z oparciem. Na podolku miała ułożone kawałki pieczęci, mały kamyk, który czasami nosiła wpięty we włosy, połyskiwał na złotym łańcuchu trzymanym w końcach palców. Bładoniebieska łuna kamienia zbladła i łagodny uśmiech rozciągnął wargi Moiraine. Sam w sobie ten kamyk nie miał mocy, ale użyła go po raz pierwszy, kiedy uczyła się władać Jedyńą Mocą, jeszcze jako mała dziewczynka w Królewskim Pałacu w Cairhien. Używała tego kamienia, by słuchać, o czym mówią ludzie, gdy im się wydaje, że są poza zasięgiem innych uszu.

— Przepowiednie wypełnią się — szepnęła Aes Sedai. — Odrodził się Smok.

GLOSARIUSZ

Kalendarz Tomański (sporządzony przez Tomedur Ahmida) został przyjęty mniej więcej około dwóch stuleci po śmierci ostatniego mężczyzny Aes Sedai i rejestrował lata, które upłynęły Od Pęknięcia Świata (OP). Wiele zapisów uległo zniszczeniu podczas Wojen z Trollokami, z takim skutkiem, że pod koniec Wojen wybuchł spór odnośnie do poszczególnych dat liczonych według starego systemu. Nowy kalendarz został opracowany przez Tiama z Gazar, i uświetniając rzekome wyzwolenie spod zagrożenia ze strony trolloków, każdy odnotowany w nim rok określano jako Wolny Rok (WR). Kalendarz Gazarański zyskał powszechną akceptację po upływie dwudziestu lat od zakończenia Wojen. Artur Hawkwing próbował wprowadzić nowy kalendarz, rozpoczynający się od daty założenia jego imperium (OZ, Od Założenia), jednakże obecnie jest znany wyłącznie historykom i tylko oni z niego korzystają. Po tym jak Wojna Stu Lat przyniosła z sobą ogólną destrukcję, śmierć i zniszczenia, czwarty z kolei kalendarz wymyślił Uren din Jubai Szybująca Mewa, naukowiec wywodzący się z Ludu Morza, a wprowadził go do użycia Panarch Farede z Tarabon. Kalendarz Farede, datujący się od arbitralnie ustanowionego końca Wojny Stu Lat i zapisujący lata Nowej Ery (NE), jest obecnie w powszechnym użytku.

Adan, Heran (ay-DAN, HEH-ran): Gubernator Baerlon.

Aes Sedai (EYEZ seh-DEYE): Władający Jedyńą Mocą. Od Czasu Szaleństwa jedynymi pozostałymi przy życiu Aes Sedai są kobiety. Budzące powszechną nieufność, strach, a nawet nienawiść, są przez wielu ludzi obwiniane za Pęknięcie Świata, uważa się powszechnie, iż mieszają się do polityki poszczególnych państw. Jednocześnie niewielu władców obywateli bywa się bez rad Aes Sedai, nawet w tych krajach, w których istnienie takich koneksji musi być utrzymywane w tajemnicy. Tytuł używany jako wyraz szacunku, na przykład: Sheriam Sedai, i jako wyraz najwyższego szacunku, na przykład Sheriam Aes Sedai. Patrz również: Ajah; Tron Amyrlin.

Agelmar, Lord Agelmar z dynastii Jagad (*AGH-el-mar*), (*JAH-gad*): Władca Fal Dara. Jego godłem są trzy rude lisy w biegu.

Aiel (eye-EEL): Lud żyjący na Pustkowie Aiel. Waleczny i odważny. Zanim zabiją, osłaniają twarz woalem, stąd powiedzenie: „zachowuje się jak zamaskowany Aiel”, które odnosi się do człowieka postępującego gwałtownie. Wojownicy; którzy walczą na śmierć i życie, przy pomocy broni albo nawet gołych rąk, nie dotykają jednak mieczy. Przed bitwą ich dudziarze grają im taneczne melodie, Aielowie nazywają bitwę „Tańcem”.

Ajah (AH-jah): Społeczności Aes Sedai, do których należą wszystkie Aes Sedai. Swoje nazwy biorą od poszczególnych barw: Błękitne Ajah, Czerwone Ajah, Białe Ajah, Zielone Ajah, Brązowe Ajah, Żółte Ajah i Szare Ajah. Wszystkie wyznają odrębną filozofię korzystania z Jedynej Mocy i celu, jakim służą Aes Sedai. Na przykład Czerwone Ajah całą swoją energię koncentrują na wyszukiwaniu i poskramianiu mężczyzn, którzy próbują władać Mocą. Brązowe Ajah, dla odmiany, odmawiają zaangażowania w świecie i poświęcają się poszukiwaniu wiedzy. Krążą pogłoski (zawzięcie dementowane i nigdy nie wspomniane otwarcie w obecności jakiegokolwiek Aes Sedai), że Czarne Ajah poświęciły się służbie dla Czarnego.

Aldieb: W Dawnej Mowie „Zachodni Wiatr”, wiatr, który przynosi wiosenne deszcze.

Al Ellisande!: W Dawnej Mowie „Za Różę Słońca!”

al'Meara, Nynaeve (ahl-MEER-ah, NIGH-neeve): Wiedząca z Pola Emonda.

al'Thor, Rand (ahl-THOR, RAND): Młody farmer i pasterz z Dwu Rzek.

al'Vere, Egwene (ahl-VEER, eh-GWAIN): Najmłodsza córka karczmarza z Pola Emonda.

Andor (AN-door): Królestwo, którego częścią są Dwie Rzeki. Godłem Andoru jest stojący lew na czerwonym tle.

angreal (ahn-gree-AHL): Niezwykle rzadki przedmiot, dzięki któremu każdy, kto jest zdolny do korzystania z Jedynej Mocy, może bezpiecznie zaczerpnąć większą jej ilość, niż to jest możliwe bez wspomaganie. Pozostałość po Wieku Legend, sposób jej wytwarzania nie jest już znany. Patrz również *sa'angreal*.

Arafel (Ah-rah-fehl): Kraj należący do Ziem Granicznych. Godłem Arafel są trzy białe róże na czerwonym tle oraz trzy czerwone róże na białym tle, umieszczone w czwartej części tarczy.

Aram (AY-ram): Młodzieniec z ludu Tuatha'nów.

Avendesora (Ah-vehn-deh-SO-rah): W Dawnej Mowie Drzewo Życia. Wymieniane w wielu opowieściach i legendach.

Aybara, Perrin (ay-BAHR-ah, PEHR-rihn): Młody czeladnik kowalski z Pola Emonda.

Ba'alzamon (bah-AHL-zah-mon): W mowie trolloków: „Serce Ciemności”. Uważa się, że trolloki tak właśnie nazywają Czarnego.

Baerlon (BAYR-lon): Miasto w Andorze, położone przy drodze łączącej Caemlyn z kopalniami w Górach Mgły.

bard: Wędrowny gawędziarz, muzyk, zongler, akrobata i wszechstronny artysta. Rozpoznawani dzięki swym tradycyjnym płaszczom uszytym z kolorowych łątek, bardowie dają swe przedstawienia głównie po wsiach i mniejszych miejscowościach, jako że w większych miastach dostępne są inne rozrywki.

Barran, Doral (BAHR-rah, DOOR-ahl): Poprzedzająca Nynaeve al'Meara Wiedząca z Pola Emonda.

Bel Tine (BEHL TINE): Wiosenne święto w Dwu Rzekach.

Bezoki: Patrz: Myrddraal.

Błękitne Ajah: Patrz Ajah.

Bornhald, Dain (BOHRN-hahld, DAY-ihn): Oficer Synów Światłości, syn Lorda Generała Geoframa Bornhaldy.

Bornhald, Geofram (BOHRN-hahld, JEHF-rahm): Lord Generał Synów Światłości.

Bryne, Gareth (BRIHN, GAH-rehth): Generał Gwardii Królewskiej w Andorze. Służy także jako Pierwszy Książę Miecza Królowej Morgase. Jego godłem są trzy złote, pięcioramienne gwiazdy.

Byar, Jaret (BY-ahr, JAH-ret): Oficer Synów Światłości.

Caemlyn (KRYM-lihn): Stolica Andoru.

Cairhien (KEYE-ree-EHN): Nazwa kraju położonego przy Grzbiecie Świata i jednocześnie nazwa jego stolicy. Miasto zostało spalone i złupione podczas Wojny o Aiel (976-978 NE). Godłem Cairhien jest złote słońce o licznych promieniach, wschodzące na samym dole tła, którym jest niebo.

Carai an Caldazar!: (cah-REYE ahn cah-dah-ZAHR): W Dawnej Mowie „Za honor Czerwonego Orła!” Starożytny okrzyk bitewny Manetheren.

Carai an Ellisande!: W Dawnej Mowie „Za honor Róży Słońca!” Okrzyk bitewny ostatniego króla Manetheren.

Cauthon Matrim (Mat) (CAW-thon, MAT): Młody farmer z Dwu Rzek.

Charin, Jain (CHAH-rihn, JAY-ihn): Patrz Długi Krok, Jain.

cuendillar: Patrz prakamień.

Czarne Ajah: Patrz Ajah.

Czarny: Powszechnie używane we wszystkich krajach imię Shaítana: źródło zła, antyteza Stwórcy. Uwięziony przez Stwórcę w momencie Stworzenia w więzieniu Shayol Ghul. Próba uwolnienia go z tego więzienia wywołała Wojnę o Cień, skażenie *saidina*, Pęknięcie Świata i koniec Wieku Legend.

Czas Szaleństwa: Patrz Pęknięcie Świata.

Czerwone Ajah: Patrz Ajah.

Człowiek Cień: Patrz Myrddraal.

Damodred, Książę Taringail (DAH-oh-drehd, TAHrihn-gail): Książę, członek rodziny królewskiej panującej w Cairhien, poślubił Tigraine i spłodził syna Galadredida. Po zniknięciu Tigraine i uznaniu jej za zmarłą, poślubił Morgase i spłodził Elayne i Gawyna. Zniknął w tajemniczych okolicznościach i przez wiele lat uznawano go za zmarłego. Jego godłem był złoty topór wojenny o dwu ostrzach.

Damodred, Lord Galadedrid (DAH-oh-drehd, gahLAHD-eh-drihd): Jedyne dziecko Taringaila Damodreda i Tigraine, przyrodni brat Elayne i Gawyna. Jego godłem jest zakrzywiony srebrny miecz, skierowany ostrzem w dół.

Dha-vo!, Dhai'mon (DAH-vohl, DEYE-mon): Patrz trolloki.

Djevik K'Shar (DJEH-vihk KEH-SHAHR): W języku trolloków „Umierający ląd”. Nazwa przyjęta przez trolloków dla Pustkowia Aiel.

Długi Krok, Jain (Jay-ihn): Bohater rodem z północy, który podróżował do wielu krajów i przeżył wiele przygód; autor kilku książek, opisany także w książkach i opowieściach. Zniknął w 994 NE po powrocie z wyprawy do Wielkiego Ugoru, która, jak twierdzą niektórzy, zawiodła go aż do samego Shayol Ghul.

Domon Bayle (DOH-mon, BAIL): Kapitan „Spray”.

Drugie Przymierze: Patrz Przymierze Dziesięciu Narodów.

Druciarze: Patrz Tuatha'an.

Dziedziczka Tronu: Tytuł nadawany spadkobierczyni tronu Andoru. Najstarsza córka Królowej dziedziczy po niej prawo do zasiadania na tronie. Jeżeli nie ma żadnej córki, wówczas sukcesja przechodzi na najbliższą krewną Królowej.

Easar, Król Easar z Dynastii Togita (EE-zar, toh-GHEEtah): Król Shienar. Jego godłem jest biały jeleń, zgodnie z obyczajem przyjętym w Shienar jest on także godłem tego kraju wraz z godłem Czarnego Jastrzębia.

Elaida (eh-Ly-da): Aes Sedai, doradczyni Morgase, Królowej Andoru.

Elayne (ee-LAIN): Córka Królowej Morgase, Dziedziczka Tronu Andoru. Jej godłem jest złota lilia.

Else; Else Grinwell (EHLZ GRIHN-wehl): Córka farmera poznana po drodze do Caemlyn.

Fain, Padan (FAIN, PAHD-ahn): Handlarz, który pojawia się w Polu Emonda tuż przed Zimową Nocą.

Fałszywy Smok: Co pewien czas jakiś mężczyzna twierdzi, że jest Smokiem Odrodzonym i czasami uzyskuje dostateczne poparcie, w związku z czym trzeba zbierać armię, która go pokona. Kilka takich postaci było powodem wybuchu wojen, wciągających wiele narodów. Przez całe stulecia większość nie potrafiła korzystać

z Jedynej Mocy, niemniej jednak niektórzy rzeczywiście byli w stanie to osiągnąć. Wszyscy albo znikali, albo brano ich do niewoli i zabijano, zanim spełnili którekolwiek z Proroctw dotyczących Odrodzenia Smoka. Takich mężczyzn nazywa się fałszywymi Smokami. Patrz także Smok odrodzony.

Far Dareis Mai (FAHR DAH-rize MY): Dosłownie „Panny Włóczni”. Jedno z licznych społeczności wojowników Aiel; w odróżnieniu od innych, przyjmuje w swe szeregi tylko i wyłącznie kobiety. Żadna Panna nie może wyjść za mąż i pozostać członkinią społeczności, nie może także walczyć, jeśli spodziewa się dziecka. Każde dziecko urodzone przez Pannę jest oddawane na wychowanie innej kobiecie, w taki sposób, by nikt się nie dowiedział, kim była matka dziecka. („Nie będziesz należała do żadnego mężczyzny ani żaden mężczyzna nie może należeć do ciebie. Włócznia jest twym kochankiem, twym dzieckiem i twym życiem”). Takich dzieci strzeżono jak skarbu, bowiem zostało przepowiedziane, że dziecko zrodzone z Panny zjednoczy klany i przywróci Aielowi wielkość, jaką ten kraj się szczycił podczas Wieku Legend.

Galad (gah-LAHD): Patrz Damodred, lord Galadedrid.

Gawyn (GAH-wihn): Syn Królowej Morgase, brat Elayne, który zostanie Pierwszym Księciem Miecza, kiedy Elayne wstąpi na tron. Jego godłem jest biały dzik.

Grzbiet Świata: Wysokie pasmo górskie z bardzo niewielką liczbą przełęczy, które dzieli Pustkowie Aiel od ziem położonych na zachodzie.

Hawkwing, Artur: Legendarny król, który zjednoczył wszystkie ziemie na zachód od Grzbietu Świata, a także niektóre krainy położone za Pustkowie Aiel. Wysłał nawet wojska za ocean Aryth, jednakże po jego śmierci utracono z nimi wszelki kontakt, co wywołało Wojnę Stu Lat. Jego godłem był złoty jastrząb w locie. Patrz również Wojna Stu Lat.

Illian (IHL-lee-ahn): Wielkie miasto portowe położone nad Morzem Burz, stolica kraju o tej samej nazwie. Godłem Illian jest dziewięć złotych pszczoł na ciemnozielonym tle.

Ingtar, lord Ingtar z Dynastii **Shinowa** (IHNG-tahr, shihNOH-wah): Wojownik rodem z Shienaru, poznany w Fal Dara.

Jedyna Moc: Moc przenoszona z Prawdziwego Źródła. Przeważająca większość ludzi jest całkowicie niezdolna do przenoszenia Jedynej Mocy. Niewielu z nich można nauczyć przenoszenia jej, a zupełnie nie znacząca liczba ma tę zdolność wrodzoną. Tych nielicznych nie trzeba uczyć, dotykają Prawdziwego Źródła i przenoszą Moc, czy tego chcą czy nie, być może nawet sobie nie uświadamiając, co robią. Ta wrodzona zdolność

objawia się zazwyczaj pod koniec okresu dojrzewania lub tuż po osiągnięciu dojrzałości. Jeżeli taki człowiek nie zostanie nauczony kontroli albo uczy się sam (co jest nadzwyczaj trudne, sukces osiąga jedynie jedna na cztery osoby), jego śmierć jest pewna. Od czasu Szaleństwa żaden mężczyzna nie potrafił przenieść Mocy i nie popaść w rezultacie w straszliwy obłąd, a następnie, nawet jeśli nabył odrobinę umiejętności kontrolowania, to umierał na wyniszczającą chorobę, która powoduje, że cierpiący na nią gnije za życia — chorobę, podobnie jak obłąd, powodowała skaza, jaką Czarny dotknął *saidina*. W przypadku kobiet śmierć, która następuje z powodu braku panowania nad Mocą, jest mniej straszna, jednakże jest równie nieunikniona. Aes Sedai wyszukują dziewczęta z wrodzonymi umiejętnościami, by ratować im życie, a także by powiększać zastępy Aes Sedai, wyszukują także mężczyzn, chcąc nie dopuścić do wszystkich tych straszliwych czynów, jakich oni w swoim obłądnie dopuszczają się dzięki Mocy. Patrz także Korzystać z Jedynej Mocy, Czas Szaleństwa, Prawdziwe Źródło.

Kandor (KANN-dohr): Jedno z państw należących do Ziem Granicznych. Godłem Kandoru jest wierzgający gniady koń na jasnozielonym tle.

Kinch, Fiyam (KIHNCH, HY-ahm): Farmer poznany przy drodze do Caemlyn.

Ko'bal (KOH-bahl): Patrz trolloki.

Korzystać z Jedynej Mocy: (1) *(czasownik)* kontrolować przepływ Jedynej Mocy. (2) *(rzeczownik)* korzystanie: akt kontrolowania przepływu Jedynej Mocy.

Lan, al'Lan Mandragoran (AHL-LAN man-DRAG-oran): Wojownik rodem z północy; towarzysz Moiraine.

Liga: Miara odległości równa czterem milom. Patrz również mila.

Luc; lord Luc z Dynastii Mantear (LUKE, MAN-tee-ahr): Brat Tigraine, który miał zostać Pierwszym Księciem Miecza po jej wstąpieniu na tron. Uważa się, że jego zniknięcie na Wielkim Ugorze jest w jakiś sposób związane z późniejszym zniknięciem Tigraine. Jego godłem był żołędź.

Lud Morza: Mieszkańcy wysp położonych na oceanie Aryth (AH-rihth) i Morzu Burz, spędzają niewiele czasu na tych wyspach, żyjąc przede wszystkim na statkach. Główna część handlu morskiego jest uprawiana przy pomocy statków Ludu Morza.

Łza: Wielki port nad Morzem Burz. Godłem Łzy są trzy białe półksiężyce na czerwono-złotym tle.

Machera, Elyas (mah-CHEER-ah, EE-ly-ahs): Człowiek, którego Perrin i Egwene spotkali w lesie.

Mahdi (MAH-dee): W Dawnej Mowie „Poszukujący”. Tytuł przywódcy karawany Tuatha'anów.

Malker (mahl-KEER): Kraina, niegdyś należąca do Ziem Granicznych, obecnie wchłonięta przez Ugór. Godłem Malker był złoty żuraw w locie.

Mandarb: W Dawnej Mowie „Ostrze”.

Manetheren (malm-EHTh-ehR-ehN): Jeden z Dziesięciu Krajów, które utworzyły Drugie Przymierze, a także stolica tego kraju. Zarówno miasto jak i kraj zostały całkowicie zniszczone podczas Wojen z Trollokami.

Maradon (MAH-rah-don): Stolica Saldaei.

Merrilin, Thom (MER-rih-lihn, TOM): Bard, który przybywa do Pola Emonda, aby wystąpić podczas święta Bel Tine.

mila: Miara odległości równa tysiącu piędzi. Cztery mile tworzą jedną ligę. Patrz także piędz.

Min (MIN): Młoda kobieta napotkana w karczmie „Jeleń i Lew” w Baerlon.

Moiraine (mwah-rain): Gość w Polu Emonda, który przybywa tam tuż przed Zimową Nocą.

Morgase (moor-GAYZ): Z Łaski Światłości Królowa Andoru, Dziedziczka Dynastii Trakand (TRAHK-ahnd). Jej godłem są trzy złote klucze. Godłem Dynastii Trakand jest srebrny zwornik.

Myrddraal (MUHRD-draal): Twory Czarnego, dowódcy trolloków. Pomiot trolloków, w którym ujawniły się cechy ludzkiej rasy, użyte do stworzenia trolloków, lecz skażone przez zło, dzięki którym powstały trolloki. Fizycznie przypomina człowieka, tyle że nie posiada oczu, ma jednak sokoli wzrok zarówno przy świetle jak i w mroku. Dysponuje pewnymi mocami wywodzącymi się od Czarnego, między innymi zdolnością do paraliżowania samym swoim widokiem i umiejętnością znikania wszędzie tam, gdzie jest cień. Jedną z jego nielicznych, poznanych słabości jest niechęć do zanurzania się w płynącej wodzie. W różnych krajach nadano mu różne przydomki, między innymi Półczłowiek, Bezoki, Zaczajony, Człowiek Cień i Pomor.

Ojciec Kłamstw: Patrz Czarny.

Pasterz Nocy: Patrz Czarny.

Pęknięcie Świata: Kiedy Lews Therin Telamon i Stu Towarzyszy zdjęło pieczęcie zabezpieczające więzienie Czarnego, przeciwuderzenie Cienia skaziło *saidina*. W rezultacie wszyscy mężczyźni Aes Sedai popadli w straszliwy obłęd. Wiedzeni szaleństwem ci, którzy potrafili władać Jedyną Mocą w stopniu obecnie nie znanym zmienili oblicze ziemi. Spowodowali wielkie trzęsienia, zrównanie górskich łańcuchów, wypiętrzenie nowych gór, powstanie suchych łądów w miejscach, gdzie przedtem były morza, zalanie przez morza dawnych łądów. Wiele części świata uległo całkowitemu wyludnieniu, a ocalali rozproszyli się jak pył na wietrze. O tych zniszczeniach

wspomina się w opowieściach, legendach i historii jako o Pęknięciu Świata. Patrz także Stu Towarzyszy.

Pierwszy Książę Miecza: Tytuł, który zazwyczaj piastuje najstarszy brat Królowej Andoru, którego od dzieciństwa szkoli się na dowódcę wojsk Królowej w czasie wojny i jej doradcę w czasie pokoju. Jeśli Królowa nie ma żadnego brata, nadaje ten tytuł komuś innemu.

Pięć Mocy: Od Jedynej Mocy ciągną się wątki i każda osoba, która potrafi korzystać z Jedynej Mocy, może chwycić niektóre wątki lepiej niż inni. Wątki te mają swoje nazwy, pochodzące od tego, co można z nimi zrobić Ziemia, Powietrze, Ogień, Woda i Duch — i nazywa się je Pięcioma Mocami. Każdy władający Jediną Mocą nabywa więcej siły dzięki używaniu jednej bądź dwóch z nich, a dzięki innym ową siłę traci. Nieliczni dysponują wielką siłą dzięki użyciu trzech mocy, niemniej jednak od Wieku Legend nikt nie zdobył wielkiej siły dzięki wszystkim pięciu. Nawet wtedy były to niezmiernie rzadkie przypadki. Zasięg tej siły jest różny w zależności od danej osoby, tak więc ci, którzy potrafią z niej korzystać, bywają znacznie silniejsi od innych. Wykonywanie pewnych czynów przy użyciu Jedynej Mocy wymaga zdolności władania jedną lub więcej z Pięciu Mocy. Na przykład rozpalanie lub władanie ogniem wymaga Ognia, a wywieranie wpływu na pogodę wymaga Powietrza i Wody, z kolei Uzdrawianie potrzebuje Wody i Ducha. O ile Ducha wykrywano zarówno u mężczyzn jak i u kobiet, wielkie zdolności w odniesieniu do Ziemi i/lub Ognia wykrywano częściej u mężczyzn, a w odniesieniu do Wody i/lub Powietrza u kobiet. Zdarzają się wyjątki, często jednak uważano Ziemię i Ogień za Moce męskie, natomiast Powietrze i Wodę za żeńskie. Zasadniczo nie uważa się, by któraś z tych zdolności była silniejsza od pozostałych, mimo że Aes Sedai znają powiedzenie: „Nie ma takiej skały, której woda i wiatr naruszyć nie mogą, nie ma ognia tak dzikiego, by woda nie mogła go ugasić albo wiatr zdmuchnąć”. Warto zauważyć, że tego powiedzenia zaczęto używać na długo potem, jak umarł ostatni Aes Sedai. Podobne powiedzenia używane przez Aes Sedai mężczyzn zagięły dawno temu.

piędź: Miara odległości równa dwóm krokom. Tysiąc piędzi tworzy milę.

Płomień Tar Valon: Symbol Tar Valon i Aes Sedai. Stylizowany wizerunek ognia, biała łąza ustawiona czubkiem do góry.

Pomor: Patrz Myrddraal.

Poskramianie: Uprawiany przez Aes Sedai akt unieszkodliwiania mężczyzny, który potrafi korzystać z Jedynej Mocy. Jest on niezbędny, ponieważ każdy mężczyzna, który nauczy się to robić, popada w obłąd pod wpływem skazy na *saidinie* i w swoim szaleństwie nieuchronnie będzie dokonywał straszliwych rzeczy z Mocą. Mężczyzna, który został poskromiony, nadal może wyczuwać Prawdziwe Źródło, jednak nie może go dotykać. Wszelkie oznaki szaleństwa, które dają się zauważyć przed poskromieniem,

zostają powstrzymane przez akt poskramiania, mimo że samo szaleństwo nie zostaje uleczone, jednak jeśli wykona się ten akt dostatecznie szybko, można zapobiec śmierci.

Pólczłowiek: Patrz Myrddraal.

prakamień: Niezniszczalna substancja stworzona podczas Wieku Legend. Wszelka znana energia użyta w próbie jego rozbicia zostaje wchłonięta, sprawiając, że prakamień staje się jeszcze mocniejszy.

Prawdziwe Źródło: Siła napędzająca świat, która obraca Kołem Czasu. Jest podzielona na męską połowę (*saidin*) i żeńską połowę (*saidar*), które jednocześnie pracują razem i przeciwko sobie. Jedynie mężczyzna może czerpać moc *saidina*, tylko kobieta z *saidara*. Na początku Czasu Szaleństwa *saidin* został skażony przez dotknięcie Czarnego. Patrz również Jedyna Moc.

Przekłęci: Przydomek nadany trzynastu najpotężniejszym Aes Sedai, jakich kiedykolwiek znano, którzy przeszli na stronę Czarnego podczas Wojny z Cieniem w zamian za obietnicę nieśmiertelności. Zgodnie z legendą, a także szczątkowymi zapisami, zostali uwięzieni razem z Czarnym, kiedy na mury jego więzienia ponownie nałożono pieczęcie. Wciąż wykorzystuje się ich imiona do straszenia dzieci.

Przekłęte Ziemie: Bezлюдne tereny otaczające Shayol Ghul, za Wielkim Ugorem.

Przymierze Dziesięciu Narodów: Unia powstała po Pęknięciu Świata (około 200 OP) w celu pokonania Czarnego. Przymierze rozpadło się po Wojnach z Trollokami.

Pustkowie Aiel: Dzika, nierówna i zupełnie pozbawiona wody kraina na wschód od Grzbietu Świata. Niewielu ludzi z zewnątrz odważa się zapuszczać w głąb Pustkowie, nie tylko dlatego, że ktoś, kto się tam nie urodził, nie jest w stanie znaleźć wody, lecz również dlatego, że Aielowie uważają, iż prowadzą wojnę z innymi narodami i niechętnie witają obcych.

Rada Wioski: W większości wiosek wybrana przez miejscową ludność grupa ludzi, na czele której stoi Burmistrz, odpowiedzialna za podejmowanie decyzji odnośnie do całej wioski oraz prowadzenie negocjacji z Radami innych wiosek odnośnie do kwestii wspólnie ich dotyczących. Wiodą bezustanny spór z Kołem Kobiet w tyłu wsiach, że konflikt ów jest uważany już nieomal za tradycję. Patrz także Koło Kobiet.

Róg Valere (vah-LEER): Legendarny cel Wielkiego Polowania Na Róg. Uważa się, iż przy jego pomocy można wezwać z grobu legendarnych bohaterów, aby walczyli z Cieniem.

sa'angreal (SAH-ahn-GREE-ahl): Nadzwyczaj rzadki przedmiot, który pozwala posiadającej go osobie korzystać ze znacznie większej ilości Jedynej Mocy niż to w innym przypadku możliwe albo bezpieczne. *Sa-angreal* jest podobny, lecz znacznie potężniejszy od *angreala*. Pozostałość po Wieku Legend, sposób jego tworzenia nie jest już znany.

saidar, saidin (sah-ih-DAHR, sah-ih-DEEN): Patrz Prawdziwe Źródło.

Saldaea (sahl-DAY-ee-ah): Jeden z krajów należących do Ziem Granicznych. Godłem Saidaei są trzy srebrne ryby na granatowym tle.

Shadar Logoth (SHAH-dahr LOH-goth): W Dawnej Mowie „Miejsce, w którym czyha Cień”. Miasto opuszczone i omijane przez ludzi od czasu Wojen z Trollokami. Zwane także „Czyhaniem Cienia”.

Shai'tan (SHAY-ih-TAN): Patrz Czarny.

Shayol Ghul (SHAY-ol GHOOOL): Góra w Ziemiach Przeklętych, teren więzienia Czarnego.

Sheriam (SHEER-ee-ahm): Aes Sedai należąca do Błękitnych Ajah.

Shienar (shy-NAHR): Kraj należący do Ziem Granicznych. Godłem Shienaru jest atakujący czarny jastrząb.

shoufa (SHOO-fah): Część ubioru noszona przez Aielów; tkanina, zazwyczaj koloru piasku lub skały, którą owija się głowę i szyję, pozostawiając odsłoniętą jedynie twarz.

Smoczy Kieł: Stylizowany znak, zazwyczaj czarny, w kształcie łyży ustawionej na czubku. Narysowany na drzwiach lub ścianie domu stanowi oskarżenie przebywających w środku ludzi o czynienie zła.

Smok: Przydomek, pod jakim Lews Therin Telamon był znany podczas Wojny z Cieniem. Kierowany obłędem, jaki owdądzał wszystkim mężczyznami Aes Sedai, Lews Therin zabił wszystkich, w żyłach których płynęła choć kropla jego krwi, a także wszystkich, których kochał, zyskując sobie w ten sposób miano Zabójcy Rodu. Obecnie używa się powiedzenia „pojmany przez Smoka” albo „opanowany przez Smoka” względem osoby, która zagraża ludziom z jej otoczenia lub która im grozi, szczególnie jeśli nie ma ku temu żadnych powodów. Patrz także Smok Odrodzony.

Smok Odrodzony: Zgodnie z przepowiednią i legendą Smok narodzi się ponownie w godzinie największej potrzeby ludzkości, by zbawić świat. Ludzie bynajmniej nie oczekują tego z utęsknieniem, jako że przepowiednie mówią, iż Smok Odrodzony wywoła nowe Pęknięcie Świata i dlatego że Lews Therin Zabójca Rodu, Smok, to imię, na dźwięk którego każdy się wzdraga, mimo że upłynęły już trzy tysiące lat od jego śmierci. Patrz także Smok, Fałszywy Smok.

Sprzymierzeńcy Ciemności: Wyznawcy Czarnego, którzy wierzą, że zdobędą wielką władzę i nagrody po tym, jak on zdoła uwolnić się ze swego więzienia.

Śledczy: Społeczność należąca do Synów Światłości. Celami, na które składają przysięgę, jest odkrywanie prawdy na drodze dysput i demaskowanie Sprzymierzeńców Ciemności. W poszukiwaniu prawdy i Światłości, w należyty ich zdaniem sposób, są jeszcze bardziej gorliwi niż pozostali Synowie Światłości. Ich normalną metodą prowadzenia śledztwa jest zadawanie tortur, zazwyczaj z góry znają prawdę i potrzebują tylko zmusić swoją ofiarę do jej wyznania. Śledczy nazywają samych siebie Ręką

Światłości i czasami zachowują się tak, jakby działali całkowicie niezależnie od Synów Światłości i Rady Pomazańców, która przewodzi Synom. Przywódcą Śledczych jest Czcigodny Inkwizytor, który zasiada w Radzie Pomazańców.

stedding (STEHD-ding): Ojczyzna Ogirów (OH-geer). Wiele *stedding* zostało porzuconych po Pęknięciu Świata. W opowieściach i legendach opisuje się je jako bezpieczne przystanie, i nie bez racji. W jakiś sposób, obecnie już nie pojmowany, są zabezpieczone, dzięki czemu żadna Aes Sedai nie potrafi w nich korzystać z Jedynej Mocy ani nawet wyczuwać istnienia Prawdziwego Źródła. Próby władania Jedyną Mocą z zewnątrz *stedding* nie przyniosły żadnych efektów wewnątrz granic *stedding*. Żaden trollok nie wejdzie do *stedding*, chyba że zostanie tam zapędzony, nawet Myrddraal zrobi to tylko pod wpływem najwyższej potrzeby, a i wtedy z niechęcią i obrzydzeniem. Nawet Sprzymierzeńcy Światłości, jeśli są naprawdę oddani, czują się nieswojo w *stedding*.

Synowie Światłości: Społeczność wyznająca surowe, ascetyczne reguły, powstała w celu pokonania Czarnej i zniszczenia wszystkich Sprzymierzeńców Ciemności. Założony podczas Wojny Stu Lat przez Lothaira Mantelara (LOH-thayr MAHN-tee-LAHR) w celu nawracania rosnących rzesz Sprzymierzeńców Ciemności, przekształciła się podczas wojny w organizację całkowicie militarną, nadzwyczaj sztywno trzymającą się swych reguł, zrzeszającą ludzi całkowicie przekonanych, że tylko oni znają prawdę i prawo. Nienawidzą Aes Sedai, uważając je i wszystkich, którzy je popierają albo się z nimi przyjaźnią, za Sprzymierzeńców Ciemności. Pogardliwie nazywa się ich Białymi Płaszczami, ich godłem jest promieniste słońce na białym tle.

Tallanvor, Martyn (TAHL-ahn-vohr, mahr-TEEN): Porucznik Gwardii Królewskiej; poznany w Caemlyn.

ta'marał'aillen (tah-MAHR-ahl-EYE-lehn): W Dawnej Mowie „Splot Przeznaczenia”.

Tanreall, Artur Paendrag (tahn-REE-ahl, AHR-tuhr PAYehn-DRAG): Patrz Hawkwing, Artur.

taran: Podstawowa formacja wojskowa trolloków, o nieokreślonej liczebności, zazwyczaj więcej niż sto, lecz nigdy więcej niż dwieście. Taranem zazwyczaj, lecz nie zawsze, dowodzi Myrddraal.

Tar Valon (TAHR VAH-lon): Miasto położone na wyspie na rzece Erinin. Centrum władzy Aes Sedai i siedziba Tronu Amyrlin.

ta'veren (tah-VEER-ehn): Osoba, wokół której Koło Czasu oplata wątki losów otaczających ją ludzi, a może nawet wątki losów wszystkich ludzi, tworząc w ten sposób Splot Przeznaczenia. Patrz także Wzór Wieku.

Telamon, Lews Therin (TEHL-ah-mon, LOOZ THEH-rihn): Patrz Smok.

Thakan'dar (thah-kahn-DAHR): Wiecznie spowita w mgłę dolina położona pod zboczami Shayol Ghul.

Tigraine (tee-GRAIN): Jako Dziedziczka Tronu Andor poślubiła Taringaila Damodreda i urodziła mu syna Galadedrida. Jej zniknięcie w 972 NE, krótko po tym, jak jej brat Luc zaginął w Ugorze, wywołało w Andorze zbrojny spór zwany Sukcesją i stanowiło przyczynę wydarzeń w Cairhien, które ostatecznie wywołały Wojnę o Aiel. Jej godłem była kobieca dłoń ściskająca kolczastą gałązkę krzewu różanego kwitnącego na biało.

Trolloki (TRAHL-lohks): Istoty stworzone przez Czarnego podczas Wojny o Cień. Potężnego wzrostu, nadzwyczaj podstępne, stanowią skrzyżowanie zwierząt z rasą ludzką i zabijają dla czystej przyjemności zabijania. Przebiegłe, zakłamanie i zdradzieckie, nieufne tylko wobec tych, których się boją. Są żarłoczne i jedzą wszelkie gatunki mięsa, łącznie z ludzkim oraz mięsem innych trolloków. Głównie pochodzenia ludzkiego, są także w stanie krzyżować się z ludźmi, jednakże wówczas potomstwo rodzi się zazwyczaj martwe lub nie jest w stanie przeżyć dłużej. Dzielą się na podobne do plemion bandy, główne to Ahf'frait, Al'ghol, Bhan'sheen, Dha'vol, Dhai'mon, Dhjin'nen, Ghar'ghael, Ghob'hlin, Gho'hlem, Ghraem'lan, Ko'bal i Kno'mon.

Tron Amyrlin (AHM-ehr-lin): (1) tytuł przywódczyni Aes Sedai. Przyznawany dożywotnio przez Komnatę Wieży, najwyższą Radę Aes Sedai, w skład której wchodzi po trzy przedstawicielki wszystkich siedmiu Ajah. Tron Amyrlin dzierży, przynajmniej w teorii, nieomal nadrzędną władzę nad wszystkimi Aes Sedai. Rangą dorównuje tytułowi królewskiemu. (2) tron, na którym zasiada przywódczyni Aes Sedai.

Tuatha'an (too-AH-thah-AHN): Wędrowny lud, znany również jako Druciarze i Lud Wędrowców, który mieszka w jaskrawo pomalowanych wozach i wyznaje pacyfistyczną filozofię, zwaną Drogą Liścia. Rzeczy naprawione przez Druciarzy są często lepsze od nowych, niemniej jednak wiele wiosek wystrzega się Tuatha'anów, ponieważ mówi się, że kradną dzieci i próbują nawracać młodych ludzi na swoją wiarę.

Ugór: Patrz Wielki Ugór.

Wiek Legend: Wiek zakończony Wojną o Cień i Pęknięciem Świata. Czasy, w których Aes Sedai czyniły cuda, o jakich dzisiaj nikomu nawet się nie śni. Patrz również Koło Czasu.

Wielki Ugór: Obszar położony na dalekiej północy, całkowicie zniszczony przez Czarnego. Kryjówka trolloków, Myrddraali i innych stworzeń Czarnego.

Wielki Wąż: Symbol czasu i wieczności, starszy niż początek Wieku Legend, przedstawiający węża pożerającego własny ogon.

Wielki Władca Ciemności: Przydomek, którego Sprzymierzeńcy używają mówiąc o Czarnym, twierdząc, że używanie jego prawdziwego imienia byłoby bluźnierstwem.

Wielki Wzór: Koło Czasu tka Wzory Wieków w postaci Wielkiego Wzoru, który stanowi całość istnienia i rzeczywistości, przeszłości, teraźniejszości i przyszłości. Znany również jako Osnowa Wieków. Patrz również Wzór Wieku, Koło Czasu.

Władcy Strachu: Ci mężczyźni i kobiety, którzy, zdolni do korzystania z Jedynej Mocy, przeszli na stronę Cienia podczas Wojen z Trollokami, prowadząc działalność jako dowódcy wojsk trolloków.

Wojna z Cieniem: Znana również jako Wojna o Moc, zakończyła Wiek Legend. Zaczęła się krótko po próbie wyzwolenia Czarnego i wkrótce ogarnęła cały świat. W świecie, w którym całkowicie zapomniano o wojnie, odkryto na nowo każde jej oblicze, często wypaczone przez dotknięcie Czarnego spoczywające na świecie, jako broni użyto Jedynej Mocy. Wojna zakończyła się przez ponowne zapieczętowanie Czarnego w jego więzieniu.

Wojny z Trollokami: Wiele wojen, które rozpoczęły się około 1000 OP i trwały ponad trzysta lat, w trakcie których armie trolloków siały zniszczenie po całym świecie. Ostatecznie trolloków wybito albo zapędzono z powrotem na Ugór, jednak kilka krajów przestało istnieć, inne zaś zostały całkowicie wyludnione. Wszystkie zapisy z tamtych czasów są jedynie fragmentaryczne. Patrz również Przymierze Dziesięciu Narodów.

Wzór Wieku: Koło Czasu wplata wątki ludzkich losów we Wzór Wieku, który tworzy istotę rzeczywistości dla danego Wieku, znany jest również jako Osnowa Wieku. Patrz także *ta'veren*.

Wzywanie Czarnego: Wypowiedzenie prawdziwego imienia Czarnego (Shai'tan) powoduje ściąganie jego uwagi, nieuchronnie będąc w najlepszym przypadku przyczyną nieszczęścia, w najgorszym klęski. Z tego powodu używa się rozlicznych eufemizmów, takich jak: Czarny; Ojciec Kłamstw; Ten, który Odbiera Wzrok; Władca Grobu; Pasterz Nocy; Zmora Serc; Jad Serca; Zguba Traw; Ten, Który Zabija Liść; O kimś, kto zdaje się kusić los, mówi się, że „wzywa Czarnego”.

Zaczajony: Patrz Myrddraal.

Ziemie Graniczne: Kraje graniczące z Wielkim Ugorem: Saldaea, Arafel, Kandor i Shienar.

SPIS TREŚCI

SCHRONIENIE PRZED BURZĄ	3
ŚLADY W POWIETRZU	14
BEZLITOSNE OCZY	21
SYNOWIE CIENIA	35
WIDOWISKO ZA KOLACJĘ	50
CZTEREJ KRÓLOWIE W CIENIU	60
CZARNY CZEKA	77
OSTATNIA WIOSKA	100
CAEMLYN	113
SPLOT WZORU	126
DŁUGI POŚCIG	139
ODSIECZ	147
SPLOT ZADZIERZGA SIĘ	161
SPLOT SIĘ ZACIEŚNIA	172
STARZY PRZYJACIELE I NOWE ZAGROŻENIA	194
WSPOMNIENIE SNÓW	208
DECYZJE I OBJAWIENIA	219
CIEMNE DROGI	230
CO CZYHA W CIENIU	242
FAL DARA	256
KOLEJNE OPOWIEŚCI O KOLE	273
UGÓR	285
CZARNY BUDZI SIĘ	296
SPOTKANIA PRZY OKU	305
PRZECIWKO CIENIOWI	316
NIE ISTNIEJE ANI POCZĄTEK, ANI ZAKOŃCZENIE	325
KOŁO OBRACA SIĘ	335
GLOSARIUSZ	343